

*Twira Watata*  
**SEKS W KRÓLEWSKICH  
ALKOWACH**

**SKANDALE HISTORII!**



**Elwira Watała**

# **Seks w królewskich alkowach**

*Dawniej ludzkość dążyła do szczęścia, obecnie dąży do orgazmu.*

(student leninowskiej biblioteki w Moskwie)

## Wstęp

Wyświechtany, wyliniały, wytarty doszczętnie do matowej szarości temat seksu musi nabrać innego blasku w historycznym spojrzeniu na miłość fizyczną królów poprzez królewską alkowę. Takie miałam założenie, Drogi Czytelniku, podczas pisania tej książki. W miarę pisania, wywlekania na światło dzienne bulwersujących faktów intymnego życia królów, ukazywanych nie w koronie, lecz w domowych szlafrokach, stawało się dla mnie jasne, że materiał nie da się ułożyć w chronologiczne ramy narracji. Musi ulec pewnej typologizacji. Stąd też się wzięły nieco dziwne rozdziały, na przykład „Noce poślubne królów” czy „Miłość młodzieniaszków”. Tego, co nieobjęte, nie można ująć w ramach czterystustronicowej książki. Stąd wybiórczość w wyborze bohaterów. W osobnym rozdziale przedstawiam życie erotyczne XVI-wiecznego dworu papieskiego Aleksandra VI. Staralam się niczego nie przerysowywać, nie przejawiać tendencyjności, braku obiektywizmu, nie pozwalać sobie na literacką fikcję. Wszystkie fakty ujęte w książce są prawdziwe i sprawdzone. Zdaję sobie sprawę, iż seria „Skandale Historii” obraca się w różnych wariacjach wokół dwóch tematów: seksu i okrucieństwa. Są to tematy-ocean i chyba nigdy nie zostaną wyczerpane. Spojrzenie na te zagadnienia z historycznej perspektywy pomoże lepiej zrozumieć nasze dzisiejsze czasy z ich brutalnością i wszechobecną seksualnością. Będę wdzięczna Czytelnikom za wszelkie komentarze dotyczące tej książki w Internecie bądź listownie.

*Elwira Watała, Gliwice, sierpień 2009 r.*

## **I. Zagląając do królewskiej alkowy**

### **Podglądając przez dziurkę od klucza**

*A któż nie lubi podglądać historii przez dziurkę od klucza?*

(Marian Brandys)

Więc podglądajmy! Chociaż to wstyd, nawet jeśli czynią to sąsiedzi w komunałce, a cóż dopiero, kiedy parają się tym monarchowie! Niby są to wielcy ludzie, zaangażowani w poważne sprawy: wojny, intrygi, zdrady, spiski, wyroki śmierci, a okazuje się, że są zajęci tak prozaiczną i zarazem niegodziwą sprawą – podglądaniem przez dziurkę od klucza. Lecz oni podglądali, z honorem majestatu się nie licząc, niemal jak czynią to pospolici plotkarze, czy też wścibskie kumoszki. Filip II, król macedoński i ojciec Aleksandra Wielkiego, podglądał lewym okiem przez dziurkę od klucza, jak jego żona Olimpias kopulowała z wężem. Za swoją wścibskość został ukarany: ośleplł na lewe oko. Olimpias, ta dumna Molosska, wiecznie seksualnie nienasycona, bardzo lubiła żmije. Udając się na tajemnicze misteria, gdzie tańczyła przy świetle ognisk, bosa i z rozpuszczonymi włosami, zawsze oplątywała się tymi gadami, jak inne hetery różami. Taki był kult w Macedonii, że węże kochano, czczono i nawet matki karmiły je swym mlekiem. Mogło być tak: prawą pierś kobiety niemowlę ssie, lewą wąż. Nikogo to nie dziwiło i nie bulwersowało, lecz żeby z wężem kopulować? No nie, tego Filip II pojąć nie mógł. On nie wiedział, że jego żona kopulowała z samym bogiem Zeusem, niepoprawnym erotomanem i zoofilem, który lubił uprawiać seks pod różnymi postaciami. A to w byka się przemieni, a to w łabędzia, a to nawet w złoty deszcz. W wyniku tej kopulacji z Zeusem ukrytym pod postacią węża urodził się Aleksander Macedoński. Kiedy podrósł, dowiedział się od matki o

swym boskim pochodzeniu. Wówczas ojca kochać przestał i niezbyt rozpaczał, kiedy ten zginął z ręki swego zazdrosnego homoseksualnego kochanka. Matkę uwielbiał nieustannie, niezależnie od dokonanych przez nią licznych morderstw, dumny z tego, że była kochanką samego boga Zeusa.

Przez dziurkę od klucza lubił zaglądać do pokojów dam dworu swej matki, Katarzyny Medycejskiej, francusko-polski król Henryk III. Kiedy był młody i jeszcze nieomotyany homoseksualnymi namiętnościami, ani zdeprawowany przez rozpustną siostrę Margot, pewnego razu zajrzał przez dziurkę od klucza do pokoju damy pałacowej i oniemiał z wrażenia. Nie mógł zrozumieć, czym właściwie zajmują się przebywające tam damy: jedna leży na drugiej, ręka jednej błądzi pod spódnicą drugiej i całują się namiętnie, niczym kochankowie. Lecz szczególnie się przeląkł, dziewięcioletni Henryk III, kiedy jedna z pań wyjęła jakiś groźny przedmiot i zaczęła go wtykać między uda drugiej pani. Skąd mógł wiedzieć, cnotliwy Henryk, że to sztuczny penis? Jego sroga mama, Katarzyna Medycejska, która rozpustę na swym dworze tolerowała, nawet faworyzowała, a jej „lotny szwadron” składający się z pięćdziesięciu, ma się rozumieć, nagich amazonek, zadowalał erotyczne zmysły mężczyzn, swe dzieci wychowywała cnotliwie, w niewiedzy o seksie. Henryk III „Kamasutry” nie czytał, gdzie bez specjalnej pruderii ta scena jest opisana i obrazek doklejony, z takim oto podpisem: „Kochliwe samotne dziewczęta zabawiają się swą joni. Doświadczona w miłosnych sprawach kochanka zręcznie manipuluje w pochwie partnerki dobrze naoliwionym sztucznym penisem”.

Gdy Henryk III został francuskim królem po śmierci swego brata, Karola IX, zabronił damom uprawiania lesbijskiej miłości. Homoseksualną, proszę bardzo, „skolko ugodno”, lecz lesbijską, broń Boże, fuj, jak to psuje obyczaje i estetykę!

No tak, podglądanie przez dziurkę od klucza to wielce niebezpieczne zajęcie. Coraz to nowe przykłady tego dostarcza

nam historia. Lady Coventry, żyjąca w XI wieku w Anglii, skłoniła swego męża, władcę Coventry, aby zmniejszył podatek nałożony na poddanych. Jeśli tak się stanie, ona nago przejedzie konno po rynku. Zaapelowała do mieszkańców, aby w czasie tej osobliwej przejażdżki pochowali się w domach i jej nie podglądali. Dla ludzi przecież stara się, biedaczka. Mieszkańcy jej posłuchali. Zamknęli okiennice i siedzą jak strusie w swych mieszkaniach, nie wyglądają na rynek, gdzie królowa striptiz urządza, paradując na białym koniu naga, z rozpuszczonymi włosami. Lecz jeden szewc nie dostosował się do prośby władczyni, przez otwór w okiennicy zaczął podglądać królową. Skończyło się to marnie. Bogowie go ukarali i natychmiast stracił wzrok.

Znamy, Drogi Czytelniku, przypadek śmierci króla, który swemu podwładnemu rozkazał podglądać, jak jego małżonka rozbiera się do snu. Cyges, takie było imię tego poddanego, długo nie chciał się zgodzić na ten haniebny czyn, lecz król nalegał, chciał pochwalić się ciałem swej żony. Królowa, niczego się nie domyślając, zaczęła rozbierać się do snu, gdy nagle zobaczyła w lustrze odbicie ukrywającego się za kotarą mężczyzny. Poznała go i wszystkiego się domyśliła. Na drugi dzień wzywa go i mówi: „Widziałeś moje nagie ciało, ciało królowej, którą w ten sposób zhańbiłeś. Wiem, że do tego niegodnego czynu nakłonił cię mój mąż. Wybieraj, albo ty zabijesz mojego męża, albo ja każę zabić ciebie”. Co pozostawało Cygesowi zrobić? Własna koszula, jak to się mówi, zawsze bliżej ciała. Nocą, gdy mąż przyszedł do swej małżonki na pieszczoty a jeszcze coś innego z żoną czynić, zabił go sztyletem. Królowa wyszła za niego za mąż i uczyniła królem. Był to jedyny przypadek w historii, gdy podglądanie się opłaciło.

Podglądanie gołych niewiast przez dziurkę od klucza czy jakąś szczelinę było szczególnie rozwinięte w XVI wieku we Francji, podczas epidemii syfilisu, którym neapolitanki zaraziły wojsko króla Karola VIII. Ponieważ żołnierze bali się sypiać z niewiastami, a ich chuć wymagała podniet, zaczęli nagminnie

podglądać nagie niewiasty, uprawiając przy tym masturbację. „Niedługo wyginie cały lud” – ubolewali biskupi, zaniepokojeni tą masową masturbacją.

W dziurkę od klucza spoglądał rosyjski car Piotr III, obserwując, co w swych pokojach wyczynia ze swymi kochankami, których miała w bród, jego ciotka, rosyjska caryca Elżbieta Piotrowna. Była to caryca o demokratycznych seksualnych poglądach. Tak pisał o niej w pamiętniku arystokrata jej czasów: „Najpierw ją Aleksiej Razumowski posuwał, potem poruchał Iwan Szuwałow, a potem zaczęła ruchać gawieź: lokaje, paziowie, palacze w piecach, woźnice”. Oni swych mord z kątów nie wysuwali. Skromnie w swych zakątkach leżeli w myśl powiedzenia: „Skończyłeś pracę – śpij spokojnie”.

\* \* \*

Podglądanie przez dziurkę od klucza było rozpowszechnione we Francji, zarówno w Luwrze za czasów Katarzyny Medycejskiej, jak i w Wersalu, szczególnie podczas rządów Ludwika XIV Króla Słońce. Katarzyna Medycejska, niekochana żona Henryka II, przedziurawiła podłogę swego pokoju, żeby przez szczelinę obserwować, co wyczynia staruszka, Diana de Poitiers, kochanka męża. Zobaczyła i oniemiała z wrażenia. Leżeli na podłodze, na dywanie, a Diana ssała w grubiański sposób, nie licząc się z majestatem, penisa Jego Królewskiej Mości. Katarzyna rozpacziała i żaliła się biskupowi: „Jak można? Pan Bóg kazał w jednej pozycji spółkowanie uprawiać, a ta ladacznica zastosowała dwadzieścia sześć pozycji Aretyna”. „Skąd to pani wie?” – zapytał biskup. Katarzyna nie powoływała się na wiadomości zdobyte dzięki dziurce w suficie, zbyła pytanie milczeniem, natomiast na temat erotycznych pozycji odpowiedziała: „Mój ojciec, wystarczy zobaczyć porcelanowy serwis mojego teścia, Franciszka I”.

Franciszek I był erotomanem. Pornograficzny serwis był mu



potrzebny do podniecania swych zmysłów. I dziś pewnie niejeden staruszek w pieleszach swej kawalerki bawi się swym penisikiem przed otwartą stroną „Playboya”.

Na nic nie przydało się to podglądanie przez Katarzynę Medycejską wyczynów Diany i zastosowanie podobnych praktyk w małżeńskim łóżu: mąż w dalszym ciągu lekceważył małżeńską sypialnię. Dziwnie to brzmi, lecz z pomocą Katarzynie przyszła sama Diana. W porywie patriotyzmu, świadoma, że Francja już dziesięć lat bez dziedzica marnieje, przyszła do Katarzyny i powiedziała: „Moja miła, nauczę cię, jak należy z mężem w łóżku postępować, żeby Francja dziedzica wreszcie miała. Po co ty, moja miła, z radości skaczesz jak kózka, kiedy twój mąż z rzadka odwiedza twoją sypialnię? Zachowujesz się, jak gdybyś oczekiwała od niego Bóg wie jakiej nieziemskiej rozkoszy seksualnej. Zapominasz, moja miła, że to, co wypada kurtyzanie, nie przystoi żonie. Twój entuzjazm łóżkowy krępuje twego męża, paraliżuje mu członki, on nie jest w stanie odbyć z tobą owocnego stosunku. Zmień definitywnie taktykę. Leż w łóżku pokornie i raczej obojętnie, bez specjalnych oczekiwań rozkoszy przyjmij kopulację. Pamiętaj, że od rozkoszy jestem ja, ty zaś od prokreacji”. Katarzyna Medycejska wzięła sobie do serca uwagi Diany. Odtąd w łóżu leżała z mężem raczej indyferentnie, no i... Sypnęły się dzieci. Dziesięcioro urodzi Katarzyna swemu mężowi, a wśród nich aż trzech francuskich królów: Franciszka II, Karola IX, Henryka III. Nauka Diany nie poszła w las. A poza wszystkim, Drogi Czytelniku, muszę ci powiedzieć, że seksualne życie Katarzyny Medycejskiej mocno interesowało historyków i biografów. Z wielką pasją pisała o erotycznych scenach tej królowej, na przykład, francuska powieściopisarka Victoria Holt. Bez skrupułów i zbędnej pruderii, nie szczędząc fantazji, przedstawiła swym czytelnikom noc poślubną Henryka II i Katarzyny Medycejskiej: „Chłopiec i dziewczyna leżeli w rozkosznej pościeli. Oboje byli bliscy omdlenia ze strachu.

Dworacy rozebrali ich i uroczyście zaprowadzili do małżeńskiego łoża. Ona ma oczy mokre od łez, on cały jest spocony ze strachu. Ona zauważyła, że on cały drży". Początek zupełnie realistyczny jak na podlotków, których wrzucono do małżeńskiego łoża i kazano zajmować się dorosłym seksem. A dalej: „Henryk leżał na plecach, wlepiwszy wzrok w sufit. Katarzyna dotknęła ustami jego ucha, potem wsunęła tam swój języczek. On cicho westchnął. Ona zaczęła językiem lizać mu szyję, dotarła do twardego, płaskiego brzucha, liznęła. Odsunawszy kołdrę, powoli poprowadziła ręką po wewnętrznej części jego biodra od kolan, delikatnie połaskotała jego genitalia. Ujęła dłonią jego gorący, pulsujący członek. On zadrżał jak zraniony ptak. Delikatnie naciągnęła główkę penisa, potem gwałtownie puściła, tak że uderzył o brzuch Henryka". „Zabolało, biedaczku?" – to my, Drogi Czytelniku, zwracamy się do Henryka II. A państwa pytamy: No i co, pobudziła was trochę ta erotyczna scena w ujęciu Victorii Holt? Zdumiewające, jaką doświadczoną kochanką okazała się ta czternastoletnia Katarzyna Medycejska, wychowana w srogim rygorze klasztoru. I skąd to się wzięła erotyczna wiedza podlotka w ascetycznym, pruderyjnym szesnastym wieku, po trzech latach klasztorowego wychowania? Może ta rozpusta tkwiła w genach Katarzyny Medycejskiej? Ciekawe, dlaczego po takich wyrafinowanych pieszczotach genitaliów Henryk II nie chciał uczęszczać do sypialni żony i przez długie dziesięć lat Katarzyna nie zachodziła w ciążę? Aha, już wiemy dlaczego. Nam, Drogi Czytelniku, Victoria Holt elokwentnie to wyjaśniła: „Diana bardziej wyrafinowane miłosne sztuczki stosowała". „Nareszcie Diana poczuła, że najmniejszy jej ruch wywołuje pożądaną reakcję u Henryka II i oto już on tryska gorącym strumieniem. Stanąwszy na czworakach, Diana nachyliła się nad biodrami Henryka i schwyciła ręką jego drżące jestestwo. Gorąca sperma buchnęła jej w twarz. Diana z namaszczaniem roztarta ją po swej twarzy". Cudownie! Nareszcie wiemy, dlaczego staruszka Diana Poitiers,

mając swoje sześćdziesiąt pięć lat, wyglądała na trzydziestoletnią niewiastę. Cały szkopuł, jak się okazuje, zawarty jest w spermie Henryka II, którą, jak śmietaną, mazała Diana swą twarz.

I czego się głowią biografowie i dworacy królewskich domów, nie potrafiąc odpowiedzieć na pytanie: w czym tkwiła przyczyna młodości Diany? Okazuje się, że „szkatuła” otwierała się prosto: istota rzeczy tkwi w odmładzającej właściwości spermy Henryka II. Bez fałszywej skromności wyjaśniła nam to Victoria Holt. No i po co, dworacy, wasze zagłębienie przez dziurkę od klucza do kąpiącej się Diany, wasze przyglądanie się, czy nie dolewa do wanny mistycznych napoi, zastanawianie się, czy nie zawarła paktu z diabłem, skoro tak młodo wygląda, że Henryk II wolał ją od jej wnuczek.

Lecz nas inne pytanie nurtuje: dlaczego po takich wyrafinowanych seksualnych sztuczkach w wydaniu Diany Henryk II, sprawiając wrażenie seksualnie nieusatysfakcjonowanego, udał się do prostytutek? Victoria Holt, nie szczędząc swej fantazji, tak tę scenę opisała: „Ona [ prostytutka – E.W.] posmarowała jego członka jakimś olejkiem i odwróciła się do niego tyłkiem. Henryk II nie od razu zrozumiał, czego od niego chce. On po raz pierwszy uprawiał analny seks”. Fuj, ty! Zupełnie zakołowały króla kobitki: żona, Diana i prostytutki, swym wyrafinowanym seksem, i to tak bardzo, że na śmierć zapomniał, jak normalnie się dzieci robi. „Gdybym wiedziała, że od tego rodzą się dzieci” – szlochała bohaterka Maupassanta, folwarczna dziewczka, gdy gospodarz zafundował jej brzuch.

Po tych wszystkich scenach łóżkowych w wydaniu Victorii Holt mnie, Drogi Czytelniku, niektórzy czytelnicy ganią w Internecie, oburzeni nadmiarem erotyki w moich utworach! Nie, zdecydowanie pod tym względem palmę pierwszeństwa oddaję Victorii Holt, tyle że jej monografie mało mają wspólnego z historyczną prawdą. Morały Diany, sztorcującej Katarzynę za zbyt wielkie jej zaangażowanie we własną przyjemność seksualną,

miały podstawy, jeśli wziąć pod uwagę mentalność owych czasów. Życie seksualne mężatki ograniczało się do jednego partnera – własnego męża, co więcej, nie wolno jej było czerpać seksualnej satysfakcji w małżeńskim łożu. To było wysoce naganne. Żona, w przeciwieństwie do męża, nie mogła korzystać z płatnych usług erotycznych, ani utrzymywać homoseksualnych stosunków. Seksualne życie kobiet podlegało stałej kontroli. To spowodowało podział życia seksualnego mężczyzn na małżeńskie i pozamałżeńskie. Proces płodzenia potomstwa oddzielony został od popędu płciowego. Zupełnie odmienna była jakość seksualna tych układów. Łoże małżeńskie winno być aseksualne w odróżnieniu od łoża kochanki czy metresy, w którym gloryfikowano wyrafinowaną seksualność. Umiarkowanie seksualne w małżeńskim łożu stało się kryterium cnotliwości kobiety, naczelnym ideałem, do którego dążono. Od małżonek oczekiwano wstrzeźliwości płciowej, która stanowiła jedną z podstawowych cech kobiecych. Właśnie taki stosunek do seksu ukształtował wizerunek dobrej żony. Żona winna była stłumić w sobie seksualność. Nie było dobrze widziane na dworze, jeśli żonę widziano w wydekoltowanych sukniach, czy jeśli stosowała upiększającą kosmetykę. Wszystkie żony królów trzymały się tych schematów. Bezbarwnymi kurkami domowymi były dwie żony Franciszka I, Katarzyna Medycejska, żona Henryka II, żona Ludwika XIV, Hiszpanka Maria Teresa i żona Ludwika XV, Polka Maria Leszczyńska. Jak anegdota brzmią słowa Henryka II, wypowiedziane wówczas, gdy jego kochanka, Diana Poitiers, pozwoliła mu na współżycie z żoną: „Katarzynko, obiecuję tobie, jak tylko urodzisz wystarczającą liczbę dzieci, ja na zawsze wyjdę z małżeńskiego łoża”. Co za wspiane pocieszenie dla młodej żony, no nie?

\* \* \*

Młody Ludwik XIV bardzo wczesnie rozpoczął życie seksualne. Dobrą erotyczną szkołę przeszedł na dworze swej mamy, Anny Austriaczki, która pewnego razu odkryła, że jej syn przez wydrążoną w ścianie szparę podgląda, jak w sąsiednim pokoju rozbierają się damy dworu. Jedna z nich, podstarzała, czterdziestoletnia rozpustnica, pozbawiła dwunastoletniego (według innej wersji czternastoletniego) Ludwika XIV dziewictwa, za co została szczerze wynagrodzona przez Annę Austriaczkę. Królowa myślała tak: niechaj mój syn straci dziewictwo z porządną i czystą, choć już w podeszłym wieku, damą, niż z jakąś podejrzaną aktoreczką Teatru Narodowego; tamto towarzystwo nagminnie było zarażone syfilisem. Ludwik XIV tak zasmakował w tej rozkoszy ofiarowanej przez podstarzałą damę, że odtąd nie dawał pałacowym damom swej matki spokoju. Łapał je na korytarzu i ciągnął do jakiegoś kąta, i tam na krześle uprawiał miłość. Zaprzestał tego, kiedy jego guwerner go przestrzegł: „Nie wypada, Wasza Wysokość. W krzesłach są szczeliny, a nuż jakaś przyszczypie Wasze dostojne przyrodzenie”. Ludwik się uspokoił. Groźba przymusowej kastracji nie zapowiadała świetlanej przyszłości Królowi Słońce z jego hasłem: „Państwo to ja”. Nie ustrzegł się jednak choroby wenerycznej. Długo, żmudnie i cierpliwie leczono króla kwasem mrówkowym. Rtęciowe preparaty pojawiły się znacznie później, za Karola X, a penicylina... O niej można było wtedy tylko pomarzyć. Została wynaleziona dopiero w XX wieku.

Lauzun, dworak Ludwika XIV, był na tyle zuchwały, że nie przewiercił dziurki do sypialni markizy Montespan, swej i królewskiej kochanki. Po prostu wlaź pod łóżko, na którym metresa zaliczała „szybki numer” z królem, spełniony między mazurem a kadrylem. Leżał tam cicho jak trusia. Wystarczyło przecież najmniejsze kasznięcie albo kichnięcie, aby jego głowa stoczyła się z katowskiego pnia. Później, tańcząc ze swoją i królewską kochanką, powtórzył wszystkie jej słowa, jakie o nim

wypowiedziała do króla, i to dość niepochlebne. Markiza się dziwiła: w jaki sposób to podsłuchał, skoro jej sypialnia była szczelnie zamknięta na klucz?

Podajemy, Drogi Czytelniku (klarownych wiadomości na ten temat brak), że pierwsza noc poślubna Króla Słońce, Ludwika XIV, była bardzo nudna. Jego wybranka, Hiszpanka Maria Teresa, była osobką mało apetyczną zewnątrz i wewnątrz. Choć była w młodym wieku, zęby miała doszczętnie zepsute, ponieważ jadała niezliczone ilości czekolady, którą częstowała nieślubne dzieci króla. Języków nie znała, filozofię jeszcze mniej, bo intelektualistką nie była. Żyła sobie cicha jak myszka w Wersalu, nie dla niej przecież, tylko dla królewskiej metresy zbudowanego, i odeszła z życia niezauważalnie, prowokując męża do prozaicznego i żalosego stwierdzenia: „Za życia moja małżonka ani razu w niczym mi nie przeszkodziła”.

Prawnuk Ludwika XIV, Ludwik XV, zanim stał się światowej sławy erotomanem, był bardzo cnotliwy, a we wczesnej młodości nawet naiwny i absolutnie nieobeznany w seksie. Pewnego razu w wersalskim parku zobaczył, jak dwaj młodzieńcy baraszkowali w krzakach. Zapytał swego guwernera: „Co oni tam robią, że tak szczelnie przywarli do siebie tyłkami?” Guwerner, silnie czerwieniąc się, odpowiedział: „Biorą twierdzę”. Ludwik XV zrozumiał, że jest to jakaś gra, a wersalscy dworacy zaczęli od tej pory homoseksualną miłość nazywać „braniem twierdzy”.

Wielce udana była noc poślubna króla z Marią Leszczyńską, córką Stanisława Leszczyńskiego, podupadłego ekskróla polskiego i króla Lotaryngii. Ludwik XV, nasłuchawszy się o szpetocie i ograniczoności umysłowej swej narzeczonej, oczekiwał najgorszego. Lecz rzeczywistość przewyższyła jego oczekiwania. Narzeczone, która była starsza od króla prawie o dziewięć lat (według innej wersji o pięć), była jędrna, zdrowa, ze szkarłatnym rumieńcem na policzkach. Król Ludwik XV zakochał się w niej i przez całe dziesięć lat żony nie zdradzał. Kiedy napłodził jej

dziewięcioro dzieci, spróbował seksu z metresą. Natychmiast poczuł smak do wyrafinowanego seksu. Przestała go zadowalać postna i jednostajna pozycja w łóżku jego żony, która zdawała się mówić: „Bierz mnie, a ja będę leżała trupem z zamkniętymi oczami”. Wypowiedział jej łożę, wymawiając sakramentalne zdanie: „Więcej, Pani, już nie przychodzę do twojej sypialni”. Słowa swego prawie dotrzymał.

## Noce poślubne królów

Jako tako, Drogi Czytelniku, możemy zrozumieć podglądanie przez dziurkę od klucza przez wścibskość i ciekawość, ale jak zrozumieć publiczne podglądanie kopulacji nowo poślubionych małżonków, odbywające się w majestacie prawa, w asyście całej rzeszy dworaków?

Przez szczelinę w kotarach spogląda uważnie ośmiu honorowych obywateli paryskich, ośmiu szanowanych burżujów, jak francuski król, Karol VIII, będzie deflorował swoją małżonkę, Annę Bretońską. Kazano im uważnie patrzeć, a potem własnoręcznym podpisem w pałacowej księdze potwierdzić, że takiego a takiego dnia, o takiej a takiej godzinie, miał miejsce płciowy stosunek czternastoletniego Karola VIII z piętnastoletnią Anną Bretońską. Teraz, Europo, możesz bezradnie machać rękoma i wrzeszczeć o porwaniu narzeczonej austriackiego cesarza Maksymiliana przez Karola VIII, a raczej przez jego przedsiębiorczą siostrę, Annę Beaujeu. Lecz nie w Annie Bretońskiej tu rzecz, która była całkiem pospolitą niewiastą o przeciętnej urodzie i dużej tuszy, lecz w bogatej Bretanii. Maksymilian Bawarski już uzurpował sobie prawo do Anny Bretońskiej, pardon, do Bretanii i nawet małżeństwo *per procura* pośpiesznie zostało zawarte. Kto nie wie, co oznacza ten dziwny zwyczaj, tego informujemy, iż leniwi królowie, którym nie chciało się jechać na spotkanie swej narzeczonej, posyłali do niej swych przedstawicieli. Taki wydelegowany kawaler kładł się z narzeczoną króla w ich pierwszą noc poślubną. Naturalnie, że dotknąć ciała niewiasty mu nie pozwolą. Porządnie go wymyją, skarpety czyste włożą, nogawkę (jedną) spodni podwiną, obok w nocnej koszuli narzeczoną króla położą. Wolno mu będzie końcem palców nóg w czystej skarpecie dotknąć nóżki narzeczonej króla. W obecności świadków, naturalnie, którzy zapiszą ten historyczny akt do protokołu. Koniec, kropka. Małżeństwo króla *per procura*



zostało zawarte. Z takich usług przedstawiciele królów w małżeńskim łożu skorzystało, Drogi Czytelniku, wielu monarchów, w ich liczbie i Ludwik XV, i Napoleon Bonaparte, z drugą żoną, Austriaczką, Marią Luizą, i dziesiątki innych.

Wracając do Maksymiliana. On, ubiegając apetyty Francji na żyzne i dorodne ziemie Bretanii, pośpiesznie dokonał aktu *per procura* z Anną Bretońską. Zaklepał, jak to się mówi, swoje małżeństwo, przypieczętował je, czeka sposobności, aby zabrać narzeczoną z Bretanii. Nagle mu donoszą, że na Annę Bretońską, pardon, na Bretanię, ma apetyt Francja. Tam na razie rządzi mądra kobieta, Anna Beaujeu, siostra podlotka Karola VIII, o której jej ojciec, Ludwik XI, mówił: „Byłby z niej wspaniały król, gdyby urodziła się chłopcem”. Umysł miała nie od parady, a także rozwinięty patriotyzm, wyrażający się w pragnieniu powiększenia terytorium Francji. Bretania jest Francji na gwałt potrzebna! Annie Bretońskiej oświadczone: „Ty, moja miła, zostaniesz żoną mojego brata, Karola VIII”. Anna Bretońska zalała się łzami, przecież ona w pewnym sensie już jest zameżna, przecież *per procura* małżeństwo zostało dokonane z przedstawicielem Maksymiliana. On jest jej mężem. „Jakie *per procura*, o czym gadasz, głupia?” – oburzyła się Anna Beaujeu. „Czy Maksymilian ciebie zdeflorował? Nie, bo ja tego w aktach królewskich nie widzę. Nie masz więc żadnego małżeństwa z Maksymilianem. Kładź się, moja miła, do łóżka, urządzimy poważną konsumpcję małżeństwa. A świadkami twojej nocy poślubnej będzie czterech poczciwych burżujów. Zza kotary będą oglądać twoją deflorację, żeby w razie różnych nieporozumień, wojny i innych kataklizmów zagrażających Francji ze strony Maksymiliana można było mu nosa utrzyć, małżeństwo przecież było skonsumowane. Jasne?” Anna Bretońska, choć bardzo jej się nie spodobał Karol VIII, brzydki, o długim nosie i żółtej jak po żółtaczce cerze, otarła łzy i położyła się posłusznie w małżeńskim łożku. Leżą oboje bardzo skrepowani tą sytuacją; zrobieniem widowiska z małżeńskiej kopulacji. W kącie sypialni,

zza kotary, osiem par oczu opasłych burżujów uważnie spogląda. Każdy ołówek w ręku trzyma, żeby zapisać dokładnie, o której godzinie, minucie i sekundzie małżeństwo królewskiej pary zostało skonsumowane. Od masturbacji z trudem się wstrzymują, tak ich ten widok rozpałił. Lecz w łóżu królewskim cicho! „Powstań chuju w takiej ekstremalnie stresowej sytuacji masowej oglądalności” – wykrzyknęlibyśmy słowami studenta leninowskiej biblioteki, gdybyśmy byli, Drogi Czytelniku, wulgarni. Lecz obecnie klimat dla wulgaryzmów jest niesprzyjający, i u Kuby Wojewódzkiego już „dupy” ostrożnie i oględnie lecą, bez dawnego beztróskiego zawadiactwa. Zaczyna nas razić prostackość wysławiania się. Proponujemy zatem zamienić wulgarne zaproszenie przez chłopca dziewczyny na pieprzenie się eufemizmem bardziej dworskim, hinduskim: Niech mój lingam wejdzie do twojej joni.

Lingam Karola VIII w warunkach masowej oglądalności długo nie chciał wchodzić do joni Anny Bretońskiej, narażając na szwank posiadanie przez Francję ziem Bretanii. Wreszcie zniecierpliwiona Anna Beaujeu wkroczyła do akcji i nakrzyczała na ociągających się z kopulacją małżonków: „Oszaleliście, czy co? Szybko do roboty. Francja nie ma zamiaru Bretanii się pozbawiać!”. Na niektóre słabe i wstydlive istoty okrzyk działa jak dobry katalizator. „Robota” poszła żwawiej i Karol VIII, zapominając o podglądaczach, nawet zasmakował w parzeniu się. Bo przecież pryszczaci i pokryci młodzieńczym trądzikiem faceci, gdy zrzucą powłokę wstydlivości, gotowi są zapłodnić cały świat. W każdym razie ta noc poślubna w obecności świadków, która by najpewniej odstraszyła innego młodzieńca, na Karola VIII wpłynęła pozytywnie. On to zajęcie bardzo polubił i wszedł do historii jako król erotoman, który, ruszając na wojnę, zawsze zabierał ze sobą orszak prostytutek i flecistek. Na postojach król ciągnął prostytutki w paprocie, a flecistki mu przygrywały ponad krzakami tkliwe melodie, umilając seks, na który tak skąpa była jego żona, Anna Bretońska.

Wracając do naszego wątku, należy stwierdzić, iż małżeństwo Karola VIII zostało skonsumowane w obecności świadków, zapisane do protokołu pałacowego. Niech teraz bezsilny Maksymilian macha sobie do woli rękoma. Istotnie, od takiej nieprzyjemnej wiadomości Maksymilianowi szczęka z wrażenia opadła. Wściekły, że zabrano mu narzeczoną, lekceważąc małżeństwo zawarte *per procura*, Maksymilian poczyną szykować wojnę z Francją. Aż tu nagle mu donoszą, że Francja mu z powrotem zwraca „nienaruszoną” jego córkę Małgorzatę. Jak tobie się to podoba, Drogi Czytelniku? Pięć lat trzymano na francuskim dworze córkę Maksymiliana jako narzeczoną Karola VIII, a teraz jak niepotrzebny mebel mu ją zwracają „nienaruszoną”, widzicie ich. W starożytności za taką „nienaruszoną” córkę Klaudię, którą zwrócił matce Fulwii, żonie Marka Antoniusza, po dwóch latach małżeństwa Oktawian August, Fulwia wojnę cesarzowi wydała, wszystkie karty swemu mężowi, Markowi Antoniuszowi, mieszając, on bowiem nie zamierzał kłócić się z cesarzem. Szczególnie rozżłościła Fulwię zapiska na glinianej tabliczce: „Zwracam tobie córkę nienaruszoną”. Dwa lata Klaudia była prawowitą małżonką Oktawiana Augusta i oto, kanalia-impotent zwraca ją matce, wzgardziwszy cnotą i dziewictwem jej córki. Naturalnie, że Fulwia, wściekła od obrazy i poniżenia córki, wszczęła rebelię przeciwko cesarzowi. Niestety, przegrała. Straciła wszystko, łącznie z mężem, Markiem Antoniuszem. Niewiasty drogie, nieraz trzeba obrazę głęboko schować i nie obnosić się z nią, pałając zemstą.

\* \* \*

Nie należy oczekiwać przyjemnej i udanej nocy poślubnej od męża impotentą. Defloracja małżonki nie odbędzie się nawet wtedy, gdyby żona patrzyła na takiego męża ze złośliwym jadowitym uśmiechem.

\* \* \*

Maria Franciszka, księżniczka de Savoie-Nemours (1646–1683), żona króla Portugalii Alfonsa VI, domagała się w 1666 roku rozwodu z powodu impotencji męża. Po uzyskaniu kościelnego rozwodu ponownie wyszła za mąż za swego szwagra, króla Piotra II, któremu przypadło szczęście zdeflorowania żony, która przy pierwszym mężu była przez kilka lat dziewicą.

Impotentem był francuski król Ludwik XVIII. Jego żona uprawiała lesbijstwo, dzięki czemu małżeństwo było oceniane jako zgodne.

Zrezygowany i utwierdzony w swej całkowitej impotencji Ludwik XVIII zabawiał się niewinnymi, perwersyjnymi igraszkami: między pośladki prostytutek wsypywał tabakę i wtykając głęboko między nie swój gruby i pryszczaty nos, wciągał ten nęcący aromat, głośno kichając.

Na zdrowie, królu! Każdemu swoje: jednemu jędrne pieprzenie, drugiemu głośne kichanie.

\* \* \*

Herodot uważał, że przyczyną masowej impotencji Scytów było ich konne życie. Prawie nie schodzili z siodła, nawet potrzeby fizjologiczne w nim załatwiając. Od nieustannego tarcia o siodło ich jądra uległy atrofii. Scytowie, mimo swej wojowniczości, mieli bardzo małe genitalia.

\* \* \*

Gdy genitalia mężczyzn są zbyt małe, łatwo wtedy ulegają najrozmaitszym perwersjom. Taką tezę stara się udowodnić markiz de Sade: „On wypuszczał krew ze swej małżonki,

nacinając jej ciało lancetem. Wypnij się pani – rzekł twardo hrabia do żony. I długo adorował to, co pragnął ujrzeć, żądając, aby przyjmowała najrozmaitsze pozycje. Rozwierał i ścieśniał, końcem palca albo językiem popieścił okolicę zagłębienia. Wkrótce rozpalony okrucieństwem chwycił kawałek ciała, ścisnął go i naciął. Po utworzeniu się ranki natychmiast przywarł do niej ustami. Klęcząc pomiędzy jego udami, dwóch młodzieńców pobudzało go ustami. Właśnie wtedy spostrzegłem, że ten olbrzym, ten swego rodzaju potwór, którego sam wygląd przerażał, z ledwością był mężczyzną. Przy tak masywnym i potężnym cielsku ów osobnik dysponował najmizerniejszym, najbardziej niepokąźnym kutasikiem. Jeśli użyć odpowiedniego porównania, to coś takiego można zobaczyć u trzyletniego chłopca” (markiz de Sade, „Justyna, czyli nieszczęścia cnoty”).

Freud: „Można zachorować na nerwicę z powodu braku normalnego zaspokojenia seksualnego”.

\* \* \*

Krafft-Ebing: „Przy mężu impotencie rozdrażniona żona, pozbawiona normalnych stosunków płciowych, może łatwo wpaść w masturbację”.

\* \* \*

Na starożytnym Wschodzie impotencję uważano za chorobę psychiczną. Leczą ją magicznymi obrzędami.

\* \* \*

Impotentem był Franciszek III Gonzaga, książę Mantui, pierwszy mąż Katarzyny Habsburżanki. Małżeństwo trwało trzy miesiące, zanim w 1550 roku mąż utonął w jeziorze podczas

polowania na kaczki. Polski król Zygmunt August, którego trzecią żoną była właśnie Katarzyna Habsburżanka, przekonał się w noc poślubną, że austriaccy posłowie nie skłamali: była dziewicą.

\* \* \*

Zardzewiałą machinę z portek wyciąga, lecz to, co wydobyte, wcale nie cieszy ani jego, ani jego małżonki.

Entuzjazmu żony ten żaloszny widok nie wzbudza. Wręcz odwrotnie, w jej oczach zapala się drwina i iskrzy się gotowość do awantury. Znajduje się w takim stanie psychicznym, że niebawem da mu w pysk, a potem użyje całego asortymentu środków rozhisteryzowanej kobiety: płaczu, bicia po twarzy, tłuczenia wazonów, będzie szlochać nieszczęśliwym basem, latać motylkiem z pokoju do pokoju, a on nie będzie w stanie porządnym pieprzeniem jej uspokoić. Ciężka dola impotent!

Tak mniej więcej przebiegało życie Maksymiliana I Habsburga i Karoliny, władców Meksyku.

Do dnia dzisiejszego nikt z biografów i historyków zajmujących się życiem papieża Aleksandra VI i jego córki Lukrecji, nigdy nam nie wyjaśnił, czy istotnie pierwszy mąż Lukrecji był impotentem i zmarnował nie tylko noc poślubną, lecz i całe ich trzyletnie pożycie. Przyczyną domagania się przez Lukrecję rozwodu ze swym pierwszym mężem była jego niezdolność fizyczna do współżycia. W dokumencie własnoręcznie napisanym przez Lukrecję o unieważnieniu jej małżeństwa czytamy, jak to ona przed Panem Bogiem o tym przysięga. Lecz czy można dawać wiarę słowom Lukrecji, która absolutnie nie była samodzielna w niczym, ani w swym zamążpójściu, ani w innych sprawach. Była przecież całkowicie uzależniona, a nawet zniewolona przez despotycznego ojca. W sądzie, z pianą na ustach, mąż udowadniał, że to nieprawda, że on jest zupełnie fizycznie zdrowym mężczyzną, a nawet niezły był z niego ogierek,

skoro zapłodnił swoją pierwszą żonę, lecz ona, biedaczka, zmarła podczas porodu. Na ten argument papież miał swój kontrargument: żonę mógł zapłodnić paż. Sprawa nabrała szerokiego rozgłosu, cały Rzym był zajęty rozstrzygnięciem ważnego dylematu: została Lukrecja zdeflorowana w noc poślubną, czy nie? Czy w ogóle jest zdeflorowana, skoro oświadczyła pod przysięgą i na piśmie, że z mężem nie spała? W związku z tym przypomina się nam, Drogi Czytelniku, inna biedaczka, królowa angielska, Katarzyna Aragońska, żona Henryka VIII, który żeby móc ożenić się z ukochaną Anną Boleyn (główkę jej później odciachał), przed sądem udowadniał, że nie chce żyć w kazirodczym związku, ponieważ Katarzyna Aragońska była żoną jego brata Artura. (Dopiero teraz się połapał?). Katarzyna Aragońska ze łzami w oczach i Bogiem na ustach udowadniała, że pozostając dwa lata w małżeńskim związku z Arturem, zachowała dziewictwo: „Osiem razy w ciągu dwóch lat mój Arturek przychodził posiąść mnie i za każdym razem nie mógł, ja pozostawałam dziewicą” – twierdziła przed sądem. „No, wynieśli brudną bieliznę, aby ją obejrzała cała Europa” – ubolewała jej matka, hiszpańska królowa Izabela.

O tym, jak Sforza Giovanni, pan na Pesaro, pierwszy mąż Lukrecji, rozpaczliwie bronił się, gdy papież zaproponował sprawdzenie jego męskości publicznie, żeby przespał się z prostytutką, dowiesz się, Drogi Czytelniku, w specjalnym rozdziale niniejszej książki, tu wspomnijmy tylko, że nic nie wskórał w walce z papieżem Aleksandrem VI, zgodził się i na rozwód, i na miano impotenty.

Przejdźmy do nocy poślubnej Ludwika XIII, syna Henryka i Marii Medycejskiej. Ten niezdecydowany król prawie do końca życia nie mógł określić swej seksualnej orientacji, zdecydować, kogo woli, kobiety czy mężczyzn. W końcu przeobraził się w istotę pośredniej płci: nie mógł sypiać z kobietą i z trudem to czynił z mężczyzną. Jego mama, kiedy zauważyła homoseksualne ciągoty

syna, nie przeszkadzała w rozwinięciu naturalnego seksualnego pociągu syna do mężczyzn, oczywiście pod warunkiem, że miał on do czynienia ze sługami, lecz, broń Boże, aby to czynił z arystokratami. I gdy tylko mama dowiadywała się, że syn na kolejnego młodego dworaka z psim oddaniem spogląda i oczami go pieści, momentalnie wkraczała i takiego dworaka z pałacu wyrzucano. Według naszych źródeł, Drogi Czytelniku, przez cztery lata Ludwik XIII nie mógł zdeflorować swej małżonki, a w noc poślubną udawał, że wszystko jest okay! Pieszczoty męża, niestety, gwarancji zajścia w ciążę nie dawały. I biedna królowa, bojąc się kompromitacji, przez cztery lata udawała, że u nich w łóżku z mężem wszystko w porządku i niby to nie Ludwik XIII całymi nocami, zamiast zapładniać żonę, leniwie żuje biszkopty, siedząc przy małym stolczku. Nie wiadomo dokładnie, kto jest prawdziwym ojcem Ludwika XIV i jego brata homoseksualisty, Filipa Orleańskiego. Czy Mazarini, czy Richelieu, czy jednak Ludwik XIII, który wreszcie przewyciężywszy wrodzoną nieśmiałość, przystąpił do dzieciorodnego aktu.

A co to za dziwna istotka, karlica, zaplątała się w spódnicach Marii Medycejskiej, drugiej żony Henryka IV, i nie chce stamtąd wyleźć, swe lesbijskie prawa eksponując, utrudniając królowi skonsumowanie swej pierwszej nocy poślubnej? Aha, to Leonora Galigai, mleczna siostra Marii, jej koleżanka, która później za uprawianie czarów zostanie na stosie spalona. Tak upiornie, Drogi Czytelniku, Henryk Mann, brat Tomasza Manna, przedstawia nam w swej powieści „Młode lata Henryka IV” jego noc poślubną. Inne źródła biograficzne tak drastycznie tej nocy nie przedstawiają, lecz również nic w niej radosnego i wesołego nie spostrzegli. Victoria Holt, zajrzawszy do alkowy Henryka IV w jego noc poślubną, była przerażona ponurą atmosferą, jaka w niej panowała. Niby nie na seks z żoną idzie Henryk IV, lecz na katorgę: „Henryk IV, obłany aromatycznymi esencjami, w jedwabnym szlafroku i miękkich pantoflach, szedł do małżeńskiej



sypialni. Na przedzie lokaje niosą srebrne kandelabry, oświetlając drogę, z boku armia kawalerów towarzyszy królowi. Myny u wszystkich poważne i ponure, wygląda na to, że nie na radosny seks król idzie, na deflorowanie małżonki, tylko na ciężką i niebezpieczną robotę. Kroczy naprzód król i myśli: «Wiele od tej nocy poślubnej nie ma co oczekiwać. Lecz trzeba począć następcę tronu, delfina z rodu Medyceuszy»”. Ciężko wzdycha i wchodzi do małżeńskiej sypialni. Przypomina szpital z obłożnie chorym pacjentem. Królowa zemdlna i sina, niczym trup w łóżku leży, służki ją gorącymi ręcznikami cucą. Krocząc tak bohatersko, aby wypełnić powinność dziecioróbstwa, Henryk IV mógł wszakże oczekiwać niejakiego zrozumienia od świeżo poślubionej żony, korpulentnej i brudnawej Włoszki, spodziewać się choć odrobiny gotowości seksualnej, a ona? Niczym krowa leży na małżeńskim łożu w głębokim omdleniu. Pod wpływem gorących ręczników od stanu omdlenia przechodzi w stan drżenia. Drży jak osika na wietrze, usta ma sine, zęby o siebie głośno trzaskają, ręce zimne w konwulsyjnych drgawkach, całe ciało dygocze jak podczas silnej burzy na statku... W tym trzęsawisku Henryk IV nie ma żadnej możliwości trafienia orężem w cel. Potem zamarła w nekrofilskiej pozycji, masz ci los, bierz, królu, nieboszczkę ! Z odrazą brał Henryk IV swoją mało apetyczną Marię Medycejską, woląc ładne, uległe kochanki, wyuczone seksualnej rozpusty. Prokreacja królewska przypominała ciężką robotę.

Zupełnie tak jak w rosyjskiej anegdotce. Stary generał zwraca się do młodego ordynansa: „Iwan, seks to przyjemność czy robota?” „To zależy z kim, towarzyszu generale, jeśli z waszą żoną, to robota, jeśli z waszą córką, to przyjemność”.

Współżycie Henryka IV z Marią Medycejską było tak nieudane, iż mimo licznego potomstwa dochodziło między nimi do rękoczynów, o czym dowiesz się, Drogi Czytelniku, w osobnym rozdziale tej książki.

\* \* \*

Osiemnastoletnia Katarzyna Habsburżanka, trzecia żona polskiego króla Zygmunta Augusta, podczas nocy poślubnej ze swym drugim mężem dostała ataku epilepsji na tle nerwowym: bała się defloracji. Jej pierwszy mąż, zanim utonął w jeziorze podczas polowania na kaczki, przez cztery miesiące z powodu swej impotencji nie mógł zdeflorować żony. Zygmunt August był przerażony. Jego pierwsza i trzecia żony były rodzonymi siostrami. Cóż to, i obie epileptyczki? Jak tu dzieci płodzić, gdy zamiast okrzyków rozkoszy obie podczas stosunku ulegały konwulsyjnym epileptycznym drgawkom.

\* \* \*

Pierre de Brantôme: Wielu mężów podczas pierwszej nocy poślubnej dowiadyuje się, czy ich żony są dziewicami, czy nie. Bo wiele kobiet w różny sposób udawało dziewictwo. Najgorsza i najokrutniejsza metoda to zaszywanie na żywo niciami pochwy kobiety.

„A co ja, cerowana suknia czy co, i że niby bólu nie odczuwam, jeśli ty mnie już po raz trzeci zaszywasz, żeby korzystnie sprzedać?” (Stendhal, „Fałszywa ciotka”).

\* \* \*

Do kitu była noc poślubna Kamila Borghese z Pauliną, siostrą Napoleona Bonapartego. Ta niepoprawna nimfomanka tak nacierała na swego drugiego męża w ich pierwszą noc poślubną, że przerażony Kamil, którego zdolności seksualne były poniżej przeciętnej, z płaczem wyskoczył z małżeńskiego łóżka i w kalesonach uciekł do parku. Całą noc tam przesiedział na ławce, dygocąc z zimna i rozpacz. Naturalnie, że ich małżeństwo nie

było udane. Dominowała w nim kobieta, a nie mężczyzna. A przecie, jak powiedział Demokryt: „Pozwolić owładnąć się kobiecie to dla mężczyzny największa hańba”. Nie tylko hańba, dodajmy. Strach tak paraliżuje członka, że z biegiem czasu taki zaciukany mąż staje się impotentem. Brantôme o tym zjawisku tak napisał, nie owijając rzeczy w bawełnę: „Niepodobna, żeby kura mówiła, a kogut milczał, żeby kokosza głośniej od koguta piała. Kobieta u mężczyzny powinna budzić ufność, a nie strach”.

\* \* \*

Gaston Orleański, brat Ludwika XIII, syn Marii Medycejskiej i Henryka IV, leży w małżeńskim łóżu w swoją noc poślubną i mroczne myśli rozsadzają mu mózg. Jest żonaty z brzydką Montpensier, która ma garbate plecy, długi jak na kobietę nos, malutkie i złe oczka. Oboje milczą, świadomi swej niezgodności małżeńskiej. Gaston, oddając się ponurym rozmyśleniom, zupełnie zapomniał, kto leży obok niego. Nagle zaszlochał, jak małe dziecko. Jego okrutny brat Ludwik XIII, matka, a przede wszystkim kardynał Richelieu specjalnie ożenili go z tą pokraką, za karę za jego spiski przeciwko bratu. Innym spiskowcom odcięto głowy, a jego, ich przywódcę, skarcono przez ożenek ze szpetną kobietą, do której Gaston czuje wstręt. Ożenili go nie tylko za karę, także z powodu jej bogactwa. Lecz Gaston zdaje sobie sprawę, czego od niego oczekują dworacy. Otarł łzy, odwrócił się do młodej żony i ciężko wzdychając, rzekł: „No cóż, zacznijmy płodzić dzieci, innego wyjścia nie ma”. Wypocił córkę.

Kompletnie nieudana była noc poślubna Cezara, księcia Valentino, syna papieża Aleksandra VI. Długo szukał sobie narzeczonej. Żadna porządna europejska niewiasta nie chciała wychodzić za niego za mąż, nasłuchawszy się o jego wyczynach erotycznych, zabójstwach, ekscesach, okrucieństwie. Wreszcie jedna księżniczka zgodziła się na to, nie bez usilnej namowy

Ludwika XII, króla francuskiego. Lecz francuski dwór, gdzie Cezar brał ślub, nie był mu przyjazny. Podły łotr aptekarz zamiast mocnych afrodyzjaków na wzmocnienie potencji Cezara wtrynął mu tabletki na przeczyszczenie. Zamiast pieścić żonę i deflorować ją, Cezar ciągle biegał do toalety. Nie przeszkodziło to Ludwikowi XII wysłać pocieszającą wiadomość do Aleksandra VI: „Wasz syn w noc poślubną z żoną osiem razy udowodnił swoją męskość”.

Lord Byron, wielki poeta i deprawator, mający homoseksualne skłonności, w noc poślubną usiadł na łóżku i oznajmił: „O Boże, trafiłem do piekła!”.

Noc poślubna Napoleona Bonapartego i Józefiny została doszczętnie zepsuta przez pieska Józefiny. Rozpalony namiętnością generał (cesarzem stanie się później, wielkim również) w rozkosznych wschodnim szlafroku i w bamboszach o zagiętych noskach a la pantofelki perskiego szacha, szybkim krokiem ruszył, trzymając kandelabr z sześciu świecami, do sypialni Józefiny, żeby skonsumować swą noc poślubną, spodziewając się tam nie lada rozkoszy. I co? Kto zepsuł noc poślubną małemu wzrostem, przyszłemu wielkiemu człowiekowi? Parszywy piesek, maskotka Józefiny, tak mały, że tylko w mufce go nosić. Piesek był rozpieszczany niepomierne przez swoją panią, sypiał zwykle w jej nogach i teraz, gdy intruz mężczyzna, gorączkowo zrzucając z siebie szlafrok, lewą nogą miał zamiar zrzucić pieska na podłogę, Józefina ugodowo powiedziała do męża: „Och, Napoleonie, Zizi nie będzie nam przeszkadzać, niech sobie leży w moich nogach, jak jest przyzwyczajona”. Napoleon nachmurzył się z niezadowoleniem, lecz nie protestował: miałby wojować z pieskiem? Pies leży sobie, skowycząc cicho, bo był zazdrosny o swoją panią. Lecz gdy uzurpator, mężczyzna-brutał, zaczął znęcać się nad jego panią, tarmosić ją tak, że łóżko kołysało się jak statek podczas burzy, piesek nie wytrzymał. Wystąpił dzielnie w obronie swej pani. Chwycił ostrymi zębami za łydkę Napoleona, który zawył z bólu i silnym kopniakiem zrzucił

pieska na ziemię. Pozostałą część nocy Józefina, zamiast rozkoszować się radościami seksu swej nocy poślubnej, musiała przykładać kompresy do nogi Napoleona. Noc poślubna została w drzazgi zepsuta, co zresztą nie wykluczyło innych udanych nocy, kiedy Napoleon z korsykańską, szaleńczą namiętnością brał Józefinę niczym partańską kobyłę, co jej odpowiadało, bo lubiła w łóżku przemoc. Niektóre kobiety to bardzo lubią. Nasz seksuolog, Kazimierz Imieliński, tak na ten temat napisał: „Niektóre kobiety lubią być zdobywane w sposób szturmowy, prawie że brutalny” (K. Imieliński, „Miłość i seks”).

\* \* \*

Angielski król, Jakub II, miał ogromne problemy ze swoją nocą poślubną i późniejszym niezbyt udanym seksualnym pożyciem z drugą żoną, Marią Modeńską. W 1673 roku Jakub, czterdziestoletni wdowiec, ożenił się z Marią Modeńską, niedojrzałą dziewczyną. Dziewczyna wychowywała się w srogim klasztorze, gdzie preferowano cielesną czystość, a kochać można było wyłącznie Boga.

Maria Modeńska była posłuszną wychowanką. Swego grzesznego ciała, zgodnie z regułą, prawie nie myła, biczowała się i nosiła włosiennicę. Wyrosła z niej nader cnotliwa niewiasta, która nie chciała wyjść za mąż i uważała swe ciało za grzeszne. Maria śmiertelnie przestraszyła się nocy poślubnej i współżycia płciowego, kiedy jej oznajmiono, że wyjdzie za Jakuba II, angielskiego następcę tronu. Wybuchnęła płaczem. Mama przez cały tydzień uświadamiała ją w erotycznej wiedzy. Maria nie chciała wierzyć, że tak paskudną drogą, z organu służącego do wydalania moczu, powstają dzieci. Na serio była przekonana, że dzieci przynosi bocian. Kiedy szykowano ją do ślubu, dostała hysterii i poczęła przekonywać, że chce zachować czystość. Matka uciekła się do wykrętów. Obiecała córce, że porozmawia z

księdzem (córka była katoliczką), żeby Jakub II przez jakiś czas po ślubie nie ruszał dziewictwa swej żony. Tylko na takich warunkach Maria Modeńska zgodziła się wyjść za mąż. Jakub II, na szczęście, był dżentelmenem i dobrym człowiekiem. Żony, nie idąc za złym przykładem Ludwika XI, nie zgwałcił. Postępował prawidłowo: stopniowo przyzwyczajał żonę do małżeńskiego aktu, a gdy już nabrała do niego absolutnego zaufania, pieścił ją z niezwykłą tkliwością i delikatnością. Jak wiadomo, Maria Modeńska urodziła Jakubowi II dzieci, wśród nich był niedoszły król Jakub III, mąż naszej Klementyny Sobieskiej, wnuczki Jana Sobieskiego i Marysieńki, córki Jakuba Sobieskiego, ich syna. Dokładnie dziewięć miesięcy po nocy poślubnej Jakuba II i Marii Modeńskiej urodził się im syn, Jakub III. Mama Marii triumfowała, przywołując znane przysłowie: „Nie tak straszny jest diabeł, jakim go malują”.

\* \* \*

Pełna łez i smutku była noc poślubna syna Ludwika XIV, Wielkiego Delfina, który wcześniej owdowiawszy, ożenił się po raz drugi. W noc poślubną nie może zapomnieć o swej pierwszej żonie, którą bardzo kochał. Drugą jego żoną, sekretnie poślubioną, była Maria Emilia de Joly de Choin, nader szpetna istotka. Oto jak ją opisuje Aleksander Dumas: „Wystające do przodu czoło, obwisłe policzki, szeroki nos, bardzo zepsute zęby, a szyja zbyt długa z oznakami początkującej tarczycy”. Nie była to Afrodyta, prawda, lecz była mądra i dobra. Podczas nocy poślubnej, zobaczywszy, że jej małżonek odwrócił się do ściany i płacze gorzkimi łzami, oplakując utratę pierwszej żony, nie wpadła w złość i rozpacz. Przytomnie pogłaskała męża po plecach i przyjaźnie powiedziała: „Wcale nie dziwię się, mój małżonku, że oplakujesz swoją pierwszą żonę, była przecież taka dobra i miła i tak ciebie kochała. Ja zrobię wszystko, żeby zasłużyć na twoją

miłość i zaufanie". Rozczulony delfin, szlochając, obrócił się do małżonki i tak oto w niewinnych objęciach minęła im ich noc poślubna, niczym noc brata z siostrą. Konsumpcja małżeństwa nastąpiła nazajutrz, gdy delfin przyzwyczał się do żony, przecież z taką delikatnością i taktem podzieliła jego ból i rozpacz. Potem bardzo w tej drugiej żonie się zakochał, o pierwszej zupełnie zapominając. W taki to sposób, Drogi Czytelniku, cierpliwość i wyrozumiałość żony podczas nocy poślubnej odegrała swoją pozytywną rolę i uczyniła małżeństwo szczęśliwym i zgodnym.

Doniesienia policyjnego komisarza z sierpnia 1743 roku: „Niemcy mówią, że wielki książę pruski jest wielkim rozpustnikiem. Ma potajemny gabinet, z którego może obserwować wszystko, co dzieje się podczas miłosnych randek z jego poddanymi. Dziurka, przez którą spogląda, jest przykryta cnotliwym obrazem”.

\* \* \*

Nie dawały spokoju polskie panie naszemu kochanemu królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, ciągle go szpiegując i podglądając przez dziurkę od klucza wszystko, co działo się w jego apartamentach. Pewnego razu król, zakochany w pani Lubomirskiej, poprosił swoją siostrę, Panią Krakowską, żeby urządziła bal w swym pałacu na Krakowskim Przedmieściu. Król uważał, że go tam wścibskie panie nie wyśledzą. Miał zamiar spędzić z panią Lubomirską kilka przyjemnych chwil w pokoju specjalnie urządzonym na piętrze. Przez dwa tygodnie pracowali w pałacu Pani Krakowskiej rzemieślnicy, którzy montowali schody, którymi niepostrzeżenie można było z sali balowej udać się do tego przytulnego pokoju, wyposażonego w miękkie łożo. Na balu w pewnej chwili król spojrzął dłużej na panią Lubomirską i szybko wyszedł z sali. Był to znak, który Lubomirska zrozumiała. Za parę minut i ona wyslizgnęła się z sali balowej. Zauważyły to panie

siedzące przy ścianach, których z powodu ich brzydoty, czy też wieku, nikt nie zapraszał do tańca. Jedna za drugą poczęły się wymykać z sali balowej w ślad za Lubomirską. Dotarły do drzwi, za którymi znajdowali się król i jego wybranka. Na drugi dzień gazety obwieściły, że u króla Stanisława Augusta Poniatowskiego pojawiła się nowa kochanka. Król był wściekły, mało tego, że jako erotoman nic pozytywnego ani przyjemnego dla siebie z tej randki nie miał, to jeszcze słyszał przez drzwi taką oto gadkę wścibskich pań, zaglądających bezceremonialnie do pokoju przez dziurkę od klucza: „Patrz uważnie, czy on już włożył w nią kuśkę, czy jeszcze nie”.

Noc poślubna Napoleona III była jednym wielkim rozczarowaniem. Ludwik Napoleon Bonaparte, syn Hortensji, pasierbicy Napoleona Wielkiego, długo i żmudnie dobijał się do ręki Eugenie de Montijo, która zdecydowanie powiedziała cesarzowi, że nie odda mu się jako kochanka, tylko wyłącznie jako żona. Gdy pewnego razu stała na balkonie, Napoleon III, stojący na dole, zapytał ją: „Pani, jak można do ciebie się dostać?”. Odpowiedziała: „Tylko przez ołtarz, Sire”. No i wreszcie w 1853 roku wesele i noc poślubna, splugawiona przez wybryk kochanki Napoleona III, madame Howard. Wściekła, że kochanek ją rzuca dla jakiejś tam Eugenie, zajęła pałac cesarza. Napoleon z młodą żoną musiał noc poślubną spędzić w innym zaniku, nieprzystosowanym do nocowania. Na chybicka wstawiono tam żelazne łóżko, a po kilku godzinach Napoleon III zrozumiał, że on, człowiek o erotomańskich skłonnościach, ożenił się z nader mało temperamentną osobą. Eugenia była moralna i zimna jak gład. Cesarz musiał pieścić absolutnie obojętną na seks kobietę. Co prawda, Eugenia wykazywała chęć poznania tajemnic rozpusty, lecz czyniła to tak nieudolnie, z tak wielkim namaszczeniem, że lekki seks przeobraził się w ciężką powinność, co może zdenerwować każdego mężczyznę. Po swej nocy poślubnej cesarz wyszedł z zamkowej komnaty ponury jak chmura gradowa i



wzdychał ciężko: dużo radości sypianie z żoną mu nie dostarczy. Eugenia nie kochała Napoleona III, kochała się w kawalerze d'Alcanises. W przeddzień swego ślubu powiedziała do swej koleżanki, markizy Bedmar: „Gdyby d'Alcanises po mnie przybył, uciekłabym z nim”. No i co może czuć małżonek, gdy zimna żona w noc poślubną widzi w nim innego mężczyznę?

Różnica wieku między Napoleonem III a Eugenią de Montijo wynosiła 18 lat. „Staruszek” Napoleon III, obyty z rozpustą, wolałby mieć w małżeńskim łóżu doświadczoną w seksie niewiastę, a nie taką, którą trzeba uczyć alfabetu i tłumaczyć, w jaki sposób płodzi się dzieci.

I tak, Drogi Czytelniku, będzie przez całe życie Napoleona III. Jeden z trudem urodzony syn po kilkuletnim bezpłodnym małżeństwie i celibat na wszystkie inne dni. Gdy taka niezgoda w łóżku przez cały czas trwania małżeństwa, poczynając od nocy poślubnej, to jakim prawem Eugenia miała pretensje do męża, że ma kochanki?

Znane było jej powiedzonko, adresowane do męża: „Niedługo cała Francja będzie zapchana waszymi bękartami”.

\* \* \*

Nic się nie zmieniło na przestrzeni tysiącleci, jeśli chodzi o podglądanie przez dziurkę od klucza. Po prostu ta gałąź seksu została obecnie dobrze zorganizowana i skomercjalizowana. Turyści i miejscowi zboczeńcy mogą swój wzrok i rozporek nasładzać oglądaniem nagich kobiet w specjalnych automatach. Oto, jak o tym pisze laureatka Nagrody Nobla E. Minek: „Eryka dostaje osobisty przydział na kabinę de lux. Podnosi z podłogi zupełnie zaskorupiałą od spermy papierową chusteczkę i podtyka sobie pod nos. Wdycha głęboko zapach tego, co ktoś inny wyprodukował w toku ciężkiej pracy. Eryka się przygląda. Obiekt jej żądzy oglądania wsadza rękę między uda i składając usta w

małe «o», pokazuje, jak wielką mu to sprawia przyjemność. Rozsiada się wygodnie i mocno rozkłada nogi, teraz można z żabiej perspektywy zajrzeć kobiecie do środka. Ręka zręcznie bawi się włosami łonowymi. Po lewej i prawej stronie rozlegają się radosne jęki i stękania. Niektórzy wolą oceniać kobiety od przodu, inni z kolei od tyłu. Lewą dłońią kobieta przejeżdża po piersiach. Szpiczastymi sztucznymi paznokciami odciąga brodawkę sutkową jak gumę, a potem puszcza. Brodawka odstaje od ciała jak jakieś obce ciało” (E. Jelinek, „Pianistka”). A tymczasem mężczyźni spuszczaają się w papierowe chusteczki, które niedbale wyrzucają na podłogę i które podniesie następna zboczona, inteligentna dziwka typu Eryki, nie pozwalając, aby to paskudztwo usunęła sprzątaczką.

Mistrzu Sokratesie, czyż nie pomyliłeś się, nazywając to ELIKSIREM ŻYCIA?

## Alkowy młodzieniaszków

*Ona chce bawić się lalkami, a jej każą bawić się jego członkiem.*

(Helmut Andics)

No tak, tej alkowy nie zaliczysz do szczęśliwych! Wrzucono do niej młodych, niedoświadczonych podlotków, efektem tego jest homerycki śmiech ze łzami zmieszany. Śmieją się dworacy, płaczą małżonkowie. Nieładnie, niemoralnie, seksualnie niedojrzałych podlotków-małżonków wrzucać do małżeńskiego łóża i kazać im zajmować się dorosłą miłością płciową. No i te małolaty, nie objuczone zachodnim „Playboyem”, Internetem i pornograficznymi czasopismami, absolutnie nie wiedzą, co ze sobą w łóżku począć. On swój penisek miętosi, nie wiedząc, czy wolno mu wetknąć go do jej brzuszka, czy nie? Coś nie bardzo jasno dworacy im wyjaśnili rolę młodych niedorozwiniętych fizycznie małżonków. Lęk paraliżuje im usta i członki. Z rzadka rozlega się cichy płacz z tej alkowy, a tak panuje w niej grobowe milczenie.

A co na to chrześcijaństwo? Jak reagowało? Zabraniało, naturalnie, lecz jakoś niepewnie. Zgadzało się na wspólne poleżenie w małżeńskim łóżu, lecz broń Boże, *consumatum*. Co to, to nie. Zabraniano stosunku płciowego. Tylko rączkę czy nóżkę wolno było dotknąć, nic więcej, dopóki... „Żeniaczka nie urosła” – jak to wyraził laureat Nagrody Nobla Michał Szołochow. Urosła „żeniaczka”, teraz można. Damy i kawalerowie, co wieczór rojem otaczające małżeńskie łóże, odchodzą w cień, pozostawiając małżonkom intymne tête-à-tête za zasłoną. Seks grupowy wówczas w modzie nie był, nie XXI to wiek przecież, intymność małżeńską kopulacja lubi. Lecz i wtedy jej nie przestrzegano i nieraz królowie musieli pieprzyć się przy ludziach, a królowe rodzić.

Leży i miętosi swego członka, nie wiedząc, jak przystąpić do rzeczy. Oboje mają zerową wiedzę o seksie, o stosunkach małżeńskich w łóżku. Mama zawczasu jej nie wyjaśniła, w czym istota rzeczy, jego zaś tatuś przez wrodzoną wstydlivość polecił kamerdynerowi tę edukację seksualną synowi wpoić, a ten tak zawile to wytłumaczył, że dwunastoletni chłopiec nie wie, że dzieci nie rodzą się w kapuście. Ośmioletnią Elżbietę Tyrolską wydano za mąż za zaledwie o cztery lata od niej starszego Albrechta Habsburga. Pośpiech ślubu małolatów był wywołany tym, że tyrolski książę Reinhard II, obawiając się groźnego sąsiedztwa króla czeskiego, czyhającego na jego ziemie, postarał się przez małżeństwo swej córki znaleźć sobie możnego sprzymierzeńca w postaci króla Rudolfa Habsburga, który wydał swego syna za jego córkę. Nikogo nie interesowało, jak ten „polityczny towar” da sobie radę w małżeńskim łożu. Tak więc Elżbieta i Albrecht zostali mężem i żoną, gdy ona jeszcze lalkami się nie nabawiła, a on ołowianymi żołnierzami.

Dorośle igry ich nie pasjonują, do wczesnego seksu nawet przez ciekawość pociągu nie mają, ona jeszcze miesiączki nie miała, on na prześcieradłach śladów polucji jeszcze nie zostawiał. Oto niewinne, czyste dzieci leżą obok siebie i nawet pocałunkiem nie są skalane., Aniołeczki istne” – szeptali tkliwie dworacy. Ale aniołeczki rosły i Elżbieta Tyrolska tak zasmakowała w seksie, że 12 dzieci swemu Albrechtowi urodziła. Jak on imiona ich wszystkich zapamiętał, głowimy się. A może wcale nie pamiętał. Może tak jak Henryk III swych kochanków po prostu numerował. „Numer trzeci do mnie! Numer piąty pójdiesz na wojnę”. W każdym razie, Drogi Czytelniku, Elżbieta Tyrolska stała się matką rekordzistką w rodzie Habsburgów, a może i na świecie, tego nie wiemy. Dobrze, że u tych małolatów wszystko pomyślnie się skończyło. Nie zwariowali i w depresję nie wpadli, a spokojnie poczekali swej dorosłości. Gorzej bywało w innych królewskich rodzinach, do których wrzucano młodzieniaszków.

Mamy sporo przykładów zaręczyn małych dzieci. Henryk Plantagenet i Eleonora. Henryk Młody został w wieku trzech lat zaręczony w 1158 roku z Małgorzatą, córką Ludwika VII i jego drugiej żony Konstancji. Małgorzata była wtedy... sześciomiesięcznym niemowlęciem. Większość takich układów małżeńskich była zawierana, aby stanowić rękojmię pokoju. Zwyczaj ten przetrwał poza czasy średniowiecza.

Nie sądzimy, Drogi Czytelniku, iż przyszli małżonkowie, którzy wychowywali się razem i stawali się przyjaciółmi, towarzyszami młodzieńczych zabaw, później zostawali zgodnymi w seksualnym pożyciu małżonkami. Nie, tak nie było, to była prawidłowość naruszona tylko przez jednego króla, Ludwika IX francuskiego. Co zaś się tyczy współżycia Marii Stuart, która wychowywała się od dzieciennych lat w Luwrze przy dworze Katarzyny Medycejskiej, a towarzyszem jej dziecięcych zabaw był jej pierwszy mąż, Franciszek II, syn Katarzyny, to było to małżeństwo nader niezgodne. Franciszek II, który będąc chłopcem, bawił się z Marią Stuart, nie był w stanie jej później zdeflorować.

I tak oto Maria Stuart, absolutna dziewica po roku małżeństwa, została francuską królową. Zamyśliła się. Stanowisko, które objęła, obowiązywało monarchinię do rodzenia dzieci. A jak tu urodzisz, jeśli jeszcze swego dziewictwa nie straciłaś? Postanowiła wpłynąć na zmysły męża, pobudzić go do bardziej aktywnych działań płciowych. Powiozła niedołęznego małżonka do Lasku Bulońskiego, aby tam przyglądać się kopulacji danieli. Pamiętasz, Drogi Czytelniku, wyczyny papieża Aleksandra VI, który lubił ze swoją córką Lukrecją oglądać kopulację mulic z ogierami? Podobno silnie na zmysły działa. Lecz cherlawy Franciszek II słabo reagował na erotyczne widowisko. Nie zdawał sobie sprawy ze zjawiska opisywanego nieraz przez znanych pisarzy, jak to zwierzęta pozytywnie wpływają na człowieka. Zobacz, Drogi Czytelniku, co o tym ma do powiedzenia

zamerykanizowany nasz pisarz Jerzy Kosiński: „Największą miłością Makar darzył białą olbrzymią królicę o różowych oczach. Co pewien czas zabierał ją do chaty i trzymał przez kilka dni w swej izbie. Za każdym razem, gdy ją odnosił do klatki, coś było w niej wyraźnie nie w porządku. Często krwawiła spod ogona, nie chciała jeść i sprawiała wrażenie chorej”. Wreszcie gwałconą przez siebie królicę Makar kazał zastrzelić. Albo taki passus: „Weszła Ewka owinięta prześcieradłem. Makar podszedł do kozła i brzoową witką zaczął go gładzić po podbrzuszu. Następnie kilkoma lekkimi uderzeniami witki zmusił bestię, by stanęła przednimi nogami na niskiej półce. Ewka zrzuciła prześcieradło, ujrzałem, że jest naga. Wsunęła się pod capa, przywierając do niego jak do mężczyzny. Makar co pewien czas odpychał ją na boki jeszcze bardziej podniecał kozła. Po chwili znów zaczynała spółkować ze zwierzęciem, obejmując je namiętnie i poruszając energicznie biodrami” (J. Kosiński, „Malowany ptak”).

No, nie, zoofilii nasi królowie nie uprawiali. Ani jednego takiego zбочeńca wśród nich nie było. Zdecydowanie odrzucamy twierdzenie uczonej pisarki D. Ackerman, która powtarza niesprawdzone plotki, że Katarzyna Wielka, caryca rosyjska, uprawiała miłość z ogierami. Nie było tego. Lecz królowie czerpali z energii zwierząt podniecie dla swych wątłych ciał, to prawda. Jeśli kto myśli, że zwierzęta niewinnie seks uprawiają, ten się myli. One również mają swoje perwersje. I u nich istnieje, na przykład, masturbacja. „Przy kopulacji z kobyłą źrebak oczu nie zamyka, lecz gdy w samotności oddaje się masturbacji, huśtając się z naprężonym członkiem, podczas wytrysku nasienia zamyka oczy” (J. Ackerman). Wstydzi się zwierzątko lubieżnych czynów i nienaturalnego samogwałtu? Natura jego protestuje przeciwko zбочeniom? W takim razie zwierzątko ma moralną duszę.

Kobyły masturbują się, trąc o różne przedmioty. Kozły biorą swe penisy do pysków i w ten sposób osiągają orgazm. Samiczka tchórza, która podczas cieczeni nie widzi samca, czekając, może

zachorować, jeśli nie osiągnie orgazmu, trąć o kamień. Gdy to osiągnie, natychmiast zdrowieje! Jelenie, jeśli nie mają w pobliżu samiczki, trą się o drzewa. Nawet wielbłąd to czyni. „Słonie naciskają swój organ płciowy za pomocą tylnych nóg”. Rosse obserwował, jak jeden słoń brał trąbę drugiego do ust i łaskotał nią podniebienie, osiągając erekcję” (Hewlock Ellis). A hieny, kanalie, zupełnie się rozpuściły. Liżą jedna drugiej organy płciowe i nie wstydzą się tego. Małpki nie tylko jedna drugiej wszy iskają, lecz liżą sobie z upodobaniem genitalia.

Niestety, obserwowanie seksu uprawianego przez zwierzęta nie wpłynęło na zmysły Franciszka II. Ociekając gnojem wypływającym z uszu i wrzeszcząc od dzikiego bólu, zmarł wkrótce. Nie wiadomo, czy zdeflorował Marię Stuart, chyba nie.

Nie najlepiej było z nocą poślubną i defloracją małżonki Ludwika XVI, Marii Antoniny, najmłodszej z szesnaściorga dzieci królowej austriackiej Marii Teresy „Teściowej Europy”. Otoczony rojem dworaków, prowadzony wielce uroczyście przez swego dziada, Ludwika XV, na konsumpcję swego małżeństwa z Marią Antoniną, Ludwik XVI myśli wielce abstrakcyjnie o tym, dlaczego niesprawiedliwa natura, czy też sam Pan Bóg, tak niegodziwie skonstruowali członek. Czemu on nie może być ogórkiem, szlachetną jarzyną, która sama sobie jest panem, ma bowiem męski i żeński organ na jednej i tej samej łodyżce? Nie musi mordować się z żoną, tak jak on, której nie jest w stanie dziewictwa pozbawić. Cztery lata królowa-dziewica jak idiotka po swym Trianon, niczym rozhisteryzowana pastuszka, biegała. Przecież dobrze wiemy, jak seksualna wstrzemięźliwość wpływa na psychikę. Zdajemy sobie sprawę, dlaczego stare panny stają się megierami, ryczą basem z wściekłości i omal z nożem na sąsiadkę się rzucają. Chuć niewyżyta, sperma nieoroszona z nich wyziera. Upychają ją wewnątrz jaźni, wyłazi podła w postaci inwazji słów obelżywych, grożeniem palcem niebu i światu, histeriami i ulewą łez. Tragiczny to widok takiego nieszczęścia i

takiej namiętności neurotycznej z powodu małego kawałka męskiego mięsa. Naturo, nie jesteś wielka, jeśli umyśliłaś sobie taką nicość! A co mają robić te biedne niewyżyte histeryczki, których mężów oręza nie działają? Oddają się masturbacji, to zostało udowodnione naukowo. Posłuchajmy, co znakomity Seksopatolog Krafft-Ebing na ten temat powiedział: „Przy impotencji męża, gdy żona jest narażona na rozdrażnienie, w niej może silnie rozwinąć się masturbacja”. Pisaliśmy już o tym. Dotyczy to wszystkich czasów, współczesnych również. Henry Miller, który skromnie powiedział, że niczego nie może zaoferować ludzkości oprócz swego geniuszu, opisał taką współczesną scenę masturbacji: „Postanowiłem zajrzeć przez dziurkę od klucza i zobaczyć na własne oczy co i jak. No i proszę, panienska stoi przed lustrem, głaszcząc i pieszcząc swego kosmaczka. Rozmawia z nim jak z ukochaną osobą. Ten rodzaj specyficznej masturbacji wymagał specjalnego półmroku. Musiało być ciemno jak dla nietoperza, a przy tym jasno, żeby można było widzieć sutki i gołą cipę” (H. Miller, „Zwrotnik Koziorożca”).

A co, masturbacja to panaceum na wszystkie dolegliwości seksualne? Wcale nie. Po pierwsze, szkodliwa, w każdym razie tak wpajano do początku wieku XIX. Temu, który się nią zajmuje, mózg usycha, niby idiotą może się stać. Wielki erotyczny pisarz, Henry Miller, nie miał zamiaru owijać w bawełnę tego problemu. Wprost napisał: „Masturbują się dziewczki niepokalane kolbą kukurydzy”, a starożytny Owidiusz tak nam poetycko radzi: „Wyjdź, kobieto, do ogrodu i przysposób każdy nadający się do tego owoc – marchewkę, ogórek czy nawet nieduży seler”. Co prawda, obecnie, gdy sex shopy swój renesans przeżywają, żaden owoc nie jest potrzebny. Zastąpiły go sztuczne fallusy-wibratory. Wprawdzie student leninowskiej biblioteki twierdzi, że od czasu, jak penisowi pojawił się konkurent-wibrator, wpadł on w popłoch: nie może rozmiarami z nim się równać. Niestety, postęp w tej dziedzinie nie jest pocieszający dla mężczyzn: coraz doskonalsze



okazy prezentują producenci sztucznej rozpusty. Dwa lata temu byłem świadkiem, jak w jednym z takich moskiewskich sklepów klienci, przeważnie kobiety w starszym wieku, wybierały sobie partnera do seksu. „Niech pani pomaca” – zachęcała miła ekspedientka jedną staruszkę, podając jej sztucznego penisa. – Od żywego pani nie odróżni, nawet żyłki są jak naturalne, nawet naczynia krwionośne widoczne. A materiał? Istne cudo lateksu”. Staruszka rzeczowo zapytała, na jak długi czas eksploatacji starczy nabyty wibrator i czy przewidziana jest gwarancyjna naprawa w razie zepsucia się instrumentu? „Co to, starucha maszynkę do mięsa kupuje”? – oburzył się inny klient, nabywający gumową lalkę z rozdziawioną gębą. Zapewne wiedział, czemu jej usta są półotwarte na kształt litery „O”. No cóż, edukuje się seksualnie lud byłego Kraju Rad, gdzie jeszcze stosunkowo niedawno młodzieniec nie wiedział, do jakiej części ciała można całować komsomołkę. Niektórzy zwolennicy moralności są oburzeni tak szybko rozwijającą się demoralizacją społeczeństwa rosyjskiego, skróceniem wieku fizycznych stosunków dziewcząt i chłopców, także lawinowo narastającą prostytutką.

Obecnie nasza Duma postanowiła przywrócić, choć w minimalnym stopniu, dawne socjalistyczne dogmaty moralności i w środkach masowego przekazu przeforsować hasło, iż prostytutka jest złem. I oto na pierwszym kanale rosyjskiej TV pod przewodnictwem Andrzeja Małachowa, dziennikarza ogólnie lubianego, o popularności nie mniejszej niż Jerry’ego Springera, pokazują w programie „A niech sobie mówią” szesnastoletnią dziewczynę, która w wieku czternastu lat zaczęła uprawiać prostytutkę. Strażniczki moralności, przeważnie wiekowe panie, chórem zaczęły ubolewać nad biedną, zbłąkaną owieczką z jawnym zamiarem nawrócenia jej na słuszną drogę cnoty. Już nawet jedna aktywistka proponuje dziewczynie zarobek jako księgowej, gotowa jest wysłać dziewczynę na bezpłatne dwuletnie

kursy. Andrzej Małachow pyta dziewczynę: „Pójdziesz?”. Dziewczyna przecząco kiwa głową: „Dlaczego nie?” – indaguje dziennikarz. I wówczas szesnastolatka podniosła swe niebieskie jak niebo w pogodny dzień oczy i powiedziała radośnie: „Och, ja tak lubię się pieprzyć. Odczuwam przyjemność i jeszcze forszę mi za to płacą”. Wśród ogólnej konsternacji i grobowej ciszy sali rozległ się starczy, piskliwy głosik: „A co na to twoja mama?”. Dziewczyna podniosła na dewotkę swe zamglone oczy i odpowiedziała: „Mamie kupiłam mieszkanie w Moskwie, ona co tydzień czesze się u fryzjera i po raz pierwszy w życiu kawioru spróbowała”. Dewotka umilkła. Ona nigdy nie próbowała czarnego astrachańskiego kawioru. Rozległ się czyjś doniosły bas: „A gdzie twoja moralność?”. Dziewczyna momentalnie ripostowała: „A poszła sobie z facetem pieprzyć się do lasu za zielone”. Andrzej Małachow był zmieszany – temat jawnie wyśliznął się spod jego kontroli (student leninowskiej biblioteki w Moskwie).

Czasami rodzice udzielają praktycznych lekcji swym dzieciom-młodzieniaszkom, mówiąc, jak należy zachowywać się w łóżku w noc poślubną. Brantôme przytacza przykład takiej pogłądowej lekcji, udzielonej przez jednego z ojców. „– Widzę, że nic z waszego seksu! – groźnie zakrzyczał ojciec, po czym wziął syna za rękę, synową za drugą, zaprowadził ich do sypialni i powiedział: – Nie ma innego wyjścia, muszę pokazać wam, jak to się robi. – Położył synową do łóżka, rozkazawszy jej szeroko rozłożyć nogi, i powiedział do syna: – Patrz dobrze, bo powtarzać nie będę. – Włożył członek do pochwy dziewczyny silnym pchnięciem, pouczając syna: – Widzisz, jak ja to czynię – dentro, fuero, dentro [wewnątrz, na zewnątrz, wewnątrz] i kilka razy tak powtarzając, odsuwał i przysuwał do siebie synową. A potem jego mowa stała się bełkotliwa i niezrozumiała – den... Wreszcie wykrzyknął: – A fuero posyłam do wszystkich diabłów! – po czym już bez żadnych komentarzy, na milcząco, grzmocił niewiastę,

zapomniałszy o synu”.

Nigdy idea politycznych małżeństw nie występowała tak jaskrawie, jak w przypadku małżeństw nieletnich małżonków. A było takich małżeństw mnóstwo. Na różnych dworach, nawet w Wersalu w epoce Ludwika XIV. Księżniczka Sabaudzka i jej dwunastoletni mąż, wnuk Ludwika XIV. Ja, co prawda, odesłano po sześciu latach pobytu w Wersalu do ojca, do Hiszpanii, lecz zanim się to stało, jako narzeczeństwo, poleżeli sobie w małżeńskim łóżku, nóżkami się dotykając.

Przedstawienia urządzane na królewskich dworach podczas ceremonii rozbierania małolatów do snu to istny cyrk. Najpierw armia dam dworu i kawalerów odprowadzała małżonków do małżeńskiej sypialni, z ukłonem nocne koszule podając, potem układają małolatów obok siebie, potem pilnują, żeby do niczego intymnego, broń Boże, nie doszło, żeby krocza obcego nie dotknęli, potem hajda, wstawaj „mężu” i idź do swej samotnej sypialni, musisz poczekać z dorosłym seksem, dopóki „żeniaczka” tobie nie urośnie. Co za fałsz, co za hipokryzja, Drogi Czytelniku! Zadziwiająco, jak nie zachwiała się moralność takich małżonków, których co wieczór kładą do wspólnego łóżka, żeby po chwili ich z hukiem z tego łóżka wykurzyć. Przecież ten podłotek-król może nerwicy się nabawić, co udowodnił nie tylko Freud, także inni seksopatolodzy. Szczególnie dobitny pod tym względem przykład dał francuski król, Ludwik IX Święty. Przecież to jego zmuszono do zawarcia małżeństwa w podłotkowym wieku czternastu lat, a potem zmuszano do udawania z żoną dorosłej miłości.

Tych podłotków-małżonków na jeszcze gorszą próbę tortur wystawili: zmuszali ich do sypiania razem we wspólnym łożu, lecz stosunek płciowy był im zabroniony. Przestrzegania tej idiotycznej reguły bacznie śledziła matka Ludwika IX, Blanka Kastylijska. Tak weszła w rolę nadzorcy małżeńskiej cnoty, że przeniosła ten zwyczaj już na dorosłych małżonków, kiedy im już wolno było miłość fizyczną uprawiać. Co noc przychodziła do małżeńskiej

sypialni, żeby poduszki poprawiać, w rzeczywistości, żeby temperamenty małżonków temperować, żeby jej syn nie zasmakował w seksie. Rankiem, kiedy według Blanki Kastylijskiej Ludwik IX zbyt długo spał – przecież to już szósta godzina minęła – wchodziła bezceremonialnie do małżeńskiej sypialni i tarmosiła syna: „Nie ma co wylegiwać się z żoną, wstawaj, sprawy państwowe czekają!”. Swoje jedenaścioro dzieci Ludwik IX Święty płodził w wyjątkowo dyskomfortowych warunkach, cały czas wsłuchując się w kroki na korytarzu, czy aby nie pojawi się mama, nie wtargnie do sypialni i przerwie miłe seksualne rozkosze. A ponieważ był bardzo temperamentną osobą i seks dla niego miał większe znaczenie niż jedzenie i picie, i nawet niż modlitwy do Boga, uprawiał go z żoną incognito. Na schodach w tym czasie stała służka czy sługa, kiedy zauważyła (zauważył) zbliżającą się królową, biegła (biegł) na górę i pukała (pukał) do małżeńskiej sypialni. Rozkosz musiała być odłożona, nawet wtedy gdy małżonkowie znajdowali się w stanie szczytowania. To tak rozwścieczyło żonę Ludwika IX, że nie wytrzymałszy nerwowego napięcia, pewnego razu wczepiła się we włosy teściowej i z pianą wściekłości na ustach porządnie ją wytarmosiła, a nawet klak wyrwała. Wywołała tym atakiem silne zdumienie Blanki Kastylijskiej, która była święcie przekonana, że na francuskim dworze tak się jej boją, że nikt na nią, tym bardziej własna synowa, ręki nie podniesie.

Ludwik IX nie umiał opanować pokusy ciała, mimo że na co dzień stosował najsurowszą i najokrutniejszą ascezę: nosił włosiennicę, umartwiał ciało, także biczowaniem, nie ulegał pokusom podniebienia, smaczne dania, które mu szczególnie smakowały, oddawał biedakom, a także wino – pił tylko mocno rozcieńczone. Seks dla niego stanowił źródło najwyższej przyjemności, nie umiał sobie go odmówić. Małgorzata Prowansalska, jego małżonka, podzielała zamiłowanie męża do seksu. Czerpali ogromną przyjemność z kopulacji. Dla Ludwika IX

stawało się to dodatkową udręką, wiedział bowiem, jak bardzo negatywnie Kościół odnosi się do seksu. On i jego matka to jedyne znane w historii przykłady, kiedy życie płciowe młodzieniaszków przerodziło się w głębokie miłosne uczucie.

Blanka Kastylijska, wnuczka Eleonory Akwitańskiej, również przeszła tę szkołę wstrzemięźliwości seksualnej. Gdy Eleonora zapragnęła wydać swą wnuczkę Blankę za Ludwika VIII francuskiego, wsiadła na konia, mimo że miała wtedy osiemdziesiąt lat, posadziła obok siebie wnuczkę i powiozła ją na francuski dwór. „A ile lat ma mój narzeczony?” – interesuje się wnuczka. „Trochę jest starszy od ciebie – mówi babka. – Ty masz jedenaście lat, on o sześć miesięcy więcej”. Blanka się przestraszyła. Babka ją uspokaja: „Nie bój się, wnuczko. Do zbliżenia seksualnego nie dojdzie jeszcze przez kilka lat. Wy tylko sypiać będziecie razem, lecz jak brat z siostrą. Będziecie mieć długie nocne koszule, a pod nimi pantaloney mocno sznurami przewiązane. Dobrać się do zakazanego owocu będzie trudno”. Nic dziwnego, że po takim doświadczeniu małżeńskim Blanka Kastylijska przez całe życie regulowała życie seksualne swego syna, Ludwika IX Świętego, który swoje jedenaścioro dzieci płodził pod bacznym okiem matki, nie dopuszczającej, żeby akt dojrzałej kopulacji przeobraził się w rozpustną rozkosz. Teść Blanki, Filip August, wykształcony człowiek, zmusił ją do nauki, przede wszystkim zupełnie niepotrzebnej kobiecie matematyki i języków obcych. Biedna, nawet nie miała czasu pobawić się lalkami. Swego syna, Ludwika VIII, również nie szczędził. On również, siedząc z żoną przy jednej ławce, wkuwał, a raczej wgryzał się w granit nauki. Byli dla siebie najlepszymi przyjaciółmi. Razem się bawili w wolnych chwilach. On ołowianymi żołnierzami, ona lalkami, potem wspólnie grali w piłkę, a nocą wspólne sypianie w koszulach i gaciach. I nie było dla Blanki lepszego kolegi na świecie niż jej własny mąż. A kiedy oboje dojrzeli i pozwolono im na stosunek fizyczny, śmiertelnie się

zawstydzili i nie wiedzieli, jak zacząć. Niełatwo przecież niewinną, gorącą przyjaźń przeobrazić w sromotny akt kopulacji.

\* \* \*

Edukacja seksualna młodzieniaszków-mężonków była w stadium zarodkowym, często nie wiedzieli, co należy w łóżku robić. Nie wiedzieli, jak do rzeczy przystąpić.

Wstydlivość i psychiczne hamulce „kajdankują” im ręce, nogi i inne części ciała. Oboje w duchu przeklinają drakońskie zasady swego czasu, nakazujące małolatom żenić się w tak wczesnym wieku w imię przyczyn politycznych, absolutnie nie licząc się z ich stanem ducha. Z drugiej strony wstyd będzie ogromny, gdy następnego dnia po nocy poślubnej okaże się, że małżonka pozostała niezdeflorowana. Zastanawia nas, Drogi Czytelniku, jak Kościół mógł pozwolić takim małolatom zajmować się w majestacie prawa dorosłą fizyczną miłością? Okazuje się, że to nie Kościół tu zawinił. Jasno przecież określił, że w wieku dziesięciu-jedenastu lat żenić się mogą, lecz w żadnym razie seksu uprawiać i noc poślubną konsumować. Przez kilka lat takie małżeństwo musi pozostać „białe”, do tej pory, póki dziewczyna nie osiągnie menstruacyjnej dojrzałości. Sypiać, owszem, małżonkowie będą w jednym łóżku, lecz dotykać się, z wyjątkiem rączki czy nóżki, im nie wolno. Żona niczym jabłuszko zielone musi dojrzeć do czerwoności, to znaczy do dojrzałości płciowej. Kiedy to się stanie, wolno im będzie, nawet będzie to wskazane, kopulować ze sobą bez umiaru, byleby nie dążyli tylko do osiągnięcia rozkoszy fizycznej, a jedynie kierowali się pragnieniem prokreacji. Hipokryzja? Dawniej tak nie uważano. I gdy kładli do łóżka młodzieńką Marię Antoninę z młodzieńkiem Ludwikiem XVI, oczekiwano od niego jedynie zapłodnienia łona królowej. Przeciągnęło się to na całe cztery lata, a według Stefana Zweiga nawet na siedem lat.

Cnoty młodych małżonków pilnowały pałacowe damy, które bezustannie pełniły dyżury w ich sypialniach. Też tam nocowały, tyle że na podłodze, na sienniku. Rankiem siennik rolowano i donoszono marszałkowi dworu, że wszystko jest dobrze, występku nie było, małżonkowie ucałowali się tylko w policzek, żadnych sromotnych dotknięć genitaliów. Zadziwiające, jak po tym fałszu zachowało się poczucie moralności małżonków.

Maksymilian Austriacki chciał, żeby Austria zdobyła szczęśliwie sąsiednie kraje w sposób naturalny, za pomocą małżeństwa, a nie wojen, zaprosił więc do Wiednia Władysława, króla Czech i Węgier, a także jego brata, polskiego króla Zygmunta. Musimy połączyć dynastię Habsburgów z Jagiellonami – zdecydowali. Naturalnie przez polityczne małżeństwa. Kto tym razem będzie takim politycznym towarem? Maksymilian wystawił swoich dwóch wnuków, Karola i Ferdynanda, i kilka wnuczek. Król Władysław kazał wyleźć z karocy swej rzeszy: synom, Ludwikowi i Władysławowi, i córce Annie. Fajne były te małżeństwa, szkopał tylko w tym, że... małolatami są ci kandydaci na mężów i żony. Co tu robić? – głowi się Maksymilian. Wymyślił Salomonowe rozwiązanie. Do czasu, kiedy jego wnukowie osiągną wiek, który pozwoli im małżeństwa zawierać, on sam ożeni się z Anną, córką Władysława. Jak to się mówi, żeby zaklepać ten związek, to będzie małżeństwo fikcyjne. „Za kogo ma wyjść moja Anna, gdy pańscy wnukowie podrosną? – rozsądnie pyta król Władysław cesarza Maksymiliana. Ten po brodzie się drapie: „Gdybym to ja wiedział. Może Karol, może Ferdynand. Nie wiem”. No i co myślisz, Drogi Czytelniku? Pięćdziesięciosześcioletni Maksymilian (wdowiec) żeni się z dwunastoletnią dziewczynką Anną. I nikogo na cesarskim dworze nie ogarnęła zgroza z powodu takiego małżeństwa. Prymas Esztergom, jak gdyby nic, udzielił im błogosławieństwa. Wydarzenie było warte zachodu, czyli jakby powiedział Henryk IV, „Paryż jest wart mszy”. Dom Austriacki na czterysta lat zdobył Czechy i Węgry. Co za dobrane małżeństwo!

Cesarz Maksymilian, prawie sześćdziesięcioletni, chodzić nie może, jego w lektyce niosą, głowa cała w siwiźnie, dziewczynkę Annę wiezie sześć siwych koni, główka o złotych włosach, oczka z przerażeniem patrzą na dziadka-męża. Wesoła muzyka nie zagłuszyła szlochów biednej dwunastoletniej żony. Czeką ją noc poślubna. Karol w 1556 roku zdecydował się na abdykację, wówczas jego brat Ferdynand zasiadł po nim na tronie cesarskim. Odtąd zaistniały dwa rody habsburskie: austriacki i hiszpański. Dwa oddzielne imperia. Między Wiedniem i Madrytem nadal zawierano związki małżeńskie. Rezultatem tego zatruta krew na skutek powtarzających się małżeństw i przychodzenie na świat zdefektowanych dzieci.

A potem nastąpiło to rajskie, rodzinne, królewskie życie: dantejskie sceny, kłótnie, łzy, rozpacz, groźba rozwodu. .. Ach, któż nie zna królewskiego życia, gdzie mąż, król-impotent, a żona królowa-histeryczka. Wszystko zaczęło się od nieudanej nocy poślubnej.

W 1440 roku młodych triumfalnie i z wielką pompą prowadzą do małżeńskiego łoża. Trzej rejenci trzymają w rękach dobrze naostrzone pióra, aby w księdze pałacowej dokonać zapisu o spełnionym akcie kopulacji. Damy pałacowe, wścibskie jak wszystkie kumoszki na świecie, z błyszczącymi oczami oczekują, kiedy im wyniosą zakrwawione prześcieradło. Ministrowie siedzą znużeni na fotelach ustawionych wzdłuż ścian sypialni małżeńskiej, gromada gapiów tłoczy się w drzwiach. A za zasłoną brzydki chłopczyk i ładna dziewczynka usiłują spełnić oczekiwania dworaków. Najpierw była śmiertelna cisza. Gapie to zrozumieli, młodzi przyzwyczajają się do siebie i trzeba dać im czas na oswojenie się z sytuacją. Może ona w tym momencie lalkę odrzuciła i zaczęła bawić się jego „zabawką”, może on w tym momencie ołowiane żołnierzyki odrzucił i przysposabia się do innej zabawy. Lecz gdy cisza się nieco przedłużała, świadkowie zaniepokoiili się. Ostrożnie zapytano zamkniętą za baldachimem



parę: „Czy żywi są? I czemu to tak długo trwa, osiem godzin!”. W odpowiedzi martwa cisza, a potem inwazja słów, bełkot niezrozumiały, płacz dziewczyny, szloch chłopca i... afront totalny. Nie, nas nie stać na relację, oddajmy głos naszemu Januszowi Kawryźce: „Wszystkie ich chęci, troski, serca powinny być wspólne. Nic nie istniało poza granicami tego szerokiego małżeńskiego łoża i oczekiwań. A biedak nie może. Zwyczajnie. Biedak-chłopiec czuje się jak przestępca, bo jego kutas nie może sprostać pokładanym w nim nadziejom”. „Co tak na ponuro, moja dziewczyno?” – mówi do skulonej w kącie łóżka żony, o twarzy zniekształconej lękiem. A sam nie umie nawet jej pocałować i boi się dotknąć ledwie zaznaczonych dwóch okrągłości, które mają być kobiecymi piersiami. Próbuje ją pobudzić do życia delikatnym wtykaniem członka w jej brzuch. Tyka i tyka. W odpowiedzi słyszy stłumiony szloch. Dziewczyna boi się tego „robaka” i długo nie może zrozumieć, co to jest takie wstrętne i wijące się między jej udami jak mała i wstrętna Żmijka. I po tym wszystkim, Drogi Czytelniku, Freud będzie z emfazą twierdził, że kobiety zazdroszczą mężczyznom ich penisa? Na śmierć przestraszył delfin swoją młodziutką żonę swymi wyczynami, o których pojęcia nie miała, bo mama jej nie uprzedziła, że chłopcy mają inne niż dziewczynki siusiaki. I w ogóle, po co tykać? Co jej przyjdzie od tego tykania? Oręż do boju nie powstaje. Zastanawia się: czy w opadłym penisie obudzi się jakaś nadzieja? Jeśli nie, to on czasu nadaremnie tracić nie będzie – odwróci się i zaśnie. Po co ta koncentracja na własnym penisie, jeśli nic z niej nie przychodzi, a staje się tylko dodatkowym bodźcem rozwinięcia nerwicy.

Zastygł w dzikim smutku, przerażony swą niemocą. Odwróciwszy się do ściany, począł cicho płakać jak małe, skrzywdzone dziecko. Ona wzięła jego członka, podsunęła mu macierzyńską pierś: „Possij!”. O dziecku, o rodzeniu potomka można było zapomnieć. On sam leżał jak dziecko. Teraz był jej dzieckiem. Cicho spełzył z niej, wtulił się w ciało kobiece, źródło

jego zła i nieszczęścia. Ale jest ciepłe, przytulne, jego! Tak nam się widzi, Drogi Czytelniku, scena, jaka miała miejsce w alkowie między młodzieniaszkami niedorosłymi do uprawiania dorosłego seksu.

## **Alkowa wstrętu i odrazy**

### **Niechciane żony**

*Zniechęcenie lub wstręt seksualny do partnera odgrywa ogromną rolę i prowadzi do rozbicia małżeństwa.*

(Kazimierz Imieliński, „Miłość i seks”)

Co czynią niechciane żony, gdy ich mężowie-królowie wyrzucają je nie tylko z małżeńskiego łóża, lecz nawet z pałacu, rozkazując, aby wstąpiły do klasztoru i stały się mniszkami? Jeśli żona głupia i pozbawiona inwencji, a także posłuszna, to z płaczem do klasztoru idzie, mężowi się nie sprzeciwiając. Tak uczyniła żona Ludwika XII, Joanna Brzydka, i Ewdoksja Łopuchina, żona Piotra I. Jeśli zaś żona mądra i nie odczuwa pociągu do służenia wyłącznie Bogu, walczy o swoje, aż do zwycięskiego końca. Tak uczyniła żona francuskiego króla Filipa II Augusta, duńska Ingeborga. Nieraz niechciane żony upierają się, czepiając się swojego nieudanego małżeństwa, jak przysłowiowy rzep do ogona. Wówczas urządzą im procesy w kościelnym sądzie, o których potem jest głośno w Europie. Jak każda brudna bielizna wywieszona na ogólne oglądanie, stają się pośmiewiskiem. Uzyskanie przez króla rozwodu w średniowieczu to była rzecz prawie niemożliwa, w sprawę tę mieszał się Kościół, papież groził klątwą wobec niesubordynowanego i rozpustnego króla. Całe średniowiecze pogrążone było w takich interdiktach, ekskomunikach i klątwach. Oto niechciane żony: Irena, żona Konstantyna V, Joanna, żona Ludwika XII, dwie żony Zygmunta Augusta, Eleonora Akwitańska, niechciana żona aż dwóch królów, Ludwika VII francuskiego i Henryka II angielskiego, żona Henryka IV Kastylijskiego, żona Jerzego IV angielskiego, druga żona Filipa II hiszpańskiego i wiele innych.

## **Berta – niechciana żona Henryka IV niemieckiego**

No dobrze, Drogi Czytelniku, jako tako rozumiemy tych mężów niechciany żon, którzy nie chcieli z nimi żyć i domagali się rozwodu z powodu szpetoty żony czy jej nieumiejętności seksualnej. Ale jak nazwać tych mężów, których żony były ładne, mądre i pełne seksapilu, a ci czuli do nich nieodpartą odrazę?

Tak właśnie stało się na niemieckim dworze za cesarza Henryka IV, który dwukrotnie ekskomunikowany przez papieża absolutnie nie chce współżyć ze swoją żoną Bertą. Co prawda, fatalnie na niego wpłynęła noc poślubna. To jej przebieg zaważył negatywnie na jego dalszym współżyciu z Bertą. Czego tylko nie czynił Henryk IV w celu zmuszenia swej małżonki, żeby dała mu dobrowolnie rozwód z braku innych dowodów, takich jak cudzołóstwo czy bezpłodność. Wszystkim swym zadaniom królowa odpowiadała: była posłuszna, kochająca, dzieci rodziła, z mężem po obozach wojennych jeździła, a Henryk IV ma tylko jedno w głowie – żeby wziąć z nią rozwód! Nikt niczego zrozumieć nie może, dworacy najmniej, za co tak znienawidził Henryk IV, niemiecki cesarz z XI wieku, swoją żonę Bertę.

Papa Henryka IV, Henryk III, zmusił syna do ożenku z córką hrabiego Turynu, Bertą. Papa miał szlachetne polityczne zamiary – to małżeństwo syna umocniłoby cesarską władzę w Italii. No i co z tego wynikło? Już podczas nocy poślubnej Henryk IV, nie wiadomo z jakiego powodu, niewiasta przecież była ładna, zdrowa i młoda, poczuł do niej nieodparty wstręt, którego nie był w stanie przezwyciężyć. W tę noc zamiast pocałunków i uścisków Henryk IV żonie bluźnierstwa na uszko szepcze: „Nie chcę żyć z tobą, nie będę, daj mi rozwód. Nigdy w życiu ciebie nie pokocham, droga małżonko – mamrocze. – Nawet na to nie licz”. Małżonka zrozumieć nie może, czym wywołała taką odrazę u męża, że już podczas pierwszej nocy poślubnej, podczas której nawet nie starał się jej zdeflorować, mąż już marzy o rozwodzie?

Znamy takiego francuskiego króla, Filipa II Augusta (o nim rzecz będzie później), który w noc poślubną wyrzucił swoją żonę Ingeborgę, nie wyjaśniając dworakom przyczyny. Rozpełzły się słuchy, że żona ma ogonek malutki i kopytka zamiast nówek. O Bercie nic takiego powiedzieć nie można było. Trzech lekarzy ją dokładnie badało, obejrzało ją naga, aby stwierdzić, czy nie ma jakichś defektów na ciele, nie znajdując nic podejrzanego. Nawet brodawek, takich jakie wiemy mają na ciele, nie miała, nawet szósty palec jej nie wyrósł, jak u Anny Boleyn, ściętej żony Henryka VIII. Przyczyn do rozwodu nie znaleziono. Henryk IV z niejakim zażenowaniem musiał przyznać, że żona jego jest pod każdym względem nieskazitelna i nie ma najmniejszego powodu do uzyskania rozwodu. Lecz Henryk IV upiera się na swoim i twierdzi, że żyć z żoną, a tym bardziej sypiać z nią, nie będzie za nic w świecie. Niejaki Lampert z Hersfeldu, kronikarz, w zapiskach dotyczących 1069 roku informuje, czym to wszystko się skończyło i jak przebiegała intryga.

Berta, nadal nie zdeflorowana, dziewicą zapłakaną błądzi po królewskim pałacu, wstydząc się żoną nazywać. Wzgarda męża pewności żony nie służy. A król, czyli cesarz, tymczasem naradza się z arcybiskupem Zygfydem, jak ma wyjść z patowej sytuacji i znaleźć sposób na rozwiedzenie się z Bertą. Arcybiskup mu poradził, żeby publicznie, oficjalnie ogłosił, że jego stosunki z żoną nie układają się dobrze. Tak też cesarz uczynił. Rada go pyta, co może zarzucić żonie. Cesarz, spuściwszy oczy, odpowiada, że nic, dosłownie nic. Po prostu małżeństwo zostało zawarte pod złą wróżbą, jeśli on tak bez przyczyny nienawidzi żony. Doszło do uszu papieża, iż Henryk IV bez przekonującej przyczyny zamierza rozwieść się z żoną. Papież wysłał legata, Piotra Damianiego, który miał na miejscu sprawę zbadać i osądzić. Legat obiektywnie i z odrobiną złośliwości orzekł: „Jad niecnego postępku cesarza splamiłby lud chrześcijański, a człowiek, który to czyni, będzie człowiekiem przeklętym”.

Słowem, Drogi Czytelniku, papieski legat autorytatywnie powiedział swoje „nie” rozwodowym zamiarom Henryka IV. Papież dodał jeszcze, a raczej zagroził, że jeśli cesarz będzie upierać się przy swoim, on zastosuje wobec niego sankcję prawa kanonicznego i nie dopuści do popełnienia przestępstwa. Drzyj, Henryku IV! Pogódź się ze współżyciem z niekochaną Bertą. Uparty Henryk IV jeszcze marudzi, nie od razu podporządkował się papieżowi, jeszcze usiłuje przekonać Bertę, żeby dobrowolnie dała mu rozwód. W nocy do małżeńskiego łóżka idzie nie za miłością i dziecioróbstwem, ale po to, aby błagać Bertę, żeby zgodziła się na rozwód, argumentując, że wszystko jeszcze przed nimi: ją, niezdeflorowaną, każdy władca sobie za żonę weźmie, on również z miłości do innej może się ożeni i będą żyć szczęśliwie i długo. Lecz Berta, chociaż młodziutka, na ciele krucha, przejawia niepospolitą siłę woli i na wszystkie argumenty męża odpowiada: „Nie”. Nie dlatego ją za mąż wydano, żeby teraz, bez przyczyny, rozwód z nią brać. „Ale ja nie będę sypiać z tobą nigdy!” – krzyczy wkurzony cesarz. Berta w odpowiedzi chytrze się uśmiecha, jakby mówiła: „Nigdy nie mów nigdy”. I co ty o tym myślisz, Drogi Czytelniku? Wygrała Berta. Musiał małżonek cesarzową w pałacu pozostawić, sypiać z nią i dzieci płodzić – wygrała stanowczość, wytrwałość i cnota Berty.

Ostatnią próbę czyni Henryk IV, próbę haniebną, niegodną króla, lecz, jak to się mówi, „idiotom i królom prawa nie są pisane”. Namawia swego dworaka, żeby udawał zakochanego w Bercie i uzyskał jej przychylność. A potem, gdy ona wpuści go do swej sypialni, cesarz wdrze się tam i przy świadkach udowodni cudzołóstwo żony. Wówczas papież nie miałby nic do gadania: cudzołóstwa żon Kościół katolicki nie tolerował. Dworak, otrzymawszy sakiewkę pełną złota, chętnie się zgodził na tę mistyfikację i zaczyna uwodzić Bertę według zasad rycerskiej miłości: kwiatki polne jej rankiem pod drzwi podsuwa, wzdycha bez przerwy, nawet łyzy niby z rozpaczony w chusteczkę, do której

cebulka włożona, leje, smutnym wzrokiem królową obdarza i inne symulacje stosuje charakterystyczne dla zakochanego. Zagalopował się trochę dworak w udawaniu miłości. Berta nie w ciemną bita, odgadła zamiary męża i postanowiła dać mu okrutną nauczkę. Na razie udaje, że również w dworaku jest zakochana i zgadza się wreszcie przyjąć nocą kawalera w swojej sypialni. Naturalnie, że o tym momentalnie dowiaduje się cesarz Henryk IV, który z zadowoleniem ręce pociera: nareszcie pozbędzie się Berty. Przebrany za dworaka razem z rzekomym kochankiem Berty czeka pod drzwiami jej sypialni. Gapił się dworak nie wiadomo, czy zamyślił się, czy zdrzemnął, przed drzwiami czekając na umówioną godzinę randki, tego nie wiemy. Natomiast Berta uczyniła tak, że króla szybko wpuszczono do sypialni, a dworak pozostał za drzwiami. A w sypialni zebrane tam damy pałacowe rzuciły się z kijami na cesarza i wraz z cesarzową zaczęły go tłuc na kwaśne jabłko. Na próżno Henryk IV krzychał, że to właśnie on jest królem i żeby przestały baby okładać go pałkami. Berta udała, że nie uwierzyła i krzychała: „Bezczelny, jeszcze masz odwagę nazywać siebie królem, ty cudzołożniku! Czy król by przyszedł do mnie w podstępny sposób i w przebraniu dworaka, przecież ma prawo odwiedzać moje łóżko, kiedy chce i jak chce”. Nasłodziwszy się zemstą, Berta wypuściła wreszcie z sypialni króla w opłakanym stanie. Król w obawie przed szyderstwami ten incydent przemilczał i, jakby powiedział Janusz Kawryżka, „Przez cały miesiąc chodził z odbitymi jajami”.

Musiał Henryk IV zrezygnować z dalszej walki z Bertą. Ona będzie koronować się na cesarzową Niemiec, urodzi królowi dwóch synów. Można konkludować, że ta przedłużająca się noc poślubna trwała bardzo długo, a defloracja małżonki odbywała się z trudem, długo i żmudnie, lecz zakończyła się całkowitym sukcesem. Berta okazała się dobrą i oddaną żoną. I gdy jej ekskomunikowany przez papieża mąż stał przez trzy dni bosy na śniegu w Kanossie, błagając papieża Grzegorza VII o zdjęcie z

niego klątwy, obok niego solidarnie również skąpo ubrana i bosa,  
stała Berta, wierna żona.



## Krwawa Mary

Marię Tudor, córkę Henryka VIII i Katarzyny Aragońskiej, angielską królową, spotkało nieszczęście: śmiertelnie zakochała się w pięknym i chłodnym jak gład, nigdy nie uśmiechającym się hiszpańskim królu Filipie II. Panna była szpetna, zła i kłótniwa, chętnych, aby wziąć ją za żonę nie było i papa, Henryk VIII, namordowawszy się porządnie w jałowym wysiłku wydania jej za mąż, postanowił ożenić z nią swego nieślubnego syna, Henryka, księcia Richmond, również szpetnego, a do tego chorowitego, na dodatek z jawnymi oznakami impotencji. Nie wiadomo, jakim byłoby to kazirodcze małżeństwo, w którym rodzeństwo nawzajem się nienawidzi, jeśliby książę Richmond tuż przed ślubem nie zmarł na gruźlicę, czyli suchoty. Powiadają, że to Anna Boleyn, druga żona Henryka VIII, przed swoją kaźnią rzuciła na pasierba urok. Chłopak zaczął więdnąć i wkrótce wachał kwiatki od strony korzeni. Gdy Henryk VIII zmarł, a Maria Tudor weszła w niebezpieczny wiek starej panny, ministrowie angielscy znaleźli jej narzeczonego. Był nim Filip II, hiszpański owdowiały król, młodszy od Marii Tudor o jedenaście lat, co w dynastycznych małżeństwach, jak wiadomo, nie stanowi zawady. Pochowawszy pierwszą żonę, Marię Portugalską, i nie licząc na sukcesję obłąkanego syna-kaleki, don Carlosa, Filip II zdecydował się na małżeństwo z arcybrzydką Marią Tudor, mając naturalnie na uwadze dynastyczne interesy. I oto Filip II z orszakiem liczącym pięciuset konnych i z kilkoma hiszpańskimi kochankami, które udają dworskie damy, wjeżdża na angielski dwór. Spotkał się ze swoją narzeczoną nie w samym Londynie, a gdzieś w drodze ku niemu. Bowiem Maria Tudor, która nasłuchiwała się o piękności Filipa II, przepełniona pragnieniem szybkiego ujrzenia narzeczonego, sama, konno, ruszyła mu na spotkanie. Spotkali się w pół drogi. Widok pięknego Filipa oszołomił starą pannę, takiego pięknia w życiu nie widziała. Z miejsca się w nim

śmiertelnie zakochała. Proszę sobie wyobrazić, Drogi Czytelniku, jak na białym rumaku pędzi oślepiającej piękności król w białym kostiumie z najcieńszej jak jedwab skóry, cały obsypany brylantami, i to tak obficie, że nawet w grzywę rumaka były wplecione drogocenne kamyki, w kapeluszu z białym pióropuszem, o chłodnych, pięknych jak niebo w pogodny dzień niebieskich oczach, o regularnych rysach twarzy, tyle że bez uśmiechu na ładnie zarysowanych ustach. Maria Tudor omal nie zemdląła, ujrawszy takiego wymarzonego księcia z bajki, a strzała Amora ugodziła ją w tym momencie celnie w serce, i to na zawsze. Ona zaś była całkowitym przeciwieństwem swego narzeczonego. Żałośnie wyglądała w tej swej nieforemnej sukni z czarnego materiału, źle skrojonej, przypominającej habit mniszki. Narzeczona o twarzyczce zmarszczonej jak jabłuszko ma już prawie czterdzieści lat, a wygląda na całe pięćdziesiąt. Thomas Seymour, brat jednej z nieściętych żon Henryka VIII, tak wyraził się w swym pamiętniku o Marii Tudor: „O Boże, co to za szpetna istota! Ona wygląda o dziesięć lat starzej niż w rzeczywistości dzięki temu, że nie potrafi ładnie się ubierać. Twarz ma pomarszczoną, przeoraną zmarszczkami dookoła ust i pod oczami. Włosy zaczesuje szpetnie do tyłu”. Co robić! Filip jest zbyt dobrze wychowany, żeby otwarcie wyrazić swoją dezaprobatę widokiem narzeczonej. Wiedział, że jest szpetna, ale żeby aż do takiego stopnia? Szybko starł z twarzy ujawnione na niej rozczarowanie, przecież dobry monarcha nie będzie kierował się negatywnymi emocjami, gdy Hiszpania na gwałt potrzebuje forsę na prowadzenie wojny. Hiszpanii spiesznie z Anglią przymierze zawrzeć, żeby przeciwko Francji wystąpić, małostkowo byłoby biadolić nad brzydotą narzeczonej. A jednak Maria Tudor mogłaby trochę przypodobać się królowi hiszpańskiemu. Po cholere wkładała czarną suknię, w której jej bardzo nie do twarzy. Coco Chanel zagroziła, że ubierze cały Paryż w czarne sukienki i ubrała, lecz gwoli prawdzie, nie każdej kobiecie do twarzy w czarnym

kolorze. Jest to kolor wielce niebezpieczny i podstępny. Założ, niewiasto, czarne karakułowe futro i o dziesięć lat staniesz się starsza, chociaż niektórym kobietom bardzo do twarzy w czarnym kolorze. Udowodniła to Diana Poitiers, kochanka Henryka II, która swymi kolorami uczyniła biel i czern. Annie Boleyn również było do twarzy w czarnym. Marii Tudor nie. Ten kolor ją znacznie postarzał.

Król hiszpański robi dobrą minę do złej gry, całuje Marii Tudor rączkę i wręcza jej prezent – drogi pierścionek z ogromnym diamentem. Potem, gdy długie noce Maria Tudor będzie leżała w swym samotnym łożu (Filip II często przebywał w Hiszpanii, ograniczając do minimum swe wizyty w Londynie), będzie wyjmować ten pierścień i wpatrywać się w niego, jakby przywołując dawne wspomnienia o mężu. Nawet gdy w samotności umierać będzie, jej ostatnie spojrzenie skieruje się na ten pierścień, takie bowiem ogromne znaczenie miał dla niej ten podarek od przyszłego męża.

Najbardziej nieprzyjemne dla Filipa II było pójście do małżeńskiego łoża po ślubie. Wzdrygał się z obrzydzenia, pochwaliwszy siebie w duchu za przebiegłość: para wziętych z Madrytu dam zupełnie była w stanie zadowolić jego seksualny apetyt. Postanowił ograniczyć swe wizyty w alkowie małżonki, po prostu unikać ich w miarę możliwości. Jak on będzie rozmawiać ze swoją małżonką? Angielskiego nie znał, ona po hiszpańsku mówiła tylko trochę. Niezbędny stosunek seksualny z żoną musiał odbywać się bez zbędnych słów i pieszczot. Maria Tudor była silnie rozczarowana swą nocą poślubną. Niosła mu swe długotrwałe dziewictwo jak na ołtarz ofiarny, tak jak Egipcjanie składają ofiarne zwierzęta swym bogom – uroczyście i z wielkim namaszczeniem. A co otrzymała w zamian? To żalosne mamrotanie, nazywane orgazmem? Te sztuczne dźwięki udawania, żeby odczuła, jak on stara się dla niej? A gdzie spontaniczność? O nie, nie zrobił na niej dużego erotycznego

wrażenia. Był to czystej wody przymus, a gdy weszła w smak i chciała kontynuować rozkosz, sparaliżował jej pragnienia władczym: *Non possumus* – Dość! Miłosne słowa? Maria usłyszała: „Mam silny pęd do seksu, moja myszko – i to cicho wyszeptane – szcurzyco”. Jego obrzydzenie nie odchodzi w cień, ono ciągle tu, w tej alkowie, czai się, udaje, chce być miłe, nie wybuchając potokiem obelżywych słów, które nie zerwą się z jego języka, nie ulżą mu w trudnościach małżeńskiej łożnicy. Jest zamknięty w małym dziedzińcu piekła. A nazajutrz przyjdą angielscy wścibscy ministrowie, pisarczyk z pałacową księgą, żeby zapisać triumfalnie – *consumatum*. Defloracja czterdziestoletniej starej panny odbyła się. Odtąd zacznie unikać jak ognia małżeńskiego łoża. Ona w nocnej koszuli, bosa, będzie stała przy drzwiach sypialni i nasłuchiwała kroków męża. O, znowu ją ominął, znowu swe kroki skierował nie do jej sypialni. Szłochała i rwała drogie koszule ozdobione królewskimi liliami. Ocieka przecież krwią dusza, gdy w ciało nie leje się sperma. Pożądanie szarpie jej ciało, jak dziki kot, a on, uprzejmy jak zawsze, zabójczo uprzejmy, nie reaguje na jej ciało, o zgrozo!

Odtąd, od tej pierwszej swej nocy poślubnej, Filip II, idąc do pokoju żony, zawsze łykał garść hiszpańskich muszek. Stosunek odbywał z powagą, bez zbytecznych słów i pieszczot, bez najmniejszej chęci doznania rozkoszy, jak przykry obowiązek, jak dzień postu. Nie była głupia. Wiedziała w czym rzecz: była obrzydliwa dla męża. Zaczęła być chorobliwie zazdrosna. Nie bez racji. Postanowiła oddalić od niego ten jego orszak hiszpańskich pań, które przywiózł ze sobą i z którymi spędza noce, zaniedbując żonę. „Nie pozwolę!” – krzyczała w rozpacz i paliła z emfazą heretyków. Pod pałacem płonęły stosy, a alkowa nadal rdzewiała w samotności. Wydaliła Maria Tudor z pałacu hrabinę Lorren, którą Filip II przywiózł z Hiszpanii. Osobiście pofatygowała się angielska królowa napisać do hrabiny list z żądaniem natychmiastowego opuszczenia angielskiego dworu. Ta

odjeżdżała obrażona na swego kochanka Filipa II, który nie potrafił ochronić honoru swej oblubienicy. Po odjeździe hrabiny Filip II w stosunku do żony stał się jeszcze bardziej zabójczo uprzejmym i jeszcze rzadziej odwiedzał jej sypialnię. Królowe nie płaczą? Bzdura. Ona szlochała jak baba po nocach, budząc swą służkę, śpiącą w przedpokoju na sienniku rzuconym na podłogę. Cierpiała okrutne katusze zazdrości i przeklinała swoją matkę, Katarzynę Aragońską, za to, że urodziła ją taką szpetną, że mąż czuje do niej awersję. Postanowiła Maria Tudor zajść w ciążę. Myślała sobie, że być może przez dziecko, dziedzica tronu, przywiąże męża do siebie. Nie wiadomo, jej to się udało, lecz zmusiła męża do pełnego stosunku ze sobą (może więcej połąknał hiszpańskich muszek) i królowa zaszła w ciążę. Raduje się angielski dwór, triumfują dworacy, cieszy się Maria Tudor i nawet Filip II już wilkiem na nią nie patrzy i na swej nieprzeniknionej twarzy coś w rodzaju półuśmiechu zadowolenia wydobywa. Niech no teraz po urodzeniu dziedzica ci pruderyjni lordowie angielskiej korony spróbują go pozbawić tronu! Tęczową przyszłość przedstawia się Filipowi II. Hiszpania stanie się jednym z najpotężniejszych krajów w świecie, jeśli połączy się z Anglią, którą uczyni swoją prowincją. Wspólnie z nią najedzie Francję, odciacha od niej połowę ziem żyznych i o rozwoju przemysłowym. No, drzyj wówczas świat! Potęga Hiszpanii będzie nie mniejsza od potęgi imperium Aleksandra Macedońskiego. A to wszystko z powodu embrionu w brzuchu jego niekochanej żony, Marii Tudor, którą chyba zapłodnił albo pijanym będąc, kiedy wszystkie kotki są szare, czyli wszystkie kobiety mają jednakową twarz, albo pod wpływem ogromnej ilości afrodyzjaków. Nieważne, ważne, że roztropność Filipa II zaowocuje potęgą Hiszpanii. Brzuch Marii Tudor rośnie jak na drożdżach z każdym dniem. Zamówiona już kołyska, niebotycznie droga, o ciężkich marmurowych kolumnach, osadzona w scenerii drzewek ze złota, zdobiona srebrnymi sztucznymi ptaszkami. Armia dziewczek kłopotczy się z igłami w

rękach nad pieluchami dla niemowlęcia królewskiego, wyszywa lilie i monogramy królewskie. Maria Tudor jest na pograniczu szczęśliwości, już bez zajadłości pali heretyków na stosach, a nawet w porywie dobroduszości tempo palenia obniżyła ku niezadowoleniu papieża. I oto gdy już zbliżał się termin porodu, lekarz Marii Tudor, któremu królowa nie pozwalała dotąd swego brzucha nawet powierzchownie zbadać, zaczął nalegać, żeby to uczynić. Maria Tudor niechętnie się zgodziła. I okazało się... Strasznie nam o tym pisać, Drogi Czytelniku, że ciąża królowej była urojona, to, co brała za ciążę, w rzeczywistości było rakiem jelit i puchliną wodną.

Urojona ciąża. Medycyna zna takie przypadki u królowych. Ostatnia rosyjska caryca, Aleksandra Fiodorowna, oszalała niemal z powodu urodzenia czterech córek, w swym mistycznym pragnieniu urodzenia syna uroiła sobie, że jest ciężarna. Szwaczki nie nadały jej sukni poszerzać, z taką szybkością w jej łonie płód się rozwijał. A gdy wreszcie ją zbadał nadworny akuszer, okazało się, że ciąża carycy jest urojona, a brzuch rósł na tle hysterii, od psychopatycznej chęci urodzenia dziedzica tronu. Hemofilny syn Aleksy urodzi się znacznie później. Rosyjskie władze tak źle wyjaśniły ludowi w czym rzecz, że po Rosji rozpełzły się plotki, że caryca urodziła nie człowieka, lecz potworka o ptasiej główce, którego zaduszono poduszką.

Można tylko domyślać się, Drogi Czytelniku, w jakim kiepskim stanie ducha przyjęła Maria Tudor wiadomość o swej urojonej ciąży. Jej fatalny nastrój odczuli najbardziej heretycy, płomień stosów zaiskrzył się żwawiej, a rozzłoszczony Filip II, którego polityczne plany pękły jak bańka mydlana, odjechał do swej Hiszpanii, pozostawiając śmiertelnie chorą małżonkę na pastwę jej smutnego losu. Ona już dogorywała, cierpiąc nieludzkie bóle z powodu raka i puchliny wodnej. Całowała pierścień – podarek męża i spoglądając na odbłask płonących stosów pod oknami swego pałacu, pragnęła tylko jednego: spalić

jak najwięcej heretyków. Przewana została za swe okrucieństwo Krwawą Mary, a koktajl jej imienia – wódka zmieszana z sokiem pomidorowym – hula do dnia dzisiejszego po nocnych knajpach całego świata. Haniebna to sława złej, niekochanej przez nikogo królowej, której alkowa była napełniona odrazą i wstrętem.

## Tragiczna miłość Zofii Doroty z Celle

Zofia Dorota, żona angielskiego króla Jerzego I Hanowerskiego, trzydzieści dwa lata swego życia przesiedziała w więzieniu. Gdy umierała, przeklęła swego męża. Mordowały go później koszmary. Zjawa małżonki nie pozwalała mu żyć, straszyla i dokuczała. Zmarł ten król, zgodnie z wcześniejszą przepowiednią, dokładnie rok po śmierci żony. Cała Europa z ciekawością śledziła tragiczne losy uwięzionej królewskiej żony, lecz nikt nie odważył się przyjść jej z pomocą. Próby takie czynił późniejszy minister Aleksandra I i jeden z zabójców jego ojca, cara Pawła I, Bessingen. W czasach swej młodości ochraniał zamek uwięzionej. Został stamtąd szybko wydalony, gdyż o jego zamiarach dowiedział się król.

Za co mąż uwięził Zofię Dorotę Hanowerską?

Jerzy I (1660–1727) rozpoczął w 1714 w Anglii rządy dynastii hanowerskiej. Poślubił księżniczkę Zofię Dorotę z Celle, córkę Jerzego Wilhelma, księcia Brunszwiku-Luneburga. Para była wybitnie niedopasowana. On zadufany w sobie egoista, rozpustnik i cynik. Ona też nie anioł: wredna, pamiętliwa, złośliwa, o sześć lat młodsza od męża, zresztą swego kuzyna. Wyszła za niego ze względu na jego tytuł i pieniądze. Mimo fatalnego charakteru była nadzwyczaj piękna, żywa, wesoła i utalentowana. Oburzała ją szorstkość męża, która poczęła się objawiać mniej więcej rok po ślubie. Jego chłód studził jej uczucia, a jego okrucieństwo wzbudzało w niej nienawiść.

Jerzy I odnosił się do żony z nieukrywaną pogardą, nie mogąc jej wybaczyć nieprawego pochodzenia. Była bowiem córką Jerzego Wilhelma i jego kochanki, Eleonory d'Olebreuse, w której księżę zakochał się od pierwszego wejrzenia i uczynił swoją morganatyczną małżonką. To nie miało w oczach przyszłego Jerzego I, męża Zofii Doroty, żadnego znaczenia. Uważał żonę za bękartą, odnosił się do niej z pogardą, traktował jako niegodną



siebie. Ona również nie płonęła miłością do męża. Kiedy dowiedziała się, że ojcowie postanowili ubić polityczny interes, wydając ją za mąż za przyszłego Jerzego I, zemdląca z oburzenia i wstrętu. Kiedy ofiarowano jej miniaturę przedstawiającą oblicze przyszłego męża, cisnęła nią o kamienną posadzkę. Kiedy ojciec skarcił ją za ten czyn, zaczęła nosić miniaturę na pantofelku, zamiast klamry. I tak oto dwoje nienawidzących się narzeczonych, wola ojców, zostało w 1682 roku małżeństwem, które nie rokowało żadnej nadziei na to, że będzie szczęśliwe lub przynajmniej przetrwa. Nawet natura nie sprzyjała ich związkowi. Podczas wesela nastąpiło oberwanie chmury, ulewa zalała stoły, przyjęcie bowiem odbywało się na łonie natury. Narzeczona co chwila mdlała, narzeczony był ponury jak chmura gradowa, ich matki siedziały naburmuszone, a Eleonora, matka Doroty (częściej używała tego drugiego imienia), po cichu ocierała łzy, przeczuwając ciężki los córki. Zadowoleni byli tylko ojcowie, którzy, niczym kupcy po zawarciu korzystnej transakcji, radośnie zacierali ręce.

Małżeńskie piekło nie zaczęło się od razu. Przez pierwsze dwa lata małżeństwo starało się jakoś dopasować do siebie. Mąż przestał pogardzać żoną, znajdując w niej dużo osobistego uroku i seksapilu, żona przestała mu dokuczać i drwić z niego, w nadziei, że jakoś to będzie. Przecież perspektywa zostania hanowerską królową była wabiąca, łagodziła obyczaje i tuszowała złe cechy charakteru, nieciekawny wygląd męża, jego mrukliwość, trudny, mściwy charakter. A na dodatek zaczęły się rodzić dzieci: syn i córka. W ten sposób minęło sześć stosunkowo zgodnych lat, dopóki w życie Zofii Doroty i przyszłego Jerzego I nie wmieszała się doświadczone intrygantka.

Intrygantki na królewskich dworach! Co za wdzięczny temat dla pisarza! Wciąż tam są te osóbki, swoiste narkomanki, które dziergają swe misterne intrygi z kunsztem pająka plotącego swą pajęczynę. Bez tego żyć nie mogą. Intryga dworska to cel ich

życia. Im bardziej złożona, im kunsztowniej szał, im tragiczniej szał w skutkach, tym lepsze jest samopoczucie intrygantki. Mogą uczynić wszystko: wywoływać wojny, skłócać monarchów, rozbijać rodziny, inspirować antyczne tragedie i dantejskie sceny na królewskich dworach. Historia dostarcza setek niechlubnych przykładów, pokazujących, jak to intrygantki burzyły ustalony porządek rzeczy. Bowiem intryga w umiejętnych rękach intrygantki to wielkie narzędzie władzy. Przypomnijmy historię Marii Antoniny i aferę z naszyjnikiem, której główną bohaterką była nieprześcigniona intrygantka Jeanne Antoinette de La Mott. Nie zapominajmy historii Drogumowej za czasów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. To przecież dzięki jej intrygom na zawsze skłócono króla z możną rodziną Czartoryskich. Intryga na królewskim dworze była, jest i zawsze będzie. Ona, tak jak szczury na statku, jest niezbędnym elementem dworskiego życia.

Powabna i zgrabna Klara von Platen-Hallermund wiedziała, co robi, gdy rozrzuciła szeroką, misternie uplecioną sieć swoich intryg na hanowerskim dworze.

Nie od razu tu przyjechała. Pobyła najpierw w Paryżu i Londynie, testując tam swe intryganckie talenty, które zostały jej wpojone z mlekiem matki, wszczepione niczym geny, bez intryg bowiem nie wyobrażała sobie życia.

Klarze nie powiodło się ani w Paryżu, ani w Londynie. Gdy przyjechała do Paryża z zamiarem wykurzenia stamtąd dwóch metres Ludwika XIV, La Vallière i markizy Montespan, z którymi on przez jakiś czas żył jednocześnie, obie dzielnie stanęły w obronie swej godności i honoru. La Vallière, która urodziła królowi czworo nieślubnych dzieci, była nieśmiała, cicha, pokorna, jej głos protestu przeciwko uzurpatorce Klarze wyrażał się w nocnych szlochach i cichym płaczu w ciągu dnia.

Montespan natomiast, która dzieci urodziła królowi siedmioro, była przebojowa, o ogromnej sile przebicia. Uzurpatorce wskazała drzwi wyjściowe Wersalu i powiedziała:

„Precz stąd, niegodna, jeśli chcesz żywot swój zachować. Ja tu truję pomału metresy królewskie, które nie chcą mi ulec, nie będę miała litości dla uzurpatorki pragnącej zająć moje miejsce”. Jak niepyszna uciekała Klara z Paryża, zapomniawszy o pantofelku, gubiąc na wersalskich schodach liścik miłosny do króla. Lecz szybko poprawiła skrzydełka i pofrunęła do Londynu. Tam króluje rozpustny król Karol II Stuart, który ma zwyczaj nie odmawiać kobiecemu ciału, ma równocześnie trzy kochanki: Luizę Keroualle, Nell Gwyn, Barbarę Palmer, pogubił się z czternastoma nieślubnymi dziećmi, stosuje mądrą męską zasadę; im więcej kochanek, tym lepiej dla zdrowia i pałacu królewskiego. Słowem, nie podejrzewając możliwości stworzenia koalicji przez trzy oficjalne królewskie metresy, Klara ruszyła na podbój angielskiego króla. Lecz i w Londynie również czekała ją porażka. Koalicjantki zgodnym frontem zjednoczyły swe siły i stanęły w obronie swej czci, godności i organu płciowego. Klarze zostało oznajmione: „Precz stąd, niegodna, pókiś żywa, myśmy, co prawda, jeszcze nikogo nie zabiły, lecz gotowe jesteśmy to uczynić w obronie królewskiej sypialni”. Klara, jak to mówią Rosjanie, „niesłono pochłęptawszy”, uciekała z Londynu. Zapału do intryg jednak nie straciła, tylko stała się bardziej rozważna, postanowiła dużych metropolii, takich jak Paryż i Londyn, nie ruszać, a udać się do mniejszych, podupadłych królestw czy księstw, w których instytucja metres nie byłaby tak potężna i tak mocno rozwinięta. Wzięła mapę świata, potem przyjrzała się mapie Europy i wybrała sobie małe, lecz samodzielne księstwo Hanoweru. A kiedy zapoznała się z historią tego księstwa, jej radości nie było kresu.

Księstwo Hanoweru to przecież istny raj dla intrygantki. Proszę sobie wyobrazić zamek Leineschloss, przepiękny Wersal w miniaturze, pełen przepychu i bogactw. Ściany tego zamku całe w lustrach, sufity z pozłacanego drewna, na korytarzach i schodach antyczne posągi i to nawet bez liści figowych w stosownym miejscu, bo tu w zbyteczną pruderię się nie bawiono, kominki

marmurowe, panie w wydekoltowanych sukniach, całe w brylantach, mężczyźni również, nawet przewyższają panie w obfitości noszonych brylantów, mają je nawet, proszę sobie wyobrazić, na klamrach pantofli, w stajni sześćset koni przepięknej rasy, bale, maskarady, balety. Jedyne mankament – tylko dwie sprzątaczkę i brak toalet. Ledwie dwie na cały pałac. Śmierdzi uryną i jeszcze czymś gorszym, bo nocniki nie zawsze w porę są wynoszone, ponieważ brakuje służby. Lecz to nie problem. Zapach uryny i potu można przecież zagłuszyć perfumami.

W efekcie tych zabiegów zamek Leineschloss zapachniał jak prawdziwy Wersal: moczem, kałem i perfumami. Żyć nie umierać Klarze w takim mini Wersalu. A rządzi tam kto? Słaby książę Ernest August, który ma za żonę Zofię Wittelsbach, córkę palatyna Fryderyka VI i Elżbiety Stuart, kobietę o nadzwyczaj jazgotliwym głosie. Jazgot żony napełnia Ernesta Augusta sporym lękiem, nie sprawia mu radości chodzenie do małżeńskiej sypialni. Wszystko to wzięła pod uwagę przebiegła Klara, która twardo postanowiła, że nie tylko uwiedzie Ernesta Augusta, lecz także zostanie jego oficjalną metresą. Żeby ułatwić sobie zadanie i ukryć istotne zamiary, postanowiła po pierwsze, zostać pokojówką księżnej Zofii, po drugie, wyjść *pro forma* za męża, za małego, nikczemnego człowiczka, zwykłego obywatela, Franza Ernesta von Platena. Mężowi zostało dobitnie wyjaśnione, że ma grać rolę pokornego rogowca. W zamian otrzyma dobrą posadę i dozągoną wdzięczność żony. Będzie ona tym większa, im bardziej bezszelestnie rozplynie się von Platen na hanowerskim dworze. „Stań się, mężu, niewidoczny, jakbyś umarł – tłumaczyła mu Klara – a uczynię cię bogaczem. Staniesz się marszałkiem dworu, masz na to moje słowo”. I Klara podała mężowi do ucałowania swoją pulchną rączkę. Mąż ucałował ją, ale w duchu powątpiewał. Żona Klara miała już trzydzieści cztery lata, była roztyła, puciołowata, małego wzrostu, pudry pudru i mazideł na

twarzy nie ukrywały skutecznie wyraźnych zmarszczek pod oczami i dookoła ust. Raziła jej krótka, gruba, „bycza” szyja, która za nic optycznie nie chciała się wydłużyć, mimo głębokich dekoltów. Ale udały się Klarze piersi. Były obfite, jędrne i tylko trochę przypominały piersi karmiącej mamki. Właśnie na te pełne piersi i na swój miłosny talent kusicielki Klara najbardziej liczyła. No cóż, nie pomyliła się. Wszystkie jej plany się ziściły. Została pokojówką księżnej Zofii, a potem kochanką Ernesta Augusta, a potem jego oficjalną metresą sprawującą władzę na hanowerskim dworze. Zofia robiła dobrą minę do złej gry: udawała, że nic nie wie o zażytych stosunkach Klary ze swym mężem, bo była osobką mądrą i wiedziała, że z wiatrakami się nie wojuje. Donkiszoteria była jej obca. Trzeźwo oceniła wszystkie za i przeciw, dochodząc do wniosku, że skoro rozpustna Klara weszła do skóry i portek jej męża, skoro ten po raz pierwszy w życiu zasmakował w tym, czego ona mu dać nie mogła – w prawdziwym, smacznym, perfidnym seksie, należy siedzieć cicho i udawać, że wszystko jest w porządku. Brakuje nam śmiałości, Drogi Czytelniku, do opisania łóżkowych scen z ich udziałem, zwróćmy się zatem o pomoc do naszego Janusza Kawryżki:

„Wejdiesz do łoża i władzę swoją zdobędziesz – mówi niemieckie przysłowie. Tęgawa, ordynarna, wulgarna, rozpustna Klara jak najbardziej odpowiadała zdegradowanym seksualnym gustom i zmysłom Ernesta Augusta. To, co było latami wpychane w głębiny jego podświadomości, teraz wynurzyło się w swej prostocie i bezpośredniości. Intelktualna żona, przy której mąż nigdy nie był sobą, odczuwając wyłącznie lęk, nie mogła ofiarować mu najmniejszej seksualnej satysfakcji. Dała mu ją, i to z nadmiarem, podstarzała, rozpustna do szpiku kości Klara, przy której wreszcie mógł być sobą. I oto ich wulgarna, pozbawiona jakichkolwiek konwenansów erotyczna gra otworzyła im świat bez nazwy. «No i co, stukniemy się, moja miła, brzuskami?» – z takim tekstem Ernest August wchodził do pokoju Klary. Kobieta z

radością replikowała: «No to wskakuj do mojego środka, jak codziennie wskakujesz na siodło». On się nie spieszy. Najpierw musi być gra miłosna. Kobieta musi go całego obcałować. On zawiesza banana nad jej ustami. Ona liże go ze smakiem. Platon: «Rozpusta to puszczenie wolno straszego stwora pożądliwości». Tu go puszczone bez kagańca. Ernest August, zanim zanurzy się w ciepło pierzyn i babskiego ciała, każe jej wygadywać świństwa, które pobudzają jego chuć. «Użyj wreszcie ust do mówienia. Szepcz mi świństwa na uszko, to balsam na mego kutasa, nie chcesz chyba, żeby opadł jak zwiędła róża? Gadaj więc, gadaj!». Ona gada, bo jest dobrze wyedukowana i zna mnóstwo świństwewek. Jest zadowolony, pozwala jeszcze raz dogodzić sobie oralnym seksem. Klara nadstawia mu do ust swą macierzyńską ciepłą pierś, przytrzymując ją jedną ręką. Pierś pachnie potem i wonnymi olejkami, to zapach miły dla powonienia księcia. «Ssij!» – rozkazuje Klara. Usłuchał, bo to lubi. Ich gra wstępna, łącznie z graniem na jej piersiach, niczym na bębenkach, była dla obojga urocza. Konkretu mogłoby i nie być, lecz będzie, bowiem z Klarą Ernest August czuł się nieujarzmionym żrebakiem. Pomyśleć tylko, co jedna kobieta może zrobić z mężczyzną! Nikt by nie uwierzył, że całe lata jego organ wiądnął, niknął pod baczny okiem żony z jazgotliwym głosem, który w ciszy zamku Leineschloss brzmiał niczym trąba wzywająca na Sąd Ostateczny. Teraz on Herkules! A uczyniła go nim podstarzała, brzydka, tęgawa niewiasta o imieniu Klara”.

Bogini miłości Afrodyta byłaby w tym wypadku bezsilna. Ta ordynarna miłość wymagała brzydoty. Filozofię takich zboczeńców dokładnie nam opisał markiz de Sade, a poeta Aleksander Błok urzeczywistnił to: nie mógł mieć stosunku z żoną Lubą, córką znanego chemika Mendelejewa, ponieważ zbyt ją ubóstwiał. Natomiast był asem seksu z brudnymi petersburskimi prostytutkami. Stąd właśnie rodzą się tacy bohaterowie, jak Laura i Petrarka – tylko platoniczne uwielbienie, „brudny” stosunek

zostawmy dla nikczemnych kobiet. Czym większa abominacja do kobiety, tym większe pragnienie, tym większa żądza uprawiania najohydniejszych, najpaskudniejszych praktyk seksualnych. To wtedy najbardziej jaskrawie przejawia się niezgoda między wzniosłą duchowością i cielesnym pożądaniem. Potem to wszystko przekuło się w chrześcijańskie zasady, przeciwstawianie grzesznemu ciału wzniosłego ducha. Kto potrafił to pogodzić, uzyskać harmonię między tym co fizyczne i tym co duchowe, ten osiąga ideał miłości. Lecz, na Boga, jakże rzadcy są w naszych czasach bohaterowie typu Romea i Julii. Nasz wiek z jego niebywałym tempem życia we wszystkim wymaga pośpiechu. Miłość przekształca się w szybki numersek seksualnego stosunku i nie ma tu mowy o żadnym uczuciu. Miłość i seks chyba na zawsze oddzieliły się od siebie.

Klara jest prawie szczęśliwa. Lecz nie na sto procent. Tej intrygantce do osiągnięcia pełni szczęścia potrzeba poniżenia dumnej Doroty, która nie okazuje należytego szacunku księżęcej, prawie królewskiej metresie. Jak boleśnie ją uderzyć, zmusić do rozpacz, do łez, doprowadzić do czarnej melancholii – zastanawia się Klara, bo przecież złe osoby cieszą się z udręk innych. Słowa danego mężowi dotzymała. Dozgonnie mu wdzięczna za jego pokorne rogiactwo, uczyniła go nie tylko marszałkiem dworu, lecz prezydentem. Całował z wdzięczności pulchne rączki żony i dziwił się, jak dużo siły i władzy ma to brzydkie kaczątko, które wyobraża sobie, że jest pięknym łabędziem. Co więcej, potrafiło zmusić księcia Ernesta Augusta, władcę Hanoweru, aby tak myślał o niej.

Trzydziestoczteroletniej Klarze nie podoba się szesnastoletnia Dorota, żona syna Ernesta Augusta, Jerzego Ludwika, przyszłego króla Jerzego I. Była piękna, młoda, niezależna i nie uniażała się wobec Klary. Jak można Klarze, osobie o tak niebywale wysokiej pozycji na hanowerskim dworze, nie okazywać szacunku? Klara postanowiła zniszczyć zarozumiałą

dziewczyne. Jak? Zupełnie prosto. Puścić w ruch swoją intrygę i wyszukać dla Jerzego kochankę. Jak żona przyjmie zdradę męża? No, zapewne nie z fanfarami.

Klara wynalazła biedną dziewczynę, pochodzącą ze zubożałej szlacheckiej rodziny, Melusine von der Schulenburg, o dość miłej twarzy, lecz niepomiernie wysoką i chudą jak szczapa. Rozkazała jej zostać kochanką Jerzego Ludwika, męża Doroty, co więcej, osobiście udzielała jej lekcji rozpusty. Korepetycje były bezpłatne. Hrabina von Platen od swej podopiecznej domagała się absolutnego posłuszeństwa. Melusine była dziewczyną powolną, skromną, cichą i nieśmiałą. Szybko popadła w całkowitą zależność od Klary, a Klara aranżowała jej schadzki z Jerzym Ludwikiem. Nie musiała wyszukiwać stosownego na nie pomieszczenia. Jej własny dom był dobrze znany jako dom hazardu i rozpusty. Tu, niczym w kasynie, grano w ruletkę i karty, były w nim także pokoje schadzek. Nawet były tam dziewczęta gotowe do usług „złotej”, szalejącej młodzieży. To bujne życie erotyczne i hazardowe wzorcowo nadzorowała sama Klara, hrabina von Platen. Wkrótce Jerzy Ludwik, porzuciwszy łóżce żony, prawie na stałe przeniósł się do domu schadzek Klary. Regularnie odwiedzała go tam Melusine. Tak dobrze przyswoiła sobie lekcje erotyki Klary, że książę Jerzy Ludwik odmłodniał i począł wyglądać na zadowolonego z życia. Nie ukrywał przed żoną swojego związku z Melusine. Wszędzie pojawiał się w jej towarzystwie, na polowaniach, balach, baletach. Wyglądała ta para dość śmiesznie. Melusine, wyższa od swego kochanka o prawie półtorej głowy, ciągle ją nachylała, aby móc usłyszeć swego kochanka. Nie sposób ją było widzieć inaczej, jak tylko z nisko opuszczoną głową, co mogło równie dobrze oznaczać wstyd i wyrzuty sumienia, a może gotowość do oralnego seksu.

Pierwszą reakcją Doroty na wiadomość o zdradzie męża i o tym, że ma on stałą kochankę, była rozpacz i przerażenie. Później zaczęła się żalić na swego męża w listach do rodziców. Matka jej



współczuła, lecz oprócz własnych łez nie mogła w żaden sposób dopomóc córce. Ojciec brał stronę jej męża. „Gdybyś była dobrą żoną i nie szydziła z męża na każdym kroku, nie ośmieszała go bez przerwy, nie zafundowałaby sobie kochanki” – ostro upomniął ją w liście. Nic więc nie pozostało Dorocie, jak tylko publicznie kontynuować swe szyderstwa i ośmieszanie męża, a po nocach łzy wylewać do poduszki i rozpaczać. Trwało to dotąd, aż zjawił się w jej życiu wymarzony królewicz z bajki w postaci oficera Filipa von Konigsmarck. Elegancki dandys, lekkoduch i piękniś, mający ogromne powodzenie u pań, hrabia von Konigsmarck nie znalazł jeszcze tej jedynej i prawdziwej – miłości swego życia. Tą osobą stanie się Dorota, lecz nastąpi to znacznie później. Jego miłość musiała dojrzewać, jak jabłuszko na słońcu. Dorota natomiast zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Ta miłość dużą literą pisana, Wielka Miłość, była porównywana do klasycznych arcydzieł miłosnych par Romea i Julii, Petrarki i Laury, Abelarda i Heloizy, Tristana i Izoldy. Jestem pewna, że kiedyś któryś z producentów, reżyserów czy potentatów finansowych zainteresuje się tą arcynieszczęśliwą miłosną historią, wyciskającą do dnia dzisiejszego łzy z oczu, i opowie o niej szerokiej publiczności. Może i Oscara zdobędzie, bo lud obecnie na równi z brutalizacją życia ciągnie ku romantyce w dobrym, tkliwym gatunku.

Dorota poznała Filipa na balu maskowym w zamku książęcym Leineschloss. Ponoć miała okazję widzieć Filipa na dworze swego ojca, kiedy miała dziesięć lat. Specjalnego wrażenia młodzieniec wówczas na dziewczynce nie wywarł. Teraz to co innego, teraz Dorota, ogromnie nieszczęśliwa w życiu osobistym, dojrzała do miłości. Domaga się tego jej serce, spustoszone doszczętnie ciągłymi awanturami z mężem. Chyba to Szekspir powiedział, że najlepsza pora na uwiedzenie kobiety jest wtedy, kiedy ona jest skłócona z mężem. Taka pora nastąpiła w życiu Doroty. Mąż demonstracyjnie wciąż ją publicznie lekceważył,

o wspólnym sypianiu od czasu, gdy pojawiła się Melusine, mowy nie było. Oto i teraz jej mąż, nie zwracając uwagi na piękną żonę w kostiumie Flory, w białej sukni i kwiatowym wieńcu we włosach, przeszedł obok, żeby zaprosić do tańca hrabinę Klarę von Platen. Kiedy ta zdyszana dama (już skończyła czterdziestkę), z oznakami jawnej astmy, spocona, gruba, zadreptała dookoła Jerzego Ludwika, co miało oznaczać zgrabnego walca, księżę ją zostawił i wziął sobie za partnerkę Melusine. Ta szczapa, długa jak drabina strażacka, która musiała się zginać prawie o połowę, aby objąć w tańcu kochankę, triumfalnie spojrzała na Dorotę. Kochance wielce zaimponowało, że mąż, lekceważąc żonę, pierwszy taniec zatańczył z nią, swoją kurtyzaną. Dorota szybko otarła łzy, kiedy spostrzegła, jak Filip von Konigsmarck, olśniewająco piękny w swym białym aksamitnym stroju obsypanym brylantami, kieruje się ku niej, aby ją zaprosić do tańca. I wszystko się nagle zaczęło. Strzała Amora przeszła serce Doroty celnie i na wieczność. Zresztą w ten wieczór Amor musiał zdrowo się napracować, bo druga strzała również celnie trafiła w serce Klary. I ona zakochała się w Filipie, śmiertelnie i skutecznie.

Nachalnie i bezczelnie zaprosiła Filipa do swych prywatnych pokoi, aby „poczytać sonety”. Filipowi było wszystko jedno, kogo wieczorem ma pieprzyć. Może i Klarę. Abominacji specjalnej nie odczuwał, był pod tym względem niewybredny, a siła, władza i moc Klary na hanowerskim dworze mogły przynieść mu korzyści. Nie omylił się w swych prognozach. Już następnego dnia księżę elekt Ernest August jowialnie poklepał go po ramieniu i zaproponował wielce zaszczytne stanowisko dowódcy straży przybocznej. Opłaciło się – pomyślał Filip, z niesmakiem wspominając noc z brzydką, starą, wulgarną i grubą Klarą. Dawał sobie słowo, że już nigdy więcej nie powtórzy tego seksualnego eksperymentu. Niech tam Brantôme wychwala pod niebiosa wdzięki starych kobiet i ich przewagę nad młodymi niewiastami, posiłkując się zabójczym argumentem: „Zupa ze starej kury jest

tłuszczej niż z młodej”. Ale czy ta tłusta zupa oznacza automatycznie, że jest to zupa smaczniejsza? Śmiały i niepruderyjny Janusz Kawryżka niech nam opisz tę noc Filipa z Klarą, po której on długo nie mógł do siebie, plując z obrzydzenia, a nawet wymiotując.

„Tłusta kobieta, tak samo niemal brzydka jak Danae na obrazie pędzla Goi, leżała nago na boku i fałdy jej brzucha kładły się plastrami na pościel. Niewyżyta wszeteczniczka była przygotowana na upojną noc z pięknym młodzieńcem, którego postanowiła zarówno hojnie wynagrodzić, jak i w tajemnicy przed Ernestem Augustem uczynić swym stałym kochankiem. A Filip, stojąc za zasłoną w jej sypialni, ociąga się i mataczy z seksem. Hiszpańskie muchy, których nałykał się wcześniej, nie bardzo mu pomogły w osiągnięciu sprawności fizycznej. Czuł nieodparty wstręt do tego babsztyla, jakby z maciorą miał leżeć w łóżku.

Zdeprawowana na wskroś, rozpustna kobieta, znudzona dominacją w łóżku księcia Ernesta Augusta, poniżającego ciągle jej ciało domaganiem się perwersyjnych sztuczek, w których nie kobieta grała pierwsze skrzypce, postanowiła wziąć odwet. Teraz ona jest panem. Teraz ona pragnie poniżyć i uwalać partnera w błocie odrażających seksualnych praktyk. Filip musi się podporządkować, jeśli chce mieć pozycję na hanowerskim dworze. Straszliwa złość wezbrała w Klarze. Przypomniała sobie ohydne sceny rynsztokowego seksu, których domagał się od niej zboczeniec, Ernest August. Panie Kawryżko, pomóż nam je przypomnieć, a może Henry Miller lub Norman Mailer to uczynią. No nie, chyba najbardziej odpowiedni będzie opis pióra laureatki Nagrody Nobla E. Jelinek: „Kobieta czeka pokornie jak suka przed samcem. On jest sadystą. On ciągle wsadza z bólem, z targaniem jej za włosy, on bierze ją na brzegu stołu. On ją kopie, dusi, wsadza jej kutasa głęboko do gardła, ona dusi się. Gdy kończy, przyciska jej głowę za włosy do swego łasku łonowego lepkiego od białego mleka i każe jej zlizywać. Ją mdli, jej się zbiera na

wymioty. On leje ją po pysku: nie śmieję, podła” (E. Jelinek, „Pożądanie”).

Nie sposób było uniknąć zalotów Klary. Tak się jej spodobały „sonety”, że codziennie ciągnęła hrabiego Filipa na ich lekturę. On zaś czuł niesamowitą awersję do Klary i z trudem odpierał jej ataki. Klara zakochała się w nim nie na żarty. Czatowała na niego na pałacowych korytarzach, ciągnęła do swego łoża. Nieraz Filip niemal na siłę wyrywał się z jej rąk.

Jego miłość do Doroty rosła. Wreszcie przyszła taka godzina, kiedy zostali kochankami. Na razie platonicznymi. Miłość idealna, według Platona, jest pozbawiona fizycznego pożądania. Filozof ten wyraźnie rozdziela miłość na duchową i fizyczną. Dorota i Filip przeszli etap miłości platonicznej, żeby wreszcie zatopić się bez reszty w miłości fizycznej, stokroć silniejszej, drapieżniejszej, tragiczniejszej, pozbawionej rozwagi, niepoddającej się ani logice, ani rozsądkowi. Tych dwoje śmiertelnie w sobie zakochanych uważało, że można oszukać hanowerski dwór, dla którego podglądanie przez dziurkę od klucza stało się drugą naturą. Na co liczyli, kiedy coraz śmieiej i coraz nieostroźniej urządzali sobie schadzki w różnych miejscach? Pomogła im w tym Aurora von Königsmarck, przyszła kochanka Augusta II, króla polskiego, siostra Filipa. Dawała im lokum, w jej pałacu odbywały się te niby potajemne, a stanowiące sekret poliszynela miłosne spotkania. Filip odczuwał niesamowitą tkliwość do Doroty, dosłownie zaszczutej i przez męża, i przez teściową Zofię, na nieprzyjaznym hanowerskim dworze. Był dla niej jasnym słońcem rozjaśniającym pochmurny dzień. Ich wspólne wieczory stawały się coraz bardziej ciekawe, coraz mocniej zaczęła ich oplatać miłosna sieć. Okazało się, że mają wspólne zainteresowania. Godzinami rozprawiają o sztuce i muzyce. Oboje lubią malować, rozmawiają więc godzinami o obrazach mistrzów. Zapomnieli kochankowie, że są pilnowani przez nieprzyjazną Dorocie hrabinę Klarę von Platen, która nie traci nadziei, aby siłą, metodą

donosów i intryg wyrwać Filipa z serca i pościeli Doroty, sama bowiem pała do niego miłością. Dwa lata już przebywa Filip na hanowerskim dworze. Nie kwapi się z wyruszeniem na wojnę, chociaż obowiązek go tam wzywa. Jak może, przeciąga swój wyjazd. Wreszcie w 1690 roku wziął udział w wojennej wyprawie, która okazała się sromotną klęską i pociągnęła za sobą śmierć tysięcy żołnierzy hanowerskich. Z jedenastu tysięcy żołnierzy hanowerskich, którzy wyruszyli na wyprawę, do domu powróciło ledwie stu trzydziestu. Filip nawet najmniejszej rany nie odniósł, chyba chroniła go miłość Doroty.

Hrabina Klara, widząc, że Filip, w którym nadal była nieprzytomnie zakochana, nie zwraca na nią najmniejszej uwagi, a całe dni przebywa z Dorotą, omotała dwór gęstą siecią szpiegów i posłuszną jej Melusine wciąż intensywnie szkoliła, jak należy obrzydzać Jerzemu Ludwikowi żonę. Usiłowała przechwycić listy, które zakochani pisali do siebie, posługując się językiem francuskim, który najlepiej nadaje się do wyrażania miłosnych uczuć. Na nieszczęście, kilka takich listów trafiło do rąk Jerzego Ludwika, mimo iż kochankowie byli bardzo ostrożni. Listy były adresowane na imię Eleonory von Knesebeck, pokojówki i przyjaciółki Doroty, jedynej bliskiej jej osoby na wrogim hanowerskim dworze. Ta miłosna korespondencja, licząca kilkaset listów, nosiła znamiona cudownej epistolarnej miłosnej liryki, była bowiem dyktowana sercem, nie rozsądkiem. „Hulały” później po całej Europie te listy, wywołując łzy w oczach sentymentalnych pań, współczujących Dorocie i jej zabitemu kochankowi Filipowi von Königsmarck.

Kochankowie nie mogli już żyć bez siebie. Byli zajęci albo randkami, albo pisaniami do siebie listów. A hrabina Platen nieprzerwanie ich śledziła, donosząc o wszystkim Jerzemu Ludwikowi. Uczyniła jeszcze ostatni rozpaczliwy krok, żeby związać ze sobą Filipa. Zaproponowała mu małżeństwo ze swoją grubą jak beczułka, lecz bardzo bogatą córką. Widocznie liczyła

na to, że będą współżyć we troje, córka przecież była całkowicie zniewolona przez matkę i we wszystkim jej podporządkowana. Filip z pogardą odrzucił tę propozycję. Dla niego istniała tylko jedna jedyna istota na świecie – jego ukochana Dorota.

Język zakochanych tylko dla nich samych jest bogaty. W rzeczywistości jest to język bardzo ubogi w słowa. O czym można pisać po kilka razy w ciągu dnia? O wszystkim. Filip upajał się słowami miłości, jak alkoholik wódką, jak narkoman narkotykami, opisywał, co czuł, gdy brał ją w objęcia, jaką nieziemską rozkoszą ona go obdarzała, jaką ekstazę przeżywali wspólnie. Oto fragment jego listu: „Gdybym tak mógł raz jeszcze doświadczyć tej chwili. O, gdybym mógł zakończyć życie w aurze Twojej słodyczy, upajając się Twoją cudowną czułością! Jakże silnie rozpala się nasza namiętność!”. Gdy byli w miejscu publicznym, wymieniali płomienne spojrzenia, tylko głupi ignorant nie byłby w stanie ich spostrzec. Na dworze rozpełzły się jadowite plotki: księżna jest niewierna swemu mężowi. Jakoś zapomniano o tym, że to on jest jej niewierny i od dłuższego czasu posiada kochankę. Ale przecież to, co wolno mężowi, w żaden sposób nie przystoi żonie. Kilka listów miłosnych dostało się do rąk księcia. Elektor Ernest August postanowił działać. Hrabina Klara von Platen wreszcie osiągnęła swój cel. Przechwycone listy stanowiły podstawę prawną do rozpoczęcia procesu rozwodowego. Ale hanowerscy książęta rozwodu nie chcieli. Jeżeliby do niego doszło, trzeba by wtedy zwrócić ogromny posag Doroty. Sprawa posagu grała zwykle pierwszorzędną rolę w zaniechaniu rozwodów królów z niewiernymi żonami. Przypomnijmy, jak Marek Aureliusz, rzymski cesarz, argumentował, dlaczego nie bierze rozwodu z rozpustną żoną Faustyną: „Wówczas musiałbym zwrócić jej posag”.

Książęta hanowerscy postąpili inaczej: siostra Filipa, Aurora Konigsmarck, w której domu odbywały się miłosne schadzki kochanków, została wydalona z Hanoweru, a Filipa wcielono do wojska i odesłano na wojnę z Ludwikiem XIV. Stamtąd trudniej

prowadzić korespondencję ze swoją ukochaną, a dowództwu polecono, żeby mimo licznych próśb Filipa nie udzielało mu urlopu. Pozbawiona kochanka Dorota wpadła w straszną depresję, w czarną melancholię, jak to wtedy nazywano, całymi dniami płakała, nie jadła, schudła strasznie i zbladła. Pewnego razu doszło do dzikiej awantury z mężem, który w szale nie tylko ją pobił, lecz zaczął dusić i tylko interwencja sług uratowała Dorotę.

Związek Doroty z Filipem Konigsmarck trwa już cztery lata, uczucie wciąż wzrasta i przyjmuje niebezpieczne formy desperacji. Filip, nie mogąc znieść rozłąki Dorotą, postanowił zdezerterować z wojennego obozu. Sześć dni pędził konno, wreszcie zjawił się w pokojach Doroty brudny, zakurzony i szczęśliwy. Kochankowie rzucili się sobie w objęcia i morze im po kolana, świat jest bezsilny wobec ich gorącego uczucia. Lecz trzeba ponieść konsekwencje za swój czyn. Filipowi za dezercję grozi sąd wojenny, który może się zakończyć nawet skazaniem na ścięcie. Lecz bogowie czuwają nad miłością zakochanych. Szczęśliwym trafem sprawa trafiła w ręce marszałka Heinricha von Podewilsa, który, wzruszony tą niecodzienną miłością, ukarał Filipa ledwie kilkoma dniami aresztu. Lecz dał mu dobrą radę: trzeba skończyć ten niebezpieczny romans z księżniczką Dorotą i oddalić się z dworu. Marszałek jakby przeczuwał przyszłą tragedię.

Filip po części posłuchał rady marszałka. Wyjechał do Drezna na koronację swego przyjaciela, Augusta II, i pozostał u niego na służbie, obejmując stanowisko generała majora artylerii. Niedługo jednak przebywał na saskim dworze. Uciekł stamtąd, pędzony tą nieujarzmioną siłą, której na imię szaleńcza miłość. Potajemnie, w przebraniu wieśniaka, przybył na hanowerski dwór namówić Dorotę na potajemną ucieczkę. Jej namawiać nie trzeba, jest gotowa dzielić wszystkie trudy żony oficera, byleby znaleźć się jak najdalej od przeklętego Hanoweru, od wrogiego jej pałacu, od intryg hrabiny von Platen, która nieustannie, jak sumienny

strażnik, pilnuje ją i śledzi. Także ten sekretny przyjazd Filipa nie uszedł jej uwadze. Zawiadomiła o nim księcia Ernesta Augusta, swego kochanka, wymuszając na nim wydanie pisemnego rozkazu nakazującego aresztowanie Filipa. Kiedy to nastąpiło, dalszy obrót sprawy wzięła całkowicie w swoje ręce. Ta okrutna kobieta, płonąca demoniczną zazdrością, ociekająca nienawiścią, postanowiła zabić Filipa za to, że wzgardził nią jako kobietą, także zazdroszcząc kochankom ich miłości absolutnej, takiej, o której śnią poeci. Postępowała jak w znanej anegdocie: „Sąsiadowi zdechła krowa, nie moja to przecież sprawa, ale jakże przyjemnie”. Wszystko co wyrasta ponad ogólnie przyjęte normy wzbudza zazdrość nikczemnego człowieka. Hrabina Klara von Platen nie mogła pogodzić się z tą niecodzienną miłością Doroty i Filipa, taką, o której można było tylko pomarzyć. Wynajęła czterech żołnierzy, pokazała im pisemny rozkaz Ernesta Augusta nakazujący aresztowanie Filipa von Königsmarcka i upiła ich do nieprzytomności, aby wyzwolić w nich agresję. Przecież muszą zabić Filipa. Areszt Filipa to tylko pretekst. Tej rozjątrzonej z nienawiści kobiecie nie sposób żyć na jednej ziemi z Filipem i Dorotą. Plany swe ziściła. Zabójstwo Filipa było podstępne, krwawe, okrutne.

A tymczasem on i Dorota omówili już wszystkie szczegóły ucieczki do Wolfenbüttel. Wezmą ze sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy, trochę pieniędzy, trochę kosztowności, kareta z szybkimi końmi już jest wynajęta, czeka w lesie, jutro nocą uciekną i osiągną swobodę, wolność, mogą żyć w nędzy, ale razem, i ze swoją ogromną miłością. W wieczór poprzedzający ucieczkę Dorota, przyjmując potajemnie Filipa w swych pokojach, długo nie chciała go z nich wypuścić. „Najukochańsza, czas już na mnie” – mówił Filip, a ona, jakby w przeczuciu nadciągającego nieszczęścia, nie pozwalała, aby się wyzwolił z jej objęć. Już ruszył ku drzwiom, jeszcze jeden krok a odejdzie, ale Dorota znowu go woła. Podbiegł. A ona, rosząc go łzami, szlochając jak



perska płaczka, przylgnęła do jego piersi, zimnymi rękoma gładzi jego policzki, całuje w nieskończoność. Z trudem wyrwał się z jej objęć. „Już niedługo, najdroższa, będziemy razem” – wyszeptał, zamykając pośpiesznie za sobą drzwi. Hrabina Klara von Platen postarała się, żeby „czarne” wyjście zostało z drugiej strony zaryglowane. Filip musiał wracać przez salę rycerską, gdzie w mroku czterech pijanych drabów czekało na niego z ostrymi mieczami. Rzucili się całą zgrają, bezlitośnie siekąc i kłując bezbronnego. Kiedy Filip konał w kałuży własnej krwi, wyłoniła się zza kotary Klara von Platen i ostrym obcasem nastąpiła na głowę Filipa. Do jakich granic bestialstwa, Drodzy Czytelnicy, dochodzi nienawiść zawiedzionej w swym uczuciach kobiety, której miłość, niczym sfermentowane wino, staje się octem, przeistacza się w bezmyślne okrucieństwo. Mistrzu Freudzie, nawet tobie, twórcy genialnej teorii podświadomości, nie śnił się taki przykład zezwierżenia człowieka. Księżciu Ernestowi Augustowi powiedziano, iż Filip zbrojnie uchylał się od aresztu, zaatakował straż i został zabity podczas szarpaniny. Dorota została aresztowana, a jej mąż bezkarnie zawładnął jej posagiem. Bowiem ojciec Doroty, zapoznawszy się z miłosnymi listami córki, które otrzymał od księcia Hanoweru, przeklął ją i oświadczył, że nie chce o niej już nigdy słyszeć. Na wpół obłąkana kobieta siedzi w ciemnicy i marzy. Marzy i czeka, kiedy przyjedzie jej ukochany książę z bajki i wyzwoli ją. W śmierć Filipa nie wierzy. Nie może dopuścić, żeby Bóg był tak okrutny. Zmarła jej matka, uwięziono najbliższą przyjaciółkę, Eleonorę Knesebeck, przeklął ją ojciec, ona wciąż przebywa w zamknięciu. „O nie, wielki i sprawiedliwy Boże, ty nie możesz być tak okrutny” – szepcze. Księżnej pilnuje oficer o nazwisku Bessingen, strażnik na hanowerskiej służbie, późniejszy minister Aleksandra I i jeden z uczestników zabójstwa jego ojca, Pawła I. Często podchodzi do drzwi ciemnicy i nasłuchuje. Słysząc spoza nich cichy płacz, tak może płakać tylko bardzo nieszczęśliwa kobieta. Bessingenowi ogromnie żal

księżnej. Powziął nawet zamiar oswobodzenia jej. Zamiar nie udał się, odkryto jego intencje, oddalono Bessingena.

Może wyzwoli Zofię Dorotę jej córka, Zofia Dorota młodsza, przecież została żoną możnego króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma I? Lecz ten tyran i sadysta, katujący własnego syna, przyszłego Fryderyka Wielkiego, na którego oczach – z rozkazu króla – odcięto głowę jego najlepszemu przyjacielowi, nie chce mieć nic wspólnego z Zofią Dorotą z Celle. „A niech sobie zgnije w tym swoim zamku Ahlden” – krzyczy, a żona boi się nagabywać męża. Może jej pomoże syn, przyszły Jerzy II, król angielski? Ten dwudziestoletni młodzieniec wskoczył pewnego dnia na konia i pogalopował do zamku Ahlden, w którego dwóch komnatach uwięziono Dorotę. Nie wpuszczono go do wnętrza. Zobaczył tylko matkę w osłoniętym kratami oknie, jak ocierała łzy i posyłała mu pocałunek. W niczym nie mógł pomóc własnej matce.

Wraz z Dorotą rozpaczała Europa. Panie leją łzy, współczując uwięzionej księżnej. Europa jest zaniepokojona. Nawet Ludwik XIV wystosował notę na hanowerski dwór z żądaniem śledztwa w sprawie zniknięcia hrabiego Filipa von Königsmarck i uwięzienia księżnej Doroty. Hanowerski dwór milczy, schował jak struś głowę w piasek i jest głuchy na nawoływania Europy. Próbuje działać siostra Filipa, Aurora von Königsmarck, przebywająca na saskim dworze Augusta II Mocnego. Król zakochał się w niej, uczynił ją swoją kochanką, urodzi mu troje czy czworo dzieci, nie pozna nigdy tajemnicy zniknięcia swego brata. A jego zwłoki spoczywają pod posadzką hanowerskiego pałacu.

28 grudnia 1694 roku zapadło orzeczenie w sprawie rozwodowej księżnej Doroty i Jerzego Ludwika. Odebrano jej tytuł księżnej Hanoweru. Rozwiedziona żona i osoba bez tytułu – taki oto był bilans jej niezwykłej miłości. Gdy w 1714 roku zmarła angielska królowa Anna, Jerzy Ludwik został królem Anglii, Jerzym I. Był jednym z pięćdziesięciu siedmiu kandydatów pretendujących do angielskiego tronu. O jego wyborze nie

zdecydowały jego walory osobiste, które były równe zeru, lecz to, że był protestantem. Pomyśleć tylko, Dorota mogłaby zostać królową Anglii, gdyby wcześniej wyrzekła się swej szaleńczej miłości! Dwadzieścia osiem lat miała Dorota, kiedy ją uwięziono w zamku Ahlden. Obecnie ma już sześćdziesiąt. Trzydzieści dwa lata przesiedziała w więzieniu. Ani na chwilę nie zapomniała o swym ukochanym. Żyła wspomnieniami o nim. W 1705 roku zmarł jej ojciec, na łożu śmierci wybaczywszy córce, zmarła jej koleżanka, Eleonora, dawno już zmarła jej matka. Teraz i ona przygotowuje się do śmierci. Przeklęła swego męża, nigdy nie wybaczyła mu swego uwięzienia. Zmarła sparaliżowana, oślepta. A dokładnie w rok i jeden dzień po jej śmierci zmarł jej mąż, król Anglii Jerzy I, zgodnie z wcześniejszą przepowiednią: „Umrzesz za rok po śmierci żony” – powiedziała niegdyś sześcioltniemu chłopcu Cyganka.

Klara von Platen w ostatnich latach swego życia wpadła w obłąd. Nie mogła spokojnie przechodzić przez salę rycerską. Nikt przecież nie wiedział, że pod jej posadzką, zalane wapnem, spoczywają zwłoki Filipa von Königsmarck. Ręce jej się trzęsły, nie mogła na nie patrzeć, bo – tak jak lady Makbet – widziała na nich ślady krwi Filipa. Myła, szorowała, ślady nie znikwały. Żadnymi arabskimi wonnościami, którymi polewała swe ręce, nie sposób było stłumić cierpkiego zapachu jego krwi. Szczątki Filipa zostaną odkryte kilkadziesiąt lat później, podczas remontu hanowerskiego pałacu. Jego wypolerowane do białości kości zostaną umieszczone w gablocie w sali muzealnej, aby przypominać o ludzkim okrucieństwie i tragicznej miłości.

## **Matylda, żona Chrystiana VII Oldenburga**

Karolina, buntownicza, samolubna siostra angielskiego króla Jerzego III, znana w historii jako Matylda, na usprawiedliwienie swego cudzołóstwa miała gotową maksymę: „Niewierność wobec małżonka, którego poślubiono wbrew własnej woli, nie jest grzechem”. Była prawnuczką Doroty Hanowerskiej i prawie identycznie powtórzyła los tamtej. Taka sama gorąca miłość do ukochanego mężczyzny, nienawiść do męża, wstręt do małżeńskiego łoża, uwięzienie, pragnienie wolności, trwanie w nieszczęściu, które rujnuje człowieka i sprzyja jego śmierci.

Kiedy ją, ledwie piętnastoletnią, postanowiono wydać za mąż za siedemnastoletniego króla Danii Chrystiana VII, zdradzającego od wczesnej młodości oznaki chorego umysłu, które z czasem mogły się przeobrazić w poważną chorobę, broniła się przed tym rękoma i nogami, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Tarzała się jak histeryczka po podłodze, zanosila się spazmatycznym płaczem, a potem, gdy jechała z Londynu do Kopenhagi, ciągle szlochała. Słyszała o złych nawykach króla. Mimo tak młodego wieku był alkoholikiem. Pił bez umiaru równie bez umiaru łajdaczył się z pałacowymi damami. Wcześniej, zanim został królem, był ciągle bity. I to przez wszystkich: ojca, guwernerów, nawet przez służących. Dlatego jego reakcja na wieść, że został królem, była nietypowa. Podniósł na posłańca swe zamglone oczy i z powagą zapytał: „Czy to oznacza, że już nie będę bity?”. Łojenie skóry dziecku, wbrew sądom niektórych pedagogów XVIII wieku, przynosi fatalne rezultaty. Wyzwała w dziecku agresję i chęć zemsty. I tylko rozwijająca się choroba umysłowa przeszkodziła duńskiemu królowi Chrystianowi VII stać się okrutnym tyranem.

Nic będziemy opisywać nocy poślubnej nowożeńców, Była taka sobie, średnia, lecz skuteczna. Małżeństwo zostało skonsumowane i już w 1767 roku milcząca i apatyczna królowa

Matylda urodziła syna, przyszłego króla Danii, Fryderyka. Jej depresyjny nastrój na chłodnym, a nawet lodowatym kopenhaskim dworze jeszcze bardziej się pogłębił, gdy w 1769 roku dowiedziała się, że jej mąż, szlajający się regularnie z dziewczkami, zaraził ją syfilisem, chorobą rozpowszechnioną w tamtych czasach, której jeszcze nie umiano skutecznie leczyć. Stan psychiczny królowej Matyldy był bardzo ciężki. Zamknęła się szczelnie w swej komnacie, przestała przyjmować posiłki, płacząc bez przerwy. Nieszczęśliwą królową targaly różnorodne uczucia, górę w nich zaczęła brać nienawiść do męża, mimo iż na kolanach próbował ją prosić o wybaczenie tej „małej wpadki”. Znalazła się na granicy groźnej depresji, czyli czarnej melancholii, choroby niebezpiecznej, kończącej się często suchotami, to znaczy gruźlicą, której także nie umiano leczyć. Wreszcie królowa Matylda uległa naleganiom męża, zdecydowała się poddać leczeniu u doktora Johanna Friedricha Struensee, nadwornego lekarza, a raczej przyjaciela króla Chrystiana VII. Nie wiadomo, jakie środki zastosował doktor Struensee w leczeniu syfilisu. Może to były rtęciowe preparaty, którymi leczono przyszłego francuskiego króla Karola X, może kwas mrówkowy, jaki zastosowano w leczeniu Ludwika XIV, może odwar z kory brazylijskiego drzewa, którym próbowano leczyć zmarłego na syfilis Franciszka I, a może leżenie we wspólnej pościeli z chorymi na trąd, metoda stosowana przez Iwana Groźnego. Nic na ten temat nie wiemy. Była to zawodowa tajemnica doktora. Jego zabiegi zostały uwieńczone sukcesem. Matylda została wyleczona z syfilisu i na zawsze porzuciła małżeńskie łóżko.

Zakaźną chorobę doktor Struensee wyleczył, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że Matylda znajduje się w stanie początkowej choroby psychicznej. Schnie jej dusza w kieracie beznadziejnego życia kopenhaskiego dworu u boku infantylnego męża, zubożniałego, coraz bardziej popadającego w obłąd. Jeśli nie wyleczy się zranionej duszy Matyldy, królowa może umrzeć.

Doktor Siruensee, który nie znał teorii urodzonego wiek później Freuda, intuicyjnie zrozumiał, że należy leczyć Matyldę... seksem. To znakomite panaceum na psychiczną chorobę, o czym doskonale wiedzą zgryźliwe, nieszczęśliwe stare panny, stające się megierami z braku seksualnej satysfakcji i aniołami, gdy im zostało dostarczone to „jadło”. Jest cudowne opowiadanie naszego pisarza Marka Hłaski o tym, jak w domu wariatów została wyleczona psychicznie chora kobieta, do której co noc na balkon spuszczał się po linie pacjent z wyższego piętra, również chory umysłowo, żeby do rana uprawiać z nią miłość z zajadłością dzikiego ogiera. Kobieta po takich wizytach zaczęła pomału wracać do zdrowia, aż całkowicie się wyleczyła. Lekarze nie omieszkali tego sukcesu przypisać sobie, a ściślej działaniu nowego preparatu, którego skuteczność wypróbowywali na chorej.

Doktor Struensee sumiennie zaczął seksualną kurację królowej, naturalnie, jako jej kochanek. Królowa Matylda oniemiała z wrażenia. Nigdy nie podejrzewała, że nudne małżeńskie współzycie może się przeistoczyć w boską rozkosz, w najprzyjemniejsze z doznań człowieka. Swej czci ciała nie broniła, nudny seks z mężem chętnie zamieniła na nader wesoły z lekarzem. Psychiczny i fizyczny stan królowej Matyldy znacznie się polepszył. (Co za cudowna metamorfoza! Rozśpiewana biega po pałacu i nie targa już służek za warkocze, nie rzuca w służących czym popadnie. Poczucie szczęścia zmienia człowieka nie do poznania. Matylda, która jeszcze kilka miesięcy temu rozmyślała bezustannie o śmierci, teraz rozkwitła i dla życia i dla polityki. Wraz ze swym kochankiem, doktorem Struensee, który został wyniesiony do godności ministra, pragnie rządzić Danią przy boku męża, coraz bardziej obłąkanego, już niemal idioty. W Chrystianie wraz z rozwojem psychicznej choroby zmniejszył się seksualny pociąg. Nie dokucza mu już chuć, dziewczki dawno zostały odesłane z dworu. Król żyje w sferze fantazji i urojeń. Przeobraził się w

małe dziecko, domagające się macierzyńskiej pieśczoły. Podchodził do żony, nawet w obecności doktora Struensee, ufnie kładł głowę na jej kolana, mruzczał jak syty kotek, gdy Matylda głaskała jego włosy. Ten duński trójkąt był sobie przyjazny, jak ten powszechnie znany: admirał Nelson, Emma i sir Hamilton. Charakter króla Chrystiana wraz z rozwojem psychicznej choroby zmienił się nie do poznania. Stał się małym, posłusznym dzieckiem, którego największym szczęściem było przebywanie wraz z żoną i jej kochankiem. Sam zachęcał doktora, żeby sypiał z jego żoną, przecież Matylda to młoda, piękna kobieta, która potrzebuje miłości i seksu z dużej litery, idiota to rozumiał. Teraz Chrystian już nie rządzi państwem, swoją władzę ogranicza do składania zamasztyego podpisu na dokumentach i papierach. Podnosił pióro niczym miecz i z siłą wodził nim po papierze, radośnie stwierdzając: „Ja rządę, przecież ostateczne słowo należy do mnie”.

Nie będziemy zanudzać czytelnika, jakie ekstremalne reformy zaczął przeprowadzać doktor Struensee, kiedy całkowicie wzięął władzę w swoje ręce. Szlachta była zbulwersowana, wystąpiła przeciwko niemu, jej bunt trzeba było zdławić siłą. Matylda absolutnie została zniewolona przez swego kochanka. Z psim oddaniem patrzy mu w oczy, łapie każde wypowiedziane przez niego słowo, które staje się autorytatywnym rozkazem. Wsłuchuje się w wypowiedziane przez doktora maksymy epikurejczyków, usprawiedliwiające cudzołóstwo: „Asceza płciowa to szyderstwo z potęgi seksu”. Tę potęgę odczuwa codziennie, nie ma zamiaru w imię Bożych przykazań wpadać w seksualną ascezę. „Chrześcijanin jest człowiekiem boleśnie rozdwojonym, jego stosunek do ciała jest zawsze negatywny, niby jest to narzędzie szatana, a przecież człowiek nie może się bez tego szatana obejść. Staje się zatem pokrętny i obłudny” – twierdzi doktor, aluzyjnie dając znać, że jego stosunek z Matyldą nie jest grzeszny. Nasłuchawszy się takich tyrad doktora, Matylda z. coraz

większą zuchwałością demonstruje swoją z nim zażyłość. Samotne przejażdżki konne, bez świty i sług, długie spacery po parku przy księżycu, kopulowanie na łonie natury. „Królowa zapomniała o czci i godności” – szepczą dworacy. „Królowa plami honor majestatu” – coraz częściej zaczyna się mówić na dworze. Nie ona pierwsza, nie ona ostatnia – cudzołóstwem jest usłane piekło na królewskich dworach, lecz żeby tak demonstracyjnie, bez cienia kamuflażu, bez należytej ostrożności – tego dwór Matyldzie nie może wybaczyć. Stosunek do moralności wszędzie, we wszystkich wiekach jest ten sam – grzesz, lecz czyn to w ukryciu, nie obnoś się ze swoim cudzołóstwem, jak z torbą malowaną przez wielkiego artystę, nie gorsz dworu, nie bulwersuj go. A ona oburzała, ona rzuciła rękawiczkę dworowi. A on przecież ma swoje, i to pod dostatkiem, jedwabne, długie do ramion, które nakładało się na bale, na których tańczono z kochankami, miłując się dyskretnie i nie wystawiając swej chuci na pokaz. Dwór cyrków nie lubi, dwór przeżarty hipokryzją, obłudą i kłamstwem, uwielbia udawanie. Udawanie pozornej cnoty jest bardziej przyzwoite od jej nagiej demonstracji. Nagi instynkt jest dobry, ale w filmach, nie w życiu. Czyż nie te prawidła o podwójnej moralności arystokratów wbijał w nasze łepetyny staruszek Lew Tołstoj w swej kultowej powieści „Anna Karenina”? „Zdradzaj mnie, kochana żono, jeśli masz ochotę i tego domaga się чуć, lecz czyn to przyzwoicie, bez skandalizującego demonstrowania swego cudzołóstwa”. No cóż, Karenin miał rację – ludzkość nie znosi każdej demonstracji i nieważne czy to będzie cudzołóstwo, demonstrowanie własnego intelektu, czy pierwszomajowy pochód. Wszyscy przecież jesteśmy ledwie ludzikami, człowieczkami, pchełkami małymi – mawiał bohater Gorkiego, Luka. Kto chce wyjść poza przeciętność, musi być tytanem, albo szaleńcem. Tyranię tytanów to jeszcze ludzkość może przyjąć. Dworak Verdi zapisał w swym dzienniku i dał to do przeczytania innym dworakom: „Jej



Wysokość królowa Matylda nie może oderwać od doktora Struensee oczu, pozwala mu publicznie na wszelką swobodę. Królowa gorszy dwór i Majestat”. No i nadszedł czas, żeby na scenę wystąpiła Juliana Oldenburg, macocha Chrystiana VII, druga żona Fryderyka V. Jest arcyprotestantką, jej jedynym celem w życiu jest posadzenie na tronie swego syna Fryderyka. Lecz na razie następcą tronu jest syn Matyldy. Kiedy oficjalnie Matylda zostanie uznana za cudzołożnicę, a Chrystian VII za psychicznie chorego, droga do tronu dla jej syna zostanie otwarta. To nic, że jest jeszcze większym idiotą niż Chrystian VII (coś nie tak było ze spermą duńskiego króla Fryderyka V, skoro płodził idiotów), lecz przecież regentką przy obłąkanym synu będzie Juliana, która ma polityczne ambicje i zamierza wykurzyć doktora i jego kochankę, królową Matyldę.

Wykorzystując zły stan psychiczny Chrystiana VII, który wpadł w obłąd (bywało, że na krótki czas król odzyskiwał zmysły), Juliana zmusiła króla do podpisania rozkazu nakazującego aresztowanie doktora i Matyldy. Król podpisał ten dokument. Być może uczynił to z takim samym pietyzmem, jak podpisywał inne podsuwane mu papiery. Kilka godzin później ten dwudziestoparoletni król, wyglądający na sześćdziesięciolatka, będzie domagał się towarzystwa doktora i Matyldy. Zostanie dosłownie sparaliżowany wiadomością, że oboje zostali aresztowani i to na mocy jego rozkazu.

Królowa Matylda urodziła od doktora Struensee córeczkę, Luizę, która w chwili aresztowania matki miała sześć miesięcy. Ponieważ Matylda karmiła ją piersią, pozwolono jej wziąć ze sobą dziecko. Przywieziono ją do pałacu Kronborg koło Helsingor w eskorcie trzydziestu żołnierzy. W tym mrocznym zamku rozgrywał się dramat Szekspira. W nim mieszkał Hamlet. Ta ponura stara twierdza, owiana legendarną mroczną sławą i pełna duchów, była kiepskim domem dla Matyldy. Umieszczono ją w ośmiokątym pokoju, wilgotnym, bez okiennic i kominka. Istotnie, przypominał

więzienną celę. Myśl o losie kochanka nie dawała spokoju Matyldzie. Sądziła, że jej brat, król Anglii Jerzy III, ujmie się za nią, wyzwoli ją, były to daremne oczekiwania. Jerzy III na wiadomość o postępach siostry, która zhańbiła królewski dom, także i angielski, spalił wszystkie jej listy. Jego małżonka, królowa Charlotta, ze wstydu za swoją szwagierkę, wycofała się z życia publicznego. Okazało się, że litości od swej angielskiej rodziny Matylda nie mogła oczekiwać.

Uwięziony doktor Struensee próbował popełnić samobójstwo, waląc głową o mur swej celi. Niektórym udawała się taka śmierć. W podobny sposób zmarł starszy brat Herolda Wielkiego, króla Judei. Doktorowi to się jednak nie powiodło, poranił się, ale nie na tyle, aby go nie poddać torturom, nakłaniając, aby przyznał się do cudzołożenia z królową i ją na dodatek obciążył winą za „swe uwiedzenie”. Doktor podczas tortur cierpiał, lecz trzymał się twardo, do niczego się nie przyznając. Juliana użyła podstępu: doktorowi powiedziano, że królowa Matylda do wszystkiego się przyznała i jeśli on chce zachować swe życie, musi uczciwie o wszystkim opowiedzieć. Pisarczyk więzienny miał pełne ręce roboty: długo zapisywał zeznania doktora Struensee. A potem doktora zabito. Egzekucja, która miała miejsce 18 kwietnia 1772 roku, była egzekucją publiczną, przeprowadzoną z całym mistrzowskim kunsztem okrucieństwa. Na szafocie stały dwa pieńki: mały i duży. Mały służył do odrąbania ręki doktora, która ośmieliła się dotknąć królową, duży do odcięcia mu głowy, w której poczęły się roić zdołne myśli o zagarnięciu władzy. Nie starczyło fantazji Julianie, żeby postawić jeszcze i trzeci pieńki do odcięcia genitaliów doktora, prawdziwych winowajców kłopotów Matyldy. Przecież tak zawsze czynili „mądrzy” władcy: Filip piękny odciął genitalia kochankom swych synowych, z którymi ośmieliły się zdradzić jego synów, a Iwan Groźny nie tylko odciął genitalia kochankowi swej siódmej żony, Wasyłisy Mielentiewej, lecz nawet włożył mu je do

ust.

Matylda długo płakała w swej celi na wiadomość o śmierci doktora, potem poprosiła o pozwolenie na wyjazd z Danii. Nie znalazła tu szczęścia, postanowiła wracać do ojczystej Anglii. Jerzy III, jej brat, który poczuł litość do siostry na wiadomość o jej uwięzieniu, był gotów ją przyjąć, lecz jego małżonka, dewotka Charlotta, wyraziła sprzeciw, wysuwając zabójczy argument: „Nie chcę, żeby ta rozpustnica zdeprawowała moje kryształowo czyste córki”. Mówiąc to, opuściła oczy, bo wstyd jej było kłamać przed panem Bogiem. Przecież jedna z jej sześciu córek, Matylda, niedawno urodziła nieślubnego syna. Jego ojcem był szpetny, z ognistą plamą rozlaną na połowie twarzy, pięćdziesięciosześcioletni generał Thomas Garth. Gdy matka zdziwiła się, że takiego szpetnego, starego człowieka wybrała sobie córka na kochanka, Matylda bezczelnie ripostowała: „Na bezrybiu... A co miałam robić, mamó, ja, dwudziestopięcioletnia stara panna zżerana chucią? Żyjemy jak mniszki pilnowane przez starych, brzydkich służących, nigdzie nie by warny, prowadzimy klasztorne życie, wy z papą nie zamierzacie nas za mąż wydawać, co miałam robić? Czekać do starości, ociekając pożądaniem jak suka cieczką? Dziękuję, nic dla mnie taki los”. Na dworze zostało ogłoszone, że księżniczka Matylda cierpi na puchlinę wodną. W jej intencji lud modlił się w protestanckich kościołach, a ona tymczasem urodziła syna, którego ojciec zabrał na wychowanie. Modły ludu odwołano – księżniczka już szczęśliwie wyleczyła się ze swej przypadłości. Lud wierzył, bo przyzwyczał się wierzyć swym władcom. Pozostałe córki zaczęto pilnować staranniej.

Dwór Jerzego III i Charlotty był śmiertelnie nudny, pusty, rdzewiał jak nienaoliwione zawiasy w drzwiach i stanowił niechlubny przykład tego, jak nie należy żyć w cnocie, która stała się swym przeciwieństwem, a nawet przekleństwem. Wobec uporczywości żony, która nie chciała się zgodzić na przyjęcie Matyldy na królewski dwór, Jerzy III, zdradzający, jak i cała jego hanowerska

rodzina, coraz większe oznaki obłąkania (całkowicie zwariował w 1811 roku), przeznaczył Matyldzie zamek Celle. W nim siedemdziesiąt lat wcześniej mieszkał jego pradziadek, ojciec Doroty, która tutaj została pochowana w rodzinnym grobowcu. Rozpoczęło się nudne, nijakie życie Matyldy, przerywane wspomnieniami o gorącej miłości do doktora Struensee i modlitwami za jego duszę. Zmarła Matylda w 1775 roku w wieku... dwudziestu czterech lat. „Ech, jej by żyć i żyć” – powiedział jeden z dworaków. To prawda, lecz królewskie dwory bezlitośnie miały, niczym młyny mąkę, ludzkie losy, nie zważając na wiek. W rodzinnym grobowcu w Celle grób Matyldy znajduje się w sąsiedztwie grobu Doroty Hanowerskiej. Przychodzą turyści, składają na nich kwiaty. Nieraz któraś z dam otrze chusteczką łezkę, która się po jej policzku potoczy. Przecież historie o wielkich tragicznych miłościach wciąż wzruszają.

## **Karolina, żona Jerzego IV Hanowerskiego**

Ta niewiasta kontynuuje plejadę nieszczęśliwych, niechcianych żon na hanowerskim dworze.

Kiedy w 1811 roku angielski król Jerzy III całkowicie zwariował, na angielski tron wstąpił jego syn, książę Walii, Jerzy III. Naturalnie, że ten trzydziestodwuletni mężczyzna-król musiał się ożenić. A jemu się nie chce. On ma morganatyczną żonę, Marię Annę Fitzherbert, ma z nią dzieci i jest szczęśliwy z tą pobożną katoliczką, wdową.

Lecz służba nie družba! Anglii jest potrzebna królowa, matka dzieci królewskich, przyszłych dziedziców tronu, z nieślubnych dzieci królów, niestety, nie uczynisz. Jerzy IV zgadza się poślubić szesnastoletnią Karolinę Amalię Elżbietę, córkę Karola Wilhelma, księcia brunszwickiego. Lord Malmesbury, utalentowany swat, wyruszył do niemieckiego księstwa, aby obejrzeć księżniczkę i wyrazić o niej swoją opinię. W liście do Jerzego IV wychwalał walory księżniczki. Natomiast opinia sformułowana na jego prywatny użytek była zgoła inna. Wskoczyło z książęcych komnat rozczochrane stworzenie w brudnej sukni, w krzywo nałożonych pończochach, z potarganymi włosami, robiące wrażenie niedomytego i niedoperfumowanego – tak prezentowała się ewentualna narzeczona księcia Walii, przyszłego króla Jerzego IV.

Znamy, Drogi Czytelniku, brudnawe królowe. Oto rosyjska caryca, Anna Joanmowna, która nigdy się nie myła, tylko nacierała krowim tłuszczem i śmierdziała jak wół roboczy. Biedny jej kochanek, Ernest Biron, zanim z nią do łóżka poszedł, opryskiwał się litrami perfum, a podczas stosunku płciowego zatykał sobie nos chusteczką, przez co opóźniał orgazm carycy. Janusz Kawryżka powiedziałaby: „Brudnawa ta caryca, ale co za pieśczocho!“. Nigdy lub prawie nigdy nie mył się Henryk IV, a swój nieznośny zapach, mieszaninę potu, czosnku i spermy,

nazywał „męskim zapachem”. Z dumą powtarzał swym kochankom: „To u mnie od dziada, ten męski zapach”. Nie lubił kąpać się i Król Słońce, Ludwik XIV, któremu na dodatek śmierdziało z ust, bo źle leczone przez dentystów zęby przeobraziły się w czarne, gnijące pieńki. Król, w swym białym atłasowym kostiumie, w otoczeniu złotego przepychu Wersalu, po prostu śmierdział. Jego metresa, markiza Montespan, kobieta o ostrym języku, bez skrpułów mówiła królowi: „Sire, od was brzydko pachnie”. Oktawian August rzadko się mył, uczęszczał do łaźni parowej, w której specjalną skrobaczką zeskrobywał brud. Rzadko który z królów czyścił zęby. Albrecht Chromy, któremu gniły dziąsła i wydzielały nieznośny zapach, bezskutecznie płukał usta imbirem. Jakuba, starszego syna Marysieńki i Jana Sobieskiego, przez całe życie męczyła dolegliwość ust, rezultat niedyspozycji żołądkowej. Prawie do XVIII wieku istniało przekonanie, że woda i częsta kąpiel są szkodliwe dla zdrowia. Maria Medycejska nie pozwalała służkom, aby jej synowi, Ludwikowi XIII, do szóstego roku jego życia, myły nogi. Słowem, Drogi Czytelniku, z braku określenia wstrętu do mycia musimy wprowadzić neologizm: brudnofobia.

Znamy, Drogi Czytelniku, kilka rodzajów fobii. Lęk przed przebywaniem w zamkniętym pomieszczeniu – klaustrofobia, lęk przed otwartą przestrzenią – agorafobia, lęk przed pakowaniem się – colligafobia, lęk przed parkowaniem własnego samochodu – insistofobia, nawet obawa przed kontaktem wzrokowym z przechodniami na ulicy znalazła swoją nazwę – occuviafobia, nawet lęk przed własną żoną otrzymał nazwę – uxorfobia. A jak nazywamy lęk przed myciem się? Czemu to zjawisko nie obrosło żadną nazwą, skoro było tak bardzo rozpowszechnione na królewskich dworach i w mieszczańskich domach.

Taką brudnofobią była zarażona, skądinąd śliczna, księżniczka brunszwicka Karolina Amalia, przyszła żona Jerzego IV, obecnie księcia Walii. Była brudna i niechlujna, bo czuła wstręt

do mycia i upiększania się. Do lorda Malmesbury wysłała rozczochrana, w niechlujnej starej sukieneczynie, poplamionej i postrzępionej, a zapach jej był daleki od lawendy czy róży. Był to wstrętny zapach niemytego ciała, menstruacji i perfum. Zrzędną mina lordowi, takiego Kopciuszka wieźć na londyński dwór? Lecz z braku laku i w natychmiastowej potrzebie dziedzica... i księżniczka Karolina Amalia może stać się królową, jeśli ją porządnie wyszorować i ubrać w śliczne łąszki. Słowem, Drogi Czytelniku, brudną księżniczkę przywieziono na londyński dwór i postawiono przed idealnie czystym, a nawet pedantem urody i mody, księciem Walii Jerzym. Wiemy dokładnie, kiedy to miało miejsce – 3 kwietnia 1795 roku.

Na widok narzeczonej księżę Jerzy momentalnie dostał *occuviafobii*, to znaczy lęku przed kontaktem wzrokowym ze swoją narzeczoną, tak Karolina przeraziła go swoją niechlujnością i brakiem dobrych manier dworskich. Tam u siebie, w Brunszwiku, biegała pastuszką po polu, żaby wyławiała z bagien, bez skrupowania je całowała, nie miała czasu na naukę etykiety dworskiej – wolała swobodę, wolne życie w przestrzeni, bo na agorafobię nie cierpiała. Księżę Walii tak się śmiertelnie przeraził widokiem przyszłej żony, że schwyciwszy się za głowę, śmiertelnie blady, wyszeptał: „Nie czuję się dobrze”. I zamiast wody poprosił o brandy. Wypił szklaneczkę, żeby nie zemdleć z przerażenia. Wysoki, jasnowłosy, niebieskooki Jerzy był przystojnym mężczyzną, trochę tylko przytył z powodu niepomiernej apetytu. Jego „wielkie żarcie” obejmowało niezliczone ilości rostbefów, kotletów, jajek, wszystkiego co było smaczne i tuczące. Wobec nieodpartego wstrętu księcia do narzeczonej należałoby ślub odwołać, tym bardziej że żadnego *per procura* nie było. Nie stało się tak, ponieważ w wypadku odmowy małżeństwa lordowi, zagrozili księciu więzieniem za długi. Ponieważ jego długi były ogromne, a siedzieć w więzieniu księżę nie miał ochoty, musiał pogodzić się z rzeczywistością, żądając od sług księżniczki, żeby

na noc poślubną została należycie wmyta i czysto ubrana. „A, jakoś tam wytrzymam w imię ojczyzny tę jedną noc” – uspokajał siebie książę, twardo postanawiając, że po defloracji księżniczki nigdy już nie wstąpi do jej łoża. Jan Kawryżka tak opisuje tę noc poślubną: „No i oto noc poślubna pełna wstrętu do narzeczonej ze strony narzeczonego. Pisarczyki oczywiście są tuż-tuż, w kącie sypialni z zaostrzonymi piórami stoją, rejenci na krzesłach się rozmieścili, to są główni świadkowie defloracji księżniczki w noc poślubną, ministrowie czekają w holu, przed drzwiami, nadśluchują, czy nie rozlegną się miłosne jęki ze strony męża i okrzyk bólu ze strony młodej żony, damy dworu swoje pozycje strażniczek defloracji zajęły. Wszyscy czekają na kulminacyjny moment. I cóż? *Victoria* całkowita. Czy to księżniczka należycie wmyta już swym zapachem wstrętu nie wzbudzała, czy to książę pod wpływem zaaplikowanych afrodyzjaków znajdował się w stanie zwiększonej pożądliwości – trzykrotnie miał stosunek z żoną. Tak zostało zapisane w księgach pałacowych: «Książę w noc poślubną trzykrotnie obcował z żoną». A na drugi dzień, gdy już małżeństwo zostało skonsumowane, dochodząc do siebie po narkotycznych pobudzających chuć środkach, przetarł oczy przy dziennym świetle i przeraził się”. No nie, niech on sam nam o tym opowie. A on opowiedział w liście do przyjaciela: „Ujrzałem tak wyraźnie znamiona brudu w przedniej i tylnej części jej ciała, że zrobiło mi się niedobrze i ślubowałem sobie, że już więcej nigdy jej nie dotknę”. Okazuje się, że nie trzeba było. Brudnawa księżniczka była osobą wielce roztrofną. Uchytryła się w noc poślubną zająć w ciążę. Zamiast wielkiego podziękowania za błogosławiony stan żony w trakcie tak krótkiego i pełnego wstrętu obcowania, książę Jerzy zaczął ją sadystycznie dręczyć. Zamykał ją w pokojach, sam bawiąc się wesoło z metresami. Wziął sobie kochankę, lady Jersey. Do sypialni żony naturalnie że nie chodził, a przy wspólnym obiedzie wymyślał jej bez jakiegokolwiek skrępowania, nazywając „najbardziej odpychającym stworzeniem,



jakie kiedykolwiek chodziło po ziemi". Nazywał ją najbrzydszą księżniczką świata i okazem „bezprzykładnej niktzemności”. Dobrze, że była zahartowana i odporna na tego typu obelgi, nie reagowała na nie obfitymi łzami. Troszeczkę tylko sobie popłakiwała kapuśniaczkiem jesiennym, a dokładnie w dziewięć miesięcy od nocy poślubnej urodziła Jerzemu córeczkę. Księżna przeprowadziła się do wiejskiego domu w Blackheath pod Londynem, z mężem spotykała się tylko kilka razy do roku w czasie dworskich uroczystości. Prawie ze sobą nie rozmawiali. Karolina była twardą niewiastą, postanowiła odpowiadać mężowi pięknym za nadobne, odrzucając najmniejsze pozory wierności, otwarcie zdradzała go z ministrami i dworzanami, którzy nie wzgardzili przykrą wonią jej brudnego ciała.

Chętnych było sporo. Na niektórych zboczeńców, których nam w obfitości pokazuje markiz de Sade, brud i przykry zapach kobiety działają jak pobudzający katalizator, jak czerwona płachta na byka, rozpalając ich pożądanie. Romansowała więc księżniczka z wieloma znaczącymi ludźmi: z podsekretarzem stanu George'em Canningiem, z artystą Thomasem Lawrencem i innymi. Jakby powiedział Janusz Kawryżka: „Nudny seks z mężem zamieniła na wesoły z kochankami”. Z oficerem marynarki Thomasem Manbyme doigrała się. Zaszła w ciążę i urodziła syna od nieznanego ojca. Nazwała go Willy Austin i oznajmiła, że adoptuje to dziecko, niby wzięte z przytułku. Nikt w tę bajkę nie uwierzył, a najmniej ksiązę Jerzy. W 1805 roku zażądał śledztwa. Gdyby cudzołóstwo Karoliny zostało udowodnione, byłby to powód do rozwodu, o który od dawna zabiegał. Zostali przesłuchani świadkowie: służby, pokojówki, przyjaciele i koleżanki Karoliny. Ich zeznania były diametralnie różne od dyskwalifikujących księżną, do absolutnie ją oczyszczających z zarzutów. Wobec takiej niezgody i różnicy zeznań, królewski sąd wydał humanitarny werdykt: niezbitych dowodów o cudzołożeniu się Karoliny nie ma. Szczególnie ważkim dowodem obciążającym Karolinę był jej

nieślubny syn, Willy Austin, lecz i ten poszlakowy dowód odpadł, gdy zjawiała się rzekomo prawdziwa, biologiczna matka „małego księcia” adoptowanego przez Karolinę, która pod przysięgą zeznała, że Willy to jej prawdziwy syn. W 1806 roku sąd oddalił zarzut cudzołożenia Karoliny. W 1814 roku osamotniona, bezbożnie wręcz roztyła księżna, która po oczyszczeniu jej przez sąd bezpardonowo zaczęła brać sobie kochanków, a wśród nich nawet znakomitego malarza Thomasa Lawrenca, opuściła Londyn i z barwną świtą udała się w podróż po Europie. Wszędzie szokowała obywateli i władców swym ekstrawaganckim, ekscentrycznym zachowaniem. Przeszła przecież bojową szkołę bezwstydu, gdy publicznie prano jej brudną bieliznę i smakowano pikantne szczegóły jej współżycia z kochankami, skoro nie mogła się pochwalić intymnym życiem z mężem.

Zastanówmy się, Drogi Czytelniku, nad ludzką niesprawiedliwością. Jej męża, który po pierwszej, poślubnej nocy na zawsze zostawił sypialnię żony i otoczył się licznymi kochankami i metresami, nie spotkała żadna krytyka, natomiast jej, która ośmieliła się trochę użyć życia i wzięła sobie kochanków, groził haniebny rozwód, upokarzające śledztwo, wysłuchanie strasznych historii na temat jej złego prowadzenia się. Proszę sobie tylko na chwilę wyobrazić, co czuła Karolina, kiedy w sądzie królewskim wałkowano problem, czy dawać do analizy, czy nie znalezione w biurku rzekomego kochanka rzekomo jej łonowe włosy? Znalaziono tam pakiecik z bulwersującym napisem: „Łonowe włoski księżnej Karoliny”. Nie było na nim adresu, a wewnątrz jakiegokolwiek liściku. Owszem, historia zna przykłady, kiedy kochanków bardzo fascynowały łonowe włoski ich oblubienic czy oblubieńców. Heliogabal, obłąkany rzymski imperator, osobiście wyskubywał swym kochankom homoseksualnym łonowe włoski. Domicjan również lubił to czynić w stosunku do kochanek. Natomiast biseksualiści, rzymski cesarz Galba i francuski król Henryk III, wyskubywali włoski łonowe

swym kochankom – mężczyznom i kobietom. Gdy oficer przywiózł do obozu Galby radosną nowinę, że to on został po zabójstwie Nerona rzymskim imperatorem, ten, na znak szczególnej łaskawości, zaciągnął oficera w ustronne miejsce, żeby wyskubać mu włoski łonowe. Kochanka Byrona wysyłała mu swe zakrwawione włoski łonowe. Wielki poeta musiał mieć dwie szufladki w biurku: w jednej, jako relikwię, trzymał pasmo białych włosów Lukrecji Borgii, w drugiej zakrwawione włoski łonowe swej kochanki. Włoski łonowe stały się seksualnym fetyszem dla geniusza o niechlubnej sławie świntuchą, Henry'ego Millera, raczącego czytelników takimi oto obrazkami seksualnymi: „Włożył rękę między jej nogi, zaplątał się w futrze jak w sakwie, która ociekała wilgocią niczym strudzony koń, no i miała swój orgazm – zupełnie jak eksplozja wiązki ogni bengalskich. Wzięła moją rękę i wodziła między nogami. Wycałowałem jej wszystkie włoski łonowe (Henry Miller, „Zwrotnik Koziorożca”).

Niektórzy słudzy zeznali, że owszem, widziano, jak minister Smith wychodził z sypialni królowej o czwartej nad ranem. Roberts, lokaj Karoliny, skwitował jej zachowanie bezceremonialnym: „Księżna po prostu lubi się pieprzyć, a ponieważ mąż jej nie daje, bierze sobie kochanków”. Z niezdrowym rumieńcem na policzkach wałkują sędziowie, a raczej maglują, brudną intymną bieliznę Karoliny, wypytując sługi, z kim i jak sypiała przyszła królowa. „Gdy wszedłem do niej z herbatką – relacjonuje jeden z nich – ona leżała rozplaszczona niczym żaba z zadartymi do góry nogami, a nad nią nachylał się pan M., wyjąwszy swego ogromnego jak u orangutana penisa, który wycelował wprost w jej łono”. Zebrana publiczność z niesmakiem słuchała tych „rewelacyjnych” wyznań, całkowicie pogrążających Karolinę. Lecz adwokat, nie w ciemną bitą, o ogromnej praktyce, replikuje: „Czyli pan nie widział samego aktu kopulacji? Pan nie może stwierdzić, że stosunek się odbył? Nie zapominaj pan, że zeznajesz pod przysięgą”. Sługa jest zmuszony przyznać, że

istotnie, samego aktu kopulacji nie widział, jak również zgodził się z tym, że obnażone genitalia mężczyzny jeszcze nie oznaczają, że kobieta zdradza męża. A może Karolina po prostu lubi oglądać płciowe organy mężczyzn? Można ją obwinić o naruszenie obyczajności, lecz w żadnym razie nie o zdradę. „Na pobożnych życzeniach księcia Jerzego oskarżycielskiego aktu o cudzołóstwie żony nie zbudujesz” – postanowił humanitarny sąd, świetnie pamiętając o zasadzie domniemania niewinności. Słowem, z tego procesu Karolina wyszła oczyszczona z oskarżeń o cudzołóstwo.

Po procesie Karoliny, nie dziwny się, zwiększyły się nakłady pornograficznych książek, tak bardzo bowiem zostały rozbudzone zmysły społeczeństwa. Wiktoriańska powściągliwość seksualna odarta została ze swej powłoki, obnażyła podwójną, pokrętną duszę chrześcijan. Przysłuchująca się rozprawie publiczność składała się przeważnie z mężczyzn. Wielu z nich wprost z sądu musiało udać się do łaźni, by tam zmyć zaskorupiały śluz ze swych genitaliów. Skandaliczny proces odbił się niesmacznym echem w prasie zagranicznej. Anglia wiele straciła, przede wszystkim prestiż. I po co było Jerzemu IV wszczynać ten proces, jakim niemądrym doradcom uległ, jeśli jeszcze długo po procesie prasa będzie wałkować zeznania służ Karoliny, Roberta i Charlotty Douglas, jak to ona, nie satysfakcjonując się zwykłymi stosunkami z mężczyznami, uprawiała odrażającą dewiację – oralny i analny seks.

Jerzy III, ojciec Jerzego IV, był obłąkany. Objawy choroby psychicznej przejawiał już w dzieciństwie, mimo to został angielskim królem. W 1811 roku, gdy lekarze stwierdzili, iż choroby psychicznej króla, mimo okresowych polepszeń jego stanu zdrowia, nie uda się wyleczyć, zmuszono go do abdykacji. Na tron wstąpił jego syn, mąż Karoliny, Jerzy IV.

Badali lekarze obłąkanie Jerzego III, jego chorobliwe fantazje, o których mówił wtedy, gdy tracił rozum, o tym, iż grzeszny lud angielski czeka kara boska – wkrótce Londyn ogarnie

potop, zaleje całe miasto, a może i całą Anglię. Doktor Francis Willis, sprowadzony na dwór angielski w 1788 roku, z powodzeniem zaczął leczyć Jerzego III nietradycyjną metodą: posłużył się mieszaniną psychicznego znęcania się nad chorym, moralnego wyzwolenia i głębokich spojrzeń w jego oczy, by zdobyć przewagę nad królem. Stan Jerzego III po tych drakońskich metodach znacznie się poprawił, niestety, doktor został obwiniony o uprawianie praktyk szarlatańskich i oddalony z dworu. Jerzy III wpadł wkrótce w całkowity obłęd.

Strasznie się skompromitował angielski dwór tym haniebnym procesem nad Karoliną. Śmieje się Europa, szydzą dworacy, a Karolina, poirytowana, poniżona, mimo iż proces wygrała, buntując się, rzuciła się w wicher szaleńczej rozpusty, która nie zna ani jakichkolwiek hamulców, ani zwykłej przyzwoitości. Na złość mężowi zadawała się z najgorszym elementem. Wpuszczała do łóżka libertynów, a jeden z nich, Henry Fitzgerald, pięćdziesięcioletni szkaradny, odrażający, rozpustnik, został jej kochankiem. Lubiła zawsze epatować otoczenie, w tym wyrażał się jej bunt przeciwko mężowi i swemu nieszczęśliwemu życiu, lecz to, co poczęła teraz czynić, przeszło wszelkie granice. „Zona następcy tronu jest łajdaczką, dziwką!” – oburzali się dworacy i kazali swym sługom śledzić Karolinę. Żaden kochanek nie przemknął się do jej pałacu, aby nie być zauważonym, dokładnie obejrzanym i skomentowanym. Karolina poczęła podróżować po Europie, pisząc do męża butne listy, w których obwiniała go o stan stosunków między nimi. To on doprowadził ją do takiego opłakanego stanu. To dzięki niemu stała się pośmiewiskiem. Zachowywała się ekstrawagancko i bezczelnie. Oczywiście była to tylko poza nieszczęśliwej kobiety. Po audiencji u papieża na pytanie jednego ze swych przyjaciół, jak udało się to spotkanie, bezczelnie odpowiedziała: „O, bardzo dobrze, za dziewięć miesięcy może pan przekonać się o jej wynikach”. Zmieniła swe zewnętrzne oblicze. Przefarbowwała swe cudowne blond włosy na

czarny kolor, z którym jej bardzo było nie do twarzy. Na dodatek, żeby całkowicie upodobnić się do wulgarnej, ulicznej dziewczyny, nakładała na brwi góry czarnego tuszu i to takiej niesamowitej grubości, że wyglądały niczym brwi Leonida Breżniewa. Zaczęła nakładać na twarz pudry różu i pudru. Poczęła nosić suknie o znacznie pogłębionym dekolcie. Nieraz nie były w stanie utrzymać się na ramionach, spadały zeń, obnażając, niemal w całości, obfita pierś. Karolina stawała się karykaturą kobiety o złym guście i wydaje się, że ją to niezmiernie bawiło. Na złość mamie odmrozę sobie uszy! To był jej bunt za nieudane małżeńskie życie, za brak zrozumienia na pruderyjnym londyńskim dworze. Rzuciła rękawiczkę całemu światu. Gorszyła i epatowała, i morze jej było po kolana. Groziła palcem niebu: „Ja tobie pokażę, niesprawiedliwy Boże, za to, że takim paskudnym losem mnie obdarzyłeś”. Miała kochankę, kruczoczarnego trzydziestolatka, Bartolomea Pergamiego. To dla niego zrobiła się brunetką, żeby harmonizować zewnętrznie ze swym kochankiem. Wewnętrznie dawno już znaleźli porozumienie.

We wszystkim był powolny swej kochance i tak samo jak ona lubił ekscentryczne wybryki. Pewnego razu mieszkańcy Neapolu byli zaszokowani niecodziennym widowiskiem. Proszę sobie wyobrazić, Drogi Czytelniku, taki oto barwny orszak: karetę w formie ślimaka, do której zaprzężono dwa kucyki, które prowadził chłopiec o czarnej barwie skóry, zupełnie nagi (potem okazało się, że był to obcisły trykot cielistego koloru, z wyraźnym uwypukleniem genitaliów, sprawiający wrażenie nagiego ciała), wewnątrz karety siedziała korpulentna niewiasta w kruczoczarnej peruce, z obfitym różem na policzkach, o szerokich sztucznych czarnych brwiach, w przezroczystej sukni, spod której wystawały ogromne kolana. Na koźle siedział mężczyzna w dziwacznym uniformie, kruczoczarny brunet. Byli to Karolina z synem Willym Austinem i kochankiem.

Karolina na całego podróżuje po Europie i Afryce: Turcja,

Italia, Tunezja, Egipt, Konstantynopol, Jerozolima. Wreszcie po dziesięciomiesięcznej wyprawie osiadła w swej posiadłości nad jeziorem Como.

Córka Karoliny, spłodzona w noc poślubną, Charlotta, ma już osiemnaście lat (jest 1817 rok), wychodzi za mąż za króla Belgii Leopolda I. Niestety, zmarła podczas porodu. Wraz z nią zmarło jej dziecko, syn. Karolina nie ma już nikogo z bliskich, jeśli nie liczyć męża Jerzego, który nie odstępuje od swych zamiarów schwytania niewiernej cudzołożnicy na gorącym uczynku i dzięki temu uzyskania upragnionego rozwodu. W tym celu w ślad za Karoliną wysyła szpiegów, lecz ta rozgałęziona siatka nie może w żaden sposób zdobyć niezbitych dowodów zdrady Karoliny. Owszem, poszlaki są, lecz poszlakami niewinności nie obalisz w oczach sądu. Gani Jerzy swych szpiegów, że źle pracują, że nie mogą dostarczyć niezbitych dowodów zdrady żony, ta łajdaczka przecież używa życia na całego, lecz czyni to tak chytrze i tak mądrze, że nawet wyrafinowani szpiedzy, którzy psa zjedli na dworskich intrygach, nic konkretnego nie mogą jej udowodnić. Oto list księcia Jerzego napisany do lorda Kanclerza: „Wszystkimi moimi myślami pragnę, aby uwolnić się od kobiety, która przez ostatnie dwadzieścia trzy lata była przekleństwem mojego życia, w oczach zaś opinii publicznej jest symbolem bezwstydnego zdrady, nie mającej sobie równej w historii kobiet, która ściera na siebie tylko przekleństwo i hańbę”. Gdyby Karolina zapoznała się z tym listem, niewątpliwie by cierpko zapytała: „A sądzi mnie kto? Rozpustny książę, który tylko raz przespał się ze swoją żoną, oddając swój czas, majątek i genitalia kochankom”. Naród, niestety, lubił nieszczęśliwą księżną i nienawidził zarozumiałego, zadufanego w sobie księcia Walii. Zarzuty Karoliny były prawdziwe. Jerzy w niczym się nie krępował, otaczając się metresami. Usunął z pałacu markizę Elizabeth Herfort, która odsłużyła swoje. Zastąpił ją lady Isabellą Seymour-Conway, nie licząc licznych aktorek, tancerek i śpiewaczek operetkowych.

Morganatyczna małżonka, Anna Maria Fitzherbert, godnie odsunęła się od niewiernego małżonka.

Tymczasem w 1820 roku zmarł stary i skretyniały angielski król Jerzy III. Królem został książę Walii jako Jerzy IV, a Karolina została królową. Jak ma się czuć król, u którego boku znajduje się znenawidzona małżonka, dumnie nosząca tytuł królowej Anglii? Nie mógł z tym się pogodzić. Królową czeka nowy proces sądowy, podczas którego szpiegzy Jerzego IV i podkupieni świadkowie będą udowadniać wciąż to samo: małżeńską zdradę Karoliny. Twarda jak włoski orzech kobieta nie poddaje się. Jak tygrysyca będzie walczyć o swoje prawa, o udowodnienie swej niewinności, bo pragnie zostać królową, nawet przy boku nienawidzącego jej małżonka, nawet wbrew logice faktów. Była pewna swego zwycięstwa, jak i za pierwszym razem, ponieważ wiedziała, że lud ją lubi, a nienawidzi Jerzego IV. Kiedy przybyła na drugi proces, miasto było oświetlone pochodniami, ludzie krzyczeli: „Wiwat, niech żyje królowa Karolina!”, nawet jej synkowi zgotowano owację: „Niech żyje królewicz Austin, syn Jej Wysokości!”. Dla narodu to nieważne, że jest to jej nieślubny syn, ważne, żeby odszedł z tronu znenawidzony Jerzy IV. Naród coraz to bardziej przyduszony rosnącymi podatkami widział w Karolinie taką samą ofiarę ucisku i terroru. I znowu prawie w identycznym wydaniu pierwszego procesu zaczyna się pranie brudnej królewskiej bielizny. Podkupionym świadkom kazano nie krępować się w szczegółach, toteż biegły z sali sądowej niczym nieskrępowane oświadczenia pogrążające Karolinę do cna. Kilku świadków zeznało, jak to pólnagi Pergami, w samych kalesonach, zakradał się nocą do sypialni królowej. Jeden świadek z rumieńcem podniecenia „smacznie” opisywał, jak to wszedł niepostrzeżenie do pokoju Jej Wysokości i ujrzał ją siedzącą na krześle z rozkraczonymi nogami (sic! żadnych nowych sensacji), a nad nią z opuszczonymi spodniami stał Pergami i mocnymi pchnięciami wpychał swój oręż. Uboga erotyczna fantazja u sług! Niestety, to



bulwersujące oskarżenie spóźniło się. Świadek złożył je już po procesie, gdy królowa znowu została oczyszczona z zarzutów. Postarał się o to jej wspaniały adwokat, Henry Brougham. Jak domek z kart padały pod ciosami jego słów wszystkie zarzuty. Adwokat potrafił wynajdować achillesową piętę w zeznaniach świadków. „Widział pan, jak ręka królowej w karecie błędziła w rozporku pana Pergami, a niech mi pan powie, co pan widzi z odległości dwudziestu metrów”. Podprowadzają świadka do okna, który, półślepy, nic nie widział oprócz rozmazanego obrazu. I wtedy Karolina ruszyła do ataku. Opublikowała w prasie list otwarty, nader śmiały i pozbawiony skrpułów. Zaczynał się patetycznie: „Byłam prześladowana przez szpiegów, spiskowców i zdrajców, których wynajął mój mąż, żeby mnie szkalowano i śledzono. Mój mąż prześladował mnie z nienawiścią i pogardą za pomocą wszystkich możliwych środków. Odebrał mi moje dziecko. Odprawił mnie z moim zmartwieniem w świat i nawet w moim frasunku byłam dręczona nieustannie prześladowaniem”.

Z kolei do ataku ruszył Jerzy. Członkom Izby Parów przekazano tajemniczy zielony worek, który zawierał dowody zdrad popełnionych przez królową. Królowa jadąca otwartym powozem przez ulice stolicy była witana przez ludność z entuzjazmem. Komisja, składająca się niemal wyłącznie z członków Sądu Najwyższego, wydała 4 lipca komunikat. Oskarżono w nim Karolinę o cudzołożny stosunek z cudzoziemcem, niegdyś jej służącym i człowiekiem niskiego stanu. Stwierdzono, że jej zachowanie w najwyższym stopniu było rozpustne i niegodne majestatu królowej. W parlamencie został przedłożony projekt, na mocy którego król mógł pozbawić Karolinę jej tytułów, majątności i praw należnych królowej. Małżeństwo miało zostać rozwiązane. Dowody były cyniczne. Główną winą Karoliny była jej zażyłość z Bartolomeo Pergami, którego uczyniła kolejno szambelanem, baronem i rycerzem zakonu maltańskiego. Rozvodu według prawa anglikańskiego w

następstwie cudzołóstwa wolno było udzielić tylko wówczas, gdy stronie oskarżającej nie można było postawić zarzutu o niewierności małżeńskiej. Do królowej poczęło docierać mnóstwo listów z wyrazami solidarności. Podpisy na nich złożyło aż sto pięćdziesiąt tysięcy kobiet. Karolina wykorzystwała przychylne wobec niej nastroje i wystąpiła z oskarżeniem przeciwko Jerzemu IV. Brougham, obrońca królowej, wygłosił znowu mistrzowską mowę, w której usprawiedliwiał lekkomyślność Karoliny jej temperamentem i długoletnim zaniedbywaniem jej przez męża. Ten proces też wywołał publiczny skandal, znacznie zwiększył liczbę przeciwników króla i wzrost sympatii dla królowej. Pięć nocy Anglia świętowała porażkę króla i zwycięstwo królowej.

Teraz Karolina szykuje się, żeby wbrew życzeniu męża odbyć wraz z nim koronację. No nie, tego już za wiele! Jerzy IV postanowił, aby wszelkimi, nawet niedozwolonymi metodami nie dopuścić Karoliny do uczestnictwa w tej uroczystości. A tu 5 maja 1821 roku przychodzi do Jerzego IV jego minister i przynosi wiadomość: „Wasza Wysokość, wasz największy wróg nie żyje”. Jerzy IV aż podskoczył na tronie w radosnym uniesieniu. Myślał, że mu żona wykitowała. A minister kontynuuje: „Tak, Wasza Wysokość, Napoleon Bonaparte nie żyje”. Mina zrzędną Jerzemu IV. Co mu tam Napoleon, jego żona jest warta dziesięciu Napoleonów.

I znowu tragiczny los wiarołomnej kobiety – rezultat niechcianego łoża małżeńskiego, alkowy wstrętu i odrazy. Karolina napisała w liście do męża w 1820 roku: „Od progu domu Waszego Majestatu matkę Waszego dziecka otaczali szpiedzy, spiskowcy i zdrajcy. Z nienawiścią i pogardą prześladowali mnie. Odebrano mi dziecko. Mnie samą dręczyliście nieustannymi prześladowaniami”. Jeśli związek dwóch nienawidzących siebie małżonków był korzystny dla państwa, zdradę żony tolerowano. Jeśli występny związek zagrażał państwu, kara dla cudzołożnicy była brutalna.

Karolina wymyta, naperfumowana, nieśmierdząca już ani potem, ani brudem, w schludnej sukience i gronostajowym płaszczu wybiera się na koronację. Stanie obok męża i uprawomocni swe prawo do angielskiego tronu – tak sobie myśli. Rusza z pałacu, lecz wyjść z niego nie może. Wszystkie drzwi zaryglowane z drugiej strony. Woła służących. Nie ma nikogo z nich. Wszyscy zawczasu zostali wydaleny z pałacu przez Jerzego IV. Krzyczała Karolina, waliła w zamknięte drzwi jak rozjątrzona lwica, nikt jej nie otworzył. Dostępu do tronu zabronił mąż. A Jego Wysokość Jerzy IV, napęczniały od wina i rozpusty, w żelaznym gorsecie z trudem utrzymującym jego rozpasły brzuch, odbywał swoją koronację, radując się, że nie ma obok niego nienawistnej żony. To ostateczne fiasko załamało Karolinę. Nie miała już siły walczyć z mężem. Upadła na duchu, wpadła w czarną melancholię, która, jak wiadomo, atakuje ludzi nieszczęśliwych. Rak jelit czy coś w tym rodzaju przykuł ją do łóżka na krótki czas, aż wreszcie 7 sierpnia 1821 roku zmarła, zdążywszy jeszcze wyszeptać: „Napiszcie na nagrobku:

«Tu spoczywa Karolina brunszwicka, zraniona królowa Anglii». Zraniona, bo przez całe swe życie odczuwała nienawiść i pogardę własnego męża. I komu są potrzebne takie królewskie alkowy, przepelnione nienawiścią i odrazą?

Jerzy IV zmarł w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat w 1830 roku. W ostatnich latach swego życia coś mu odbiło, zaczął przejawiać różne dziwactwa. Kazał się pochować w nocnej bieliźnie z medalionem kochanki, Marii Fitzherbert, na szyi. W ostatnich latach swego życia Jerzy IV nadużywał alkoholu. Gdy zmarł w swym pałacu w Windsorze, lud nie żegnał go ani żałobą, ani modlitwami. Był przecież bardzo przez naród nie lubiany. Po nim królem Anglii został jego młodszy brat, Wilhelm IV (1830–1837), który zmarł bezdzietnie. Na tron wstąpiła jego bratanica, królowa Wiktorja (1837–1901). Zaczyna się nowa epoka w dziejach Anglii, zwana wiktoriańską.



## **Ludwik XI, Ludwik XII**

Gerokomia, co to jest i z jaką „musztardą” to się je? Jest to, Drogi Czytelniku, pogląd, że mężczyzna może odmłodzić dzięki stosunkom płciowym z młodymi dziewczętami. Ten pogląd był znany i w starożytności, i w średniowieczu, i w XVII wieku, a prawdziwy jego renesans nastąpił za naszych dni.

Iwan Groźny, któremu gnęły trzewia, który bardzo wcześnie się zestarzał od nadużyć seksualnych i swego okrucieństwa, brał sobie do łóżka młode dziewczęta. Pieściły go, zwłaszcza w rejonie Hakowatego penisa, a on im ssał ich młode piersi. Ale ponieważ i on, tak jak markiz de Sade, nie potrafił doznawać fizycznego zadowolenia bez zadawania ofierze bólu, nie zapominał o tym, aby podczas miłosnych igraszek, boleśnie je uszczypnąć.

Stalin, przebywając w moskiewskiej klinice imienia Botkina, kazał sobie według nowoczesnej metody nader utalentowanego profesora Winogradowa, którego zresztą później nakazał zgładzić, przeszczepić w jądra gruczoły. .. Mówiono, że małpy, ale w to nie wierzymy, były to najpewniej gruczoły młodych chłopców. Odmłodził po tym zabiegu znacznie, zwiększyła się także jego potencja. Król Dawid zatrudnił Abisag, młodą dziewczynę z plemienia Sunam, podczas wspólnie spędzanych nocy tylko ją pieścił, nie penetrując jej waginy. Gerokomia przeżywa dziś prawdziwy renesans. Podstarzali mężczyźni nagminnie żenią się z młodymi niewiastami. Jeden znany polski aktor tak przedstawiał swoją małżonkę: „Nie jest to moja córka, ani moja wnuczka, to moja żona”. Znani politycy zostawiają swe dzieci i posiwałe żony, aby żenić się z młodymi niewiastami, do których nagle poczuli nieodparty pociąg seksualny... Gerokomia staje się dziś popularna także wśród kobiet. Kobiety po pięćdziesiątce z gatunku show-biznesu nagminnie biorą sobie za kochanków lub mężów młodych chłopców. Takie małżeństwa na ogół nie trwają długo, maksimum dziesięć lat. A kiedy taką podstarzałą dziwę

około sześćdziesiątki zapytano, jak jej nie wstyd mieć za męża dwudziestosiedmioletniego młodzieńca, odpowiedziała cynicznie: „Młody kogut jest lepszy dla starej kury”. A pomyślała, jak się czuje ten „młody kogut”, któremu stara kokoszka każe codziennie albo nawet kilka razy w ciągu dnia „trześcić” swoją włóchatkę, będąc tak bardzo nieapetyczną zewnątrz? Piersi jej niczym dojnej krowie zwisają niemal do pępka, twarz ma pooraną zmarszczkami lub pokrytą marmurową maską od botoksu, a cipa jest tak zużyta, że należałoby zastosować radę Brantôme’a i przejechać „wołem przez te wrota”.

Nigdzie, Drogi Czytelniku, gerokomia nie występuje obecnie tak jaskrawie w swej ohydnej wynaturzonej formie jak w Rosji. Dorwawszy się do łatwych pieniędzy w epoce kapitalizmu, do którego świetlany socjalizm szedł drogą żmudną i ciernistą, dziwy show-biznesu, podstarzałe i posiwiałe, przeszedłszy setki operacji kosmetycznych i różnych botoksów, od których twarz, chociaż i bez zmarszczek, staje się marmurową maską, rzuciły się w objęcia młodzieńców z niezłymi głosami i talentami, rokujących nadzieję przy dobrym ich sponsorowaniu. Bogate stare panie, czy też czterokrotnie rozwiedzione dziwy show-biznesu uczyniły ich swymi... o, nie, nie kochankami (to niemoralne), lecz mężami. Wyją biedni po cichu, nie miód im przecież codziennie pieścić zwiędłe ciało podstarzałej partnerki, lecz co mają robić, jeśli chcą wybić się w show-biznesie? Dziwy płacą, lecz bezpardonowo eksploatują młodą krew i spermę. Jedna taka seniorka show-biznesu, która mimo swych sześćdziesięciu pięciu lat wzięła sobie utalentowanego młodzieńca, parodystę i prezentera programów telewizyjnych, występuje do dnia dzisiejszego w peruce typu „bujny lew” i w poncho sięgającym pępka. Jest na tyle bezkrytyczna, że uważa się za pępek świata i wzór piękności. Gruba jak beczułka, choć straciła doszczętnie głos, lecz nie straciła swego nachalstwa, domaga się od swego dwudziestopięcioletniego kochanka-męża nieziemskiej rozkoszy i...

wierności. Och, ciężka jest czapka parodysty w rosyjskim show-biznesie! – chce się nam zawołać.

Ludwik XI, ohydny sadysta, okrutnik i cham, postanowił ulec gerokomii, żeniąc się z jedenastoletnią Małgorzatą Szkocką. Jedenastoletnie dziewczę jest skromne, z seksem nieobyte, nie bardzo wie, na czym polega akt płciowy małżonków. Powinien był król okazać litość i tkliwość dla cnotliwej małoletniej małżonki, nie spieszyć się z jej defloracją, przyzwyczać do siebie, postarać się zdobyć jej zaufanie. Lecz ten gbur, ten cham najgorszego gatunku, nie ma na to czasu ani chęci. Musi swoją chuć zadowolić natychmiast tu i teraz, tym bardziej że prawo mu na to zezwala. I nie bacząc na opory Małgorzaty, na jej łzy, szlochania i błagania, ordynarnie ją wziął, omal jej waginę nie rozrywając, i zadowolony obrócił się na drugi bok. Zachrapał po chwili, zadowolony samiec, a jego sponiewierana żona, która ten akt seksualny odebrała niczym niesamowite ohydztwo, przepłakała całą noc. Odtąd była zawsze smutna i ponura, jakby jakaś zła wróżka starła z jej twarzy uśmiech i pogodę ducha, jaka emanowała z niej, kiedy mieszkała na dworze swego ojca, szkockiego króla Jakuba I. Ludwik XI do kobiet odnosił się ordynarnie i grubiańsko, nie dostrzegał w kobiecie żadnych cech pozytywnych, uważał ją za istotę niższego gatunku, mało czym różniącą się od zwierząt, okazywał kobietom pogardę, poniżał i szydził. Jedenastoletnia Małgorzata Szkocka, którą mąż ordynarnym aktem płciowym uczynił kobietą, wpadła w rozpacz, a potem w czarną melancholię. A skoro realne życie jest tak paskudne, tak nikczemne, to Małgorzata popadła w inną skrajność: w sferę fantazji. Po nocach wiersze pisze, w dzień z poetami obcuje, poezji słucha. Pięć lat trwało takie życie Małgorzaty-marzycielki, oderwane od rzeczywistości. Lecz nawet takim fantazyjnym życiem nie pozwolono jej żyć. Znaleźli się dworacy-plotkarze, którzy obwinili Małgorzatę o cudzołóstwo: niby to z jednym z poetów miłość uprawiała. Wściekł się Ludwik XI, który uwierzył

plotkom, żony nie zabił, lecz stworzył jej takie okropne warunki życia, że gasła biedna, jak kwiat niepodlany. Ciągłe napiętnowana, w otoczeniu nieprzychylnych jej ludzi i męża, którzy dosłownie zabijali tę kruchą istotkę swymi drwinami i pogardą. Królewska alkowa przeobraziła się w piekło. Małgorzata, nienawidząca fizycznych stosunków, zmuszana do nich, cierpiała seksualne katusze. W seksopatologii, Drogi Czytelniku, istnieje taki termin *cool sex* (zimny seks), oznaczający zjawisko, notabene coraz bardziej rozpowszechnione we współczesnych małżeństwach, gdy mężczyzna stosunek seksualny traktuje czysto instrumentalnie, nie wkładając w niego uczucia. Emocjonalnie te osoby nie są związane, uczuciowo są wobec siebie obojętne. Nazwijmy to pewnym kalectwem uczuć, niezdolnością do kochania. Genialnie, ze wszystkimi odrażającymi gamami sadyzmu, przedstawiła to laureatka Nagrody Nobla Elfriede Jelinek. Oto fragment jej opisu małżeńskiego stosunku: „Dyrektor pozwala sobie na zachcianki, na przykład sika na żonę jak pies. Pożądliwie wyciąga chuja z torebki, wpycha kobiecie do ust, jeszcze ciepły, prosto z masarni, kobieta zgrzyta zębami. Szepcze jej do ucha świństwa na temat jej krocza. Kobieta musi rozewrzeć nogi jak żaba, żeby mąż mógł zajrzeć w nią najgłębiej. Zalał ją, zasrał, kobieta musi wstać, zrzucić resztki ubrania, pójść po gąbkę, oczyścić się ze spermy. Mężczyzna wsadza jej palec wskazujący prawej ręki głęboko w dupę, kobieta klęczy przed nim z rozkołysanymi cyckami, szoruje, usuwa włosy z oczu i ust, pot z czoła, aż nadejdzie noc, a to zwierzę na nowo zacznie ją walić swoim pejczem” (E. Jelinek „Pożądanie”).

Brutalizacja obecnego życia przeniosła się w dziedzinę seksu. Perwersje odrażające w swej ohydzie stają się w niektórych małżeństwach normą seksualnego współżycia. Jelinek nieco wyprzedziła nasze czasy, przewidziała, do czego dojdzie człowiek pozbawiony hamulców w sferze erotyki. Jak swego czasu markiz de Sade z porażającą przenikliwością zajrzał w wiek przynajmniej



XXI, żyjąc pod koniec XVIII, tak Jelinek nas ostrzega: zatrzymajcie się, ludzie, w swym rozpasaniu seksualnym! Ale to głos wołającego na puszczy.

Ludwik XI był królem pozbawionym nie tylko uczuć, lecz także niewiedzącym, co to znaczy kochać, czym jest miłość. Nie kochał nikogo. We wczesnej młodości pokłócił się ze swym ojcem, spoliczkowawszy jego kochankę, Agnieszkę Sorell, uciekł do Burgundii, tam zorganizował przeciwko ojcu spisek, mimo tego ojciec go nie wydziedziczył. Jako król Ludwik XI wyróżniał się bezprzykładnym cynizmem, okrucieństwem i powolnym doprowadzaniem do śmierci swoich kolejnych dwóch żon. Kochanki wybierał sobie z plebsu. Po pierwsze, nie trzeba było drogo płacić, po wtóre, były bardziej rozpustne i niepruderyjne. Dziewki zdrowe, głupie, piersiaste, perwersjami seksualnymi się nie brzydzą, gdy trzeba ustami królowi dopomogą, a przy tym wcale nie merkantylne, zadowolające się byle jakim pierścieniem, czy byle jaką sukienczyną. Pierwszy minister króla, Ohvier, z golibrody nominowany do tak wysokiego stanowiska, jest zadowolony, chwali Ludwika XI: „U Was, Wasza Królewska Mość, są najwspanialsze i najtańsze dziewczki w świecie, nie to co u innych monarchów metresy, które państwo z torbami puściły”.

Król szczelnie ukrywał prawdziwe uczucia, plany i zamierzenia. Nikt nigdy nie mógł odgadnąć, co on myśli: byłby dobrym pokerzystą, albo prowadzącym telewizyjny program „w ciemno”. Jego dewizą było: „Kto nie umie udawać, ten nie umie królować”. Mawiał: „Co zaś się mnie tyczy, to gdybym się dowiedział, że moja czapka dotarła do moich tajemnic, natychmiast wrzuciłbym ją do ognia”. Z natury był okrutny. Niezliczone kaźnie, jakich dokonywano na jego rozkaz dostarczały mu zadowolenia. Nie znał ani miłosierdzia, ani litości, ani łaski. Jednocześnie był bardzo pobożny. Męki wyrzutów sumienia przepelniały mu serce, tyle że o tym nikt nie wiedział. Nie obnosił się z nimi, jak z malowaną torbą. Kochał się w ordynarnych

orgiach. Sam był niezmiernie dowcipny i inteligentny, lecz dowcip jego zakrawał na sarkazm. Szczodrze obdarzał duchownych. U swych rozmówców bardzo cenił świeżość języka i dowcip, lubił kalambury.

Był niepokornym synem. Wywołał rebelię przeciwko ojcu. Musiał szukać schronienia u księcia burgundzkiego, na którego dworze przebywał aż do śmierci ojca. Był bardzo skąpy, a także niezdolny do odczuwania miłości. Są tacy nieszczęśliwcy, Drogi Czytelniku, którzy nigdy nikogo nie kochają i kochać nie potrafią. Nawet jego stosunek do ułomnej córki, Joanny, sprawiał wrażenie raczej litości niż miłości. Być może miał uszkodzoną tę część mózgu, która odpowiada za miłość. Jak wiemy, wszystkie uczucia mają naturalne źródło w chemii. W określonej części mózgu znajduje się mniej jakichś chemicznych hormonów i człowiek staje się albo potwornym okrutnikiem, albo potulną, tkliwą owieczką. Na Boga, ta odrobinka szarego mózgu decyduje o naszych uczuciach? Zdumiewające!

Ludwik XI chorował na egzemę, bardzo dokuczliwą chorobę: swędziało go tak, że rozdrapywał ciało do głębokich, krwawych ran. Lekarze byli bezsilni, nie potrafili go wyleczyć, mimo że stosowali różne środki, nawet picie krwi niemowląt. „Kara boska dotknęła króla” – szeptał lud. Jeszcze stosunkowo niedawno sami królowie leczyli chorych dotknięciem swych dłoni. Tak czynił Ludwik IX Święty, do którego ściągał lud z całej Francji, i nie tylko. Wszystkich potrafił wyleczyć dotknięciem swej dłoni. Tu zaś król sam cierpi na straszliwą chorobę i nikt nie jest w stanie go wyleczyć. Na jego dolegliwość trochę pomagało smarowanie ciała olejem świętym, którym biskupi namaszczeni królów podczas ich koronacji. Olej ten był niebotycznie drogi i niedostępny. Zachował się list Ludwika XI z 1476 roku, w którym król prosi biskupa: „Choćby o kropelkę tego oleju na moje rany”.

Ubierał się król bardzo niechlujnie i tylko w zwyczajne ubrania. Nie nosił ani jedwabiu, ani aksamitu. Nienawidził

drogocенności. Na palcu nosił tylko jeden królewski pierścień, a jego kapelusz był obwieszony jakimiś figurkami, niby to ołowiane żołnierzyki, niby to figurki świętych.

To Ludwik XI wymyślił okrutną torturę nazywaną „żelazna klatka”. Klatka była istotnie z żelaza, jak dla zwierząt w zoo i bardzo niska. Zamknięci w niej skazańcy pełzali jak zwierzęta. Aż dziw nas bierze, jak jeden z biskupów, skazanych przez Ludwika XI, mógł przeżyć w takiej klatce całe dwadzieścia lat. Drugim wynalazkiem Ludwika XI, o którym jest głośno w historii, i o którym wspomina Walter Scott, były kajdany. Niezwykle ciężkie, z łańcuchami, obciążając szyję – przechodziły na ręce i nogi. Do nóg była przymocowana ogromnej wagi żelazna kula. Skazaniec włókł ją za sobą.

Strasznie, Drogi Czytelniku, umierał ten król. W wielkiej samotności, w zamku-twierdzy otoczonym wałami obronnymi, fosami napełnionymi wodą, chronionym przez strzelców ukrytych w krzakach, którzy bez uprzedzenia strzelali do każdego, kto zbliżył się do jego murów. W ostatnich latach życia sypiał na narach, niczym więzień. W nogach sfera śmierdzących psów, ich zapachem nasiąkł król, stając się wściekłym psem w ludzkim ciele.

Gaśnie młoda królowa, pierwsza żona Ludwika XI, Małgorzata Szkocka. Wreszcie umiera, nie mogąc znieść obojętności męża, jego chamstwa, jego chorobliwej zazdrości. Nic ją nie boli, lecz gaśnie w oczach, jak kwiat niepodlany, jak ryba wyrzucona na brzeg. Ta krucha, delikatna istota nie może żyć bez słońca i ciepła ludzkiego, bez miłości, której nie dał jej mąż. I oto Małgorzata jest umierająca. Dworacy, którzy kochali swoją małą królową, obścapiли jej łóżę, łzy ocierają, rozpaczają i otuchy dodają: „Nie umrzecie, Wasza Wysokość, przecież jesteście taka młoda, na pewno wyzdrowiejecie”. Dziwią się dworacy, jak można umierać, nie cierpiąc na żadną chorobę. Lekarze wzruszają ramionami. Na określenie dolegliwości królowej nie starcza ich

wiedzy. Nikt nie może zrozumieć, że umrzeć można od rozczarowania życiem, od własnego nieszczęścia. „Będzie pani żyła, przecież taka jest młoda” – pocieszają królową dworacy. Małgorzata patrzy na nich smutnymi oczami i cicho mówi: „Życ? Pluję na życie”, odwraca się do ściany i... umiera. Był rok 1444. Miała szesnaście lat, Drogi Czytelniku!

No tak, uśmiercił Ludwik XI pierwszą żonę swoją ignorancją, chamstwem, brakiem miłości, niebawem uczyni to z drugą – Charlottą. Charlotta jest strasznie szpetna. Może gdy była młoda, taką nie była, lecz przebywanie z oschłym i nigdy nie w humorze mężem, Ludwikiem XI, uczyniło z niej istotę bojaźliwą, wszystkiego się lękającą, zawsze karconą, odczuwającą na każdym kroku pogardę męża, z tego wszystkiego wpadła w kompleks własnej niedoskonałości. Jest on, Drogi Czytelniku, tak samo znaczący, jak u mężczyzn kompleks małego penisa. Czy znacie choć jednego mężczyznę cierpiącego na ten kompleks, który byłby pewny siebie? Władca, który chorobliwie troszczy się o swój autorytet, który ostro reaguje na krytykę swej osoby, który ciągle obraża się i szuka odwetu, cierpi właśnie na ten kompleks.

Z Charlottą Sabaudzką Ludwik XI ożenił się w 1451 roku. Naturalnie, że to wesołe dziewczę wkrótce dzięki jego staraniom przeobraziło się w ponurą dewotkę, całymi dniami klęczącą na kamiennej posadzce, zatopioną w modlitwie. Charlotta nie sprostała nadziejom męża. Chciał syna, a ona urodziła mu dwie córki, Annę i Joannę. Ta druga była chorowita, ułomna i tak brzydka, że lud począł ją nazywać „Joanną Brzydką”. Postanowił Ludwik XI całkowicie izolować się od żony, żeby swymi łzami, ponurym wyglądem i smutnymi oczami wiecznie osądzającymi męża, nie przeszkadzała mu w jego rozpuście. Wysłał swego ministra, golibrodę Oliviera. On nisko ukłoniwszy się Charlottce, oświadczył: „Wasza Królewska Wysokość, król małżonek życzy sobie, żeby odtąd Pani zamieszkała w innym pałacu”. Wybrano dla niego Plessy la Tour, dla niej Amboise. Ludwik XI wyznaczył

swej żonie zebracze apanaże, takie małe, że nie starczało nawet na niezbędne rzeczy. Charlotta mieszkała jak służąca: w ubóstwie i pogardzie. Zupełnie samotnie. Tak minęło, Drogi Czytelniku, długie piętnaście lat. Charlotta, zanim wyjechała do Amboise, zapłakana przybiegła do męża i zapytała: „Wasza Wysokość, a jak my sypiać będziemy, mieszkając w osobnych pałacach?”. Odpowiedział: „Spotykać się będziemy od czasu do czasu, gdy moje ciało zechce, żeby wasza obecność w łóżku stała się dla mnie niezbędną”. Ani razu w ciągu tych piętnastu lat Ludwik XI, zajęty kochankami, nie uczynił „potrzebnym” dla siebie ciała żony. I oto teraz, po piętnastu latach, gdy ciało Charlotty nie chce niczego innego oprócz spokoju, wyjmują je z naftaliny...

Gdy łożo małżeńskie nie grzeje, jest chłodne, to nawet grzałka z tlejącymi węglami nie pomaga. Królowe odchodziły do klasztoru dobrowolnie, na złość mężowi. Tak uczyniła córka Jakuba Sobieskiego, Klementyna Sobieska, żona niedoszłego króla Jakuba III. A jeśli to nie były klasztorne cele w ścisłym tego słowa znaczeniu, miały z nimi jedną wspólną cechę. Na łożu królowej nie spoczywał mężczyzna, ani mąż, ani kochanek. Mąż z powodu wstrętu do żony, kochanek, bo bogobojna królowa nie może mieć kochanka. Morduje się w swej zimnej pościeli wszystkimi mękami starej panny druga małżonka francuskiego króla Ludwika XI, Charlotta. Mąż już od piętnastu lat nie odwiedza jej łoża. Mieszkają w osobnych pałacach. On w swoim, który przypomina dom rozpusty, tyle tam pijackich libacji się rozgrywa, tyle tam kurtyzan, zwykłych dziwek... Wspominaliśmy już o tym, że Ludwik XI miał szczególne upodobanie do pospolitych kobiet. Jego zdaniem, im kobieta jest głupsza, tym lepsza. Jego kochankami były żony piekarzy, stolarzy, mieszczan rozmaitych zawodów. Ludwik XI, tak jak Napoleon Bonaparte, miał bardzo pospolity gust, lubił proste, bezpretensjonalne kobiety. Z jedną ze swych kochanek, o imieniu Sousse, Ludwik XI spłodził dwie córki, Marię i Joannę, do których czuł coś w rodzaju miłości, jeśli w ogóle

potrafił kogokolwiek kochać. Postarał się korzystnie wydać je za mąż.

Minęło więc długich piętnaście lat, powtórzmy jeszcze raz, podczas których Ludwik XI i jego żona Charlotta Sabaudzka żyli całkowicie osobno, każda w swym zamku. On w Plessy la Tour, ona w Amboise. Spotykali się bardzo rzadko, wyłącznie podczas dworskich uroczystości, na których obecność królowej była obowiązkowa. Właściwie mało kto uważał ją za królową. Wiecznie wyszydzana i poniewierana przez męża, wciąż samotna Charlotta, przeobraziła się w lękliwą dewotkę. A król używał życia. Nienawidząc arystokratów, przyjaźnił się z ludźmi plebejskiego pochodzenia. Jego ulubionym i wiernym ministrem był Olivier, z zawodu golibroda, który za swe okrucieństwa był znienawidzony przez lud. To właśnie on z nakazu Ludwika XI przyszedł do Charlotty i zaproponował jej w imieniu króla, aby żyli osobno, w dwóch różnych zamkach. To on, folgując zdeprawowanym gustom króla, które w miarę upływu lat stawały się coraz bardziej odrażające, posyłał swoje sługi, żeby przyprowadzali łatwe, uliczne kobiety, uczestniczki seksualnych orgii króla.

Charlotta, nasłuchawszy się o niesamowitych rozpustnych orgiach swego męża, ubolewała nad tym i coraz bardziej pogrążała się w modlitwach. To prawda, Ludwik XI nie zabijał swych żon, on je porażał, gniótł swym chłodem, obojętnością, szyderstwem, skąpstwem. Tak wiatr nagina cienką brzoźkę, która długi czas stawia opór, kołatana wiatrem w różne strony, aż wreszcie przychodzi taka chwila, kiedy się lamie. I oto po piętnastu latach absolutnej seksualnej abstynencji Charlotta została wezwana do królewskiego zamku na... kopulację z mężem. No nie, wyobraźni nam brakuje, Drogi Czytelniku, żeby opisać tę odrażającą scenę, zwróćmy się o pomoc do utalentowanego pisarza A. Neumana, cytując fragment z jego książki zatytułowanej „Diabeł”: „Preludium tego sromotnego aktu było następujące. Olivier, minister i prawie bliski przyjaciel

Ludwika XI, pewnego razu przyszedł do niego i powiedział: «Wasza Wysokość, wam trzeba koniecznie mieć delfina. Wasz brat Karol szykuje się do objęcia po was władzy. W interesach państwa, Wasza Wysokość, wam trzeba wznowić stosunki seksualne z żoną». «Co?!» – krzyknął tak gwałtownie Ludwik XI, że brzytwa, którą w tym czasie golił go Olivier, omal nie przecięła mu gardła. Olivier łatwo jednak przekonał króla o konieczności dokonania tego czynu. Ludwik XI zamyślił się. Ma już pięćdziesiąt dwa lata, Charlotta też niemłoda – ma czterdzieści dwa. Po urodzeniu pięciorga dzieci, z których troje zmarło, wśród żywych pozostały tylko dwie córki, z których jedna, Joanna, była ułomna i strasznie brzydka. Anna miała charakter swego ojca – inteligentna, mądra, przedsiębiorcza, energiczna i o politycznych ambicjach. Mogłaby zostać regentką przy małoletnim bracie, którego Charlotta musi urodzić królowi.

I oto odbyło się spotkanie królewskiej pary, Ludwika XI i Charlotty. Przerazili się oboje, gdy zobaczyli siebie. Kogo ona ujrzała! Zgarbionego starucha o długim jak u Pinokia, zaostrzonym nosie, z workami pod głęboko osadzonymi, złymi oczkami, o ziemistej cerze i cienkich jak niteczka bladych wargach. Jego obwisłe policzki pokryte były starczymi fałdami – dawał o sobie znać rozpustny tryb życia. Kogo on zobaczył! Odrażającą staruchę z pobielonymi siwizną włosami, o pucołowatej twarzy, żółtej cerze, ponurym spojrzeniu nieszczęśliwej kobiety – istna chmura gradowa. Była mocno spocona, kropelki potu rosily jej czoło, na policzkach, ze zdenerwowania, pojawiły się czerwone plamy. Była tak odrażająca, tak szkaradna, że Ludwik XI wzdrygnął się i instynktownie zasłonił się od niej krzesłem. Obydwoje milczeli. Charlotta pochwyciła jego złowrogie spojrzenie, nisko opuściła, niczym winowajczyni, głowę. Ludwik XI ciężko westchnął: «No, żono, czas na płodzenie dziecka» – powiedział smutnie. Charlotta zrozumiała, jaki nieodparty wstręt żywi do niej, ona również nie

pragnęła tego stosunku, jej zwiędłe ciało potrzebowało wyłącznie spokoju i odpoczynku. Lecz służba nie drużba, Charlotta zaczęła powoli się rozbierać: przecież musi urodzić Francji delfina”.

Ona leży z zamkniętymi oczyma, pokornie nadstawiając swe zwiędłe ciało na seksualną pastwę męża. Leży jak męczennica, oczekująca inkwizytorskich tortur. W innym mężczyźnie wzbudziłaby litość, zaś w nim nieopanowaną złość. Rozgniewany, zaczął ją maglować, „nastawił na len”. Był zły na siebie, że nie podszedł do niej jak mężczyzna samiec, lecz jak mężczyzna tchórz, przytrzymując swego członka przepisowo trzema palcami. Zarośnięte, dawno odwykłe od seksu łono, nie poddawało się, niczym łono dziewicy. To rozżłościło go jeszcze bardziej: na jakie ohydne poniżenie naraża się on, król!

Po dziewięciu miesiącach od tej pełnej odrazy i zgrozy nocy Charlotta urodziła syna, przyszłego króla Karola VIII. Był okropnie brzydki, o zielonkawej skórze i długim nosie, takim samym jak u ojca. Jego wygląd podbudowuje tezę, Drogi Czytelniku, iż przystojni następcy tronu to rezultat radosnego i pełnego miłości seksu. Kiedy natomiast małżeńska kopulacja dokonana po dłuższej przerwie przypomina pastwienie się nad kobiecym ciałem, nic dobrego ani ładnego z tego się rodzi. Gdy Ludwik XI umierał, przyszły Karol VIII miał trzynaście lat, regentką została jego starsza siostra, Anna.

A. Neuman tak opisuje śmierć Ludwika XI: „Leżał na podłodze, pies lizał jego ucho, siwe włosy rzadkimi splotami spadały na ramiona. Policzki miał obwisłe, twarz purpurową, usta skrzywione, oczy wylaziły z orbit. Lewe oko prawie wylazło i ni to złowieszczo, ni to szelmowsko spoglądało na świat, jakby pragnąc szyderczo powiedzieć: no i co, niezłego spłatałem ludzkości figla, będąc najohydniejszym a równocześnie najmądrzejszym ze wszystkich królów francuskich?”.



## **Joanna Brzydka, żona francuskiego króla Ludwika XII**

Satrapa, tyran, okrutnik i dziwak, francuski król Ludwik XI, bardzo kochał swoją młodszą córkę Joannę ze względu na jej ułomność. Tak to nieraz bywa z tyranami: za defekt swej spermy, której produktem jest ułomne dziecko, monarchowie siebie, a nie Pana Boga obarczają winą. Litość do takiego dziecka przeistacza się u nich często w miłość. Tak też było z Ludwikiem XI, który poczuwając się do winy za ułomność swej młodszej córki Joanny, którą naród przezwał „Joanną Brzydka”, postanowił wynagrodzić ją ofiarowaniem jej za męża pięknego młodzieńca, tak żeby córka nie odczuwała swej ułomności i była szczęśliwa w małżeńskim łożu jak jakaś piękna księżniczka. Rozkazał księciu Orleańskiemu (będzie to przyszły francuski król Ludwik XII) ożenić się z jego córką i uczynić ją szczęśliwą. Ludwik XII na ożenek z brzydulą nie bardzo ma ochotę, a sypiać z nią już zupełnie nie chce. Młoda żona wzbudza w nim odrazę, zbiera mu się na torsje, gdy musi z nią iść do łoża. Ich wesele przypominało stypę. Narzeczony o ponurym wyglądzie, z grymasem bólu jak od bólu zęba, mroczny wygląd narzeczonej, która intuicyjnie wyczuwa, że w mężu budzi wstręt. Joanna jest bliska płaczu, obok niej siedzi naburmuszony i zły Ludwik XI, któremu nie podoba się stosunek Ludwika Orleańskiego do jego córki. No i co z tego, że brzydka? Wszak jest córką wielkiego króla francuskiego. To się nie liczy! Trzeba na twarz i wygląd narzeczonej uwagę zwracać? A gdy goście weselni krzyczą: „Gorzko, gorzko!”, Ludwik Orleański dotyka ust Joanny tak, jakby całował jadowitą żmiję.

No a potem ta nieszczęsna noc poślubna, którą Ludwik Orleański przesiedział, nie rozbierając się, w fotelu, drzemiąc i ciężko wzdychając, a obrażona świeżo poślubiona żona cicho płakała, zagubiona w ogromnym małżeńskim łożu, które tak troskliwie przeżegnał jej ojciec, życząc młodemu udanej nocy poślubnej. Joanna cicho płakała, Ludwik Orleański drzemał na

krześle, a nazajutrz pisarczyk ze smutkiem zapisał w pałacowej księdze” *Non consumatum*. „Ja ci pokażę *non consumatum!*” – ryknął rozgniewany Ludwik XI, ojciec Joanny. „Nie boisz się utracić swojej pięknej główki?” – zwrócił się do zięcia z retorycznym pytaniem. Ludwik Orleański się przestraszył. Bez głowy przecież żadnej wartości nie miałby. Obiecał teściowi, że następnej nocy obowiązkowo zdefloruje swoją małżonkę.

Przez cały wieczór Ludwik Orleański zamiast wina pił afrodyzjaki i nasładzał wzrok pornograficznymi rycinami, a nocą, nieco podchmielony, powłókł się na katorgę, to jest na deflorację swej małżonki. Jako tako udało mu się pozbawić ją dziewictwa, lecz nadal sypiać z nią nie chce i notorycznie ucieka do sypialni pałacowych dam. Dramatyczne było to, że Joanna Brzydka miała niepospolity temperament i zdążyła zakochać się w Ludwiku Orleańskim. Ciągle jej mało było stosunków płciowych, zresztą nie tylko ich. Domagała się pieśszczot, jakby była piękną księżniczką, godną uwielbienia mężczyzny. Kiedy Ludwik Orleański wchodził do jej komnaty, wskakiwała mu natychmiast na kolana, poczyniała go tarmosić i domagać się pieśszczot. A u niego alergia na brzydką żonę. Dlaczego tego nie chce zrozumieć despota Ludwik XI, który otwarcie powiedział zięciowi: „Nie będziesz sypiał z moją córką, zgnoję cię w Bastylii”. No i Ludwik Orleański musi cierpieć okrutne seksualne katusze. Na dodatek Joanna, mimo iż brzydka jak noc, kulawa, trochę garbata, o jednym boku szerszym od drugiego, szpetnych rysach twarzy i głębokich smutnych oczach nieszczęśliwej krowy, miała czelność okazać się niezwykle rozbudzoną seksualnie kobietą z zadatkami nimfomanstwa, na dodatek śmiertelnie zakochaną w swym mężu. Pierwsze dni, zwłaszcza fatalną noc poślubną, którą pijany Ludwik Orleański przesiedział w fotelu, jak ognia lękając się zbliżyć do małżeńskiego łóża, Joanna gotowa była mu darować, lecz ile można? Młoda, prawie niepieprzona żona, silnie cierpi z powodu seksualnego niedosytu. Chociaż ojcu się nie skarży, ślady jej mąk

jednak widoczne na jej twarzy: oczy czerwone jak u królika czy białej myszy, nos spuchnięty i sinawoczerwony od nocnych szlochów w samotnym łożu, głos ochryply jak u przepitego dragona, a w sumie – zabiedzona nieszczęśliwość. No nie, Ludwik XI twardo postanawia do seksualnej samowoli swego zięcia nie dopuścić. Postanawia zmusić go do odbywania regularnych stosunków z żoną. Czterech dorodnych grenadierów pilnowało księcia Orleańskiego, nie pozwalając mu uchylać się od małżeńskich obowiązków. Gra, na przykład, Ludwik Orleański w piłkę (bardzo lubił tę grę), aż tu w momencie najwyższych emocji gry grenadierzy podchodzą do niego, grę przerywają i delikatnie mówią: „Wasza Jasność, już czas wam iść na kopulację z żoną”. A kiedy księżę, idąc na seksualną katorgę, zacznie mataczyć, skręcać w stronę komnat dam pałacowych, żołnierze go uprzejmie i stanowczo zawrócą na właściwą drogę. A tam w sypialni już Joanna w łożku leży, niecierpliwie gryząc prześcieradła. Bez seksu żyć nie mogła, a ten seks musiał jej dać jej mąż. Kilkakrotnie próbował Ludwik Orleański wsunąć jej do łóżka podkupionego pazią, nic z tego, nie udawało się. Joanna ze wstrętem odmawiała stosunku z innym mężczyzną. U Ludwika Orleańskiego nie życie, tylko same inkwizycyjne tortury. Jeszcze trochę i nie wytrzyma. Zacznie niczym rozjątrzony byk gromić wszystko dookoła, z przymusu współżycia z żoną, do której nieodparty wstręt powiększał się każdego dnia. O Boże, co za nieszczęśliwe, co za żałosne istoty, królowe, których tak nienawidzą mężowie, a one w nich są śmiertelnie zakochane. Cierpieć codziennie tak ogromne poniżenie, kiedy od twego ciała mąż ucieka jak od kawałka śmierdzącego g..., a ty nie możesz się obejść bez jego boskiego ciała. Takie okrutne męki cierpiało to niedobre małżeństwo do chwili śmierci Ludwika XI, która nastąpiła w 1483 roku. Na francuski tron wstąpił Ludwik XII, mąż Joanny Brzydkiej. No nareszcie! Chyba z wielką ulgą westchnął król nie tyle z radości ze swego ukoronowania na francuskiego

króla, raczej z otwierającej się możliwości pozbycia się niechcianej żony. Joanna na grzeczną propozycję rozwodową męża odpowiada twardym: „Nie”. Rozwodu nie chce, a nawet ma nadzieję, że wzbudzi w nim uczucie, więcej, że król ją zapłodni. Król oddał sprawę do sądu parlamentarnego.

Istnieją trzy powody uzasadniające prośbę małżonka o rozwód. Może on opuścić żonę, jeśli jest nienormalna, jeśli nie chce lub nie może dać mu dzieci oraz jeśli zostanie udowodnione, że jest kłótniwa lub odmawia swemu mężowi wszystkiego, czego on od niej może prawnie wymagać. „Ani jednego z tych punktów nie naruszyłam” – w sądzie mówi Joanna, patrząc sędziemu wprost w oczy. Natomiast sędzia spuszcza w dół oczy. Musi jej zadać kłopotliwe pytanie: „Ale czy zgodzi się Wasza Królewska Mość z tym, że ojciec wasz, Ludwik XI, na siłę narzucił królowi Ludwikowi XII was jako małżonkę?”. Joanna odpowiada równie stanowczo: „Nie jestem tak niskiego rodu, żeby kogokolwiek można było zmusić na siłę do ożenienia się ze mną. Mój małżonek wyraził taką chęć”. No tak, ten punkt o siłowym małżeństwie odpadł, nie udowodnisz go, dowodów brak. Sędzia wysuwa następny argument. „Zgodzi się Wasza Wysokość, że ma pani fizyczny defekt, który uniemożliwia bycie prawdziwą żoną?”. Joanna bez skrępowania odpowiada: „Zgadzam się, że nie jestem ani tak piękna, ani tak powabna jak niektóre kobiety. Lecz nie sądzę, iż nie pasuję do mojego męża. Mam takie samo prawo do małżeńskiego szczęścia, jak Anna, żona mojego koniuszego, która jest szpetna i kaleka, lecz urodziła mężowi dwoje zdrowych dzieci”. Zażarcie, lecz spokojnie i elokwentnie broni szpetna, chroma i kaleka Joanna swego prawa do małżeńskiego szczęścia. Broni swej kobiecej i królewskiej godności. Sędzia wyjmuje ostatniego asa z rękawa: „Ale jesteście spokrewnieni po czwarte kolano. Wasz związek może być uważany za kazirodczy”. Joanna odpowiada: „Sam papież Sykstus IV udzielił nam dyspensy”. Ostatni argument odparowała Joanna. Wygrała ten skandaliczny

proces, wychodząc z niego z godnością, nawet uzyskała sympatię ludu, któremu zaimponowało jej spokojne dostojeństwo i godność, z jaką broniła swego kobiecego szczęścia. Ludwik XII, któremu było pilno do ożenku z Anną Bretońską, wdową po Karolu VIII, w związku z pragnieniem wejścia w posiadanie bogatej Bretanii, postanowił nie wszczynać już więcej żadnych procesów, a samemu pójść do Joanny i poprosić ją o rozwód. Nie wiadomo, jakich argumentów użył król, może płakał, może błagał na kolanach swoją żonę – Joanna Brzydka zgodziła się na rozwód.

Udała się do klasztoru i została mniszką. Tam prowadziła energiczną działalność, z oddaniem pomagała biednym. Zmarła w 1505 roku, mając 41 lat. Została kanonizowana.

## **Niechciane żony Zygmunta Augusta**

*Króla można uważać nawet za erotomana.*

(Zbigniew Kuchowicz o Zigmuncie Auguście)

*Wierzajcie mi, że chlubić się będzie wyuzdaniem.*

(Stanisław Orzechowski o Zigmuncie Auguście)

Król polski Zygmunt August za aprobatą swej mamy, królowej Bony, bardzo wczesnie rozpoczął życie płciowe. Uważał za moralne i naturalne utrzymywanie licznych związków miłosnych równocześnie z wieloma kobietami, wcale się nie krył ze swymi miłostkami, a częste zmiany partnerek uważał za rzecz oczywistą. „Surowiec” brał spośród dworek swej matki, a także spośród znanych prostytutek. Ta pierwsza, która pozbawiła Zygmunta dziewictwa, to była podstarzała, prawie czterdziestoletnia Włoszka, Diana di Cordona, doświadczona i rozpustna kusicielka. Zasmakowała w seksie z przystojnym młodzieńcem-królewiczem i z wyrachowaniem i kunsztem doświadczonej służki Wenus zaczęła uczyć Zygmunta różnych miłosnych sztuczek. W tej nauce młody królewicz wielce zasmakował i to na tyle, iż nie patrząc na ogromną różnicę wieku, postanowił uczynić Włoszkę swoją stałą metresą.

Mając wielki temperament, wkrótce stał się całkowicie uzależnionym od seksu. Pociągały go kobiety starsze od niego, doświadczone, wprawne w miłosnych sztuczkach, dające mu maksimum seksualnej rozkoszy, aktywne w łóżku, a nie leżące trupem w poczuciu wstydu, jak to będzie czyniła jego pierwsza żona, wzbudzając w mężu awersję i złość. Czyż nie dlatego rozwiódł się, a potem zabił Neron swoją osiemnastoletnią żonę Oktawię, bo była zbyt niedoświadczona i nieśmiała w łóżku, a

cesarz lubił obyte z seksem kobiety.

Większość biografów za wczesne wyuzdanie Zygmunta Augusta obwinia swawolny i rozpustny dwór królowej Bony. Maria Bogucka: „Nie można powiedzieć, aby na zygmuntońskim dworze panowała zbyt skromność. Bujne temperamenty wyładowywały się w licznych miłostkach i romansach, zwłaszcza że wśród fraucymeru królowej nie brakowało pięknych panien”. Niezdrową skłonność do kobiet, graniczącą z erotomanstwem, Zygmunt August także odziedziczył po Jagiellonach. Ludwik Kolankowski: „Gorący to wielbiciele płci pięknej, do której hołdów byli pochopni wszyscy”. Po matce Włoszce Zygmunt odziedziczył bujny temperament. Wszyscy biografowie zgodnie utrzymują, że posiadał silny popęd seksualny i dysponował nieprzeciętną potencją. Słowem, Drogi Czytelniku, był wspaniałym kochankiem: do pięknej urody i postury dołączyła niezwykła potencja i uwielbienie seksu.

Mało co wiemy o jego pierwszej kochance, Dianie di Cordonie, oprócz tego, że Zygmunt kupił jej dom przy bramie Floriańskiej w Krakowie. To ona, jak nieśmiało wspomina Jerzy Besala, „zaraziła go syfilisem”. Innymi źródłami na temat wczesnego syfilisu Zygmunta Augusta nie dysponujemy, wyłączając to, że później jego druga żona, łajdaczka Barbara Radziwiłłówna, istotnie ponownie go nim zaraziła.

Po Dianie wziął sobie Zygmunt szesnaście Włozek – cały harem (później zabierze go do Wilna). Jakiś czas jego kochanką była niejaka Wejssówna. Zygmunt August miał trzy żony, z pierwszą i trzecią był bardzo nieszczęśliwy, z drugą, Barbarą Radziwiłłówną, szczęśliwy na tyle, że miłość przerodziła się w tragedię. Dzieci z żonami nie miał. Prawdopodobnie był bezpłodny, a ta córka, jedyne jego nieślubne dziecko, które mu urodziła Giżanka u schyłku jego życia, prawdopodobnie było nie jego.

Czym się król zajmował oprócz kochania kobiet? Uwielbiał

łowy na duże zwierzęta: żubry, niedźwiedzie, dziki, był niezłym myśliwym. Pewnego razu jego polowanie trwało ponad dwieście dni.



## **Elżbieta Habsburżanka**

Pierwszą żoną Zygmunta Augusta była siedemnastoletnia Elżbieta Habsburżanka, córka Ferdynanda I, cesarza Austrii, syna Joanny Szalonej, tej samej, która przez dwa lata wozila po wyboistych drogach Kastylii trupa swego męża Filipa Pięknego, zatrzymując się w męskich klasztorach i oddając się nekrofilii. Ferdynand I, ojciec Elżbiety Habsburżanki, specjalnych objawów choroby psychicznej nie przejawiał, lecz był trochę dziwny i okropnie brzydki. Zbyt wyraźnie odzwierciedliły się w nim ujemne rysy Habsburgów, o wiele bardziej niż w jego bracie Karolu V: wypukłe oczy, bulwiasty nos, no i ta charakterystyczna dla Habsburgów, wysunięta do przodu, dolna warga. Ze swej brzydoty kultu nie czynił. Po prostu nie zwracał na nią uwagi, a ponieważ był człowiekiem dowcipnym i pełnym humoru, to kobiety go kochały. Lecz on kochał tylko swoją małżonkę, Annę Węgierską, z którą miał... piętnaścioro dzieci. I tak nie dorównał swemu synowi, Maksymilianowi II, który miał ich aż szesnaścioro. Większość dzieci Ferdynanda I to były córki. Nie tak łatwo taką gromadkę wydać za mąż. Lecz Ferdynand I, wielki dyplomata, korzystnie córki za mąż powydawał: Annę za bawarskiego księcia Albrechta, Marię za Wilhelma III, księcia Cleve, Eleonorę za Franciszka Gonzagę, Beatrice za Alfonsa de Este z Ferrary, Joannę za Franciszka I Medici, a dwie jego córki, Elżbieta i Katarzyna, zostały żonami Zygmunta Augusta.

Ślub Zygmunta Augusta z Elżbietą Habsburżanką odbył się 6 maja 1543 roku. Wygląd Elżbiety nie wzbudzał zachwyty, ani w narzeczonym, ani w gościach. Była blada, nawet anemiczna, wątła, nieśmiała i... łapczywa na słodycze, co pokazała na przyjęciu weselnym. W rodzinnym domu nie była rozpieszczana przez srogich i oszczędnych rodziców, jadała tylko zwykłe, proste jedzenie: czarny chleb, cebula, żadnych słodyczy. Na Wawelu, gdzie było w bród rozmaitego jadła, rzucała się na nie z

łakomstwem żarłoka, wywołując tym ogólną dezaprobatę. Jej łakomstwo stanie się później powodem głośnego na całą Europę skandalu. Skrajna naiwność i nieśmiałość Elżbiety nie wywoływały entuzjazmu Zygmunta Augusta, przyzwyczajonego do ładnych i rozwiązłych niewiast, obytych w dziedzinie życia erotycznego. Elżbieta wręcz go irytowała. Wbrew rozpowszechnionej opinii biografów Elżbieta była brzydka.

Bywają, Drogi Czytelniku, różne rodzaje brzydoty. Nieraz bywa brzydota, która nie razi mężczyzn, a wręcz odwrotnie, przyciąga ich i nie wzbudza awersji. Ale Elżbieta miała niezdrową, chorą brzydotę. Czym tak strasznie raziła Zygmunta Augusta? Swoją flegmatycznością, umysłową ociężałością, przesadną pobożnością. Była zbyt, jak na gust Zygmunta Augusta, skromna, nieśmiała, niepewna siebie, lękliwa.

Henry Miller doskonale przedstawia rodzaj brzydoty, która niesamowicie pobudzała jego zmysły; taka odrażająca, ale pełna seksapilu kobieta stanowiła dla tego erotomana łakomy kąsek. Oto jak ją przedstawia: „Silna, żylasta, tryskała życiem, zwierzę obdarzone ludzką duszą i niezaprzeczalnym wigorem seksualnym. Kiedy pochylała się, jej potężne kształty uwydatniały się pod zniszczoną wybrudzoną sukienką. Oczy jej błyszcząły niczym oczy Beduinki, głodem seksu, jak węgle. Usta czerwone jak krew, zęby białe. Gęste czarne włosy spadały ciężkimi puklami jak gdyby nasycone oliwą. Renoir uważałby ją za piękność. Patrzyłby na grę jej mięśni, kule jej piersi, swobodną rozkołysaną postawę, nadmierną siłę ramion – jest brzydota wątła i jest brzydota silna. Odczułby zwierzęcą żądzę, nieposkromiony żar, ogień jej krwi, w tej silnej brzydocie harmonię tygrysiich ruchów, drapieżność, pazerny apetyt seksualny gorącej samicy. Usychając z pragnienia miłości, wypełniała marzeniem pustkę. Ogromna jej uwodzicielska moc tkwiła uwięziona w niewyżytych seksie. Pozbawiona wszelkiej nadziei zdobycia mężczyzny, żądza jej kierowała się ku zakazanym obiektom pożądania – ku zwierzętom, mitologicznym

bóstwom. W jej uśmiechu czaiło się coś z oburzenia wyschniętej ziemi po straszliwej nawałnicy – był to uśmiech istoty nienasyconej, która płonie żądzą. Przekazywała fluidy. To nienasycona żądza piękna, żarliwości, kochania” (H. Miller „Zwrotnik Kozioróżca”).

Ale co ma robić król polski Zygmunt August, skoro odczuwa do żony tak wielki wstręt? Potem biografowie będą kruszyć kopie, nie potrafiąc rozwiązać dylematu zdeflorował Zygmunt August swoją małżonkę, czy też nie? Niektórzy będą twierdzić, że nie, my w to nie wierzymy, Drogi Czytelniku. Naturalnie, że zdeflorował, lecz potem się starał, aby jak najrzadziej bywać w jej sypialni. Nie uszło to uwadze Jana Marsupina, posła austriackiego, czy raczej austriackiego szpiega na Wawelu, spełniającego również rolę tłumacza przysłanego przez zapobiegliwego Ferdynanda I, ponieważ Elżbieta nie mówiła po polsku. 30 czerwca 1543 roku Jan Marsupin zawiadomił Ferdynanda I, że Zygmunt August, mąż jego córki Elżbiety, zaniedbuje swe małżeńskie obowiązki Unika żony i to tak skutecznie, że nieraz tygodniami jej nie widzi. Ferdynand w swej zapalczywości posyła ostry list do Zygmunta Starego, ojca Zygmunta Augusta, z wieloma znakami zapytania. Dlaczego mąż nie jada wspólnie z żoną? Dlaczego nie śpi wspólnie z żoną? Dlaczego.. Dużo było tych „dlaczego”, Drogi Czytelniku, w liście Ferdynanda I, czerwoną nicią snuła się przezeń myśl, zmień się, królu, bo inaczej... Inaczej to nawet wojna może być między austriackimi Habsburgami a Polską.

Trzeba uczciwie powiedzieć, Drogi Czytelniku, że w stosunkach pomiędzy matką Zygmunta Augustą Boną, i Elżbietą czarny kot przebiegł drogę. Nie lubiła Bona swej synowej i na każdym kroku tę niechęć wyrażała. A znienawidziła ją dlatego, że ta okazała się epileptyczką. Ataki padaczki zdarzały się u niej coraz to częściej. Ich tło było nerwowe, bowiem u siebie, w Wiedniu, albo ich nie miała wcale, albo miewała je bardzo rzadko. Zygmunt August, który był esteta, nie chce leżeć obok żony,

spełniać swój obowiązek małżeński, jeśli wisi nad nim groźba, że ciało Elżbiety nagle posinieje, oczy pod niebo się zapadną, pocznie drgać, ale nie w ekstazie miłosnej, lecz w konwulsyjnych drgawkach epileptyczki, a potem będzie niczym trup leżeć w pozycji nekrofilskiej. No nie, nie pozazdrościsz Zygmuntovi Augustowi tych jego nocy miłosnych z małżonką. Bona powiedziała synowi otwarcie, szczerze, krótko i węzłowato: „Unikaj z nią stosunków fizycznych, jeśli nie chcesz, żeby twoje dzieci były epileptykami”. O tym, że zamierzała otruć Elżbietę, żeby skończyć z tym tragikomicznym związkiem małżeńskim, naturalnie, że nie wspomniała.

Bona, która pochodziła z rodziny Borgiów, miała dużo wiadomości na temat trucizn. Dla niej otruć człowieka to tak jak raz plunąć. Zygmunt August przypuszczał, że matka otruła jego drugą, kochaną przez niego żonę, Barbarę.

Zaczyna się piekielne życie biednej Habsburżanki na wawelskim dworze, wśród nieżyczliwych jej Polaków, wrednej, złośliwej, nienawidzącej jej teściowej, przy boku męża, który czuje do niej nieodparte obrzydzenie. Nie do pozazdroszczenia jest położenie biednej Elżbiety. Ileż łez przelała ta niekochana małżonka, ile bezsennych nocy spędziła, a nieszczęśliwa była tak, że kwiat wiądnął w jej rękach.

Bardzo często, Drogi Czytelniku, w człowieku, który znalazł się w wielkiej depresji, rozwija się niepomierny apetyt. Jest to choroba bardzo znana psychologom i psychiatrom, a nazywa się ona... a, do licha, nie pamiętam, lecz nazwę swoją z całą pewnością posiada. Więc w Elżbiecie, targanej nerwami, rozwinął się niepomierny apetyt i łakomstwo. Zaczęła tyć, bo zaczęła żreć, przepraszam za kolokwializm. Pałaszowała łakocie, a szczególnie lubiła ser parmezański.

Historia zna wiele międzynarodowych afer. Za królowania Stanisława Augusta Poniatowskiego afera Drogumowej, we Francji, za Ludwika XVI, głośna „naszyjnikowa afera” Marii

Antoniny, lecz afera o kawałek sera parmezańskiego? No nie, takiego skandalu z byle czego żaden kraj oprócz Polski nie miał. O co tu poszło? Pewnego razu w kuchni Elżbiety, która jadała osobno, a nie z teściową, Boną, zabrakło sera parmezańskiego. Posłała swego kucharza do kucharza Bony po kawałek takiego sera, a ten, naturalnie, odkroił spory kawał takiego sera, na oko z pół kilograma. Kiedy Bona dowiedziała się o tym, podniosła wrzask i kucharza do stajni na chłostę wysłała, nawymyślała osobiście synowej, bryzgając śliną wściekłości. Elżbieta w płacz, sługi po kątach się chowają, Europa się śmieje ze skandalu z powodu kawałka sera. Potem Iwan Kryłow, rosyjski bajkopisarz, napisze baśń o kawałku sera, który wrona trzymała w dziobie, zanim chytry lis nie wywabił go pięknymi słówkami. Tu pięknych słówek nie było, tu rozgrywają się dantejskie sceny z powodu kawałka sera. Wbrew pozorom przyczyna tych sporów nie wydaje nam się błaha, jeśli wziąć pod uwagę, że podobny skandal o kawałek sera rozegrał się na petersburskim dworze. Car Piotr I, wielki łakomczuch, również lubił ser, bez znaczenia jest, czy był to parmezański, czy holenderski. Po obiedzie osobiście rozkazywał stawiać na stole główkę sera, którego kawałki odkrajał nożem. Potem, po konsumpcji, wyjmował centymetr, mierzył wielkość niezjedzonego sera, a informację zapisywał w specjalnym notesie. Nie daj Boże, że w ferworze państwowych spraw zapomni car, ile było tego sera, a złodziej kucharz połowę zezre! A kucharz, nie wiedząc, że ser jest mierzony, odkroił kawałek i istotnie zżarł, niegodny. Na drugi dzień car domaga się sera. Przyniesiono mu. On mierzy i oczom swym nie wierzy. Niby ten sam kawałek, lecz o kilka centymetrów krótszy. Car natychmiast zaczął pałką okładać żarłoka. Byłby go zatłukł na śmierć, gdyby nie wszedł Mienszykow i nie uratował nieprzytomnego kucharza.

Tak że przestańmy mówić, Drogi Czytelniku, że ser zjedzony na królewskich dworach to błahostka. Straszny szum podniósł się w Europie, zwłaszcza po tym, jak litościwy dworzanin, zacny pan

Seweryn, przysłał młodej królowej Elżbiecie ogromny trzydziestofuntowy kawał sera. Jedzcie, na zdrowie, Wasza Wysokość, bez krępacji. Obrażona Bona poczęła się domagać ukarania ofiarodawcy parmezańskiego sera. Szpieg Marsupin donos do Ferdynanda I opatrzył taką konkluzją: „Spór o kawałek parmezańskiego sera zmienił się w tragedię antyczną”. Wiedeń chwyta za miecze z powodu serowej afery.

No i nowe upokorzenie dotknęło Elżbietę. W odpowiedzi na grzmiące listy Ferdynanda I, że Zygmunt August zaniedbuje swą żonę, on rozkazał tej osiemnastoletniej, wstydlivej dziewczynie, aby w otoczeniu sług przychodziła do jego sypialni, czego dotąd nigdy królowe nie czyniły. „Dokąd to królowa idzie?” – pytają dworacy. A z orszaku królowej pada odpowiedź: „Na pieprzenie się z mężem”. Czyż to nie upokarzające, Drogi Czytelniku, w epoce moralności chrześcijańskiej, kiedy w małżeństwie był zabroniony seks, który przynosił rozkosz, a stosunki fizyczne powinny się odbywać jedynie w celu prokreacji. Elżbieta płacze jeszcze bardziej, już jej nie widziano bez czerwonych, zapłakanych oczu.

Silna niechęć do płci żeńskiej, także do współżycia płciowego, nazywa się – wspominaliśmy już o tym – mizoginizmem. Zygmunt August, dotknięty taką przypadłością, już w dwa miesiące po ślubie wyjeżdża na Litwę, zostawiając Elżbietę na pastwę nieprzyjaznego jej dworu królowej Bony. Na nic zdały się lekcje posła-szpiega Marsupina dotyczące erotycznego zachowania Elżbiety. Dyskretnie naszeptował jej na uszko, jak należy zachowywać się w małżeńskim łóżku, żeby król Zygmunt poczuł fizyczny pociąg do żony. Radził Elżbiecie, aby była bardziej śmiała w łóżku, nie wstydziała się „odrobinki rozpusty” i rozwiązłości. Elżbieta na te rady czerwieniła się i płakała rzewnymi łzami.

Jak tu nie przytoczyć aksjomatu erotycznego „naukowca” Kazimierza Imielińskiego, odnoszącego się do śmiałości kobiet

przebywających w łóżku z mężem: „Kobieta, która nie potrafi mężczyzny seksualnie zadowolić, niech nie oczekuje od niego miłości i uczuć, tylko obrzydzenia i zubożenia. Wielu mężczyzn nie może osiągnąć rozkoszy z żoną, gdyż zmusza się do skrywania swych pragnień perwersyjnych. Czuje pewny niedosyt, a nawet rozczarowanie” (K. Imieliński „Miłość i seks”).

Poseł Marsupin śle swemu pryncypałowi, Ferdynandowi I, list za listem, w którym informuje go o kiepskim współżyciu małżeńskim Zygmunta Augusta ze swoją małżonką. „Niekiedy upływało trzydzieści i więcej dni, Wasza Wysokość, a mąż ani razu nie wszedł do sypialni żony, a ona przecież, Wasza Wysokość, jest tak miła, tak wstydliva i najrozmaitszymi cnotami obdarzona. niesprawiedliwie jest darzyć żonę taką wzgardą”. Ferdynand I ten list odczytał po swojemu. Po pierwsze, zrozumiał, że trzeba jednak wypłacić posag Elżbiety, z którego przekazaniem Habsburgowie się ociągali. Po drugie, skarcił bezpardonowo Zygmunta Augusta w liście, na co ten bezczelnie odpowiedział: „Jestem wystarczająco dorosły, sam wiem, co robię”.

Na Litwę, w ślad za Zygmuntem Augustem, wyruszył jego harem. Szesnaście zdrowych dziewczek! A w Wilnie Zygmunt August bóg i car, sam sobie gospodarz, a na dodatek najbogatszy człowiek w tamtej krainie. Czego tylko u niego nie ma?

Litwa lubi i umie się bawić. Tam z przyjemnością przebywał Aleksander I, rosyjski car, nawet kupił sobie posiadłość. Litewskie panie są piękne, rozpustne, łatwe do zdobycia, uwielbiają seks. Wkrótce harem Zygmunta Augusta musiał z powrotem powędrować do Krakowa, bowiem zaszła nowa okoliczność. Zygmunt August zakochał się w Barbarze, wdowie po wojewodzie nowogrodzkim Gasztołdzie. Nie podejrzewał, że ta lekka, łatwa i przyjemna znajomość z rozpustną wdową przemieni się w szaleńczą, gorącą miłość w rodzaju miłości Romea i Julii – romantycznych bohaterów Szekspira. Ogarnęła Zygmunta Augusta wielka, a nawet fanatyczna miłość, chociaż bohaterka

jego serca była łajdaczką, króla syfilisem zaraziła, na wieki bezpłodnym go uczyniła. Skąd to się wzięło? Dlaczego tak? Czemu taka nielogiczność, jeśli wziąć pod uwagę lekkomyślność Zygmunta Augusta, jego odnoszenie się do kobiety jako do obiektu seksualnego, traktującego swój „cool sex” wyłącznie instrumentalnie? A kiedy to, Drogi Czytelniku, miłość można wsunąć w wąskie ramki logiki? Ta nieujarzmiona i żadnym normom ani logice niepoddająca się druga żona Zygmunta Augusta odzwierciedliła na jawie marzycielski ideał kobiety. Do niego podświadomie zawsze dążył król. On, traktujący wszystkie kobiety jako obiekty rozkoszy i doświadczeń seksualnych, pragnął partnerki, która oprócz zadowolenia seksualnego dostarczyłaby mu satysfakcji psychicznej, zadowoliłaby jego wrażliwość estetyczną, dałaby mu pełnię miłości. No tak, żył rozpustnie, lecz nurtowały go marzenia i tęsknota do przeżywania subtelniejszych erotycznych uczuć. Po nieszczęśliwym małżeństwie z Elżbietą tkwiła w nim pustka uczuciowa, gryzła go tęsknota za inną miłością erotyczną, pozbawioną cynizmu, w jej czystym, wyidealizowanym obrazie, połączona z estetyką i pięknem jako elementem samoistnej wartości. Takie wzniosłe uczucie, i rozpustne zarazem, połączenie uczuć Abelarda i Nana, było pragnieniem Zygmunta. To wszystko znalazł w Barbarze. Inteligencję i rozwiąłość, czystość i wyuzdanie, skromność i żądze. Niech sto razy będą twierdzić niektórzy biografowie, iż Barbara, której matka była wiedźmą, po prostu spoiła króla miłosnym napojem. My potrafimy to wytłumaczyć inaczej: ideał kobiety znalazł Zygmunt August w Barbarze. Dawała mu niesamowitą satysfakcję seksualną i komfort psychiczny.

Na Litwie istniała tak zwana erotyczna wolność kobiet. Mało temperamentni mężowie przez palce patrzyli na swe żony, fundujące sobie kochanków, których dla przyzwoitości nazywano „przyjaciółmi domu”. Mężowie nawet byli im wdzięczni: uwalniali ich bowiem od trudnych obowiązków. Swobodne litewskie



obyczaje z wielkim pobłażaniem traktowały cudzołóstwo. Na Litwie istniało dzikie zjawisko, tzw. snochactwo, polegające na tym, że teść miał prawo wypróbować swoją synową przed jej nocą poślubną. Nikogo to nie szokowało, jak nie szokowała inna dewiacja – pasierbowie nagminnie żenili się ze swymi macochami. Do dziewictwa panien odnoszono się obojętnie, bywało i tak, że mąż był niezadowolony z tego, że jego nowo poślubiona żona okazywała się dziewicą: „Co, wziąłem tak szpetną niewiastę, której nikt przede mną nie chciał?”

Na dworze Zygmunta Augusta odbywają się lukullusowe uczty. Wielkie żarcie – pochłaniane były nieraz takie ilości dziczyzny i innego mięsa, którego starczyłoby, aby nakarmić przez tydzień całe miasto. Kronika dworu wileńskiego Zygmunta Augusta zanotowała ilość mięsa zjedzonego w ciągu pięciu dni: trzydzieści sześć wołów, pięć krów, dwadzieścia trzy barany, czterysta dwadzieścia sześć kur, dziewięćdziesiąt kaczek, dwadzieścia trzy kapłony, dziewięć bażantów. A do tego wypito pięćdziesiąt cztery Stulitrowe beczki piwa.

Wreszcie musiał Zygmunt August zabrać żonę do Wilna. Przed odjazdem Elżbiety szpieg Ferdynanda I dał jej ostatnie wskazówki, jak należy zachowywać się na wileńskim dworze. Należy pamiętać, że Elżbieta Habsburżanka wywodzi się z rodu królów rzymskich, jej stryj, Karol V, jest cesarzem, przed którym cały świat czuje respekt, Polska też czuć go powinna. Innymi słowy: Elżbieta na polskim dworze powinna zachowywać się pewnie i stanowczo, i sypiać z mężem, do licha! Lecz czy można od zmokłego przestraszonego wróbelka wymagać siły ducha orła? Naturalnie, że Zygmunt August uczynił wszystko, żeby odseparować się od żony. Mieszkają małżonkowie w różnych pałacach, w jej pałacu mieszka sto piętnaście osób, w jego dwukrotnie więcej.

Przypomnienie nieudanego małżeństwa ciągle jątrzyło Zygmunta Augusta niczym niezabliźniona rana, zewnętrznie

ukrywał to pod maską obojętności.

I co za życie ma biedna królowa? Żadnej radości. Wdepnęła w to gniazdo os. W Krakowie rządziła despotyczna teściowa, królowa Bona, która wiecznie syczała:

„Inwalidkę nam Habsburgowie podsunęli”. Zygmunt August nie był głuchy na psioczenia matki, jego nienawiść do żony rosła z każdym dniem. Tu w Wilnie Elżbieta spędza w samotności długie nudne dni, natomiast Zygmunt weseli się z Barbarą, absolutnie lekceważąc żonę. Smutno jest żonie prawie każdego dnia obserwować, jak jej mąż dosłownie szaleje za swoją Barbarą, jak ożywia się jego twarz na samo wspomnienie o niej. Z dnia na dzień rośnie jego wielka miłość do kochanki, a gaśnie z dnia na dzień biedna Elżbieta. Ataki epilepsji się nasilają. Nieraz dochodzi do kilku w ciągu dnia. Biedne, niekochane żony! Zygmunt nie mógł na to patrzeć. Pod różnymi pretekstami starał się nie być razem z Elżbietą podczas tych ataków. Zresztą wciąż wyjeżdżał na łowy, które nieraz trwały całe tygodnie.

Dwór Elżbiety jest nazywany „smutnym dworem”. Nie ma tu ani zabaw, ani festynów, jest cicho jak w klasztornej celi. W tej ciszy czai się wielki smutek, inaczej jest tu niż w klasztornych celach. Tu mówi się szeptem jak w szpitalu przy obłożnie chorym. Tu w smutku, rozpacz i samotności gaśnie królowa. Nikt już na świecie nie jest w stanie jej pomóc. Król Zygmunt Stary, jedyny, który ją lubił, już nie żyje, a ten, który mógłby jej pomóc, jej mąż, już jej nie chce. Innym słowem, dla cnotliwej epileptyczki Elżbiety nie ma miejsca w rozpustnym Wilnie. I przyjdzie jej umrzeć, kiedy już nie potrafi wytrzymać obojętności męża. Nigdy się nie dowie, że po jej śmierci Barbara zostanie drugą żoną Zygmunta, że on po jej śmierci będzie rozpaczał. Nie dowie się też nigdy o tym, że kiedy Zygmunt August będzie wioził trupa Barbary, aby pochować go w Wilnie, konie odmówią dalszej jazdy (jechał dwa tygodnie), tak bardzo bowiem odstraszał je odór wydobywający się z rozkładającego się ciała królowej, mimo iż skrywały je dwie

trumny: ocynowana i drewniana. Nie dowie się też, że oszalały z rozpaczy Zygmunt August będzie wywoływał ducha Barbary; także tego, że podobna do niej mętna, dymna sylwetka pojawi się przed jego obliczem.

Obok smutnego dworu Elżbiety na całego egzystuje wesoły dwór Zygmunta Augusta. Tam weselą się do woli. Bodaj codziennie są łowy, festyny, bale, maskarady, fajerwerki. Króluje na nich, oczywiście, Barbara i końca bezceństwom nie ma. Wyciągnięto z burdelu dziewczkę, Zośkę Długą, ubrano ją w zbroję i w hełm, włożono do ręki miecz, na konia wsadzono i rozkazano jej walczyć z dwoma potężnymi rycerzami z czasów króla Artura. Ludu pełna arena. Zośka w piątej minucie zwała rycerzy z siodła. Brawa dla Zośki! Rozochoceni mężczyźni pociągnęli ją na inny turniej – seksualny. Ta herod-baba przyjmie dziesięciu potężnych chłopów, oczekujących w pogotowiu z wysuniętymi fiutami i nawet nie drgnie. Zygmunt August, rozpalony tą sceną, potaszczył Barbarę do pałacu; szybciej, kochana, chuć mnie rozpiera!

Po pożarze w 1530 roku, kiedy prawie całe Wilno się spaliło, miasto zostało odbudowane. Drewniane domy zostały zamienione na murowane. Zygmunt August otworzył w Wilnie bibliotekę miejską, dużo w niej cennych książek. W jego stajni są konie i wielbłądy, w psiarni psy, z których dwa znamienite: Gryf i Sibilla. Co tydzień do królowej Bony, do Krakowa, ciągną wozy z dziczyzną z wileńskich lasów. Większość zwierząt upolował Zygmunt August osobiście.

Najwspanialsza pora roku na Litwie to zima. Urządzano kuligi z ńcie carskim rozmachem. Zapalało się podczas nich setki pochodni, brało w nich udział osiemdziesięciu myśliwych, setki gości, grzano kielbaski na ogniu wśród iskrzącego śniegu, a potem każdy wypijał po wspaniałej czarze wódki. Roześmiany, wesoły, szczęśliwy Zygmunt August chwycił swoją Barbarę w objęcia i gotów był taszczyć ją w krzaki, zaryć się, jak niedźwiedź,

po gardło w śniegu i kochać, kochać się do upojenia, do ciemności w oczach, bo tylko wtedy odczuć można smak miłości i prawdziwe szczęście.

Habsburgowie nareszcie wypłacili posag Elżbiety. Kilka beczek ze złotem dostarczono do Polski, a wkrótce kąsali sobie z wściekłości łokcie. Bowiem 11 czerwca 1549 roku, na drugi dzień po otrzymaniu posagu przez Zygmunta Augusta, po piętnastu atakach epileptycznych, zmarła jego żona. Miała zaledwie dziewiętnaście lat. To nieszczęśliwe małżeństwo trwało zaledwie dwa lata. Po śmierci Elżbiety chodziły słuchy, że została otruta przez Bonę. Do prawdy teraz nie dojdziemy.

Na wskroś fałszywa Bona wysłała kondolencyjny list Ferdynandowi I, ojcu Elżbiety, w którym wyraża głębokie ubolewanie po utracie „ukochanej córeczki naszej i lubianej przez wszystkich królowej Elżbiety. Opłakujemy tę utratę wraz z jej mężem i całym narodem polskim” – takimi słowy kończy się ten list.

Dziwnym zbiegiem okoliczności Elżbieta zmarła w dzień św. Wita, patrona epileptyków.

## **Katarzyna Habsburżanka, trzecia żona Zygmunta Augusta**

W 1553 roku, dwa lata po śmierci Barbary, Zygmunt August zeni się po raz trzeci. Żeby było śmieszniej, czy raczej groteskowo, czy raczej tragicznie burleskowo, jego żoną została... młodsza siostra Elżbiety – Katarzyna. Widocznie niczego nie nauczyło Zygmunta Augusta nieszczęśliwe życie z pierwszą, niechcianą żoną, skoro po raz drugi popełnia taki sam straszny błąd. Katarzyna dopełni plejadę nieszczęśliwych, niechcianych żon, i tak samo jak jej siostra umrze jako wielce nieszczęśliwa, doszczętnie zgorzkniała kobieta.

Wybranka Zygmunta była wdową. Jej mąż, Franciszek III Gonzaga, książę Manui, utonął podczas polowania na kaczki, zaplątawszy się w wodorostach. Czy kaczka jest warta śmierci księcia? Może i warta, bo był do niczego, w ciągu czteromiesięcznego małżeństwa z Katarzyną nie potrafił jej zdeflorować. „Nasza Katarzyna jest dziewicą” – dumnie publicznie obwieścili Habsburgowie i poradzili królowi polskiemu, aby jak najrychlej sam się o tym przekonał.

Ślub był *per procura*. Lecz Katarzyna nie chciała położyć się w łóżnicy obok księcia Radziwiłła Czarnego, który rozwalił się w niej w butach i ostrogach. Ferdynand I wraz z synem Maksymilianem schwycili ją za ręce i za nogi i zanieśli do łóżka. Katarzyna potraktowała to jako zawstydzające upokorzenie. I oto 17 lipca 1553 roku odbył się prawdziwy ślub. Zygmunt potraktował nowe małżeństwo z powagą i nadzieją na dobre pożycie. Starał się olśnić żonę i Habsburgów. Wysłał naprzeciwko Katarzyny powóz zaprzężony w osiem koni. Sprowadzonymi z Brukseli arrasami pokryto ściany komnat królewskich. Miała miejsce próba generalna. W dwóch szkarłatnych namiotach nastąpiło powitanie młodej pary. Zygmunt August, ubrany w strój hiszpański, towarzyszył Katarzynie konno. Bona z czterema niezamężnymi córkami i Izabelą, królową węgierską, wita synową.

Wesele trwało dziewięć dni. Ferdynand I przyjechał ze swoją morganatyczną żoną, Filipiną Welsler; jego żona zmarła w wieku 44 lat, po piętnastu porodach.

Katarzyna za utracone dziewictwo otrzymała od Zygmunta Augusta bogate prezenty. Wiedeński agent, Michele, pisał, że podczas nocy poślubnej osiemnastoletnią Katarzynę dopadł atak epilepsji. Co się dzieje, i ta żona epileptyczka? Z deszczu pod rynnę wpadł Zygmunt August. Na szczęście był to fałszywy alarm, spowodowany lękiem młodej żony przed defloracją. Już więcej ataki epileptyczne się nie powtarzały.

Zygmunt August nie był zachwycony swoją trzecią żoną. Zbyt bardzo przypominała mu pierwszą, a poza tym Katarzyna była szpetna. Niska, wręcz przysadzista, ze skłonnością do tycia, o wypukłych, jakby wyblakłych oczach i, oczywiście, z wysuniętą „habsburską” dolną wargą. Lecz była inteligentna, wykształcona, znała kilka języków, w tym biegle angielski i niemiecki, była czytana i wcale nie tak zahukana jak Elżbieta. „A, jakoś tam będzie” – Zygmunt postanowił być dla Katarzyny dobrym mężem i sumiennie wykonywać swe małżeńskie obowiązki. Kraj potrzebował dziedzica.

Małżeństwo to formalnie przetrwa dwanaście lat i zakończy się definitywnie rozejściem się małżonków.

Nie aprobował Zygmunt gustu Katarzyny, która lubiła dwa zupełnie nieszlachetne kolory: fiolet i czerwień. Lecz posag panny wielce imponował Zygmuntowi.

Później Bona doceniła inteligencję i spryt swej synowej. Nie była bowiem Katarzyna tak bezbronna jak jej siostra Elżbieta, wieczna ofierka i ofiara. Zanim zrezygnuje z walki o względy męża, będzie długo i żmudnie domagać się czułości i pieczy potrzebnych jej jako żonie. Ferdynand I w osobie swej córki miał bardzo dobrego szpiega na polskim dworze. O wszystkim donosiła do Wiednia. Po pewnym czasie Zygmunt August zaczął zdawać sobie sprawę, jaką rolę polityczną odgrywa Katarzyna na

habsburskim dworze. Jedno, co mógł w tej sytuacji zrobić, to odesłać większość jej dworu, składającego się z Niemców, do Wiednia. Małżonkowie postanowili zamieszkać w Wilnie, tym bardziej że stosunki Zygmunta Augusta z Boną znacznie się pogorszyły. Nawet do takiego stopnia, że królowa postanowiła na zawsze wyjechać z Polski do Włoch. Naturalnie, że zabierając ze sobą dużo „dobra”. Dwadzieścia cztery wozy ciągnęły w ślad za Boną, gdy ta na zawsze wyjeżdżała z Polski. Dosłownie ogołociła pałac królewski, nawet na srebra stołowe się połakomiła ta chciwa, ohydna kobieta, o której pochlebcy mówili, iż dużo dla Polski zrobiła, że rozmaite sadzonki warzyw z Włoch do Polski przywiozła i kazała chłopom w ogrodach sadzać. Jesteśmy innego zdania, uważamy, iż o wiele więcej szkody narobiła. Truła totalnie wszystkich dla siebie niewygodnych, choć, co prawda, nie dysponujemy wiarygodnymi źródłami na ten temat. Lecz Bona, krewna Lukrecji Borgii, znała się dobrze na truciznach i miała ich sporo w swoich szufladach. Również i ona została otruta przez swego sługę, Jana Wawrzyńca Pappacodę, w 1557 roku, mając 63 lata, być może na zlecenie hiszpańskiego króla Filipa II, który nie chciał jej zwrócić ogromnej pożyczki, udzielonej mu przez Bonę z zagrabionych w Polsce pieniędzy. Nie wiadomo, czy Katarzyna działała w dobrej wierze, czy świadomie wprowadziła męża i dwór w błąd, ogłaszając, że jest w ciąży. Nie wiemy tego dokładnie. Królowej nikt nie badał jak należy. Fatalna „ciąża” trwała aż sześć miesięcy, po czym Katarzyna oświadczyła, że się pomyliła. Ta fatalna pomyłka, świadoma czy nieświadoma, kosztowała ją utratę męża i tytułu królowej Polski. Po takiej fatalnej wpadce żony Zygmunt August już nie chciał mieć z nią nic wspólnego. W 1554 roku definitywnie odsunął się od żony, a ją wydalil z dworu, rozkazując, aby zamieszkała w Radomiu. Skończyły się dla Katarzyny dobre czasy, kiedy przebywała wraz z mężem na Litwie, a on okazywał jej jeśli nie miłość, to przynajmniej troskę i szacunek. Obecnie niczym oprócz pogardy

nie jest w stanie jej obdarzyć. Afera z ciążą stała się początkiem końca małżeństwa Katarzyny i Zygmunta Augusta. Nigdy jej tego nie wybaczył, a nawet podejrzewał, że ona istotnie zaszła w ciążę, lecz specjalnie poroniła, żeby polski tron dostał się Habsburgom. Nieraz w gniewie zarzucał to żonie. Katarzyna jeszcze starała się mieć wpływy polityczne, prosiła męża, aby zabrał ją ze sobą do Lublina na obrady sejmu Rzeczypospolitej, Zygmunt jednak zdecydowanie odmówił.

Cierpi Katarzyna niesamowicie z powodu chłodu męża. Była bardziej ambitna niż jej siostra Elżbieta, cierpiała też inaczej. Elżbieta cicho płakała, nie była w stanie wykrzesać z siebie żadnego protestu, natomiast Katarzyna buntowała się. Śle listy do Wiednia, szuka pomocy u brata Maksymiliana, który sprawę postawił jasno: do żadnego rozwodu Zygmunta Augusta ze swoją siostrą nie dopuści. A on coraz częściej myśli o rozwodzie z Katarzyną. Ona w swym Radomiu, dokąd ją wyrzucił mąż, płacze nie cichym kapuśniaczką, jak jej siostra, lecz basem prawie, głośno, wymagająco. Odrzuciła pokorę siostry. Zygmunt czuje awersję do Katarzyny i nie chce z nią współżyć. Obrzydzenie odczuwa na samo wspomnienie o przymusowym seksie z niekochaną małżonką. Wiele osób sprzeciwiło się rozwodowi Zygmunta Augusta. I Polacy, i Habsburgowie, a nawet papież Pius IV. Na sejmie w 1563 roku wałkują senatorzy odwieczny problem króla: żyć mu czy nie żyć z niekochaną żoną. Jakub Ostroróg, senator o gigantycznym wzroście, ogłosił wobec czcigodnej izby: „Panowie senatorowie! Musimy przywołać do porządku króla i odwlec go od myśli rozwodu z Katarzyną Habsburżanką. Niechby król nasz Boga nie gniewał i gniewu Bożego na nasz lud nie ścigał”. Na próżno Zygmunt August się tłumaczy, że jest gotów ożenić się z jakąkolwiek inną księżniczką, byleby dała mu potomstwo. Nie przyszła do głowy króla taka prozaiczna myśl, że jest po prostu bezpłodny. Mniej więcej w tym samym czasie obudziły się w Zygmuncie Augustie podejrzewa dotychczas



lojalności Katarzyny względem Polaków. Począł podejrzewać ją o szpiegostwo na rzecz habsburskiego domu. Ochmistrz dworu królowej, Gabriel Grabowiecki, otrzymał polecenie przeglądania korespondencji Katarzyny. Rozpoczęła się cicha wojna Zygmunta Augusta o wydalenie Katarzyny z Polski. A gdy w 1564 roku zmarł jej ojciec, Ferdynand I, sprawa dobiegła finału. Zygmunt August coraz jawniej romansował z dziewczkami. „Próbowali mnie otruci wiśniami” – żali się Katarzyna w liście do krewnych w Wiedniu. Na sejmie w 1565 roku znowu roztrząsano, jak za czasów Radziwiłłówny, moralność Zygmunta Augusta, a prymas błagał króla, żeby żony nie odsyłał. Polska ma dość skandali, tym bardziej że żona nie dała żadnego powodu do manifestowanej przez króla niełaski. Czego ten prymas nie wyprawiał w sejmie! Klękał, na twarz padał, zaklinał, modlił się, klął – istny spektakl! Zygmunt August, twardy i uparty, nie zmienił ani sposobu bycia, ani zdania swego. Katarzyna ciężko zachorowała i nie było to udawanie. Miała napady gorączki. Ich związek zaczął się rozpadać. Postępująca oziębłość i niechęć męża do niej sprzyjały chorobie, która się już na dobre rozwinęła. Żyła Katarzyna w iluzji wzajemnej miłości. W 1560 roku spotkała się z mężem w Wilnie. Ciągle jednak miała ataki febry – wymioty, drgawki. Król był przekonany, że to padaczka. A tymczasem kwitnie romans Zygmunta Augusta z dworką Katarzyny. Od 1563 roku już nie chce pod żadnym pozorem widzieć żony. Powiedział: „Chętnie zostałbym mnichem, aby tylko pozbyć się żony”. Jako mediator w małżeńskich sprawach króla polskiego występuje Maksymilian, brat Katarzyny, król Czech i Węgier. Przez habsburskich posłów udziela królowi reprimendy: „Od pewnego czasu stałeś się obcym dla naszej siostry i od dawna po małżeńsku żyć z nią nie chcesz”. Otwarcie mówią o tym posłowie polscy: „Król ma do Katarzyny nieprzewyciężony wstręt, uważa, że jest to związek kazirodczy”.

I oto 8 października 1566 roku Katarzyna zostaje wydalona z Polski. Co ją czeka w Wiedniu? Zła mina bratowej, cesarzowej

Marii (nie potrafiła ta odrzucona królowa, jej szwagierka, ani Polaków, ani męża zdobyć), nieprzystępnej Hiszpanki, żony cesarza Maksymiliana. On sam też niechęć na widok siostry wyraża. Nie z tarczą, lecz na tarczy przecież wróciła. Maksymilian czyni ostatnie kroki, żeby naprawić to nieudane małżeństwo, tak korzystne dla Habsburgów. Prosi o osobiste spotkanie z Zygmuntem Augustem. Ten twardy jak skała oświadczył, iż to wszystko jest bez sensu, nie będzie żył z Katarzyną. Ona wpada w melancholię, och, jak ciężko być niechcianą żoną, do której mąż czuje wstręt. U silnych osób to uczucie rodzi nienawiść, chęć zemsty, Katarzyna zaś należała do osób, które z tego powodu rozpaczają i wpadają w melancholię. Osiedła w Linzu, naprzemian płacze i czyta Biblię. W takich przypadkach bądź to królowe, bądź metresy, idą do klasztoru, zostają mniszkami. Do klasztoru Katarzyna nie poszła. Zaczęła zioła studiować, kwiaty uprawiać – one nie zdradzają, a za zainteresowanie w odróżnieniu od ludzi zawsze odpłacą pięknym kwitnięciem. I wciąż marzyła, żeby powrócić do męża. Uczepiła się takiego marzenia jak rzep psiego ogona. A król już nawet nie otwiera jej listów. Płaci na utrzymanie jej dworu pięćdziesiąt tysięcy i dość!

Może i była Katarzyna szpiegiem habsburskim, lecz o skąpstwo jej obwinić nie można: wszystkie swe drogocенności przekazała siostrze Zygmunta Augusta, które, w odróżnieniu od brata, lubiły ją. Zmarła w 1572 roku, w wieku pięćdziesięciu lat. „Dobrze że umieram. Moja śmierć wszystkim przyniesie korzyść” – powiedziała przed śmiercią. Konkludując, trzeba powiedzieć: nie była Katarzyna złą kobietą, miała niepomierne ambicje polityczne i była, co się zowie, antyseksualna. Takie królowe niech nie liczą na szczęśliwe małżeństwo.

Zygmuntowi Augustowi obrzydł Kraków, przeniósł się więc do Warszawy. Królewski dwór stał się przekupny, szarlatański, mroczny i rozpustny. Tu rządzą dziewczki. Kochanką królewską jest Gizanka, niby córkę mu urodziła, od kochanka oczywiście.

Zupełnie zdziczał dwór królewski. Przez piwnice zamkowe idzie królewski orszak, na przedzie ze świecą idzie Mikołaj Mniszech. Czeka tam na króla wiedźma Korycka. Świeconą wodą wymyła królowi członka, wyprała bieliznę króla, wyrwała z niej nitkę, schowała.

I co? Król wyzdrowiał. Podagra już mniej go męczy, chodzić zaczął. Potem choroba powróciła z nową siłą. Przywołał nową wiedźmę, czarownicę, Budzykową. Czary na królewskim dworze kwitną! Manipulowały baby królem. Kazano mu groch sypać na węgle, zaklęcia wypowiadać. Na dworze królewskim swojsko się czują dwaj czarownicy: Gronovius i Buran. Dwa lata po śmierci Katarzyny król Zygmunt August zmarł. Miał 52 lata.

## **Niedopasowane alkowcy**

Z różnych przyczyn w alkowach tych pary królewskie się kłóca, psują sobie krew i życie, urządzą dantejskie sceny, nieraz zabijają jedno drugie, nienawidzą się, słowem, nie życie, a istne piekło w takiej alkowie królewskiej, niewiele różniącej się od sypialni zwykłych mieszczuchów. Niedopasowanie alkowiane może być z powodu: wieku (on stary, ona młoda lub na odwrót), różnic fizycznych (on duży, ona liliputka), odmiennych poglądów na seks, wstrętu jednego z małżonków do drugiego, anatomicznej niezgodności ich organów płciowych.

## **Maria Tudor i Ludwik XII**

Między nimi istnieje ogromna różnica wieku. Ona, siostra rodzona Henryka VIII „Sinobrodego”, on, dwukrotny wdowiec, francuski król, Ludwik XII, nazywany Ojcem Ludu, już stary, niedołężny, gruby, nie mogący samodzielnie ani chodzić, ani na koniu jeździć, prawie konający. I oto za takiego niedołęgę musi wyjść za mąż młodzieńca i śliczna Maria Tudor, mająca narzeczonego, hrabiego Charlesa de Suffolk, i marząca o zamążpójściu właśnie za niego. Lecz jej apodyktyczny brat ostro powiedział: „Nie, siostrze, ty wyjdiesz za mąż za Ludwika XII francuskiego, bo tego wymagają moje plany polityczne, i basta”. Maria Tudor do nóg bratu się rzuciła, płacze, błaga, żeby nie wydawał jej za starca, że kocha innego. Zdziwił się wielce Henryk VIII niesubordynacji siostry: od kiedy to księżniczki same decydują o swym losie? Nachmurzył się, lecz główki siostrze nie ściał, wysłał ją bez dyskusji do Paryża, do narzeczonego. Maria Tudor jeszcze zdążyła uprosić brata o to, że jeśli umrze jej mąż, niech brat pozwoli jej wyjść wtedy za tego, kogo sama wybierze. Na ten układ Henryk VIII przystał. I oto młodzieńca, bo zaledwie osiemnastoletnia Maria Tudor, śliczna i świeża jak poranna róża, oczekuje przybycia swego narzeczonego. Wkrótce orszak królewski nadciągnął i, o zgrozo! Niedołężny starzec-król nie może wygramolić się z konia. Z trudem go tam usadowiono, ponieważ chciał w jak najlepszym stanie narzeczonej się pokazać. A teraz za żadne skarby nie potrafi z konia zleźć. Przynieśli taboret. Chrząkając i oddychając ciężko, naręczony przy pomocy sług wygramolił się wreszcie z siodła i pokuśtykał ku narzeczonej. Lecz nawet tych stu kroków nie potrafił samodzielnie przejść: nogi mu odmówiły posłuszeństwa. Słudzy musieli szybko wgramolić króla do lektyki i w takim oto „opakowaniu” stawił się Ludwik XII przed narzeczoną, płonąc ze wstydu. Obok króla znajduje się jego bliski krewny, Franciszek, syn Ludwika Sabaudzkiej (dziedzic tronu

francuskiego, jeśli Ludwikowi XII nie narodzi się syn). Siedzi na pięknym rumaku, przystojny, zgrabny, dwudziestoparoletni młodzieniec. Maria Tudor spogląda na niego z sympatią, mimo woli porównując go ze swym narzeczonym, niedołączonym starcem. Maria jedzie na białym koniu w otoczeniu swego dworu, pięćdziesiąt pięknych pań, wśród których jest przyszła żona Henryka VIII, Anna Boleyn, obecnie dama jej dworu.

Po weselu nadchodzi moment udania się królewskiej pary do sypialni na konsumpcję małżeństwa. Kapelan królewski uroczyście pokropił łożę małżonków wodą święconą, przyboczny lekarz Ludwika XII wsunął mu po cichu jakieś lekarstwo (chyba afrodyzjak), król wyszeptał swoje ulubione powiedzonko: *Le diable m'emporte* i rzucił się w wir... tortur miłosnych.

Nastąpiła noc poślubna. Dajcie nam pióro pani Minek, czy chociażby markiza de Sade'a, żeby opisać tę żalospną scenę, gdy starzec usiłuje swym wiotkim instrumentem zdeflorować swoją małżonkę, która z obrzydzenia odwraca główkę i na wymioty ją ciągnie. Udał jednak, że wszystko wyszło jak najlepiej i małżeństwo zostało spełnione, wprawdzie bez pokazywania zabrudzonego prześcieradła. Ludwik XII, krzywo się uśmiechając i uciekając na bok spojrzeniem, nawet wydobył z siebie pokrzepiający frazes: „Czasami wstępują we mnie Herkulesowe siły”. Dworacy byli grzeczni, zgodzili się z królem, że Jego Wysokość stanął na wysokości zadania. A chytra Maria Tudor, nadal nieprzytomna od miłości ku swemu wybrańcowi, hrabiemu Suffolk, postanowiła, jak to się mówi, zagłaskać kota na śmierć, zamęczyć króla seksem. Zaczęła udawać, że jest on bardzo sprawnym fizycznie mężczyzną, na balach tańczyła tylko z nim, mordując biednego króla, który chciał jej dorównać, walcząc z zadyszka. Widok tej tańczącej pary był nie tyle humorystyczny, ile żalospny. Jeden z dworaków, pełniący funkcję kronikarza, zanotował: „Drepcze ten stary kogut obok swej młodej kury, przytupuje nóżką nie w takt muzyki, na twarzy źle skrywany

grymas bólu od nieznośnych kolek nerkowych – istna oferma starczego wieku”. I po co, królu, żeniłeś się z młodą niewiastą? To chyba dziedziczne. Jego matka, żona Karola Orleańskiego, wnuka Karola V, była młodsza od męża o... czterdzieści jeden lat. Za swego „Napoleona”, jak Maria Walewska młodsza od męża mniej więcej o tyle samo lat, wybrała młodego paza. Po śmierci męża nie tylko pozostawiła go dalej swym kochankiem, lecz zdegradowała się do takiego stopnia, że wyszła za niego za mąż, bowiem jak nam powiedział Brantôme: „Panie zawsze ciągnęło do paziów, mimo iż byli szczupli jak kuropatwy. Ich wigor seksualny paniom odpowiadał”.

Maria Tudor również przeżyje swego męża, którego dosłownie zamordowała nieumiarkowanym seksem. Wpoila do głowy tego starca, że stać go na poczęcie potomka męskiej płci, który stanie się królem Francji. Ludwik XII w nadmiarze faszeruje się hiszpańskimi muchami, zatrzuwa swój organizm niebezpiecznymi afrodyzjakami. Maria Tudor to nie w ciemną bita osóbką, realna i praktyczna, postanowiła zapłodnić swe łono nasieniem Franciszka (przyszłego Franciszka I). On, naturalnie, stara się o to, zakochał się w pięknej Marii po uszy, prawie co wieczór w altance miłość potajemnie uprawiają i tylko patrzeć, jak brzuch Marii Tudor zacznie puchnąć od ciężarnej dolegliwości. Sielankę przerwała matka Franciszka. Nie bacząc, że to przyszły król, schwyciła syna za ucho, boleśnie pociągnęła i wysyczała: „Ty, co robisz idioto? Ty dla kogo się trudzisz? Ty na kogo swoją spermę trwonisz? Na przyszłego dziedzica tronu, syna Ludwika XII?”. Czyli niedwuznacznie dała mu do zrozumienia, iż jej syn tak mocno się stara dla przyszłego delfina, syna Ludwika XII. Każdy bastard urodzony przez królową, gdy ta znajdowała się w legalnym związku z mężem, musiał być uznany za jego dziecko. Opamiętał się Franciszek po reprimendzie matki, porzucił bujne księżycowe nocne tête-à-tête z Marią Tudor i inną damą pałacową wziął sobie do miłosnych uciech, bardziej bezpieczną. A

tymczasem Maria ogłosiła wszem i wobec, że jest w ciąży. Co prawda nie pozwalała, aby lekarze zbadali jej łono, wiercie mi na słowo i już. Ludwika Sabaudzka piekli się, podejrzewa konfabulację, zwykłe oszustwo, to, że ciąża jest urojona. Ma rację. Maria Tudor poduszki sobie pod brzuch podsuwa, co miesiąc to większe.

A Ludwik XII jest w złym stanie fizycznym. W piorunującym tempie podupada na zdrowiu. Toczy go tajemnicza choroba, chyba rak, jak powiedzielibyśmy dziś, bogatsi o naszą wiedzę. Z grubego staruszka przeobraził się w staruszka ze skóry i kości, żebra mu na wierzch wyłażą, istny wynalazek dla studenta medycyny. Gaśnie Ludwik XII w oczach, całymi dniami leży w łóżku. Maria na lirze mu przygrywa, dobra dusza, tyle jej drogocенności przekazała, cały rodzinny zbiór, wszystkie rodowe brylanty, musi być mu za to wdzięczna. 1 stycznia 1515 roku Ludwik XII zmarł, szepcząc przedśmiertne słowa: „Wydaje się, że umieram”. Jeszcze nie zdążyli pochować króla, jak już hrabia Suffolk zjawiał się z Anglii, niosąc Marii Tudor swe trofeum: własnoręcznie w nierównej bójce zabitego niedźwiedzia i swe słowo skierowane ku Marii: „Biorę ciebie za żonę”. Ona pisze list do swego brata, Henryka VIII: „Jeśli byłam posłuszna królowi, bratu mojemu, w poślubieniu starego króla, żywię nadzieję, iż brat mój, król, zezwoli teraz, bym postąpiła zgodnie z wolą serca mojego”. Uparta niewiasta, nie ma co! Osiągnęła swoje – przysięgła, że wyjdzie za mąż z miłości i wyszła za hrabiego Suffolk. Niektórzy myślą, że z miłości wielkiej. My zadajemy pytanie: czemu to zrobiła wtedy, gdy Ludwika Sabaudzka udowodniła jej sfingowaną ciążę? Do ostatniej chwili miała Maria nadzieję, że pozostanie królową francuską. Maria miała już upatrzonego wiejskiego chłopca, którego poród była gotowa odegrać. No cóż, nie udało się, teraz można było pomyśleć o własnym szczęściu.



## **Fryderyk III i Eleonora Portugalska**

Tu małżeńskie niedopasowanie polegało na ogromnej różnicy wzrostu. On, wielkolud, barczysty, ogromny, silny. Ona, krucha kruszynka-liliputka. Tatuś portugalskiej księżniczki Eleonory nie był zadowolony z wyglądu swej córki. Nie szpetna, a nawet ładna, to prawda, lecz wzrost... Wzrostu była lilipuciego. Malutka i tak krucha, że wydawało się, że najmniejszy podmuch wiatru poderwie ją jak puszek w powietrze i uniesie. I taką oto kruszynkę trzeba wydać za mąż za wielkoluda, wysokiego, barczystego, dorodnego niemieckiego króla Fryderyka III. On ma trzydzieści dwa lata i jeszcze nie był żonaty. Może by i nadal pozostawał kawalerem, bo może taki kaprys miał, żeby się nie żenić, lecz finansowa sytuacja Niemiec nagliła: na gwałt były potrzebne pieniądze na prowadzenie wojny, a Eleonora miała bogaty posag. Lecz nie chciał Fryderyk III kupować kota w worku. Wysłał do Portugalii swego malarza, żeby bez żadnych tam mataczeń namalował jej realistyczny portret. Mało to przykładów było w historii, że portret był piękny, a przybyły do narzeczonego oryginał nawet w najmniejszym stopniu mu nie odpowiadał. I nie byłoby takich konfuzji, jeśliby malarze byli uczciwi. Lecz oni za sute honorarium gotowi byli każdą brzydulkę przeobrazić w piękność nieziemską. Nie wrzeszczałby Henryk VIII na cały pałac w oburzeniu, ujrzawszy swoją narzeczoną, Annę z Klewe: „I co to za flamandzką kobyłę mi przysłaliście?!”, nie siedziałby naburmuszony nasz Władysław IV Waza, ujrzawszy Marię Gonzagę, jeśliby malarze byli uczciwi. Lecz takich nie było. Portret przezeń namalowany nie ujawniał wzrostu księżniczki i bardzo się podobał Fryderykowi III. Sprawy formalne szybko zostały załatwione, posag przez brata Eleonory (ojciec jej zmarł) Alfonsa V został wypłacony, a księżniczka wypłynęła w grudniu 1450 roku z Lizbony do swego narzeczonego, Fryderyka III.

On, zainkasowawszy posag w wysokości 60 000 dukatów,

które przeznaczył na prowadzenie wojny, z niecierpliwością oczekuje przybycia Eleonory. Radowała się Eleonora, że może opuścić ponury portugalski dwór, w którym nie zaznała radości. Ojciec jej, Edward, zmarł na dżumę, matka, Eleonora Aragońska, wkrótce po jego śmierci, zostawiając sześcioro dzieci na pastwę losu, uciekła z kochankiem do Hiszpanii i odtąd znaku życia nie dawała. Starszy brat był srogi, wuj również, i biedna Eleonora niejedną łzę wylała, oplakując swój smutny los. Pragnęła za wszelką cenę wyrwać się z dotychczasowego otoczenia, małżeństwo stanowiło dla niej zbawienie. Podróż morska Eleonory trwała osiemdziesiąt dwa dni. Była to istna przygoda markizy Angeliki. Sztormy, piraci, zatonięcie statków... Żegluj statek wzdłuż wybrzeża północnej Afryki, Hiszpanii i Francji. Ciężko księżniczka zniosła tę podróż. Wszystko było: i choroba morska, i zatonięcie dwóch okrętów, a potem trzeba było szybko zbierać wykup, bo jej flota trafiła w ręce piratów. Całe szczęście, że byli dżentelmenami i Eleonory nie zgwałcili, różnie przecież mogło być. Po tych wszystkich perypetiach jest już w Niemczech. W jednym z prowincjonalnych miast ma się spotkać ze swym narzeczonym, a właściwie już z mężem, bo ślub *per procura* odbył się w Portugalii.

Piętnastoletnia liliputka i trzydziestodwuletni wielkolud idą ku sobie na spotkanie. Odległość między nimi wynosi ze sto kroków, lecz wydaje się, że to niemal całe sto kilometrów. Mroczne myśli kręcą się w głowach obojga. Fryderyk, jak zobaczył kruchą Eleonorę, pomyślał: „O Boże, co za malutka istotka, przecież rozgniotę ją, kiedy się na nią położę”. Ona, idąc mu naprzeciw, myślała: „O Boże, co za niedźwiedź, przecież rozgniecie mnie, jak się na mnie położy”. Co za zgodność myśli rzadko spotykana! My zaś pytamy: jak takiej fizycznie niedobranej parze do łóżka się kłaść w pierwszą noc, poślubną, i we wszystkie inne małżeńskie noce miłość uprawiać?

Ich noc poślubna była jednym wielkim strachem. I co się

okazało? Było to bardzo dobrane małżeństwo. Fryderyk III, doświadczony w miłości, delikatnie potraktował swoją kruchą żonę, że ani pochwy jej nie rozerwał, ani nie przestraszył stosunkiem seksualnym. Ich seks w noc poślubną był udany, przyjemny, a na drugi dzień królewskie prześcieradło i nocna koszula królowej świadczyły, iż noc była wspaniale udana i małżeństwo zostało skonsumowane. Seksualnej pornografii tu nie widzimy, Drogi Czytelniku, mimo iż wielkolud współżył z liliputką. Zupełnie inne refleksje budzi w nas scena, jaką obejrzelśmy niedawno w telewizji duńskiej. Kobieta o 96 cm wzrostu jest żoną mężczyzny pięknego, dorodnego i o wzroście 186 cm. Bez skrępowania i zażenowania małżonek swą liliputkę na rękach nosi, a gdy spacerują po ulicach, wyglądają, jakby tatuś trzymał za rączkę pięcioletnie dziecko. Liliputka jest kapryśna i wymagająca. W kawiarni siedzi mężowi na kolanach, jeśli nie ma dla niej odpowiedniego krzesła, i bije go małą rączką po policzkach, jeśli niezbyt gorliwie, jej zdaniem, usługuje jej. W sklepie jubilerskim mąż długo wybiera na jej paluszek pierścionek z brylantem i w ogóle trzęsie się nad swoją liliputką jak nad księżniczką z bajki, chociaż jest stara, brzydka, nawet szkaradna i odpychająca. Pierwsza myśl, jaka nasuwa się widzowi, gdy widzi to niedobre małżeństwo: a jak u nich odbywa się stosunek cielesny?

Widok tej superniedobrej pary jest supererotyczny i już usługna wyobraźnia nam podsuwa scenki żywcem wzięte z wyrafinowanej pornografii. Otóż w tym cały szkopał, że z punktu widzenia definicji tego zjawiska żadnej pornografii tu nie ma, nawet nieobecne są obnażone genitalia, a działa na nasze zmysły w jeszcze większym stopniu, jak gdyby była to czysta pornografia. Facet, mąż liliputki, nagi, siedzi na ogromnym fotelu, wystawiając do przodu swój ogromny fallus, stojący na baczność, jak bagnet żołnierza. W obu rękach trzyma w powietrzu swoją nagą żonę-liliputkę, starając się posuwistymi ruchami skierować swój

organ w jej malutką waginę. Oczy ma zamglone, na wprost zamknięte, na jego ustach błdzi błdny uśmiech, facet jawnie oddaje się medytacji seksualnej na pograniczu obłędu, doznając niebywałej rozkoszy, której nigdy nie doświadczał w stosunkach z ładnymi i „normalnymi” kobietami. Nic więc dziwnego, że szkarada-liliputka może sobie pozwolić na grymasy i domaganie się brylantów – zapracowała na nie perwersyjnym seksem! „Polubcie zboczenia męża, żony, a wasze małżeństwo będzie szczęśliwe” – nawoływał polski erotyczny pisarz czy naukowiec (nie razbieriosz) Kazimierz Imieliński. Nie wierzyłam. Po scenie, jaką zobaczyłam w duńskiej telewizji, uwierzyłam, Drogi Czytelniku!

Ciężkie jest życie pięknej liliputki Eleonory Portugalskiej na niemieckim dworze przy boku pechowego nieudacznika-męża, za którego był wtedy uważany Fryderyk III. Poniewierają nim arystokraci, nie słuchają sługi, biją nieprzyjaciele, zdradzają przyjaciele. On wiecznie w tarapatach, mimo swej potężnej postury patrzy w dół, ku ziemi, jak winowajca. No tak, Fryderyk III miał życie pełne niepowodzeń, którym towarzyszyły rozmaite nieszczęścia. Węgrzy dwukrotnie podeszli pod Wiedeń. Jego rodzony brat, Albrecht, wystąpił przeciw niemu i odebrał mu stolicę. A na dodatek złego powstali przeciw niemu szlachta i mieszczenie. Przez połowę swego życia musiał uciekać przed nieprzyjaciółmi, a na dodatek był biedny jak mysz kościelna. Pożegnaj się, Eleonoro, z mrzonkami o rozkoszonym życiu w cesarskim pałacu, o wytwornych toaletach i dobrym jedzeniu. Chodzić będziesz w nader skromnych sukienkach, odżywiać się tak, jak biedni się żywią, i będziesz znosić jawną pogardę dworzan. Lecz w tym delikatnym i kruchym ciele był silny duch. Eleonora nie tylko ignorowała wszystkie trudności, lecz jeszcze dodawała otuchy swemu mężowi, którego zdążyła pokochać szczerze i z oddaniem, bowiem rozgryzła dobry i szlachetny charakter tego ponuraka.

Obrzucano jej męża różnymi epitetami: małostkowy, nieudacznik, beczynny, nieufny, a on po prostu był nieszczęśliwym człowiekiem i tragicznym cesarzem. Jedyna jego pociecha, jego jasny obłoczek na pochmurnym niebie, to miłość Eleonory Portugalskiej.

Tu, Drogi Czytelniku, w tej alkwie, niedopasowanie fizyczne obróciło się w ogromne dopasowanie duchowe, w szczęście. Małżonkowie kochali się szczerze, a różnica w ich wzroście nie miała istotnego znaczenia.

## Różnica poglądów na seks

W takiej alkowie, gdzie mąż i żona inaczej patrzą na problemy seksu, harmonii nie ma. Kwitną natomiast dzikie awantury, kłótnie, nawet rękoczynny, panuje w niej wieczne niezadowolenie, ponurość i straszliwa choroba, która niczym rak toczy ciało i duszę – NIESZCZĘŚLIWOŚĆ.

Francuski król Ludwik X Kłótny i jego pierwsza żona, Małgorzata Burgundzka, nie są szczęśliwi w łóżku z powodu różnicy poglądów na seks. Ten król, syn Filipa Pięknego, rozkaże później otruć swoją żonę skazaną za cudzołóstwo. Tu jawnie występuje kompleks Tristana i Izoldy. Mężczyzna, wychowany w konwencji zdobywcy, ma poważne trudności w życiu seksualnym, bo jego partnerka jest zbyt wyemancypowana i seksualnie aktywna. „Seksopatolodzy twierdzą, iż komenderowanie w łóżku ze strony kobiety podczas stosunku płciowego może doprowadzić do zakłóceń jego przebiegu i uwarunkować pojawienie się zaburzeń w sprawności seksualnej męża” (K. Imieliński). Po co tak zawile, mistrzu! Nie prościej powiedzieć: Leż, babo, cicho i ze swojej pochwy nie czyn pępka świata. Małgorzata Burgundzka nacierała na męża, jak przysłowiowy czołg radziecki, domagała się wyrafinowanego seksu, wobec tych żądań Ludwik Kłótny był bezsilny. On lubił pokorne i miłe, słabe istotki, które leżałyby w łóżku w pozycji nekrofilskiej i przyjmowały z radością wszystko, czym je mąż raczy obdarzyć.

Analizując sytuację Małgorzaty Burgundzkiej i Ludwika Kłótnego, wulgarny Janusz Kawryżka powiedziałby tak: „Jak tylko on otworzy swój interes, ona już wpada na niego, przecież to on powinien dyrygować ruchem”. Podręcznik seksopatologii przytacza przypadki, kiedy nadmierna seksualna aktywność żony odnosi odwrotny skutek. Jeszcze Iwan Błoch pisał: „Zbytня agresywność kobiety hamuje męczyznę, obniża jego podniecenie seksualne i upośledza potencję”. Kobieta, która zmusza swego

partnera do działania erotycznego, czyni z niego partnera biernego i mało męskiego. Nie dla wszystkich jednak mężczyzn ta formułka. Niektórzy na odwrót, lubią agresywność kobiety w łóżku. Często obecnie widzimy w filmach i na ekranach telewizyjnych, jak seksualnie wyzwolone kobiety dosłownie gwałcą biernych mężczyzn. Widzimy, jak te trybady rzucają się na chłopca z namiętnością drapieżnych lwic, gotowych wraz z koszulą dosłownie zedrzeć mu skórę i jądra. W naszym przypadku stosunek seksualny Małgorzaty Burgundzkiej do swego męża wyrobił w nim poczucie lęku, co doprowadziło go do całkowitej impotencji. Jak już wiemy (pisaliśmy o tym w poprzednich książkach) Małgorzatę Burgundzką, obwinioną o cudzołóstwo, Ludwik X otruił w więzieniu. W 1315 roku ożenił się po raz drugi, z Klemencją Węgierską, siostrą króla Węgier Karola Roberta. Tu w łóżku było całkiem inaczej. Król czuł się stuprocentowym mężczyzną i udowodnił to, płodząc dziecko, które urodziło się już po otruciu króla. Dobremu seksualnemu współżyciu małżonków sprzyjało nastawienie Klemencji do seksu. W łóżku zachowywała się skromnie, biernie, powściągliwie, tak jak zachowują się chińskie kobiety, gdy chcą uwieść skutecznie mężczyznę i uczynić z niego swego kochanka. Chińska kobieta nie będzie niczym radziecki czołg nacierała na mężczyznę. Ona jest delikatną i kruchą istotką, nieco wylęknioną. Taka postawa wywołuje u mężczyzn pragnienie posiadania jej. W jej obecności mężczyzna rozluźnia się, czuje się pewny siebie. Chińska kobieta, zanim z mężczyzną do łóżka pójdzie, podniesie na niego swe skośne szczelinki-oczy i wyszepcze: „Proszę, nie rób mi tak, żeby mnie bolało”. Taktyka wylęknionej sarny, która u Klemencji była nieudawana, naturalna, jak u chytrych chińskich żon, zdała egzamin. Ludwik X poczuł się mężczyzną, a jego współżycie seksualne z drugą żoną było udane.

## **Alkomy ułomnych, chorych i obłąkanych**

*Kogo bogowie chcą zniszczyć, najpierw doprowadzają go do obłądu.*

(Eurypides)

W jednym z francuskich skeczów tak wszystko pomieszało się z małżeństwami, że w pewnym momencie aktor zakrzyczał: „O Boże, jestem własną babką!”. Ten absurd z małżeństwami rozkwitł w dynastii Habsburgów, gdzie dwie gałęzie, hiszpańska i austriacka, łączyły się małżeństwami z bliskimi krewnymi i w rezultacie dochodziło do idiotyzmów: matka stawała się własną babką, a ojciec pradziadkiem własnych dzieci. Posłuchaj, Drogi Czytelniku, tej łamigłówki, żeby zrozumieć, dlaczego dynastia Habsburgów napłodziła tyle zdefektowanych dziedziców tronu: ułomnych, kalek, psychicznie chorych, impotentów, bezpłodnych żon. Cała plejada tych degeneratów powstała z powodu „wycieńczonej” błękitnej krwi. Powtórzmy jeszcze raz: Habsburgowie rodzili ułomne dzieci.

Konia z rzędem temu, kto może połapać się w tych małżeństwach, zakrawających na teatralny skecz kabaretowy. Proszę nas nie winić, Drogi Czytelniku, za tę łamigłówkę. I tak: Maksymilian II ożenił się ze swoją kuzynką Marią Hiszpańską. Ich ojcami byli dwaj bracia: Karol V i Ferdynand I. Syn Karola V, Filip II, swe trzecie małżeństwo zawarł z własną siostrzenicą, Anną II, córką jego siostry Anny. Siostra jego, Anna I, stała się jego teściową, a kuzyn teściem. Samego Filipa II można było nazwać wujecznym dziadkiem własnych dzieci. Kolejny król hiszpański, Filip III, ożenił się z Małgorzatą, córką Karola, brata Maksymiliana II, którego ojcem był Karol. W ten sposób Karol stał się dziadkiem panny młodej i pradziadkiem pana młodego. Małgorzata Styryjska miała bratanka, który poślubił jej córkę, zrodzoną od Filipa III i



Marii Anny. Filip IV, syn Filipa III i Małgorzaty Styryjskiej, poślubił Marię Annę, córkę Ferdynanda III, czyli własną bratanicę. I tak bez końca, Drogi Czytelniku. Wszystko mieszało się w domu Obłońskich, a cierpią narodzone dzieci – ułomne, kalekie, idioci. Systematyczne zawieranie małżeństw pomiędzy bliskimi krewnymi pociągnęło za sobą łańcuch tragedii: chorób umysłowych, zniekształceń ciała, bezpłodności, impotencji.

Biada tobie, niewiasto, jeśli jesteś zdrowa i silna, a za męża masz niedołęznego kalekę. Tym bardziej jest to przykre, jeśli jesteś królową i twym przeznaczeniem jest rodzenie dzieci, zwłaszcza dziedziców tronu. Nawet wśród zwierząt jest niedopuszczalne, Drogi Czytelniku, żeby zdrowa samiczka miała do czynienia z chorym albo ułomnym samcem. Nie pozwoli mu na kopulację ze sobą i już. Oznaki choroby zniechęcają zwierzęta do kopulacji. Samiec musi być silny i zdrowy, aby być godnym względów samiczki. I wytrzymały. Gdy taka oto temperamentna modliszka podczas kopulacji odgryza głowę samcowi, on musi stać na baczność, strachu nie wyrażać i znosić cierpliwie obgryzanie przez samiczkę jego głowy, nie przerywając miłosnego aktu. Jakimi kryteriami kieruje się samica, wybierając samca – ZDROWIEM.

Toteż można zrozumieć księżniczkę Joannę von Pfirt, zdrową i silną niewiastę, do której na kopulację wiozą w lektyce jej ułomnego, sparaliżowanego męża, księcia Austrii Albrechta II Kulawego.

A wszystko zaczynało się tak dobrze, dynastia rokowała nadzieję na liczne potomstwo.

Wiek XIII, rok 1253. Do Wiednia przyjechała Gertruda von Hohenberg. Wiedziała, że niedługo pobędzie w tym mieście, bowiem królowie Rzeszy Niemieckiej nie mieli swych rezydencji stałych, wędrowali jak Cyganie od jednego miasta do drugiego. Tabor cygański, pardon, królewski, był ciągle w ruchu, z czego Gertruda nie mogła być zadowolona, bowiem jak każda kobieta

chciała mieć dom, to znaczy stały pałac i własny dwór, królowa to przecież nie wędrowną Cyganka.

Mąż Rudolf, król Niemiec, obiecał jej stałe miejsce zamieszkania, ma nim być Wiedeń. Pałacyk królewski jest lichy: czworokątna niezgrabna budowla o kanciastych narożnikach, szeroka fosa napełniona wodą, jak w starożytnych zamkach, i cztery wieże ochronne. Ciemno, ponuro, mrocznie, smutno. Brud nie do opisanie. Potrzeby fizjologiczne załatwiano pod ścianami pałacu, który obrósł fekaliami ludzkimi i śmierdział uryną. I wydawało się, że właśnie tu, a nie we francuskim dworze podczas koronacji Klemencji Węgierskiej i Ludwika Kłótlwego, marszałek dworu głośno powiedział gościom: „Panowie, uprasza się nie sikać na schodach, po których król z królową przejdą”. Goście uszanowali królewską prośbę, sikać wychodzili pod ściany pałacu. Odbędzie się wesele. Gertruda wniosła posag w postaci posiadłości w Alzacji, mąż był usatysfakcjonowany, na brzydotę żony nie patrzył, udobruchany bogatym posagiem, no i posypały się dzieci. Po dwudziestu latach małżeństwa królowa Gertruda została cesarzową niemiecką z sześciorgiem dzieci. Mając 41 lat zaprzestała dzieci rodzić i oddała się medytacji religijnej. Małżeństwo to, zawarte z pobudek politycznych, okazało się bardzo udane. Cesarz Rudolf ożenił swego starszego syna Albrechta z Elżbietą Tyrolską, córką hrabiego Tyrolu, Meinharda. Królowa Gertruda zmarła w 1281 roku, po dwudziestu ośmiu latach małżeństwa.

Rudolf miał 63 lata, gdy ożenił się po raz drugi... z czternastoletnią dziewczynką, Izabelą Burgundzką. Różnica wieku między nimi wynosiła prawie pięćdziesiąt lat, pobiłby rekord Guinnessa, jeśliby ta dziwaczna instytucja w tym czasie istniała. Swoją prawnuczkę, pardon, żonę, bardzo kochał, nie krępowała go różnica wieku, odwiedzał regularnie małżeńską łożnicę, lecz, o zgrozo, chyba dla własnej przyjemności, nie zaś w celu dziecioróbstwa, bowiem dzieci z tego związku nie było. Był

zazdrosny. Biskupa, który pocałował jego żonę po ojcowsku w policzek, zachwycony jej powabem, wypędził z Niemiec. Zmarł król w 1291 roku w wieku 73 lat. Żona ciągle była przy nim, wierna i kochająca. Czym ją tak zjednał ku sobie ten starzec, było jej tajemnicą.

Kolejnym księciem Austrii został w 1282 roku jego syn, Albrecht I Habsburg. Był wyniosły i gwałtowny. Jego żoną była Elżbieta Tyrolska, córka hrabiego Tyrolu Meinharda II, której nie oszczędzał jako kobiety. Uczynił z niej maciorę reproduktorę, urodziła bowiem ona (to jest absolutny rekord w habsburskim domu) dwadzieścioro jeden dzieci. I nie zmarła przed mężem w nadmiernych porodowych wysiłkach. Miała wszystkiego 41 lat, gdy pozostała wdową. Mądra, ambitna, dumna, że daje Habsburgom tyle dziedziców tronu. Niestety, Bóg czy siła wyższa, zakpili z księżniczki. Z tak wielu dzieci pośród żywych pozostało tylko jedno, na dodatek sparaliżowane, chore i ułomne – Albrecht II Kulawy.

## Cud w alkowie Albrechta Kulawego

Status inwalidy od dziecioróbstwa królów nie zwalnia. Albrecht Kulawy ma sparaliżowane kończyny, pióra nie jest w stanie utrzymać w rękach, chodzić nie może, wożą go w lektyce. Wyje z bólu, gdyż każdy staw na jego ciele staje się jedną straszliwą raną. Żałosny to widok, patrzeć na takiego obłożnie chorego inwalidę na królewskim tronie. Lecz jeszcze żałośniej wyglądają jego sprawy alkowiane, codziennie bowiem Albrechta II Kulawego, księcia Austrii, żyjącego w XIV wieku, wożą w lektyce do małżeńskiej sypialni, na kopulację z żoną, Joanną von Pfirt, brzydką, korpulentną kobietą, pochodzącą z podupadłego szlacheckiego lichego rodu, w którym zdarzyło się ojcobójstwo.

Nie o takim dziedzicu marzył ojciec Albrechta II Kulawego, Albert I Habsburg, kiedy, będąc ośmioletnim dzieckiem, żenił się z również ośmioletnią Elżbietą Tyrolską. Kiedy podrośli, pozwolono im seksualnie się zespolić i poczynając od czternastego roku życia Albrecht I regularnie płodził z żoną dzieci. Elżbieta, doszczętnie zniszczona porodami, znalazła w sobie jeszcze dość siły, aby pozostać fantastyczną kobietą, mądrą, specjalnie nieroztyłą, o kupieckiej żyłce (rozwinęła w Austrii kopalnictwo soli), z życia odeszła spokojnie i godnie, w poczuciu dobrze spełnionego obywatelskiego obowiązku. Sześciu synów dała Albrechtowi II. I co? Dzieci pięciu z nich albo umierały, albo małżeństwa okazywały się bezpłodne. Zagłada groziła młodej i dopiero co stojącej na nogi dynastii Habsburgów. Pozostał tylko jedyny syn, Albrecht II, w którym nadziei nie pokładano: był inwalidą o sparaliżowanych kończynach, nie mógł chodzić i samodzielnie trzymać pióra czy łyżki. Jak taki zdefektowany syn może zapewnić dynastii dziedzica? Sześć lat minęło, kilka lektyk zmieniono, małżonka Pfirt stara się na całego, a z porodów nic nie wychodzi. Głucho. Ani razu w ciążę nie zaszła. Zagłada grozi dynastii Habsburgów. Na nic nadgorliwość ministra, który każdego wieczoru pilnował, aby

stosunki odbywały się regularnie. Król Albrecht II jęczy z bólu, a minister mu przypomina: „Wasza Wysokość, już czas jechać na kopulację z małżonką”. Król wzdryga się, jak od porażenia jadowitej żmii w przedsmaku inkwizytorskich tortur, ciężko wzdycha i nie przestaje jęczeć, gdy dwóch dorodnych dworzan ostrożnie wsadza go do lektyki. Wiozą na katorgę biednego króla, na pieprzenie się z żoną. O tak, ciężka jest czapka Monomacha! A Pfirt znowu „pusta”. I zbiegło całe piętnaście lat! Poddani śmieją się, szydzą sobie z jałowych seksualnych starań króla, hipotezy wysnuwają: może królowi wraz z nogami i rękoma i inne, bardziej potrzebne narzędzie, sparaliżowało? Takie ogromne czynią starania, taka nieludzka desperacja łóżkowa, a tu nic. Piętnaście lat Habsburgowie drżą ze strachu: zniknie przecież ta dynastia z powierzchni ziemi. Królu Albrechcie, co o tym myślisz? On się modli, po pięć, sześć godzin dziennie klęczy na kamiennej posadzce, cierpiąc straszliwe bóle stawów. Nawet nachylić się jest mu trudno. Z ropiejących ust sączy się żółty gnój zamiast śliny, ból zębów jest nieznośny. Często z sypialni królewskiej rozlega się cichy płacz. To płacze królowa Joanna Pfirt, która przez piętnaście małżeńskich lat ani razu nie zaszła w ciążę, mimo iż odbycie stosunku z mężem wymaga od niej istnie heroicznego hartu ducha. Z ust męża śmierdzi zgnilizną, płukanie imbirem nie pomaga, dziąsła ropieją. O żadnych pocałunkach nie ma mowy. Stosunek bez słów i pocałunków, na sucho. Uprawiać seks mężowi jest bardzo trudno, każdy obrót ciała go męczy, wgramolić się na żonę nie jest w stanie, trzeba jej dopasowywać swe ciało pod jego niemoc. Musi swą ręką podtrzymywać jego członka, który samodzielnie stać nie może. Z trudem wydobyta książęca sperma nie trafia tam gdzie trzeba, a to oznacza nowe seksualne tortury, nowe próby bezskutecznego zajścia w ciążę. Co za życie ma księżna austriacka: w dzień na przemian modli się i płacze, wieczory spędza na nieludzkich wysiłkach zapłodnienia swej macicy, wszystko na próżno. Patrzą na nią z pogardą

dworacy: ich księżna jest bezpłodna! A to w średniowieczu uważano za najbardziej hańbiący mankament władczyni. Mąż podupada na duchu i już nie liczy na potęgę swego oręża. Lekarze w jedwabnych rękawiczkach i o zasłoniętych twarzach macają brzuch Joanny. O tym, żeby zajrzeć głębiej i określić prawidłowość ginekologicznej budowy królowej, nie ma mowy. Znachorki dają swe rady. Joanna Pfirt z trudem łyka to świństwo, które jej aplikują. Cięży jak nie było, tak nie ma.

Ogólny szloch w królewskiej alkowie, ogólny płacz w królestwie. Ocieka krwią dusza, gdy nie leje się sperma. I wtedy Albrecht Kulawy rozsierdził się na dobre. Z trzaskiem rzucił swe kule na kamienną posadzkę i pogroził palcem niebu: „Ty niesprawiedliwy Boże, jakiej pokuty oczekujesz ode mnie? Sam sobie zadam taką straszliwą pokutę, że ty, niemiłosierny Boże, zlitujesz się wreszcie nad nieszczęśnikiem!” – wykrzyczał. I wymyślił dla siebie Albrecht II Kulawy straszliwą pokutę: na czworakach, bez pomocy lektyki czy kul, odbędzie pielgrzymkę do świętych miejsc. I spróbuj potem, Boże, nie dać mu potomstwa! To, co uczynił Albrecht II Kulawy, nie mieści się w żadnych logicznych kategoriach, Drogi Czytelniku. Była to jedna wielka rozpacz, gdy księżę, pełzając na czworakach, przewyciężając nieludzki ból, wyruszył do świętych miejsc. Oblewając się zimnym potem, z okrwawionymi, okaleczonymi kolanami, dopełzył do nich i długo w milczeniu się modlił. I zdarzył się cud. Joanna Pfirt zaszła w ciążę, gdy nieprzytomny z bólu jej mąż powrócił do Wiednia.

Czyż to nie cud? Istny cud. Bóg nie mógł obojętnie patrzeć na pokutę Albrechta, wszakże był miłosierny. Posłał Albrechtowi syna, Rudolfa. Narodził się 1 listopada 1339 roku. A potem poszło jak po maśle, jeszcze trzech synów urodzi Joanna Pfirt sparaliżowanemu małżonkowi, Albrechtowi II Kulawemu, i dwie córki, w sumie sześcioro dzieci. Ostatnie dziecko wydała na świat w wieku pięćdziesięciu dwóch lat.

Niespotykane to zjawisko w historii medycyny. Tylko jedna

królowa, sycylijska Konstancja, urodziła dziecko w takim wieku. Poród był publiczny, odbywał się na ogromnym placu w asyście tysięcy ludzi, nie był możliwy jakikolwiek kamuflaż.

Naturalnie, że po urodzeniu przez Joannę Pfirt sześciorga dzieci po piętnastu latach małżeństwa pojawiły się różne parszywe plotki. Większość dworaków twierdziła, iż nie Albrecht był ojcem tych dzieci. Po prostu Joanna, mając dosyć bezpłodności swego męża, poszła po rozum do głowy i poczęła sypiać z kochankiem, i stąd ta obfitość dzieci. Lecz Albrecht Kulawy był absolutnie pewien cnotliwości żony. Wydał oficjalny edykt, w którym poinformował swych poddanych, żeby zaprzestali oszczerczych plotek i że wszystkie dzieci są jego ojcostwa, zaprzysięga przed Panem Bogiem. Z ambon ogłoszono stosowną informację o prawowitości potomków księcia Albrechta II Kulawego. Uratowana została dynastia Habsburgów, cześć i chwała wyczynom Albrechta Kulawego i jego dzielnej małżonki, Joanny Pfirt, która nawet będąc w podeszłym wieku, nie zaprzestała seksu i rodziła coraz to nowych potomków. A przecież dzisiejsi seksopatolodzy twierdzą, że im dłużej uprawia się seks, tym bardziej przedłuża się swoją młodość. Tak że nie lękajcie się sześćdziesięcio- czy siedemdziesięcioletnie kobiety stosunków seksualnych z mężczyznami. No a jeśli mąż już do niczego, to przecież z myślą o was funkcjonują domy rozpusty dla kobiet pragnących seksualnego wyżycia. Zapłacić dwadzieścia dolarów i w ciągu piętnastu minut otrzymasz porcję rozkoszy od sprawnego „byczka”, któremu wszystko jedno, z kim się pieprzy, byle mu za to płacono.

## ***In vitro* w alkowie Henryka IV Kastylijskiego**

Henryk IV Kastylijski nie może płodzić dzieci. Jaka tego przyczyna? Myślicie, że impotencja tu zawiniła? Nic podobnego. Zawiniło jego upodobanie seksualne, ponieważ nie był biseksualistą, tylko stuprocentowym gejem. Tacy mężczyźni nie mogą patrzeć na kobiece ciało bez wymiotów, nie mówiąc o jego intymnych częściach, oglądanie ich to dla nich coś szczególnie szkaradnego. Istnieją, Drogi Czytelniku, tacy homoseksualiści, w których kobiece ciało wywołuje nieodparty wstręt, nie są w stanie odbyć stosunku z kobietą.

I taki oto absolutnie czystej wody homoseksualista, Henryk IV, dziwnym zrządzeniem losu miał nie jedną, ale nawet dwie żony. Leją się łzy rozpaczy, kiedy zajrzemy do tej królewskiej alkowy.

Henryk IV Kastylijski miał trudności z tymi dwoma żonami. Gorzej, w żaden sposób nie potrafił ich zdeflorować, z dwu ważkich powodów: po pierwsze, ze wstrętu do kobiecego ciała, po drugie, z ułomności swego członka, który chociaż niezwykle długi i cienki, na końcu był nienaturalnie szeroki, co utrudniało erekcję. Jednym słowem, anomalia tej ważnej części męskiego ciała powodowała, że żony Henryka IV nie mogły zajść w ciążę i urodzić potomków.

Intymne życie króla, a ściślej jego współżycie z żoną, to nie jest jego osobista sprawa, tylko całego królestwa. Musiał więc Henryk IV, który przez trzy lata nie mógł zdeflorować swej małżonki, poddać się publicznym oględzinom specjalistów. Henryk IV nic nie ma przeciwko temu, kodeks pałacowy zna dobrze, zresztą był już przyzwyczajony do tego, że poczynając od nocy poślubnej, kiedy jego, piętnastoletniego, ożeniono z również piętnastoletnią Blanką z Nawarry, u jego łoża zawsze sterczał rój wścibskich gapiów, z piórami w dłoniach, gotowych zapisywać, bodajże codziennie, to nierokujące nadziei stwierdzenie: *non*



*consumatum.*

Nie był Henryk IV pięknisiem. Był raczej... potworkiem? Nie, to słowo nam nie pasuje, ono bardziej przydatne byłoby określeniu jakiegoś karzełka o małym wzroście. A Henryk IV to niemal drabina strażacka (nie pamiętamy nazwy tej choroby, kiedy człowiek rośnie niepomierne), to raczej potworzysko, ogromne, nieforemne, rude, o wypukłych bladoniebieskich oczach, jakby wypłowiących, w których zaczęła się rozpacz nieszczęśliwego człowieka, o złamanym i krzywo zrosniętym nosie, o żółtych ogromnych końskich zębach, no i o przykrym zapachu: mieszaniny męskiego i końskiego potu. Nie był to dziedziczny zapach, był to zapach świadomie nabyty, bo Henryk IV umiłował ten, według niego, męski aromat, i prawie nigdy się nie mył.

Oto jaka „perełka” trafiła się za męża Blance z Nawarry. Dziewczę naturalnie to płacze, to mdleje na ślubnym kobiercu, jej nie w smak mieć takiego potwora za męża, cucą ją pospiesznie, a jej słabo wypowiedziane „nie” zgodnie przyjmują za „tak”. A potem nastąpiła noc poślubna, pełna smutku, zgryzoty i udręczeń. Żałosna w swej jałowości i w warunkach masowej oglądalności przez dworaków, którzy tłumnie wypełnili królewską alkowę. Organ męski lubi intymność, „teatrzyk” nastraja go deprymująco, z przerażeniem czuje Henryk IV, jak z trudem wydobytą pionową pozycją jego członka niknie bezlitośnie na oczach dworaków. Z nieubłaganą szybkością jego członek maleje i to w najbardziej nieodpowiednim momencie, kiedy zza zasłony słychać oddechy niecierpliwie oczekujących dworaków. „Nie, nie! – zakrzyczał w rozpacz do miękającego w oczach swego członka. – Nie możesz mnie tak okrutnie zawieść, sukinsynu”. Lecz organ go zupełnie nie słucha. Musi troski i własną spermę zabrać ze sobą. Zasłona się odchyła. Okrwawionego prześcieradła nie ma. Pisarczyk starannie zaostrzonym piórem, maczając je w atramencie, zapisał: *Non consumatum.* Pobił rekord ten

żółtozębny Henryk IV w długotrwałości defloracji małżonki. Trwało to, nie do wiary, Drogi Czytelniku, dokładnie całych trzynaście lat. Pobił wszystkie rekordy świata. Ludwik XVI „tylko” cztery lata ociągał się z defloracją żony (według Stefana Zweiga siedem lat), z defloracją Anny Austriaczki Ludwik XIII również mataczył cztery lata. Czytamy kronikę z tamtych lat i oczom własnym nie wierzymy: „Henryk IV nie mógł zdeflorować swej małżonki przez całe trzynaście lat!”. Wystarczający to okres, żeby z wesołej, ładnej, swawolnej dziewczynki Blanka Nawarrska przeobraziła się w ponurą starą pannę o historycznych zapędach, w bezsilnej złości tłukącą wazony w królewskim pałacu. Ani razu znużeni heroldowie nie zadęli triumfalnie w fanfary. Dyplomaci wysyłali do Nawarry pesymistycznie brzmiące doniesienia: „Księżniczka nadal pozostaje nierozdziewiczona”. Szeptano na dworze, że księżę Henryk IV jest homoseksualistą, otacza się młodymi mężczyznami, preferuje naturalnie że męskie ciało. Krajowi groziła katastrofa. Po trzynastu latach bezskutecznych prób „rozdziewiczenia” Blanki arcybiskup Toledo zwrócił się do papieża z prośbą o unieważnienie małżeństwa. Blanka z rumieńcem na policzkach publicznie przyznała się, że nadal pozostaje nietkniętą. Matrony i praczki, z uwagą oglądające przez lata prześcieradła królowej, potwierdziły to. Blanka musiała powrócić na dwór swego ojca, Jana II Aragońskiego, który na wiadomość, że jego córkę po trzynastu latach oddają mu z powrotem „nietkniętą”, wpadł w szal. Co gorsza, obwinił o to córkę i nawet targał ją za włosy, zarzucając jej, że nie potrafiła uwieść swego męża na tyle, żeby wolał ją od chłopców i zapragnąłby posiąść. Co za ignorant ten papa, który na pewno nie czytał Sokratesa. A ten filozof, mający gejowskie skłonności, tak odpowiedział na pytanie swej kochanki, dlaczego ją zaniedbuje: „Dlatego, moja miła, że jest ktoś o sześć cali dłuższy”. Nie mierzyliśmy w calach fallusa Henryka IV, lecz według opinii ówczesnych lekarzy był niepomiernie długi, lecz niestety, wiotki,

chwiał się jak trzcinka na wietrze. Przyklejone do Henryka IV określenie: impotent, nie przeszkodziło mu w zawarciu drugiego małżeństwa. Tego domagał się cały dwór hiszpański, cały kraj. Na tę decyzję wpłynęło także i to, że Henryk IV utrzymywał, że Blanka rzuciła urok na jego penisa, który ani razu w ciągu trzynastoletniego małżeństwa nie zmienił swego horyzontalnego położenia, natomiast z nową żoną może być inaczej. W 1454 roku ożenił się powtórnie, z szesnastoletnią Joanną Portugalską. Sam miał wtedy trzydzieści jeden lat.

Joanna była jeszcze ładniejsza od Blanki, o czarnych oczach, gęstych kruczoczarnych włosach, śniadej cerze i ciekawskim spojrzeniu na świat. W jej oczach nie było smutku, była natomiast nadzieja na szczęśliwe współżycie z mężem. Do czasu, póki nie zobaczyła Henryka IV, a gdy zobaczyła tę „strażacką drabinę” o niepomiarnie długich, cienkich nogach, krzywym nosie i niemiłosiernie śmierdzącego własnym i końskim potem, zaczęła z przerażenia dygotać i płakać. W takim oto stanie, ciągle płaczącą, przyprawiono ją do małżeńskiego łoża i ułożono w nim. Niebawem przybył do niego Henryk IV w otoczeniu heroldów, pisarczyków z ostro zaostrzonymi piórami, kawalerów i dam dworu, zataczający się, jak pijany szewc, od obfitej dawki afrodyzjaków. Napojono go wywarem z byczych jąder, zmieszanych z mielonym kolcem jeżozwierza. Tym razem Henryk IV, król przecież, mogący wydawać rozkazy, polecił rejentom, heroldom i dworzanom, aby oczekiwali nie w królewskiej sypialni, lecz w korytarzu. Kiedy został sam na sam z Joanną, odważnie przystąpił do dzieła. Lud, okupujący królewski pałac, z niecierpliwością oczekiwał, kiedy to pokaże się królewski posłaniec i ogłosi radosną nowinę – małżeństwo zostało skonsumowane!

Słońce już dawno wzeszło, wieczór już się zbliżał, a tu cisza, jak w grobie. Rozczarowany lud zaczął rozchodzić się do domów, a następnego dnia ogłoszono komunikat: „Ich Wysokości spoczęli wspólnie w łożu, jednakże Jej Wysokość pozostała

nierozdziewiczona". Możemy w tym miejscu obejść się bez relacji Janusza Kawryżki, żeby przedstawić sobie, co w tym czasie działo się w królewskiej sypialni. Może szarpał w bezsilnym gniewie Henryk IV swego nikczemnego penisa, który nie potrafił sprostać elementarnym wymogom. Może szeptał bluźniercze słowa, nie wiadomo do kogo, do Boga czy do diabła adresowane. Może przypominał sobie pocieszające słowa starożytnego poety Kutullusa, który podtrzymywał na duchu swego przyjaciela, któremu „drobna żyła, wiotka od sałaty, nigdy nie podnosiła się w środku tuniki”. W środku nocnej koszuli Henryka IV też pagórka nie było, przez otwór prześwitywało coś, niby zwiędła róża. „Drobna żyła” nigdy nie podnosi się Henrykowi IV, narażając na szwank braku potomka królewską dynastię. No dobrze, uwierzono, iż pierwsza żona rzuciła urok na jego penisa i on nigdy nie stawał w jej obecności. Wynaleziono przecież drugą, za którą nie ciągnęła się niechlubna sława wiedźmy, rzucającej czary na męzowski członka. I co? I znowu w alkowie cicho, i ani razu zakrwawionego prześcieradła nie wyniesiono na pokaz ludziom. Królowa nadal jest dziewicą i ciągle rozbrzmiewa to haniebne: *non consumatum*. No nie, lekarze przestali wierzyć w czarodziejskie moce żon króla kastylijskiego Henryka IV i postanowili zbadać jego penisa. Wynik nie był pocieszający, choć nie całkiem beznadziejny. Pomacawszy, pooglądawszy, powąchawszy, centymetrem zmierzywszy jego oręż, wydali werdykt: „Penis króla jest bardzo długi, lecz słaby w nasadzie, wiotki i gruby na końcu, co uniemożliwia normalny wytrysk”. W czasie dalszego badania i rozmowy z pacjentem wyjaśniło się, że król, ekstremalny homoseksualista, czuje wstręt do kobiecego ciała, którego przemóc nie jest w stanie. Wyjaśniło się także, że król, otoczony młodymi mężczyznami, odgrywa w tych homoseksualnych związkach bierną, pasywną, nader haniebną dla mężczyzny, rolę kobiety. Z pierwszej żony trzeba było zdjąć zarzuty, iż była wiedźmą. No i król miał tego wszystkiego dość.

Mocno rozsierdził się na swój zawodny organ i począł się głowić, jakby tu uszczknąć z niego choć trochę korzyści, jak mówi mądre przysłowie: „Z parszywej owcy choć sierści kłak”, choć minimalną użyteczność z niego wycisnąć.

I wymyślił – sztuczne zapłodnienie. Na Boga, Drogi Czytelniku, my debatujemy dziś nad problemem *in vitro*, a Henryk IV, król żyjący w XV wieku, wymyślił i wprowadził je w życie. Tak, wprowadził, nie będąc ani medykiem, ani naukowcem. Jak mówi przysłowie: „Mus zmusi do jedzenia kołaczy”.

Procedura zapłodnienia *in vitro* odbyła się w ten oto sposób: najpierw Henryka IV Kastylijskiego poddano intensywnej masturbacji, przy czym czynił to lekarz, bowiem król nienawidził żeńskiego ciała i szesnastoletniej żonie, Joannie Portugalskiej, zaoszczędzono manualnego seksu. Za to musieli ją sztucznie pozbawić dziewictwa. Jak tylko lekarzowi udało się zebrać trochę wodnistej spermy Henryka IV do złotej strzykawki, momentalnie wstrzyknięto ją do pochwy Joanny. I co? Dokładnie za dziewięć miesięcy Joanna zaszła w ciążę, a w 1459 roku urodziła córkę. Wiwat medycyna XV wieku! Lecz dworacy zaczęli szeptać po kątach i rozsiewać plotki, iż to nie zasługa złotej strzykawki, a kawalera Beltrana de la Cueva, który nocami odwiedzał królową. Gdy urodziła się córka, dworacy stwierdzili wielkie podobieństwo rysów twarzy dziewczynki z rysami kawalera Beltrana.

Henryk IV plotkom nie wierzył, on uwierzył w skuteczną moc medycyny, która wzięła na siebie przykry obowiązek zapłodnienia królowej. Uwierzył w cudzołóstwo żony dopiero wtedy, gdy królowa, mimo iż złota strzykawka „rdzewiała” w kącie, urodziła znowu córeczkę. Wściekły Henryk IV pozbawił królową dziedzictwa, dziecko-bastarda wysłał do klasztoru, a do rządów w Kastylii wyznaczył Izabelę, swoją przyrodną siostrę. Była to ta sama wielka królowa Izabela Hiszpańska, która po wyjściu za mąż za aragońskiego Ferdynanda, połączyła Kastylię z Aragonią w jedno silne państwo, Hiszpanię, wysyłając Krzysztofa Kolumba na

poszukiwanie nowych ziem, co, niestety, nader smutnie obróciło się dla państwa. Kolumb, odkrywca Ameryki, przywiózł stamtąd królom hiszpańskim dużo złota, przywiózł również i groźną chorobę: syfilis, której dotychczas Hiszpanie nie znali.

## **Ferdynand I, epileptyk, i nieszczęśliwa Maria Anna**

No nie, w tej alkwie Homera dumnie nie zacytujesz: „Długą wstrząsając dzidą, wielkim stąpa krokiem”. Bo „dzida” królewicza Ferdynanda I jest malutka, niedorozwinięta, jąder prawie nie ma wcale, a kroczi jego są drobniutkie i chwiejne. Nogi odmawiają mu posłuszeństwa, wgramolić się schodami na drugie piętro to trudność, dwóch silnych grenadierów wlecze cesarza na górę. Ferdynand jest chory na epilepsję, często miewa ataki, żółta piana wycieka mu z ust, drży w konwulsyjnych drgawkach. Z powodu tej choroby mowę ma niewyraźną, istny bełkot. Zewnętrznie jest odrażający ze swoją wydłużoną czaszką, sterczącymi żółtymi zębami, ustami, z których bez przerwy spływa ślina. Oto jaką „perłę” dostała za męża księżniczka sardyńska, dziewiętnastoletnia Maria Anna. Zobaczywszy swego narzeczonego, wybuchnęła płaczem, popadła w omdlenie. Ona nie chce takiego męża! Teść, Franciszek Dobry, wzdycha ciężko i oczy ku niebu wznosi: „Wybacz, Panie, grzechy nasze”. Jest to bowiem wielki grzech, żeby młodą, zdrową, choć nieładną niewiastę wydawać za męża za potworka, śmiertelnie chorego człowieka, epileptyka, z niedorozwiniętymi organami płciowymi, nie rokującymi nadziei na żadne potomstwo.

Zacznijmy wszakże naszą opowieść wedle chronologicznego porządku wydarzeń, Drogi Czytelniku, żeby w ich mnogości się nie zagubić. I tak: Franciszek, syn austriackiego cesarza Leopolda II, wnuk wielkiej cesarzowej austriackiej Marii Teresy, „Teściowej Europy”, w 1806 roku, po śmierci swego ojca zostaje cesarzem Austrii. Ma wtedy dwadzieścia cztery lata; już dwukrotnie był żonaty. Po raz pierwszy ożenił się w wieku trzynastu lat z Elżbietą Wittemberską. Małżeństwo to naturalnie skojarzył jego ojciec Leopold II. Małoletni Franciszek nie miał tu nic do gadania. Być może i miętosił swój organ płciowy w pierwszą noc poślubną, nie wiedząc, jak przystąpić do rzeczy. Wkrótce jednak nauczył się,

ochoczo chodził do sypialni żony, lecz dzieci nie było. Po dwóch latach żona zmarła.

Ojciec Leopold II rozgląda się za następną żoną dla Franciszka. Wybór padł na neapolitańską księżniczkę Marię Teresę. Była córką siostry Leopolda II, Karoliny. Czyli Franciszek I ma się ożenić ze swoją cioteczną siostrą. Leopold II nie bardzo był zadowolony z tej synowej, prestiż nie ten, jak małżeństwo z Elżbietą Wittemberską. Ta była szwagierką rosyjskiego cara Pawła I, jego syn mógłby być szwagrem cara, a tymczasem? Zwykła księżniczka neapolitańska. Lecz właśnie ta neapolitańska księżniczka dała Franciszkowi I dużo dzieci, bo aż dwanaścioro. Ślub został zawarty w 1790 roku, małżeństwo trwało siedemnaście lat, po czym żona, która wcześniej pochowała sześcioro dzieci, cicho odeszła z życia. Spośród żywego potomstwa pozostało dwóch synów: starszy, ułomny Ferdynand I i Franciszek Karol, dziadek znakomitej Sissi, oraz córki, najbardziej z nich znana to Maria Luiza, druga żona Napoleona Bonapartego, i Leopoldyna, żona następcy portugalskiego tronu i namiestnika Brazylii księcia Piotra. Zabił ten satrapa i sadysta swoją żonę, tak jak Neron swoją Poppeę – uderzając podkutym butem w jej ciężarny brzuch.

Po siedemnastu latach i ta druga żona zmarła Franciszkowi I. Ożenił się po raz trzeci w 1807 roku, z Marią Ludwiką Modeńską, z domu Habsburg d'Este. Niestety, zmarła po ośmiu latach małżeństwa, nie pozostawiając potomstwa. Czemu, Franciszku I, nazwano ciebie „Dobrym”, a żony twoje mrą jak muchy? Chyba ich nie mordujesz, nie gnębisz, może wykańczasz intensywnymi stosunkami seksualnymi? Dla nikogo nie jest tajemnicą, choć historycy niechętnie o tym mówią, że jesteś erotomanem. Takim przyzwoitym. Kochanek nie miewasz, seksualnie eksploatujesz wyłącznie żony.

Franciszek I, człowiek moralny, ani myśli sobie fundować metresę, chce tylko żonę, on przykazania Bożego nie naruszy.



Lecz tym razem postanowił bardzo starannie wybrać sobie małżonkę. Szwankuje przecież habsbursko-austriacka dynastia. Jeden syn ułomny, z porażeniem mowy – coś niezrozumiale bełkoczący, drugi, Franciszek Karol, rozumu miernego, też prawie upośledzony, książę Myszków z „Idioty” Dostojewskiego. Być może z dobrymi, szlacheckimi cechami charakteru, lecz nie nadający się zupełnie do rządzenia tak trudnym państwem, jakim jest Austria. Słowem, kota w worku Franciszek I tym razem nie kupi. Lekarze muszą dokładnie obejrzeć wszystko, przede wszystkim szczegóły ginekologicznej budowy księżniczki Karoliny Augusty Bawarskiej. Jak jagnię na rzeź, prowadzą księżniczkę do lekarzy na oględziny. Zaglądają jej sumiennie do kobiecej anatomii, bezpardonowo mierzą biodra, aby stwierdzić, czy są wystarczająco szerokie, aby bez komplikacji rodziła potomstwo. Czyjś wścibski nos zagląda do waginy kobiecej, czyjeś pulchne palce macają waginę, czy jest w całości, bo dla łajdaczek, które utraciły bez ślubu swe dziewictwo, nie ma miejsca na austriackim porządnym dworze, gdzie do zaspokojenia seksualnych potrzeb królów-erotomanów służą, niestety, żony, a nie kurwy. Ten ciężki i upokarzający egzamin Karolina wytrzymała dzielnie, pragnęła bowiem zostać cesarzową Austrii, czyli gra była warta świeczki. Lecz dzieci Franciszkowi I nie urodziła, ani jednego dziecka. Biodra miała duże, a okazała się bezpłodna. Nasłuchiwała się narzekań do Boga zwróconych: „Boże, wybacz nam grzechy nasze!”. Jakie grzechy? – zapytasz, Drogi Czytelniku. Bo on to chadzał do alkowy młodej żony nie w sprawach dziecioróbstwa, ale żeby nasycić swoją chuć, był przecież erotomanem, a tego moralność chrześcijańska nie lubi i nie dopuszcza.

Franciszek I to typ bardzo przeciętnego cesarza, o patriarchalnym sposobie bycia. Był ograniczony intelektualnie, żaden geniusz czy wielki wódz, a przetrwał wszystko: i Napoleona, i Aleksandra I. Mieszkał w ogromnych zamkach w Hofburgu, Laxenburgu, Schönbrunnie. W nich toczyło się jego

życie rodzinne. Cesarz, jego żona, synowie, wnuki, owdowiałe kuzynki, ciotki, wujowie, zdetronizowani kuzyni – ogromna patriarchalna rodzina mieszka razem. Żadnej sztywnej pałacowej etykiety. Każdy robi to, na co ma ochotę, wstaje, kiedy mu się zechce, tańczy, kiedy chce. Papa Franciszek Dobry osobowości swoich domowników sztywną etykietą nie zabijał. To jego wnuk, Franciszek Józef, będzie się tym parał. U Franciszka I po korytarzach biegają dzieci, dziadkowi przynoszą zawartość swych nocniczków, on z namaszczeniem ogląda kupkę i wyrokuje, czy kupka jest zdrowa, czy sygnalizuje jakieś uchybienie. Jeśli coś jest nie tak, wtedy dieta, lekarz, troska. Pocziwy Franciszek I co by zrobił bez swego genialnego ministra Metternicha? To właśnie Metternich nalegał, żeby ożenić chorego epileptyka Ferdynanda. Inaczej Metternichowi może grozić niebezpieczeństwo, mądra i chytra żona arcyksięcia Franciszka Karola, Zofia Bawarska, może odebrać mu władzę. Ona chce zostać regentką przy swoim małoletnim synu Franciszku Józefie, pomijając i Ferdynanda, i swego męża Franciszka Karola. Każdy wie, że Ferdynand nie nadaje się do żeniaczki. Po co go w takim wypadku żenić? Wiadomo po co, żeby mieć bezpłatną pielęgniarkę, siostrę miłosierdzia, która mogłaby czuwać dzień i noc podczas jego ataków epileptycznych, nieraz i dwudziestu w ciągu jednego dnia.

Maria Anna Sabaudzka, córka Wiktora Emanuela, króla Sardynii, przybyła do Austrii w lutym 1831 roku. Portret jej narzeczonego, wysłany do Turynu, zupełnie nie odpowiadał oryginałowi. Portrecista postarał się, aby z ułomnego Ferdynanda uczynić księcia z bajki, a tu na jej spotkanie wyszedł mały człowieczek o niepomiernie długiej czaszce, z wyłupiastymi przestraszonymi oczyma, z ust spływała mu żółta ślina, na powitanie coś niezrozumiałego bełkotał. Maria Anna dostała szoku. Zaczęła dygotać jak w febrze, łzy spływały po jej policzkach, była śmiertelnie blada, kąsała do krwi usta. Teść, Franciszek Dobry, odwrócił od niej wzrok i mamrotał swoje:

„Wybacz, Panie...”.

I oto płochliwe jagnię prowadzą na rzeź, do małżeńskiej sypialni na pierwszą noc poślubną. Wcześniej było wesele, przypominające stypę... Nie przestając płakać, Maria Anna myślała o tym, jaki ją czeka los na austriackim dworze. Była towarem politycznym. Po co jej ojciec zgodził się na to małżeństwo? Dynastia sabaudzka nie była przecież piątym kołem u wozu. Od ośmiuset lat panowała w Sabaudii i Piemontcie, rządziła w królestwie Sardynii.

Zofia Bawarska przyszła do lekarzy z dyskretnym, lecz konkretnym zapytaniem: czy Ferdynand może spłodzić dzieci? Lekarze ją uspokoili. Ferdynand nie jest w stanie zostać ojcem. Hurra! W radosnym podnieceniu pisze listy Zofia, informując o tym swych bawarskich krewnych. Ten potworek, Ferdynand, syn Franciszka I, nigdy nie doczeka się następcy tronu. Bawarscy krewni, łącznie z nią, mogą sypiać spokojnie. Tron austriacki należeć będzie do jej syna, Franciszka Józefa, pomijając jego ojca, Franciszka Karola, niezdatnego do sprawowania rządów z powodu swego miękkiego charakteru. Wprawdzie idiotą jest o tyle nietypowym, że sprawia wrażenie mądrego i przenikliwego, lecz, niestety, tacy ludzie nie mogą rządzić państwem. Polityka wymaga ludzi twardych i zdecydowanych, jak jego syn, Franciszek Józef, od młodu przez matkę przyuczony do zawodu cesarza. A biedny Franciszek Karol, jego ojciec, na pytanie wieśniaka, kim byli jego dziadek, ojciec, syn, odpowiada – cesarzami. A on nie, on cesarzem nigdy nie był.

Darmową pielęgniarką, siostrą miłosierdzia stała się żona Ferdynanda, Maria Anna. U Ferdynanda ataki trwały nieraz nieustannie przez kilkanaście dni. Siedzenie u jego łoża, ocieranie żółtej piany sączącej się z jego ust, stało się dołą żony. Słucha jego bełkotu, niewyspana, zmęczona, z zapadniętymi oczami, stała się marzeniem studenta medycyny – sama skóra i kości. Milcząca, pokorna męczennica. Widząc to wszystko, ciężko

wzdychał teść Franciszek z tym swoim: „O Boże, wybacz nam grzechy nasze”. Zrezygnowana ze wszystkiego, wyzuta z marzeń... i ani jednego słowa narzekania. Co za anielski charakter miała Maria Anna. Polubiła ją nawet despotyczna Zofia Bawarska. To ciężki krzyż żony obłąkanego epileptyka. Teść, ilekroć zobaczył bladą, smutną, z zapadniętymi oczodołami synową, zaczynał się modlić, z coraz większą gorliwością prosząc Boga o wybaczenie. Lecz mamy nadzieję, że Pan Bóg mu nie wybaczył: nie wolno przecież nikomu ze zdrowych kobiet czynić żywych męczennic i darmowych pielęgniarek. Jedna nadzieja – Bóg Annę Marię weźmie do nieba, zasłużyła na to biedaczka swym życiem, które przeobraziło się w ziemskie piekło. To Maria Anna zmusi Ferdynanda I do abdykacji. Zanim to nastąpi, pobędzie Ferdynand I jeszcze cesarzem austriackim po śmierci swego ojca, która nastąpiła w 1835 roku. Cała stolica, państwo naddunajskie i Europa wiedziały, w jakim stanie znajdował się ten cesarz, gdy wkładano mu na skronie koronę. „Hańba Habsburgom!” – krzyczał lud. Lecz tego nie zrozumiał sam Ferdynand, wstępując na tron dzięki Metternichowi, który chciał na wiedeńskim tronie mieć posłuszne sobie narzędzie. Zofia Bawarska się wściekła. Tym razem nie udało się jej pominąć Ferdynanda i swego męża Franciszka Karola i wepchnąć na tron swego syna, małoletniego Franciszka Józefa, i zostać przy nim regentką. W Ferdynanda I jakby bies wstąpił. Uważa, że potrafi mieć dziedzica tronu, jeśli szczególnie się o to postara w alkowie swej małżonki Marii Anny. Ta nigdy niedeflorowana dziewica musiała oddawać swe ciało na pastwę nadaremnych wysiłków impotentą. On zaczyna przychodzić do jej sypialni zdecydowanie i z konkretnym zamiarem jej zapłodnienia. Strach i obrzydzenie paraliżują ją całkowicie. Leży bez ruchu, niczym ciśnięta o ziemię żaba, budząc swoją bezbronnością litość. Lecz jeszcze większą litość budził jej mąż ze swym obsesyjnym pragnieniem zapłodnienia. Próby stosunku odbywały się w milczeniu. Milczenie miało zmazać

hańbę tego okropnego czynu. Policzki Marii Anny płonęły, jakby dostała w pysk z obu stron, oczy miała zamknięte, dusiły ją torsje. A w jego szalonej głowie tkwiła tylko jedna myśl: zapłodnić cesarzową. Musi mu urodzić syna, dziedzica tronu! Za wszelką cenę. Przed przyjściem do alkowy żony uporczywie masturbował się, aby udać się do żony w „gotowym stanie”. Ale podejmowane próby były nadaremne. Intensywnymi ruchami próbuje pobudzić do życia swój organ. A on, jak na złość, nie okazuje oznak życia. Próżne starania. Delikatne podtrzymywanie wisiorka ręką i tykanie nim brzucha żony erekcji nie wywołują. Cesarz jest w rozpacz. Zalękniona cesarzowa płacze rzewnymi łzami, a lęk, jak wiadomo, spełnia rolę hamulca seksualnego.

Masturbacja nie pomagała, wywoływała jedynie fantazje erotyczne. Jego penis nie gra roli bohatera, przypisana mu rola męczennika. Czy ja kieruję moim penisem, czy mój penis mną? On pan, on nie podporządkuje się rozkazom, z każdą chwilą kurczy się, z gardła Fryderyka wyrywa się rozpaczliwy krzyk: „Nie znikaj, kochany!”. Nie usłuchał. Kurczy się z szybkością balzakowskiej szagrynowej skóry. Ferdynand odwrócił się tyłem do żony, stał się żalonym embrionem: podkurczone nogi niemal sięgały podbródka. Embrion ludzki w łonie matki. Ona przerażona odwraca się, przyciąga go do siebie, po macierzyńsku całuje, gładzi mu główkę, pociesza. Kazimierz Imieliński, nasz piewca erotyki, w swej książce „Seks i miłość” pisze: „Niezadowolenie seksualne wyraża się w rozmaity sposób. Są to kłótnie, awantury i konflikty wiodące do rozwodu. Są to chwile niewypowiedzianej goryczy, przygnębienia i poczucia osamotnienia”. Maria Anna, piękna dusza, nie wszczyniała awantur, z chrześcijańską pokorą niosła swój krzyż. Ani jednego skandalu, ani jednego gniewnego słowa pod adresem niedołęznego męża-impotenty nie wyrwało się z jej ust. Tylko bladła coraz mocniej i ścisnęła usta coraz to mocniej. Starła się zrozumieć swego męża, nie karciała go, nie wymagała i, co najważniejsze, nie zdradzała. Święta dusza ta

Maria Anna Sabaudzka. Gdy stało się jasne, że cesarz Ferdynand Dobrotliwy, epileptyk i impotent, nigdy nie będzie miał potomstwa, Maria Anna namówiła go do abdykacji na rzecz swego siostrzeńca, Franciszka Józefa, syna Zofii Bawarskiej. Miało to miejsce w 1848 roku.

Dzięki troskliwej pielęgnacji Marii Anny ten umierający wiecznie cesarz dożył do 78 lat. Jego ojciec, Franciszek I, zmarł w wieku 67 lat, chociaż prawie nigdy nie chorował.

## **Alkowie płaczu i rozhisteryzowanych żon**

No tak, w tej alkowie jest głośno. Lecz nie od wesołego śmiechu, nie od miłosnych westchnień, lecz od płaczu i hysterii. W niej żony biją swych mężów, którzy nie potrafią sprostać swym podstawowym obowiązkom. Tu, Drogi Czytelniku, wybuchają awantury, kłótnie, dochodzi do rękoczynów, tu królowe niczym rozhisteryzowane bestie biegają po królewskich komnatach i z szaleńczą pasją tłuką drogocenne wazony i naczynia w bezsilnym pragnieniu wyładowania swego bólu, rozczarowania i rozpacz. Tak właśnie jest w tych alkowach, gdzie mąż jest impotentem lub gdy jego organ płciowy jest niedorozwinięty, albo zdeformowany, uniemożliwiający normalny stosunek z żoną. Nader negatywne emocje wywołuje w żonie fizyczna niesprawność męża. I to zarówno wśród zwykłych niewiast, jak i królowych i księżniczek.

## Karol II Habsburg

6 listopada 1661 roku przyszedł na świat ostatni z hiszpańskich Habsburgów, Karol II. Był synem Filipa IV i jego drugiej żony, Marii Anny, córki cesarza Ferdynanda III. Matka nie ma powodu, aby radować się z urodzenia dziedzica tronu. Chłopak był ułomny, słabowity, chorowity i na dodatek wszystkich nieszczęść potwornie brzydki. Lecz „rasowy”, bowiem jego dolna, habsburska warga, była bardzo wysunięta do przodu, jak jeszcze nigdy dotąd u żadnego z Habsburgów, tak że wręcz przeszkadzała mu w jedzeniu.

Maria Anna miała piętnaście lat, gdy ją przywieziono do Madrytu i wydano za mąż za owdowiałego Filipa IV. Mąż był ponury, nigdy się nie uśmiechał. Maria Anna strasznie się go bała, z lękiem wchodziła do małżeńskiej sypialni, wkrótce z wesołej, lekkomyślnej dziewczynki przeobraziła się w ponurą matronę, świadomą swej niedoskonałości. W tym mrocznym królewskim pałacu zaprzyjaźniła się tylko z jedną osobą. Była nią starsza córka Filipa IV z jego pierwszego małżeństwa, z Elżbietą Bourbon. Urodziła Anna Maria oprócz ułomnego syna także córkę Małgorzatę Teresę, która również nie błyszczała urodą. Udało się jednak wydać ją za mąż za cesarza Leopolda I Habsburga. Był on obojętny na kobiecą urodę, wpoił sobie bowiem maksymę Owidiusza: „Zostawcie, panowie, piękne kobiety dla mężczyzn nie mających wyobraźni”. Trudno chował się jednak Filipa IV. W ciągu pierwszych lat jego życia był karmiony kobiecym mlekiem aż przez czternaście mamek. Chodzić zaczął dopiero w wieku czterech lat, ciągle chorował i pozostawał na granicy śmierci. Usilnie modlił się o nią Ludwik XIV francuski w trosce o hiszpańską sukcesję swego wnuka Filipa. Lecz chłopiec stanął na nogi, zmężniał, nawet przeżył trzydzieści dziewięć lat. Co to jednak było za życie! Istne piekło. Dwukrotnie był żonaty. Najpierw z Marią Ludwiką Orleańską, później z Marią Anną von



Pflaz-Neuburg. Obydwie żony doprowadził swą impotencją do nerwowej choroby, stały się histeryczkami, tłukły wazony i okładały pięściami biednego męża.

Zajrzyjmy, Drogi Czytelniku, do tej małżeńskiej alkowy, widzianej oczyma Janusza Kawryżki: „Maratoński bieg? Nie, to królowa Maria Ludwika z Orleanu, bratanica Ludwika XIV, biega rozjątrzona jak tygrysica po pokojach, tłukąc wszystko dookoła, poczynając od wazonów, a kończąc na fizjonomiach gapowatych sług, którzy nieroztropnie stanęli na drodze jej szaleństwa. Maria Ludwika cierpi seksualne męki i trzeba ją zrozumieć, nie miód to przecież żyć z mężem impotentem, który nie jest w stanie zdeflorować żony. Dziewictwo zaś doskwiera niewieście, jak twierdzą seksopatolodzy, i wyłazi na wierzch jaźni w postaci hysterii wielce nieszczęśliwej kobiety. Karol II zupełnym idiotą nie jest. On rozumie: żona potrzebuje mocnego seksu, lecz co on może poradzić? Żeby tak żona wzięła sobie kochanka? Lecz jego godność nie pozwala mu nosić tak haniebnych rogów. Wszakże królem jest, chociaż podupadłym. Wysila się, stara, codziennie drepcze do małżeńskiej sypialni, co z jego strony jest aktem wielkiej odwagi, wie bowiem, co go tam czeka: drwiny i kpiny: Z«jawił się, nie zakurzył się» – powie tonem inkwizytora leżąca w łóżu z królewskimi monogramami jego dziewicza małżonka. «Tylko z czym się zjawił?» – szydzi sobie dalej w tej ich specyficznej grze miłosnej. Karol II się poci, ślini, język mu z ust wyłazi (cierpiał na straszną chorobę, która objawiała się tym, że nie potrafił języka utrzymać w ryzach ust, wymykał się z nich, jak u gończego psa). Na tle nerwowym nie tylko go głowa boli, jest znacznie gorzej, fallus nie powstaje do boju. Ciągłe jest w stanie spoczynku, nie budzi się do życia. Małżonka jest wyraźnie niezadowolona, a jeśli jeszcze nie daje mu w pysk, to tylko dlatego, że na coś jeszcze liczy. Nadzieja przecież odchodzi ostatnia. Kiedy znika, wyrrywają się jej obraźliwe dla małżonka słowa: «Ty miernoto jedna» – jest to zresztą najbardziej miły

frazes w inwazji inwektyw, jakimi obrzuca małżonka impotentą. Nudno jest w tej alce. Karol wie dobrze, czym jego pobyt się skończy. Małżonka zawyje basem, a on rozzłoszczony powie: «Nie rycz jak niedorznięty wieprz»”.

Do tych odgłosów dojdzie jeszcze trzask tłuczonych wazonów, nie tych cennych, kryształowych, tylko glinianych, specjalnie porozstawianych przez służących, aby Maria Ludwika mogła dać upust swoim emocjom. Biada królewskiemu domowi! Karol II, mimo starań o przewyciężenie swej impotencji, nic nie wskórał. Złośliwy dzieciorodny organ nie poddawał się głosowi rozsądku wołającemu o dziedzica, bezlitośnie opadając, jak zwiędła róża, czy knot bez oleju. Strach krępuje członka Karolowi II, twarz żony krzywi się nie w paroksyzmie rozkoszy, lecz w skrajnej wściekłości. Maria Ludwika, impetyczka, pierwsza żona, córka Filipa Orleańskiego i Henrietty Francuskiej, otrutej przez seksualnego partnera jej męża, nie miała zlitowania nad brzemieniem męskiej niemocy Karola II, dając upust swemu egoizmowi w ciągłych awanturach. Co na to ministrowie?

Większość z nich była za tym, żeby króla impotentą ożenić po raz drugi, ponieważ twierdził, że jego impotencja nie jest wrodzona, tylko nabyta w wyniku czarów żony. Dobry mariaż rokował nadzieję na narodziny dziedzica tronu. Drugą żoną Karola II została Maria Anna z Palatynatu. Wpadł biedny król z deszczu pod rynnę. Druga żona okazała się jeszcze większą histeryczką niż pierwsza, tłukła nie tylko gliniane wazy, ale także prawdziwe, chińskie. Przy zetknięciu się ze swym mężem momentalnie wybuchła spazmatycznym płaczem, trzęsła się jak osika na wietrze i wprawiała w ruch swe ostre pazurki, nie zważając na majestat męża. Karol II nie jest zachwycony, że ciągle musi chodzić z podrapaną twarzą. Wyglądał żałośnie: z habsburskich ust wyłaził niepomiernie długi język, ślinił się, szczyrzył końskie zęby, na dodatek cała morda podrapana. Co to za życie tego biednego króla! Dopóki jego żona wybuchła płaczem, talerze i

wazony tłukła, ciągle zmieniał testament. Postanowił swe państwo przekazać wnukowi francuskiego króla Ludwika XIV, który pod wpływem dziadka pragnie Hiszpanią rządzić.

Nieszczęśliwa królewska alkowa w Eskurialu, pięknym pałacu madryckim, jest prawie zawsze pusta. Ani żona, ani mąż nie chcą tam sypiać. On gdzieś tam na polowym żelaznym łożku się tuli, ona na rozstawionym w gabinecie drewnianym łożu. Dawno już przestali sypiać ze sobą. Janusz Kawryżka tak opisuje to żalosne małżeńskie współżycie: „Codziennie było gorzej. Oboje cierpieli – mąż impotent i żona histeryczka. Wzajemna nieprzyjaźń zwiększała się i osiągnęła taki moment, gdy szyderstwo i kpiny ze strony żony, a nienawiść i chłodna uprzejmość ze strony męża weszły w fazę jawnej obustronnej awersji względem siebie, gdy jadowite słowa, wylatujące z ich ust, dawały namiastkę seksu w jego najbardziej destrukcyjnej formie – rozwoju nerwicy i hysterii.

Obrzydzenie nie odchodzi w cień, ono jest tu, w tej sypialni, przyczaiło się, nie chce być milczące, wkrótce wytryśnie potokiem obelżywych słów. Ponieważ ona nie może rozkraczyć nóg, «rozkracza» usta. Abominacja rośnie jak ciasto na drożdżach. Tu nie ma pieszczot erotycznych, pettingu, gorzej, nawet neckingu nie ma” [petting – głaskanie narządów płciowych, necking – pieszczoty górnej połowy ciała – E.W.]. Nie ma tu mowy o wstępnej grze miłosnej, od której, według podręczników seksuologii, winien rozpoczynać się każdy stosunek. Króluje lęk mężczyzny i odraza kobiety. Oboje z trudem wytrzymują napięcie, groźne, milczące, nabrzmiałe, niczym niebo przed ulewą. Biada tobie, mężczyzno, jeśli jesteś pozbawiony swej męskości! Gdy twój penis nie funkcjonuje sprawnie, jesteś narażony na kpiny, drwiny i osady, jak przestępca, bo kobieta nie toleruje męskiej słabości. No nie, jeszcze do lania po pysku nie doszło, złość i histeria potrzebują trochę czasu, aby dojrzeć, lecz wszystko wkrótce wejdzie w znajomą koleinę: pisk, targanie Karola II za włosy, potok inwektyw. Karol II jest zdruzgotany bezsensem

swych starań. Strach i poniżenie zgotowały mu skromny los impotenty. Sardoniczny śmiech żony doprowadza go do samobójczych myśli. Lecz był zbyt tchórzliwy, aby zdobyć się na ten rozpaczliwy krok, który zwolniłby go od dynastycznych zobowiązań. Ten Karol II nie ma się czym chwalić. Dwie żony doprowadził do hysterii i rozstroju nerwowego. Dantejskie sceny, jakie rozgrywały się w tej alkowie, nie stanowiły tajemnicy dla służby. Przywarci do dziurek od kluczy królewskiej alkowy, rozpierzchają się niczym motylki w dymie, kiedy z hukiem otwierają się drzwi i wylatuje z nich w furii oszalała, niewyżyta seksualnie królowa w rozwianym cienkim szlafroku i z wykrzywioną od nieszczęść twarzą.

Z rozpaczony zmarła matka Karola II, Maria Anna Austriaczka. Zmarł Karol II w 1700 roku w wieku trzydziestu dziewięciu lat. Wyglądał jak wiekowy staruszek: stracił wszystkie zęby, ogłuchł, doszczętnie wyłysiał, nie mógł chodzić. Podejrzewają, że przyczyną tego była rzadka choroba, zwana akromegalią, spowodowana przez nadmierne wydzielanie hormonu wzrostu. Drugą przyczynę tej galopującej starości stanowiło to, że Habsburgowie nagminnie żenili się ze swymi bliskimi krewnymi. Matka Karola II była siostrzenicą jego ojca, co dla tej dynastii stanowiło normę. Przed śmiercią ten nieszczęśliwiec powiedział: „Wierzę, że stałem się ofiarą czarów, bo takie rzeczy, których doświadczyłem i z powodu których cierpiałem, nie mogą być dane przez Boga”. Biedna, żałosna i nieszczęśliwa ta królewska alkowa!

## Opętana marzycielka Karolina Meksykańska

Maksymilian, młodszy brat austriackiego cesarza Franciszka Józefa, ożenił się w 1857 roku z Karoliną, córką belgijskiego króla Leopolda I. Małżeństwo poprzedziły długie i żmudne targi. Maksymilian dwukrotnie przywoził na belgijski dwór swych ministrów, którzy niczym wściekłe psy targowali się o każdy gulden posagu Karoliny. Leopold I był tym bardzo zdziwiony, uważał, iż małżeństwo z jego córką, o której mówiono, iż jest najpiękniejszą księżniczką Europy, powinno być zawarte z miłości. Przecież Karolina i Maksymilian bardzo się sobie spodobali. On, niebieskooki, o zgrabnej posturze, dwudziestoparoletni, ona szesnastoletnia, ładna, ambitna i wykształcona. Lecz upór i zajadłość, z jaką Maksymilian targował się o każdy gulden, zmieniły przekonania króla Belgów Leopolda: zrozumiał, że w merkantylnym, nastawionym na zysk świecie uczucia schodzą na psy. Wreszcie po długich, wręcz nawet żenujących targach, określono wysokość posagu córki Leopolda I: sto tysięcy guldenów, apanaże dwadzieścia tysięcy rocznie, ogromna ilość brylantów i drogocенności. Starszy brat Maksymiliana, Franciszek Józef, ofiarował młodemu sto tysięcy guldenów i piękny pałac Miramare, położony niedaleko Triestu. Wkrótce po przyjeździe na austriacki dwór w Wiedniu Karolina bardzo rozczarowała się dworskim życiem. Jej mąż nie posiadał ani księstwa, ani żadnego królestwa, był jakby bezrobotnym, i to bez dobrego zasiłku. Wiedeński dwór zaćmiewała swoją pięknnością żona Franciszka Józefa, Elżbieta, nazywana Sissi. Piękność Karoliny nieco przy niej zbladła i to ją irytowało. Będąc ambitną i próżną, namawiała swego męża, żeby wymusił dla siebie na swym bracie królestwo czy cesarstwo, bowiem za wszelką cenę pragnęła być królową. Z kolei Maksymilian miał pretensje do swej matki, Zofii Bawarskiej, o to, że to nie jego urodziła pierwszego, uważał bowiem, że ma więcej predyspozycji do tego, żeby rządzić. Współżycie

małżonków, zgodne na początku, zaczęło się psuć. Karolina, często naburmuszona i zła, oznajmiała swemu mężowi: „Nie będę kisać na tym nudnym jak jesienna mucha dworze. Odejdę”. Ponieważ Maks kochał swoją Karolinę, bardzo cierpiał i z kolei nie dawał spokoju bratu. Wreszcie z pomocą francuskiego cesarza Napoleona III wynaleziono dla Maksymiliana królestwo. Ma nim być Meksyk, obecnie republika, rozdzierana rebeliami, której prezydentem jest Indianin, Benito Juarez. Finansowe rekiny Paryża, Londynu i Madrytu postanowiły osadzić w Meksyku swego króla i przeobrazić republikę w królestwo. Kandydatura austriackiego ambitnego księcia wszystkim się podobała. Maksymiliana ogłoszono królem Meksyku. Karolina jest wniebowzięta z radości. Nareszcie ziściło się jej marzenie – jest królową! No i cóż z tego, że w Ameryce, za oceanem, że tam czarny lud i nie najlepszy klimat. Ona wszystko naprawi – łącznie z klimatem. Usiadła pełna nadziei i entuzjazmu, aby pisać swe pierwsze edykty-rozkazy. Ona wprowadzi pałacową etykietę, będzie miała swój pyszny dwór, na który sprowadzi europejską śmietankę intelektualistów, pisarzy, poetów, muzyków i malarzy. Głośno o niej zaczną mówić Europa. Ona za pas zatknie sobie znieawidzoną szwagierkę Sissi! Rozum ma nie od parady, jest piękna, młoda, bogata. Czekają ją szczęśliwe życie.

Jej ojciec, Leopold I, miał w Kongo, które stanowiło jego własność, plantacje kawy. Pracowali tam Murzyni, a nadzorcami byli Belgowie. Wraz z kosztami kawy wysyłali Leopoldowi I odcięte dłonie Murzynów, którzy, ich zdaniem, leniuchowali i nie przykładali się do pracy. Im więcej nadchodziło tych dłoni, tym bardziej Leopold był zadowolony, upatrując w tych makabrycznych przesyłkach świadectwo gorliwości swych urzędników. Za kilka lat jego kochanka urodziła dziecko bez prawej dłoni. Kara Boża? – głowi się Leopold. Karolina została również napiętnowana przekleństwem z powodu okrucieństwa swego ojca. W żaden sposób nie mogła zajść w ciążę, nie

dlatego, że była bezpłodna, ale z powodu totalnej impotencji jej męża. Niby piękny, zdrowy, silny, a organ jego jest do niczego. Niknie zwiędłą różą przy każdym zbliżeniu się do żony, nic nie wychodzi z jego rozpaczliwych prób zapłodnienia. Franciszek Józef wymógł na nim obietnicę, że zarówno on, jak i jego dzieci nie będą pretendować do austriackiej korony, za cenę tytułu króla Meksyku. Ale przecież obietnicy można nie dotrzymać. Byłoby nieźle, gdyby Maksymilian został królem Austro-Węgier i Meksyku, tym bardziej że jedyny dziedzic tronu austriackiego, Rudolf, syn Sissi i Franciszka Józefa, popełnił samobójstwo. Karolina jak najbardziej podgrzewa te imperialne zapędy swojego męża, lecz jak spełnić to największe pragnienie – zająć w ciążę? Zofia Bawarska, kochająca swego syna Maksa, namawiała go, żeby nie dał się wciągnąć w „meksykańską awanturę”. Płakała, przeczuwając tragiczny koniec syna. Lecz Karolina pisała patetyczne listy do swej teściowej, w których słowa „patriotyzm”, „cześć”, „honor”, „ojczyzna”, przysłaniały wszystkie inne rozumne racje. Błagała swoją teściową, żeby nie namawiała Maksa, aby odmówił przyjęcia meksykańskiej korony. Tak bardzo pragnęła zostać królową. Maks, idąc za namową żony, dał się wciągnąć w tę polityczną awanturę. Napoleon III wysłał do Meksyku kilka swoich pułków, Franciszek Józef obiecał w razie potrzeby militarną pomoc. Maksymilian i Karolina wyjechali do Meksyku jako koronowani królowie. Miało to miejsce 14 kwietnia 1864 roku.

Prawdy o Meksyku nikt w Europie nie znał. Emigranci, powracający stamtąd, widzieli wszystko w nieco bardziej optymistycznym świetle, niż to miało miejsce w rzeczywistości. Właściwie Maksymilian został wystawiony na rzeź rebeliantów, którzy nie chcieli żadnych zmian ustrojowych w swym kraju, a tym bardziej przeobrażenia republiki w królestwo. Bogacze nie otrzymali od Maksymiliana nowych bogactw, biedni biednieli jeszcze bardziej. Maks, bardziej trzeźwy niż bujająca w obłokach

Karolina, szybko zrozumiał cały tragizm i beznadziejność swego położenia. Często płakał. Co mu z tego, że tytułują go „Waszą Wysokością”, że jest tron i korona, jeśli faktycznie królestwa nie ma? Karolina na początku usiłowała coś tam przedsięwziąć, aby poczęto ją traktować jako prawdziwą królową, lecz szybko jej to przeszło, gdy zetknęła się z realnością, ciemną i bezwzględną. Wśród wrogich plemion, które ciągle wojują, wśród ubożego ludu, wśród ogólnej biedy, niedobrego klimatu, much, komarów i malutkich muszek, które nadlatują chmarami, a i mogą do kości obgryźć, trudno marzyć o ogrodach Semiramidy.

U Maksa, być może na tle nerwowym, rozwija się impotencja. Ich noce stały się koszmarem. Pragnienie Karoliny, aby mieć potomka, w połączeniu z jej własnym nimfomaństwem, nieurzeczywistnianym z powodu braku seksualnych stosunków, zrobiły z niej furiatkę, megierę, sadystkę i masochistkę. „Wciąż gasiła w kłótniach z mężem żar swej chuci” – jak powiedziała by Janusz Kawryżka. Najgorsze są noce, bezsenne, mroczne, gdy każde z małżonków, na złość sobie i partnerowi, uprawia masturbację. Zjawisko, gdy partnerka nie przeżywa orgazmu podczas spółkowania, lecz podczas masturbacji, nazywa się anorgazmią. A jak nazywa się zjawisko, gdy nie tylko orgazmu nie ma, lecz i samej kopulacji? Obok Maksa leży zdrowa, młoda, temperamentna żona, a on nie jest w stanie jej seksualnie zadowolić. Havelock Ellis: „W większości szczęście małżeńskie zależy od tego, na ile małżonkowie są wyedukowani w miłosnych sprawach”. Tu edukacja pozostawała w głowie, w sferze iluzji, na zewnątrz wyłazi dzika niemoc. Masturbacja jest w ogóle czymś sromotnym, a tym bardziej jeśli jest demonstracyjnie uprawiana przez partnerów. I wcale, jak twierdzą seksopatolodzy, taką niewinną nie jest. Niech tam starożytny Diogenes w swej beczce, którą wybrał sobie na miejsce zamieszkania, uprawia publicznie na placu masturbację, ludzie XIX wieku nie czynią tego ani publicznie, ani wobec partnera. Masturbacja rodzi poczucie winy,



wzbudza lęk i odgrywa rolę silnego hamulca seksualnego. Masturbacje wywoływały u obojga fantazje erotyczne. Jemu marzy się kobieta uległa, skromna, posłuszna, subtelna, nieśmiała – oto ideał marzeń Maksa. Karolina z jej niespożytą energią, wigorem, wymaganiami była przeciwieństwem erotycznej wizji kobiety jej męża. Jej erotyczne marzenia pewnego razu przerodziły się w paskudną realność: została zgwałcona przez pazia i zaszła w ciążę. Oto jak to nastąpiło. Oddajmy głos dociekliwemu, wścibskiemu dziennikarzowi, Erwinowi Kischowi, który poszedł tropem legend o Karolinie i Maksie i wydobył to zdarzenie na światło dzienne. W Meksyku rośnie dużo różnych ziół stosowanych na różne dolegliwości. Istnieje też zawód zielarek, które zarabiają na klientach, aplikując im różne środki, na impotencję, na wzbudzenie w mężu pożądania żony. Podobno Karolina – tak mówi meksykańska legenda – pewnego razu zwróciła się do zielarki, aby ta przyrządziła jej miłosny napój, który spowodowałby rozbudzenie seksualnych pragnień jej męża. Lecz ktoś złośliwy, może ten, kto od dawna pragnął zgwałcić buszującą po pokojach, nienasyconą seksualnie królową, podsunął jej silny środek narkotyczny o nazwie *tey huimti*, sporządzony z jakiegoś meksykańskiego grzyba, mogący nawet doprowadzić człowieka do obłądzenia, co prawda nie od razu, a stopniowo. Karolina, nafaszerowana tym środkiem, została w swym pałacu zgwałcona, z czego nie zdawała sobie sprawy, wydawało się jej, że to kolejna miła erotyczna wizja nawiedziła ją podczas masturbacji. Wkrótce dowiedziała się, że zaszła w ciążę. To nastąpi już w Europie, w bardzo dramatycznych okolicznościach. Na razie przerwijmy ten wątek.

Maks, tragiczny książę, tragiczny król, już dawno zrozumiał, że stanowi narzędzie do realizacji ambitnych planów Karoliny, że jest skazany na zagładę i pokornie czekał na kres swego losu. Wszyscy go opuścili. Został sam wśród wojowniczych wrogich Indian. Napoleon III wycofał z Meksyku swe pułki, brat Franciszek

Józef, zajęty sprawami Austrii, która ponosiła jedną militarną porażkę za drugą, nie przysłał mu pomocy. Maks dogorywał w obcym kraju. Ambicja i honor nie pozwoliły mu na to, aby wszystko rzucić i uciekać stąd czym prędzej. Natomiast z Meksyku wyjechała Karolina. Niby szukać pomocy w Europie. Owszem, zgłosiła się w Paryżu do cesarza Napoleona III, który świadomy jej natarczywości udał chorego i odmówił jej audiencji. Ale takie numery nie z Karoliną! Bez zaproszenia wtargnęła do cesarskiego pałacu, wymusiła przyjęcie jej przez cesarską parę:

Eugenię i Napoleona III, a kiedy przekonała się, że pomocy od nich nie ma co oczekiwać, odmówiła zaproszenia na obiad i plunęła w stronę monarchów. Taka była ta Karolina, przebojowa marzycielka, wojująca z wiatrakami i własną jaźnią. Pojechała do Watykanu, do papieża Piusa IX. Zdarzyło się to we wrześniu 1866 roku. Papież przyjął Karolinę, lecz grzecznie wyjaśnił jej, że nie jest w stanie jej pomóc. Nie może żądać od Napoleona III, żeby ten posłał wojsko do Meksyku. Podczas audiencji trujący grzyb *tey huimti* zaczął działać. Karolina dostała obłądu. Padła przed Piusem IX na kolana, zaniósła się szlochem, poczęła krzyczeć, że wszyscy chcą ją otruć, że Napoleon III wydał rozkaz, żeby dosypać jej do jedzenia truciznę, że kiedy wyjdzie natychmiast rzucą się na nią czyhający zabójcy. Karolinie przygotowano posłanie w bibliotecę papieża. Była pierwszą kobietą w historii świata, która spędziła noc w papieskich pokojach. Na drugi dzień okazało się, że Karolina jest w ciąży i wkrótce będzie rodzić. Dziecko przyszło na świat 12 stycznia 1867 roku. Nie wiadomo, komu oddano je na wychowanie. Karolinę zawieziono do jej pałacu Miramare. Papież jeszcze raz przyjął Karolinę. Znów rzuciła się przed nim na kolana, płakała, prosiła o pomoc. Mania prześladowcza owładnęła Karoliną. Nic nie jadła. Trzeba było na jej oczach zabić kurę, dopiero wtedy zjadła talerz przyrządzonego z niej rosołu. Nieraz była tak głodna, że łapczywie rzucała się na kęsy z talerza swych dam, które „nie dojadają”. W takim

obłąkaniu będzie żyła jeszcze pięćdziesiąt lat. Przeżyje wszystkich: swoją rodzinę, rodzinę Franciszka Józefa. Czas spędzała na pisaniu wyroków na swych rzekomych trucicielach. Umarła dopiero w 1927 roku w Belgii: niebotycznie bogata po otrzymaniu spadku po swym bracie, Leopoldzie II. Złamany duch w krzepkim ciele przez pięćdziesiąt lat wożony był z zamku do zamku, z jednego uzdrowiska do drugiego. Rozmawiała ze swym Maksem, bo w jej świadomości on wciąż żył, oddawała mu się i była kobietą, która bez masturbacji miewała orgazmy. Grzyb meksykański dobrze przysłużył się Karolinie. Umierała ta staruszka prawie szczęśliwa, dzięki fantazji stworzyła sobie własny raj, w którym nie było zła i niedobrych ludzi.

A co z Maksem? 19 czerwca 1867 roku został rozstrzelany przez meksykańskich rebeliantów. Zachowywał się przed śmiercią jak prawdziwy „bolszewik”. Obnażył pierś i krzyknął: „Strzelajcie, gadziny!”.

Niesławna była śmierć niedoszłego meksykańskiego króla. A czy jego życie było lepsze? Mniej tragiczne?

## **Królowie erotomani. Franciszek I, Henryk IV, Napoleon III, Leopold II**

*Wola nie jest w stanie ugasić chuci.*

(M. Leturno, Seksopatolog, XVIII w.)

*Jeść nie będę, myć się nie będę, tylko żonę wy... i spać.*

(górnik śląski po pracy)

Kobietto, jedź do Afryki! Seks egzotyczny, to jest to! Afryka. Nie wszędzie tu dotarła cywilizacja ze swymi zabójczymi dla jednostki prawami. Możesz tam trafić do szczepu Keraki w Nowej Gwinei (południowa Afryka). Kroczą tam półnaczy Herkulesi po sześćdziesiątce z ogromnymi maczugami i mordują swe żony bezustannym seksem. Po dwadzieścia razy na dzień. Pięć-sześć, to mała norma, taki mąż wstydzi się swej niedołążności płciowej. A jest w Afryce jeszcze szczep Bonzo, w którym starcy stają w jednym szeregu z młodzieżą w walce o dziewice.

Karol VIII, francuski król, syn Ludwika XI, był erotomanem. Wyruszając na wojenną wyprawę, brał zawsze ze sobą armię flecistek, harfistek i prostytutek. Zatrzymywał się co parę kilometrów, pod krzakami uprawiał z prostytutkami seks, a flecistki przygrywały kopulującym śliczne melodie miłosne. Wojsku nie podobała się ta seksualna sielanka. Zaczęło szemrać: „Co to, na wojaczkę idziemy, czy na totalne pieprzenie się? I jeśli tak będzie nadal, przywieziemy do Italii nie króla, a jego kościotrup”. Król opamiętał się, przegonił nierządnicę. Sprawy wojenne poszły zwawiej. Italia została zdobyta.

\* \* \*

Erotomanem był Franciszek I Lotaryński, mąż austriackiej cesarzowej Marii Teresy, matki szesnaściorga dzieci. Maria Teresa patrzyła przez palce na erotyczne ciągotki swego męża, byle nie mieszał się do polityki. Liczne porody znacznie zniekształciły jej figurę. Przeobraziła się w grubą, opasłą kobietę, o nieapetycznych kształtach. Swoją metamorfozę przyjmowała jako dopust Boży, mawiając: „Ja nigdy nie odmówiłam swemu mężowi seksu”.

\* \* \*

Opinie o Rasputinie jako supererotomanie są nieco przesadzone. W rzeczywistości był to człowiek wzrostu średniego, bardzo chudy, a gdy wyjmował po pijanemu swój organ podczas orgii w moskiewskiej restauracji „Jar”, jej uczestnicy mogli się przekonać, iż nie był on, jak sądziła opinia publiczna, monstrualnej wielkości.

*Notabene*, caryca nigdy nie była jego kochanką. Lubiła go i bezgranicznie wierzyła w jego zdolności hipnotyczne, wyleczył bowiem ją z hysterii i zatrzymywał krew jej syna Aleksieja, który był chory na hemofilię.

Hiszpański delfin don Juan, syn Ferdynanda i Izabeli hiszpańskich, zmarł od nadmiaru seksu uprawianego ze swoją małżonką, Małgorzatą Burgundzką.

\* \* \*

„Facecie o malutkim fallusiku! Nie płacz i nie rozpaczaj, i nie czuj się wyzutym z życia dlatego, iż natura tak w skąpy ciebie instrument wyposażyła. Daj w Internecie ogłoszenie, że poszukujesz partnerki o płytkiej pochwie i sprawa twoja jest rozwiązana. Możesz dawać partnerce nieziemskie rozkosze i sam czerpać z niej pełną garścią, bo grunt to dopasowanie pochwy do kutasa. Wszystko inne, charakter, uroda nie mają istotnego

znaczenia, gdy anatomicznie będziecie dopasowani. Tę mądrą zasadę przekazała Kamasutra, nie wspominając już o japońskim, taoizmie. Obecnie ogłoszenia w gazetach dotyczące poszukiwania partnerów bądź dla małżeństwa, bądź dla miłego spędzenia czasu nieco się zmodyfikowały zgodnie z duchem czasu. Już nie szukamy pięknych, zgrabnych i bogatych partnerek, lecz o płytkiej czy głębokiej waginie. Dobra vagina, dobrze dopasowana do mojego fallusa to garnitur uszyty u dobrego krawca. Każdą figurę uczyni zgrabną, czytaj: «Każdy seks uczyni przyjemnym» (rozważania studenta leninowskiej biblioteki).

\* \* \*

Zapamiętaj, Drogi Czytelniku, że erotomanami byli Lew Tołstoj i Guy de Maupassant. Pierwszy, zepsuwszy ze dwie setki dziewczek pańszczyźnianych, za żonę Zofię się wziął. Biedaczka aż oszalała z powodu przedawkowania seksu, w histerię wpadła, za mężem z nożem kuchennym biegała. A drugi w ciągu godziny mógł przelecieć sześć prostytutek i jeszcze ku siódmej podłaził. Na tle seksualnego nadmiaru i z powodu syfilitycznych komplikacji zwariował. W szpitalu psychiatrycznym na czworakach pełzał, szczekając, udając psa. Wszyscy lub większość erotomanów była trochę wariatami i uważała siebie za któreś ze zwierząt. Kardynał Richelieu był erotomanem, wyobrażał sobie, że jest koniem, biegał dookoła stołu, rżąc, i prosił, aby nakarmiono go owsem. Po takim galopie padał trupem na podłogę, wpadając w głębokie omdlenie, a po przebudzeniu się niczego nie pamiętał.

„Nietypowym erotomanem był poeta Aleksander Błok. On mógł pieprzyć petersburskie prostytutki, przejawiając cuda męskości i nigdy mu jej nie dostawało, kiedy usiłował przespać się z żoną Lubą, córką chemika Mendelejewa. W czym rzecz? W psychicznym nastawieniu. Co można uczynić z prostytutką, nie sposób robić z szanowaną żoną. A Błok wręcz ubóstwiał swoją

małżonkę, modlił się do niej, niczym do Madonny. A rudej, piersiastej Lubie był potrzebny zwykły samiec z potężnym orężem. Przespała się z aktorem i urodziła nieślubnego syna. Błok się głowił, jakie imię nadać «jego» synkowi. A w ogóle, podział na erotomanów i normalnych jest względny. Wszyscy jesteśmy trochę erotomanami. Widziałeś kiedyś zdrowego chłopca, który odmówiłby pieprzenia? Nie ma takiego, chyba że jest to chłop bez jaj” (rozważania studenta leninowskiej biblioteki).

\* \* \*

Do grona erotomanów jest zaliczany francuski król Ludwik XV, mąż Polki, Marii Leszczyńskiej. Spłodziwszy z nią dziesięcioro dzieci, po upływie dziesięciu lat, w ciągu których żony nie zdradzał, na zawsze wyszedł z jej łóżka, żeby sypiać z niezliczoną liczbą kochanek. Do znanych jego metres były zaliczane markiza Pompadour i pani du Barry. W ostatnich latach życia erotomania Ludwika XV przeobraża się w ohydny dewiację. W swym Jelenim Parku hodował młode dziewczęta, przeznaczone do rozpusty. Wypróbował wszelkiego rodzaju zboczenia, wpadł w starczy marazm, zachorował na hipochondrię. Był bardzo nieszczęśliwym człowiekiem, zawsze się nudził.

\* \* \*

Erotomanem był Napoleon Bonaparte. Liczby jego kochanek nie da się wyliczyć. „Surowiec” dostarczała mu jego siostra Paulina. W ostatnich latach życia, przebywając na Wyspie Świętej Heleny, uległ przerażającej metamorfozie, jakby stał się kastratem. Zaczął niemiłosiernie tyć, stracił owłosienie, ciało jego stało się białe i czyste jak ciało kobiety, fallus mu się zmniejszył do niewiarygodnie małych rozmiarów, zanikał pociąg seksualny. Napoleon wyraźnie przeobrażał się w kobietę.

Pierwsze przypadki erotomanii opisał francuski psychiatra G. De Clerebault w dwudziestych latach XX wieku. Erotomania jest chorobą, uzależniającą jak narkotyki. Przejawia takie same cechy jak alkoholizm czy narkomania. Ludzie dotknięci erotomania znajdują się w ciągłym napięciu, im jest potrzebna codzienna dawka narkotyku-seksu. Po doznaniu rozkoszy przychodzi przygnębienie, osamotnienie, pustka i niesmak, obrzydzenie i nawet rozpacz, nieraz popełniają samobójstwa.

\* \* \*

Właśnie takie cechy przejawiał wielki Aleksander Macedoński, którego erotyczne bogate życie jest do dziś słabo poznane. Był biseksualistą z przewagą w stronę mężczyzn. Miał trzy żony (dwie z nich to córki pokonanego przez niego perskiego cesarza Dariusza III), stałego homoseksualnego partnera Hefajstosa, którego darzył głębokim uczuciem; z jego śmiercią nie mógł się pogodzić. Żył z perskim wykastrowanym chłopcem, kochankiem cesarza Dariusza, Bagoasem. Przed ważną bitwą lub po niej musiał z nim odbyć stosunek. Pewnego razu, zraniony, ociekający krwią Aleksander Macedoński zaciągnął Bagoasa do namiotu, aby uprawiać miłość. Kiedy splamiony krwią Aleksandra Macedońskiego chłopiec wychodził z namiotu, ten go przestrzegł: „Wytrzymaj krew. Moi żołnierze pomyślą, że zabiłeś mnie i rozszarpiają cię na kawałki”. Po homoseksualnym stosunku Aleksander Macedoński miał wyrzuty sumienia i był bardzo przygnębiony. Tego stanu nie odczuwał po stosunku z kobietami.

„Zbliży się wieczór, a ja jak idiota paruję ze wzwozem, i nadziei żadnej. Rozsadza mi rozporek i żadnej nadziei” (Henry Miller, erotyczny pisarz dwudziestowieczny, erotoman).

\* \* \*



Hipokryt uważał, że przyczyną masowej impotencji Scytów była ich jazda na koniu. Ciągłe ocieranie się o siodło powodowało atrofię męskich genitaliów. Scyci całe życie spędzali na koniu, jedli i nawet sypiali w siodle. Tatarzy też mają małe penisy, bowiem całe życie spędzają na koniach. Mujurados – plemię indiańskie, jest sławne z tego, że genitalia mężczyzn uległy atrofii.

Na drogach starożytnej Grecji stały słupy kamienne z głowami Hermesa i z wydatnie zaznaczoną jego męskością. W maju 415 r. p.n.e. w Atenach z tych posągów zostały odbite fallusy. Popołniono świętokradztwo, lecz cnotliwe Atenki były zadowolone, nie ma już komu wstydić ich mężów, których fallusy nie dorównywały fallusom bogów.

\* \* \*

„Jeśli młodzieniec zechce powiększyć swój penis, to nic prostszego. Kamasutra mu służy pomocą i radą. Według niej wystarczy natrzeć penis rozkruszonymi na proszek owłosionymi dżdżownicami – kandaliką. No i co, że boli, cierp, chłopie, skoro chcesz stać się człowiekiem. Idź na swą działkę, którą łaskawie ci Chruszczow przydzielił, pozbieraj gąsienice z kapusty, czy innej... pielęgnowanej rośliny. Zasusz je i zmieliwszy na proszek, natrzyj swój organ. Kamasutra gwarantuje, że twój członek trzykrotnie powiększy swój rozmiar” (student leninowskiej biblioteki).

Erotoman Kommodus, syn Marka Aureliusza, miał do swych erotycznych zabaw trzystu chłopców i trzysta dziewcząt. Siedem razy w ciągu dnia chodził do łaźni, którą uczynił domem rozpusty. Stanowiska dawał mężczyznom w zależności od wielkości ich fallusów.

\* \* \*

Duże zmęczenie po współzyciu może stanowić sygnał, iż

została przekroczona norma fizjologiczna.

\* \* \*

W Chinach uważano, że częste wytryski przyspieszają starzenie się, zmniejszają odporność organizmu, osłabiają sprawność fizyczną i psychiczną.

\* \* \*

„Doświadczenie stwierdzające, iż miłość płciowa (genitalna) daje ludziom największe zadowolenie i stanowi dla nich wzorzec wszelkiego szczęścia, musiało im nasunąć myśl, aby dalej szukać szczęścia w dziedzinie stosunków płciowych i w centralnym punkcie życia postawić erotykę seksualną” (Z. Freud, „Kultura jako źródło cierpień”).

„Mężczyźni manewrują kobietą jak samochodem: włącz zapłon, przerzuć biegi, zahamuj” (E. Biagi, „Terapia miłości”).

„Instrumentalnie traktowany seks, obok telewizji i Internetu, jest jeszcze jedną niezobowiązującą formą rozrywki” (E. Biagi, „Terapia miłości”).

\* \* \*

Mężczyzna przestał być we współczesnych warunkach subtelny, pełny uroku uwodzicielem, stał się supermenem – brutalnym i okrutnym. Od kobiet oczekuje niejako automatycznej, bezgranicznej uległości. Nowoczesny Don Juan nie zabiega o względy kobiet, lekceważy je, poniewiera nimi i poniża.

Nie ma orgazmu bez zadawania bólu, taką filozofię w teorii i praktyce stosował pornograf, markiz de Sade, od którego imienia taki sposób postępowania nazywa się sadyzmem.

\* \* \*

„Ta, podła, ma dupę ciasną jak prawiczka! Czy zechciałabyś, pani, mi pozwolić, żebym nakłuwał twoje piękne ciało podczas stosunku? Ach, nie ma nic lepszego od spermy wyciekającej z pięknego zadka! Oto nektar godny bogów! No, ruszaj się, czy nie wiesz, że kiedy się spuszczam, musisz mi głębiej wepchnąć w zadek?” (markiz de Sade, „Filozofia w buduarze”).

\* \* \*

Termin rewolucja seksualna wymyślił uczeń Zygmunta Freuda, Wilhelm Reich, w latach trzydziestych XX wieku. Pod koniec życia popadł w obłąd. Uważał, że światem rządzi orgonalna energia. Matka jego skończyła samobójstwem, ojciec skoczył do rzeki i utonął. W 1957 roku ten nadzwyczajny naukowiec-erotoman zmarł w amerykańskim więzieniu. Jego teoria orgonalnej energii uległa zapomnieniu, książki zniszczone, a to on przecież z nadzwyczajną przenikliwością przeczuł „płochosc ludzkiej natury uzależnionej od seksu”.

Nadzwyczajnym erotomanem był ostatni polski król Stanisław August Poniatowski, ekskochanek carycy Katarzyny II. Miał niezliczone ilości kochanek pochodzących z różnych warstw społecznych i najrozmaitszych narodowości. Szczególnie lubił Włoszki. Jego przygody miłosne skończyły się, kiedy zawarł morganatyczne małżeństwo z Elżbietą Grabowską, chciwą, zaborczą, władczą i ograniczoną kobietą.

Erotomanem był Casanova, awanturnik o światowej sławie, który miał zasadę niepłacenia prostytutkom, skoro „porządne kobiety chętnie zdejmują pantalony”. Gorszył świat swymi ekscesami i wybrykami erotycznymi. Usiłował w Petersburgu uwieść Katarzynę II, nic z tego jednak nie wyszło.

\* \* \*

Kiedy Alfons V (1396–1458), król Aragonii, wjeżdżał do Saragossy, rzuciła się przed nim na kolana kobieta, która błagała go o sprawiedliwość. Skarżyła się na męża, który od wielu lat brał ją po trzydzieści dwa razy na dobę. Król rozkazał zawołać męża. Ten powiedział: „Jest moją żoną, moją własnością. Ile razy chcę, tyle razy ją biorę, nie popełniam żadnego niegodnego czynu”. Król, który był władcą sprawiedliwym, rozkazał mężowi, aby brał żonę nie więcej niż sześć razy dziennie. Jednocześnie był niesamowicie zdumiony taką seksualną witalnością męża.

\* \* \*

Król Tajlandii Rama V (początek XX w.) miał 600 żon, dużo nałożnic i około 370 dzieci. Nałożnicami mogły być tylko te kobiety, które były córkami jego sióstr.

\* \* \*

Libertynizm swe apogeum osiągnął za Ludwika XIV. Powstawały erotyczne kluby o różnej specjalizacji. Jedni zabawiali się tym, że obcinali łonowe włosy kochankom, aby zdobić nimi, jako emblematami, swe marynarki, inni rozkoszowali się perwersyjną flagellacją markiza de Sade'a. Czerpanie przyjemności seksualnej z zadawania bólu stało się jakby prawem natury.

\* \* \*

Państwo widzą na farmie, jak kogut z zapalem kopuluje z kurą. Żona: „Czy robi to częściej niż raz dziennie?”. Farmer: „O, wiele razy dziennie”. Żona: „Proszę to powiedzieć mojemu

mężowi". Mąż: „A robi to z tą samą kurą za każdym razem?”. Farmer: „O nie, robi to za każdym razem z inną”. Mąż: „Proszę to powiedzieć mojej żonie”.

Wszystkie bodźce silnie podrażniające skórę oddziałują na organy płciowe. Ludzie cierpiący z powodu liszajów lub swędzącej wysypki odczuwają stale silny popęd płciowy.

Do licha, zdaje się, że wiem, że niczego nie wiem! Poplątałam się, Drogi Czytelniku, z tym dążeniem do bierności i agresywności łóżkowej królowych. Jeden lubi arbuza, drugi świńską chrząstkę. O gustach się nie dyskutuje. Jeden król lubi, żeby jego żona jak trusia cicho w łóżku leżała, w pozycji omdlałej modliszki, drugi, żeby szarpała się z nim niczym tygrysica i przejawiała inicjatywę seksualną. Dla naszego nieudacznika, Habsburga Maksymiliana, ważne jest, żeby kobieta w łóżku, choćby i własna żona Karolina, leżała spokojnie, cicho, jak to czynią wyższej marki gejsze japońskie, zwane ojran-y. Jak wiadomo, te gejsze, prostytutki wyższej marki i dużego kalibru, różniły się od zwykłych prostytutek japońskich swym wykształceniem i kulturą osobistą. W ich wydaniu seks przedstawiał sobą piękne widowisko, przed kopulacją rozmawiano o literaturze i filozofii, słuchano muzyki, zanim kimono gejsza zrzuci, długo będzie trwała intelektualna mitręga. Seks z nimi był wspaniały – rozpusta podniesiona do wyżyn niebios. Ekstacyczna, piękna kopulacja odbywała się przy wtórze muzyki, perwersje seksualne osiągały niebywały poziom, równały się z seksem uprawianym przez bogów na Olimpie. Oto piękna gejsza o nazwie ojrana, a na dodatek bardzo powściągliwa w erotycznych pieszczotach. Ona nie będzie swej chuci eksponować, wysuwać i drzeć w przeczuciu zbliżającego się orgazmu. Ona kulturalnie i estetycznie położy się na łożu, zajmie pozycję zranionej sarny, być może wyszepcze: „Boli mnie”, żeby partner, to znaczy mężczyzna, obchodził się z nią delikatnie. Mężczyzna w zetknięciu się z takim wdzięcznym lękiem, któremu towarzyszyły miny

niezepsutej dziewczynki, stawał się Herkulesem. Seks z ojraną dawał mu najwyższą satysfakcję – zwłaszcza jeśli sam był nie bardzo Herkules, taki sobie, średniej grubości i długości. Taki mężczyzna nie lubi agresji i seksualnej aktywności kobiety.

## Franciszek I

*Dwór bez pięknych kobiet jest jak ogród bez kwiatów.*

(Franciszek I, król francuski)

Francuski król Franciszek I (1494–1547) był erotomanem, zmarł od powikłań syfilitycznych. Jego siostra, Małgorzata Nawarska, utalentowana pisarka, autorka „Heptamerona”, który cieszył się nie mniejszym, a może nawet i większym, powodzeniem niż „Dekameron” Boccaccia, tak nieudolnie i z taką nienaturalną pasją zaczęła prostować słuchy o wenerycznej chorobie swego brata, że uczyniła mu tym wielką szkodę: zainteresowała tym problemem kronikarzy i biografów, którzy wywlekli na światło dzienne wszystkie szczegóły tej strasznej choroby króla. Znalaziono setki dokumentów i udowodniono, iż król zmarł na syfilis. Ponoć przed swoją śmiercią wysłał ekspedycję do Brazylii, aby przywieziono mu stamtąd korę leczniczego drzewa, którą tubylcy leczą weneryczne choroby. Dzikusom to pomagało, Franciszkowi I nie. Jego organizm znajdował się już w tak zaawansowanym stadium choroby, że nie można było go wyleczyć tymi środkami, jakimi dysponowała medycyna XVI wieku.

Pomijając jego erotomaństwo, był to wspaniały król. Lubił literatów i ludzi sztuki. U niego Leonardo da Vinci znalazł azyl. W ostatnim okresie swego życia malował portrety kochanek Franciszka I, które obecnie można oglądać w Luwrze, niegdyś jednym z pałaców Franciszka I. Przy nim rozkwitła dworska miłość, nieco podupadła w czasach Eleonory Akwitańskiej. Kobieta została wyniesiona na wysoki piedestał uwielbienia. Franciszek I przeżył kilka wielkich miłości i dwie żony. Pierwszą, Klaudię, córkę Ludwika XII i Anny Bretońskiej, chromej i brzydkiej, nie kochał, lecz odnosił się do niej z ogromnym

szacunkiem, bowiem ta krucha biedaczka pobłażliwie patrzyła na kolejne miłostki swego męża i tragedii z tego nie czyniła. Nawet przyjaźniła się z niektórymi kochankami męża, za co Franciszek I był jej dozgonnie wdzięczny i w podzięce dość często odwiedzał jej alkowę. Czynił to jak mądry władca, jak sułtan w tureckim haremie: obdzielał seksem każdą ze swych żon i nałożnic. Tak że na niedosyt seksualny królowa nie cierpiała. Kiedy mu brakowało oficjalnych metres do zaspokojenia swej chuci, lekko sięgał po żony swych dworzan. Istniało niepisane prawo, że król może brać sobie na noc jakąkolwiek spośród żon dworzan, mężowie musieli się na to godzić, trudności nie czynić, a niejako uważać to za wielki dla siebie zaszczyt i honor. A gdy jeden z krnąbrnych dworaków nie chciał dobrowolnie oddać do łóża króla swej żony i nawet czekał na Franciszka I przy wejściu do sypialni ze szpadą w ręku, mając zamiar jak lew walczyć o swój i żony honor, potężny wzrostem Franciszek I spuścił go dosłownie ze schodów, uprzednio złamawszy o kolano jego szpadę. I kiedy mąż leciał ze schodów na złamanie karku, Franciszek I krzyczał w ślad za nim: „Podziękuj Bogu, że tak łatwo się wykaraskałeś, durniu, następnym razem przebiję cię, jak kurczątko, szpada i koniec”. Mężowie musieli z bólem serca odstępować swe żony królowi. Oprócz jednego, pewnego paryskiego adwokata, który postanowił zemścić się na królu, który przespał się z jego żoną Feronierą. A ponieważ była bardzo ładna i znała się na miłosnej sztuce, król kilka razy posyłał po nią, nie ograniczając się jak zwykle do jednego razu. Adwokat ruszył do paryskich burdeli, aby znaleźć prostytutkę, która byłaby zarażona syfilisem. Burdelmama z emfazą zachwalała swój „towar”, informując adwokata, jakie to jej dziewczęta są porządne: „Wszystkie czyste, żadna nie choruje ani na trypra, ani na kiłę. Co tydzień ogląda je lekarz” – zapewnia. „No nie, niezarażone nie są mi potrzebne” – ponuro informuje adwokat burdelmamę. „Ja potrzebuję takiej, która byłaby zarażona kiłą i to najlepiej w zaawansowanym stadium



choroby” – oznajmia osłupiałej szefowej burdelu. Z niejakim trudem udało mu się wreszcie znaleźć zarażoną kiłą prostytutkę. Szybko od niej się zaraził i teraz szuka sposobności, żeby zarazić weneryczną chorobą swoją żonę, a przez nią i króla. Były trudności. Żona, która została królewską metresą, otrzymując od niego drogie podarki, przestała męża do swej alkowy wpuszczać, woląc pieprzyć się z królem niż z nim, w myśl zasady: „Wolę smaczny seks z kochankiem, niż nudny z mężem”. Lecz po pewnym czasie jakoś tam udało się adwokatowi zarazić swoją żonę, a przez nią i króla syfilisem. Zanim to nastąpi i Franciszek I wykituje od komplikacji syfilitycznych, będą w jego życiu coraz to inne „Wielkie Miłości”.

Markiza Chateaubriant, mając czternaście lat, wyszła za mąż za kawalera Jana de Laval de Chateaubriant z Bretanii, który, zazdrosny o młodą żonę, dosłownie więził ją w swej prowincji, nie pozwalając uczęszczać na festyny, bale i maskarady. Młoda dama, piękna i zgrabna jak Wenus, o dużych, niebieskich oczach i boskich kształtach, była wyłącznie przeznaczona na własność dla swego męża i gnuśniała na prowincji. Nie protestowała, biedaczka, uważała, że tak właśnie powinno być, ponieważ nigdy nie miała innego mężczyzny i nie wiedziała jeszcze, że może być inna miłość, gdy kobieta nie jest niewolnicą w łóżku, a jest jego władczynią, jak u króla Franciszka I. A król w tym czasie już nasycił swoją chuć z pewną damą, która mieszkała wraz z mężem w domu przylegającym do miejscowego klasztoru. Franciszek I kazał wydłubać w ścianie klasztoru otwór i połączyć klasztor podziemnym korytarzem z pokojami damy. Drzwi korytarza wychodziły do jej szafy. Każdego wieczoru Franciszek I w przebraniu mnicha, naciągnawszy kaptur na głowę, modlił się w kącie klasztornej kaplicy, potem prześlizgiwał się przez otwór i trafiał podziemnym przejściem do szafy tej damy. Umownie stukał, dama mu otwierała i Franciszek I z upojeniem i szyderstwem uprawiał miłość z damą, bawiąc się tym, w jaki

pomysłowy i chytry sposób nastawia rogi mężowi, który niczego nie podejrzewając, grał zwykle wieczorami w karty. Wkrótce jednak dama znudziła się Franciszkowi I, począł szukać sobie kolejnej kochanki, która byłaby bardzo ładna lecz nieuległa i twarda, bowiem zdobycie kobiety po długim oblężeniu pobudzało jego zmysły, przecież już starożytny Ksenofont powiedział: „Miłość nie żywi tęsknoty za czymś, co jest pod ręką, lecz za przedmiotem swej nadziei”.

Dowiedział się Franciszek I, że na prowincji, w Bretanii, jego poddany, markiz de Chateaubriant, trzyma prawie w zamknięciu piękną żonę Franciszkę. Wzywa brata Franciszki, Odeta de Foix, który służył na jego dworze, i mówi mu: „Mój dwór jest ogrodem, w którym kwitną wszystkie piękności. W Bretanii mieszka twoja siostra nieprzeciętnej urody, czemu nie jest jeszcze ozdobą mojego dworu?”. Biedny Odet zaczął coś tam mamrotać o zazdrosnym mężu swej siostry.

Król mu przerwał i niedwuznacznie dał do zrozumienia, co bywa z tymi, którzy nie słuchając jego rozkazów, trzymają z dala od dworu swe piękne żony. Odet pisze list do męża Franciszki z prośbą, aby przybyli na dwór królewski, bo jego kariera, a może nawet i żywot są zagrożone. Lecz markiz Chateaubriant, pełen nierozumnej zazdrości, jedzie na królewski dwór sam, srogo nakazując żonie, żeby czekała na jego znak. Pokazuje jej dwa identyczne pierścienie. Jeśli wyśle jej swój pierścień, wtedy ma przyjechać do niego, jeśli zaś tylko pod naciskiem króla napisze list, żeby przyjechała, ma nie przyjeżdżać. Wkłada na palec żony pierścień identyczny z jego pierścieniem, całuje ją czule w policzek i umyka w siną dal, a raczej na dwór Franciszka I. Gdy Franciszek I zobaczył, że jego poddany ośmielił się przyjechać bez swej pięknej żony, bardzo się pogniewał, niemiła to była rozmowa markiza z królem. „Gdzie pańska żona? Dlaczego pan przyjechał bez niej?” „Hrabina mocno zachorowała, niestety” – wymamrotał przestraszony hrabia, świadom tego, jak ostro król rozprawia się z

mężami, którzy nie ulegają jego pokusom i chronią swe żony. Król parsknął gniewnie i odwrócił się od hrabiego plecami. A potem... Sługa hrabiego Chateaubrianta, który rozmowę hrabiego z żoną podsłuchał pod drzwiami, za sowitą zapłatę zdradził sekret małżonków. Franciszek I wydał rozkaz kamerdynerowi, aby przywołał jubilera, zdjął pierścień z palca hrabiego, upojonego do nieprzytomności winem, i sporządził identyczny pierścień. Po czym pędzi królewski posłaniec z podrobionym pierścieniem do Bretanii i przywozi Franciszkę Chateaubriant na królewski dwór. Mąż Franciszki omal nie zwariował, kiedy dowiedział się, że żona złamała jego rozkaz. Lecz gdy zobaczył identyczny jak u niego pierścień, zrozumiał, że ma do czynienia z bardzo przebiegłym przeciwnikiem, z samym królem, którego nie powstrzymają żadne trudności. Zrozumiał, że lepiej ustąpić, niż narażać swe życie i karierę na niebezpieczeństwo.

Słowem, Drogą Czytelniku, nader zazdrosny mąż musiał swą zazdrość schować do kieszeni i obserwować z pokorą, jak król uwodzi jego żonę, która na Franciszku I zrobiła piorunujące wrażenie. On już o niczym innym nie marzy, tylko o tym, żeby uczynić ją swoją metresą. Nie mając już siły, aby znosić te katusze, hrabia Chateaubriant odjeżdża do swej Bretanii, pewien, że żona niedługo utrzyma swoją cnotę przy tak natarczywym królewskim oblężeniu. Franciszek I jest śmiertelnie zakochany we Franciszce Chateaubriant. To ona jest teraz królową pałacu i muzą króla. Dla niej poeci układają wiersze, a trubadurzy pieśni, sławiąc jej nadzwyczajną piękność i wdzięk. A ona jeszcze marudzi, jeszcze się nie spieszy, jeszcze nie zamierza oddawać się królowi, rozpalając go do białego wrzenia. Nepotyzm nie jest obcy przebiegłej Franciszce. Natychmiast wykorzystwała uczucie do niej króla: jej brat otrzymał na potrzeby swej armii 50 000 liwrów, wyruszył na wyprawę wojenną na czele wojska dobrze wyekwipowanego, w ładnych mundurach. Co prawda bitwę przegrał, ratując się ucieczką. Doznawszy poniżenia w swej

alkowie od męża, Franciszka robi wszystko, żeby teraz w niej dominować. Król jest jej niewolnikiem. Robi z nim, co chce. A on nawet stał się nieśmiały w obliczu Franciszki. Jąkać się zaczął. Codziennie Franciszka dostaje od króla drogie prezenty, całe garście drogocennych brylantów. Bierze je chętna, swoją miłością obdarowuje króla z umiarem, niczym na receptę. Po kropelce ją wydziela, żeby nie objadł się zanadto, tylko wiecznie chodził w seksualnym niedosycie. Wiedziała ta kobieta, jak należy postępować z mężczyznami, nawet jeśli tym mężczyzną jest król. Nie podlizywała się, specjalnie czci mu nie okazywała, trzymała się dumnie, hardo i wygrywała. Zaczęła nawet wpływać na bieg spraw państwowych.

Bardzo długo Franciszka Chateaubriant odciągała chwilę fizycznego zbliżenia z królem. „PrzedSIONEK” swego upadku oblekała nie w czyny, a w słowa. Faszzerowała króla teorią miłości starożytniej, naczytała się w swej prowincji Kamasutry, japońskiego sintoizmu i chińskiego taoizmu. Pomieszały się jej w głowie te nauki i sprowadziła wszystko do teorii erotycznego masażu. Januszu Kawryżko, pomóż nam odtworzyć tę scenę alkowianą w wydaniu Franciszki i króla: „W sukni z dużym dekoltem, obwieszona jak choinka brylantami (podarki króla), siedzi Franciszka na kolanach Jego Wysokości, rozczesuje palcami jego brodę i faszzeruje ociekającego chucią króla teorią masażu erotycznego. «O, mój królu, mój ukochany i jedyny, jakiego rodzaju masażu byś sobie życzył jako miłosną grę wstępna, którą nam rekomenduje Kamasutra? Może mam zastosować francuski? (ustami), a może hiszpański (biustem), a może tajlandzki (wykonuje się całym ciałem). A może, mój królu, wolałbyś masaż indonezyjski, połączony z francuskim i tajlandzkim?» Król wolał zwykłe pieprzenie się i najlepiej bez żadnego masażu. Franciszka kontynuuje: «Uważam, że lepiej zastosujemy masaż malajski, dokonuje się go nogami i pośladkami, i w ogóle wszystkimi częściami ciała, czym się da, nawet nosem». Król się chmurzy,

jeszcze trochę tej erotycznej lekcji, a popłynie mu w portkach bez żadnego masażu. Kobieta go roznamiętnia do białego wrzenia, a swej cipy nadal nie daje. Król chętnie, bez żadnego masażu, zastosowałby malajską metodę: szarpał i drapał tę bezwstydnicę, która tak pozwala sobie seksualnie męczyć swego króla. «Powalę ją i wypieprzę w czorty, bez zastosowania żadnego masażu» – miga w głowie króla zdrożna myśl. Ile można ociągać się ze swym upadkiem? Zazdrosnego męża już dawno nie ma, siedzi w swej Bretanii, posiadłości i brylantów Franciszka sporo wyciągnęła od króla, a morzy go głodem seksualnym i nie kwapi się ze swym upadkiem. Czy ładnie tak z królem postępować?».

Och, wy biedni królowie erotomani, tak zależni od własnej chuci do konkretnej kobiety. Kilka dziesiątków lat później tak samo będzie dławić się biskoptami Henryk IV, którego kochanka, zainkasowawszy 10 000 franków, morzyła króla obietnicami, a zamiast seksu częstowała herbatką z ciasteczkami. Henryk IV wziął kusicielkę siłą, lecz Franciszek I jest dżentelmenem, fizyczna przemoc w rachubę nie wchodziła, na siłę kobiet nigdy nie brał. Adorował żmudnie, obsypywał prezentami, aż wreszcie zdobywał. Jego zasadą przecież było hasło: „Kobieta jest fascynującym klejnotem, a nie rzeczą, którą można wziąć”. Lecz Franciszka Chateaubriant nieco przesadziła z długim zwodzeniem króla, on przecież doskonale wiedział, kiedy kobiecie „nie” oznacza „tak”. Wkrótce odbył się fizyczny stosunek, który silnie rozczarował Franciszkę. Nie wiadomo, jakich nieziemskich rozkoszy oczekiwała od Franciszka I. Niezaspokojona seksualnie Chateaubriant zaczęła brać sobie kochanków. Po dworze rozpełzły się plotki: „Dziś ona śpi z królem, jutro z admirałem Bonnivetem, a pojutrze do jej sypialni w nocy skrada się konstabl de Bourbon”.

Admirał Bonnivet był małym klejnotem na dworze Franciszka I. Siostra króla, Małgorzata Nawarska, w swym znamienitym „Heptameronie” tak go charakteryzuje: „Admirał Bonnivet jest śmiały i mądry i mało który z mężczyzn w jego wieku mógłby go

w tym prześcignąć”. Widocznie sprawność seksualną miała na uwadze pisarka, obsypując dytyrambami admirała. Nie było na dworze bardziej od niego rozpustnego i pozbawionego skrupułów kawalera. Admirał ośmielił się rywalizować z samym królem! Wymagało to nie lada odwagi. Pewnego razu admirał i Franciszka zajmowali się miłością, gdy nadleciała służka hrabiny i poinformowała ją, że do niej podąża król. Franciszka biegnęła po pokoju w popłochu, nie wiedząc, gdzie ma schować swego kawalera. Nie znalazłszy nic godnego, żadnego potajemnego miejsca, wsunęła admirała do kominka, w którym przecież w lecie się nie pali. Ten epizod będą opisywać aż dwaj autorzy: Brantôme i Pierre de Lano. „Faworyta szybko i zręcznie usunęła wszelkie ślady bytności admirała w jej pokoju, po czym uśmiechnięta i spokojna przyjęła monarchę. Była nieco zdziwiona, gdy król zaczął w pewnym momencie podczas kolacji rzucać do kominka resztki jedzenia, czego dawniej nigdy nie czynił. Wylewał wino, ciskał skórki owoców, kości kurcząt, wszystko to lawiną spadało na nieszczęsnego admirała, skulonego w kominku. Na tym nie koniec. Gdy już odbył król z Franciszką miłosny stosunek, podszedł do kominka i używając go niby nocniczka, nasikał tam”. Guliwer w podobnej sytuacji utopiłby tam tłum liliputów, rywal zaś został tylko solidnie opryskany. Guy Breton, angielski pisarz o erotycznym posmaku, dodaje od siebie: „Kilka kropli trafiło mu do ust”. Och, te zemsty królów! Obrzucają błotem rywali, a na dodatek jeszcze i obsikają...

Mijały lata i Franciszka Chateaubriant wreszcie znudziła się Franciszkowi I. Należał przecież do tych królów, którzy lubią szybko i często zmieniać faworyty. Na jego erotycznym horyzoncie pojawiła się błyszcząca, wykształcona, piękna Anna de Etamps. Zaniedbywana Franciszka nie potrafi nic uczynić, aby odwrócić brak zainteresowania nią króla. Stała się jeszcze piękniejszą, niż była, ale już nie dla króla. On teraz nie zwraca na nią uwagi, druga faworyta króluje w jego sercu i państwie. Anna,

wiedząc, że król gotów jest zaspokoić każdy jej kaprys, zażądała, ni mniej, ni więcej, tylko żeby król zabrał pani Chateaubriant wszystkie klejnoty, które jej kiedyś w przypiływie czułości i emocji podarował. „Ponosiła i starczy. Ja teraz będę je nosić” – oświadczyła Anna. Królowi jest wstyd z powrotem podarki zabierać. Lecz pomny, że historia zna takie przykłady... Jeden z nich to Henryk VIII, który na żądanie swej kochanki Anny Boleyn (późniejszej żony) zabrał perły od swej pierwszej żony, Katarzyny Aragońskiej. Ta, zdenerwowana, perły ze swej szyi zerwała i cisnęła królowi w twarz, aż sznur się rozsypał. Gruby król musiał na czworakach perełki z podłogi zbierać zadyszany. Chateaubriant tak ekstremalnie nie zareagowała. Usłyszawszy prośbę króla, spokojnie oświadczyła: „Rozumiem rozkaz Waszej Królewskiej Mości. Tylko pozwólcie mi jeszcze trzy dni oko nimi nasycić i nostalgii się oddać. Wszakże od ukochanego króla był to prezent”. Król pozwolił. A Franciszka woła jubilera i każe mu wszystkie klejnoty przetopić. I oto brylanty, szmaragdy, rubiny i szafiry w złotych i srebrnych oprawach przeobraziły się w jedną wielką kulę z kawałeczkami węgla. Za trzy dni Chateaubriant tę nieużyteczną kulę wręczyła posłańcowi króla z takim oto szyderczym komentarzem: „Niech teraz nosi biedaczka Anna de Etamps te precjoza”. Wściekła Anna prosi króla, aby zuchwałą rywalkę do Bastylii wrzucić, lecz król był mądrym człowiekiem, na dodatek z poczuciem humoru. Docenił nader humorystyczny i desperacki postępek swej ekskochanki.

Odtąd odtrącona Chateaubriant ma dwa wyjścia: albo iść do klasztoru, przetartą drogą wszystkich odtrąconych kochanek króla, albo... aż strach pomyśleć, wracać do męża do Bretanii. Wybrała to drugie i z niejakim zażenowaniem i lękiem zapukała do drzwi mężowskiej posiadłości. I co za cud, co za szlachetny ten pan Chateaubriant! On wita serdecznie zawstydzoną żonę. Jego kamerdyner ze świecą pozdrawia marnotrawną małżonkę hrabiego i przekazuje jej słowa męża, że oczekiwał z

niecierpliwością i nadzieją na powrót swej ukochanej małżonki. Po czym wprowadzają hrabinę do jej byłej sypialni i szybko zamykają za nią drzwi. Gdy zdziwiona Franciszka nieco ochłonęła i obejrzała się dookoła, zrozumiała, że znalazła się w więzieniu. W oknach grube kraty, a wszystkie ściany komnaty są obite czarną materią. Ciemno i wilgotno, bo nie napalono w kominku, nawet, jak w prawdziwym lochu, szczury po kamiennej posadzce komnaty biegają. Uwięził Chateaubriant swoją niewierną małżonkę i przystąpił do realizacji aktu zemsty. Jeść jej dawano bardzo mało, tylko kawałek chleba i dzban wody, sypiać musiała na słomie, a co wieczór przychodziło dwóch lekarzy, aby puszczać jej krew.

Pamiętasz, Drogi Czytelniku, tę okropną, mrozącą krew w żyłach scenę, opisaną przez markiza de Sade'a w powieści „Justyna”, jak to mąż codziennie puszczał krew swej małżonce. U niego była taka mania seksualna; nie mógł mieć orgazmu bez widoku wypuszczanej krwi małżonki. Przygotuj się, Drogi Czytelniku, teraz będzie STRASZNIE.

„Uniosłam sukienkę mojej pani i nagą przyprowadziłam do męża, który zajął już miejsce w wielkim fotelu. Zgodnie z ceremoniałem, wspięła się na fotel i nadstawiła panu de Germande ulubioną przez niego część ciała. «Wypnij się, pani» – rzekł twardo hrabia do żony. I długo adorował to, co pragnął ujrzeć, żądając, by przyjmowała najrozmaitsze pozycje. Rozwierał i ścieśniał, końcem palca albo językiem pieścił okolice zagłębienia. Wkrótce rozpalony okrucieństwem swej namiętności chwycił kawałek ciała, ścisnął go i naciął. Po utworzeniu się małej ranki natychmiast przywarł do niej ustami. Podczas tych krwiożerczych zabiegów, ja podtrzymywałam nieszczęsną ofiarę, a zupełnie nadzy chłopcy zajmowali się nim na przemian. Klęcząc pomiędzy jego udami, jeden po drugim pobudzali go ustami. Właśnie wtedy spostrzegłam, nie bez wielkiego zdziwienia, że ten olbrzym, ten swego rodzaju potwór, którego sam wygląd przerażał, faktycznie z ledwością był mężczyzną. Przy tak masywnym i potężnym



cielsku ów osobnik dysponował najmniejszym, najbardziej niepokąźnym kutasikiem. Jeśli użyć odpowiedniego porównania, to coś takiego można by zobaczyć jedynie u trzyletniego dziecka. Na rozkaz de Gernande rozciągnęłam hrabinę na długim krześle, kładąc ją na plecach i możliwie jak najbardziej rozszerzając uda. To, co ukazało się wówczas, wprawiło hrabiego we wściekłość: przypatrywał się, jego wzrok płonął, bluźnił. Rzucił się jak szalenciec na swoją żonę i w pięciu lub sześciu miejscach przekłuł jej ciało lancetem” (markiz de Sade, „Justyna, czyli nieszczęścia cnoty”).

Po wykrwawieniu żony Gernande jej nie zabił. Inaczej postąpił okrutny Chateaubriant: on wypuścił z żony całą krew.

Nieubłagany i zimny jak gład Chateaubriant, płonący tylko jednym uczuciem, uczuciem zemsty, więził swoją małżonkę przez dziesięć miesięcy. Od czasu do czasu podchodził pod jej drzwi i szdydził: „Męczysz się, kochanie? No i gdzie twój kochanek król? Czemu nie przyjdzie i nie wyzwoli ciebie? A gdzie są twoi liczni kochankowie? Zapomnieli o tobie? Czy warto było męża zdradzać?”. Ten sadysta-mściciel jak najśłodszej muzyki słuchał błagania hrabiny, żeby zlitował się nad nią. Odpowiedź była ta sama: „A ty litowałeś się nade mną, gdy ja skręcałem się dosłownie z bólu od twego cudzołóstwa?”. Okrutny ten człowiek (z takich właśnie potworów markiz de Sade czerpał charakterystyki swoich bohaterów) po upływie dziesięciu miesięcy przyszedł z sześcioma zamaskowanymi drabami i dwoma lekarzami do jej celi i spojrzawszy na skulony w kącie, umierający szkielet, w który przeobraziła się jego żona, niedbale rzucił oprawcom: „Zaczynajcie, czyńcie to, co wam rozkazałem”. Natychmiast sześciu drabów pochwyciło hrabinę Chateaubriant, dwóch lekarzy otworzyło jej żyły i wypuściło z niej całą krew. Podczas tego okrutnego konania żony mąż stał obok, a na jego twarzy malowała się złośliwa satysfakcja: nareszcie zemścił się na niewiernej żonie. Wypada nam tylko zakończyć konkluzją

Puszkina: „Jaka by nie była wina, okrutne było uśmiercanie”.

Synowa Franciszka I, Katarzyna Medycejska, bardzo lubiła swego teścia za dworskość, za poczucie humoru, za to, że, jak to się mówi, sam żył i pozwalał żyć innym. Jego dwór, mimo iż zarażony syfilisem, był wesoły, swawolny, bez sztywnej pałacowej etykiety, bez rygorów. Uwielbiał wybaczać swym poddanym, nawet jeśli ich swawole nosiły posmak złego gustu. Brantôme, dobrze znający dwór Franciszka I, przytacza w swych „Żywotach pań swawolnych” taką oto historyjkę dworską: „Inne kobiety w upojnym momencie swego życia oczy jak nieboszczycy zamykają i załamując głowy, zastygają w nieruchomości. A u innych ciało wyciąga się, krew stygnie, wszystkie członki kamienieją, jakby ogarnął je atak podagry. A jedna niewiasta nawet za nic w świecie nie mogła przyjść do siebie. Dama ta oddawała się kawalerowi w dwuznacznych warunkach na królewskim korytarzu, na skrzyni, a gdy nastąpił kulminacyjny akt, ześlizgnęła się i wpadła pomiędzy skrzynię a ścianę i zaplątała się na dodatek w draperii. Gołe jej nogi sterczały zza skrzyni do góry. Kawaler ze zdenerwowania w żaden sposób nie mógł jej wyswobodzić, a na korytarz tymczasem wleciała szumna zgraja i zobaczyła szacowną damę, dobrze w tych sferach znaną, której zadarte do góry nogi przypominały rozdwojone drzewo. Ponieważ kawaler już zdążył zapiąć rozporek, począł sprawiać wrażenie, iż o niczym nie wie i dopiero co tu przybył. Dama, która się rozgniewała, że sama jedna musi ponieść odpowiedzialność za nierząd i nieobyczajną pozycję swego ciała, którego nie okrywały pantalone, wydołała się spod skrzyni i, podając kawalerowi swe pantalone, roztropnie powiedziała: «Włoży mi pan tak samo sprawnie, jak wcześniej je zdjął?»”.

„Odwaga i śmiałość miasta zdobywają” – słusznie mówi przysłowie. Franciszek I pośmiał się z powodu tego zabawnego zdarzenia, żadnej nagany damie nie udzielając..

## **Miłości i wielkie miłości Henryka IV**

*Gdyby nie jego miłości, jakim wielkim królem byłby ten monarcha.*

(R. Ambelen)

Temat łóżkowych romansów królów od dawna ciekawił ludzkość. Na pozór wydawało się, iż wielcy władcy i miłość uprawiali WIELKĄ, że rozgrywały się tam dantejskie sceny i królowały nieziemskie uczucia, targane boskimi namiętnościami, a na małżeńskim łożu rozgrywała się walka dwóch niedźwiedzi. Kto myśli, że tam, w królewskich alkowach, jest CIEKAWIE, ten się myli z kretesem. Nudy tam na pudy, jak u zwykłego obywatela w jego mieszczańskim domu, nawet jeszcze nudniej, bowiem królowie chadzali do alków żon wyłącznie w celach prokreacji. Przyjemność seksualną ofiarowali kurtyzanom i metresom. To one doprowadzały królów do szału, burzyły bieg historii, stawały się przyczyną dramatów, krwawych tragedii, sprzyjały wybuchom wojen. Alkova królewska jest wielofunkcyjna, różnorodna, tym trudniejsze jest nasze zadanie, aby dokonać klasyfikacji tego złożonego i jakże interesującego zjawiska.

Król w łóżku, jaki on? Odpowiemy: „Zwyczajny”. „Jaki król, takie i łóżko”. U Henryka IV francuskiego, bezprzykładnego erotomana, mającego według nieprecyzyjnych obliczeń biografów od pięćdziesięciu sześciu do dwóch tysięcy kochanek, alkova była BURZLIWA.

W tej alkowie bezwzględnie rządzi kobieta. I to nie żona, a właśnie kochanka. Henryk IV miał dwie żony. Pierwsza z nich to królowa Margot, słynna nimfomanka, córka Katarzyny Medycejskiej i Henryka II, druga to Maria Medycejska, florentynka, siostrzenica papieża Klemensa VIII. Dwie żony do niczego. Jedna łajdaczka nieprzeciętna – beczelnie nosi na pasku

wokół bioder blaszane pudełeczka, a w nich zasuszone serca swych kochanków. Po nocach wymyka się z małżeńskiego łóżka, żeby na cmentarzu wykraść głowę swego zabitego kochanka i solennie ją opłakać na swych kolanach. Grzeje rączki na piersiach sług, i nie zawsze są to kobiety. Z namaszczeniem przyjmuje porody mężowskich kochanek, które bardzo lubiły rodzić mu nieślubne dzieci.

Był Henryk IV dobrym ojcem. Bastardów jak szczenięta w Sekwanie nie topił, wybudował im ogromny pałac, otoczony dużym parkiem, kazał wszystkim razem bawić się w piaskownicy. Owszem, czternaścioro nieślubnych dzieci Henryka IV stanowiło zgodną gromadkę świadcząca o zrozumieniu dla demokratycznych zasad równości. Z rzadka tylko przyszły Ludwik XIII, lepiąc piaskowe babeczki, oznajmił swemu przyrodniemu rodzeństwu, żeby nie zapominało, kto jest kto: „E, wy nieprawdziwe, nie z brzuszka mojej mamy”. Mama, to naturalnie druga żona Henryka IV, Maria Medycejska. Brudnawa i otyła. Rubens głowił się, jakby tu zgrabniej i powabniej jej wizerunek na ściennych polichromiach ująć, żeby nie straszyla ludzi swą ogromną, nawet monstrualną tuszą i pospolitym, mimo drogich sukienek i biżuterii, wyglądem. Nie zawsze mu się to udawało. Ze ścian Luwru nachalnie patrzyła kupczycha. Była kłótliwa i pyskata. I nie wiercie, Drodzy Czytelnicy, takiej oto modnej pisarce, Wiktorii Holt, która nam przedstawiła Marię Medycejską jako niewinną dziewczeczkę, z seksem nieobytą, która trzy dni niby płakała po nocy poślubnej, oburzona ordynarnością tego seksualnego aktu.

Triumfalny hymn sławy i zwycięstwa zepsuł Henryk IV swymi miłosnymi związkami. Był wiecznie pod pantoflem kobiet, które kręciły królem jak swym wachlarzem, zdradzały go wciąż, okłamywały, nawet gdy przysięgały mu wielką miłość, zawiązywały spiski przeciwko niemu, a wszystko dlatego, że był galantem, kobiety uwielbiał i niczego nie mógł im odmówić. Zginał, nie dośpiewawszy ani pieśni sławy, ani swojej pieśni

miłosnej. Zginął od noża fanatyka-szaleńca, jadąc ze swym nieślubnym synem Cezarem, przejawiającym homoseksualne skłonności, na antygejowską kurację do prostytutki Pauliny. Ta droga dziwka czyniła cuda w leczeniu homoseksualistów swym boskim ciałem. Kuracja, niestety, nie została zakończona. Cezar, książę de Vendôme, swój homoseksualny pociąg zachował na całe życie. Będąc w czasach Ludwika XIV dowódcą armii, gwałcił swych oficerów. Król musiał mu to darować w imię obecnych i przyszłych zwycięstw francuskiego oręża pod sztandarem tego utalentowanego wodza.

Henryk IV – niezwykle sympatyczna osobowość jako człowiek, niezwykle utalentowany jako król, co pokazał, kiedy trzeba było lawirować w złożonym labiryncie dwóch antagonistycznych prądów, między protestantami i katolikami, niezwykle jako kochanek... Henryk IV to postać złożona, skomplikowana, nie można go mierzyć zwykłą miarką. Wśród trzydziestu dwóch królów angielskich i prawie czterdziestu francuskich na pierwszym miejscu stawiam właśnie Henryka IV. Życie seksualne zaczął wczesnie, jeszcze będąc trzynastoletnim chłopcem, wrywając się spod kurateli matki królowej Nawarry Joanny, prawiącej mu srogie morały, trafił w objęcia skromnej, trzynastoletniej, aczkolwiek seksualnie rozwiniętej dziewczynki, Floretty, córki ogrodnika. Floretta była pierwszą kochanką Henryka IV. Pociąg Henryka IV do seksu wciąż wzrastał. Doszło do tego, że żadnej spódnicy Henryk IV nie przepuści, może zostawić każdą sprawę, jeśli w pobliżu pojawi się niewiasta. Nazywano go nie tylko erotomanem, lecz jak i Rasputin był człowiekiem objętym manią satyriasisa. W słowniku wyrazów obcych czytamy: „satyriasis – od nazwy bożka Satyrosa, chorobliwie wzmożony popęd płciowy u mężczyzn”.

Czy nie za bardzo rozpędzili się biografowie i historycy w porównaniu Henryka IV do Satyrosa, tego podejrzanego wielce zboczeńca-bożka, o koźlich uszach i niepomiernym fallusie,

pozostającym w ciągłej erekcji?

„Nie pomylili się” – oświadczył wielki Aleksander Dumas i tak oto pisał w swym nieśmiertelnym dziele o Henryku IV: „A spójrzcie na niego, istny samiec. Więcej niż samiec, to istny satyr. Spójrzcie tylko na jego profil. I jeśli nogi u niego nie koźle, to aromat dolatujący od niego czysto koźli”. Bieda z tym aromatem Henryka IV. Dziad wychowywał go twardo, po spartańsku, rzadko kąpał, we wszystkim ograniczał. Obuwia żadnego, niech chłopak łązi po skałach bosy, jedzenie – kawałek chleba, kęs wołowiny, owczy ser, ząbek czosnku. Nauczył go chadzać. Henryk IV był wspaniałym piechurem. Gdy został królem, nie mógł usiedzieć na jednym miejscu. Z ministrami i zagranicznymi posłami nigdy nie rozmawiał, siedząc na tronie z berłem w ręku, ciągle biegał po pokoju z kąta w kąt. A jeśli chodzi o zapach to jak ma dobrze pachnieć, skoro już chwilę po urodzeniu dziad posmarował mu usteczka czosnkiem i na zawsze przykleił się do niego ten czosnkowo-potowy aromat. Zapach ten sam Henryk IV nazywał „męskim” i dumnie mówił: „To u mnie od dziada”. Jego dwie żony chodziły z nim sypiać, przykładając do nosa chusteczkę nasączoną perfumami. Prawie nigdy się nie mył, wyjątek zrobił w bardzo późnym wieku, gdy on, pięćdziesięciosześcioletni król, zakochał się w szesnastolatce. W jego łóżu zawsze królowała Jej Wysokość Miłość. Miłość z dużej litery, w każdym razie tak wydawało się Henrykowi IV. Mażeńskich uczuć on nie lubił. Istniał drobny seks i istniała wielka miłość. Miłość namiętna, gorąca jak rozżarzona lawa i dlatego, Drogi Czytelniku, niejako ze zdumieniem czytamy takie oto określenie Tallemana de Rio: „Henryk IV miał wielką liczbę kochanek, lecz w łóżku był do niczego i dlatego zawsze nosił rogi”. I to o wielkim kochanku, satyrze, który każdą ważną sprawę zostawi, jeśli natrafi mu się seks? W czym rzecz? Nie jesteśmy seksopatologami, żeby roztrząsać ten problem. Henrietta de Antrang również mówiła: „To kapitan, który chce, lecz nie może”. Co, Henryk IV był impotentem? To byłoby

odkrycie o międzynarodowej sławie. Legenda seksu jest impotentem? Lecz i tę zagadkę odgadliśmy, Drogi Czytelniku. Słowa Henrietty i de Rio odnoszą się do tego okresu, kiedy Henryk IV chorował – miał guza na genitaliach. W dwóch słowach o nadzwyczajnym seksualizmie Henryka IV opowiedzieć nie sposób. Przekartkowane zostały setki stron dokumentów, przeczytane dziesiątki monografii – wywód sam się nasuwa: z seksualnością u Henryka IV było wszystko w porządku, po prostu dla rozpustnych wyrafinowanych kobiet dworu Katarzyny Medycejskiej niesmacznym był czysty seks w jego pierwotnym stanie, im trzeba było podawać pikantne danie długiej adoracji, niedomówień, dwuznaczności, wyrafinowanych gier miłosnych, zanim jak spartańską kobyłę samiec powali ją do łóżka i jak byk o czerwonych oczach, rozjątrzony, zacznie ją przetykać na przełaj, do końca.

Seks, z małymi wyjątkami, lubili wszyscy królowie. Wyjątki stanowili impotenci, homoseksualiści, albo ci z defektem organu płciowego. Dla erotomana, to znaczy człowieka ogarniętego manią fizycznej żądz, defekt na organie płciowym oznaczał koniec świata. Koniec jego przygód miłosnych, bez których erotoman żyć nie może. Seks stawał się dla niego swoistym narkotykiem, bez codziennej „działki” pieprzenia się on dosłownie konał. Tacy królowie erotomani czuli się nieszczęśliwymi, wpadali w depresję, w czarną melancholię, jak wtedy nazywano tę psychiczną dolegliwość. Można sobie wyobrazić, Drogi Czytelniku, jaki popłoch ogarnął Henryka IV, kiedy pewnego dnia ujrzał na swym organie płciowym ogromny guz, nie wiadomo dlaczego tak niefortunnie umiejscowiony. Jego pojawienie się wywołało wielką radość pałacowych dam, które ten męski powab dostrzegany z całą wyrazistością przez cienkie białe obcisłe pantalone, interpretowały jako ciągłą erekcję królewskiego członka, gotowego do eksploatacji ich nieodparty wdzięków.

Dwóch władców miało guzy na genitaliach: starożytny

rzymski cesarz Kommodus i właśnie Henryk IV. Lekarze Henryka IV zastanawiali się, jak leczyć tę dolegliwość na tle choroby wenerycznej, która uniemożliwiała królowi uprawianie seksu. Skarcili króla za jego szlajanie się z byle kim, nie wyłączając aktoreczek, prostytutek i skromnej mniszki Werdun, która podczas oblężenia przez Henryka IV Paryża zaraziła go syfilisem. Lekarze umordowali się leczeniem tych notorycznych wenerycznych chorób Henryka IV. Dopiero co wyleczą go z rzeżączki, a on już na kiłę choruje. Kuracja jest ciężka, bo penicyliny przecież jeszcze nie wymyślono, rtęciowe preparaty są w stadium zarodkowym, kwas mrówkowy nie zawsze pomagał. Musiał biedny Henryk IV wylegiwać się w jednym łóżku z trędowatymi (jedna choroba likwidowała drugą), a to, zgódźcie się, mało przyjemna procedura.

Biografowie zajmujący się życiorysem Henryka IV wzięli się za obliczenia liczby kochanek Henryka IV. Zgody między nimi nie było. Jedni naliczyli ich nawet do dwóch tysięcy sztuk (nie na próżno miał opinię największego erotomana świata, obok Napoleona Bonapartego, Rasputina, Napoleona III i Franciszka I francuskiego). Sumienny rosyjski historyk, Konrad Birkin, kilka lat szperał po archiwach, żeby dokładnie obliczyć liczbę kochanek Henryka IV. Wszystkie je opisał, jak było ponumerował i skatalogował, i wyszło Ci ledwie nieszczęsne pięćdziesiąt sześć sztuk. Wstydzilibyś się, królu! Wiele szumu i nic! Wstydzilibyś się, Henryku IV, tak rozczarować biografów. Nabyłeś miano największego erotomana w świecie i wszystkiego co... ledwie pięćdziesiąt sześć kochanek? Co za hańba! Żeby nie zanudzać czytelnika ich opisem w chronologicznej sekwencji, uczynimy to wybiórczo, opiszemy najważniejsze, naszym zdaniem, kochanki Henryka IV, które mają swe miejsce w historii i nawet w znacznym stopniu wpłynęły na jej losy, chociaż nauka marksizmu-leninizmu nas uczy, iż jednostka nie gra żadnej roli w historii. Gra i jeszcze jak, a kobiety w życiu Henryka IV zawsze



odgrywały znaczącą rolę w losach Francji. Pomińmy zatem nastoletnią córkę ogrodnika, którą nastoletni chłopiec, przyszły Henryk IV, zgwałcił, utraciwszy jednocześnie własne dziewictwo i jeszcze parę innych. Odtąd Henryk IV strasznie polubił seks, tak że wydawało się, że dnia nie mógł bez niego przeżyć.

## Piękna Koryzanda

To eufemizm, naturalnie, bo Koryzanda w rzeczywistości była brzydka. To danina uprzejmości rycerza Henryka IV wobec damy swego serca. Okrywał ją, zamiast kołdrą, sztandarami nieprzyjaciela, którego zwyciężał w bojach. Ten hołd musiało dzielić jego wojsko, chórem wiwatujące i wychwalające wdzięki Koryzandy.

Henryk IV zwrócił na nią uwagę, gdy jechała do kościoła w orszaku pysznej, a nawet egzotycznej świty. Ogromna pozłacana karoca, zaprzężona w sześć białych koni, w których grzywy były wplecione drogocenne kamienie. W karocy siedzi piękna (a czytaj brzydka) Koryzanda w rozkosznej szacie, trzymając na kolanach małego karzełka, białego jak albinos, co stanowi rażący kontrast ze stojącym obok Maurem dwumetrowego wzrostu, wygiętym przed nią w ukłonie, jak przed królową.

Tuż obok małpka-szympanś ubrana w liberię (później Henryk IV dowie się, że ten szympans z powodzeniem wykonywał rolę dwórki – naciągał na nóżki hrabiny Gramon – takie było nazwisko Koryzandy – jedwabne pończoszki. Tuż obok w karecie znajduje się oswojony tygrys i ogromny pies w zgodnej komitywie kastrowanych drapieżników. Naturalnie, że mieszkańcy Ferrary otwierali z wrażenia oczy, a Henryk IV zakochał się momentalnie w ich właścicielce. Podobało mu się także jej imię Koryzanda, romantyczne, czułe. Z upojeniem je wymawiał, dodając przymiotnik „piękna”. „Piękna Koryzanda” miała 24 lata, była blondyną, tak samo jasną jak Madonna Rafaela, bogatą i absolutnie bezinteresowną. Była to jedyna kochanka Henryka IV, która nie ciągnęła z niego forsy. Wręcz odwrotnie, widząc, że książę Nawarry jest biedny jak mysz kościelna, za własne pieniądze wykupowała mu wojsko, a gdy pieniędzy zabrakło, z rozbrajającą szczodrością dawała w zastaw własne posiadłości i sprzedawała swoje brylanty, byle żołnierzom Henryka niczego nie

brakowało. Nic więc dziwnego, że wracał do swej Dulcynei po odniesionych zwycięstwach i okrywał ją zdobycznymi sztandarami. Koryzanda była typem wschodniej niewolnicy, czyli miała mentalność kobiety potulnej, łagodnej, pokornej, obdzielającej pochlebstwami swego kochanka. Henryk IV zakochał się w niej śmiertelnie i postanowił pozostawić niekochaną żonę Margot, córkę Katarzyny Medycejskiej, i ożenić się z Koryzandą. Zdradzimy ci tajemnicę, Drogi Czytelniku, ten król był jedyny w swoim rodzaju. Ciągłe proponował swym kochankom ożenek i nawet dawał im pisemne obietnice. Z tego było dużo kłopotów, bo nigdy na poważnie król nie miał zamiaru tego uczynić. Ot, był to taki kaprys chwili, wywołany udanym seksem. Koryzanda nic nie miała przeciwko temu, żeby zostać żoną księcia Nawarry, przyszłego króla Henryka IV. Sully, minister, mądry jak Sokrates, znając zwyczaj swego pryncypała, zakochującego się w każdej napotkanej spódnicy, postawił królowi warunek: trzeba odczekać dwa lata. Jeśli w ciągu dwu lat uczucie Henryka IV nie zgaśnie, wówczas on może poślubić Koryzandę. Ministrowie Henryka IV dobrze znali jego charakter. Nie mógł tak długo kochać tylko jednej kobiety. Na pewno zapłonie miłością do innej. Tak też się stało.

Stosunek Henryka IV do Koryzandy na przestrzeni lat miał różne fazy. Najpierw to były listy pełne miłości, można było na ich podstawie wnioskować, że Koryzanda była dla Henryka IV kochaną i upragnioną kochanką. Zacytujmy jeden list Henryka IV z tego okresu: „Moja wierność i miłość do Ciebie jest bezgraniczna. Kocham Ciebie nad życie i zawsze będę Ci wierny. Możesz zaufać swemu niewolnikowi, on nigdy Ciebie nie zdradzi”.

„Słowa, słowa, słowa” – jak powiedział mądry Hamlet. Około 1589 roku listy Henryka IV do Koryzandy przybierają inny odcień, mniej w nich jest mowy o miłości, więcej o własnych sprawach, kłopotach i planach. Można by rzec, że stają się listami przyjacielskimi. Zupełnie zmienia się ich charakter, gdy książę

Nawarry został królem. Dotąd czerpał materialne korzyści z miłości Koryzandy, teraz nie jest już mu do tego potrzebna. Już może nie być jego faworytką, lecz dobrą i wierną przyjaciółką, z którą można swobodnie podzielić się swymi troskami, nie mieszając do tego spraw seksu. Czy kochance spodobała się taka nowa rola, o to Henryk IV Koryzandy nie pytał, jak każdy erotoman był przecież niepoprawnym egoistą. Koryzanda bardzo smutnie przyjęła tę nową rolę powiernicy Henryka IV. Bardzo to przeżywała, bo naprawdę go kochała. Wpadła w depresję, pogłębianą jeszcze utratą syna, zaczęła mocno tyć, jak to się często zdarza z kobietami w takiej sytuacji. A Henryk IV, mimo iż był brudasem, lubił piękne kobiety, był pod tym względem esteta. Zewnętrznie odrażająca Koryzanda, z czerwoną twarzą, z wysypką na tle nerwowym, już go nie pociągała, znalazł sobie inne, młode i ładne kochanki. Nadal jednak pozostawała jego ulubioną przyjaciółką. Tylko w jej spódnicy mógł się wyplakać, zwłaszcza wtedy, kiedy bardzo pogorszyły się jego stosunki z żoną Margot. Ona nie ukrywała tego, że jest zazdrosna o Koryzandę. W swych pamiętnikach żaliła się, jak to jej mąż z miłości do tej „czerwonogębej” osobki zaniedbuje ją jako żonę. Listy Henryka IV do Koryzandy, w których potępia swoją żonę i nawet życzy jej śmierci, trochę nas peszą, Drogi Czytelniku. Nie podejrzewaliśmy, że ten dobroduszny rogacz może w sobie nosić tyle zła do swej żony. W liście do Koryzandy z 7 listopada 1585 roku Henryk IV nazywa Margot pijanicą, a w liście z 18 maja 1589 roku wręcz życzy jej śmierci: „Nie doczekam czasu, gdy wreszcie zdławią tę nawarrską królową. Gdyby ona wyciągnęła nogi, jak również i jej matka, dziękowałbym Bogu”.

Czym tak dokuczyła Margot swemu mężowi, że aż pragnie jej śmierci? Przecież dotychczas ich wzajemne stosunki były chłodne, lecz poprawne. Każde z nich żyło swoim życiem, miało swoje miłostki. Spotykali się na wspólnych obiadkach i spacerach, sypiali na osobnych łóżkach w jednym pokoju. Wydawało się, że

to całkiem poprawne, można by rzec – małżeństwo naszych czasów.

Margot przyjechała do Paryża 8 marca 1582 roku. Została bardzo chłodno przyjęta przez matkę i brata Henryka III. Katarzyna Medycejska nigdy nie kochała swej córki, a ta bała się jej, pisała w swych wspomnieniach, że od jednego spojrzenia matki doznawała szoku i cała wręcz drętwiała. Jej ulubiony młodszy brat, z którym zresztą do ostatnich dni jego życia utrzymywała seksualne stosunki, był w tym czasie we Flandrii. Margot czuła się bardzo samotnie na dworze innego brata Henryka III i matki. Jej były kochanek, Henryk de Guise, ochłócił w swych uczuciach do niej i miał już inne kochanki. Margot, jego namiętna młodzieńcza miłość, mało go już obchodziła. Henryk III wciąż karmił siostrę za rozpustne prowadzenie się, ona ze swej strony szydziła z brata z powodu jego mignonów – homoseksualnych kochanków. Gniazdem os stał się teraz Luwr, każdy szpiegował i donosił, a rozpusta z udziałem „lotnego szwadronu” Katarzyny Medycejskiej osiągnęła szczyty.

Uczucie osamotnienia u Margot zniknęło, gdy zanurzyła się w wir rozpustnego dworskiego życia. Zaczęła zadawać się nie tylko z arystokratami, lecz także z plebsem. Jej kochankami bywali żołnierze gwardii i pałacowi stajenni. Champrallon, koniuszy Henryka III, został namiętным kochankiem Margot, zaszła z nim w ciążę i urodziła synka Angela, którego oddała na wychowanie rzemieślniczej rodzinie. Zobaczy go dopiero po upływie dwunastu lat. „Życzliwi” postarali się o to, żeby Henryk III dowiedział się o seksualnych ekscesach swej siostry. Zrobił Margot okropną scenę, i to publicznie, na balu w dniu 7 marca 1583 roku. Wiadomość o awanturze w królewskiej rodzinie dotarła nawet do dworu wiedeńskiego. Margot została zmuszona do wyjazdu z Paryża, bowiem brat nie pozwolił jej dalej przebywać w Luwrze. Zrozpaczona matka pisała do Margot, żeby pogodziła się z bratem, okazała pokorę i posłuszeństwo. Nie usłuchała, tym

bardziej że w drodze do Ferrary, gdzie przebywał jej mąż, bagaż Margot został bezczelnie zrewidowany przez żołnierzy Henryka III, którzy nie licząc się z Jej Królewską Mością, bezceremonialnie wyrzucili ją z karocy, a rozmawiając z nią, nie zdjęli kapeluszy.

Henryk IV nie był rad z przyjazdu żony. Czuł nieodpartą niechęć do spełniania swych małżeńskich obowiązków. Margot już nie śpi z mężem. W swych wspomnieniach, zresztą nudnych i fałszywych, w których prawie nie wspomina o swych erotycznych wyczynach, a siebie przedstawia jako grzeczną dziewczynkę, pełną cnót i dobrych chęci, którą nie wiadomo z jakiego powodu nienawidzą matka i brat Henryk III, zdawkowo nadmienia: „Spaliśmy z mężem w jednym pokoju, lecz na różnych łóżkach”. Jeśli od początku ich małżeństwa tak było, to co mówić o dalszych latach, kiedy ich wzajemna niechęć ku sobie osiągnęła apogeum.

Pierwszym kochankiem Margot był Józef Bonifacy. Potem zastąpił go La Molle, piękny Francuz i bawidamek, ścięty przez Henryka III za to, że sporządzał woskowe figurki w odzieniu króla i nakłuywał je igłami. To właśnie jego głowę wykradzioną z cmentarza opłakiwała Margot, trzymając ją na swych kolanach i obficie zraszając łzami. Zawsze lubiła teatralne pozy. Większość biografów uważa, iż Małgorzata była bezpłodna. Być może to nastąpiło później, kiedy opanowała ją nimfomania. We wczesnym okresie swego życia, jak już pisaliśmy, urodziła od kochanka syna Angela. Ponoć urodziła Margot i drugiego nieślubnego syna, głuchoniemego. Poród nastąpił w twierdzy Karola, a ojcem był jakiś dworak.

Często kochankowie Margot byli zabijani przez zazdrosnych mężów, bowiem ci rozpasani seksualnie mężczyźni nie ograniczali się tylko do związku z Margot, lecz brali sobie kochanki na prawo i lewo. Tak się stało z kochankiem Margot, Bussy de Amboise. Został okrutnie zabity przez zazdrosnego męża, księcia Monsoro, w 1579 roku. Księżę, dowiedziawszy się o zdradzie żony, zaprosił jej kochanka do swego pałacu, niby na kolację i nastąpił na niego

zabójców. Siepacze rzucili się na niego gromadą. Bronił się zażarcie szpadą, a kiedy ją złamał, bronił się jej odłamkiem, potem krzesłem. Siły były nierówne. Ociekający krwią Bussy zdecydował się na rozpaczliwy krok – wyskoczył z trzeciego piętra, miał pecha, nadział się na żelazne ostre ogrodzenie. Tu go dopadli zabójcy i dobili. Niektórzy kochankowie Margot wywodzili się z grona byłych mignonów Henryka III. Król był o nich zazdrosny, nie darował siostrze, że odbija mu kochanków. Tak mówił o nich Margot: „Mnogość jej kochanków usprawiedliwia mnie, iż nie mogę ich wszystkich wymieniść. Jednym z nich był Vikont Turreni. Ona porównywała go do pustego obłoku, porażona wymiarami jego fallusa. On, pełen łez i rozpachy, ukrył się na prowincji. Ona nie odmawiała nikomu, podobna do przydrożnego drzewa, w którego cieniu mógł się ukryć każdy wędrowiec”.

Jedyny jasny okres w życiu Margot z Henrykiem III to cztery lata spędzone przez nią w jego zamku w Nawarze – Nerac. To były najszczęśliwsze lata jej życia. Zaprzyjaźniła się z Katarzyną, siostrą Henryka IV. Prowadziły wspólnie ciekawe filozoficzne rozmowy, Margot przecież była stronniceką emancypacji kobiet. Nie przeszkadzało im, że były różnych wyznań. Margot w niedzielę udawała się do katolickiej kaplicy, Henryk IV z siostrą Katarzyną do zboru na kazania kalwińskie. A później spotykali się, odbywali wspólne uczyty, spacerowały po parku z bardzo pięknymi alejkami, wysadzonymi krzewami lauru i cyprysów. Sielanka Margot w zamku jej męża została przerwana przez nową miłość Henryka IV i zakończyła się jej wyjazdem do Paryża.

Fosseuse: dziewczyna ładna, złośliwa, uparta i dumna. Moralności żadnej: uprawia seks z bratem Margot, Franciszkiem d'Alcenon, i z Henrykiem IV, specjalnie nie troszcząc się o terminy schadzek. Często bywało tak, że rywale spotykali się na progu jej sypialni: jeden kochanek wchodził, drugi wychodził. Może być draka, Drogi Czytelniku, która naruszy spokój Margot. Perswaduje

swemu bratu, żeby w imię rodzinnego spokoju zostawił Fosseuse, którą Henryk IV, jak to u niego zawsze bywa, darzy gorącym uczuciem. D'Alcenon ustąpił. On ogromnej miłości do tej podstępnej kobiety nie żywił.

I oto Fosseuse zaszła w ciążę. Nie wiadomo, kto jest ojcem: Henryk IV czy książę d'Alcenon. Lecz to nieważne, wszystkie trudy związane z porodem kochanki wziął na siebie Henryk IV. No, niezupełnie on. Poprosił swoją żonę, żeby przyjęła poród. Tak o tym pisze Margot w swych wspomnieniach: „Ona [Fosseuse – E.W.] miała tak mocną władzę nad moim mężem, że w ciągu krótkiego okresu czasu stał się zupełnie innym człowiekiem. Unikał mnie, moja obecność nie była dla niego przyjemną, jak to było przez pięć szczęśliwych lat, które spędziliśmy razem. Fosseuse oczerniała mnie, nie szczędziła mi podłości. Była przekonana, że jeśli będzie miała syna, będzie mogła się mnie pozbyć i poślubić mego męża. Bóle chwyciły ją rano, skoro świt. Spaliśmy z mężem w tych samych pokojach, tylko w osobnych łóżkach, jak to mieliśmy w zwyczaju. «Wstań zaraz i pójdz pomóc Fosseuse. Wiesz, jak bardzo ją kocham. Proszę cię, oddaj mi tę przysługę» – powiedział do mnie mąż. Kazałam ją przenieść do rezydencji panien i umieściłam w osobnym pokoju. Powiła córkę, do tego martwą. Po rozwiązaniu przeniesiono ją do pokoju panien. Wieść o tym porodzie rozeszła się po całym zamku”. A w tym czasie Henryk II przez matkę wzywa Margot do powrotu do Paryża. Już sześć lat, jak tam nie była, zupełnie szczęśliwa w Gaskonii. Wyjechała, myśląc, że potrwa to zaledwie kilka miesięcy. „Myślałam, iż odwiedzie to mego męża od miłości do Fosseuse, którą zabierałam ze sobą. Sądziłam, że nie widując jej, mój mąż nawiąże miłośćkę z jakąś inną panią, która nie będzie mi tak wroga”. On jednak nie chce rozstawać się z Fosseuse. Margot nie ustępuje. Musi go przecież izolować od tej niebezpiecznej osoby, która potrafiła wzbudzić w jej mężu tak namiętne uczucia. To jej zagraża. Na tym kończą się jej pamiętniki. Fosseuse Henryk



IV wkrótce zostawił, ponieważ nowa wielka miłość pojawiła się w jego życiu. Była nią kobieta, którą nazywał: „Mój piękny anioł”.

Aby skończyć wątek o Margot, wróćmy do 1585 roku. W tym roku Margot zostawiła męża i zamieszkała w zamku Agen, okazało się, że nie na długo. Cnotliwi mieszkańcy miasta, widząc i słysząc o tym, co się dzieje w zamku, przepędzili Margot wraz z jej kochankami. Uciekała na lichym koniu. Potem Margot przez osiemnaście lat będzie mieszkała w zamku Usson, od 1587 po 1605 rok. Rozwód z mężem otrzymała, mając trzydzieści cztery lata. W 1590 roku, zapomniana przez wszystkich i zaszyta w zamku Usson, zaczęła pisać pamiętniki. Po osiemnastu latach dobrowolnej izolacji Margot powróciła do Paryża. Żałosna była jej starość. Mocno przytyła i całkowicie wyłysiała. Brała sobie kochanków blondynów, z których włosów robiła sobie peruki. Dużo miała tych peruk, bo kochanków z bujnymi blond włosami było sporo. Zmarła w 1615 roku w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, będąc otyłą, schorowaną, odrażającą staruchą. Weszła do historii jako wybitna nimfomanka, niezrównana rozpustnica, utrzymująca kazirodcze stosunki ze swymi braćmi.

Panowie biografisci, napiszcie rzetelną monografię o tej nieszczęśliwej kobiecie, nielubianej przez matkę (kiedy była młodą dziewczyną matka ugryzła ją w pupcię, pozostawiając na całe życie ślady swych ogromnych zębów), krótko kochanej przez mężczyzn, rozpaczliwie szukającej prawdziwej miłości, której nigdy nie znalazła.

## Gabrielle d'Estrées

Henryk IV ma nową kochankę, w której, jak to u niego zawsze bywa, jest śmiertelnie zakochany i obiecuje uczynić ją królową Francji. Brantôme: „Henryk IV, będąc miłośnikiem miłosnych igraszek, zachowywał szacunek dla kobiet, umiał utrzymać tajemnicę i dlatego był chętnie przez panie przyjmowany, chociaż, jak wiem, często zmieniał obiekty swej miłości, bowiem zawsze znalazła się inna alkowa, gdzie już na niego czekano. Zjawiał się on u pań zawsze bez ochrony, nawet gdy trzeba było udawać się w niebezpieczne miejsca Paryża, błędząc tam po ciemnych zaułkach. Towarzyszył mu tylko lokaj Gryffon, który szedł na przedzie z niedużą kopią i pochodnią. Za nim kroczył sam władca otulony płaszczem po same uszy, włożonym wprost na nocny szlafrok, ze szpadą pod pachą. A gdy wracał do domu, kładł kopię i szpadę u wezgłowania łoża, a wierny Gryffon ochraniał go, śpiąc na podłodze pod zamkniętymi drzwiami. Gryffon często sypiał, jak wierny pies, pod cudzymi zamkniętymi drzwiami, bowiem Henryk IV zawsze czegoś szukał w swych nocnych eskapadach, czegoś więcej niż tylko nasycenia ciała”. Czego szukał Henryk IV? Wielkiej miłości? Właśnie. Kiedy dusze i ciała będą zjednoczone, wówczas można mówić o takiej miłości. Prostytutki, które ledwie nasycaly jego ciało, nie dawały przecież duszy pokarmu. Henryk IV oczekiwał zdecydowanie czegoś więcej od kobiety.

No i znalazł wreszcie swoją wielką miłość. Pomógł przypadek, a raczej gadulski język jego ministra Bellegarda, który tak „smacznie” chwalił wdzięki swej narzeczonej, że Henryk IV postanowił ją ujrzeć na własne oczy. Pojechał na wieś, do jej posiadłości Coeuvres, przebrany za chłopca, z wiązką chrustu na plecach. Rzeczywistość przewyższyła wszelkie oczekiwania. Panna Gabrielle była tak piękna, że od razu Henryk IV ją nazwał „pięknym aniołem”. Piękny anioł był blady jak lilia, o

rozmierzonych niebieskich oczach, olśniewającej cerze, ze słabym rumieńcem na policzkach i o złym, ponurym spojrzeniu. Ponurość spojrzenia wzięła się stąd, że Henryk IV bardzo jej się nie spodobał. Patrzyła na jego okrągły chłopski kapelusz, na prostackie odzienie. W pewnym momencie parsknęła śmiechem. Wyrwały się jej bolesne dla Henryka IV słowa: „Jakże, Wasza Królewska Mość, jesteś brzydki”. Po czym nie zważając na majestat, wsiadła do karocy i umknęła, nawet nie pożegnawszy się z królem. Do Bastylli chamki nie wrzucił, ale nie dał za wygraną. Postanowił za wszelką cenę rozkochać w sobie dumną piękność i odbić ją narzeczonemu. Z nim problemu nie było. Gadatliwemu kawalerowi powiedziano: „Nie dla psa kiełbasa”. Jeśli król jest zainteresowany tą niewiastą, to Bellegard powinien odejść w cień. „Nie będzie pan chyba walczyć ze mną?” – Henryk IV zadał Bellegardowi retoryczne pytanie. Naturalnie, że nie. Kawaler pożegnał się z narzeczoną i zajął się innymi pałacowymi paniami, na szczęście wybór był duży. Gorzej wiodło się Henrykowi IV z uwiedzeniem Gabrielle. Krnąbrna niewiasta długo nie zgadzała się zostać oficjalną metresą króla, mimo iż Henryk IV usiłował szczerze przekupić jej rodziców. Właściwie ojca. Bowiem matka łajdaczka, po urodzeniu coś około pół tuzina dzieci, doszła do wniosku, że i jej coś się od życia należy. Przeświadczona o tym, że prawdziwa miłość na bruku się nie poniewiera, uciekła z kochankiem, porzucając dzieci na pastwę losu, a raczej na pastwę ciotuni, która zajęła się wychowaniem tego półtuzina siostrzeńców. Matka i jej kochanek wkrótce tragicznie zginęli w jednym z prowincjonalnych miast Francji z rąk jego pruderyjnych mieszkańców. Na wiadomość kto przebywa w miejskim zajeździe, tłum wtargnął tam i zlinczował cudzołożników. Nie będziemy ich żałować, bo jak powiedział Aleksander Macedoński: „Psu psia śmierć”.

Tata Gabrielle począł rozważać propozycję Henryka IV, aby z jego córki uczynić swoją metresę. I co my tu widzimy? Z jednej

strony pięknego i o dziewięć lat młodszego od króla narzeczonego Bellegarda, z drugiej strony brzydkiego Henryka IV, o którym mówią: „Król bez korony, mąż bez żony”. (Jego rozwód z Margot blokuje papież). Król jest brudny i śmierdzący. Gabrielle nosem kręci: „Nie chcę, tatuśku, takiego brudasza za kochanka”. „A posiadłości, a brylanty, a tytuł diuszesy de Beaufort to nic?” – oburza się Henryk IV. Papa Gabrielle się zamyślił: „A co tam brudas, decyduj się, córko, może jeszcze zostaniesz królową Francji”. I oto los Gabrielle został rozstrzygnięty, wkrótce urodzi Henrykowi IV troje dzieci: dwóch synów i córkę. Córka Katarzyna zostanie żoną Wiktora Amadeusza, króla Sabaudii, syn Cezar o homoseksualnych skłonnościach pozostanie stuprocentowym gejem, dobrym dowódcą wojsk Ludwika XIV, wiecznie siedzącym na nocniku. Na tym swoistym „tronie” przyjmował gości, posłańców i wydawał wojsku rozkazy. Henryk IV może się cieszyć. Jego galanteria, hojność i długie oblężenie „twierdzy” Gabrielle przyniosły sukces, a nawet przewyższyły wszystkie oczekiwania. Ta niewiasta naprawdę pokochała Henryka IV. Przestała jej już przeszkadzać jego brzydka fizjonomia i śmierdzący zapach. Umiał kochać ten satyr! Gabrielle potrzebowała tkliwości. Otrzymała ją z nawiązką. Siadał na podłodze przed jej łóżkiem i powoli całował jej długie palce, jeden po drugim, z upojeniem i namiętnością łaskotał ją swymi wąsami, a po ciele Gabrielle przebiegał dreszcz pożądania. Wulgaryzmów nie lubiła. Król musiał stosować inny język niż ten, którym obdarzał prostytutki i mniej „ważne” metresy. Teraz jego miłosna, erotyczna mowa była pełna eufemizmów: „Twoja piciuchna jest urocza. Tak lubię całować ten drobny meszek”. Ech, powinien Henryk IV pouczyć się miłosnej liryki od naszego króla Jana III Sobieskiego, niezrównanego autora listów erotycznych do Marysieńki. Gabrielle nie jest zadowolona z miłosnego języka Henryka IV. Jej narzeczonego, Bellegarda, z którym przespała się kilka razy, był bardziej kunsztowny w miłosnej leksyce. Nigdy nie używał słowa seks

(zresztą tego słowa jeszcze wówczas nie było), tylko miłość, nigdy nie używał wulgaryzmów dla określenia genitaliów męskich i żeńskich; zawsze to były sympatyczne nazwy: muszki, pszczołki, motylki, muszelki, peretka. Henryk IV alegorii nie znał. Przez chwilę okazywał damie galanterię, a potem wpadał w szał i brał ją jak kobyłę – ze złością samca, aż krzyczała biedna: „Dość!”

Gabrielle nieudany orgazm maskowała głośnymi jękami. Tak przerażająco jęczała, że głaz by się wzruszył. On też wydaje głośne dźwięki, żeby kobieta czuła, jak się dla niej stara.

Rzućmy kamieniem w tego z biografów, który powiedział, iż Gabrielle była bezinteresowna. Była bardzo, wręcz zanadto interesowna. Już nie wystarczyły jej posiadłości i kosztowności, pragnęła tytułów: oto ona już markiza, ba, już diusza de Beaufort. Ona nawet marzy o tym, żeby zostać żoną Henryka IV, czyli królową francuską. Kto? Ta kobieta o nagannej reputacji? Trzeba zauważyć, Drogi Czytelniku, iż kiedy Henryk IV zaproponował Gabrielle, aby była jego metresą, nie była ona przecież cnotliwą dziewczyną. Miała naganną przeszłość, która skrętnie była przez domowników ukrywana. Przed swym narzeczeństwem z Bellegardem zdążyła побыć kochanką niejednego.

Dzika i nieokiełznana zazdrość owładnęła sercem króla. Nigdy przedtem nie zaznał tego destrukcyjnego uczucia. Teraz ostrymi igłami kłuło mu mózg natarczywe pytanie: zdradza go Gabrielle, czy nie? Pewne poszlaki na to wskazywały. I kiedy pewnego dnia jego szpieg doniósł mu, że Gabrielle w swej sypialni potajemnie przyjmuje swego eksnarzeczonego Bellegarda, bez zastanowienia poleciał tam i zaczął łomotać do drzwi, krzycząc: „Otwieraj, niegodna, natychmiast!”. Zaszokowani nieoczekiwanym najściem króla Bellegard i jego kochanka wpadli w popłoch. Gabrielle wykrzyknęła słabym głosem zza zamkniętych drzwi coś w rodzaju: „Przestań wrzeszczeć, Wasza Królewska Mość, od tego wrzasku głowa mnie boli”, usiłując gorączkowo

znaleźć potajemny kącik, gdzie mogłaby ukryć swego kochasia. Ponieważ takiego miejsca nie było, Bellegard zdecydował się na desperacki krok: wyskoczył z trzeciego piętra przez okno, rozumując wielce logicznie: „Ostatecznie nogi złamię, to lepsze, niż stracić głowę”. Na szczęście trafił na drzewo, kości nie złamał, tylko odrobinę podrapał penisa. Nie ma biedy, należy mu się trochę odpoczynku po bujnych nocach ze swoją eksnarzeczoną. W tym samym momencie, kiedy Bellegard przezornie chował się w gałęziach drzewa, do sypialni Gabrielle wdarł się Henryk IV, gotowy na wielkie zabójstwo, o nabrzmiałych jak u rozjątrzonego byka czerwonych oczach. Gabrielle powitała go cichym płaczem: „No i co czynisz, mój królu? Gdzie widzisz tu kochanka?” Po tych słowach król padł przed Gabrielle na kolana i przez dwie godziny błagał ją o przebaczenie. Naturalnie, wybaczyła mu, lecz nie „na sucho”. Otrzymała nową posiadłość i nowe brylanty. Odtąd król był ostrożniejszy. I gdy mu po raz drugi doniesiono, że Gabrielle znowu przyjmuje kochanka w swej sypialni, wystarczy tylko... król szpiegowi przerwał: „Nie ma głupich. Zbyt drogo kosztuje mnie naprawianie tych drzwi”. Mądrze postąpił, rozumując trzeźwo: chcesz zachować kochankę, wierz wszystkiemu, co ona mówi, nawet gdy twoje oczy dostrzegają coś zupełnie innego. Brantôme przytacza epizod, kiedy kochanek przyłapał kochankę na gorącym uczynku; ta podczas gdy kawaler naciągał pantalon, tak mówiła do swego „rogacza”: „Ach tak, to pan bardziej wierzy swym oczom niż moim słowom? I jeśli ja mówię, że nie ma u mnie kochanka, pan musisz mi wierzyć, inaczej skończę z panem”. Rogacz, pośpiesznie odwracając wzrok od rozporka kochanka, mamrotał, że absolutnie kochance wierzy.

Nurtuje nas pytanie, Drogi Czytelniku, dlaczego wszystkie kochanki Henryka IV go zdradzały. Nawet te, które zapewniały go o bezgranicznej ku niemu miłości. Czyżby nie zadowalał je seks z królem? Wszedł do historii jako wybitny erotoman, a kochanki nagminnie go zdradzają! Może kiedyś zajmiemy się tym

zagadnieniem, obecnie przyjmijmy do wiadomości, że Henryk IV to wieczny rogacz.

Całych osiem lat, tyle ile trwał jego związek z Gabrielle, męczyła króla zazdrość o Bellegarda. Lecz nawet do głowy mu nie przyszło, żeby pozbyć się rywala drogą zabójstwa bądź wysłania go na prowincję, jak to czynili inni królowie. Był zbyt szlachetny, nie mógł sobie pozwolić na tak niegodną zemstę. Cierpiał więc.

Postanowił, gwoli przyzwoitości, wydać fikcyjnie Gabrielle za mąż. Lecz kawaler nie do końca zrozumiał swoją rolę parawanu i pokornego rogacza. Stał jak wryty z wytrzeszczonymi oczyma, wielce zdumiony, kiedy po ślubie król pochwycił Gabrielle jak piórko z karety męża, przeniósł ją do swej karocy, umknął z nią do małego gniazdka na swoją noc poślubną, mimo iż już troje dzieci Gabrielle legitymizował, uznając swe ojcostwo. Później temu nieszczęsnemu mężowi wyjaśniono jego rolę. Sully zapytał go wprost: „A za co waszmość pan dostał tę wysoką posadę i tyle posagu za żonę, jak pan myśli, za co, za swoje piękne oczy? No, bądź pan pobłażliwy, nie marudź, zapomnij o seksie z żoną”. Kilka lat potem Gabrielle oficjalnie przeprowadziła separację z mężem, a gdy zapragnęła zostać królową Francji, poczęła domagać się rozwodu, nie zdążyła go uzyskać, została otruta.

Miłość Henryka IV do Gabrielle rośnie z każdym dniem. W sumie będzie trwała osiem lat. Nie słuchał król plotek, które rozpowszechniają dworacy na jej temat: jest rozpustna, jak i jej matka, która była prawdziwą dziwką. Za kochanka miała najpierw Franciszka I, potem papieża Klemensa VIII, nawet „cnotliwego” hiszpańskiego króla Karola V w spokoju nie zostawiła, gdy do Francji przyjechał – przespała się z nim. Swoją córkę Gabrielle, zanim sama z kochankiem uciekła, kilka razy sprzedawała, najpierw za sześć tysięcy Henrykowi III, a gdy mu się znudziła, odsprzedał ją bogatemu florentyńczykowi Zame, potem, zanim została narzeczoną Bellegarda, miał ją książę de Guise. Szeptano także, że Gabrielle i hrabiego Longuille łączyła przez szereg lat

wież seksualna. Henryk IV o niczym służyć nie chce, dla niego Gabrielle to ideał cnoty, odnosi się do niej z nabożeństwem, klęczy przed nią niczym przed Madonną. Pisze do niej tkliwe listy, kiedy musi wyruszyć na wojaczkę lub w sprawach państwowych. Oto jeden z nich: „23 VIII 1597 r. Moje oczarowanie! Za dwie godziny po otrzymaniu tego listu zobaczy Pani kawalera, który kocha Panią namiętnie i którego nazywają królem Francji. Tytuł zaszczytny niewątpliwie, lecz bardzo kłopotliwy. Stanowisko skromnego niewolnika Pani jest mi bardziej miłe. Bardzo się cieszę, że spodobała się Pani moja siostra Katarzyna. Jest to świadectwem Twojego dobrego do mnie stosunku, który cenię ponad życie, chociaż i lubię życie. Całuję milion razy Twoje piękne oczy”.

Następny list: „W ten wieczór powróciłem wcześniej. Nadzieja, że zobaczę Cię jutro, wstrzymuje moją rękę od formułowania długich fraz. Do widzenia, serce moje. Przyjeżdżaj jutro jak najwcześniej. Miliony razy całuję Twoje miłe oczka, mój aniele i Twoje usta, moja miłości”.

Gorącej miłości króla do Gabrielle nie przeszkodziło, że Sully, jego przyjaciel i minister, przedstawiał Henrykowi IV takie rewelacje: „Cezar nie jest twoim synem, królu. Powstrzymaj się od legitymizowania go. Został spłodzony w czasie, kiedy Gabrielle była związana potajemnym związkiem z Bellegardem”. „Zamilknij!” – wrzasnął Henryk IV. Jak śmie poddany wątpić w cnotę jego ukochanej? Gabrielle dowiedziała się o tych słowach Sully’ego. W pamięci zanotowała: to jej wróg. Takich wrogów będzie dużo w Luwrze. Zwłaszcza kiedy dworacy dowiedzieli się, że Gabrielle usilnie domaga się od króla rozwodu z Margot i ożenienia się z nią. Co gorsza, Henryk IV niczym nie nauczony, obiecał jej, że to uczyni. Kokietka Gabrielle kręciła królem, niczym swym wachlarzem. Prowokowała jego zazdrość, kontynuując związek z Bellegardem. Rozpasany młodzieniec, widząc, że ze strony króla nie grozi mu odcięcie głowy, prowokował Gabrielle,



tańcząc z nią na balach. Pewnego razu król ukrył się za portierą, złymi oczami obserwując tańczących Bellegarda i Gabrielle, aż zamruczał w złości: „Jednak oni są kochankami”. Męki króla będą trwać dotąd, dokąd Gabrielle nie zakocha się w Henryku IV. Swoją uległością, uwielbieniem, hojnymi darami, miłosnymi listami i pięknym seksem zmusił król upartą niewiastę, żeby wreszcie go pokochała. Odstawiony został Bellegard na zawsze. Gabrielle przebywa tylko z Henrykiem IV. Coraz częściej mówi o swym pragnieniu zostania królową Francji. To był jej kardynalny błąd, który kosztował ją życie. Być może żyłaby nadal, gdyby nie jej natarczywe żądanie: rozwód z Margot i włożenie korony francuskiej na jej piękną główkę. W 1595 roku papież wreszcie udzielił rozwodu Margot i Henrykowi IV. Gabrielle, aby urzeczywistnić swe plany, powinna żyć w zgodzie z ministrami Henryka IV, przede wszystkim z wszechmocnym Sullym. A ona w sposób wielce nieroztropny uczyniła z niego swego wroga. Mało tego, zażądała od króla, żeby zdymisjonował potężnego ministra. Wówczas różowe okulary spadły z oczu Henryka IV. Przekonał się o mściwości swego „pięknego anioła”. Odpowiedział chłodno Gabrielle: „Mylisz się, moja droga, jeśli uważasz, że ja pozbędę się swego ministra i wiernego przyjaciela. Nawet ty nie jesteś w stanie mnie do tego zmusić. Dziesięć Gabrielle nie jest wartych jednego Sully’ego”. Oczywiście płacz, prośby o wybaczenie, wyznania miłosne. Lecz już, jak to się mówi, między nimi przebiegł czarny kot. Henryk oświadczył Gabrielle twardo: „Kochałem cię za łagodność i uprzejmość, a nie za upór i kłótność”. Być może od tego czasu załęgła się w mózgu króla myśl, aby za żonę wziąć sobie księżniczkę hiszpańską i na zawsze rozstać się z nazbyt ambitną kochanką.

W 1599 roku Gabrielle umiera. Wszystko wskazywało na to, że została otruta przez dworską koterię, która przestraszyła się, że może zostać królową francuską. Oto ostatnie dni jej życia.

Doświadczwszy afrontu od Sully’ego, Gabrielle całkowicie

zmienia swoją politykę. Nie tylko pozornie pogodziła się z potężnym królewskim ministrem, również w stosunku do Henryka IV poczęła być bardzo dobrą, tkliwą, delikatną, kochającą. Henryk IV jak zwykle roztajał, przebaczył kochance, ich miłość rozpalila się na nowo. Ich noce był to istny poemat dworskiej miłości. Odzwyczała kochanka Henryka IV od grubiańskich zachowań, wprowadziła eufemizmy w miejsce wulgarnych i dosadnych erotycznych określeń. Podobnie jak w Kamasutrze poczęły tu latać motylki nad różową perłą, życiodajne osy poczęły delikatnie pobierać nektar z różyczki, która przecież tak ochoczo się rozsuwa, łaknąc miodowego napoju bogów. W ich miłosnym języku pojawia się to mucha, to ptaszek, nigdy nic ordynarnego jak kutas czy fiut. Ciepło płynące z dłoni Gabrielle splecionych z królewskimi dłońmi uspokajająco działało na rozkołatane nerwy króla, dając poczucie ciepła i bezpieczeństwa. Gabrielle po raz czwarty zaszła w ciążę z królem. Szykuje się do urodzenia następnego dziecka, niemal do ostatniej chwili utrzymują stosunki płciowe, bowiem Henryk IV na nowo zasmakował w seksualnej rozkoszy ze swą wybranką. Gabrielle głaskała dłonią organ króla i cicho wypowiadała filozoficzne złote myśli: „To, co zwie się miłością, nie jest niczym innym, niż tylko pragnieniem rozkoszy”.

Henryk IV, który miał niezliczoną liczbę kochanek, umiał przemawiać do nich różnymi językami miłości. Do Gabrielle przemawiał językiem tkliwości, którą kobiety najbardziej lubią. Gabrielle i Henryk IV przebywali w pałacu Fontainebleau. Po wizycie pewnego zagranicznego posłańca Henryk IV nagle odesłał Gabrielle do Paryża. W czym rzecz? Teraz już wiemy, Drogi Czytelniku, że prowadzone były przymiarki, aby znaleźć żonę dla Henryka IV po jego rozwodzie z Margot. Gabrielle jako kandydatka na żonę w rachubę nie wchodziła. Lecz król wszelkimi sposobami pragnął zatuszować przed nią projekt swego ożenku. Ich związek trwa już osiem lat, przecież byłoby nie w porządku, gdyby tak nie po dżentelmeńsku zranić ukochaną kobietę.

Król konno odprowadza Gabrielle do rogatek Paryża. Żegnają się czule i król wraca do Fontainebleau. Po drodze, na przedmieściu Paryża, Gabrielle zajechała do mieszkającej tam swej ciotki. Zjadła pomarańczę i nagle poczuła niesamowity ból w brzuchu. Nastąpiły gwałtowne torsje, drżenie rąk, bladość, słowem wszelkie objawy zatrucia. Był dzień 10 kwietnia 1599 roku. Pałacowa dama, mamrocząc modlitwy nad konającą Gabrielle, chciwie zdiera z jej palców drogocenne pierścienie. Umierająca Gabrielle żąda, aby natychmiast zawiadomić Henryka IV, błaga, aby natychmiast przyjechał do niej. Pragnie na łożu śmierci wziąć z nim ślub. Biedaczka, do ostatniej chwili myślała, że skoro nie została królową francuską, to przynajmniej jej starszy syn Cezar zostanie dziedzicem tronu. Oczywiście będzie to możliwe, jeżeli król szybko z nią, konającą, weźmie ślub. Ale Henryk IV ociąga się z przyjazdem do Gabrielle. Rozpacza, wie, że ukochana umiera, lecz... Przecież nie ma prawa brać ślubu z Gabrielle!

Osiem dni opłakiwał król Gabrielle, nie wychodząc z komnaty w pałacu w Fontainebleau. Napisał wielce poetycki list do siostry, Katarzyny de Bourbon: „Pędy mojej miłości obumarły i więcej już nie wydadzą pąków”. Katarzyna de Bourbon, bardzo wzruszona bólem swego brata, obiecała mu, że odtąd zajmie się dziećmi Gabrielle, stanie się dla tej trójki dzieci prawdziwą matką. Słowa dotrzymała.

Dziewiątego dnia zakochał się na zabój w innej pałacowej damie. Na wiadomość o tym siostra Gabrielle, która niegdyś też przespała się z królem, złośliwie powiedziała: „Jakże krótka jest miłość królów!”. Racja to, Drogi Czytelniku!

## **Katarzyna Henrietta de Balzac d'Entragues, trudna kochanka Henryka IV**

Co za niezmiernie uczucie łączy Henryka IV z Katarzyną Henriettą d'Entragues, skoro w Luwrze umieścił ją obok pokojów swej drugiej żony, Marii Medycejskiej? Królowa, wychodząc ze swej sypialni, niezmiennie spotykała na korytarzu kochankę męża. Ta ze złośliwym uśmiechem dumnie wypinała do przodu swój ciężarny brzuch, tak że omal nie stykał się również z ciężarnym brzuchem królowej. Obrzuciwszy się złowrogimi spojrzeniami, kochanka i żona rozchodziły się w wąskim korytarzu w przeciwną stronę, nie zapominając wyrzucić z siebie obelgi. „Kurwa” – leciało z ust Marii Medycejskiej, która estetyką słowa nie była. „Bankierzyca” – odzywała się Henrietta pod adresem królowej. Wprost nie do uwierzenia, że takie mogły być stosunki między królową i jej poddaną, kochanką męża. Winien temu był Henryk IV, lekkomyślny egoista, który nie szczędził upokorzeń niekochanej żonie i nie reagował na absurdalną sytuację, gdy kochanka obrażała jego żonę, bądź co bądź królową Francji.

Dziesięć lat trwał ten związek, a jeśli mierzyć go intensywnością uczuć, było to sto lat niekończących się kłótni, pogodzeń i rozstań. Ich miłość bowiem była trudna i skomplikowana ze względu na ciężkie charaktery obojga. Katarzyna Henrietta poniżała króla, wypuszczała jadowite strzały swego ostrego języczka, nie bacząc na królewski majestat. „Pachniesz padliną” – tak czasami odpowiadała Henrykowi IV na jego przymilne zaproszenie do łóżka. „Jesteś pobożnym życzeniem” – mówiła, gdy nie mógł sprostać seksualnym zachciankom swej kochanki z powodu narośli na swym organie. Operacja okazała się łatwa, znowu odzyskał seksualny wigor dobrego samca. „Oni wiecznie się łajali” – podsumował minister Sully ten związek.

Uwiedzenie Katarzyny Henrietty okazało się trudne, najeżone

różnymi komplikacjami. Sytuacja taka jeszcze bardziej podgrzewała uczucia Henryka IV do tej nader kapryśnej, złośliwej, zniechęconej i kochanej jednocześnie kobiety. Sully, wierny przyjaciel i lojalny minister, rozgląda się za kandydatką na królewską żonę. „Jaką żonę chce sire mieć?” – pytał Henryka IV. Ten odpowiadał: „Żeby miała piękne ciało, była cnotliwa, pokorna, mądra, płodna, wysokiego rodu i wniosła duże wiano”. Po chwili dodał: „Lecz myślę, że takiej kobiety na świecie nie ma”. Sully podrapał się po głowie: „Poszukajmy czegoś bardziej realnego”. Realność okazała się pozbawiona najmniejszej krzyzy romantyki: gruba, ordynarna florentynka, trzydziestoletnia, ze sforą siedmiu tysięcy Włochów stanowiących jej świtę, przybyła na francuski dwór. Maria Medycejska była nieładna, wręcz odpychająca, a biedny Rubens, który przedstawił ją na freskach pokrywających ściany Luwru, musiał się nagłowić, żeby wyrazić jej powab. Jej wewnętrzny świat był ubogi. Wcześniej utraciwszy matkę, wychowywała się wśród florentyńskich staruch, których jedynym zajęciem były pałacowe plotki. Jeden z dworaków tak lakonicznie opisał Marię Medycejską: „Ma gust do intryg. Ogromna, tłusta kobieta, o dość ładnych rękach i obfitej piersi, wulgarna”. Popatrzmy na jej portret, Drogi Czytelniku. Patrzy na nas prostacka kobieta o okrągłych wypukłych oczach, obfitej tuszy, wzrok ma niewyraźny, choć można odczytać w nim i brak pokory, i dziki upór. Henryk IV po pewnym czasie lubił powtarzać następujące słowa, adresując je do Marii Medycejskiej: „Zła żona jest niebezpiecznym zwierzęciem”. Nie znajdziemy ani jednego sympatycznego rysu w charakterze Marii Medycejskiej: ograniczona, prostacka, wulgarna, o ptasim mózgu. Lecz możemy pochwalić jej płodność. Narodziła Henrykowi IV wystarczającą liczbę przyszłych królów i królowych. Syn jej to Ludwik XIII, dragi syn to Gaston, książę Orleanu, córka Henrietta Maria to królowa Anglii, żona Karola I, następna córka, Elżbieta, to królowa Hiszpanii, żona króla Filipa IV, kolejna, Krystyna Maria,

to księżna Sabaudii, żona Wiktora Amadeusza I Sabaudzkiego. Przykro, gdy później Ludwik XIII wypędził matkę z królewskiego dworu i z Francji, a nikt z jej pozostałych dzieci nie wziął jej do siebie – nie kochały swej okrutnej, wulgarnej, brudnawej matki. Szlajała się, biedaczka, po różnych europejskich dworach, aż zatrzymała się w domu Rubensa, była tak biedna, że nawet nie miała pieniędzy na wiązkę chrustu. A przecież w swoim czasie właśnie jemu powierzyła namalowanie dwudziestu sześciu fresków na ścianach swego pałacu.

A teraz zatrzymajmy się przy Katarzynie Henriecie d'Entragues. Henryk IV zobaczył ją po raz pierwszy na jednym z balów w Luwrze. Był wtedy osamotniony po śmierci Gabrielle. Stęsknione królewskie serce domagało się autentycznej miłości. Miłostki już obrzydły królowi. Zły to wynalazek, ciągle narażający króla na choroby weneryczne. Casanova, prekursor kondomów, jeszcze się nie urodził, ich właściwy wynalazca, doktor Condom z Cortony, również. I co ma Henryk IV począć ze swoją nieujarzmioną chucią erotomana? Były u niego panny różne, ale któraś z nich potrafiła nasycić jego duszę? Naturalnie, że nie. A jemu jest potrzebna taka, o której mógłby powiedzieć „coca-cola to jest to!” – czyli ta jedyna i niepowtarzalna. Serce nie znosi rozkazu. Ono wymaga wstrząsu, jak błyskawica, szybka iskra musi przebiec przez ciało i duszę. A wszystkie inne czynności: jedzenie, sen, rządzenie państwem – to tylko dodatek do tego ogromnego uczucia, jakim jest miłość. Na asfalcie, pardon, na wybrukowanych drogach Paryża ona odłogiem nie leży. To jest towar deficytowy. „Zważcie mi pół kilograma dobrej jędrnej miłości. A babcia dokąd lezie, babci miłość po co? Mili, moi kochani, i mnie zważcie choć dwadzieścia dekagramów miłości, umieram bez niej”. Wszystko odchodzi precz przed obliczem tej siły, zniewalającej człowieka, przeobrażającej go w tytana lub karzełka w zależności od jej kaprysu.

No i stało się! Henryk IV jest zakochany jak parobek w

Henriette d'Enragues. Panna jest dumna, wyniosła i cnotliwa. Ona swojej miłości nie sprzeda nawet królowi. To rzadki ptaszek na tym rozpustnym dworze, zdeprawowanym przez Katarzynę Medycejską. Ona wysuwa na plan pierwszy swoją dumę, na drugi piękność, potem wzniosłość i cnotę. „Jej ciało doprowadzało Henryka IV do szału” – zapisał to któryś z dworaków. Król śle do niej miłosne listy. Ona przyjmuje je z chłodną rezerwą, nie spieszy się z odpowiedzią. To doprowadza króla do jeszcze większego szału. Ich kontakt ogranicza się do zagadkowego uśmiechu, nieśmiałego ścisnięcia rączki i tajemniczego uśmiechu Giocondy.

O, Henrietta d'Enragues zna swoją cenę. Za byle jaki brylantowy pierścionek do łóżka z królem nie pójdzie. Nie tędy droga. Pamiętaj, Drogi Czytelniku, jak Gabrielle powiedziała królowi o swym pragnieniu bycia królową? „Chcę być francuską królową” Henrietta jeszcze nie śmie takiego zdania wypowiedzieć. Lecz ma takie zamiary. Na razie zamierza bardzo drogo siebie sprzedać. Bardzo drogo. W dosłownym tego słowa znaczeniu.

„Jak śmiałaś, podła?” – piekli się na łamach swej skądinąd cudownej książki o faworytach królewskich rosyjski historyk Konrad Birkin, wyrażając się nazbyt emocjonalnie o pannie d'Enragues, jeśli nie powiedzieć, że wręcz grubiańsko. A „podła” śmiała! Była przecież nieodzownym przeciwieństwem swej matki, Marii Touchet, kochanki Karola IX. Karol IX nie kochał bezpłodnej żony Elżbiety, on kochał hugenotkę, Marię Touchet, która urodziła mu syna. Była osobą miłą, niewymagającą, po macierzyńsku kochającą nieszczęśliwego króla, który nie mógł się otrząsnąć po Nocy Świętego Bartłomieja. Nie wymagała zbyt dużo. Wystarczył jej kupiony przez króla domek na przedmieściu, skromne umeblowanie, kominek z żarzącymi się węglami, a obok w głębokim fotelu Karol IX, który skłaniał swoją głowę na jej kolana, a gdy karmiła dziecko, z drugiej jej piersi ssał król, który się nasłuchiwał o odżywczej sile kobiecego mleka.

Potem, gdy zmarł Karol IX, Maria Touchet korzystnie wyszła za mąż za pana d'Entragues, urodziła mu szóstkę dzieci, była wierną i oddaną żoną. Henrietta była jej córką, lecz w nieco innym wydaniu. Łagodność matki zamieniła się w piekielną twardość ojca, spokój ducha w szaleństwo, skromność w niepomiarłą ambicję – słowem została wyposażona w cechy charakteru zupełnie przeciwstawne matce. Widocznie Pan Bóg postanowił córkę Marii Touchet, nazywaną przez dworaków „rzepką nie babą”, przeobrazić w jej przeciwieństwo, w istotę diabelsko złą. To mu się udało, trzeba przyznać.

Skoro Henryk IV jest gotów płacić słono za miłość Katarzyny Henrietty, czemu nie wykorzystać tej szansy? Gdyby wolno było autorce psioczyć bez ceregieli, lekceważąc obiektywizm, powiedziała by zawzięcie: ścierwo, wrzód na ciele ta kobieta, ta cała d'Entragues, wyrachowana, zimna jak gład, wytrawna intrygantka, która doprowadzała do szału i okrutnych miłosnych cierpień naszego dobrego króla Henryka IV. Chytra, inteligentna, interesowna, manewrowała Henrykiem IV jak swym wachlarzem, licząc się tylko z własnym egoizmem. No tak, to oczywiście nie lady Makbet, ludzi nie zabijała, lecz bezpardonowo ich niszczyła. Emanowała wspaniałymi manierami, klasą, lecz za tą anielską twarzyczką krył się istny diabeł, z ostrymi pazurami i wilczymi kłami. Ile łez, w dosłownym tego słowa znaczeniu, przelał Henryk IV przez swoją kochankę! Ile zmartwień mu sprawiła! A czy dała radość? „No tak, piękne to ścierwo” – powiedziała o niej pewna dama pałacowa. „Piękność to straszna siła” – twierdzi znawca ludzkich dusz, Fiodor Dostojewski. To prawda, lecz ta siła staje się absolutnie destrukcyjną, jeśli paraliżuje wolę partnera. Henrietta d'Entragues dosłownie sparaliżowała silną skądinąd wolę Henryka IV. To, co nie udało się żadnej z jego licznych kochanek, udało się jej. W czasie bezsennych nocy wielki król morduje się odwiecznym pytaniem: co robić? Co robić, żeby wyrwać się z tego narkotyku, uwolnić się od tej zjawy, która go



bluszczem omotała. Henryk IV obiecał jej, że zostanie królową. Była to obietnica z góry nierealna, bowiem parlament francuski za nic w świecie nie zezwoliłby, aby ożenił się z kobietą, w której żyłach nie płynęła błękitna krew. Kiedy mężczyzna znajduje się w stanie pożądania, może kobiecie wszystko przyrzec, a potem niczego nie spełnić.

Rodzinka d'Entraques usiadła wieczorem przy stole. Papa wgłębił się w drewniane liczydła. Począł obliczać, za ile ma sprzedać cnotę swej córki Henrykowi IV. Wyszło, że za nie mniej niż sto tysięcy franków. Król zbladł, gdy dowiedział się, ile wynosi honorarium za miłość Henrietty. Poszedł z tym do swego ministra. Sully, bardzo oddany sprawom państwa, ale niezbyt gorliwie troszczący się o seksualne zdrowie króla, chwycił się za głowę, oszołomiony wysokością honorarium, nie chciał o tym słyszeć. Ostentacyjnie zatkał sobie uszy i zanucił frywolną piosenkę. „Za dużo sobie pozwalasz, Sully” – mruknął Henryk IV, urażony takim lekceważeniem. Król jest zaskoczony reakcją swego ministra, zaczął go przekonywać, że musi zrozumieć jego męki cielesne. Przecież gdy chuć doskwiera, na nic się zdaje logika racji stanu. Wreszcie Henryk IV krótko warknął: „Wykładaj, Sully, pieniądze”. Minister, widząc, iż szaleństwa Henryka IV żadnymi rozumnymi dowodami nie sposób ujarzmić, pobiegł do banku, tam rozmiął sto tysięcy franków w asygnatach na drobne monety. Pełen złota worek Przytaszczył do domu pana d'Entrauges i wysypał na stół tę górę złota. Na ten widok Henryk IV w filozoficznej zadumie począł drapać swą bródkę: „Drogawo jednak, papo, mi swoją córkę sprzedajecie” – odezwał się do pana d'Entrauges. Lecz nawet za tak bajońskie honorarium Henrietta nie ma zamiaru szybko pozbawiać się swego dziewictwa. Jeszcze coś tam marudzi, ociąga się. Pozwala Henrykowi co najwyżej na rozpięcie jej korsarza i pieszczanie piersi. Choć otrzymała od ojca zezwolenie na miłość z Henrykiem IV, zaczyna się targować, wynajduje setki przyczyn, żeby nie przespać się z królem. A to ma

migrenę, a to jeszcze coś od migreny gorsze. Lecz jak długo może trwać menstruacja? U Henrietty prawie wiecznie. Wścieka się Henryk IV, doprowadza swą żądzę do białości wrzącego metalu. Tak dużo zapłacił z królewskiej kiesy, a tu postne danie mu serwują: herbatkę z biszkoptami. Leniwie żuje te biszkopty i wścieka się coraz bardziej. Niedługo dojdzie do tego, że doprowadzony do ostateczności, rzuci się na Henriettę i zgwałci ją w czorty, plując na swe wrodzone dżentelmeństwo. Lecz jeszcze się wstrzymuje od gwałtu. „Ile można czekać?” – szepcze zawiedziony, całując swą wybrankę. Obiecała, że czekać już będzie niedługo. Dla pięknotek typu Henrietty życie jest łatwe właśnie dlatego, że nie umieją czuć. A nie czują dlatego, że w ich pysznych piersiach bije nie serce, lecz kawałek zimnego marmuru. Nie odbieramy pięknej Henriecie prawa bycia solidną i drogą prostytutką, lecz nie zgadzamy się na jej rolę wielkiej niedostępnej damy. Każda prostytutka po zainkasowaniu zapłaty nie mataczy i nie ociaga się z oddaniem się mężczyźnie, lecz uczciwie spełnia swe obowiązki.

Nie leć, ćmo, do ognia, oparzysz sobie skrzydełka! Nie przesadź, Henrietto, nie odkładaj bez końca swego oddania się królowi! Nie z nim takie numery. Król szczerze przecież zapłacił za twoje wdzięki, ma prawo do „towaru”. Czemu udajesz niedostępną dziewicę? Henrietta szuka różnych powodów, aby nie oddać się królowi. Wreszcie król taki oto list od niej otrzymał: „Mój wielki królu! Mnie obserwują, szpiegują, ja mimo ogromnej chęci nie mogę udowodnić siły swej miłości do Pana, do najbardziej czarującego ze wszystkich mężczyzn na świecie”. No nie, „słowika baśniami nie karmią”. Roztropnie baba swoją niechęć oddania się królowi obróciła w wymyślone trudności: ona by chciała, ale uszka bolą i mama nie pozwala. Henryk IV wreszcie zrozumiał, iż Henrietta mataczy, ociągając się ze swym oddaniem, wyszukując dodatkowe nieistniejące trudności, a to że śledzą jej każdy krok, a to że ojciec jej utrudnia randkę z królem,

„z moim wspaniałym, ukochanym, najlepszym w świecie królem”. Wściekły Henryk IV, już nie owijając niczego w bawełnę, pisze do Henrietty we wrześniu 1594 roku list: „Miłości mojego życia! Siłę swej miłości do Ciebie ja już wystarczająco udowodniłem waszej rodzinie i z ich strony nie powinno być żadnych przeszkód na drodze naszego szczęścia”. Czyli wprost przywołał ojca Henrietty do porządku. Otrzymałeś pieniądze, bracie, płać, oddawaj Henriettę. No i nic już jej nie pozostało, jak wyłożyć kawę na ławę i otwarcie wyznać królowi, o co jej chodzi. Jej jest potrzebny oficjalny dokument, w którym Henryk IV obieca przed Bogiem, że ożeni się z nią, jeśli ona w ciągu roku urodzi mu syna.

Siedzi Henryk IV w swym gabinecie już kilka godzin, poci się nad zredagowaniem takiego dokumentu. Poszedł z nim do ministra Sully'ego, położył przed nim dokument, zapytał, co on o nim sądzi. „Co ja sądzę? – odpowiedział Sully. – Oto co ja sądzę” – wziął dokument do ręki i porwał go na drobne kawałki. „Zupełnie zwariował” – wymamrotał skonfundowany król. Poczłapał do swego pokoju, dokument znów na nowo począł pisać, aby go już bez akceptacji ministra przekazać swej wybrance.

No tak, Henryk IV ma absurdalny zwyczaj w chwilach miłosnych obiecywać swym kochankom, że ożeni się z nimi. Tak było z Koryzandą, z Gabrielle, tak jest teraz z panią d'Entragues. Co gorsza, dawał takie obietnice nie tylko ustnie, lecz także pisemnie. Poprzednie kochanki z tych dokumentów użytku nie czyniły, inaczej było z Henriettą d'Entragues. Kiedy otrzymała od króla taki dokument, oddała go ojcu na przechowanie, a ten już postarał się tak go schować, żeby nikt niepowołany go nie odnalazł. Rodzinka d'Entragues postanowiła zrobić użytek z tego dokumentu napisanego w ferworze miłosnego uniesienia przez Henryka IV. Oto jego treść: „My, Henryk IV, z łaski Bożej król Francji i Nawarry, obiecujemy i przysięgamy przed Bogiem i dajemy słowo honoru Panu François de Balzac d'Entragues, że

biorąc za przyjaciółkę jego córkę, Henriettę de Balzac d'Entragues, w przypadku zajścia jej w ciążę w ciągu sześciu miesięcy od daty podpisania tego dokumentu i urodzenia przez nią syna, ożenimy się z nią przed obliczem Świętego Kościoła, wypełniając wszelkie niezbędne oficjalne obrządki. Henryk IV, 1 X 1599 r.”

Zwróć uwagę na datę, Drogi Czytelniku. Dokładnie za dwa miesiące Henryk IV ma się ożenić z Marią Medycejską. Negocjacje są w toku i prawie na ukończeniu. No i w jakiej patowej sytuacji znalazł się lekkomyślny erotoman Henryk IV? Nie pozazdrościć tobie, królu!

Drogi Czytelniku, który to z klasyków wypowiedział maksymę: „Urzeczywistnienie jest zawsze mętne i miałkie, pozbawione wielkości oczekiwania”. Gdy Henryk IV ochłonął z pożądania, gdy nasycił swą chuć, pożałował napisania dokumentu i zapragnął go odzyskać. Zaczynają go męczyć wyrzuty sumienia. Zastanawia się i rozpacza, że lekkomyślnie dał słowo, którego nigdy nie będzie w stanie dotrzymać. Parlament nie dopuści, żeby królową Francji została kobieta nie posiadająca błękitnej krwi.

Boi się Henryk IV poważnych komplikacji. A tymczasem papa d'Entragues, spoglądając na puchnący brzusek córki, z nadzieją zaciera ręce. Raduje się papa, przecież już nie tak daleki jest czas, kiedy jego córka zostanie królową Francji. „Nie waź się, córuchno, urodzić córki” – grozi. Powtarza się historia sinobrodego Henryka VIII. Przecież to on, ociekając jadowitą śliną, wrzeszczał, gdy Anna Boleyn, jego druga żona, urodziła mu córkę, przyszłą królową Anglii Elżbietę I. Biegał z pianą na ustach po pałacu i wrzeszczał jak opętany: „Syna, choć chromego, choć kalekę, lecz syna chcę!”. A biedna jego trzecia żona, Jane Seymour, wpadła przed swoim porodem w straszliwą histerię, bojąc się, że urodzi córkę.

Ochłonął więc Henryk IV od swych miłosnych uniesień i stanowczo zażądał od Henrietty zwrotu dokumentu. I tu, Drogi

Czytelniku, stało się tak, jak z powieścią Leonida Andrejewa o pięciu powieszonych, o której Iwan Bunin powiedział: „Pan nas straszy, a my się nie boimy”. „Nie boimy się gróźb króla” – jednym głosem odpowiedzieli Henrietta i jej ojciec, pan d’Entragues. „A ja dokumentu nie oddam i nie liczcie na to, Wasza Wysokość” – odpowiedziała bezczelnie Henrietta Henrykowi IV, gdy kolejny raz nieśmiało poprosił o zwrot dokumentu.

„Wszystko mogą królowie, lecz ożenić się z miłości nie może żaden z królów” – śpiewała znana rosyjska piosenkarka. To prawda. Rzadko który z królów mógł sobie pozwolić na ożenek z miłości, chyba że interesy państwa i miłości były zgodne. Lecz tak bywa raz na sto lat. Biada tobie, o wielki królu! Zapłaczmy niczym perskie płaczki. „Płaczcie wraz ze mną!” – nawoływała Maria Antonina swe damy pałacowe, kiedy została ujawniona afera z naszyjnikiem królowej. Płaczcie... Lecz Sully nie płakał.

On, zdając sobie sprawę, jakie komplikacje mogą wyniknąć, jeśli ten fatalny dokument ujrzy światło dzienne, nalegał na Henryka IV, żeby niezwłocznie go odebrał. Korespondencja między Henrykiem IV i panną d’Entragues wcale nie przypomina miłosnej. Wałkuje się tylko jeden temat: zwrot dokumentu. Król w listach grozi konsekwencjami upartej rodzinie, jeśli nie odzyska rzezonego dokumentu. Pan d’Entragues w uprzejmych odpowiedziach unika drażliwego tematu. On do króla odnosi się z największym szacunkiem, lecz dokumentu nie zwróci. Król zagroził mu Bastylią. Pan d’Entragues wcale się nie przestraszył. Bastylia? Proszę bardzo. On jest gotów za prawdę posiedzieć w Bastylii. Jeśli tak się stanie, wówczas dokument może pojawić się w jakimś innym kraju, w Hiszpanii na przykład, albo w Rosji. I co wtedy? Wtedy cały cywilizowany świat dowie się, jak niesprawiedliwy i okrutny jest francuski król: więzi ojca córki, której dał pisemnie słowo, że się z nią ożeni. Jaki będzie wtedy autorytet króla na międzynarodowej arenie? Czy o tym nasz król pomyślał? – retorycznie pyta pan d’Entragues ministra Sully’ego,

który w imieniu Henryka IV przyszedł po ten dokument. A córka pana d'Entragues beczelnie i cynicznie roześmiała się, wysuwając triumfalnie do przodu swój spiczasty brzuch. No nie, sytuacja, powiedzmy otwarcie, patowa. A co to będzie, jeśli podczas ceremonii ślubnej z Marią Medycejską jakiś chłopiec zakrzyczy na całe gardło: „A król jest nagi!”. Czy inaczej: król obiecał ożenić się z Henriettą d'Entragues i nawet pisemny dokument na ten temat sporządził, a teraz słowo swoje łamie. Czy można wierzyć królowi, który nie jest wiarygodny i którego słowo znaczy tyle, co raz plunąć? Zwykłych urzędników za naruszenie danego słowa do więzień wrzucano. Pamiętasz chyba, Drogi Czytelniku, jak biednego Pickwicka wrzucono do więzienia, bo obiecał ożenić się z pewną wdową, a potem uciekł, łamiąc dane wcześniej słowo. Henryk IV w przerwach między bujnymi nocami z Henriettą, która już oddaje się ochoczo, pisze dziesiątki Mstów, w których błaga i straszy, żeby oddano mu dokument. Wreszcie wręcz zawył: „Na Boga, błagam, panie d'Entragues, zwróćcie mi ten dokument, ozłocę pańską córkę”. „A po co? – rzeczowo pyta d'Entragues. – Moja córka może być nawet królową Francji”.

W jednym z listów napisanych we wrześniu 1599 roku Henryk IV postawił kategoryczny warunek: dziś w nocy dokument ma być zwrócony, inaczej... Dalej biegły kropki. To straszne. Kropki mogą oznaczać, że głowę będą ścinać panu d'Entragues. Na dole listu znalazł się dopisek: „Proszę także odesłać mi pierścionek, który trzy dni temu nieopatrznie Pani podarowałem”. Całą noc czekał. Wstał dzień. Próżne oczekiwania, ani dokumentu, ani pierścionka królowi nie zwracają. Plunął Henryk IV na tę patową sytuację, jakoś tam będzie. Teraz najważniejsze, żeby Henrietta syna mu nie urodziła. Henryk IV błaga Boga, żeby urodziła się córka. Wówczas dokument byłby nieważny, utraciłby swoją moc. I był to, Drogi Czytelniku, jedyny w świecie król, który pragnął urodzenia się córki.

Katarzyna II, gdy jej syn, Paweł I, zaczął z Marią Fiedorowną

płodzić córki, rozpaczała: „Trudno będzie je wszystkie za mąż wydać”. Paweł narzekania matki wziął na serio i trzech synów spłodził. A ostatnia caryca, żona Mikołaja II, tak rozpaczała po urodzeniu czterech córek, tak pragnęła mieć syna, że wpadła w obłąd i swoją urojoną ciążę przyjęła za prawdziwą.

Natomiast pan d’Enragues srogo zabronił córce urodzenia córeczki. Od czasu do czasu macał jej brzuch, oglądał uważnie, żeby zgadnąć, kto tam rośnie: syn czy córka? Ponieważ brzuch był spiczasty, pan d’Enragues radośnie począł zacierać ręce, według opinii znachorek spiczasty brzuch oznacza, że w łonie matki rośnie syn.

Nie wiadomo, jak i czym zakończyłyby się te perypetie z dokumentem, jeśliby w sprawę nie wmieszała się natura, która już widocznie nie mogła dłużej patrzeć na psychiczne męki króla. Nadeszła burza z piorunami i błyskawicami. Piorun wtargnął do pokoju Henrietty przez uchylone okno, jej samej nie zabił, a dziecko w jej łonie, owszem. Henrietta ze strachu miała poronienie i, o zgrozo, płód był męskiego rodzaju.

Dawniej ludzi rażonych piorunem uważano za wybrańców bogów, jednak większość królów bardzo się bała piorunów. Dla ochrony przed nimi Oktawian August zawsze woził ze sobą skórę morskiego cielęcia. Tyberiusz podczas burzy wkładał na głowę wieniec z lauru, wierzył bowiem, że pioruny unikają liści wawrzynu. Karol Wielki kazał podwładnym sadzić na dachach domów bylinę, zwaną „brodą Jowisza”, która miała zabezpieczać je przed piorunami. Jakub I, król angielski, po prostu podczas burzy z piorunami ze strachu włąził pod łóżko i, zatykając sobie rękoma uszy i oczy, wył po cichu z lęku jak wystraszone szczenię. Pod łóżko w czasie piorunów włązili także Kommodus i Klaudiusz – cesarze rzymscy.

Rozpacza Henrietta, psioczy jej papa, zmuszony pożegnać się ze swymi marzeniami bycia ojcem królowej Francji. Raduje się egoista Henryk IV i radości swej ukryć nie potrafi, kiedy to

przyszedł w odwiedziny do chorej po ciężkim poronieniu Henrietty. Radośnie jej ręce całuje i brylanty wsuwa. A ona odwraca się; nie mogła wybaczyć swemu kochankowi, że tak egoistycznie potraktował jej poronienie. Szczęśliwy jest Henryk IV, że dokument utracił swoją ważność, z radości hojność go rozpiera. W jednej chwili Henriette uczynił markizą de Verneuil. Jakie jeszcze są we Francji zaszczytne tytuły dla kobiet? Dawajcie wszystkie je szybko, Henryk IV nagrodi Henriette tymi tytułami. Teraz nic mu nie przeszkodzi w zawarciu małżeństwa z Marią Medycejską. A na razie będzie rozkoszować się nadal wdziękami Henrietty, zabierać ją ze sobą na wojenne wyprawy i tam pod romantycznymi krzaczkami i ostrzałem nieprzyjaciela miłość będą uprawiać. Henrietta przytula się do Henryka IV z merkantylnym zamiarem, żeby spłodził jej następne dziecko. Nie ma głupich, Henryk IV, gorzkim doświadczeniem nauczony, jest teraz czujny. On swej spermy trwonić nadaremnie, niczym Onan, nie będzie. „Ty, Henryczku, mnie kochasz, nieprawdaż?” – przytula się do niego przymilnie Henrietta. „Nie ma głupich” – odpowiada ponuro Henryk IV. „Ja swoją chuć trzymam w rękach twardo. Nie nabierzesz mnie teraz”. No i trzymał ...w rękach, potem zmywał pachnącym mydełkiem. Oczywiście, że się nabierze, lecz to będzie znacznie później, już po przyjeździe Marii Medycejskiej, kiedy król na pięć lat, od 1600 roku po rok 1605, umieści Henriette w Luwrze, a jej pokoje będą naprzeciwko pokojów królowej. Urodzi Henrietta królowi dwoje dzieci, syna i córkę. Syn Gaston Henryk, książę de Verneuil, wraz z matką wystąpi przeciwko królowi, zawiązując spisek, lecz to historia dalszych lat.

Mocnym orężem Henrietty jest szantaż. Intryga i szantaż weszły jej w krew, stały się jej drugą naturą. Szantażowała króla bezpardonowo, grając na jego seksualnym uzależnieniu od siebie. Kiedy nie udał jej się szantaż z ciążą, zaczęła grozić Henrykowi IV, że odejdzie od niego, że go zostawi, doskonale wiedząc, że to byłoby dla niego zbyt bolesne, że nie mógłby tego przeżyć. Kiedy



do Henryka IV dotarły pogłoski, że Henrietta uczestniczy w spisku, którego celem jest zrzucenie go z tronu, usiłował z nią szczerze porozmawiać. Żalił się ministrowi Sully'emu po tej rozmowie: „Wczoraj rozstałem się z panią de Verneuil w skrajnym zdenerwowaniu. Po pierwsze, zaczęła kręcić na moją uwagę o jej stosunkach z bratem i innymi, odpowiedziała, że ja starzeję się i od tego staję się podejrzliwy. Że dalej tak być nie może i żebym przestał ją odwiedzać, bo spotykają ją przeze mnie same nieprzyjemności od królowej. Przy czym nazwała ją takim imieniem, że nie wytrzymałem i spoliczkowałem ją”.

No nie, policzka markiza de Verneuil nie daruje królowi. Demonstracyjnie spoglądając na królewskie okna, wyjeżdża z Luwru i z Paryża.

Król jest w rozpacz. On nie może obejść się bez swego narkotyku, bez Henrietty. Błaga Sully'ego, aby ją odnalazł i przywiózł do Paryża, obiecując ogromne przywileje. A na dodatek król ją przeprosi i wręczy niebotycznie drogi brylantowy pierścionek. „No, chyba że tak” – powiedziała Henrietta triumfująco, wkładając na palec drogi brylant z rodzinnej kolekcji Marii Medycejskiej. Kiedy królowa spostrzegła ten brylant na palcu kochanki swego męża, ciężkie jak groch łzy spłynęły na jej pulchne policzki. „Ta kurwa rządzi moim mężem” – było wypisane na jej twarzy. Dobrze, że nie państwem. Katarzyna Medycejska swego czasu powiedziała o kochance swego męża, Dianie Poitiers: „Ta kurwa rządzi państwem”. A co jest gorsze, Drogi Czytelniku?

Związek Henryka IV z markizą de Verneuil przetrwał z mniejszymi czy większymi przerwami dziesięć lat. Burzliwe to były lata, obfitujące w dramatyczne momenty niełaski i godzenia się. Do 1605 roku Henrietta przebywała w Luwrze. Nie była wierna Henrykowi IV, zdradzała go niemal od początku ich związku. Wiedział o tym i musiał to tolerować. Aż dziw nas bierze, Drogi Czytelniku, taki wielki król, z takimi rozległymi politycznymi

planami, mądry dowódca, zwycięzca, a płaszczy się przed kobietami i boi się bez pukania wejść do pokojów swych kochanek. Toleruje to, że mają kochanków, zgadza się z pokorą baranka na rolę „pokornego rogakza”. Zdumiewasz nas, Henryku IV!

Henrietta ma kochanka Joarille. Henryk IV nigdy nie przychodzi do sypialni Henrietty, kiedy tam gości jej kochanek. Nie wiadomo dlaczego tak postępował, nie był tchórzliwy, ani specjalnie tolerancyjny. A może to była jego gra, którą trudno nam odgadnąć? Dużo zagadek po sobie pozostawił Henryk IV. Kto je rozwiąże? Kto poświęci wiele czasu i trudu, żeby rozszyfrować tego hugenota, z łatwością przechodzącego na katolicyzm: „Paryż jest wart mszy”. Byle zwieść swych przeciwników, byle nie zginąć samemu w tej religijnej zawierusze, w tej walce między katolikami i protestantami. Był zbyt mądrym królem, żeby pozwolić sobie na powtórzenie Nocy Świętego Bartłomieja, z której cudem uszedł z życiem. Wprowadził edykt nantejski, który równał w prawach katolików i protestantów (Ludwik XIV pod wpływem „wiedźmy” de Maintenon go obali), kładąc kres wojnom religijnym w swym państwie.

Czyż nie mądry ten król, a z babami poradzić sobie nie może! Henrietta, być może, aby pobudzić zazdrość króla, być może w celu dokuczenia swej siostrze Marii, odbiła jej narzeczonego, Henryka de Guise. Nie kochała go, lecz uczyniła to, żeby udowodnić swoją niszczycielską siłę uwodzenia mężczyzn. Henryk de Guise już gotów nawet żenić się z Henriettą, lecz ona się do tego nie spieszy. Znając króla, czeka na jego reakcję. A on robi dobrą minę do złej gry z tym swoim zuchwałym: „A niech wychodzi za niego za mąż. Odebraliśmy Gwizjuszom chleb, pozostawmy przynajmniej im kurwy”. A sam po nocach spad nie może, aż idzie do Henryka de Guise i domaga się od niego unieważnienia ślubnej intercyzy. I znowu Henrietta triumfująco wraca do królewskiej alkowy. Znowu zaczyna się ta trudna miłość

z jadowitymi ukąszeniami nie damy, lecz żmii, z jej szyderstwem, naigrywaniem i szydzeniem z króla. Ścierał te plwociny i mamrotał: „Och, ty moja mała oso”. Lecz osa może swym żądłem śmiertelnie ukłuć. Nie wiesz o tym, Henryku?

Seksualne stosunki Henryka IV i pani de Verneuil były nieco specyficzne, diametralnie różniły się od tkliwych i lirycznych stosunków z Gabrielle. Tu wszystko było ordynarne, nader wulgarne, bardziej szczere i proste. Listy króla nie ociekały liryką, tylko ordynarną żądzą. Pisał do niej: „Winnaś porzucić te szorstkości, bo jako król i Gaskończyk nie umiem czekać cierpliwie”. Ona nawet nie raczyła odpowiedzieć na ten grubiański list, niedbale go kwitując: „Poczekasz sobie, nic się z tobą nie stanie”. On: „Będę jutro niezawodnie w twych ramionach o wpół do siódmej lub szóstej, będę z tobą godzinę, wypieprzę cię, jak się należy, wziąłem lek, który mi pozwoli bardziej chwacko spełnić twe zachcianki. Dopieszczę cię nie jak się należy, a jak zdołam”. Ona: „Kapitan chce, lecz nie może”.

Obwiniać Henryka IV, erotomana światowej sławy, o impotencję? Coś tu nie tak, Drogi Czytelniku. Wgłębiliśmy się w dokumenty i opinie biografów. Co wyjaśniliśmy? Z potencją Henryka IV było wszystko w porządku. Lecz zadowalał panie nieco inaczej, niż to było przyjęte na dworze królewskim. Damy pałacowe, doszczętnie zepsute na frywolnym dworze Katarzyny Medycejskiej, potrzebowały nieco innego jądła niż to, którymi karmił je król, bardziej wyrafinowanych pieszczot niż te, które im dawał zdrowy samiec Henryk IV. Wolały adorację, ubóstwianie siebie – czyli miłość dworską epoki Eleonory Akwitańskiej, a jednocześnie seks perwersyjny, wulgarny, zboczony. A ten zdrowy ogier Henryk IV nie troszczył się o ich seks, wyłącznie o swój. Stosował znamiennej maksymę markiza de Sade'a: „Gdzie widzieliście, żeby samiec, pies czy gołąb, troszczył się o przyjemność partnerki?” Nadażaj za samcem, jeśli możesz, kobieto, łap mgnienie szczęścia, jeśli potrafisz, póki twój samiec

nasyca swoją chuć. Nie dworski, lecz kolokwialny język towarzyszył Henrykowi IV i jego kochance w sypialni.

Janusz Kawryżka odtworzy nam scenę spotkania miłosnego Henryka IV z markizą de Verneuil: „Po wejściu do pokojów Henrietty Henryk IV bez ceregieli przystępuje do rzeczy, pomijając długą i żmudną grę miłosną, którą tak lubią panie, a tak nienawidzą mężczyźni, bo oddala ich moment nasycenia swej żądz. Zaczyna swym kolokwializmem: «No, stuknijmy się brzuskami, kochana». Wyciągnął na razie bezużyteczne narzędzie. Wiele tu zależy od partnerki, żeby uczynić go produkcyjnym. Ona starać się nie chce. Nie chce ssać, bo to ją poniża. Ona nim się brzydzi. On nie pachnie ambrą ani różami, on śmierdzi końskim potem i czosnkiem. «To mój męski zapach» – z dumą mawiał Henryk IV, nie zauważając, jak dwie jego żony, Margot i Maria Medici, idąc z nim do łóżka, starannie zatykały sobie nosy chusteczkami nasyconymi perfumami. Henrietta nie poniży się do kamuflażu. Ona mówi królowi wprost w oczy: «Śmierdzi od ciebie, Wasza Wysokość, jak od padliny». Henryk IV nie obraża się. Kochanka zdecydowanie odmawia całowania jego miłosnego narzędzia, no cóż, musi radzić sobie sam usilną masturbacją. Doprowadzone do stanu fizycznej sprawności narzędzie kieruje wprost do pochwy kochanki. Dla Henryka IV seks i polowanie to są wypróbowane sposoby na odprężenie w jego nerwowym życiu, pełnym zagrożeń i napięć. Królewskie miłostki na ogół były pozbawione większego i głębokiego uczuciowego wymiaru. Z Henriettą było inaczej. Potrzebował jej buntowniczego ciała niepokornej jałówki, jej sarkazmów ostrych jak nóż, jej niedbałości seksualnej, nawet jej obojętności wobec niego. To w nim rozpałało namiętność. Kto mądry niech nam powie dlaczego tak? Chociaż wielki Puszkina rozgryzł tę zagadkę, powiedziawszy: «Im mniej kochamy kobietę, tym ona bardziej szaleje za nami». Tu jest na odwrót: mało kocha kobieta, a dużo mężczyzna. Dezynwoltura kochanki działa na Henryka IV jak

płachta na byka. Rozpalony do wrzenia metalu zaczyna zdrowymi jędrnymi pchnięciami posiadać kobietę z taką zajadłością, jakby chciał na przełaj przekłuć jej trzewia. «Ostrożniej, ty gburze!» – wrzeszczy markiza de Verneuil, czyli po prostu Henrietta. «Nic ci się nie stanie, mimozo» – odgryza się Henryk IV. «Skończę z cipą, wezmę się za dupę» – obiecuje. «No nie, swego tyłeczka ja tobie nie dam – grozi Henrietta. – Macie go, czego mu się zachciewa zaledwie za mały brylancik. Ubzdurał sobie brać mnie od tyłu jak kobyłę. Niech twoja 'Bankierzyca' ci daje od tyłu, nie ja». Ale to tylko gadki. Henryk IV jest tu panem i władcą, kaprysy kobiety tu się nie liczą. Patrzeć tylko, jak cyniczna filozofia markiza de Sade'a znajdzie tu swoje zastosowanie: «Czy kochanek powinien liczyć się z zachciankami kochanki? Czy stając się niewolnikiem kaprysów i pożądań swej bogini, dążąc do jej zadowolenia, będzie mógł zająć się własnymi rozkoszami? Akt rozkoszy zakłada przewagę jednego z uczestników. Ktoś, kto obdarza lub podlega, nieuchronnie jest wyłączony z przyjemności»”.

To prawda! Gdy liczył się z seksualnym zadowoleniem Gabrielle, sam prawie nie miał satysfakcji. Z Henriettą jest inaczej. Słowem, można było o niej powiedzieć: „Jest w niej trochę diabła i mnóstwo seksualności”. Tyle, że słowo seks wtedy jeszcze nie istniało. Mnóstwo wyuzdania? Jedna z dam pałacowych powiedziała o niej: „Piękną jest ta diablica, lecz kurwa z niej nie z tej ziemi”.

„Cicho bądź, zaraz cię nasycę, przynajmniej dwa razy” – obiecuje Henryk.

Pokaż mi, Drogi Czytelniku, jeszcze takiego oryginalnego króla na świecie, który by w seksie, mimo jawnej galanterii, przejawiał tyle cynizmu w stosunku do kobiety. Swojej cynicznej filozofii nie krępował się przedstawić Henriecie, bowiem tylko z nią mógł być sobą i zupełnie szczerym. Sprowadzała się ta egoistyczna filozofia epikurejczyków do tego, że to mężczyzna musi mieć najwyższą seksualną satysfakcję, nie kobieta. „Czy pies

czy gołąb przejmuje się swą towarzyszką, gdy używa jej dla własnej rozkoszy? Jeśli wyposażył nas Pan Bóg w większą ilość zmysłów niż zwierzęta, to jedynie po to, byśmy naszą rozkosz mogli czynić bardziej wyrafinowaną”. Tak brzmiała jego filozofia, której tezy niezwłocznie przekazał markizie de Verneuil – kobiecie jego marzeń. Niech dostosuje się do rad mężczyzny. A ta niemądra, narowista kobyłka wszystko przeniecała na własną modłę. Nie będzie uprawiać z królem żadnej perwersji, bo to jej godność kobiecą obraża. Zachciewało się jej dwornej miłości, rozmów o literaturze i filozofii, słuchania muzyki. W Japonii zanim kimono gejsza zrzuci, długo będzie trwała intelektualna mitręga. Seks z Japonkami był wspaniały – rozpusta podniesiona do wyżyn niebios. Ekstazy, piękna kopulacja odbywała się przy wtórze muzyki, perwersje seksualne osiągały niebywały poziom, równały się z seksem uprawianym przez bogów na Olimpie. Oto piękna gejsza o nazwie ojrana, a na dodatek jest bardzo powściągliwa w erotycznych pieszczotach. Ona nie będzie swej chuci eksponować, wysuwać i drzeć w przeczuciu zbliżającego się orgazmu. Ona kulturalnie i estetycznie położy się na łożu, zajmie pozycję zranionej sarny, być może wyszepta: „Boli mnie”, żeby partner, to znaczy mężczyzna, obchodził się z nią delikatnie. Mężczyzna w zetknięciu się z takim wdzięcznym lękiem, któremu towarzyszyły miny niezepsutej dziewczynki, stawał się Herkulesem. Seks z ojrana dawał mu najwyższą satysfakcję – zwłaszcza jeśli sam był nie bardzo Herkules, taki sobie, średniej grubości i długości. Taki mężczyzna nie lubi agresji i seksualnej aktywności kobiety.

Henryk IV często kłócił się z Henriettą i wówczas seksu nie było. Postanawiał wówczas seksualnie nie pościć, tylko wziąć sobie zastępczą kochankę, ma się rozumieć, na krótki okres. A ta niemądra, osiemnastoletnia Jacqueline de Bueil, niemal pierwszej nocy zaszła w ciążę. Musi Henryk IV czym prędzej zapłacić kawalerowi de Champrallon sporą sumkę, żeby zechciał ożenić się z ciężarną królewską kochanką. W 1607 roku Jacqueline urodziła

królowi syna Antoniego. Dziecko naturalnie natychmiast matce zabrano. Będzie wychowywać się w specjalnym pałacu Henryka IV wybudowanym dla jego bastardów, a było ich czternaście sztuk, spłodzonych z różnych kobiet. Wybudował Henryk IV zamek Moret, gdzie pod nadzorem jednej matki, Marii Medycejskiej, wraz z jego dziećmi z prawowitego łoża wychowywały się bastardy. Bowiem Henryk IV w odróżnieniu od innych królów swoich dzieci na pastwę losu nie rzucał (*sic!*), nie rozsiewał bastardów po świecie, rosły razem z jego dziećmi z prawowitego łoża. Miała ta gromada tylko jedną matkę, Marię Medycejską. Taki oto ciężki obowiązek narzucił Henryk IV na plecy swej żonie. Maria Medycejska Matką Teresą z Kalkuty niewątpliwie nie była, z serdecznością do nie swoich bachorów się nie odnosiła, doświadczyły od niej szturchańców, lecz co robić? Nie każda przecież królowa była gotowa serdecznie polubić nieślubne dzieci swego męża. Przecież ta „Bankierzyca” nie była Oktawią, żoną Marka Antoniusza. Kochanki jej męża po zapomogę dla swych bękartów do niej nie przychodziły, bały się jej. Bowiem znany jest, Drogi Czytelniku, przykład, jak do królowej Margot, pierwszej żony Henryka IV, przyszła jego była kochanka, mając na rękach jego dziecko, i poczęła się skarżyć, że Henryk IV zostawił ją bez środków do życia, narażając swe dziecko na głodową śmierć. Miłosierna Margot wyznaczyła kochance męża dożywotnią pensję na utrzymanie dziecka, skoro sam król o tym zapomniał. Zresztą stosunek Henryka IV do jego dzieci był różny, w zależności od tego, czy kochanka pozostawiła po sobie wrażenie na królu, czy nie. Jednym ekskochankom Henryk IV zabezpieczał przyszłość, wydawał je za męż, nawet nieraz spłodzone dzieci legalizował, o innych zapominał, mało troszcząc się o ich przyszłość, często omal przymierały głodem, albo wiodły żebraczą egzystencję.

Nie potrafił Henryk IV uciszyć swej kochanki Henrietty. Nie potrafił odkochać się w niej. W tym tkwił jego dramat. Henrietta

była po prostu bezkonkurencyjna i ogromnie wpływała na zmysły Henryka IV. Dowcipna, zła, uszczypliwa, urocza, wesoła, atrakcyjna, a nade wszystko nadzwyczaj inteligentna. Niektórzy władcy (na przykład Napoleon Bonaparte) nie lubili inteligentnych kobiet. Henryk IV przepadał za nimi. Na jego nieszczęście było ich mało w Luwrze. Nie należała do ich grona Gabrielle, jego „piękny anioł”. Henrietta zaś była właśnie taką kobietą, która swym poziomem umysłowym absolutnie odpowiadała Henrykowi IV. On nawet jej napady szału traktował jako jej osobisty urok.

Richard von Krat-Ebing, światowej sławy Seksopatolog, powiedział: „Gdy w rachubę wchodzi żądza, monarchii grozi niebezpieczeństwo popadnięcia pod władzę metres, co może przynieść tragiczne skutki dla państwa”. Lecz ta uwaga odnosi się raczej do epoki Ludwika XV, a nie Henryka IV. Niemniej Henrietta d’Enragues miała kolosalny wpływ na dzieje państwa. Niczym magnes, przyciągała ku sobie króla. Parafrazując Dostojewskiego, można by powiedzieć: „seks to wielka siła”. Henryk IV nigdy nie nudził się z nią. Zawsze budziła jego seksualne pożądanie, a te jej sarkastyczne powiedzonka, uśmieszki, drwiny z króla jeszcze bardziej rozpałały jego żądzę. Niezwykle podniecało króla, że jego kochanka odnosiła się do niego nie z szacunkiem i nabożeństwem przynależnym królewskiemu majestatowi, ale jak do wiejskiego parobka, którego można wyzwać od najgorszych i nawet za uszy pociągnąć. Podobnie smakosz potrzebuje ostrego dania, nawet jeśli szczypie go w język i drażni podniebienie. Havelock Ellis przecież powiedział: „Większość szczęśliwych czy nieszczęśliwych małżeństw zależy od tego, ile małżonkowie seksualnie są dopasowani”. Tu dopasowanie było równoznaczne z niedopasowaniem i właśnie okazało się tym, co było tak potrzebne Henrykowi IV. Rozpaczać, szaleć, nienawidzić, ubóstwiać, na Boga, jakie jeszcze namiętności tai w sobie ten niecodzienny związek króla Henryka IV z Henriettą? Było tam wszystko, poczynając od odrazy, kończąc na uwielbieniu, nie było



tylko nudy. Henrietta, będąc wykształconą kobietą, wniosła w seksualne stosunki z królem dozę wulgarnej rozpusty dziwki i to był konglomerat najwyższego seksu, podawany z wdziękiem intelektualizm został zmieszany ze zmysłowością prostytutek, lecz wszystko było serwowane z gracją, elegancją i prostotą.

Temat tej książki, Drogi Czytelniku, dyktuje nam jej specyficzną kompozycję. Stąd tyle dygresji i odstępstw od chronologicznego prezentowania wydarzeń. To, na co można sobie pozwolić w monografii o ściśle określonej tematyce, nie przystoi książce, której struktura narracyjna to swoisty historyczny reportaż, usprawiedliwiający filozoficzne rozmyślenia i liczne dygresje. Powróćmy zatem do tych czasów, gdy do Luwru, na dwór Henryka IV, przyjechała „Bankierzyca” i „Gruba barka” (tak Henrietta nazywała królową).

Henryk IV przyprowadził Henriettę do żony i powiedział: „Pani, to moja była kochanka, obecnie jest twoją służką, będzie wiernie tobie służyć”. A gdy dumna Henrietta niewystarczająco nisko ukloniła się królowej, Henryk IV wziął jej głowę i przygniółł omal do ziemi. No i zaczynają się dantejskie sceny w Luwrze, gdzie naprzeciw siebie mieszkają kochanka i żona. Ona, Maria Medycejska, zazdrosna florentynka, w której żyłach płynie gorąca włoska krew, rzuca się na Henryka IV, domagając się natychmiastowego wydalenia kochanki z królewskiego pałacu. On tego nie czyni (aż do 1605 roku Henrietta przebywała w Luwrze). Pewnego razu rozwścieczona zamachnęła się, aby spoliczkować Henryka IV. Całe szczęście, że Sully był obok, schwycił rękę Marii Medycejskiej, zapobiegł znieważeniu króla.

Maria nie była przygotowana na to, żeby tolerować obecność kochanki w Luwrze. Zamieniła życie małżeńskie w piekło. Posłuchajmy, co na ten temat miał do powiedzenia minister Sully: „Królowa, która z natury była mało serdeczna, ze względu na swoje pochodzenie miała gwałtowną skłonność do zazdrości. Nie mogąc dać upustu swej nienawiści do rywalki, miała ciągle

pretensje do męża. Biedny Henryk jest w rękach dwóch kobiet. On nie potrafił być srogi wobec kobiet. Maria nie ukrywała nienawiści do dzieci Gabrielle i Henrietty”.

A król z jakąś sadystyczną satysfakcją trzymał Henriette obok żony i okazywał jej, kochance, wyraźne oznaki miłości. Podczas jednej ze strasznych kłótni Henryk IV zapytał swego ministra, co on mu radzi zrobić. Sully odpowiedział: „Henriette wraz z dziećmi należy wysłać do Kanady, Concinię wraz z Leonorą Galigai (koleżanka Marii Medycejskiej, mająca na nią ogromny wpływ) do Włoch. Kłótnie wtedy ustaną”. Był 1 stycznia 1606 roku. Musiał Henryk IV rozstać się na jakiś czas z Henriettą, żeby nie drażnić rozjątrzonej żony, struna przecież mogła pęknąć. Maria Medycejska natomiast zdecydowanie odmówiła rozstania się ze swoją koleżanką, Leonorą Galigai, i jej mężem Concinim. Bez tej pary, od której była uzależniona, nie wyobrażała sobie życia.

I tak trwała ta trudna miłość króla do Henrietty, dopóty nie wzięła ona udziału w zawiązanym w 1605 roku spisku przeciwko niemu. Pisaliśmy, Drogi Czytelniku, w poprzednich książkach o spisku marszałka Birona, który wystąpił przeciwko królowi i stracił z tego powodu swoją głowę, odcięta katowskim toporem. Otóż w tym spisku, który inspirowała Hiszpania i jej król Filip II, uczestniczyli Henrietta, jej ojciec i przyrodni brat. Celem spisku było zdetronizowanie, a nawet zgładzenie króla i osadzenie na tronie francuskim syna Henrietty i Henryka IV, Gastona Henryka, księcia de Verneuil.

Henrietta, która godnie nosiła tytuł markizy de Verneuil, wciąż miała w garści króla, przechowując dokument – królewską obietnicę ożenienia się z nią. Spisek wszedł w swoją istotną fazę, kiedy teoretyczne działania poczęły przechodzić w sferę działań praktycznych. Na szczęście, został ujawniony. Bironowi ścięto głowę, a reszta klanu d’Entragues została aresztowana.

Znalazłszy się w Bastylji, pan d’Entragues, obawiając się o

swoje życie, zwrócił Henrykowi IV ten nieszczęsny dokument. Był ukryty w butelce, którą zamurowano w jednej ze ścian zamku. Wyobraźmy sobie z jaką nieopisaną radością spalił Henryk IV ten dokument. Na zawsze został wyleczony z dawania swym kochankom pisemnych obietnic o ożenieniu się z nim. Sąd królewski za udział w spisku przeciwko królowi skazał pana d'Entragues na karę śmierci. Henryk IV w drodze łaski zamienił ten wyrok na dożywocie. Kiedy wszystko ucichło, po kilku miesiącach, na mocy tajnego rozkazu króla, wypuszczono d'Entraguesa z więzienia, a on, co sił w nogach, uciekł za granicę, chyba do Niderlandów, gdzie mieszkał do śmierci.

Henrietta również została aresztowana, król nie mógł inaczej postąpić, chociaż silnie z tego powodu ubolewał i oczekiwał, iż kochanka okaże przynajmniej skrucę, wówczas można będzie ją ułaskawić. Lecz Henrietta, jak zawsze dumna, ani na jotę nie zmieniła swego postępowania w stosunku do króla. Henryk IV mocno to przeżywał. Sully, widząc, w jakim stanie król się znajduje, usiłował wpłynąć na Henriettę, którą odwiedził w celi więziennej, żeby złagodziła swój stosunek do króla, schowała swą dumę, wykazała trochę pokory. Przecież tego od niej oczekuje król. „Co?!” – zakrzyczała Henrietta,omal nie spoliczkowała ministra. – Poniżać się przed Henrykiem IV? Nie, ona prędzej swoją głowę na pniu złoży, jak Anna Boleyn. Ale jak Henryk IV może odciąć tak piękną główkę? On nie Henryk VIII, Henrietta pozbawiona głowy żadnej przecież wartości dla Henryka IV nie miała. O nie, ona jest mu potrzebna żywa, z krwi i kości, z jej uszczypliwymi uwagami i niezrównaną cipą.

Sully poszedł do matki Henrietty, pani Marii Touchet. Przyprowadził ją do królewskiego pałacu. Rzuciła się do nóg Henryka IV i błagała go, żeby darował i wybaczył jej mężowi, synowi i córce. Dosłownie zalewała łzami buty króla. Oni lekkomyślni, źli ludzie ich przekabacili, wystąpili przeciwko królowi. Henryk IV pocieszył wielką kochankę Karola IX, prosił,

aby się uspokoiła, obiecał, że życie jej rodzinie zostanie darowane.

Królewski sąd skazał Henriettę na dożywotnie zamieszkanie w klasztorze. Wkrótce Henrietta wraz z dziećmi uciekła do Hiszpanii, do Filipa II, który wyznaczył jej rentę w wysokości 50 000 liwrów rocznie i obiecał, że jej syna, Gastona, ożeni ze swoją młodszą córką.

## **Leopold II umiera od nadmiaru afrodyzjaków**

Austriacka cesarzowa Maria Teresa, nazywana „Teściową Europy”, bardzo kochała swego drugiego syna, Leopolda, a jednocześnie martwiła się o niego. Kochała, bo był jej powolny i posłuszny. Kiedy mu powiedziała, że ma się ożenić z dziewiętnastoletnią córką hiszpańskiego króla, Karola III, Leopold, mimo iż bardzo kochał inną panią, bez słowa protestu podporządkował się jej życzeniu. Martwiła się zaś, bo syn przejawiał niezdrowy i jawnie nieumiarkowany pociąg do erotyki, bez wątpienia odziedziczony po ojcu erotomanie, Franciszku Stefanie. A wedle mamy to do niczego dobrego nie doprowadzi. Nie pomyliła się. Jej syn zmarł od przedawkowania afrodyzjaków. Co prawda odezwały się i inne głosy, że został otruty. Nie wiadomo było tylko, czy przez jezuitów, czy przez masonów.

Leopold II miał silny charakter. W swym Wielkim Księstwie Toskanii, którego był władcą, zaprowadził porządek i dobrobyt. Okazuje się, że można to uczynić, gdy władca jest mądry i dba o swoje państwo, a nie tylko o własne koryto.

Swe erotyczne życie Poldek – tak mama, Maria Teresa, nazywała swego syna Leopolda II – zaczął bardzo wcześnie, lecz nie tak, żeby na starcie od razu obłóżyć się całym haremem. Nie, on będąc śmiertelnie zakochanym w jednej kobiecie, pozostawał jej wierny. Najpierw zakochał się w hrabinie Józefie von Erdödy, pięknej Węgierce o wybujałym temperamencie. Bardzo do siebie pasowali pod tym względem. W łóżku była zgodna harmonia, nawet małe zboczonka seksualne mieli wspólne. Jeśli Leopold miał chęć na miłość oralną, hrabina Erdödy, osóбка wyzwolona i niepruderyjna, problemu z tego nie czyniła. Nie piszczała, jak inne panny: „No nie, tego nie uczynię. Ta perwersja poniża moją kobiecą dumę”. Byli dopasowani do siebie niczym dwie kaczuszki mandarynki, tym trudniej było Leopoldowi II zostawić kochankę, kiedy po ukończeniu dziewiętnastu lat musiał ożenić się z

nieładną (portret to pokazywał) Marią Ludwiką, córką hiszpańskiego Karola III. Lecz co ma robić? To nie on decydował o wyborze swej żony. Rozstając się z piękną Józefą, zapisał w pamiętniku: „Ta skłonność uwolniła mnie od innych namiętności, będę wobec niej na wieki zobowiązany”. Powinien Leopold podziękować swej hrabinie także za to, że ochroniła go od choroby wenerycznej, tak wówczas rozpowszechnionej we Florencji, stolicy tokańskiego księstwa. Co prawda niektóre źródła historyczne, które zostały wytworzone dzięki zerkanu przez dziurkę od klucza, mówią, że Leopold II, żeby uchronić się od chorób wenerycznych często stosował kondom, albo z gumy, którego wynalazcą był doktor Condom, ale z jelit owcy, autorstwa Casanovy, a może był to kondom, jaki niegdyś przygotowano dla Ludwika XIV, wyłożony aksamitem i jedwabiem, ozdobiony wstążką. A jakżeby inaczej? Taki majestatyczny Król Słońce miałby używać zwykłego kondomu? Fe! Nie śmieszcie ludzi. Co prawda nie wiemy, jak można było doznawać seksualnej rozkoszy w takiej haftowanej, aksamitnej pyszności na swym penisie, lecz to nieistotne.

Porzucając swą temperamentną kochankę, Leopold II na życzenie swej mamy, Marii Teresy, pragnącej Austrię zjednoczyć z hiszpańskimi Bourbonami, w 1765 roku żeni się z Marią Ludwiką, nazywaną Luizą. I o dziwo! Luiza, na przekór portretowi, który przedstawiał ją jako rudą brzydulkę, w rzeczywistości okazała się blondynką o miłej powierzchowności i nienagannych manierach, o jasnej cerze i pięknych ząbkach, co u księżniczek i hrabianek tamtych czasów było rzadkością, jadły bowiem na ogół dużo czekolady i zęby miały z reguły doszczętnie zepsute. Podziękowałby Leopold II swojej mamie za dobry wybór żony, gdyby był w dyspozycji. Lecz, niestety, męczy go biegunka. Nie jest w stanie nawet porządnie ucałować narzeczonej, bo większą część swej ślubnej ceremonii spędziła, w klozecie. Paskudna to choroba biegunka, a tu jeszcze okazało się, że Leopold ma

zapalenie jelit, leży nieborak prawie umierający. Nieszczęść nigdy dość. W tym czasie jego ojciec, Franciszek Stefan, zmarł nagle na atak serca. No nie, ktoś inny mógłby się załamać pod gradem takich nawałnic. Lecz Leopold był człowiekiem silnym duchem. Powiedział: „Nie poddam się, nie pozwolę, żeby nieszczęścia dopadały mnie i rujnowały mi życie”. I nie poddał się, bo siła woli czyni cuda. Wyzdrowiał Leopold. Księża, który przyszedł doń z ostatnim namaszczeniem, przegonił. Zaczął regularnie płodzić dzieci. Szesnaścioro dzieci urodzi Leopoldowi płodna Hiszpanka, w ich liczbie aż dziewięciu synów. Wszyscy synowie przeżyją rodziców, co świadczyło, że Maria Ludwika była dobrą matką, dbającą o swe potomstwo.

Maria Teresa już spała, kiedy nadeszła wiadomość o narodzeniu pierwszego wnuka, późniejszego cesarza Franciszka II i cesarza Austrii (jako Franciszek I). Ledwie rozbudzona, w niekompletnym stroju przebiegła na grubych jak beczułki nóżkach korytarze pałacu w Hofburgu, wpadła do teatru zamkowego Burgtheater, gdzie odbywał się spektakl, wskoczyła do łoża królewskiej i z całych sił zakrzyczała: „Dzieci, Poldek ma chłopaka!” Publiczność zaczęła bić brawo, bo lubiła swoją cesarzową i podzielała jej radość. Teraz jej starszy syn Józef II, po śmierci żony Izabeli, już nie musi płodzić syna ze swą niekochaną drugą żoną. Cesarzem Austrii może przecież zostać syn Poldka, co zresztą urzeczywistniło się w przyszłości.

Dziewięć razy Maria Teresa w niekompletnym stroju wybiegała do łoża królewskiej, żeby zawiadomić swych poddanych o narodzeniach kolejnych wnucząt. Och, dałaby już temu spokój, na poddanych już te wiadomości nie robiły wrażenia. Zapewne cieszyła się, że synowa dogoniła ją, ona przecież swemu mężowi, erotomanowi Franciszkowi, urodziła szesnaścioro dzieci.

Kto myśli, że erotoman może zadowolić się jedną kobietą, swoją małżonką, ten głęboko się myli. Erotomanowi dla dobrego samopoczucia potrzebne są dwie-trzy kobiety dziennie. Leopold

prostytutek austriackich i tokańskich do swego łoża nie zapraszał. Czego nie było, tego nie było. Dbał o zdrowie i bał się chorób wenerycznych. Za to silnie eksploatował swe stałe kochanki, których liczba również była umiarkowana, bo Leopold doszedł do słusznego wniosku: więcej kochanek – więcej kosztów. A ponieważ był chorobliwie oszczędny, żeby nie powiedzieć – skąpiec, starał się maksymalnie eksploatować te swoje nieliczne kochanki. Jednak włoska tancerka, Liwia Raimondi, nie pozwoliła królowi tokańskiemu, aby ten zbyt mocno ją wykorzystał – urodziła Leopoldowi tylko jednego syna, Ludwika. Później, kiedy syn Leopolda II, Franciszek II, został cesarzem Austrii, przegonił Liwię z Wiednia wraz z jej synem, a swym przyrodnym bratem, zabierając im podarowane przez ojca posiadłości. „Niech podziękuje ta kurwa, że brylantów jej nie zabrałem” – podsumował cesarz swoją decyzję o konfiskacie majątków i pałaców Liwii. On, chociaż również należał do gatunku erotomanów, ale w odróżnieniu od innych miewał tylko żony. Miał je aż cztery sztuki. Wybaczcie, kobiety, że Uczę was na sztuki, ale byłyście przecież polityczno-seksualnym towarem służącym wyłącznie do prokreacji. W zemście za to aż trzy żony Franciszka II nie urodziły mu żadnego dziecka, mimo iż kazał, zanim się z nimi ożenił, aby mierzono ich biodra, czy są dostatecznie szerokie. Ale zostawmy syna Leopolda II, nie jest on przedmiotem naszych rozważań o erotomanii.

Jak wiadomo, apetyt wzrasta w miarę jedzenia. W miarę upływu czasu erotomania Leopolda II rozwija się i przybiera groźne rozmiary. On nie pozostawia w spokoju nawet pokojówki swej żony. Żona, biedna, zahukana niewiasta, w imię wyższego dobra – trwania małżeństwa, opuszczała niby to w niewiedzy oczy, kiedy w ustronnym kącie pałacu natrafiała na swego męża podszczypującego i poklepującego po tyłku pokojówki. Przez pewien czas kochanką Leopolda II była Angielka, lady Anna Cowper. Pochodziła, niestety, z zimnego kraju i jej temperament



był dokładnym odzwierciedleniem angielskiego klimatu: mglisty i dżdżysty, a Leopold potrzebował kobiety o ognistym temperamentie. Właśnie wtedy zamienił zimną Angielkę na ognistą Włoszkę, Liwię Raimondi. Wielce obrażona Angielka udała się do Londynu, oburzona, że kochanek nie docenił jej wrodzonej gracji, co według niej było znacznie cenniejsze od rubasznej ognistości. Liwia, przeciętna tancereczka, często wygwizdywana przez publiczność, znalazła zrozumienie w objęciach Leopolda II, który jak mógł, tak starał się zaspokoić jej próżność, tłumacząc, iż publiczność po prostu nie zna się na sztuce. W podziękę Liwia pozwalała kochankowi robić wszystko co zechce z jej ciałem, nie wyłączając perwersyjnych elementów seksu. Na ogół, Drogi Czytelniku, biografowie unikają tego drażliwego tematu, czyli seksu w królewskich alkowach, a zwłaszcza w wydaniu władców erotomanów. Tym cenniejsza jest nasza wiedza (skromność autorki cudowna, nie ma co) na ten temat. Przyznajemy się, że musieliśmy w stogu plew wyszukiwać te perły, dosłownie po ziarenku. Wiem dokładnie, że doświadczeni w seksualnym życiu erotomani z upływem czasu i w wyniku zaniku potencji stosują coraz to bardziej odrażające seksualne perwersje. Nie uniknął tego i Leopold II. Będąc niezłym chemikiem, w swym laboratorium przygotowywał coraz to nowe środki pobudzające męską potencję. Były to niebezpieczne chemikalia na pograniczu narkotycznych, przedawkowanie groziło śmiercią. Nie każda kochanka potrafiła zadowolić Leopolda II, a o żonie nie ma co mówić: leżała w horyzontalnej pozycji zarówno podczas porodów, jak podczas seksu, cicho i spokojnie. Mogła w tym momencie gryźć jabłko, swojej jaźni nie angażując w dzieło, które uważała za dopust Boży, za odrażający i służący wyłącznie prokreacji. Zmysły Leopolda II mogła zadowolić tylko Liwia Raimondi. „Uniósł ją wysoko i grzmocił silnymi pchnięciami, potem odwrócił ją tyłem i położył na brzuchu. Wchodził w tę aurę oporną i ciasną jak imadło i jakiś czas otrzymywał rozkosz, aż zmęczył się bardzo. Był

z obolałymi jajami i przekrwionym kutasem”. Ach, za dużo tu wulgarności w tej scenie pasującej nam do stosunku Leopolda z Liwią – lecz w interpretacji pornografa Normana Mailera.

Elfriede Jelinek taką scenę przedstawiła bardziej subtelnie: „Stoi przed nią z otwartym sercem i rozporkiem. Kobieta czeka pokornie jak suka przed samcem, jak muszla klozetowa, do której mężczyzna wyleje swe nieczystości i w nią się wypróżni. Wyliź wszystko do czysta i oczyść mnie z moich nieczystości, i pozostaw zadbanym”. Kobieto, polub perwersję mężczyzny, gwarantujemy, że twoje pożycie z nim będzie udane. Akademia Nagrody Nobla wiedziała, co czyni, kiedy wręczała tej laureatce czek na milion dolarów. A nasza akademia Nagrody Nike jeszcze bardziej wiedziała, co czyni, kiedy wręczała doroczną nagrodę młodej pisarce epatującej wiązkami niecenzuralnych wulgaryzmów, których pozazdrościłby jej pijaczyna z przystanku autobusowego. Grunt to szczerą prawdą, nie przysłoniętą woalką pięknych słówek podczas aktu miłosnego, skądinąd porażającego w swej ohydzie. Kobieto, pokochaj moją perwersję. Powiedzenie: „W tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz” ma teraz inne zabarwienie. Nie tylko chciało, lecz lubiło te perwersje. „Wielu mężczyzn nie może osiągnąć rozkoszy z żoną, gdyż zmusza się do skrywania swych pragnień seksualnych, czasem perwersyjnych, czuje pewien niedosyt, a nawet rozczarowanie” (K. Imieliński, „Miłość i seks”).

Liwia Raimondi w podzięcie za dobrodziejstwa materialne, którymi obdarowywał ją Leopold II, była gotowa na każdą perwersję. Używając języka Janusza Kawryżki, można by powiedzieć, że ze spermą Leopolda II było wszystko w porządku: z szesnaściorą spłodzonych przez niego dzieci z Ludwiką aż dwanaścioro przeżyło rodziców i znacznie zasiliło dom austriacki w dziedziców. Późniejsze błogosławieństwo domu austriackiego w postaci licznych książąt i księżniczek wywodziło się właśnie od płodnej Ludwiki. Niestety, na nią te liczne porody podziały

bardzo rujnująco. Straciła, biedaczka, zdrowie. Utraciła resztki powabu i urody, stała się suchą, bladą, wycieńczoną. Dziwi nas i ogromnie porusza, Drogi Czytelniku, ten bezprzykładny egoizm mężów, którzy robią ze swych żon dzieciородne samice, nagradzając je co roku dzieckiem. Można jeszcze jako tako zrozumieć wielkiego poetę rosyjskiego Aleksandra Puszkina, który płodził dzieci swej żonie, petersburskiej piękności Natalii Gonczarowej, przez zazdrość, jaką żywił wobec cara Mikołaja I. Uważał bowiem, że brzemienny brzuch żony uniemożliwi jej bywanie na carskich balach. Rozumiemy wysiłki małżeńskie pana Zawadzkiego, który swej pięknej żonie, Zofii, córce Izabeli Czartoryskiej, ciągle płodził dzieci. Dziewięcioro ich urodziła, jej organizm nie wytrzymał takiego porodowego nasilenia, zmarła wycieńczona doszczętnie porodami, nabawiwszy się suchot, ale usatysfakcjonowała niesłuszną zazdrość męża. On, ten Zawadzki, tak jak i Puszkina, uważał, że ciążę żony odciągną ją od balów i festynów, na których tak łatwo o kochanka. Mężowie egoiści, którzy z zazdrości robicie ze swych żon samki-reproduktorki, bądźcie przeklęci. Lecz tu, w Toskanii, Leopold II nie przejawiał zazdrości w stosunku do skromnej, nieśmiałej, pokornej i cichej żony. Z zawziętością płodził dzieci, aż do upadłego, aż do wstrętu, aż do wymiotów, uprawiając nienawistną kopulację z wyschniętą i wycieńczoną żoną. Jak objaśnić ten męski egoizm? Tylko egoizmem, niczym więcej.

Ludwika tak daleko posunęła się w swej uległości do kochanek męża, że czyniła je swymi koleżankami.

W 1790 roku umiera Józef II, cesarz Austrii, syn Marii Teresy. Dzieci męskiej płci ze swymi dwiema żonami nie miał. Na tron austriacki wstępuje Leopold II. Nie bardzo mu się chce wyjeżdżać do Wiednia ze swej cudownej Florencji, w której czuł się swojsko, jak ryba w wodzie. Uszczęśliwił ją dobrobytem i bogactwem, bo mimo swej erotomanii był sprawiedliwym i bardzo zdolnym władcą. Lecz służba nie drużba. Zabiera do Wiednia

także swoją kochankę, Liwię Raimondi, z dziećmi i jej liczną rodziną, składającą się z ciotek, wujaszków i innych pasożytów. Zafundował jej ogromny dom i zaczął żyć patriarchalnym życiem pod boki troskliwej żony i temperamentnej kochanki. Żona zaprzyjaźniła się z Liwią, często wspólnie panie szydełkowały czy wykonywały jakieś inne pożyteczne robótki. To dopiero godna uznania tolerancja żony wobec kochanki męża! Potraficie tak? – pytam się współczesnych żon. W 1791 roku Leopold poczuł, że traci swoje seksualne siły. Już nie był niezrównanym byczkiem, jego potencja zaczął jawnie szwankować. Zaczęła też słabnąć pamięć. Według Owidiusza jest to jawna oznaka przesytu seksualnego. Przecież nadmiar seksu niesamowicie szkodzi zdrowiu. Zamiast się tym przejąć, Leopold II faszeruje się mocnymi afrodyzjakami. Czyni to, żeby dogodzić temperamentnej Liwii i samemu odczuwać satysfakcję seksualną, która ostatnio nieco przygasła.

No i stało się wielkie nieszczęście. 27 lutego 1792 roku Leopold II zmarł w wyniku przedawkowania mocnego środka na potencję swego autorstwa. Lekarze przyspieszyli jego zgon, czterokrotnie w ciągu dwóch dni dokonując zabiegu puszczenia krwi. Wykrwawiły konowały na śmierć króla, a on sam wykrwawił siebie zbyt dużą ilością do mocnych erotycznych wrażeń. Na austriacki tron wstąpił jego syn, Franciszek II, też niepoprawny erotoman, lecz skromny: pieprzył wyłącznie swe cztery żony, kochanek nie miał, bo był dobrym chrześcijaninem.

## **Miłości Napoleona III**

*Wyczerpała jego siły chroniczna erotomania.*

(Alfred Liebfeld o Napoleonie III)

*Kobiety bywające w Tuileries pod szerokimi krynolinami ukrywały straszliwe temperamenty, które doskonale odpowiadały przesadnym wymaganiom Napoleona III.*

(Guy Breton)

29 stycznia 1853 roku Napoleon III wziął ślub z panną de Montijo i w ten oto sposób Eugenia została cesarzową Francji. Biograf pisze: „Ta noc poślubna była raczej rozczarowaniem dla cesarza, który spodziewał się ognistej i namiętnej Hiszpanki, a musiał pieścić kobietę równie zmysłową jak maszynka do kawy” (Guy Breton). Na nic się zdały starania cesarza, aby rozweselić smutną pannę Montijo podczas weselnej uczty. A starał się na całego. Z serwetki z kunsztem cyrkowca tworzył figury zwierzątek, opowiadał wesołe i nawet frywolne historyjki, wreszcie zrobił z pomarańczy latarnię, być może egipską, którą jako jednym z cudów świata zachwycił się jego stryj, Napoleon Bonaparte, podczas podboju Egiptu. Wszystko na próżno! Nic nie wyprowadzało Eugenii z mrocznego humoru, który przystoi mieć na stypie, nie zaś na własnym weselu. „Hiszpański marmur” lodowato chłodny i bez uśmiechu poszedł do alkowy na konsumpcję małżeńskiego łoża bez specjalnej radości.

Najpierw zagadka. – Kto był ojcem Napoleona III? – pyta nauczyciel ucznia. – Nie wiem – odpowiada uczeń. – Wspaniale, wyśmienicie, celująco – wykrzykuje nauczyciel.

No właśnie. Do dnia dzisiejszego nie wiemy, kto był biologicznym ojcem Napoleona III, którego matka, Hortensja,

pasierbica Napoleona Bonapartego, sypiała z wieloma mężczyznami, najmniej ze swym mężem, Ludwikiem, bratem Napoleona I. Lecz pewnymi poszlakami dysponujemy. Wiadomo na sto procent, iż Napoleon III został spłodzony na Korfu w lipcu 1807 roku, w czasie, kiedy Hortensja znajdowała się w długotrwałej separacji z mężem. Ludwik Napoleon, przyszły cesarz Napoleon III, był bardzo podobny do posła holenderskiego van Huelle. To on jest uważany za biologicznego ojca Napoleona III. Książę Ludwik Napoleon został wybrany prezydentem Republiki Francuskiej. Lecz 2 grudnia 1851 roku republika została obalona i książę Ludwik Napoleon zasiadł na tronie jako cesarz Napoleon III. Był osobą całkowicie odmienną niż jego stryj, nie mógł mieć jakiegokolwiek nadziei, że dorówna napoleońskiej legendzie.

W 1840 roku Ludwik Napoleon został zamknięty w twierdzy Ham z zabójczym orzeczeniem sędziów – na całe życie. Dzięki jego pomysłowości dożywocie będzie trwało tylko sześć lat. Twierdza Ham, gdzie swego czasu kardynał Mazarini więził wielkiego Kondeusza, była warownym dwutysięcznym miastem w departamencie Somme. Dookoła rozpościerała się bagnista równina Pikardii. Więzienie Napoleona było otoczone murem. 10 października 1840 roku umieszczono w nim trzydziestodwuletniego Ludwika Napoleona. Warunki jak na więzienie były dość komfortowe: nie ciasna cela, ale dwa pokoje. Jeden pokój to jego salon i gabinet. Stało tam biurko, komoda, szafa, regały na książki, umywalka. Drugi to sypialnia z szerokim łóżkiem, mogącym pomieścić cztery osoby. Po co, skoro nawet jednej kobiecie więźniowi mieć nie wolno, co dla erotomana, zgódź się, Drogi Czytelniku, nóż w serce. Po pewnym czasie, gdy „ludzki” komendant twierdzy, major Demarbe, uznał, że jego podopieczny dosłownie marnieje bez kobiety, pozwolił mu wziąć na kochankę więzienną praczkę, Eleonorę Vergeot. Dziewczyna miała dwadzieścia lat, była miła, usłużna, pokorna i

chętnie seksualnie służyła swemu panu, nie obarczając go żadnymi kłopotami związanymi z seksem. Kiedy zaszła w ciążę, cicho odjechała do ciotki na wieś i tam urodziła syna. Tak samo postąpiła z drugą ciążą. Również zawiozła synka do ciotki, bez awantur i skandali, nie domagając się żadnej zapłaty od kochanka. Ludwik Napoleon był jej dozgonnie wdzięczny, kiedy został cesarzem, kupił Eleonorze dom z wyposażeniem i wypłacał jej i synom alimenty. Potrafił być wdzięczny.

Dzięki regularnym stosunkom płciowym jego zdrowie i humor znacznie się poprawiły. On już nie myśli o śmierci, hoduje na grządkach w więziennym ogródku rzodkiewkę i ogórki, wieczorem pije wyborne wina, o które postarali się przyjaciele, bo Hortensja, jego troskliwa matka, już nie żyła. Je pyszne dania wspólnie z komendantem twierdzy, z którym się zaprzyjaźnił, a jego sługa Thelin nie nadaje zmieniać talerzy – apetyty obu panów są znakomite. Wszystko ma Ludwik Napoleon w swym więzieniu, brakuje mu tylko wolności. Minęło sześć lat. Więzień coraz częściej myśli o ucieczce i snuje ze swym oddanym sługą jej plany, jeden bardziej zawiły od drugiego. Okazało się jednak, że Opatrzność podsunęła niesamowicie prosty i zuchwały plan ucieczki. Proszę sobie wyobrazić, Drogi Czytelniku, że pewnego razu Ludwik Napoleon przebrany za robotnika (w więzieniu był remont) zarzucił sobie na plecy deskę i minawszy strażnika, spokojnie wyszedł poza bramę więzienia.

Lecz tylko w opowieściach wszystko wygląda nader gładko. W rzeczywistości tę ucieczkę poprzedzały żmudne przygotowania. 25 maja 1846 roku Ludwik Napoleon zgolił wąsy i bródkę, włożył do ust glinianą fajkę, przebrał się w robocze ubranie, które dostarczył mu sługa Thelin. Ten uprzednio napił robotników winem, drzemali zamroczeni alkoholem. Do łóżka więźnia została położona kukła, w razie gdyby strażnicy czy komendant zechcieli zajrzeć do jego sypialni. Sługa miał mówić, że Napoleon śpi, zamroczony nocnym pijaństwem, po czym Ludwik Napoleon

zarzucił sobie na plecy deskę i spokojnie wyszedł za bramę więzienia. No, niezupełnie spokojnie. Ze zdenerwowania Napoleon tuż przed nosem strażnika upuścił i potłukł glinianą fajkę. „Niedorajda” – leniwie skomentował to wydarzenie strażnik, gdy Napoleon drżącymi rękoma zbierał jej ułamki. A tam, za bramą – swoboda! Wielkie to słowo dla tego, kto aż sześć lat przesiedział w więzieniu. W lesie czekała na niego wynajęta kareta. Pomknął nią aż do Londynu. Można sobie tylko wyobrazić, co działo się w więzieniu po tym, jak Ludwik Napoleon tak okrutnie oszukał swego przyjaciela, komendanta Demarbe. On kilkakrotnie chciał obudzić Ludwika Napoleona, którego głowa, odwrócona do ściany, odziana w nocny czepek, wystawała spod kołdry. Za każdym razem sługa Thelin wstrzymywał komendanta, aż tego coś tknęło. Podbiegł do łóżka, odsunął kołdrę, a tam leżała kukła, przyodziana w jakieś łachmany.

Cała Europa była zachwycona zuchwałym postępkami Ludwika Napoleona. W Londynie był przyjmowany niczym bohater narodowy, a na pytanie Anglików, czy nie czuje wyrzutów sumienia, że tak niegodnie zawiódł zaufanie komendanta, który przecież teraz musiał pożegnać się z karierą, cynicznie odpowiedział: „Swoja koszula bliższa ciału”.

Napoleon wylądował w Anglii 27 maja 1846 roku. Rozpoczął się nowy okres w jego życiu. Wkrótce został prezydentem, a następnie cesarzem Francji. Naszym celem nie jest roztrząsanie politycznych intryg Napoleona III. Tym już dawno zajęli się historycy. Naszym zadaniem jest rozświetlenie intymnego życia tego erotomana, który według opinii dworaków miał po dwie-trzy kobiety dziennie, a i tak było mu ich za mało. Rajfurzy cesarza po całym Paryżu szukali kobiet, które byłyby chętne do przespania się z przyszłym Napoleonem III.

Życie w Londynie nie byłoby ani przyjemne, ani różowe dla biednego Ludwika Napoleona, gdyby nie finansowa pomoc jego kochanki, miss Hariett Howard. Kim jest miss Howard?



Prostytutką gorszego gatunku czy drogą kurtyzaną? Była Angielką. Miss Howard za swe seksualne usługi brała trzy szylingi. Musiała utrzymywać swego kochanka Ludwika Napoleona, w którym się zakochała. Była ostrożna, uważała, aby nie zarazić się chorobą weneryczną i ustrzec od niej swego kochanka. Chociaż pornograf Henry Miller utrzymuje, że były to beznadziejne starania, a życie z prostytutką nie jest usiane różami: „Życie z prostytutką nie jest różami obsypane, bez przerwy jesteś narażony na ryzyko złapania choroby wenerycznej”. Lecz w przypadku Ludwika Napoleona jakoś to poszło gładko. Tym bardziej że przedsiębiorcza miss Howard wkrótce zajęła się nowym, bardziej intratnym interesem niż prostytutka: otworzyła szulernię, czyli kasyno gier hazardowych. Zakochawszy się w przyszłym Napoleonie III, wierzyła w jego szczęśliwą gwiazdę. Czyni wszystko, żeby swego przyjaciela podtrzymać materialnie. Gdy pieniędzy brakowało, dawała w zastaw swoje brylanty. Miała nadzieję, że później, kiedy Ludwik Napoleon zostanie prezydentem, a być może nawet cesarzem, z procentem zwróci wszystko. Kiedy Ludwik Napoleon wrócił do Francji, w ślad za nim przybyła tam miss Howard. Zamieszkała w hotelu przy ulicy Marigny. Ludwik Napoleon regularnie z nią się spotykał, nawet wtedy, kiedy został prezydentem i zamieszkał w Pałacu Elizejskim. Demonstracyjnie afiszował się ze swą kochanką, pojawiając się z nią wszędzie, w teatrach, w Lasku Bulońskim.

Nadszedł czas, gdy Ludwik Napoleon doszedł do wniosku, że musi się ożenić. Kandydatek było kilka. Najpierw poprosił o rękę wnuczkę swej ciotki Stefanii. Niestety, była ona zaręczona z następcą tronu Saksonii i widocznie zakochana w swym narzeczonym, bo nawet słyszeć o Ludwiku Napoleonie nie chciała. Następnie Ludwik Napoleon prosi swego „kuzyna”, Aleksandra Walewskiego, który był wówczas ambasadorem w Londynie, żeby w jego imieniu poprosił o rękę Adelajdę de Hohenlohe, siostrzenicę króla angielskiego. I tu spotkał go afront. Rodzice

Adelajdy nie zgodzili się na to małżeństwo z powodu różnic religijnych. Oni byli protestantami, on katolikiem. Była jeszcze jedna niedoszła narzeczona na europejskim dworze, hiszpańska Krystyna, ale okazała się zbyt szpetna. Nie wiedzie się Ludwikowi Napoleonowi z narzeczonymi. „Na Boga, z braku odpowiednich kandydatek wreszcie poślubi tę wstrętną miss Howard” – szeptano w cesarskim pałacu w Tuileries. Wreszcie uwagę Napoleona III zwróciła ogromnie dystyngowana, już nie tak młoda, bo dwudziestosiedmioletnia, panna o rudych włosach i różowej cerze – Eugenia Montijo. Eugenię Napoleon spotkał u księżniczki Matyldy. Nie należała do gatunku „łatwych dziewcząt”. Spuściła oczy, gdy przez błękitną mgiełkę spojrzenia Ludwika Napoleona przebił lubieżny błysk. Nie jest księżniczką, lecz pochodzi z hiszpańskiej arystokratycznej rodziny. Jej ojciec to był oficer w armii Napoleona Bonapartego. W 1834 roku hrabina de Montijo spotkała się ze swym przyjacielem Prosperem Mérimée. Kiedyś był jej kochankiem, teraz jest nauczycielem jej dwóch córek. Jedna z nich to właśnie Eugenia. No i Stendhal był ciągle obecny w salonie hrabiny. Nawet zakochał się w ślicznej Eugenii, która zaczytywała się powieściami „płaszczka i szpady”. Kiedy umierał w 1842 roku, miał przy sobie listy Eugenii. Czesła włosy ołowianym grzebieniem długo i cierpliwie, aż stała się blondynką. Diuk d’Albe również w niej się zakochał. On, syn Hieronima Bonapartego, czyli bratanek Napoleona Bonapartego.

I oto przez cały 1852 rok Napoleon III kontynuuje żmudne zdobywanie nieugiętej Hiszpanki, nie zapominając oczywiście o daniu upustu swej rozgorzałej chuci w objęciach miss Howard i tancererek z opery. Poważnie wziął się za oblężenie tej niedostępnej twierdzy: ślęczał nad miłosnymi listami, ilustrując je cytatami z Racine’a, które swego czasu na wszelki wypadek przepisał do specjalnego zeszytu. Przydały się. Eugenia mu odpisywała, a jej listy współredagował Prosper Mérimée, który świetnie się przy tym bawił. Jesienią Eugenia powróciła do

Paryża. Napoleon odwiedzał ją, lecz niczego, oprócz ukradzionego pocałunku, od niej nie otrzymał. Pewnego razu w Fontainebleau, pod pretekstem pokazania rzeźby Karola Wielkiego, usiłował – bez skutku – zaciągnąć ją na kanapę. Nie ustawał w swych zamiarach uwiedzenia Eugenii. Obie siostry Montijo zaprosił do Compiègne i w pokoju przeznaczonym dla Eugenii kazał przebić ścianę, a otwór przykryć lustrem. Wkradł się tam nocą i wgramolił na łóżko Eugenii. Usłyszał pogardliwy szept: „Myślałam, że mam do czynienia z dżentelmenem”. Zawstydzony Napoleon III szybko zniknął przez wyrąbaną w ścianie dziurkę. „Jak do pani mogę się dobrać?” – pytał. „Tylko przez ołtarz, sire” – usłyszał słynne zdanie.

Intryguje go pytanie, czy ta dwudziestosześcioletnia Hiszpanka, prowadząca nader swobodny tryb życia, jeszcze jest dziewczicą. Z prostoduszną prostolinijnością zapytał o to samą pannę Montijo. Odpowiedziała z rozbijającą prostotą i szczerością: „Nie ukrywam, że wiele razy byłam zakochana, lecz nadal pozostaję dziewczicą”. Uf, kamień spadł z serca zakochanego Napoleona III. Nic już mu nie przeszkadzało, żeby oświadczyć się Eugenii. Dworacy, krewni i przyjaciele są przeciw. „Powinieneś ożenić się z jakąś księżniczką królewskiej krwi, a nie... z panną de Montijo”. Odpowiedź Napoleona III była o tyle prosta, co i genialna: „Kocham ją...” Hiszpański król Hieronim, wuj Napoleona III, położył mu rękę na ramieniu: „No, skoro kochasz”. Oburzony dworak, Horacy de Viel-Castel, zapisał w pamiętniku: „To skandal. Małżeństwo to wzbudziło szerokie plotki. Wczoraj na giełdzie nastąpił spadek o franka. Stare partie krzyczą o zaprzepaszczonym honorze narodowym”. A inni byli odmiennego zdania. Pan Dupin zapisał w pamiętniku: „To dobrze, że cesarz poślubia kobietę, która mu się podoba, zamiast dać się wcisnąć jakieś zezowatej niemieckiej księżniczce o stopach szerokich jak moje”.

No tak, „zezowate szczęście” nie dla kochliwego Napoleona

III. Jego żoną będzie ognista Hiszpanka, którą ponoć kocha, jeśli w ogóle może kogokolwiek kochać ten erotoman o wybujałej erotycznej fantazji i nieokiełznanych zapotrzebowaniach. Iskry gniewu wylatują z niebieskich, pełnych łez oczek pani Howard. Owszem, mogła łaskawie pozwolić Napoleonowi III kochać się z Adela, tancerką z opery, o której mówiono, że studiowała erotyczne zasady taoizmu chińskiego i zaskakuje dworaków sprawnością miłosnych pozycji. Co więcej, wymyśliła własną akrobatyczną pozycję, zwaną „korkociągiem”. To wszystko mogła miss Howard tolerować w nadziei na lepsze czasy, gdy jej kochanek cesarz dojrzeje do zawarcia małżeństwa z nią. I oto tak wielki afront! Poczłapał Napoleon III do swej kochanki z gorącą prośbą, żeby natychmiast odjechała do Anglii, ofiarował jej szczodre honorarium za „trudy”. Miss Howard pieniądze wzięła ochoczo, wyjechać obiecała, lecz zażądała ostatniej przysługi: pożegnalnego stosunku. Bez specjalnego entuzjazmu zdejmował Napoleon III swój surdut i pantalon. I chyba po raz pierwszy w życiu stosunek nie dostarczył mu przyjemności. Penis bowiem przymusu nie lubi. Henrietta Howard odpływała do Londynu bez tęczowego humoru, to prawda, lecz z poważną sumą w torebce. 150 000 funtów to coś znaczy!

Szykuje się noc poślubna Napoleona III i Eugenii. A tymczasem miss Howard, oczekując na prom z Southampton, kupiła gazetę. Co w niej przeczytała? „Jego Cesarska Mość ogłosił zaręczyny z panną de Montijo”. Zegnajcie tęczowe nadzieje miss Howard na tron i koronę. Pośpiech zaręczyn wkurzył ją niesłychanie. Bilet do Londynu podarła na drobny maczek, na inny statek wsiadła i popłynęła w odwrotnym kierunku, czyli do Paryża. Przyjechała wprost do gabinetu Jego Cesarskiej Mości, bezczelnie odezwała się do sekretarza: „Niech pan powie cesarzowi, że oto jestem”. Napoleonowi szczęka opadła, dobrze że nie sztuczna, bowiem rozbiłaby się o kamienną posadzkę. W domu okazało się, że zostały jej wykradzione wszystkie miłosne

listy od cesarza. Henrietta, pozbawiona tej skutecznej broni, usiadła na podłodze i głośno zaszlochała. Lecz nie płakała zbyt długo. Była osobą energiczną i postanowiła działać. Jak? Napisała bilecik do Tuileries z żądaniem przyjęcia jej przez cesarza „natychmiast”. Począł Napoleon ze spuszczoną głową na ulicę de Cirque, gdzie mieszkała pani Howard. Królewskim gestem nakazała mu usiąść. Lista pretensji pani Howard była tak długa, że podczas jej odczytywania głowa Napoleona III nachylała się coraz to niżej i niżej, lecz nie oponował, a zaakceptował wszystko. Odtąd zwykła pani Howard będzie hrabiną de Beauregard, to jej powierza się opiekę nad naturalnymi dziećmi cesarza, spłodzonymi w najgorszym okresie jego życia na wyspie Ham, tam gdzie praczka Vergeot urodziła mu dwóch synów: Ludwika i Eugeniusza.

Marcin Konstanty, nieślubny syn cesarza, którego miał z panią Howard, odziedziczy po matce wszystkie przywileje i dobra ziemskie. Płać, cesarzu, za uzyskaną wolność i akceptację przez pannę Howard twego ożenku z inną kobietą.

Ślub cesarza Napoleona III z Eugenią odbył się 30 stycznia 1851 roku. Eugenia była osobą odcytaną, co prawda nieco w jednym kierunku. Doskonale opanowała „Dialogi” Aretina, znała oryginalne pozycje ciała i pobudzające karesy, lecz z praktyką było u niej krucho. Bała się nocy poślubnej. Jakieś dziwne przeczucie ją nękało. Ociągała się z tą nocą jak mogła. Najpierw pojechała do Trianon, do dawnego pałacu Marii Antoniny. Potem zajrzała do manufaktury w Sevres, robiła wszystko, byle tylko oddalić nadejście nocy poślubnej. Nie pomyliła się w swych dziwnych przewidywaniach. Pałac, w którym małżonkowie mieli spędzić noc poślubną, był zajęty... przez miss Howard. Ona zabierała stamtąd swoje manele, lecz czyniła to tak niemrawo, że jej wyprawdzka się przedłużyła. Donoszą Napoleonowi III, że pałac jest zajęty przez panią Howard. W pośpiechu postawiono w domku letniskowym polowe łóżka dla Napoleona i jego małżonki.

Zimno, kominki się nie palą, dym, Eugenia omal nie płacze. Noc poślubna dla Napoleona III stanowiła absolutne rozczarowanie. Musiał pieścić mało temperamentną kobietę. Co prawda, wykazywała w łóżku serdeczną, dobrą wolę, lecz dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. To było za mało dla rozpustnego, doszczętnie zdeprawowanego erotomana, jakim był Napoleon III.

Eugenia kochała markiza d'Alcanises. Do ostatniej chwili wahała się, czy wyjść za mąż za Napoleona III, czy też nie. I gdy została już wyznaczona data ślubu, zwierzyła się swej koleżance, markizie de Bedmar: „Gdyby d'Alcanises po mnie przybył teraz, uciekłabym z nim”. Niestety, nie przybył. Musiała wyjść za mąż za Napoleona III. Między nią a nim było osiemnaście lat różnicy. Napoleon III nie był pięknišem. Pożółkłe od tytoniu wąsy, wyłupiaste, rozmyte, jakby poblakłe oczy, krótkie nóżki. Lecz był szarmancki, wesoły, dawał się lubić, nadskakiwał i adorował swe partnerki, mógł być ciekawym rozmówcą i wcale nie nudnym, czego najbardziej obawiała się Eugenia. Siedemnaście lat będzie Eugenia cesarzową. Grała rolę najbardziej eleganckiej, życzliwej ludziom władczyni. Musiała nieco podszkolić swe dworskie maniery. Za nauczycielkę wybrała Rachel Felix, znakomitą tragiczną aktorkę francuską, o której jest mowa we wszystkich encyklopediach świata. Napoleon III niebawem uczynił ją swą kochanką. Zrobił to również jego minister spraw zagranicznych Aleksander Walewski, syn naszej rodaczki Marii Walewskiej, kochanki Napoleona Bonapartego. Rozrywana we wszystkie strony Rachel, musiała porządnie się natrudzić, żeby dogodzić wszystkim i siebie nie skompromitować.

Przez dwa lata kochanką Napoleona III była Maria Riccio, żona Aleksandra Walewskiego. Tego syna Napoleona Bonapartego, który jako sześciolatnie dziecko był wraz z matką, Marią Walewską, kochanką cesarza, na Elbie? Tak, tego samego, obecnie już żonatego, dzieciatego (troje dzieci), robiącego

oszałamiającą karierę polityczną, człowieka o ogromnej przyszłości i znaczeniu, skoro sam rosyjski car Mikołaj I, kiedy nie udało mu się podkupić Walewskiego, usiłował go zgładzić, nasyłając nań rosyjskich szpiegów.

Oprócz zaszczytnej funkcji państwowej Aleksander Walewski musi nieść sromotne jarzmo „pokornego rogakza”. Jego żona, Włoszka Maria Riccio, zdradza go... naturalnie, że z Napoleonem III. Przecież ten erotoman nie jest w stanie przepuścić żadnej spódniczce. Naturalnie, że Walewski o tym wie, lecz dezaprobaty nie wyraża i milcząco zgadza się na swe rogi. Jest jeszcze jedna przyczyna tego, dlaczego Walewskiemu wypada dobrze żyć z żoną: przecież jego żona ma wychowywać jego syna, urodzonego przez Rachelę Felix, która zmarła na gruźlicę. Aleksander Walewski, mądry pokorny rogakz, robi dobrą minę do zlej gry. Nie zauważa konszachtów swej żony z Napoleonem III. Dworacy się śmieją: jak tylko Aleksander Walewski zobaczył gdzieś w parku, jak jego żona i cesarz przytuleni do siebie spacerują po alejkach, momentalnie czmychał w drugą stronę. Zanim wszedł do gabinetu cesarza, w którym mogła znajdować się jego żona, pod drzwiami długo i uporczywie kasłał. Pewnego razu nie udało się uniknąć konfrontacji z miłosnym rendez-vous. Walewski otworzył drzwi gabinetu cesarza bardzo niefortunnie: cesarz pieścił, całował i ssał obfite piersi małżonki Walewskiego, które ochoczo wylały się spod jej dekoltu. Para zastygła, chyba z powodu zaskoczenia. I choć usta cesarza przestały ssać pierś kochanki, ręka jeszcze tkwiła w dekolcie damy. Walewskiemu nie udało się wycofać tak, aby został niezauważony. Śmiało, niby nic nie widząc, podszedł do okna i zaczął odsuwać portiery, dając w ten sposób kochankom możliwość doprowadzenia się do porządku. Małżonka Walewskiego, wsunawszy swe obfite piersi do korsarza, szybko wymknęła się z gabinetu. Minister Walewski z poważną miną zaczął omawiać z cesarzem ważne sprawy państwowe. Pochwalamy, Drogi Czytelniku, takie mądre, rozsądne zachowanie

Walewskiego. Wiele zyskał dzięki swej postawie: posadę ministra spraw zagranicznych zachował i różne związane z tym przywileje, a małżonka, która usatysfakcjonowała swoją „głodną” ambicję bycia przez dwa lata kochanką cesarza, spokojnie powróciła w domowe pielesze, gdzie z godnością troskliwej matki wychowywała troje swych dzieci i syna od Rachel Felix. A czyż to mało? Z tego wszystkiego ucierpiała tylko cesarzowa Eugenia, która do swego słynnego powiedzonka dotyczącego nieślubnych dzieci swego męża, mogłaby jeszcze dodać: „Wszystkie damy mojego dworu są pańskimi kochankami”.

Rachel Felix! Uchylmy, Drogi Czytelniku, kapelusza przed tą tragiczną, genialną francuską aktorką. Jej wpływ na widza to było jakieś niewyjaśnione zjawisko, związane z mistyką czy magnetyzmem, nie wiemy tego. Wiemy tylko, że publiczność szalała, gdy na scenę wchodziła Rachel. Wprowadziła rewolucję w sztuce teatru. Nigdy jeszcze na scenie w XIX wieku tak nie grano. Rachel przestała z patosem deklamować, zażarcie gestykulować, machać rękoma, przybierać sztuczne pozy. Po prostu zaczęła ze sceny mówić i to bez żadnej afektacji. Zewnętrzny patos zastępowało milczenie i płonące oczy. Stoi Rachel na scenie, szczupła, a nawet chuda, i... milczy. Za nią mówią jej oczy, jaskrawie płonące jak węgle. Publiczność od takiego milczenia poczęła wariować: panie omal nie mdleją, młodzieńcy drżą jak w febrze, lowelasom ani w głowie frywolne kawały. Rachel hipnotyzowała wszystkich swoją grą. Ludzie wychodzili ze spektakli z jej udziałem przepełnieni jakimś doniosłym uczuciem, milczący, skupieni, jak gdyby aktorka wniosła w duszę każdego widza coś znaczącego i ważnego, w czym oni sami nie mogą się połapać. Owacje i obsypywanie aktorki kwiatami przyjdzie później, kiedy publiczność nieco ochłonie od pierwszego wrażenia i otrze łzy. Potem niesiono ją na rękach do karety, pośród szalejących owacji. Rachel była objawieniem na teatralnej scenie. Najpierw zawojowała Paryż, a potem sceny Europy. Występowała



niemal w każdym kraju. Szczególne powodzenie miała w Petersburgu. Sentymentalne Rosjanki wychodziły ze sztuki Dumasa „Dama Kameliowa” zapłakane i marzyły o takiej romantycznej miłości. Znana paryska kurtyzana, Anais, która zaprzyjaźniła się z Rachel, pisała: „Gdy jest tłum kobiet, wszystkie patrzą tylko na panią, widzą tylko panią, ubóstwiają tylko panią, dumną, szczodrze przez naturę obdarowaną”. Trzeba powiedzieć, że Rachel nie była piękna: drobna, mała, chuda Żydówka o dużym nosie. Lecz gdy mówiła, zapalała się takim ogniem, takim płomieniem, że nikt nie mógł pozostać obojętnym na jej wdzięk. Skromna wędrowną aktoreczką, pochodząca z rodziny wędrownych drobnych handlarzy, przeobraziła się w wielką, tragiczną aktorkę. Gdy miała dziesięć lat, recytowała na ulicach wiersze. Zwróciła wtedy na siebie uwagę niejakiego Chorona, znanego muzyka i reżysera. Dostrzegł w tej brzydkiej dziewczynie niespotykany talent i melodyjny głos tragiczki. Zabrał ją do Paryża. Tam uczy się dykcji i innych teatralnych nauk. W 1838 roku debiutuje na scenie, odnosząc oszałamiający sukces. Paryż dosłownie oszalał na jej punkcie. W jej grze wszystko było inne niż dotychczas. Aktorka żyła na scenie. Odeszły zewnętrzne teatralne efekty, w ich miejsce pojawiła się wewnętrzna treść. Każda rola Rachel była bardzo głęboko psychologiczna. Odnieść można było wrażenie, że dla niej swoje utwory pisali Musset, Dumas, Racine, Wolter. Nieszczęścia i tragizm jej bohaterów odbierane były jak tragizm każdego człowieka. Naturalnie, że błyszczący dandys, Aleksander Walewski, nie mógł nie zwrócić na nią uwagi. Kiedy odwiedzał dom Chopina i Dumasa, zapoznał się z Rachel, która wkrótce została jego kochanką. To dla niej Walewski zostawił swoją kochankę, Anais, która zresztą nie miała mu tego za złe, a nawet zaprzyjaźniła się z Rachel. Lecz jak to zwykle bywa z ludźmi sztuki, w życiu osobistym byli oni o wiele bardziej przyziemni niż ich sztuka. Rachel miała wiele przywar. Była skąpa, chciwa, brała niebotyczne honoraria i nie chciała

udzielać się charytatywnie. A gdy do niej przyszła Anetka Potocka, polska patriotka, z propozycją, aby dała charytatywny spektakl, odmówiła i zażądała ogromnego honorarium. W życiu osobistym była niewybredna, miała wielu kochanków, często jej niegodnych. W Paryżu mówiono o niej: „Pół teatru z publiczności z Comédie Française to jej kochankowie”. Na początku Aleksander Walewski był jednym z wielu. Lecz on tak nie uważał. Jego uczucie do Rachel było tak poważne, że mowy tu nie mogło być o krótkotrwałym romansie. Zakochał się w Rachel głęboko i namiętnie. Odzwierciedliła się w nim romantyczna dusza jego matki, Marii Walewskiej. Ogromnie przeżywał, gdy Rachel została na jakiś czas kochanką Napoleona III. Z Napoleonem III Rachel zapoznała się w Tuileries, dokąd była zaproszona przez Eugenię, aby dawać jej lekcje dobrego tonu. Kiedy Napoleon III ją zobaczył, powiedział szarmancki komplement, Rachel odpowiedziała: „Pan jest nazbyt dobry dla mnie”. Gdy jej zwrócono uwagę, iż do cesarza nie wolno tak się odzywać i należy mówić: Wasza Cesarska Mość, Rachel, ani na jotę nie zmieszana, odpowiedziała: „To dlatego, że ja mam do czynienia na scenie z tekturowymi królami”. Napoleon III był zachwycony odpowiedzią, on na głowie miał koronę nie tekturową, a prawdziwą.

Mówiono, że gdy gra Rachel, każdy przeciętny aktor może się nie bać, że publiczność go wygwizdże. Publiczność, zafascynowana grą Rachel, po prostu nie zwracała uwagi na jej partnerów.

Wkrótce ogromne uczucie Aleksandra Walewskiego do Rachel znalazło oddźwięk w jej sercu. No, może nie zakochała się w nim śmiertelnie, lecz była mu oddana i dobra. Odrzuciła innych kochanków i zanurzyła się w tę romantyczną miłość. Spacerzy przy księżycu, noce wypełnione recytacją wierszy, pocałunki wśród krzewów i śpiewu słowików. Co za idylla! Zostawiła Napoleona III, którego kochanką była już przez kilka miesięcy. Niektórzy mówią, że to on ją zostawił. Pewnego razu zdrzemnął się po miłosnym

uniesieniu, a gdy się obudził, Rachel oddawała się pośpiesznie na krześle jego majordomusowi. Napoleon szybko skończył ten krótkotrwały romans.

Kobieta typu Rachel ciągle potrzebowała nowych wrażeń. Po urodzeniu syna, którego ojcem był Aleksander Walewski, Rachel zaczyna mieć nowych kochanków, zakamuflowanych pod nazwą „kuzyn”. „Ilu tych kuzynów można mieć?” – głowił się Aleksander Walewski, domyślając się zdrady kochanki. Jeden z tych „kuzynów”, niejaki Juliusz Samson, nie odstępuje Rachel ani na krok. Walewski zanotował w dzienniku: „Boże, wybaw mnie od wszystkich kuzynów Rachel”. A tymczasem ona zaczyna nudzić się w towarzystwie Walewskiego. Pewnego razu on zauważył medalion na jej szyi. Kiedy chciał go otworzyć, aby zobaczyć, co jest w środku, Rachel na to nie pozwoliła. To przepełniło czarę goryczy Walewskiego. Postanowił przestać być pokornym rogiaczem. Mógł sobie na to pozwolić w stosunku do żony, której specjalnie nie kochał, lecz nie mógł znieść, aby do jego wielkiego uczucia do Rachel zakradły się zdrada i zakłamanie. Odszedł. Na zawsze.

Kiedy Rachel będzie umierać na gruźlicę, tak jak Dama Kameliowa, jej sceniczna bohaterka, poprosi Walewskiego, aby zaopiekował się ich synem. Jego żona, Maria Riccio, zgodziła się wychowywać tego chłopaka, lecz pod jednym warunkiem: nigdy już nie zobaczy swej matki. Chłopakowi nie pozwolono nawet uczestniczyć w pogrzebie swej matki, wielkiej tragicznej aktorki Rachel, która cały Paryż, cały świat żegnał z oczyma pełnymi łez. Na scenach paryskich teatrów przez długi czas nie grano tych ról które grała Rachel. Robiono to z obawy, że żadna aktorka nie potrafi zagrać ich tak, jak to ona czyniła. Każde podjęcie przez inną aktorkę roli, którą ona niegdyś grała, stawało się żalonym naśladownictwem, bowiem Rachel była zjawiskiem, objawieniem.

I oto Napoleon III ma już swój dwór. Nie taki wielki, jak wersalski dwór Ludwika XIV, który liczył ponad dwa tysiące

„sztuk”. U Napoleona III wszystkiego sto siedemdziesiąt osób, lecz w stajni stoi czterdzieści pięć koni. Co dwa tygodnie odbywają się bankiety, bale, festyny. W odróżnieniu od swego stryja, Napoleona Bonaparte Napoleon III pięknie tańczył. Aksamitna rewolucja w grudniu 1851 roku przeobraziła go z prezydenta republiki w cesarza Francji. A to zobowiązuje! Cesarzowa Eugenia usiłuje stworzyć cnotliwy i dystyngowany dwór. A jej poddani ulegają libertyńskim zapędom. Są rozpustni. Bliskim przyjacielem Eugenii był znany pisarz, Prosper Mérimée. Kiedyś był kochankiem jej matki, obecnie stał się przyjacielem domu. Podoba się nam, Drogi Czytelniku taka sytuacja, kiedy ekskochankowie kobiet stają się przyjaciółmi ich córek. Mérimée postanowił trochę zdeprawować Eugenię, pokazując jej ryciny pornograficzne autorstwa Aretina. Obserwował, jak zareaguje? Cesarzowa reagowała nad podziw normalnie. Podsunął jej bardziej frywolne, wówczas Eugenia boleśnie uderzyła go parasolką. Okazało się, że pornograficznej wymowy tych pierwszych po prostu nie zrozumiała. Pewnego razu Prosper Mérimée prowadził Eugenię po pałacu Ceuny. Na jego ścianach znajdowały się dość frywolne ryciny. „Tutaj Wasza Wysokość niech nie patrzy” – powiedział. „Dlaczego?” – spytała Eugenia. „Widok jest szokujący”. Jeden z przedstawionych tam mężczyzn długim nosem grzebie w genitaliach świnki, a drugi zadaje się seksualnie z dużym wieprzem! Cesarzowa zamknęła oczy i tak przebrnęła przez niebezpieczną salę z pornograficznymi zoofilskimi rycinami. Przypomnijmy, że niegdyś ten pałac należał do pani Pompadour.

Eugenia była zbyt naiwna i prostoduszna. Pewnego razu, spacerując po plaży, spotkała swoją damę pałacową, de Cossette. Stała nieruchomo, zwrócona twarzą do morza i spoglądała w siną dal, jakby w ekstazie. Eugenia przystanęła, zaintrygowana, co takiego w bezkresnej gładzi morza przykuło uwagę jej damy. Po pewnym czasie dostrzegła, jak spod spódnicy damy wylazł

kawaler i wcale niezmiuszany odszedł precz. Eugenia omal nie zemdląła, wielce skonfundowana szybko się oddaliła, a wieczorem zażądała od owej damy wyjaśnień. Rozbrajająca odpowiedź pani de Cossette nawet nie rozśmieszyła poważnej Eugenii: „Był wiatr, kawaler wlaź pod krynolinę, żeby zapalić cygaro”. „Jest to niebezpiecznie” – tylko tyle powiedziała cesarzowa.

Napoleon był wierny swej żonie przez całe długie sześć miesięcy. Zgódź się, Drogi Czytelniku, nie mały to czas jak na erotomana. Chętnie i radośnie wyzwolił się z tej łożkowej monogamii. Kobiet, dawajcie mi kobiet, po trzy, cztery dziennie, król cierpi na seksualny głód, musi nasycić się do woli kobietą! Nie nadaża fiakier zajeżdżać z kolejnymi prostytutkami na ulicę Bac, nie nadaża cesarski minister im płacić, choć cesarza trudno jest zadowolić. Wygłodniał biedaczek na seksualnej racji wydzielanej przez Eugenię. Erotomaństwo cesarza osiągnęło swoje apogeum i przybrało formy seksualnego szaleństwa. Żadnej damie w swym pałacu nie przepuści, żeby jej nie uszczypnąć i nie zajrzeć za dekolt. Guy Breton napisał o Napoleonie III: „Cesarz był erotomanem, wpadającym w trans na widok najmniejszego kawałka halki”. Prosper Mérimée, który dobrze znał Napoleona III, był przecież przyjacielem Eugenii, powiedział o cesarzu jeszcze bardziej dosadnie: „Rozpala się na dwa tygodnie na widok kija od szczotki ubranego w damskie łaszki”.

Wcale nie przesadził wybitny pisarz, niniejsza historyjka jest tego niezbitym dowodem. Pewnego razu Napoleon III, przechodząc przez ciemny salon, spostrzegł leżącą na kanapie postać w sukni. Bez ceregieli podszedł i wsunął pod tę suknię dłoń. Usłyszał basowy krzyk. To był biskup Nancy, który zmęczony, zdrzemnął się w ciemnym salonie. „Sumienia nie masz, panie?!” – wrzasnął biskup. Skonfundowany Napoleon, nie znalazłszy słów usprawiedliwienia, oddalił się. Nie przyszło mu do głowy, aby ripostować słowami markiza de Sade’a: „Stojący kutas sumienia nie ma”.

Bliska przyjaciółka Napoleona III, księżniczka Matylda, córka Hieronima, brata Napoleona Bonapartego, nie lubiła miss Howard i robiła wszystko, żeby odciągnąć cesarza od tej bezczelnej, jak się wyraziła, awanturnicy. Klin klinem się wybija. Doskonale wiedziała, że musi znaleźć Napoleonowi III inną kochankę, żeby mógł rozstać się z miss Howard. W pewnym sensie stała się jego rajfurką: dostarczała mu kochanek, jedną z nich stała się hrabina Castiglione. Pani Castiglione była kobietą wyzwoloną. Lubiała sprośne anegdotki, cięte riposty i uwielbiała do swego salonowego języka wtrącać wulgarne słówka. Potraktowana przez Napoleona III poważnie, pani Castiglione, jako oficjalna faworyta cesarza, poczuła się markizą Pompadour. Uwielbiała własną osobę, kazała fotografować swe stopy, które uważała za wielce powabne, również łydki, w tym celu bezpruderyjnie podnosiła spódnicę powyżej kolan. Lubiała również odsłaniać swe ramiona. Dworacy byli niejako zobowiązani do tego, aby chwalić te części jej ciała i oddawać im hołd. Bardziej intymnymi częściami ciała musiał zachwycać się cesarz. Wobec dworaków zachowywała się z wyższością. Nie budziło to ich sympatii do niej. Pani Metternich, prawie tak samo mądra jak jej mąż, powiedziała o pani Castiglione: „Jej głupotę można ciąć nożem”.

Nie zgadzamy się z tą opinią, Drogi Czytelniku. Pani Castiglione była bezpruderyjną osobą o ogromnym poczuciu humoru. Pewnego razu, siedząc w salonie pałacu Tuileries, do którego była regularnie zapraszana, powiedziała coś, co potem hulało po salonach jako cięta riposta. Kawaler wziął do ust landrynkę, podsunął pudełeczko siedzącej obok niego pani Castiglione i zaproponował: „Possie pani?”. Hrabina odpowiedziała: „Zależy komu, monsieur”. Epatowała swych kochanków tym, że uszyła pościel z czarnego jedwabiu. Kiedy cesarz, mimo jej usilnych starań, nie wyrażał chęci przespania się z nią na takiej niecodziennej pościeli (miał w tym czasie inną kochankę), postanowiła zwabić go śmiałym strojem. Przyszła na

bal w sukni o tak ogromnym dekolcie, że cesarzowa Eugenia zbladła i wyszeptała: „Pozwalam swym damom nosić dekolty, ale przecież nie do pępka”. To nie był kres epatowania przez panią Castiglione dworu swymi ubiorami. Na następny bal przyszła w sukni, do której były przytwierdzone w różnych miejscach aplikacje z czerwonego aksamitu w postaci serca. Gdy Eugenia zobaczyła, że jedno takie serduszko zostało umiejscowione w miejscu, gdzie u kobiet znajduje się łono, nie wytrzymała, podeszła i sarkastycznie zwróciła się do hrabiny: „Wydaje mi się, że zbyt nisko to serce jest położone”.

Castiglione odparowała: „Ale jakież jest ogniste, Wasza Cesarska Mość”. Pewnego razu przyszła na bal w sukni, w której wycięcie z boku sięgało pasa. Była bosa, a na każdym palcu nogi iskrzyły się brylantowe pierścienie. Z rozpuszczonymi włosami pozowała na wiejską pastuszkę, chociaż wątpliwe, żeby wiejska dziewczyna nosiła na palcach nóg brylantowe pierścionki. Lecz hrabina miała wyobraźnię i dworacy musieli liczyć się z jej gustem. Napoleon III wreszcie zwrócił uwagę na ekscentryczną damę, umówił się z nią na randkę, lecz nie powiózł swym zwyczajem do swego domku na ulicy Bac, ale łódką na wysepkę. Wróciła para po dwóch godzinach silnie pomięta. Dowiedziała się o tym Eugenia i zagroziła wyjazdem do Szwajcarii. Napoleon III przestraszył się, zostawił niegodną kochankę, nie umiejącą trzymać języka za zębami. Przecież spotkanie na wysepce, gdzie uprawiali seks w stogu siana, atakowani przez chmary komarów, miało pozostać ich słodką tajemnicą. A ta gaduła roztrąbiła po całym dworze, jaką to romantyczną przygodę miała z cesarzem na łonie natury.

Napoleon III spotykał się ze swoimi kochankami w wynajętym domku przy ulicy Bac. Pewnego razu, gdy wychodził od kochanki, jak mu się wydawało *incognito*, omal nie został zamordowany. Minister poradził mu, aby był ostrożniejszy – szpiegdy i wróg czuwają i tylko czyhają, żeby nie tylko

skompromitować cesarza, lecz go zgładzić.

Eugenię oburzała rozwiązłość panująca na dworze. Pogardzała grami miłosnymi. Stanowiła całkowite przeciwieństwo dam dworu. Była przerażona, gdy dowiedziała się, że na dworze kwitnie lesbijstwo. Wstydlivość cesarzowej została wystawiona na wielką próbę. A dworacy, jakby na złość, karmili ją sprośnymi anegdotami. Cesarzowa udawała, iż nie rozumie ich treści. Ale rumieniec na jej policzkach zaprzeczał temu. Nie podobała się jej taka oto historyjka. Na dworze pewien wicehrabia mógł doznawać rozkoszy jedynie z dziewczycami. Inaczej było z nim niż z Napoleonem Bonaparte, który nie cierpiał dziewczyc w łóżku: „Ile czasu stracę, zanim ją zdefloruję?” – mówił do swego rajfura, kamerdynera Konstantego. I oto ten wicehrabia przy pomocy kuplerki, której słono za to zapłacił, zdobył na noc dziewczycę. Noc przeszła cudownie. Kawaler w tęczowym humorze, wielce rad, podśpiewując frywolną piosenkę, szykował się do wyjścia. Kiedy był już ubrany, podszedł do lustra, żeby poprawić sobie włosy. Nagle zobaczył stojący na toaletce w słoiczku krem. Ponieważ miał spękane usta, postanowił je posmarować. Jakież było jego zdziwienie, kiedy po chwili jego usta przeobraziły się w szczelinę tak małą, że nawet malutkiego palca nie mógł do nich wcisnąć. Śmiano się z kawalera na dworze. A Eugenia z niewzruszoną miną udawała, że nie rozumie sensu przygody jej dworaka.

Oburzała cnotliwą Eugenię głębokość dekoltu pałacowych dam. „Dobrze jest pokazywać ramiona, ale nie aż do pępka” – mówiła. No tak, cesarzowa była nader sztywna wobec frywolności panujących na jej dworze. Nic więc dziwnego, że rozpustny Napoleon III nie miał żadnej przyjemności z seksu z żoną. Zżerał go nieposkromiony głód miłości, potrzebował już nie jednej, ale dwóch-trzech kobiet na raz. Była to jakaś choroba, być może histeria. Im więcej trosk na głowie, tym większe pragnienie seksu. Wciąż zwiększała się liczba kochanek Napoleona III. Najpierw brał je sobie ze świty swej żony, potem wziął się za prostytutki.



Na dworze Eugeniei ogromnym powodzeniem wśród mężczyzn cieszyła się pani Camille de la Bedoyere. Była sercem wszystkich pałacowych balów i wieczorów. Taki sobie nocny motylek, który w dzień snuł się ospały i leniwy, a pod wieczór budził się do miłości i przygód. „Nawet źrenice jej drżały” – skomentował jeden z dworaków. Napoleon III pokochał trochę tę olśniewającą ćmę i przeniósł się do innej alkowy. Nie jest dobrze w cesarskim pałacu. Eugenia coś zaczyna podejrzewać. Dlaczego jej mąż wieczorami kuchennymi schodami wymyka się z pałacu? A on, ubrany w niebieski surdut i szare spodnie, w okrągłym kapeluszu mieszczanina, z laseczką pod pachą, jechał na ulicę Bac, zostawiając zapaloną świecę w swym gabinecie, że niby to pracuje. Tak czynił jego wuj, Napoleon Bonaparte. Dobra szkoła nie poszła w las. W karecie Napoleona III siedzą dwaj gwardziści, ot, i cała jego ochrona.

W 1860 roku Eugenia zobaczyła na kolanach swego męża kochankę. Wyjechała oburzona, nie było jej całe dwanaście miesięcy. Eugenia była osobą dobrze wychowaną, awantur mężowi nie czyniła, dantejskich scen w Tuileries nie urządzała. Ona zabijała męża pogardą: „Niedługo cała Francja będzie zapchana waszymi bachorami” – powiedziała mężowi chłodno, nie racząc nawet zauważyć miss Howard, zastygłej na kolanach roztrzęsionego kochanka. Tak głupio wpaść! Przestraszył się Napoleon III nie na żarty. Dwa miesiące nie ma Eugeniei, a nuż zacznie domagać się rozwodu? Będzie skandal na całą Europę. Co tam na Europę, na cały świat! Na kolanach błaga miss Howard, żeby na zawsze wyjechała do Anglii. Jest to trudna decyzja, przecież on nie może żyć bez wyrafinowanego seksu miss Howard, której doświadczenia prostytutki, znającej się na miłosnej sztuce i perwersjach, znakomicie harmonizowały z manierami wielkiej damy.

Maupas, prefekt policji, zapisał: „Ludwik Napoleon całkowicie powrócił do związku z miss Howard, co spowodowało pojawienie

się kilku chmur nad cesarskim stadłem. Ona zagroziła, że opuści Francję, jeśli on nie pozostawi miss Howard. Musiał obiecać, że zerwie w imię rodzinnego spokoju”. W 1853 roku miss Howard znowu bierze górę. Dał jej sto pięćdziesiąt tysięcy. „Henrietto, zostaw mnie, na Boga”. „Nie” – odpowiedziała krótko, lecz dobitnie. Rozwścieczona Eugenia zabroniła stosunków małżeńskich i wizyt w swej sypialni. Co robisz, Ludwiku Napoleonie? Czy warto poświęcać rodzinne szczęście kochance? M. Fouquier zapisał: „Miłość Napoleona III do pięknej Angielki objaśniała wszystko”.

Eugenii drżały usta, gdy widziała miss Howard. Nieraz cicho płakała, ale wszczynać awantur nie potrafiła. Tłuc wazonów nie miała ochoty. Była damą wysokiej klasy. Jej furia przeszła w bardziej tragiczną fazę – wiecznego smutku. Zrozumiała, że pociąg jej męża do tej miss Howard jest czymś bardziej poważnym niż zwykły seks, że jest nacechowany uczuciem. Ogarnął ją smutek. Postanowiła poświęcić swój honor, otworzyła mężowi drzwi do swej sypialni, mimo obecności w pobliżu miss Howard. Dwukrotnie poroniła.

Nasłuchawszy się o „Jelenim Parku” Ludwika XIV, Napoleon III postanowił go na nowo wskrzesić. Czemu nie? Tam wychowywały się „małe gąski” – dziewczynki do miłosnych uciech rozpustnego króla. Może kiedy wskrzesi się ten park, nie trzeba będzie Napoleonowi III jeździć na ulicę Bac? Posyła swego urzędnika do Konstantynopola z zadaniem, aby tam kupił piękne nałożnice, Czerkieski i Greczynki. Wysłannik nałożnic nie przywiózł, tylko chorobę weneryczną, którą go zaraziła „czarna jak hebanowe drzewo Murzynka” – jak powiedział.

Długo kawaler musiał się leczyć i wytrzymywać docinki dworaków: „No i co, kawalerze, jak się udała eskapada do Konstantynopola? Powiadają, że cenny nabytek pan stamtąd przywiózł”. Żona zagroziła mu rozwodem.

Tylko skończył się na dworze Napoleona III jeden skandal,

dojrzał drugi. Bohaterką była pani Persigny, była kochanka cesarza. Pewnego dnia pani Persigny podczas spaceru ze swoją koleżanką do Lasku Bulońskiego zobaczyła pasącego się na łące osła z fallusem w stanie erekcji. Zwierzęta często zajmują się masturbacją, dla nas to nie nowość. Osioł akurat tarł się o samotne rosnące na polu drzewko. „Zobacz, jakie to zwierzątko ma imponującego penisa” – powiedziała dama do pani Persigny. Ta odpowiedziała: „Ty to nazywasz imponującym! Szkoda, że nie widziałaś penisa mojego męża, gdy się do mnie dobiera. Słowo honoru, ta bransoleta z trudem mu nań wchodzi, kiedy się bawimy”. „Nie może być, aby penis twojego męża był większy niż tego osiołka” – zaprzeczyła koleżanka. Damy postanowiły to sprawdzić, wyszły z powozu i podeszły do zwierzątka, niby go pogłaskać, lecz w rzeczywistości usiłowały włożyć mu na nabrzmiałego penisa bransoletę. A to niemądre zwierzę, zamiast cieszyć się z darmowej masturbacji, przestraszyło się i zaczęło uciekać. Damy co sił w nogach pobiegły za nim. Właściciel osła, do którego zwróciły się o zwrot bransolety, był innego zdania, utrzymując, że skoro damy nagrodziły jego zwierzątko tak cennym podarkiem, to chyba nie za darmo, widocznie zasłużyło sobie na takie honorarium. „Co on miał na myśli? Chyba nie zoofilię?” – pytała pani Persigny, kiedy wreszcie gospodarz, pod groźbą królewskiego sądu, oddał im bransoletę.

No nie, tak daleko deprawacja na cesarskim dworze nie zaszła. Zoofilia tu nie kwitła. Zoofilia nie była w modzie, mimo zachęt poczytnego markiza de Sade'a. Persigny wkrótce zostawiła Napoleona III. Przez jakiś czas kochanką cesarza była hrabina Hon, żona ambasadora Belgii, lecz i ona zostawiła cesarza, bo wolała jego przyrodniego brata, Morny'ego. Był on nieślubnym synem Hortensji i generała Flahauta, który z kolei był synem nieślubnym Talleyranda. Morny w 1856 roku poślubił Rosjanę, Zofię Torbecką, nieślubną córkę Mikołaja I. Jak widzimy, rośnie nam plejadka nieślubnych dzieci. Morny był mężczyzną

przystojnym, dandysem pełnym ogłady, błyskotliwym mówcą. Napoleon III uczynił go ministrem spraw wewnętrznych. Ich wspólna matka, Hortensja, pasierbica Napoleona Bonapartego, miała trzech synów, wszystkich od różnych ojców. Hortensja, żeby nie skompromitować się ostatecznie, musiała ukryć przed światem owoc nieślubnego związku z hrabią Flahautem, który był typem wiecznego uwodziciela, kimś w rodzaju Casanovy. To w nim była nieprzytomnie zakochana Anetka Potocka, lecz kawaler wolał Hortensję.

Powtórzmy nasze ulubione powiedzonko: „Służba nie družba”. Dziedzic tronu jest potrzebny cesarstwu francuskiemu. A tu nic, Eugenia w ciążę nie zachodzi, chociaż od dnia ślubu minęły już trzy lata. Po dworze rozpełzły się złowieszcze słuchy, że nie ze wszystkim jest dobrze w alkowie cesarskiej.

Dworacy podzielili się na dwa obozy: jedni są za Eugenią, drudzy po stronie Napoleona III. „Z pustą rzodkiewką ożenił się cesarz” – mówiła jedna ze stron. Druga zaprzeczała: „Jedenaście lat cesarz szlajał się po kurwach, teraz ma organ do niczego. Tak zużyty, że dziecka nie potrafi zrobić”. Stare babki swoje dobre rady małżonkom dają, jak należy poduszkę pod tyłek podsuwać, żeby męskie nasienie łatwiej do pochwy trafiło. Och, pomogło! Nie wiadomo tylko, czy to zasługa poduszki, czy wód leczniczych, do których regularnie wyjeżdżała Eugenia. Zaszła nareszcie w ciążę. I oto przyszedł czas porodu. Przy cesarzowej powinien czuwać lekarz-akuszer, lecz główny akuszer Lambelle coś tam zjadł niewłaściwego i ma, pardon, rozwolnienie. Zamiast przy Eugenii targanej boleściami siedzieć i za rączkę ją trzymając, pocieszać, biega co chwila do ubikacji. Biegunka mu mocno dokucza, zaniedbuje wyraźnie swe obowiązki lekarskie na rzecz sraczki. Boli go również żołądek, kiedy nie jest w toalecie, leży na dywanie na podłodze i trzymając się za brzuch, jęczy wniebogłosy. Dwoje jęczących i trzymających się za brzuchy w tym samym pokoju: Eugenia i jej akuszer. Obok żony siedzi blady jak trup Napoleon

III. Patrząc na męki żony, jest na granicy zemdlenia. Wreszcie zemdleł na dobre. Nieprzytomnego ułożono na sofie. Teraz już we troje leżą: na dywanie akuszer, na sofie Napoleon III, w łóżku Eugenia. I wszyscy jęczą jak najęci. Nareszcie jakoś udało się akuszerowi opanować biegunkę i poród Eugonii przyjął. Urodził się... Właśnie. „Kto się urodził?!” – zakrzyczał Napoleon III i zerwawszy się z sofy, rzucił się do łóżka żony, lecz zaczepił końcem buta za brzeg dywanu, upadł, rozbijając sobie kark. Znowu leży w omdleniu. Tym razem leży ich dwoje: Eugenia i jej mąż. Potem, gdy Napoleona III ocucono, podniósł głowę i słabym głosem (można było pomyśleć, że to on rodził) żałośnie zapiszczał, pytając, kto mu się urodził. Eugenia oprzytomniała i też słabym głosem pyta, kto się jej urodził. Napoleon, całując jej rączkę i zraszając łzami, nic nie mówi. „Córka?” – pyta cesarzowa. Napoleon przecząco kiwa głową. „Syn?” – z radosną nadzieją pyta Eugenia. Napoleon, pozostając w głębokim szoku, a nawet mając lekki wstrząs mózgu, znowu mechanicznie przecząco kiwa głową. „Więc kto?!” – histerycznie krzyczy przestraszona Eugenia. Być może w tym momencie mignął jej urywek poematu Aleksandra Puszkina: „Urodziła caryca nocą ni to syna, ni to córkę, ani myszkę, ani żabkę, lecz nieznanie nam zwierzątko”. Sporo minęło czasu i nerwów to wiele kosztowało, zanim Eugenia dowiedziała się, że, hurra, urodziła syna, dziedzica tronu. Imię będzie miał Ludwik.

Po urodzeniu się syna, Napoleon III odprężył się, rozluźnił, już nie musi przymusowo chadzać do sypialni cesarzowej, przynajmniej nie tak często uprawiać z nią seks, skoro dla Eugonii jest to zajęcie ani miłe, ani przyjemne. Z większą werwą zaczął miewać kochanki. Pomagała mu w tym jego kuzynka Matylda, córka Hieronima, brata Napoleona Bonapartego. Kiedyś, dawno temu, Napoleon III był w niej zakochany. Ale to sprawy dawno minionych dni, obecnie jest jej serdecznym przyjacielem. Księżniczka Matylda była częstym gościem w Pałacu Elizejskim

Napoleona III. W wieku dwudziestu lat została sprzedana przez swego ojca, Hieronima, rosyjskiemu bogaczowi, Anatolowi Demidowi, który mieszkał we Florencji, epatując mieszkańców swą ekstrawagancją i ogromnym bogactwem. Młodzi małżonkowie pojechali w podróż poślubną do Petersburga. Anatol okazał się brutalem, żeby nie powiedzieć sadystą. Będąc prawdziwym Kozakiem, barłoczył służących i policzkował gości, gdy był w złym humorze, tłukł zastawę laską. W 1848 roku państwo Demidow zaczęli gorszyć ludzi. Z pałacu rozlegały się krzyki bitej żony. Anatol czynił to na oczach przerażonej służby. Pewnego razu, kiedy Demidow bardzo stłukł żonę, wybuchnął skandal. W tym dniu car Mikołaj I wydawał bal. Ona natychmiast zażądała sań i kazała zawieźć się na carskie przyjęcie.

Widząc ją wchodzącą, Anatol zbladł ze złości i usiłował wyrzucić ją za drzwi. Ona zobaczywszy wchodzącego na salę cara, rzuciła mu się do stóp i odrzuciwszy szal, obnażyła swoje rany na ciele. „Kto to pani zrobił?” – zapytał car. Ona bez słowa wskazała palcem na męża, prosząc cara, aby uwolnił ją od tego okrutnego człowieka. Trzeba tu wspomnieć, że matka Matyldy, Katarzyna z Wirtembergii, była siostrzenicą Marii Fiodorowny, matki carów Aleksandra I i Mikołaja I. Car ogłosił separację małżonków. Od tego czasu Matylda żyła w Paryżu z pewnym artystą. To właśnie ona poczęła robić wszystko, żeby pokłócić kochanków: Napoleona III i miss Howard.

Matylda za wszelką cenę pragnąc odciągnąć Napoleona III od zbyt inteligentnej, to znaczy niebezpiecznej miss Howard, często zapraszała swego kuzyna do opery w nadziei, że tam poderwie sobie jakąś aktoreczkę. Owszem, galant nie dał się długo prosić. W mig zakochał się w jednej aktorce i wręczył swemu rajfurowi Bacciochiemu swój bilecik z zaproszeniem na randkę. Lecz ten przez pomyłkę wręczył bilecik nie aktorce, a jej siostrze, która była gruba i nieapetyczna. Ona omal nie płacząc z radości, że wpadła w oko tak błyszczącemu kawalerowi,

kiedy nawet najlichsy nie chcieli zwrócić na nią uwagi, przyjechała w umówione miejsce, do domu schadzek przy ulicy Bac.

Gdy Napoleon zobaczył siostrę aktorki, chciał ją wyrzucić, lecz dokładnie obejrzawszy jej obfite kształty, postanowił ją wykorzystać, tym bardziej że chuć go parła, a żadnej damy pod ręką nie było. Słowem, kazał grubasce się rozbierać, mordę chustą przykryć i hajda, przystąpił do ataku na żeńskie cielsko. W tym czasie rajfur Bacciochi uświadomił sobie swą pomyłkę i zaczął przepaszająco pukać do drzwi, wyjaśniając, że zaszła pomyłka i teraz on przywiózł właściwą dziewczynę. Zza drzwi rozległ się głos Napoleona III: „Niech poczeka, zaraz skończę”. Po chwili wielce uradowana gruba siostra aktorki wyszła z alkowy i przepuściła swoją siostrę, którą natychmiast, a może nawet z większym zapalem, bo twarzy nie trzeba było chustą przykrywać, zajął się Napoleon III. Oto, Drogi Czytelniku, widzisz, jaki to był niepoprawny erotoman, nie gorszy od Henryka IV i swego wuja, Napoleona Bonapartego. Miał jeszcze jednego rajfura – Fleurego. Nazywano go „Wielkim zarządcą rozrywek księcia pretendenta”.

Odstawione na bok przez Napoleona III kobiety, które uważały, że Pan Prezydent, który obecnie został cesarzem Francji, zapłacił im niewystarczająco, nagminnie poczęły przychodzić do jego pałacu i upominać się o zaległe honoraria. Jedną z takich ekskochanek Napoleona III była Eleonora Gordon, śpiewaczka operowa. Ogromna, o posturze żołnierza gwardii szwajcarskiej, o męskich szerokich ramionach, o wzroście 180 cm, o kruczoczarnych włosach. Jej głos był czymś pośrednim między męskim basem i altem kobiecym. Drżały od niego kandelabry. Usiłowała dopomóc Napoleonowi w jego politycznych poczynaniach. „Ja polowałam w Indiach na tygrysy, ja pomogę ci zdobyć władzę” – zapewniała Napoleona i oczy jej jarzyły się istic bojową, a nie tylko płciową gotowością. Jej płciowa gotowość nie bardzo przypadła Napoleonowi do gustu. Pewnego wieczoru wskoczyła na sofę i dosłownie nakryła Napoleona swym

olbrzymim ciałem. „To był prawdziwy gwałt” – komentował to wydarzenie biograf Napoleona III, A. Neyman. I oto po upływie lat, gdy Napoleon był już cesarzem, Eleonora Gordon przybyła do pałacu cesarskiego na spotkanie z nim i w nadziei na otrzymanie swego zapracowanego kiedyś honorarium. Napoleon nawet jej nie przyjął. Zbył ją przez swego ministra, wyznaczając jej skromną kwotę. I nie żadną dożywotnią rentę, tylko jednorazową zapomogę. Oto jak nisko ocenił cesarz polityczne starania śpiewaczki i jej miłosny kunszt.

„Szybkie numerki” pod okiem prostodusznej i ufnej Eugenii znakomicie udawały się Napoleonowi III. Wykorzystywał w tym celu nawet bale, gdzie wśród tłumu tańczących par łatwo było wyslizgnąć się spod nadzoru wścibskich oczu kumoszek, rozsiadłych przy ścianach z braku kawalerów lub ze względu na swą szpetotę czy podeszły wiek. Pewnego razu dworacy zauważyli, jak podczas balu, który odbywał się w zamku Saint Cloud, miss Howard cichaczem opuściła salon, w którym tańczono, a po pewnym czasie opuścił go i Napoleon III. Po upływie pół godziny obydwójce pojawili się na sali. Zaintrygowało to dworaków. Dokładnie obejrzelikostium cesarza. I, o zgrozo, na jego spodniach odkryli ślady spermy. „Szybki numer” gdzieś w ustronnym miejscu komfortu nie dawał. Polowe warunki nie gwarantują przecież bezpieczeństwa. Należało pomyśleć o znalezieniu bardziej bezpiecznego domu schadzek, tak, aby cesarz nie narażał na szwank swej reputacji. Znalazł się taki dom. Nie uwierzysz, Drogi Czytelniku, był to dom schadzek przy ulicy Bac, przy tej samej ulicy, na której kiedyś Paulina Bonaparte, siostra Napoleona, uprawiała miłość z kochankami.

Wszyscy już wiedzieli, że Napoleon III przywrócił do łask swą faworytę, panią Howard. Nie czyniła z tego tajemnicy. Dumnie siedziała w operowej łoży, obwieszona jak choinka brylantami, i triumfalnie spoglądała na wszystkich, nie wyłączając królowej Eugenii. Nie szczędził komplementów pani Howard



minister Fleury. Pisał:

„Ubrana w gustowną toaletę, z miną rozpromienioną, z główką antycznej kamei, wysoka i o postawie księżniczki, siedziała dumna w łoży, zwracając uwagę publiczności swoją nieprzeciętną urodą”. Ta nobiletowana mieszcza pociuła się niemal królową Józefiną. Zamówiła dla siebie łoże, które było dokładną kopią łoża Józefiny. Rzemieślnik siedem potów wylał, zanim wykonał łoże identyczne z tym, na którym Józefina i Napoleon I baraszkowali. „To nam pomoże w miłosnych igraszkach” – oznajmiła miss Howard swemu kochankowi. Napoleon III był zachwycony i gotów trąbić o tym całemu światu, gdyby go nie powstrzymywała obawa przed Eugenią. Fleury tak podsumował miss Howard: „Ambicja metresy rosła wraz z wydarzeniami politycznymi. Kobieta taka jak ona, najpiękniejsza z pięknych, kochana, inteligentna, mogła oczekiwać najwyższych zaszczytów. Jej postawa zmienia się. Staje się jeszcze bardziej wymagająca”. Janusz Kawryżka powiedziałby: „Potrzeby jej ogromniały”. Seksualne współżycie Napoleona III i Eugeniei zdecydowanie się nie układało. Eugenia była zbyt cnotliwa. Jej rzekoma swoboda seksualna, którą epatowała w młodości, była pozorna. Kokietowała i uwodziła mężczyzn, nic poza tym. Napoleon potrzebował w łożku kobiety doświadczonej, obytej z seksem, zdolnej zadowolić jego zepsute zmysły. A tutaj w postaci żony serwowano mu skromną pensjonariuszkę, która ze wstydu zamyka oczy przed kopulacją i traktuje seks jako dopust Boży. Wprawdzie starała się Eugenia dogodzić mężowi, lecz jej sztuczność i odraza do aktu seksualnego nie dawały się ukryć przed doświadczonym w tym przedmiocie Napoleonem III. Oto on, w pięknej, jedwabnej białiznie nocnej, wymyty, naperfumowany, z przyglądzonymi do cienkich niteczek wąsami, radośnie wkracza do sypialni Eugeniei w wiadomym celu, nie tylko dla prokreacji, lecz żeby otrzymać seksualną rozkosz, bowiem postanowił, że żony zdradzać nie będzie. Aksamitny, wyszywany

królewskimi liliami szlafrok rozwiera się i, niech drży Olimp, nawet bogowie nie mają takiego imponującego priapa. Na usta cisną mu się wulgarne, naładowane erotyzmem słowa, tak bardzo pomagające w kopulacji i tak odpowiednie w tym momencie: „Twoja piciuchna jest urocza, ach, jak ja lubię ten drobny meszek”. I co otrzymuje w odpowiedzi? Groźne, zdumione spojrzenie i dezaprobatę. Eugenia leży jak kłoda i nawet nie mrugnie, kiedy on głaszczuje ją swymi wąsami. A przecież nie głaskał jej policzka, lecz łono. Potem w ogóle zabroniła mu tych libertyńskich praktyk, jako poniżających jej godność porządnej kobiety. Ona chciała uprawiać seks (skoro musi) po „wiktoriańsku”, w koszuli z wyciętą dziurką w odpowiednim miejscu i w ciemności, po omacku, żeby nawet pępka własnej żony mąż nie ujrział.

„Chodzenie po mękach”, czyli do sypialni Eugenii, już nie sprawiało radości Napoleonowi III, stało się jego zmorą i przykrym obowiązkiem. Po każdym stosunku z Eugenią wychodził z jej sypialni zły i niezadowolony. Pragnął wyrzucić z siebie cały swój ból, całą rozpacz, wytrząsnąć z siebie to wszystko, czego tam się nałykał: „Nasza rozkosz pozostaje zawsze taka sama, Madame. Jest niekończącym się łańcuchem powtórzeń i za każdym razem coraz mniej mi się podoba”. Czuł gorycz, cicho wychodząc z jej sypialni. Wiedział, że się stara, lecz na próżno Eugenia wykrzywiała twarz niby w paroksyzmie rozkoszy, wiedział doskonale, że ta kobieta zimna jak ryba, jak głaz, udaje namiętność.

Zdrowie Napoleona III, naderwane ciągłymi ekscesami erotycznymi, zaczyna szwankować. Nerki odmawiają mu posłuszeństwa, w przewodzie moczowym pojawiły się kamienie. Koniec miłostkom i faworytom. Napoleona już nie za bardzo interesuje erotyka. Teraz jego ideał kobiety, to wierna i oddana żona Eugenia. Ta szlachetna cesarzowa i kobieta zachowała wierność i oddanie swemu mężowi do końca, do samej jego

śmierci, mimo iż raziło ją erotomaństwo męża i niejednokrotnie była przygnębiona upadkiem moralności na cesarskim dworze.

Napoleon III, po klęsce Francji w wojnie z Prusami (1870–1876), podczas której dostał się do niewoli i po detronizacji, emigrował do Anglii. Mieszkał tam do końca życia z Eugenią. Schorowany, nieszczęśliwy bankrut polityczny, opuszczony przez wszystkich, ma tylko ją, swoją żonę. Towarzyszyła mu w jego nieszczęściach, była o wiele bardziej szlachetna od drugiej żony Napoleona Bonapartego, Marii Luizy. Kiedy był w niewoli pruskiej, Eugenia pisała do męża pocieszające listy: „Nasze cierpienia i nasze nadzieje leżą nad głową małego Ludwika. Im bardziej ponura przyszłość, tym mocniej odczuwamy potrzebę wspierania się jednego o drugie”. Całował Napoleon III ten list, zraszając go łzami. Bismarck odmówił zgody na przyjazd Eugenie do męża; była gotowa dzielić z nim trudności niewoli.

I oto po wyjściu na wolność pod opieką troskliwej, zapobiegliwej Eugenie Napoleon III zaczyna prowadzić życie typowego burżuja. Oboje darzą głęboką miłością swego syna. Szczupły, pogodny Ludwik nie był chłopcem o nadzwyczajnej inteligencji, źle się uczył, interesowały go tylko sprawy wojska, był też niezłym jeźdźcem. Napoleon III pobłażał mu we wszystkim, Eugenia raczej trzymała krótko.

Ekscesarz teraz dużo czyta. O piątej po południu cała rodzinka celebrowała w małym saloniku herbatkę.

W niedzielę Napoleon i Eugenia szli na mszę do pobliskiego kościoła. Nudno, cicho, spokojnie ciekło teraz ich życie, z dala od światowego zgiełku i polityki. Nieraz Napoleon III bywał życzliwie przyjmowany przez królową Wiktorię w Windsorze. Kiedyś zapisała w pamiętniku: „Uderzyło mnie pełne godności opanowanie Napoleona. Zachował maniery dżentelmena w każdym calu”. Nieraz odwiedzała Napoleona i Eugenię w ich pałacyku Chislehurst w hrabstwie Kent, witana przez nich serdecznie.

Napoleon III nudzi się i nieraz niewłaściwe myśli pojawiały się w jego głowie: „Mój stryj potrafił wrócić do Francji z Elby. Czemu ja nie potrafię wrócić z Anglii?”. Czemu? Bo nie był Napoleonem Bonaparte. Francja republikańska, zrodzona z rewolucji, budzi sympatię w monarchach europejskich. W Turynie przebywa na wygnaniu książę Hieronim, stryj Napoleona III. Może pojechać do niego? Wydaje się, że Hieronim, ożeniony z Klotyldą Sabaudzką, jest w miarę szczęśliwy. Na swoim wygnaniu, w samotności, Napoleon III marzy o tym, jak to on wjedzie do Paryża, zdobędzie władzę i nie na sto dni, jak jego stryj, a na zawsze. Marzenia ściętej... no, nie ściętej, lecz słabej głowy. Eugenia ze smutkiem patrzyła na swojego męża, pogrążonego w urojeniach. Przytulała go, obejmowała za głowę: „Moje ty stare dziecko”. Szalona głowa, w której już nie roiły się erotyczne, tylko marzycielskie wizje.

W 1872 roku stan zdrowia Napoleona III znacznie się pogorszył. Męczyły go kamienie nerkowe. Lekarze zdecydowali się na ich skruszenie. Przeszedł Napoleon III trzy zabiegi chirurgiczne, bolesne do takiego stopnia, że tracił przytomność. Nastąpiło zatrucie krwi, organizm odmówił posłuszeństwa. 9 stycznia 1873 roku zmarł w wielkich cierpieniach. Za trumną ekscesarza szedł jego stryj Hieronim, królowa Wiktoria i sto tysięcy ludzi z wieńcami i bukietami kwiatów.

W 1879 roku nowy dotkliwy cios osiągnął Eugenię. Zginął Ludwik, jej ukochany i jedyny syn. Służąc w angielskim wojsku, przebywał w afrykańskiej kolonii Wielkiej Brytanii. Jego oddział został otoczony przez gromadę zbrojnych Zulusów, został dosłownie zmasakrowany przez to wojownicze plemię.

O czterdzieści siedem lat przeżyje Eugenia swego męża, a o czterdzieści jeden lat swego syna. Była powszechnie szanowaną staruszką, która nigdy nie traciła ani zimnej krwi, ani kobiecej godności, tym bardziej godności ekscesarzowej. Zapalmy świeczkę pamięci tej wybitnie szlachetnej kobiecie, która nigdy

nie zdradzała nikogo, ani męża, ani przyjaciół.

## **II. Szaleńcza miłość**

### **Neurotyczne królowe**

#### **Klementyna Sobieska**

*Są na świecie dwa nieszczęścia: nieszczęście nieudanego małżeństwa i nieszczęście śmiertelnej tęsknoty.*

(Stendhal)

Te dwa nieszczęścia dotknęły Klementynę Sobieską, wnuczkę Jana III Sobieskiego i Marysieńki, córkę ich starszego syna Jakuba. Po nocach w samotności płakała, męża do swego łoża nie dopuszczając, biegała do klasztoru, gdzie rozważała, czy aby nie powinna zostać mniszka. Swych dwóch synów nie bardzo kochała, bo spłodzeni zostali nie przez ukochanego kawalera Wogana, a przez męża, którego, mimo wysiłków, nie umiała pokochać. Takie nerwowe, neurotyczne osoby wiecznie żyją w krainie marzeń, owiane są romantycznymi ideałami i trudno im się pogodzić z szarą rzeczywistością. Opowiemy, Drogi Czytelniku, o trzech królowych, historycznie neurotycznych i na tyle nieszczęśliwych, że marzyły o samobójstwie i wiecznie uciekały w nieznane. Tylko dokąd? Wszędzie była pustka i ta sama nicość. Będą to: Klementyna Sobieska, znamienita Sissi, żona austriackiego cesarza Franciszka Józefa, i Karolina, żona meksykańskiego króla Maksymiliana, brata Franciszka Józefa.

Rzeczywiście Klementyna Sobieska zamorzyła siebie głodem. Zmusiły ją do tego okoliczności życia: nie mogła pogodzić się z utratą ukochanego człowieka i z tym, że nie potrafiła urzeczywistnić swych marzeń.

Zacznijmy od tego, że Jakub Stuart, syn ekskróla Anglii Jakuba II, ma dwa cele w życiu: zawładnąć tronem angielskim,

który prawnie jemu się należy, i dobrze się ożenić z jakąś księżniczką, najlepiej z królewskiego rodu. Pomaga mu w tym jego powiernik, kawaler Wogan, który uciekł z Anglii, gdzie został potraktowany jako *persona non grata*. Wybór padł na Klementynę Sobieską, jedną z trzech córek Jakuba, syna Jana Sobieskiego. Zmarł Jan Sobieski, zmarła Marysieńka, a ich syn Jakub nie został polskim królem. Naturalnie, że się starał i nawet swój piskliwy głosik z Oławy, gdzie mieszkał, zgłosił do królewskiej elekcji. Lecz jego soprano zostało zagłuszone doniosłym basem Sasa, Augusta II. To on został polskim królem. August II był człowiekiem mocnym, silnym jak Herkules, podkowy jedną ręką jak obwarzanki łamał, i patrzył na chorowitego Jakuba z góry. Na razie go nie rusza i nawet pozwala mu w Oławie prowadzić swój dwór w przepychu nie ustępującym królewskim dworom i wychowywać swoje trzy córki. Zapytajmy naturę: według jakiego prawa figle płata i pozwala brzydkim rodzicom rodzić piękne dzieci? Jakub szpetny, żona jego szpetna, a córki istne piękności. Zwłaszcza młodsza, Klementyna, ulubienica ojca. Według jakiego prawa? Według prawa buntu. Nie tylko człowiek się buntuje, lecz natura również. I dała Klementynie, córce szpetnych rodziców, urodę: kasztanowe, błyszczące włosy prawie do pasa, czarne głębokie oczy, w których zaczął się smutek (a może zaczęła się tajemnica, bo oczy były prowokujące), ładną szyjkę, figurkę, czoło wysokie i zgrabny nosek. Tylko wzrost... No tak, wzrostem Klementyny natura nie obdarzyła. Była prawie liliputką. Historycy i biografowie nie podają, jakiego była wzrostu. Może takiego samego, jak Madonna, śpiewaczka amerykańska, bezgłosa, lecz z impetem, trochę ponad sto sześćdziesiąt centymetrów, a może tylko sto pięćdziesiąt, słowem, była mała. Gdy Wogan, kiedy stał się swatem Jakuba Stuarta, zobaczył Klementynę po raz pierwszy, był zachwycony jej twarzą i zupełnie speszony jej małym wzrostem. Rodzice, którzy stali obok kawalera, wyczytali z jego twarzy tę dezaprobatę. Chórem zaczęli przekonywać Wogana, że

ich córka jeszcze podrośnie, przecież ma dopiero szesnaście lat. Kiedy Wogan po raz drugi spojrzął na Klementynę, jej mały wzrost przestał go peszyć i odszedł na drugi plan, bowiem z jej oczu emanowała tajemniczość. Obiecywały one tak dużo, że wątpliwości być nie mogło: jest to wymarzona narzeczona dla Jakuba Stuarta. Wogan nawet pomyślał, że gdyby nie jego misja, wymagająca lojalności i uczciwości, on sam zakochałby się w Klementynie. Po przyjeździe Wogana do Oławy Jakub Sobieski wszystkich epuzerów Klementyny delikatnie z pałacu wygnał. A kysz! a kysz! polscy magnaci, widzicie ich, rozsiedli się w pałacu swojsko, nie dla psa kiełbasa, jego córka wyjdzie za mąż nie za byle kogo, a za pretendenta do angielskiego tronu Jakuba Stuarta. O tym, że pozostanie on wiecznym pretendentem i nigdy korony angielskiej nie zdobędzie, mimo że będzie walczył o nią zażarcie, Jakub Sobieski nie wiedział. Trzeba powiedzieć, Drogi Czytelniku, że Klementyna nie była jedyną kandydatką na żonę Jakuba Stuarta. On już zdążył powysłać swatów, czy też, jak to dyplomatycznie się nazywało, posłańców, do różnych krajów, nawet do rosyjskiego cara Piotra I dotarł, zaproponowawszy siebie za męża jego córce Annie. Napisał w liście do cara, że pragnie spokrewnić się z rosyjskim carem drogą ożenku z jego ukochaną córką Anną. Car Piotr, wiedząc, że Jakub Stuart znajduje się w żałosnym stanie, na łasce króla francuskiego i papieża, który mu płaci nader skromną roczną pensję, aż zzieleniał od nachalstwa angielskiego pretendenta. W ten dzień pałka Piotra I, bez której nigdy nie wychodził na dwór, bo lubił urozmaicać sobie spacerki, użytkując ją na plecach spotkanych przechodniów, znacznie energiczniej „pohulała”. „Ech, co by Rosja robiła bez pałki Piotra” – z nostalgią mówił arystokrata epoki carycy Katarzyny Wielkiej. Lecz Piotr, pobywwszy nieco na Zachodzie, nauczył się dyplomacji i nie rąbał po głowie obuchem kategorycznej odmowy. On delikatnie zaproponował Jakubowi Stuartowi, aby ożenił się z jego siostrzenicą, Anną Kurlandzką



(przyszłą rosyjską carycą Anną Iwanowną). Była nowo upieczoną wdową, jej mąż, Fryderyk Wilhelm Kettler, książę Kurlandii i Semigalii, zapił się na śmierć, a Anna starzała się niesławnie w Mitawie, wylegując się na brudnych pierzynach i pogryzając z braku laku, czy też mężczyzn, chałwę, którą bardzo lubiła. Dopiero później zapozna się ze swoim woźnicą, Ernestem Bironem, i uczyni go swoim pierwszym ministrem. To on będzie rządził Rosją po „niemiecku”, to znaczy śmiertelnie nienawidząc Rosjan. Lecz kiedy przysłano Jakubowi Stuartowi z Mitawy portret Anny Kurlandzkiej, bardzo mu się nie spodobał. Mimo starań malarza nie delikatna *princessa* spoglądała z portretu, a jakiś grenadier o krzaczastych brwiach *à la* Leonid Iljicz Breżniew, o dużym nosie i groźnym spojrzeniu. Aż mrówki przebiegały po ciele Jakuba Stuarta, gdy wpatrywał się w ten portret przedstawiający nie wiadomo kogo: kobietę?, mężczyznę? Naturalnie, że zgody na to małżeństwo nie wyraził. Jakub Stuart nie przestaje wierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę, pomny pokrzepiających słów swej matki, Marii z Modeny, która wraz z mężem, wygnanym z Anglii Jakubem II, mieszkali jako honorowi jeńcy u Króla Słońce Ludwika XIV, zadowolając się skromnym wiktem i opierunkiem. Jakubowi Stuartowi mówiła: „Nie martw się synu, nie trać nadziei, zostaniesz angielskim królem. O tym jestem głęboko przekonana. Wprowadzisz w protestanckiej Anglii słuszną religię – katolicyzm”. Gdy Jakub Stuart dowiedział się, że Klementyna Sobieska jest katoliczką, jej szanse, żeby zostać jego żoną, znacznie wzrosły.

Klementyna Sobieska mimo zapewnień papy, iż córka urośnie, nie zamierzała czekać na ten czas, kiedy jej wzrost zwiększy się o kilka centymetrów. O nie, ona chce za mąż tu i teraz. Natychmiast. I niechby był to na razie ślub *per procura*. Przedstawicielem Jakuba Stuarta może być pan Wogan, którego Klementyna przez ten czas zdołała nie tylko polubić, lecz nawet platonicznie pokochać. Kto to zajrzy do duszy szesnastoletniej napalonej dziewczyny! Rano obudzi się, przeciągnie, a na nocnym

stoliku już stoi bukiet świeżych kwiatów zerwanych przez Wogana w oranżerii papy Jakuba. Podniesie Klementyna bukiet do ust czy do nosa i słodko, słodko się jej stanie na sercu, i chce się cały świat objąć, a nie tylko służącą, która korzystała z tych porywów ciepłego uczucia, hojnie obdarowywana drogocенnościami, a nie szturchańcami. Wogan wiedział, jak należy zniewolić upartą i rozpieszczoną księżniczkę: uwagą, uprzejmością, troską, komplementami, nadskakowaniem i swymi cudownymi jak niebo oczami, z których emanował zachwyt. Mimo iż pił z ojcem Klementyny prawie do samego rana, nigdy nie zapominał o tym, aby Klementynie świeży bukiet kwiatów narwać.

Klementyna jest gotowa jechać do swego narzeczonego Jakuba Stuarta, który pod wpływem listów Wogana zachwalających polską księżniczkę i pod wrażeniem jej portretu sprzeciwu nie wyraża, a wręcz odwrotnie, gotów jest zostać jej mężem. I niechby to już było *per procura*. Nie Woganowi, a innemu kawalerowi nogi umyto, czyste skarpetki nałożono, koszulę świeżo wykrochmaloną na ciało naciągnięto i on leży obok księżniczki w koszuli nocnej, i swoją nogą w skarpecie dotyka gołej nóżki księżniczki. Świadkowie obok stoją, pisarczyk zapisuje do księgi pałacowej ten historyczny moment, o której godzinie to małżeństwo *per procura* zostało dokonane. Koniec. Ślub *per procura* Jakuba Stuarta z Klementyną Sobieską został zawarty. Wstawaj, kawalerze, apetytu sobie nie rób, swoją misję wykonałeś. Mama nie chce puszczać córki samej w tak daleką drogę. O nie, mama pojedzie z córką. Na razie szykują sześć powozów, obijają miedzią kufry z „dobytkiem”. Posag wypłacą później. Nie mały posag, wystarczy Jakubowi Stuartowi na prowadzenie wojny z angielskimi konkurentami do tronu. Jakub da córce niebotyczny posag. Dziękuję ci, papo Janie III Sobieski, zdrowo ogołociłeś Turków pod Wiedniem, starczy na dobry posag dla wnuczki. I tak Klementyna da mężowi w posagu strasznie dużo pieniędzy, no i brylanty rodu Sobieskich, prawie bezcenne.

Jerzy I, król Anglii, bardzo się bał ożenku Jakuba Stuarta z Klementyną Sobieską. Stanowiło to zagrożenie dla jego planów dynastycznych. Cesarzowi austriackiemu Karolowi VI Habsburgowi, przez którego terytorium miała przejeżdżać Klementyna, postawił żądanie: w żaden sposób nie wolno mu przepuścić polskiej księżnej i jej córki. A jeśli tego nie uczyni, to czekają go poważne nieprzyjemności – Anglia zerwie przymierze z Austrią.

Cesarz Karol VI nie wie, co ma robić: z jednej strony nie chce narazić się królowi angielskiemu, z drugiej zaś strony jest przecież siostrzeńcem Amalii, polskiej księżnej, nie wypada jej aresztować wraz z córką. Wszakże racje polityczne wzięły górę. Karol VI wydał rozkaz zatrzymania Klementyny i jej matki podczas podróży przez Włochy i umieszczenia w zamku w Innsbrucku. Charlesowi Woganowi udało się zbiec. Obie kobiety są przestraszone swym losem. Wiedzą, że żartów nie ma, że są uwięzione przez Karola VI, mimo iż sufity w ich „pałacu” są pozłacane, komnaty wypełnione drogimi meblami i gobelinami, a nazywa się je honorowymi gośćmi. Wiedzą, że aresztowano ich z rozkazu angielskiego króla Jerzego I, okrutnego człowieka, który potrafił uwięzić swoją żonę Dorotę. Ale niezawodny Wogan przygotował ucieczkę Klementyny. Plan był nader prosty. Klementyna wkłada sukienkę służącej i jej czepek, do ręki bierze koszyk wiklinowy i udaje się na targ, na zakupy. Tam w umówionym miejscu czekał z czterema jeźdźcami Wogan. Naturalnie, że cały dobytek, ogromny bagaż, trzeba było zostawić. Klementyna zabrała tylko woreczek z familijnymi drogocennościami, które otrzymała w spadku po dziadku, królu Janie III Sobieskim.

Klementyna jest szczęśliwa, jak każda księżniczka z bajki, której udało się wyrwać na wolność, kontynuuje podróż do Rzymu, do swego przyszłego męża. Po drodze zatrzymali się w jakiejś karczmie, aby zjeść obiad. Kiedy ruszyli dalej, po

przejechaniu kilku mil Klementyna uświadomiła sobie, że na stole w karczmie zostawiła cały swój dobytek – bająco cenną rodzinną biżuterię. Zbliżała się noc, jechali przez lasy, mimo to Wogan postanowił wrócić do karczmy. Dziękował Bogu, bowiem leniwi gospodarze, zmęczeni i znużeni winem, usnęli, nie sprzątnąwszy stołów. Wogan wszedł przez okno do karczmy, odnalazł nienaruszone drogocenności Klementyny. Być może od tej chwili rozpałała się miłość księżniczki do dzielnego rycerza. Klementyna lubiła miłosne dworskie romanse z czasów Eleonory Akwitańskiej. Analogia nasuwała się sama.

Powróćmy do zamku Innsbruck. Na drugi dzień strażnik zajrzał do pokoju aresztowanych i zdziwił się: mimo późnej godziny księżniczka spała. Amalia wyjaśniła, że jej córkę całą noc bolała głowa, zasnęła dopiero przed świtem. Strażnik odszedł. Najmniejsze nawet podejrzenie o ucieczce księżniczki Klementyny nie zakradło mu się do głowy. Lecz gdy za dwie godziny zajrzał znowu do pokoju aresztowanych, zdziwił się i zaniepokoił. Klementyna nadal spała z głową nakrytą kołdrą. Strażnik podszedł do łóżka i zdecydowanym ruchem odsunął kołdrę. Jego oczom ukazała się nie księżniczka Klementyna, tylko jej służąca. Miotał się wściekły Jerzy I, kiedy dowiedział się o ucieczce Klementyny Sobieskiej. Wysłał do cesarza Karola VI pełen pretensji list: „Życzeniem moim było, aby księżniczka powróciła na Śląsk, a Wasza Cesarska mość przyrzekł mi to uroczyście. Widzę intrygi domu rzymskiego zmierzające do błogosławieństwa tego małżeństwa, przeciwko którego zawarciu podjąłem środki ostrożności, żądając, aby księżniczka została uwięziona”. Karol VI musiał wypuścić swoją ciotkę Amalię z więzienia. Chętnie by ją tam skutecznie przydusił, lecz bał się pogardy Europy. Amalia wraz z wozami wypełnionymi dobrem powróciła do swej Oławy, do męża Jakuba, a Klementyna, bez bagażu, w męskim ubraniu, na koniu, kontynuowała swoją podróż amazonki. Cały miesiąc trwała ta podróż, podczas której młodzi, Wogan i Klementyna,

zakochali się w sobie. Naturalnie, że na ten temat nie zostało powiedziane ani jedno słowo. Lecz przecież istnieje inny miłosny język. Niemy język gestów, spojrzeń, westchnień, błysków w oczach, dotknięcia rąk, tkliwe i znaczące. Zakochali się w sobie na zabój i nie potrafili tego ukryć, bo niemy język miłości jest bardziej wyraźny niż najtkliwsze słowa. Klementyna w dobrze dopasowanym kostiumie amazonki pędzi na koniu, a obok piękny kawaler Charles Wogan. Ich spojrzenia są pełne szczęścia. Za nimi jedzie tylko czterech jeźdźców. Wysłannicy Karola VI czym tylko mogli, szkodzili uciekinierom. A to w stajni nie było świeżych koni, a to w karczmie zabrakło kolacji dla nich, a to nawet noclegu nie sposób było im znaleźć. Klementynę te przeszkody nie odstraszały, gotowa jest nocować w szczerym polu, pod gołym niebem, byleby obok niej był Charles Wogan. Ach, jak to romantycznie, nakrywszy się baraním kożuchem, patrzeć w niebo, na spadające w ciemności gwiazdy, a obok czuć młode ciało zakochanego w niej mężczyzny. W to, że Wogan jest w niej zakochany, Klementyna nie wątpiła. Skoro ona jest w Woganie zakochana, to czemu on nie byłby w niej również? Taką egoistyczną maksymalistką była ta liliputka, Klementyna Sobieska, która wiele miała wspólnych cech ze swą babką, Marysieńką Sobieską: jej gwałtowny temperament, egoizm, energię, rozkapryszenie...

Cały miesiąc trwała ta romantyczna podróż, najeżona różnymi trudnościami. Nigdy nie doszło do seksualnego zbliżenia między Klementyną i Charlesem Woganiem. Lecz doskonale rozumieli się duchowo, a ich uczucie, czysto platoniczne, było ogromne i pełne seksualnej napiętności. Jak to było możliwe? Doskonale mechanizm takiego uczucia opisał Witold Gombrowicz w swej powieści „Pornografia”, nic wspólnego przecież nie mającej z pornografią. W powieści nawet obnażonej piersi nie było, lecz przecież jej bohaterów łączyło tak silne, tak gorące platoniczne uczucie, o takim ładunku seksualizmu, że

buchali jak dynamitem tą żądzą, która była w stanie spopielić najtwardszy głaz. Wogan jest wciąż obok Klementyny, patrzy na nią, nie może ukryć pełnego zachwytu wzroku: jej gęste kasztanowe włosy dużymi lokami spadają na ramiona, twarz zaróżowiona, oczy jak węgielki, gorące i płomienne, błyszczą szczęściem, kostium amazonki, dopasowany do figury Klementyny, leży na niej jak ulał, jakby sporządził go wytworny krawiec. Zadziwiające, jak niektórym kobietom do twarzy w męskim stroju amazonki. Doskonale w takim kostiumie czuła się rosyjska caryca Elżbieta Piotrowna, która miała piękne nogi. Jeśli tylko mogła, jeździła konno w takim kostiumie, zachwycając mężczyzn. Natomiast bardzo brzydko w kostiumie amazonki wyglądała Katarzyna II, która miała grube, krótkie nóżki. Krystyna Szwedzka, mimo iż lubiła galopować na koniu w stroju amazonki, wyglądała w nim fatalnie, grubych, niezgrabnych nóg nie można było zamaskować żadnymi nogawkami. Sissi, królowa amazonek i cesarzowa Austrii, w kostiumie amazonki z białej, cienkiej cielecej skóry wyglądała po prostu bosko. Nie bez powodu zdobyła tytuł najpiękniejszej kobiety Europy. W dużym stopniu pomógł jej w tym niecodzienny kostium amazonki. Klementyna wyglądała w swoim stroju amazonki doskonale, tak cudownie, że Charles Wogan, jako mężczyzna, cierpiał, patrząc na nią, łapał siebie na zdrożnych myślach: „Ech, schwycić by tę czarującą małą księżniczkę, wesołą, dowcipną, powabną, pełną radości życia i młodej swawoli i zaciągnąć w gęstwinę lasu, całować i całować do boskiego upojenia, tę czarującą, drogą mu istotę”. To przecież zwie się miłością, a miłości wszystko wolno. Lecz on jest królewskim urzędnikiem, ma do wypełnienia określoną misję, trzeba odpędzić od siebie te zdrożne myśli. Musi przywieźć księżniczkę całą i „nienaruszoną”.

W miarę zbliżania się do Rzymu humory Klementyny i Wogana, śmiertelnie w sobie zakochanych istot, psuły się coraz bardziej. Och jakże trudne jest rozstanie, być może na zawsze.

Kiedy byli już blisko Rzymu, Wogan przez posłańca wysłał do Jakuba Stuarta list: „Nasza godna wszelkiego szacunku i ubóstwiania królowa dokończyła swoją wędrówkę. Jej cnoty prześcignęły wszystkie nasze oczekiwania. Przewyciężyła wszystkie trudności ciężkiej drogi z porażającą siłą ducha, czego trudno było oczekiwać od kobiety, tym bardziej od takiej kruchej i delikatnej”.

W Rzymie wszystko jest gotowe na przyjęcie Klementyny. Papież Klemens XI, nawiasem mówiąc, ojciec chrzestny Klementyny Sobieskiej, przygotował dla niej jeden ze swych pałaców. 3 września 1719 roku w katedrze Montefiascone miał miejsce ślub Jakuba Stuarta i Klementyny Sobieskiej.

Straszliwa neuroza rozwinie się u Klementyny później. Na razie ta wesoła i serdeczna dziewczyna oczarowała wszystkich, poczynając od papieża, a kończąc na kuchcikach. Wesele było wspaniałe. Ludowi ofiarowano sto funtów słodyczy, wystawiono kilka beczek wina i piwa. Klementyna otrzymała bogate dary. Papież podarował jej zdobiony brylantami modlitewnik, kardynałowie – złote naczynia, król Hiszpanii dwadzieścia tysięcy pistoli, nawet nie zapomniał o niej dziesięcioletni Ludwik XV francuski, przysyłając drogocenny pierścień.

Wszystko mają małżonkowie dzięki życzliwości papieża. Pałac, wyposażenie, piękne meble, niezłe apanaże, służbę, karoce. W stajni stoją konie, w garderobie wiszą piękne suknie Klementyny. Na świat przychodzą dwaj synowie: Karol w 1720 i Henryk w 1725 roku. Małżeńskie szczęście powinno kwitnąć w ich alkowie. Lecz go nie ma. Jest ogromne przygnębienie, nieszczęście. Klementyna zatruwa mężowi życie, w gigantycznym tempie rozwija się u niej choroba nerwowa.

Dziś, gdy ten temat jest doskonale zbadany przez seksopatologów, obrósł opasłymi tomami, od Freuda do Junga, wiemy jak straszliwa i niebezpieczna jest ta choroba. Dawniej o tym nie wiedzano. Wszystko przypisywano kaprysom kobiet, ich

histerię uważano nie za chorobę, a właśnie za kobiecy kaprys. A przecież histeria to straszliwa choroba. Łzy leją się kobiecie nieprzerwanym potokiem, nie jest w stanie ich zatamować. Albo ogarnia ją złość, nienawiść do wszystkiego i wszystkich: otoczenia, własnych dzieci, a przede wszystkim do męża. Klementyna w napadzie ataków złości swymi małymi piąstkami grzmociła męża po szerokich plecach, uderzenia były słabe, niby ukąszenia komara, lecz odciskały się w sercu męża jadem żmii. Ze służalczą uniżonością Jakub Stuart nadskakuje żonie. Każdy jej kaprys traktuje niczym rozkaz. Ta służalczość męża jeszcze bardziej rozdrażnia Klementynę. Jej kaprysów jest coraz więcej. Dwukrotnie Klementyna ucieka do klasztoru, aby za jakiś czas pisać stamtąd do męża błagalne listy: „Wszystko czynię, żeby przezwyciężyć swój wybuchowy charakter. Obiecuję, iż w przyszłości będę grzeczna. Nie zaznam spokoju, dopóki nie znajdę się w objęciach mego ukochanego męża”. Wracała i co? Wszystko rozpoczynało się na nowo. Pewnego razu odpoczywała na sofie z kompresem na głowie, miała migrenę. Jej starszy syn, pięcioletni Karol, udając konia, gonił po pokojach. W pewnym momencie Klementyna poczuła taką do niego złość, że nie panując nad sobą, porwała się z sofy, chwyciła syna i zadarłszy mu sukienkę (chłopcy do szóstego roku życia w tamtych czasach chodzili w sukienkach), zaczęła go mocno okładać skórzanym pasem. Zakatowałyby go na śmierć, gdyby nie służący. Wyrwali nieprzytomnego chłopca z rąk matki. Syn Karol mówił potem do ojca: „Tatusiu, ja już nigdy, przenigdy, nie będę zasmucał swej kochanej mamusi. Nigdy już nie będę biegał po pokojach”. Swych dzieci Klementyna nie kochała, nie odczuwała w stosunku do nich żadnych macierzyńskich uczuć. Może gdyby zostały spłodzone z ukochanym człowiekiem, odnosiłaby się do nich inaczej? Lecz Charles Wogan był daleko, ożenił się i podobno był szczęśliwy.

Klementyna obwinia męża o niezdecydowanie, miękkość, gapowatość, miała mu za złe, że tron angielski, który mu się



prawnie należał, wziął absolutnie postronny Jerzy I. W pewnym sensie Jakub Stuart był temu winien. Wilhelm Orański po śmierci swej żony, Marii, proponował Jakubowi Stuartowi tron angielski, chciał tego również francuski król Ludwik XIV, nawet oficjalnie ogłosił Jakuba Stuarta królem Anglii. Lecz ten, niezdecydowany, zbyt długo zwlekał. To była jego ujemna cecha charakteru: skrajne niezdecydowanie, niepewność siebie. Wkrótce ta niepewność pod wpływem ciągłych narzekań i karceń męża przez Klementynę, przeobraziła się w pewien lęk, jak to zawsze bywa z ludźmi o miękkim charakterze. Wraz z rozwojem depresji poporodowej u Klementyny poczęła się rozwijać jeszcze jedna uciążliwa w małżeństwie cecha – skrajna podejrzliwość. Podejrzewając swego męża o zdradę, której nigdy nie było, zaczyna go śledzić, szpiegować, a każde jego spojrzenie na którąś z jej dam pałacowych w chorym mózgu Klementyny wywoływało straszliwe wizje zdrady. Doszło nawet już do tego, że napisała do papieża skargę na męża, obwiniając go o to, że wziął sobie kochankę, żonę jego sekretarza, i uprawia z nią występna miłość. Papież nie dał wiary tym kalumniom i poradził Klementynie, aby zmieniła swój stosunek do męża, poczęła przejawiać więcej cierpliwości i pogody ducha. Obrażona na cały świat, na męża, na papieża, swego ojca chrzestnego, który nie stanął po jej stronie, Klementyna biegnie do klasztoru, błaga przeoryszkę, aby pozwoliła jej zostać mniszką. Zakonnych ślubów Klementynie złożyć nie pozwolono, wszakże była kandydatką na królową angielską. Dwa lata przebywała Klementyna w klasztorze. Także tam objawił się jej niedobry, impulsywny, nerwowy charakter. Jej próżność doszła do tego, że kazała tytułować siebie „Waszą Wysokością” i złościła się, kiedy inne mniszki nie czyniły tego chętnie. Mimo iż mniszkom nie pozwalano ze sobą rozmawiać, Klementyna zdołała się z nimi dokumentnie pokłócić.

Jakub Stuart kilkakrotnie podchodził do klasztoru, przez gęstą siatkę w drzwiach błagał żonę, żeby wróciła do niego.

Oburzona Klementyna zbywała męża obelgami, a potem, trawiona wyrzutami sumienia, pisała do niego czułe listy. On również pisał listy do krewnych Klementyny, w których błaga ich, aby wpłynęli na jego nieobliczalną żonę, która kompromituje go wobec rzymskiego społeczeństwa swymi uciezkami i skandalicznym sposobem prowadzenia się. Pisał do Jakuba Sobieskiego, błagając go, żeby zabrał Klementynę do Oławy, pisał do królowej Hiszpanii, siostry Klementyny, jej wuja, księcia Parmy. Nie przyniosło to pisanie żadnego skutku. Klementyna nikogo nie słuchała, coraz bardziej pograżając się w skrajnej depresji, podczas której rozwija się już nie tylko histeria, lecz także straszna anoreksja.

Ona nie chce jeść, umartwia swe ciało, nosi włosiennicę, biczuje się i płacze w nieskończoność. Ciepłymi kroplami łzy nieustannie wypływały z jej oczu, nie kojąc duszy. Kiedy kobieta jest duchowo chora, zwraca się do Boga. Ale i Bóg nie pomógł Klementynie. Nie wyleczył, nie ulżył jej duszy. Czasami ogarniały ją wizje. Powracały mgliste wspomnienia, jak to ona, szczęśliwa amazonka, kłusuje na koniu obok ukochanego mężczyzny, z którym nigdy nie pocałowała się nawet. Lecz wobec ogromu takiej miłości wszystko jest nieważne, ani pocałunek, ani seks. „Obraz w duszy pociechy nie daje, lecz tęsknotę budzi” (Sokrates). Panie mistrzu Zygmuncie Freudzie, jak pan myśli: wyleczyłby Charles Wogan Klementynę od jej hysterii? Lecz już nigdy jej nie uleczy. Klementyna stopniowo gasła, doprowadzona do skrajnej anoreksji. Będą potem mówić, że księżniczka, niedoszła królowa Anglii, sama siebie zagłodziła. Zmarła w 1735 roku, pozostawiając dwóch małoletnich synów i nieszczęśliwego, zgorzkniałego męża. Nigdy już nie podniósł się od tego ciosu, który mu zadała własna żona.

## **Nieszczęśliwa amazonka Sissi – legenda i prawda**

*Nieszczęśliwe rodziny są nieszczęśliwe jednakowo.*

(Lew Tołstoj)

O tej nieszczęśliwej cesarzowej austriackiej można tak w kilku słowach powiedzieć: pół życia głodowała, część przepłakała, resztę amazonką przeskakała na koniach, żeby wreszcie zostać zabita z rąk szaleńca-anarchisty, który niezbyt był świadom, kogo zabijał: było mu wszystko jedno, byleby był to ktoś z ówczesnych monarchów.

Elżbieta, żona austriackiego cesarza Franciszka Józefa, najpiękniejsza i najpopularniejsza ze wszystkich królowych. Telewizja do dnia dzisiejszego częstuje nas, dorosłych i dzieci, filmami o Sissi, mało odpowiadającymi rzeczywistości, lecz po brzegi nasyconymi przygodami, których w jej realnym życiu było niewiele. Postać Sissi obrosła legendą, stała się mitem, bowiem wszystko było nietypowe u tej buntowniczej kobiety, która, niestety, walczyła z wiatrakami, żeby wreszcie tragicznie zginąć w tej nierównej walce. Polityką się nie interesowała, intrygami na wiedeńskim dworze również, pragnęła wolności i z zacięciem maniaka walczyła o nią. Prowadziła dość zamknięty tryb życia, zdając sobie sprawę, że pochodzi z przeklętego rodu Wittelsbachów, dotkniętych szaleństwem. Oznaki nie zrównoważenia psychicznego zdradzała i Sissi, często wpadając w depresję, a potem jej przygnębienie przeradzało się w niespożyta energię. Generalnie czuła się osobą bardzo nieszczęśliwą. A wszystko rozpoczynało się tak bajecznie!

Jedzie sobie w pociągu dwudziestotrzyletni piękny austriacki cesarz Franciszek Józef, pełen życia i chęci kochania wszystkich kobiet na świecie, do swej narzeczonej, Heleny Wittelsbachówny, żeby się jej oświadczyć. Przypadkowo spojrział w okno i serce mu

zamarło w zachwycie. Po polu w kwiecistej sukni i w słomkowym kapelusiku biegała pastuszka, zbierając polne kwiaty. Spojrzała w okno pociągu. Spojrzenie Franciszka Józefa skrzyżowało się z jej spojrzeniem. Miała jasne, orzechowe oczy, trochę nieregularne, lecz powabne rysy twarzy, a jej długie niemal do pasa włosy, koloru miodu czy też dojrzałego żyta, w promieniach jaskrawego słońca iskrzyły się złotymi nićmi. Była tak piękna, tak pełna uroku i gracji, tak spokrewniona z naturą na tym polu pełnym żółtych i czerwonych kwiatów, że Franciszek Józef zrozumiał – to dziewczyna jego marzeń; żadna klasyczna piękność nie może równać się z jej powabem. Niesamowita bezpośredniość, wesoła swawola, zwiewna kokieteria, emanowały z dziewczyny – cechy zniewalające nawet poważnych mężczyzn. „O, gdyby moja narzeczona chociaż w połowie była tak piękna, tak urocza, jak ta dziewczyna” – ze smutkiem powiedział Franciszek Józef do swego adiutanta, towarzyszącego mu w podróży. Pociąg biegł po szynach, odstukując swą nudną melodię, a Franciszek Józef wciąż nie mógł otrząsnąć się od pięknego widoku. „I oto przede mną zjawiałaś się ty, jak ulotne widzenie, jak geniusz czystej piękności”. Nie śpiewano jeszcze wtedy tego romansu ze słowami Puszkina, lecz oddaje on to, co działo się wówczas w duszy Franciszka Józefa.

Narzeczona Helena, starsza córka książąt Wittelsbachów, jedna z dziewięciorga ich dzieci, nie okazała się nawet w połowie tak ładna, jak przypadkowo spotkana dziewczyna. Była kobietą w zupełnie innym typie. Nie było w niej lekkiej gracji fruującego motylka i naturalności ruchów, były natomiast klasyczne piękne rysy twarzy, lecz jakby wciśnięte w gorset dworskich manier. Sroga, nigdy nie uśmiechająca się twarz, grzeczny ton rozmowy, nienaganne maniery, mimo tego wiało od dziewczyny mgielnym chłodem prawidłowości. Smutno zrobiło się na duszy Franciszkowi Józefowi. Nie zaiskrzyło nic między nim a tą srogą dziewczyną. Pocałował uprzejmie jej chłodną rękę i wraz z jej matką, księżną

Ludwiką, która była rodzoną siostrą jego matki, Zofii, w wisielczym nastroju żuł biskwity i popijał herbatkę, w duszy przeklinając to małżeństwo, które nie rokowało ani miłości, ani szczęśliwego pożycia. I nagle weszła średnia córka książąt. Franciszek Józef spojrzął i serce mu najpierw zamarło, a potem zaczęło bić nierównym rytmem. W tej córce książąt Wittelsbachów Franciszek Józef poznał pastuszkę, którą kilka godzin temu ujrzał z okna pociągu. Amor może nie tracić swych strzał. Bez jego udziału Franciszek Józef zakochał się od pierwszego wejrzenia. Nie było już mowy o żadnej Helenie, gdy obok była Elżbieta, Sissi, jak wszyscy ją nazywali. Tylko ona mogła zostać jego żoną. Długo przekonywał matkę Zofię, padał przed nią na kolana, żeby wyraziła swoją zgodę na małżeństwo z Sissi. Zofia, która we współżyciu ze swym mężem, Karolem Franciszkiem, pogodnym, miękkim i nijakim, jak idiota księżę Myszkina, nigdy nie doznała osobistego szczęścia w małżeństwie, nie mogła nie docenić tego gorącego uczucia swego syna do romantycznej, naiwnej, bezpośredniej, piętnastoletniej Sissi. Zgodziła się. Wittelsbachów nie trzeba było namawiać, było im obojętne, która ich córka zostanie żoną Franciszka Józefa, byleby związać się z cesarskim domem.

Co czuła Sissi? Ona także po uszy zakochała się w przystojnym królu. Spacery po brzegu jeziora w blasku księżyca, trzymanie się za rączki, ukradziony niewinny pocałunek, lecz romantyka szybko się skończyła, szykowano wesele, które odbyło się w 1854 roku. I oto Sissi jest żoną Franciszka Józefa. „Jestem szczęśliwy jak Bóg, zakochany jak lejtnant” – powiedział syn Zofii. Zofia, kiedy ujrzała synową, która była tak prosta, tak dostępna, tak prostoduszna i naiwna, że nawet wydawała się głupiutką – zapaliła się: taką naiwną synową łatwo będzie kierować.

Naiwne dziewczę z rozbijającą szczerością podeszło do swej ciotki-teściowej, ucałowało jej rękę i powiedziało: „W zasadzie ja, droga ciociu, mało na czym się znam. Mam nadzieję,

że pomożesz mi. Chcę być dobrą cesarzową”. Zofia z uczuciem ucałowała siostrzenicę-synową. Przy takiej zniewalającej pokorze nic nie zagrażało Zofii, nadal była pierwszą panią w cesarstwie. Pomyliła się z kretesem. Nie od razu puszyste, miękkie kociątko wyciągnęło ostre pazury tygryscy. Kiedy Sissi ze swoją genialną intuicją i umiejętnością obserwowania przekonała się, jak pusty i nędzny jest wiedeński dwór, zżerany plotkami, intrygami, zawiścią, zaczęła objawiać swój bunt. Najpierw poczęła negocjować sztywną pałacową etykietę, potem zaczęła zaniedbywać czynności reprezentacyjne, wreszcie uciekła ze dworu.

Swe ostre ząbki i nietuzinkowy twardy charakter Sissi pokaże później, gdy trochę się podkształci na wiedeńskim dworze, przestudiuje dworską sztywną etykietę, nabędzie wielkopańskich manier, żeby ze znużoną miną to wszystko definitywnie odrzucić ze stanowczym stwierdzeniem: „To wszystko jest bzdura. Nie będę manekinem na tym napuszonym i przeżartym intrygami dworze. Wprowadzę swoje porządki i sroga teściowa Zofia, przed którą drżeli wszyscy, włączając męża Sissi, Franciszka Józefa, jej nie «przeszkoda»”. I Sissi rozpoczęła swój bunt, który trwał przez całe życie. Rozpoczął się od nieprzestrzegania niektórych zasad pałacowej etykiety. Sissi usiadła do stołu bez rękawiczek. Kiedy w grobowej ciszy oczy wszystkich zwróciły się na nią, ona spokojnie jadła z obnażonymi rękoma. Teściowa Zofia spytała ją wprost: „Dlaczego jesteś bez rękawiczek? Czy nie wiesz, że etykieta pałacowa to nakazuje?”. Sissi bez cienia skrupowania odpowiedziała: „Zła to etykieta. Jest gorąco i niewygodnie jeść w rękawiczkach, od dziś moje damy będą jadać bez rękawiczek”. Zofia zbladła – brzydkie kaczątko stawało się nie tylko pięknym łabędziem, lecz łabędziem drapieżnym, o ostrym dzióbku. Następna walka przeciwko pałacowej etykietie dotyczyła obuwia. Cesarzowa powinna była codziennie zmieniać pantofelki na nowe, Stare, czyli te noszone jeden dzień, powinna oddawać damom pałacowym. Natomiast Sissi ośmieliła się cały tydzień chodzić w

tych samych pantoflach, ku wielkiemu niezadowoleniu jej dam, pozbawionych niewielkiego dochodu ze sprzedaży pantofelków cesarzowej. Kiedy Zofia zapytała Sissi, dlaczego to robi, ta odpowiedziała: „Lubię chodzić w znoszonych pantoflach i nie mam zamiaru codziennie wkładać nowych”. Zofia musiała ugryźć się w wargę, bowiem Sissi była brzemienna. Doszła do wniosku, że jeśli zaostry się jej konflikt z synową, to ta nie pozwoli jej po swojemu wychowywać wnuków. Zofia zamierzała bowiem wszystkie dzieci Sissi zabrać i wychowywać po swojemu, bez udziału matki.

Wszystkie królowe tak robiły i robią. Elżbieta Piotrowna, caryca rosyjska, zabrała Katarzynie II jej syna Pawła, okryła go sobolimi lisami zamiast pieluch. Biedne, spocone dziecko ze zmarszczoną twarzą nieszczęśliwego karzełka, smutnie spoglądało zza swych lisich zaświatów, a matka, Katarzyna II, bała się nawet pot z czoła synka wytrzeć. Tak samo zresztą postąpiła ona sama w stosunku do Marii Fiodorownej, swej synowej, gdy ta urodziła Aleksandra i Konstantego. Zabrała wnuków i wychowywała ich po swojemu, a pomna lisich powijanek syna wpadła w inną skrajność: stosowała surowe, spartańskie wychowanie. Kąpała dziecko w zimnej wodzie, kładła spać bez poduszeczki, na twardym skórzanym materacu z końskiego włosia. Wtedy gdy dziecko spało, nakazywała, aby strzelano z armat z twierdzy Pietropawłowskiej. Aleksander I całe życie był głuchy na prawe ucho w wyniku tych salw na jego część, które mu serwowała nadopiekuńcza babka.

Wyzwanie, jakie Sissi rzuciła dworowi wiedeńskiemu, wyrażało się także w jej spoufalaniu się, o zgrozo, z ludem. Wychodziła bez świty, ledwie z kilkoma damami do sklepu, robiła zakupy, płacąc gotówką, rozmawiała z ekspedientkami. „Nie godzi się to cesarzowej” – zawył z dezaprobatą wiedeński dwór. Lecz dzięki takiej prostocie w zachowaniu cesarzowa zyskała dużo zwolenników, była lubiana. Była uważana za jedną z

najpiękniejszych cesarzowych Europy. Co tam cesarzowych – kobiet Europy! To zobowiązywało. Sissi zaczęła z nabożeństwem odnosić się do swej piękności. Uczyniła ją swym fetyszem, stała się jej niewolnicą. Wstrzymujemy oddech, Drogi Czytelniku, gdy czytamy o istnie inkwizycyjnych torturach, jakim poddawała swe ciało. Codziennie kilkugodzinne ćwiczenia w sali sportowej. W każdym ze swych pałaców miała taką salę, a jeśli jej nie było, szybko przerabiała, nawet sale rycerskie, na sale do ćwiczeń, wywołując tym popłoch wśród arystokratów. Niczym diwa baletowa kilka godzin dziennie ćwicząca przy swoich poręczach, Sissi kilka godzin dziennie ćwiczyła w swej siłowni. Wstawała o piątej rano w lecie, w zimie o szóstej, brała kąpiel – wodną parę, potem zanurzała się w zimnej wodzie o temperaturze siedmiu stopni Celsjusza. Szumiało jej w uszach, lecz nie zwracała na to uwagi, stosując tak drakońską kurację. Nie wiadomo kto jej powiedział, kto wymyślił to dziwactwo, którego stosowanie groziło reumatyzmem. Swój dzień Sissi, niezależnie od pogody, zaczynała od długiej, samotnej jazdy konnej. Konie były jej namiętnością.

Nie wiadomo, z jakiego dziwaczego znachorskiego podręcznika wyczytała recepturę na zachowanie pięknej skóry twarzy. Proszę sobie wyobrazić, Drogi Czytelniku, a jeszcze lepiej spróbować wypić ubite na pianę białka z sześciu jajek z wodą i solą. Piła to świństwo dwa razy dziennie. Natomiast jadła bardzo mało, nieraz tylko sześć pomarańczy na cały dzień i nic więcej. Naturalnie, że rozwinęła się w niej straszna choroba – anoreksja. Ważyła zaledwie 46 kilogramów przy wzroście 172 centymetrów. Biografowie szczegółowo rozwodzą się nad anoreksją Sissi, na którą chorowała w pierwszych latach pobytu na wiedeńskim dworze. Wielu z nich upatruje w tym podłoże nerwicowe – neurastenię. Sissi bardzo cierpiała, uważając, że jest niedoceniana na wiedeńskim dworze i poniżana na każdym kroku. Winiła za to przede wszystkim swoją teściową Zofię, której oprzeć się Franciszek Józef nie był w stanie. Matka stanowiła dla niego



świętość. Podtrzymywać piękność jest przyjemnie i łatwo, gdy jest się młodym. Lecz oto Sissi ma już pięćdziesiąt lat, waży zaledwie 56 kilogramów. Skóra na twarzy zaczęła schnąć, obnażając paskudne zmarszczki, zwane „pajęczynkami”. „Pajęczynki” zaznaczyły się nie tylko pod oczami, lecz także w kącikach ust, sięgnęły szyi i Sissi z przerażeniem dostrzegła, że przeobraża się w pomarszczoną staruchę. To ją przerażyło. Nie miała zamiaru oddawać berła triumfu – miana najpiękniejszej cesarzowej Europy. Dytyramby sławiące piękność Sissi przestały brzmieć zgodnym chórem, stawały się coraz to rzadsze. Już nie napisze Ludwik Wiktor w swym pamiętniku: „Sissi – to cud piękności. Ujrzawszy ją, ludzie zatrzymywali się, jakby rażeni piorunem. Nigdy nie widziałem, żeby kobieta sprawiała tak porażające wrażenie”. Amerykański poseł w Ameryce jeszcze niedawno tak pisał do swej matki o piękności Sissi: „Ona ma włosy koloru miodu, orzechowe oczy, niskie czoło, czerwone usta, życzliwy uśmiech. Jej piękność jest absolutna”. Pruska dziedziczka tronu, córka angielskiej królowej Wiktorii, pisała do swej matki: „Jestem oczarowana cesarzową, jej niezwykła piękność nie ma sobie równych. Nigdy nie widziałam kogoś tak pięknego i czarującego. Żaden portret nie jest w stanie oddać czaru cesarzowej Elżbiety”.

Co prawda, Sissi umiała umiejętnie maskować swe wady. Miała paskudne zgniłe zęby. Józefina, żona Napoleona Bonapartego, z tego powodu mówiła, przysłaniając usta wachlarzem, a śmiała się, ich nie otwierając. Z czasem dworacy nie byli w stanie zrozumieć jej bełkotu. Sissi zaczęła naśladować Józefinę. Mówiła mało i zawsze przysłaniając usta wachlarzem, przez co jej mowa stała się bardzo niewyraźna. Efektu takiej rozmowy z cesarzową doświadczył jeden dworzanin, trochę przygłuchy. Sissi: – Pan jest żonaty? On: – Czasami. Sissi: – Pan ma dzieci? On: – Od czasu do czasu.

Skończyły się dytyramby ku czci piękności Sissi. Cesarzowa starzała się brzydko. Z byłej piękności mało co pozostało.

Biografowie Sissi przytaczają wydarzenie, kiedy Sissi, będąc na Węgrzech i przejeżdżając przez jedną z wiosek, zatrzymała się w gospodzie. Jej dama dworu na chwilę odeszła. Sissi spokojnie wyjęła sztuczne zęby, położyła na stole i obmyła je wodą ze szklanki. Wiejskie dzieci obserwowały tę scenę. Kiedy po paru minutach ich babcia przez okno zobaczyła Sissi, powiedziała do swych wnuków: „Patrzcie, to jest najpiękniejsza kobieta świata”. Przerażone wnuczęta, świadkowie tej bulwersującej sceny wyjmowania sztucznej szczęki, odpowiedzieli zgodnie: „Przecież to jest ohydna starucha”. Babka boleśnie uszczypnęła wnukom uszy: „Cesarzowa Sissi nigdy nie będzie staruchą”. Niestety, była. Wiedziała o tym doskonale. Nie chciała patrzeć w lustro. Nie taką twarz spodziewała się ujrzeć. No i po co te wszystkie niehumanitarne wysiłki związane z zachowaniem figury i koloru twarzy? Przy innej, pełniejszej buzi, zmarszczki nie byłyby tak widoczne.

Ile kobiet zmarło w wiadomości o nieuchronności starzenia się? Poppea, żona Nerona, mówiła: „Nigdy nie będę chciała dożyć do starości. Chcę umrzeć młoda”. Umarła w wieku 36 lat, kopnięta przez Nerona w ciążarny brzuch. Leopoldyna, żona brazylijskiego króla Piotra, córka austriackiego Franciszka I i siostra Marii Luizy, drugiej żony Napoleona Bonapartego, zmarła w wieku 28 lat, również kopnięta przez męża w ciążarny brzuch. Jeszcze jedna żona umarła kopnięta za młodu przez męża w ciążarny brzuch – była to żona perskiego króla szaleńca Kambyzesa. Inne żony umierały bez kopnięcia, lecz także w młodym wieku. Szesnastoletnia żona tyrana Ludwika XI przed śmiercią powiedziała: „Pluję na życie”. Lecz do starości Sissi, kiedy istotnie „plunie na życie”, wiodąc beznadziejną, samotną egzystencję wiecznej wędrowniczki, jest jeszcze daleko. Powróćmy zatem do Sissi, która wzbudza podziw w Europie i oszałamia świat swym niecodziennym postępowaniem.

Żadna z europejskich królowych nie była tak elegancka jak Sissi. Kostiumy Sissi są dokładnie obmyślane, to nie było

naśladownictwo mody, to ona wprowadzała swoją, która potem przyjęła się w Europie. Kiedy jeździła konno, wkładała biały elegancki skórzany kostium amazonki. Cienka cieleca skóra była moczona w wodzie, potem naciągana na ciało Sissi i dopiero tu zaszywana. Ani jednej zmarszczki, ciało wyglądało, jakby było odlane z marmuru, jakby było greckim posągami. Modę na mokrą skórę wprowadził francuski król Karol X, były książę d'Artois, brat Ludwika XVI. Świat nasłuchiwał się o jego pantalonach z cienkiej białej skóry. Skórę namoczoną w wodzie naciągało nań dwóch dorodnych grenadierów. Podnosili księcia do góry i „pakowali” go w te pantalone. Damy były zachwycone, w tym stroju powaby męskie występowały w całej swej krasie.

„Nie rób kultu z ogórka” – mówi ludowe przysłowie. Tym bardziej nie należy czynić kultu z włosów. To twierdzenie nie dla Sissi. Uwielbiała swoje włosy, sięgające jej do kolan, koloru miodu, czy też dojrzałego żyta w słońcu. Poświęcała im dużo uwagi, trapiła się, nie mogła znaleźć odpowiedniej fryzjerki do ich ułożenia i czesania. I oto znalazła taką perłę. Była nią młoda fryzjerka Fanny Anerer z teatru narodowego, którą Sissi podkupiła, wyznaczając jej bajońskie honorarium. Fanny była chytra: pod fartuchem chowała wypadające włosy Sissi, pokazując jej czysty grzebień. Humor Sissi znacznie się poprawił. Odstawione fryzjerki gryzły wargi, że też nie domyśliły się możliwości stosowania tak prostych sztuczek, narażone na szturchnięcie, a nawet policzki Sissi. Fanny stworzyła tę słynną fryzurę Sissi – korona na głowie z zaplecionych długich warkoczy. Nikt z fryzjerów nie potrafił powtórzyć tej misternej fryzury. Czesła Fanny Sissi, układając jej włosy, po dwie-trzy godziny dziennie. Cesarzowa, żeby nie tracić nadaremnie czasu, uczyła się wtedy języka greckiego. Fanny umiejętnie grała na przywiązaniu Sissi do swych włosów. Wyszła za mąż za urzędnika bankowego Hugona Feifalika, którego Sissi ze względu na Fanny przyjęła na swój dwór i uczyniła jego marszałkiem. Przez całe trzydzieści lat

to sprytne małżeństwo okradało cesarzową. Ciężar włosów Sissi był tak duży, że bolała ją wciąż tylna część głowy. Często siedziała na fotelu z przywiązanymi tasiemką do krzesła włosami – odpoczywała. Aż dziw nas bierze, Drogi Czytelniku, jak te włosy tak bujnie rosły przy anoreksji, ciągłej głodówce, zniszczonym organizmie? Czym się żywiły? Jakaś demoniczną energią, przecież prawa medycyny rokowały im wypadanie? Nie wiadomo, jak to się działo. Sissi była fenomenem pod tym względem. Według Sissi tutejsza, to znaczy wiedeńska moda, była okropna i sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem. Na głowach noszono budowle z gazy, składające się z trzech lub czterech pięter, wzmocnione niezliczonymi zwojami ciężkiej wstążki. Fundament tej budowli stanowiła ogromna obręcz, podobna do tej, na jakiej młeczarki angielskie stawiały swe wiadra, tylko jeszcze grubsza. Tę konstrukcję panie przykrywały swoimi włosami pomieszanymi z dużą ilością włosów fałszywych. „Precz z tą nedorzeczną modą!” – powiedziała Sissi i zaczęła czesać włosy po swojemu, prosto, a jednocześnie kunsztownie.

Sissi miała czworo dzieci. Sama wychowywała tylko ostatnią córkę, Wiktorię. Może dlatego była to ulubiona córka Sissi, bardzo jej bliska duchowo, jeśli w ogóle Sissi była komukolwiek bliska. Na ogół trudno ją było zrozumieć, nawet Wiktorina nieraz nie rozumiała swej matki. Uważała, że matka bardzo źle odnosi się do ojca, zaniedbuje go. Sissi była innego zdania. Pierwszą córką Sissi była Zofia, urodzona w 1855 roku. Zmarła w wieku niemowlęcym. W 1856 roku Sissi urodziła córkę Gizelę, która również zmarła, co prawda już w młodzieńczym wieku, co dla matki było szczególnie bolesne. W 1858 roku urodził się syn Rudolf, który, jak wiemy, zastrzelił się (o tym dalej). Wreszcie przyszła na świat Wiktorina, która dość szczęśliwie wyjdzie za mąż i urodzi mężowi aż dziewięcioro dzieci, istna bohaterka Lwa Tołstoja, Natasza Rostowa, która szybko z pięknej, zgrabnej dziewczyny o niezwykłym powabie, staraniem misiwatego Pierre’a Bezuchowa,

przeobraziła się w grubą, dzieciorodną samkę-matronę. Nie nasz to ideał kobiety, Drogi Czytelniku. Nienawidzę tych mężów, którzy czynią z kobiet samki reprodukcyjne. Trzymamy stronę Sissi, która po czterech porodach postanowiła więcej dzieci nie rodzić, nawet zabezpieczyła się zaświadczeniem lekarskim, że dalsze porody zagrażają jej życiu.

Niewesoło czuje się Sissi na wiedeńskim dworze. Płacze, wpada w histerię, grozi samobójstwem. „Wówczas pójdziesz do piekła” – rezolutnie odpowiada jej mąż, Franciszek Józef. „Tu, w tym pałacu, jest piekło!” – krzyczy wściekła Sissi. Z nią jest źle. Nie chce wykonywać czynności reprezentacyjnych cesarzowej, wyręczając się swą bratową, żoną brata Ludwika. Wabia ją dalekie, inne kraje, życie wiecznej wędrowniczki-amazonki. Niebawem, w 1861 roku, wyjedzie do Afryki i od tego momentu zaczną się ciągłe wędrówki Sissi. Na razie nie wie, czym ma się zająć na nudnym wiedeńskim dworze, obok swojej teściowej Zofii, która jej nie akceptowała, uważając swą synową za „obłąkaną” i dziwaczną.

Sissi namiętnie kochała zwierzęta. Zawsze otaczała się dużymi psami, małych nie lubiła. Obecnie jej upodobania jeszcze bardziej „zdziwaczały”, według określenia teściowej, Zofii. Zawsze chętnie otaczała się papugami, olbrzymimi gorylami. Straszyl ten goryl damy dworu i pokojówki swym nieprzyzwoitym zachowaniem, pokazywał dużego fallusa, niczym erotoman w czasie erekcji. Jej syn, Rudolf, poinformował o tym swego nauczyciela zoologii, profesora światowej sławy, Alfreda Brehma, autora słynnego „Życia zwierząt”. Chuligankę małpę zabrano do zoo.

Sissi, zagubiona wśród bezbrzeżnego oceanu mewa z namokniętymi skrzydłami, demoniczna kobieta, która przynosiła wszystkim nieszczęście, swemu krajowi, dzieciom, teściowej, a co najważniejsze – sobie. Nie mogła ani uciec od swego „ja”, ani zrozumieć siebie. „Poznaj samego siebie” – banał Sokratesa

stawał się dla niej nieosiągalnym ideałem. Dumna i niepokorzona, epatowała i szokowała społeczeństwo, często bezmyślnie. Buntowała się Sissi, lecz w ten sposób, jak buntuje się dziecko przeciwko codziennej wstrętnej kaszce. Wojowała tą swoją drewnianą szabelką ze wszystkimi, poczynając od teściowej, a kończąc na własnym mężu. To nie było w duchu Sissi, bezmyślnie podporządkować się czyjeś nie do końca przemyślanej idei. Z góry była skazana na niepowodzenie, bowiem samotnych buntowników stateczny wiedeński dwór nie lubił, nie uznawał i nie przyjmował. Uciekała od tego bardzo obcego jej świata w lektury książek, a przede wszystkim w długie, samotne konne przejażdżki. Pływała na statkach, podróżowała pociągiem, zatrzymywała się niespodziewanie w hotelach, wprawiając personel w zakłopotanie, bo wozila ze sobą krowę, którą hotelarze musieli się zająć. Nie pomogła krowa i jej ciepłe mleczko leczące gruźlicę, której początki podejrzewano u Sissi. Później okaże się, że to tylko nerwica. Tylko nerwica czy aż? Ta choroba, mało znana w XIX wieku, była wtedy równie groźna jak obecnie rak. Sissi nie liczyła się z nikim i z niczym, dając upust swemu egoizmowi bądź chwilowej zachciance, miotana się jak słaba dżonka na bezkresnym oceanie, miotana wiatrami i burzami i nigdzie, absolutnie nigdzie, zwłaszcza podczas ostatnich lat swego życia, nie potrafiła zagrzać sobie miejsca. Wiecznie w ruchu, jak kołowrotek, wiecznie w podróżach, jak wędrowny mnich. Nowi ludzie, języki, obyczaje, lecz smutek ten sam, a ona pozostawała wciąż tą samą, nienasyconą, niezadowoloną, nieszczęśliwą Sissi. Analizując charakter Sissi, przychodzi nam do głowy, Drogi Czytelniku, porównanie ze strukturą gąbki. Niczego nie zatrzymuje w sobie na długo, ciągle poszukuje czegoś nowego, ciągle musi coś uzupełniać. Wciąż gdzieś nosi ten statek bez kompasu i z połamanymi żaglami.

Dwór z uwagą śledzi kroki Sissi. Nic nie ukryje się przed wścibskimi oczyma dworzan. Rozpełzły się słuchy, że źle się dzieje

w małżeńskiej alkowie między Sissi i Franciszkiem Józefem. Cesarz coraz to częściej natyka się na zamkniętą sypialnię żony. Nie chce go wpuszczać. Nie były to plotki, była to prawda. Sissi, urodziwszy mężowi z wielkim trudem czworo dzieci, w tym syna, dziedzica tronu, postanowiła więcej nie rodzić. Uprawianie seksu w imię samej przyjemności, to uciecha nie dla Sissi. Ona zawsze była bardzo mało temperamentna, miłość fizyczną uprawiała z niejakim wstrętem, a domaganie się jej przez swych kochanków uważała za zło konieczne. No cóż, nie ona pierwsza, ani nie ostatnia jest wyziębłą królową. Jednak cesarz, przepełniony już nie miłosnym zapałem, lecz patriotycznym obowiązkiem, chciałby mieć jeszcze jednego syna. Stąd te jego rozpaczliwe wysiłki dotarcia do łóża żony.

Sissi nie była egoistką. Wiedząc, że nie może dać seksualnej satysfakcji mężowi, postanowiła wynaleźć mu kochankę. Uczyniła to wielce taktownie, dyskretnie i przyzwoicie.

Katarzyna Schratt przez wiele lat będzie kochanką Franciszka Józefa i dopiero śmierć cesarza ich rozłączy. Po raz pierwszy tę aktorkę Teatru Narodowego zobaczyła para cesarska w 1883 roku, gdy grała w sztuce Szekspira „Poskromienie złośnicy”. Miała duże powodzenie, zwróciła na siebie uwagę także Sissi i Franciszka Józefa. Lecz dopiero za trzynaście lat, w 1896 roku, Katarzyna została kochanką cesarza. Inspiratorką była Sissi. Wielu biografów ten czyn Sissi nazywa cynicznym. My uważamy, Drogi Czytelniku, że był to akt humanitaryzmu. Żona, pozbawiwszy się swego egoizmu, zazdrości, wiedząc, iż nie jest w stanie ofiarować swemu mężowi erotycznej miłości, której on potrzebuje, sama wynajduje mu kochankę. Naturalnie, że zrobiła to w imię tego, żeby samej być wolną, urzeczywistnić swe pragnienie ciągłej wędrowki, żeby w końcu wyzwolić się od uciążliwych i upokarzających dla niej stosunków płciowych z mężem, nazywanych małżeńskimi obowiązkami. Wielu miało jej to za złe, my uchylamy przed nią kapelusza – postąpiła prawidłowo,

uczciwie i szlachetnie. Czyż nie tak samo postąpiła Liwia, żona Oktawiana Augusta, która nie uprawiała seksu z mężem z powodu różnicy ich intelektów (Liwia była o niebo mądrzejsza) – sama chodziła na targ i kupowała dla swego męża niewolnice, przeważnie dziewczice. Sissi zaaranżowała spotkanie swego męża z Katarzyną Schratt, nieważne, gdzie ono się odbyło, czy w atelier malarza, jak twierdzą niektórzy biografowie, czy w wynajętej kwaterze. W każdym razie uczyniła to dyskretnie, taktownie i prawie przyzwoicie. Udawała, iż Katarzyna należy do grona jej przyjaciółek, aby w ten sposób umożliwić jej uczestnictwo we wspólnych z cesarzem obiadach i herbatkach. Kandydaturę Katarzyny dokładnie przemyślała. Za jej kandydaturą przemawiał jej osobisty urok, seksapil, a także to, że była w separacji z mężem, Mikołajem Kissem. Katarzyna nie była specjalnie zachłanna, nie zajmowała się polityką, nie uczestniczyła w żadnych intrygach. Aktorka była wielce zaszczycona takim wyróżnieniem. Wiadomość o tym, że to ona została metresą cesarza, szybko rozniosła się po Wiedniu. Pozycja Katarzyny w teatrze znacznie się umocniła.

Ambasador niemiecki w 1896 roku pisał do cesarza Wilhelma II: „W teatrze panuje Katarzyna Schratt niepodzielnie i wszyscy płaszczą się przed nią”. Za cztery lata, w 1900 roku, umrze jej mąż i wtedy jej pozycja cesarskiej metresy umocni się jeszcze bardziej. Katarzyna potrafiła zjednywać sobie ludzi. Nawet młodsza córka cesarza, Waleria, pisała o niej bez cechującej w takich wypadkach dzieci zazdrości o matkę: „Ona [Katarzyna Schratt – E.W.] tak przyjemna, że człowiek musi przy niej w końcu dobrze się czuć. Papie ona bardzo się podoba”. Dzięki takiej niecodziennej postawie Sissi, przyjmującej w swym pałacu kochankę męża jak najlepszą przyjaciółkę, umilkły złośliwe plotki.

Kiedy Franciszek Józef poznał Katarzynę Schratt, ona miała dwadzieścia pięć lat, on pięćdziesiąt sześć. Ten poczciwy cesarz, który nigdy by sam nie ośmielił się mieć kochanki, był na granicy



szczęścia. Rozglądziły się jego zmarszczki, odmłodziła twarz, polepszyło się fizyczne i psychiczne zdrowie. Kobieca miłość czyni cuda. Takiego kobiecego ciepła, czułości, oznak uwagi i troski Franciszek Józef potrzebował jak małe dziecko. Z diabelską intuicją Sissi wyczuła, czego potrzebuje jej mąż i postarała mu się ten komfort zapewnić. Franciszek Józef i Katarzyna spacerowali po parku, trzymając się za rączki, całowali się, jak przystało na zakochanych, ona obdarzała go fiołkami i czterolistną koniczyną na szczęście, on nie wiedział, że za takie podarki trzeba płacić guldenami. Sissi mu to wyjaśniła, że za każdy przysłany od kochanki bukiet kwiatów powinien ofiarować jej pierścionek z brylancikiem. Cesarz w ogóle nie miał pojęcia o wartości pieniądza. Kiedy pewnego razu Katarzyna pokazała mu kupioną bransoletkę, powiedział: „Bardzo ładna, chyba kosztowała ze sto guldenów”. Był niezmiernie zdziwiony, kiedy usłyszał, że bransoletka kosztowała kilka tysięcy guldenów. To Sissi wydała rozporządzenie, żeby metresa otrzymywała od cesarza gażę, trzydzieści tysięcy guldenów rocznie, plus podarki. Willa Katarzyny znajdowała się obok królewskiego pałacu. Wystarczyło dyskretnie otworzyć furtkę, przejść przez park i cesarz już mógł przebywać w pokojach swej kochanki.

Nie wszystko między nimi było idealnie sielankowo w ciągu ich prawie trzydziestoletniej znajomości. Katarzyna lubiła grać w karty. Często przegrywała, a cesarz był na ogół oszczędny. Nie mogło mu się podobać takie bezmyślne trwonienie pieniędzy. Lecz drobne sprzeczki nigdy nie nabrały siły niebezpiecznej dla związku kłótni. Szczególnie kojąco wpłynęła Katarzyna Schratt na Franciszka Józefa po tragicznej śmierci jego syna, Rudolfa, podtrzymywała wtedy cesarza na duchu i koła jego ból.

Dzięki Katarzynie Schratt znacznie uprościło się życie Sissi: mogła oddać się własnemu żywiołowi. Już nie zapisze w dzienniku tych gorzkich słów, jakie napisała w pierwszych latach swego przebywania na wiedeńskim dworze: „Znalazłam się w więzieniu”.

Sissi, która przeczuwała, że umrze wcześniej niż jej mąż, często mówiła, że nie pragnęłaby po swej śmierci innej dla niego żony niż Katarzyna Schratt. Być może jest prawdą, że po śmierci Sissi Franciszek Józef zawarł z nią morganatyczne małżeństwo, być może to tylko plotki. Nieważne. Ważne, że Katarzyna Schratt była szanowana na wiedeńskim dworze. Kiedy umarł Franciszek Józef w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat, nowy cesarz, zobaczywszy Katarzynę Schratt w sali, gdzie stała trumna cesarza, podszedł do niej, nisko się uklonił, a potem podprowadził do trumny cesarza. Katarzyna położyła na martwą pierś swego kochanka dwie białe róże. Starła się usłać jego życie różami bez kolców, ofiarowując mu miłość, przywiązanie, kobiece ciepło i macierzyńską troskę.

Niełatwo spadać z piedestału. Można rozbić się na śmierć. U Sissi w gigantycznym tempie rozwija się choroba nerwowa. Wpada coraz częściej w dziką melancholię, czasami płacze, nie mogąc zatrzymać łez, które leją się bezdennym potokiem. Coraz częściej myśli o samobójstwie. Nerwowy stan i wyczerpująca głodówka ujemnie wpłynęły na stan jej zdrowia. Ciężko zachorowała. Doktor powiedział: „Zdrowie Waszej Wysokości jest w wielkim niebezpieczeństwie. Powinna Wasza Wysokość przebywać w ciepłym klimacie”. Sissi wybrała Maderę.

Po co wybrała tę wyspę u wybrzeży Afryki, z ubogimi ludźmi, ubogą przyrodą, wiecznym kurzem i nędznymi sklepami? Miasto Funchal jest beznadziejnie brudne i nędzne. Uciekała z tej Madery co koń wyskoczy, znienawidziwszy Afrykę na całe życie.

Sissi, wieczna wędrowniczka, bardzo polubiła Grecję. Nie tylko starannie uczyła się języka greckiego, nawet podczas układania jej fryzury, lecz interesowała się grecką poezją, filozofią starożytnych myślicieli, ubóstwiała Homera, i miała swego sekretarza Greka, Konstantyna Christomanosa. Jego zadaniem było zapisywanie „złoty myśli” Sissi, dlatego nigdy nie widziano go bez notesu i ołówka. Niebawem, jak każdy mężczyzna,

zakochał się w cesarzowej, wiedziała o tym, pochlebiało to Sissi, lecz trzymała go na odpowiedni dystans, nie pozwalając na żadne poufałości.

Grecja wydaje się Sissi zagadkowym i tajemniczym krajem pośród mrocznych skał.

Sparta nie spodobała się Sissi. Grzęźnie w błocie, jak senny żółw morski, i absolutnie przestała być groźna. Wykastrowano ją, jest brzydka i zaniedbana. To miejsce nie dla Sissi. Ona nie chce widzieć brudnej, szarej rzeczywistości, ubogiego bytu ludu, pociągają ją mity bogów. Zresztą wystarczyło Sissi znaleźć się trochę dłużej w nieznanym miejscu, aby pierwotna euforia szybko ustąpiła miejsca nudzie, niechęci i przygnębieniu. Ciągle potrzebowała nowych wrażeń.

Szczególnie fascynowało Sissi morze. Podróżowała po Morzu Śródziemnym jednym ze swych jachtów, albo na „Gryfie”, albo na „Miramar”. Na Morzu Śródziemnym dość często bywały sztormy. Sissi nie bała się ich. „Będzie burza, powalczymy i zmierzmy się z nią” – mawiała. Kiedy jej damy chowały się ze strachu w swych kajutach, zatykając sobie uszy przed odgłosami rozpasanego żywiołu, Sissi siedziała na pokładzie, przywiązana do masztu, i głosiła sentencje, których nie nadążał zapisywać Grek Konstantyn: „Płynę w ślady Odyseusza, wabią mnie morskie fale i dalekie mitologiczne dale”. Albo: „Ja i Orfeusz byliśmy jak dwie potępione dusze blakające się po Hadesie”. Zdumiewała Greka Konstantyna cesarzowa Austrii. Coś szalonego było nieraz w jej sentencjach. Patrząc na fale podczas sztormu, zamyślona mówiła: „Ech, jakbym chciała rzucić się w otchłań i zjednoczyć się z nią”. Mówiła to tak poważnie, że Grek przestraszył się: czyżby cesarzowa, która tak ciężko przeżyła dwie śmierci, swego syna i kuzyna Ludwika Bawarskiego, myślała o samobójstwie? Lecz nie na „Titanicu”, gdzie śmierć dla niej byłaby błogosławieństwem. Jacht „Gryf” spokojnie dryfuje po Morzu Śródziemnym i niesie Sissi w coraz to nowe krainy, związane i z Homerem, i z mitami

starożytnymi. Na Korfu ma swoją willę o nazwie „Hermes”. Los tej willi był podobny do jej wszystkich domów i zamków: chwilowy zapał, niesamowity entuzjazm, plany o rozpoczęciu nowego życia wśród natury, aby po niedługim czasie to wszystko odsunąć i rzucić się w wir poszukiwań czegoś nowego. Sissi była wieczną wędrowniczką, niespokojną, nieszczęśliwą, która nigdy nie przybije do swego portu, nie znajdzie nigdzie wytchnienia i będzie żyć w wiecznym poszukiwaniu. Czego, lub kogo?

Mąż zaraził ją rzeżączką. Przypadkowo, jak każdy mężczyzna młody i piękny, i nie stroniący od pięknych, lecz zarazonych kobiet. Od tego czasu minęło kilkadziesiąt lat. Od tamtego czasu Franciszek Józef już nie zdradzał żony. Kiedy to się stało, uciekła z Wiednia, nie było jej równych sześć miesięcy. Franciszek Józef porzucił raz na zawsze przypadkowe krótkotrwałe miłostki, nie kompromitował się już nigdy z aktoreczkami czy kobietami z półświatka. Mogła Sissi wybaczyć raz na zawsze swemu mężowi. Ale ona, jak zaczęła wtedy uciekać, tak ucieka do końca, aż do śmierci.

Sissi znajduje się na Korfu. Tu jest jej Eden, jej mały raj. Przyjeżdża do niej mąż, Franciszek Józef. Spacerują po brzegu morza, trzymając się za ręce. Sissi mówi zamyślona: „Uważam Grecję za swoją przyszłą ojczyznę. Uwielbiam ten kraj. Grecja jest naga i całkowicie objawiona. Tu zrobisz krok i zanurzasz się w tajemniczy świat bogów”. Ubóstwa prostego ludu Sissi nie widzi. Żyje swoją bogatą wyobraźnią, buduje na Korfu willę, którą poświęca mitologicznemu bohaterowi Achillesowi. Jest silny, jest sprawiedliwy. „Wyspa jest moim życiem” – mówi do męża. Cesarz musi wracać do Wiednia, ona nie chce. Czekają ją tam nudne obowiązki reprezentacyjne i plotki nieżyczliwego dworu. Mąż, jak zwykle podatny na każdy kaprys Sissi, zgadza się, żeby pojechała do Wenecji. Tu przywożą jej dzieci. Trudne jest życie Franciszka Józefa z żoną, chociaż bardzo ją kocha. Ściany jego gabinetu są obwieszane portretami Sissi. Lecz portrety milczą, po prostu

ukazują piękną kobietę, dumną i majestatyczną, przeważnie na koniu i w otoczeniu dużych psów, a nie tę histeryczkę, która ciągle zmienia zdania i przywiązania. Gdy willa na Korfu została już zbudowana i poświęcona Achillesowi, ona już rozczarowała się tą inwestycją. Skreśla w swym pamiętniku słowa wcześniej zapisane: „Tu, do Korfu, będę ciągle przyjeżdżać i wybuduję swój zamek”. Zamek-willa „Achilleinon” już nie jest potrzebny Sissi. Niszczuje i marnieje, bo nie udało się go sprzedać. Rozkoszne meble i gobeliny gniją w magazynach. Bakcyl przygód toczy Sissi, a jej upragniony raj na Korfu nie okazał się długotrwały. Ledwie skończyła budowę willi w Gaturii na Korfu, a już chce ją sprzedać. Owidiusz miał rację, Drogi Czytelniku: „Pragniemy tego, co jest nam niedostępne, i zniechęcamy się, gdy to osiągamy”. Sissi nadal podróżuje. Fascynuje ją morze, pływanie na statku, burze z ich błyskawicami i grzmotami rozjątrzonego Posejdon a czy Merkuriusza, jak kto woli.

Podchodzimy, Drogi Czytelniku, do zagadnienia zawsze nurtującego biografów: stosunek Sissi do mężczyzn. Czy miała kochanków? Po zapoznaniu się i po szczegółowej analizie rozlicznych źródeł o życiu austriackiej cesarzowej, dochodzimy do wniosku, że Sissi kochanków, z którymi łączyłaby ją więź fizyczna, nie miała. Wszyscy jej kochankowie byli kochankami platonicznymi, zupełnie tak samo, jak u Lukrecji Borgii w jej ferrarskim okresie życia, lecz zupełnie inaczej niż u dziewiczej królowej Elżbiety I. Jeśli angielska królowa Elżbieta I z powodu defektu kobiecego organu nie mogła mieć normalnego fizycznego stosunku z mężczyzną, lecz ulegała seksualnej perwersji, stosując oralny i analny seks, to Sissi pod tym względem była całkiem inna. Fascynował ją mit o egipskiej królowej, która nigdy się nie starzała, bo nie miała fizycznego związku z mężczyzną.

## Miłostki Sissi

No tak, w jej życiu byli mężczyźni, których trudno było uznać za kochanków w pełnym tego słowa znaczeniu. Sissi, kobieta oziębła, nie potrzebowała fizycznego zbliżenia z mężczyzną, jej seksualne zmysły były nierozbudzone, natomiast potrzebowała mężczyznę przyjaciela, mężczyznę kumpla, mężczyznę rycerza, który wielbiłby ją platonicznie. Być może marzyła o wielkiej miłości, lecz o dość specyficznym charakterze. Ponieważ nie należała do kobiet namiętnych, zupełnie jej wystarczała ślepa adoracja mężczyzny. Do seksu odnosiła się spokojnie, a nawet obojętnie. Wpoila w siebie wiktoriańskie zasady seksualnej wstrzemięźliwości kobiety. Jednocześnie był jej potrzebny mężczyzna władca, który zdominowałby ją, przed którym czułaby respekt. Mimo iż miała wielu bliskich mężczyzn przyjaciół, żaden z nich nie mógł zostać nazwany jej kochankiem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Mężczyźni, którzy w jej życiu się pojawiali, związani byli wspólną pasją do koni. Mikołaj Esterhazy prowadził hodowlę koni czystej rasy. Sissi nazywała go pieczołtliwie Niki. Miał ogromny majątek i był uważany za najlepszego jeźdźca na Węgrzech. Założył w Wiedniu klub jeździecki, do którego Sissi należała. Był nieżonaty i młodszy o trzy lata od cesarzowej. Mimo iż wszystko sprzyjało rozwojowi flirtu, czy też romansu, do zbliżenia nigdy nie doszło. Zbyt uwielbiał Sissi, a w miłosnych sprawach to często szkodzi. Nie był też wystarczająco duchowo silny dla Sissi.

Pojawił się na horyzoncie drugi jej gorący wielbiciel, Rudolf Lichtenstein. Mogła mu się wypłakać „do kamizelki”, zwierzyć się ze swoich trosk i na tym koniec. Do zbliżenia nigdy nie doszło, choć okoliczności temu sprzyjały. Sissi często zabierała go ze sobą do swej węgierskiej posiadłości Gödöllö.

Do najgorętszych jej wielbicieli należał także Elmer Battyane. Jego ojciec w 1849 roku został stracony przez Franciszka Józefa.

Odtąd ani sam Elmer, ani jego rodzina nie kłaniali się cesarzowi i nie rozmawiali z nim, nawet kiedy zdarzała się taka paradoksalna sytuacja, gdy nos w nos spotykali się w posiadłości Gödöllö. Franciszek Józef ze zrozumieniem i pobłażliwością przyjmował zniewagę, drobiazgowy nie był, miał świadomość, że to on podpisał wyrok śmierci na ojca hrabiego. Wrogość Elmera w stosunku do cesarza ominęła Sissi, zawsze okazywał jej szacunek i chęć służenia.

Jest jeszcze jeden jej przyjaciel, najbardziej intymny – Gyula Andrassy, minister spraw zagranicznych Austrii. Chodziły plotki, że Waleria, ostatnia córka Sissi, to biologiczna córka Andrassy'ego. Na szczęście Waleria była podobna do ojca, Franciszka Józefa, jak dwie krople wody. Sissi bardzo ciężko przeżyła śmierć Andrassy'ego. Pisała, że z jego odejściem została pozbawiona najbliższego przyjaciela i powiernika: „Tak, to była wierna przyjaźń, nie zatruta przez fizyczną miłość”.

Dobrze jest mieć przyjaciół, którzy nie pretendują do miana seksualnych kochanków, lecz młoda i piękna Sissi, kobieta o romantycznej duszy i ogromnej wrażliwości, potrzebowała romantycznego kochanka. A skoro taki nie pojawia się w jej życiu, ona go wymyśli. Takim romantycznym adoratorem został nieznajomy urzędnik państwowy, którego poznała na maskaradzie w 1874 roku.

Cesarzowa wybrała się na bal maskowy Wiedeńskiego Towarzystwa Muzycznego. *Incognito*, ma się rozumieć, w jasnorudej peruce i w złotym domino. Towarzyszyła jej dama dworu Ida Ferenczy. Tam tańczyła i flirtowała, będąc w masce, z młodym człowiekiem. Był to dwudziestoletni urzędnik państwowy Fritz Pacher, a ona już trzydziestosześcioletnia babcia (Gizela wyszła za mąż i miała już pierwsze dziecko). Para zwróciła na siebie powszechną uwagę. Lecz cesarzowa nie została rozpoznana, zniknęła niespodziewanie z balu. Na przyrzeczone *rendez-vous* nie przyszła, lecz napisała do Fritza szereg listów. Po

jego śmierci (zmarł w 1934 roku) ujawniono listy Sissi pisane do niego. Młodzieniec domyślił się, z kim tańczył na balu i zachował w pamięci na całe życie ten epizod. Listy Sissi stanowiły dla niego jasny promyczek na pochmurnym niebie jego nudnego, nijakiego życia.

No i nareszcie w życiu Sissi pojawił się mężczyzna z prawdziwego zdarzenia. Mężczyzna, któremu uległa (fizycznie także), którego słuchała, który jedyny na świecie uzurpował sobie prawo ganienia i chwalenia Sissi, który nie patyczkował się z nią i nie okazywał unізoności, słowem, mężczyzna władca, o którym marzą romantyczne kobiety. Był brzydki. Krępy, rudy, o rudawej bródce, w piegach, o perkatym nosie. Lecz emanowała z niego siła samca, wola dyktatora.

Naukowcy i filozofowie piszą tasiemcowe elaboraty na temat psychologii kobiet. Dlaczego kobietom tak nieraz imponują brzydki mężczyźni, zastanawiał się Stendhal w swej rozprawie „O miłości”. Postawił wniosek naiwny i prawdziwy: w brzydkim mężczyźnie o silnej woli skoncentrowana jest męska siła, chęć dominacji, które to cechy tak fascynują kobietę, że zewnętrzna brzydota staje się w jej oczach pięknem, nie ma żadnego znaczenia, nie odgrywa żadnej roli. Jeśli jest tak, rozumiemy, dlaczego Katarzyna Wielka kochała nader brzydkiego Grigorija Potiomkina i przez całe siedem lat była dosłownie jego niewolnicą, dlaczego córka francuskiego regenta Filipa Orleańskiego pokochała straszną, pokraczną, pryszczatą kreaturę. Ten mężczyzna-potworek wyrugował z niej nudę – objaśnia Stendhal.

Sissi znalazła swego władcę. Nazywał się Middleton, miał trzydzieści lat (Sissi czterdzieści trzy), był Szkotem i najlepszym jeźdźcem Anglii. Począł wszędzie jej towarzyszyć, lecz nie jak paż, a godny jej partner-kochanek. Middleton ma zazdrosną narzeczoną, która długo tolerować Sissi nie będzie, postawi mu ultimatum: ja albo cesarzowa. Wybrał narzeczoną. Ale to zdarzy



się znacznie później. Na razie Sissi chce doskonalić swoją jazdę konną, pomóc w tym powinien jej najlepszy jeździec Anglii – Middleton. A on niczego nie musi i niczego nie powinien. On wolny ptak i sam sobie pan. Odmówił Sissi. Niestłuchane. Była tak oburzona, tak zaskoczona, tak zrozpaczona, że najpierw zbladła z powodu zniewagi jak płótno, potem zaczerwieniła się jak burak, kto to taki śmiał zlekceważyć Sissi, cesarzową, najpiękniejszą, niepowtarzalną kobietę Europy? Nieociosany Szkot, krępy i rudy, o rudej bródce i piegowatej twarzy. Jak on śmiał? I bicz spadł na grzbiet niewinnego konia, przeraziło się i obraziło dumne zwierzę z powodu takiej zniewagi i poniosło Sissi galopem. Niech opamięta się ta rozkapryszona cesarzowa, niech trochę ostygnie. Ona ostygła. Przyszła na drugi dzień do Middletona (rzecz dzieje się w Londynie) i tonem pokornej wschodniej niewolnicy poprosiła najlepszego jeźdźca Anglii o to, żeby został jej trenerem. Wyznaczyła mu takie bająnskie honorarium, że Szkot nie mógł się nie zgodzić. Zaznaczył jednak, że nie ścierpi kaprysów cesarzowej, która musi go bezwzględnie słuchać. Zgodziła się na wszystkie warunki i ze starannością prymuski gimnazjalistki zaczęła doskonalić swoją jazdę pod okiem wymagającego i bezwzględnego nauczyciela. Middleton oświadczył Sissi, że skoro cesarzowa pretenduje do roli najlepszego jeźdźca, musi przykładać się do nauki i wykonywać jego polecenia bez względu na zmęczenie i inne kaprysy. Sissi nie śmiała nawet potrzebować swych posiniaczonych kolan i rąk. Konie i jazda, jazda i konie, a obok wspaniały mężczyzna-samiec, alfa i omega jej życia. Sissi jest prawie szczęśliwa i nie chce wracać do Wiednia. Po co? Wracać do tej złotej, szczelnie zamkniętej klatki, gdzie króluje zakłamanie, pruderia i znieawidzona przez nią pałacowa etykieta? Tu ma swoje konie, którymi zajmuje się Middleton; za bająnską sumę sprowadził dziewięć najlepszych koni z Anglii (trzy zdechły). Tu ma wolność i atrakcyjnego mężczyznę jej marzeń, pachnącego zapachem prawdziwego mężczyzny. Sissi wacha ten inny niż

dotąd znany jej zapach – mieszaninę męskiego i końskiego potu, daleki od zapachu perfum, wody kolońskiej. Ten zapach siły i męskiej woli zniewala najbardziej nawet rozkapryszoną kobietę. Zniknęły lęki Sissi, odeszła precz depresja, ustał nerwowy kaszel, przypominający gruźliczy, zniknęła melancholia. Sissi to teraz okaz zdrowia. Któżby uwierzył, że jeszcze niedawno chorowała na anoreksję i nachodziły ją samobójcze myśli? Żyje teraz intensywnym życiem, którego celem jest jej udział w polowaniach królewskich, uczestnictwo w turniejach na równi z mężczyznami. A najważniejsze jest to, że ślepo podporządkowuje się władcemu, zadufanemu w sobie mężczyźnie, jedynemu na świecie, który zdołał ujarzmić rozkapryszoną i narowistą kobyłkę-Sissi.

Wspólna pasja do koni łączy ludzi. Wydaje się, że Middleton zapomniał o swej narzeczonej, dnie i noce spędza z Sissi. Sissi całuje w nos muskularnego źrebaka, a w podświadomości całuje Middletona. Koń ma psychikę podobną do psychiki Sissi. Bywa rozdrażniony, uparty, a zazwyczaj jest uległy. Kiedy jest rozdrażniony, rzuca łbem i płasko kładzie uszy. Lecz istnieje niemy język porozumienia między jeźdźcem i jego koniem. Delikatny dotyk ręki Sissi, głaskanie końskiej grzywy, koń odczuwa jej dłonie, które tak czule do niego przemawiają. Cwałuje długim kłusem w idealnej harmonii ze swoją władczynią. Jazda konna wymaga doskonałej harmonii dwóch istot – człowieka i zwierzęcia. Sissi w przepięknym stroju amazonki jedzie po leśnej dróżce na czarnym andaluzyjskim ogierze, jego ogon zwisa do ziemi, a długa, jedwabista grzywa, idealnie rozczesana, łopocze na wietrze, niczym flaga. Sissi jest zatopiona w swych myślach. Związek z koniem stanowi dla niej substytut związku z innym człowiekiem. Koń to namiastka kochanka. Wierzchowiec – to metafora skomplikowanych procesów psychicznych. Middleton był zadowolony. Jego uczennica nie unikała karkołomnej jazdy, nieraz leciała jak wiatr, jak burza na złamanie karku. W Wiedniu

Franciszek Józef drży o jej zdrowie. Dowiedział się, że żona znowu spadła z konia i omal nie dostała wstrząsu mózgu. Lecz jak kot, który spadając z góry, zawsze wstaje na cztery łapy, tak i Sissi po kilku dniach kuracji znowu dosiadła wierzchowca. Wiadomo, jak niebezpieczny, nawet dla doświadczonych jeźdźców, jest galop w dół po stromym zboczu. Ale przy pomocy Middletona Sissi opanowała i taką trudną technikę jeździecką.

Middleton towarzyszy cesarzowej Sissi dosłownie wszędzie. Ona jeździ z nim powozem, z twarzą osłoniętą woalką, do muzeów londyńskich, odwiedza budy jarmarczne, gdzie czuje się całkiem swojsko wśród strzelnic, małą i kuglarzy. Gustuje w małych restauracyjkach, gdzie pałaszuje wszystko, poczynając od ostryg, a kończąc na kawiorze, popijając to wszystko obficie szampanem. Apetyt Sissi dopisuje, przestała chorobliwie troszczyć się o swą figurę. Anoreksja odeszła, oby na zawsze. Sissi odżyła. Uwodzi, flirtuje, kokietuje. Księżę Walii Edward VII jest w niej zakochany. A gdy z królewskiego pałacu wraca do siebie, Middleton wita ją słowami: *I hope your majesty had a good time?* Wie, że wszystkie te lekkie flirty Sissi są dla niego niegroźne, jest to tylko danina składana jej piękności. Nie udało się Sissi wzbudzić zazdrości Middletona, ten pyszałek jest zbyt pewny swego uroku, siły i oddziaływania na nią. Sissi zabiera Middletona na Węgry, do swej posiadłości Gödöllö. Był to pomysł nieudany. Szkot znalazł się wśród ogromnej masy wielbicieli Sissi, którzy nieprzyjaźnie spoglądali na niego, nie akceptowali go. Czuje się tam obco i samotnie. Pewnego razu umknął do Budapesztu, znalazł się w burdelu, został pobity i okradziony, trafił do policji węgierskiej, a Sissi, wściekła i oburzona, musiała go wyciągać z opresji. Zniewolił ją swym poczuciem humoru: „To się zdarza” – skwitował swoją budapesztańską przygodę.

Nareszcie Sissi może być zadowolona, udało się jej rozkochać w sobie Middletona. Jej próżność została wynagrodzona. Trzydziestotrzyletni mężczyzna złożył siebie na

ołtarzu hołdu cesarzowej. Sissi sama nie podejrzewała, że pociągają ją mężczyźni silni, władczy, dominujący nad kobietą. Takiego mężczyznę, jedyne w swoim życiu, odkryła w Middletonie. Zwraca się do niego: „Użyj całej swej męskiej brutalnej sztuki, dmuchaj na mnie ile sił w twych płucach, zrób ze mnie jakiś nowy fantastyczny kształt wedle twego wyobrażenia o kobiecie amazonce, nie zaś cesarzowej”. A co na to Pan Bóg, na to dziwne życzenie, aby zmieniać człowieka? Czy Sissi nie za dużo wymaga od swego Szkota? On chce swego malutkiego szczęścia z żoną i dziećmi w przytulnych pieleszach własnego domu. Tego wszystkiego Sissi nie może mu dać. Ba, ona nawet nie może mu dać swego ciała w wyniku jakiejś skomplikowanej filozofii, której Middleton nie jest w stanie pojąć. Z dwojga złego wybrał on mniejsze zło: wybrał swoją narzeczoną. Sissi nie chce być tylko i aż tylko kobietą. Buja w obłokach i tam szuka swego boga, nie na ziemi, nie cielesnego. Fizyczna miłość jej nie interesuje. To tylko przykry dodatek do wysokiej miłości duchowej, stosowany po to, aby zatrzymać mężczyznę. Niespokojna dusza Sissi na niespokojnej ziemi wciąż szuka swego ideału, nie może go znaleźć, mimo iż mobilizowała do maksimum swoją wyobraźnię i usiłowała w pospolitym zdrowym samcu, jakim był Middleton, odkryć swego boga. Kobiety, nie róbcie z ogórka kultu. Nie twórz, Sissi, z krwistego Middletona obrazu swego ideału. Middleton przestraszył się Sissi, ta dziwna kobieta, niczym syrena, pociągnie go w otchłań, z której już się nie wyrwie. Middleton odstąpił. Zdradził Sissi. Tego ona od niego nie oczekiwała. Na Boga, i tu zdrada! Dlaczego mężczyźni tak szybko ją opuszczają? Zajrzyj, Sissi, w swoje wnętrze. Czy tam wszystko jest w porządku, jak u normalnych ludzi? Kiedyś w rozmowie z Ludwikiem II Bawarskim Sissi wypowiedziała dziwne zdanie: „Jedyni normalni ludzie to obłąkańcy”. Jakże dużo prawdy w tym twierdzeniu. Lecz to zdanie adresowane do nieszczęśliwych dusz typu Sissi. Middleton należał do normalnych ludzi, przestraszył się tej niebezpiecznej kobiety.

Śpiewała mu, niczym Orfeusz, miłosne pieśni, mamiła, a niczego, nawet swego ciała, nie dawała w zamian. Dawała tylko swoją duszę, której Middleton, zbyt przyziemny, zbyt krwisty, nie był w stanie rozpoznać. Dar był tak ogromny, że nie mógł go przyjąć, tak bardzo go przerastał.

Przychodzi kiedyś koniec wszystkiego. I ta sielanka musiała mieć swój kres. Narzeczona Middletona, niemal odtrącona, nie miała zamiaru dłużej tolerować zauroczenia swego narzeczonego austriacką cesarzową. Zapytała: ja czy Sissi? Middleton wybrał narzeczoną. Sissi była mirażem, marzeniem, ulotnym ptakiem feniksem, tymczasem życie wymagało kogoś bardziej ziemskiego, realnego, nie można przecież wiecznie żyć mrzonkami o romantycznej miłości.

W 1882 roku Middleton się ożenił. Nie wiadomo, czy był szczęśliwy w małżeńskim życiu. Korespondował z Sissi jeszcze kilka lat po swym ślubie. Wszystkie jego listy Sissi spaliła, on również nie zostawił takiej pamiątki po niej. Jeszcze raz spotka Middletona, w Amsterdamie, niby przypadkowo, gdzie on kurował się po upadku z konia. Zginie Middleton tragicznie w 1892 roku, spadając z konia i łamiąc sobie kark. Po jego śmierci Sissi sprzedała wszystkie konie, które on kupił dla niej w Anglii i Irlandii. Jego żona zniszczyła wszystkie listy Sissi. Chciała zniszczyć także podarki, lecz wstrzymała się przed tym, były zbyt kosztowne. Tak zakończyła się jedyna w życiu Sissi miłość do mężczyzny, z którym połączyła ją głęboka duchowa przyjaźń i fizyczna więź. Middleton był na tyle jej drogi, że nigdy nie wspominała o nim w gronie swych przyjaciół, chowając głęboko w duszy swój ból i podziw dla tego człowieka.

\* \* \*

10 sierpnia 1898 roku. Szwajcaria. Genewa. Tu w hotelu zatrzymała się Sissi. Rankiem opuściła hotel „Beau Rivage” i w

towarzystwie kilku dam udała się do przystani na brzegu jeziora.

Włoski dwudziestosześcioletni robotnik budowlany, Luigi Lucheni, dumnie nazywający siebie anarchista, przyjechał specjalnie do Genewy, aby zabić jakiegoś władcę lub kogoś z jego rodziny. Całą noc ostrzył pilnik, swe śmiercionośne narzędzie. Dowiedział się, że w Genewie przebywa Sissi. Wielce uradowany, iż nocna robota nie poszła na marne, schował narzędzie do marynarki i poszedł na brzeg jeziora. Zobaczył tam Sissi, w zamyśleniu spacerującą wzdłuż brzegu. Podszedł do niej i wbił pilnik prosto w jej serce. „Jeśli ono boli, w niego łatwo trafić” (Maksym Gorki). Sissi nie poczuła bólu i zrobiła kilka kroków, zapytała: „Co się stało?” – i padła martwa na ziemię. Lucheni nie usiłował uciekać, dumny ze swego czynu, stał jak wryty. Otrzymał dożywocie. Po dziesięciu latach zakończył życie samobójstwem, wieszając się na własnym pasku.

Po Sissi nie zostały żadne drogocенności, których nigdy nie lubiła. Jedynie sznur czarnych pereł, których nigdy nie nosiła w przekonaniu, że czarna perła przynosi nieszczęście. Czarna perła Sissi odeszła na zawsze, zamykając plejadę ogromnie nieszczęśliwych królowych, które wciąż poszukiwały swego szczęścia i miejsca na ziemi, nigdy go nie znajdując.

## **Wolność szaleńców**

### **Wittelsbachowie**

*A gdzie leży granica między szaleństwem a rozumem?*

(Sissi, cesarzowa Austrii)

No tak, granicy nie ma, a my nie jesteśmy ani psychiatrami, ani psychologami, żeby określić i wyznaczyć te granice. Dla nas, zwykłych śmiertelników, nierzadko szaleństwo jest tożsame z genialnością. Co prawda bywały szaleńcze postępy, jawnie wskazujące na obłąkanie ich bohaterów, którzy odcinali sobie uszy (van Gogh), biegali na czworakach i szczekali niczym psy (Maupassant). Lecz trudno jest określić, kto jest kto, kto jest normalny, a kto nie. W każdym razie dynastia niemiecka Wittelsbachów przez długi czas nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest to ród przeklęty, naznaczony piętnem szaleństwa. Małżeństwa z bliskimi krewnymi, podobnie jak to miało miejsce w przypadku dynastii Habsburgów, zdegenerowały dynastię Wittelsbachów. Wśród jej członków było wielu obłąkanych w mniejszym lub większym stopniu. Lecz nie trzeba być psychologiem czy psychiatrą, żeby stwierdzić, że między obłąkańcami z jednego i drugiego rodu była zasadnicza różnica. Jeśli dynastia Habsburgów generowała plejadę obłąkańców: sadystów, deprawatorów, anormalnych ludzi, to dynastia Wittelsbachów „wydawała” na świat dziwaków, których obłąkanie było stosunkowo niewinne, określane mianem „dziwni ludzie”. Co czynią dziwni ludzie, czym odróżniają się od normalnych? Naturalnie, że swym postępowaniem i sposobem odnoszenia się do społeczeństwa i jego norm. Wszyscy Wittelsbachowie lubili wolność i nienawidzili przymusu dworskiej etykiety. Lubili samotność i nienawidzili ludzkiego tłumu. Byli wrażliwi i

inteligentni. Odczuwali niezrozumiały lęk przed szumem, rozgłosem i ludźmi. Chętnie zaszywali się w swych posiadłościach. Kto przeklął ród Wittelsbachów? Wódz templariuszy Bernard de Saisset, skazany na stos, przeklął ród francuskiego króla. Całe pokolenia synów i wnuków Filipa Pięknego dotykały różnego rodzaju nieszczęścia i tragiczne wypadki. Rodu Wittelsbachów nikt nie przeklinał, jednak wydawało się, że napiętnowany jest przekleństwem. Matka Sissi, Ludwika, nieszczęśliwa i osamotniona, mimo iż urodziła ośmioro dzieci. Pamiętała dobrze, jak jej mąż, zmuszony przez swego ojca do zawarcia politycznego małżeństwa, uczciwie i jakże dla kobiety boleśnie, objawił jej w noc poślubną, że jej nie kocha i nigdy nie pokocha, że jego serce jest zajęte kochanką czy też kochankami. Wzgardzona i sponiewierana musiała przechodzić przez te ciężkie noce spółkowania tylko dla prokreacji. Ośmioro dzieci, a potem twarde, bezwzględne słowo męża: „Koniec”. Koniec wchodzenia do łóżka niekochanej kobiety, koniec stosunkom seksualnym, które nie dawały żadnej przyjemności. Żona osiedliła się w osobnym i oddalonym od Monachium pałacu i tam wychowywała dzieci, oddając się im całkowicie. Sissi była jej ulubienicą. Dzieci Ludwiki miały dużo wspólnych cech: ta sama wrażliwość, awersja do dworskiej etykiety, do szumnego życia, zamiłowanie do samotności.

Wszystkie córki Ludwiki były nieszczęśliwe i wszystkie ogarnięte depresją i melancholią. Z różnych powodów. Przede wszystkim z powodu nieszczęśliwego małżeństwa bądź szybkiej śmierci ukochanego męża. „Wszystkie nieszczęścia są jednakowe” – powiedział Lew Tołstoj. To prawda, wszystkie pięć córek Ludwiki było chorych na... nieszczęśliwość. Poczynając od starszej Heleny, na którą miłosny zawód związany z nieudanym wyjściem za mąż za austriackiego króla Franciszka Józefa, który ją odtrącił, woląc młodszą Sissi, nałożył swoją smutną pieczęć. Rozczarowana Helena osiągnęła wiek dwudziestu dwóch lat, zajmując się



malowaniem obrazów i wspomaganiem biednych, kiedy zwrócił na nią uwagę Maksymilian, książę von Thurn und Taxis. W 1858 roku odbył się ślub. Szybko wybaczyła młodszej siostrze Sissi, że ta odbiła jej narzeczonego, bowiem była dość szczęśliwa w małżeństwie. Lecz mąż niespodziewanie szybko zmarł. Pozostała młodą wdową z dwojgiem dzieci i była nią przez dwadzieścia lat. Zmarła w 1890 roku. Kiedy umierała, wypowiedziała słowa: „Ach, życie to rozpacz i nędza”. Przez cały czas swego wdowieństwa cierpiała na depresję i melancholię, miewała też manię samobójczą.

Sissi była blisko związana ze wszystkimi siostrami, lecz szczególnie lubiła swą młodszą siostrę Marię. Maria była niezwykle urodziwa, była uważana za jedną z najpiękniejszych księżniczek w Europie. Jej małżeństwo zawarte z pobudek politycznych z następcą tronu Królestwa Obojga Sycylii zapowiadało się na szczęśliwe. Lecz takim nie było z powodu chronicznej impotencji męża. Ślub *per procura* został zawarty w 1859 roku. Maria miała wtedy siedemnaście lat. Zanim pojechała do Neapolu, dwa tygodnie spędziła w rodzinnym zameczku Possenhofen nad jeziorem Starnberg i w Wiedniu u Sissi.

Następca tronu Królestwa Obojga Sycylii był dla Wittelsbachskiej księżniczki świetną partią, tak sądził Maksymilian, ojciec Marii. Ojcem męża Marii, Franciszka I Burbona, był Ferdynand II Burbon. Z entuzjazmem przyjął synową, nic nie mówiąc o słabym charakterze swego syna, o jego chwiejności, braku zdecydowania i stanowczości. Słowem, posiadał Franciszek II wszystkie cechy, których nie powinien był posiadać przyszły król. Nie wiadomo, z jakiego powodu był impotentem. A raczej wiadomo. Lekarze coś tam szeptali o jakiejś dziwnej chorobie, zwanej stulejką. Nieważne, co to jest, ważne jest to, że Maria jest ogromnie nieszczęśliwa, żyje ze świadomością, że nigdy nie urodzi dziedzica tronu. Kraj był objęty rewolucją. Maria i Franciszek zostali wygnani ze swego królestwa, które zostało włączone do

Królestwa Włoch. Znaleźli przytułek najpierw w Rzymie, potem w rodzinnym pałacu Marii. Całe Włochy stanęły w ogniu rewolucji. Maria musiała krzepić na duchu swego słabowitego męża o rozchwianej psychice. Miała dość.

Młoda ekskrólowa potrzebowała miłości i pragnęła być kobietą. Obrzydło jej „białe małżeństwo”, kiedy mąż, niczym winowajca, opuszczał wzrok, kiedy trzeba było iść do małżeńskiej sypialni. Obdarzał żonę podziwem i szacunkiem, lecz nie mógł jej uczynić kobietą. Zakochała się Maria w zwykłym oficerze gwardii papieskiej i zaszła z nim w ciążę. Rodzić przyjechała do rodzinnego zamku Possenhofen. Matka Ludwika była oburzona, ojciec zaś skwitował to prostodusznym zdaniem: „To się zdarza”. Sissi miała za złe siostrze, że stała się powodem skandalu, mimo iż ciążę ekskrólowej ukrywano, lecz od wścibskich dziennikarzy niczym od much się nie opędzisz, dojdą do każdej intymności na królewskich dworach, a skandale obyczajowe dla nich chleb powszedni. Po urodzeniu w klasztorze córeczki, Maria dziecko oddała biologicznemu ojcu, a sama po upływie pięciu miesięcy, jakby nigdy nic, wróciła do męża, który udawał, że wszystko jest w porządku. Rozsądnym człowiekiem był ten słabowity człowieczek, cierpiący na tajemniczą „stulejkę”. Maria, która stała się kobietą i spróbowała owocu seksu, doszła do wniosku, że niczego szczególnego nie przedstawia sobą ten akt. Dziwiła się, jak ludzie mogą z tego powodu strzelać do siebie i popełniać szaleństwa. Całe szczęście, że była zimną kobietą i nie cierpiała na nimfomaństwo, inaczej trudno byłoby jej pogodzić się ze swym mężem, chronicznym impotentem. Zmarła w 1925 roku w wieku osiemdziesięciu czterech lat.

Siostry Sissi, Maria i Matylda, miały za mężów braci. Mężem Matyldy był młodszy brat króla Franciszka II. Miał podobny jak brat charakter. Ta sama nieśmiałość, niepewność siebie, brak zdecydowania. Matka Ludwika tak opisała swych zięciów: „Boleję nad tym, że obydwie moje córki nie mają mężów z charakterem.

Bracia są dobrymi ludźmi, ale nie stanowią podpory dla żon". Tak, to prawda. Kiedy mężowie okazują się słabymi mężczyznami, silne stają się kobiety, ich żony.

Matylda była bardziej zdecydowana niż Maria. Nie czekała na księcia z bajki, tylko od razu wzięła sobie kochankę, hiszpańskiego arystokratę, i w 1867 roku urodziła nieślubne dziecko. Mąż nic nie miał w tym wypadku do gadania. Nadał mu swoje imię. Matylda, tak jak pozostałe siostry Sissi, również cierpiała na melancholię.

Kolejna siostra Sissi to Ludwika. Wyszła za mąż za króla Saksonii Fryderyka Augusta. Małżeństwo było tak niedopasowane, że w 1903 roku nastąpił oficjalny rozwód. Przyczyniła się ta siostra do głośnego skandalu obyczajowego: uciekła ze skrzypkiem Toselim. Dzięki temu ten „grajek” stał się sławny, mimo iż w ciągu całego życia skomponował tylko jedną serenadę. Śpiewajcie ją, zakochani kochankowie, pod balkonami swych Dulcynei i pamiętajcie o królowej Saksonii, siostrze Sissi, która nie zlekka się europejskiego skandalu w imię swej miłości do kochanka.

No i wreszcie ostatnia siostra Sissi – Zofia. Była słynna ze swej muzykalności, urody i z ogromnego podobieństwa do Sissi. To właśnie Zofię odtrącił Ludwik II, król Bawarii. Ona, pełna miłostnego zawodu, natychmiast demonstracyjnie wyszła za mąż. Naturalnie, że małżeństwo nie było szczęśliwe. W 1887 roku Zofia, mając czterdzieści lat i dorosłe prawie dzieci, zakochała się w lekarzu, doktorze Glaserze z Monachium. Lekarz był żonaty, co mu nie przeszkodziło uciec z kochanką na prowincję. Żona zagroziła publicznym skandalem, do którego Maksymilian i mąż Zofii nie chcieli dopuścić. I oto pewnego dnia w Mearano, gdzie kochankowie przebywali, została najpierw wykradziona cała ich miłosna korespondencja, a potem i Zofia. Umieszczono Zofię w klinice psychiatrycznej, którą kierował światowej sławy psychiatra Richard von Krafft-Ebing. Jego książki często cytuję, bo uważam

go za jednego z najznakomitszych seksopatologów świata. Trzymał Zofię w swej klinice jako psychicznie chorą, chociaż była to zdrowa, lecz nieszczęśliwa kobieta, którą rodzina wpakowała do „czubków”, żeby uniknąć skandalu. Bawarska rodzina uznała Zofię za niepoczytalną. Krafft-Ebing pod jej presją był zmuszony potwierdzić ten werdykt.

Sissi, tak kochająca swe rodzeństwo, dwóch braci i pięć sióstr, oburzyła się na Zofię. Osądzała ją surowo i nie omieszkała napisać na jej temat niepochlebny wiersz:

*Wierności nie dochowałaś,  
Małżonek twój jest nieszczęśliwy,  
W serce mu sztylet wpakowałaś,  
Ach, grzech to jest straszliwy.*

Jak łatwo Sissi osądzać innych. W istocie ma rację przysłowie: „W cudzym oku drzazgę widzisz, w swym kłody nie zauważasz”.

Życie Zofii zostało zmarnowane. Z kliniki wyszła zupełnie inna kobieta: przygaszona, pozbawiona żywotności i energii, zalękniona i bardzo pobożna. Długimi godzinami klęczała na kamiennej podłodze, szepcząc modlitwy. Kogo i o co błagała? Boga czy diabła? I jeden, i drugi zostawili ją. Nie pozwolono jej nasłodzić się wielką miłością i szczęściem. Dopełniła plejadę nieszczęśliwych niewiast z rodziny Wittelsbachów. Kiedyś Zofia była przeznaczona na żonę Ludwika Wiktora, syna Zofii Bawarskiej. On tak ją kochał, że po tym, jak dostał kosza, nigdy już się nie ożenił. Nie wiadomo, Drogi Czytelniku, gdzie miłość zgubisz, a melancholię znajdziesz. Zofia najbardziej ze wszystkich sióstr cierpiała na depresję i czarną melancholię. Zniknął uśmiech na zawsze z twarzy niegdyś olśniewająco pięknej kobiety. Nieszczęśliwość, zakaźna choroba Wittelsbachów, zabiła i ją, chociaż w rzeczywistości zginęła w płomieniach pożaru.

## Tragiczny los bawarskiego króla Ludwika II

Do czego doprowadza tłumiony homoseksualizm? Do samobójstwa. Powszechnie nieakceptowany, napiętnowany przez społeczeństwo homoseksualista, tłumiący swą chuć, wpada w rozstrój nerwowy, w chorobę psychiczną, w silną depresję, która może rozwinąć się w schizofrenię o samobójczej manii. Mania taka nierzadko doprowadza do śmierci.

Króla Fryderyka II Pruskiego, który wykazywał homoseksualne skłonności i później, kiedy się ożenił, nie mógł mieć stosunków płciowych z żoną, czyniąc z niej wieczną dziewicę i sypiając z nią jak brat z siostrą, uprawiał homoseksualne stosunki ze swym młodym sługą, a raczej przyjacielem. Obaj byli smutni i przygnębieni, wiedzieli bowiem, iż popełniają grzech. Z sypialni przyszłego Fryderyka II Wielkiego rozlegały się smutne dźwięki fletu, grał na nim w duecie ze sługą, były to dźwięki śmierci. To muzykowanie skończyło się tym, że sługa powiesił się na własnym krawacie. Aleksander Macedoński, gdy uprawiał miłość z Bagoasem, perskim kastrowanym chłopcem, zawsze bywał potem smutny i przez kilka dni męczyła go depresja. Sporus, kastrat, nazywany przez Nerona swoją żoną, bardzo często po stosunku z cesarzem gorzko płakał i ogarniał go straszliwy smutek. Wniosek: seks uprawiany jak występki radości nie daje. W pełni tego doświadczył król Ludwik II Bawarski, krewny znamienitej austriackiej cesarzowej Sissi, który genetycznie był homoseksualistą. Ponieważ w jego umyśle zostało zakodowane, że jest to coś haniebnego, tłumił swój naturalny pociąg, nie miał kochanków, postanowił zachować czystość, żyć w celibacie. Do kobiet miał osobliwy stosunek: nienawidził ich, jeśli przejawiały w stosunku do niego erotyczne uczucia, natomiast bardzo dobrze odnosił się do tych, które go traktowały jako przyjaciela, nie snując erotycznych planów. Właśnie dlatego tak polubił swoją kuzynkę, starszą od niego o sześć lat, austriacką

cesarzową Sissi, z którą spędzał sporo czasu w swej posiadłości na brzegu pięknego jeziora, w otoczeniu dziewiczych lasów. Jeśli kobieta zaczynała go uwodzić, spostrzegając w nim atrakcyjnego mężczyznę, którym zresztą był, natychmiast wyzwał się drzemiający w nim agresywny instynkt. Stawał się okrutnikiem, potworem. Znany jest przypadek, kiedy piękną śpiewaczkę operową, z którą płynął w łódce, wepchnął do wody, biedaczka o mało co nie utonęła. Zresztą, kiedy już była w wodzie, usiłował uderzyć ją wiosłem i zmiażdżyć jej głowę. Za co? Śpiewaczka usiłowała uwodzić króla i nieproszona pocałowała go.

Chęć życia z dala od ludzi i potrzeba osamotnienia zmusiły Ludwika Bawarskiego do wynalezienia sobie swego odludnego sanktuarium. Była nim Wyspa Róż na jeziorze Stanberger, okolona skałami i niedostępnymi górami. Wybudował sobie tam pałac i tam uciekał od swoich obowiązków państwowych i od ludzi. Chętnie w tej rezydencji gościł swoją starszą kuzynkę, Sissi. Mieli dużo wspólnego. Co prawda Sissi doskonale wiedziała o nie zrównoważeniu psychicznym swego kuzyna. Mawiała: „Nie jest on wystarczająco obłąkany, żeby zamknąć go w szpitalu psychiatrycznym, lecz i nie jest na tyle normalny, żeby mógł obcować z normalnymi ludźmi”.

Mieli bardzo dużo wspólnych cech, przede wszystkim pragnienie ucieczki od ludzi, od świata. Ludwik Bawarski dosłownie ożywał przy swojej pięknej kuzynce. Oboje lubili poezję, wiersze Heinego recytowali z pamięci. Sissi, która pisała wiersze, nikomu, oprócz swej córki Walerii, ich nie pokazywała, natomiast Ludwik Bawarski był ich najlepszym słuchaczem. Był mistrzem w puszczaniu fajerwerków, którymi bawił Sissi. Między nim a Sissi była bliskość dusz, zainteresowań, poglądów na świat. Lubili tę samą literaturę, analizowali filozofię Platona. Oprócz tego była jeszcze jedna wspólna, bardzo istotna w ich stosunkach bliskość dwojga baśniowych postaci, oderwanych od rzeczywistości i nie pragnących do niej powracać. Sissi czuła się

doskonale w otoczeniu dzikiej przyrody Wyspy Róż, wśród mrocznych skał, niedostępnych nikomu oprócz ptaków. Wysoko po niebie szybował orzeł. Sissi porównywała Ludwika do orła, któremu nie miejsce żyć wśród wron. Płynęli łódką po jeziorze, a nad nimi fruwały mewy. Ludwik Bawarski porównywał Sissi do zagubionej wśród bezkresu przestworza mewy. Obie alegorie były trafne. Z tym, że Sissi porównywała siebie do mewy z mokrymi skrzydłami, której trudno latać. Ta alegoria była jeszcze trafniejsza. Płynęli łódką, a przygrywał im na gitarze, śpiewając ludowe arabskie pieśni, Murzynek Rustim. Był odrażający zewnątrz. To o nim jedna z dam Sissi powiedziała: „Nie wiadomo, czy to małpa, czy człowiek”. Lecz właśnie może dlatego bardzo polubił go Ludwik Bawarski. W pewnym momencie, gdy Rustim skończył śpiewać, Ludwik zdjął z palca drogi pierścionek z brylantem i włożył go na palec Murzynka.

Rustim był sługą Sissi. Ona wszędzie go ze sobą brała. Być może stosując swoistą prowokację, zabierała Murzynka do kościoła, czym wywoływała oburzenie wiernych. Żeby zanadto nie gorszyć ludzi, Sissi doprowadziła do chrztu Rustima. Od tego momentu zaczął on towarzyszyć córce Sissi, Walerii, jej niedzielnym i świątecznym wyprawom do kościoła. Wkrótce Rustim, widząc przywiązanie swej pani, zrobił się pyszałkowaty, zaczął z wysoka traktować ludzi, a nawet potrafił być niegrzeczny w stosunku do Sissi. Szybko wyzbyła się krnąbrnego Murzynka, oddając go do przytułku, gdzie w chorobie i nędzy zmarł w 1892 roku. Nie interesowała się już jego losem. Tak właśnie Sissi traktowała ludzi. Stanowili dla niej zabawki. Pobawiła się nimi trochę jak małe dziecko zabawką, którą zepsuje, kiedy mu się znudzi. Wyłącznie dla swego niezdrowego kaprysu sprowadziła do pałacu dwie zrosnięte syjamskie siostry Murzynki. Bawiły ją jako kaprys natury. Było jeszcze coś niezdrowego w zachowaniu Sissi. Często odwiedzała szpitale psychiatryczne, nie zawsze były to wizyty w charytatywnych celach. Długo tam obserwowwała

psychicznie chorych ludzi, wglębiała się w ich psychikę, być może porównywała z nimi siebie albo Ludwika Bawarskiego. O Sissi zaczęto mówić, że jest niespełna rozumu, gdy nagle zapragnęła zorganizować kolekcję najpiękniejszych kobiet świata, a swym posłom w Konstantynopolu rozkazała, aby przysłali jej fotografię nałożnic tureckiego sułtana z jego haremu.

Poczęły rozlegać się coraz głośniejsze głosy, że Ludwik Bawarski jest dotknięty obłądem. Poseł austriacki pisał do Wiednia: „Zaczynają uważać bawarskiego króla za niespełna rozumu”. Musiał wkrótce abdykować.

Ludwik Bawarski był przystojnym mężczyzną: wysoki, zgrabny, o pięknych rozmarzonych oczach, kiedy nie miał ataków furii, którym niestety ulegał coraz to częściej z upływem lat, wówczas jego oczy przeobrażały się w stalowe oczy bestii. Na ogół był uprzejmy i życzliwy dla ludzi. Nigdy otwarcie nie wyrażał dezaprobaty wobec osób, do których nie czuł sympatii, a często pogardę i odrazę. Wówczas stawiał na stół ogromny bukiet kwiatów, żeby nie widzieć fizjonomii takiego człowieka.

Jednak coraz częściej Ludwik II ulegał napadom szału. Wówczas łagodny żar jego oczu przemieniał się w straszliwy chłód. Kiedyś ogarnięty takim atakiem udusił własnymi rękoma swego sługę za to, że ten nie potrafił schwycić wypuszczonego z klatki ptaka. Kto słyszał o szaleńczych furiach Iwana Groźnego czy Kaliguli, ścinającego głowy tym, którzy mieli bujniejsze od niego, łysawego, włosy, ten wie, jakim niebezpiecznym dla otoczenia mógł stać się skądinąd miły, inteligentny i z pozoru opanowany, Ludwik Bawarski.

O żadnym seksie pomiędzy Sissi a Ludwikiem Bawarskim nie ma mowy. Dworacy, przekonani o absurdalności takich podejrzeń, nawet nie plotkowali na ten temat. Powszechnie było wiadomo, jak Ludwik II odnosił się do kobiet – widział w nich tylko przyjaciółki, które obdarowywał braterskim uczuciem. Wiedziano o jego ukrywanych i skrętnie skrywanych skłonnościach



homoseksualnych. Stosunek Ludwika II Bawarskiego do swej narzeczonej Zofii, młodszej siostry Sissi, jawnie świadczył właśnie o takim jego stosunku do kobiet. Podobali się sobie nawzajem, Zofia i Ludwik II. Mieli wspólne zainteresowania, a zbliżył ich Richard Wagner, którego utworów mogli oboje słuchać godzinami. Zofia dobrze śpiewała, wspólnie więc oboje muzykowali. Wydawało się, że para jest w sobie zakochana, czekano na oficjalne oświadczenia, na rychły ślub. Ojciec Zofii, stary książę Maksymilian, zamówił karetę weselną, która swym przepychem i kunsztem mogła oszołomić austriacki dwór. U dobrego rzemieślnika zostało też zamówione ślubne łóżko dla młodych, w którego to wykonanie pomysłowy rzemieślnik włożył ogrom swej fantazji. Wyszło coś, co nadawałoby się na muzealny mebel, budzący zachwyt ludzi, lecz nie do sypiania. Groty, kolumny, baldachimy, świeczniki i inne ozdoby w obfitości „spływały” z tego łoża, które nigdy nie zostało użyte. Król Bawarii Ludwik II długo ociągał się z oficjalnymi oświadczeniami i wyznaczeniem daty ślubu, aż zniecierpliwiony ojciec Zofii, książę Maksymilian, otrzymał od niedoszłego zięcia wiadomość, że definitywnie rezygnuje z zawarcia małżeństwa. Oburzeniu starego księcia końca nie było. Zofia otrzymała od narzeczonego list następującej treści: „Miałem czas siebie sprawdzić, dojść z sobą do ładu i widzę, że nadal głęboko w sercu noszę wierną, serdeczną miłość braterską do ciebie, nie jest to jednak taka miłość, która jest wymagana do zjednoczenia się w małżeństwie”. „Dziękuję za braterską miłość – odpowiedziała Zofia chłodno. – Lecz ja potrzebuję nie brata, a męża i nawet za cenę bycia królową Bawarii nie zostanę pańską siostrą”. Za kilka miesięcy wyjdzie za mąż za księcia Alençon. Skończy Zofia życie tragicznie, zginie w płomieniach pożaru.

Ludwik Bawarski bez entuzjazmu przyglądał się procesowi zjednoczenia Niemiec pod egidą Prus. Bolesnie odczuł dominację Prus i to jeszcze bardziej przyspieszyło jego obłąd. 10 czerwca

1886 roku oficjalnie uznano go za psychicznie chorego i pozbawiono władzy. Odtąd mógł żyć spokojnie w swym bajecznym zamku, lecz nikt przecież nie wie, co czai się we wnętrzu człowieka. Świadomość swego bankructwa życiowego, swej choroby psychicznej, która przejawiała się w napadach dzikiej furii, kiedy to absolutnie nie panował nad sobą, no i tłumiony homoseksualizm – wszystko to doszczętnie rozchwiało psychikę Ludwika Bawarskiego. I znowu podchodzimy, Drogi Czytelniku, do tematu nieszczęśliwości człowieka. Nerwica seksualna, o której tak dużo rozwodził się Freud, która znalazł swe odbicie w neurotycznych osobowościach Klementyny Sobieskiej i Sissi, w takim samym stopniu przejawiała się u mężczyzny. Ludzie, nie pozwalajcie sobie być nieszczęśliwymi! – chce się zawołać. Radujcie się z byle czego, nawet z kawałka nieba nad głową i z lotu trzmiela. Niestety, Ludwik Bawarski nie miał już innego wyjścia, jak tylko skończyć samobójstwem. Życie utraciło dla niego sens. W trzy dni po swej abdykacji już nie żył.

I tu zaczynają się domysły i hipotezy. Do dnia dzisiejszego nie wiadomo, jak naprawdę zginął. Andis twierdzi, że utonął, płynąc łódką po jeziorze. Był wraz ze swym psychiatrą, doktorem Bernhardem von Guddenem. W pewnym momencie skoczył do wody. Rzucił się do wody, pragnąc go ratować, jego lekarz. Również utonął. To jedna wersja. Druga mówi, że Ludwik Bawarski, polując na kaczki w towarzystwie swojego psychiatry, nagle poczuł nadchodzący atak szału. Zastrzelił psychiatrę, potem go utopił, po czym świadomie sam utonął.

Pewne jest tylko jedno: Ludwik Bawarski świadomie popełnił samobójstwo. Jego pamiętniki są pełne bólu, żalu, rozpacz i filozoficznych rozważań na temat homoseksualizmu. Ech, napisać by o tym książkę! Żył czterdzieści jeden lat.

## **Rudolf i Stefania. Maria Vetsera**

*Był to Wittelsbach zabłąkany między ponurymi i trzeźwymi Habsburgami.* (L. Sforza, dyplomata włoski, o Rudolfie)

Rudolf, syn Sissi i Franciszka Józefa, urodził się w 1858 roku, gdy cesarzowa miała dwadzieścia osiem lat. Jego wychowaniem zajmowała się babka Zofia, która zabrała go od matki, pozwalając jej, aby odwiedzała syna jedynie w określonych dniach i godzinach, nic więcej. Matczynego ciepła Rudolf nigdy nie otrzymał. Zapewne to surowe wychowanie nałożyło swą pieczęć na charakter dziedzica tronu. Niektóre osoby, pozbawione macierzyńskiego ciepła, są palec nawet do wieku dojrzałego, jakby rekompensując sobie brak macierzyńskiej miłości w taki dziwny, lecz zrozumiały dla psychologów sposób. Rudolf kciuka nie ssał, lecz brak ssania w dzieciństwie macierzyńskiej piersi wyraził się u niego w porywczosci, nerwowości, impulsywności, w częstych zmianach nastrojów i w dążeniu do wielkiej miłości.

Twierdzenie, że Sissi nie kochała swego jedynaka, syna Rudolfa, byłoby nieprawdziwe. Lecz kochała go specyficznie, nie obdarzając zbytnio matczyną miłością i nie biorąc udziału w jego wychowaniu. Można śmiało stwierdzić, że ciepła matki on nie odczuł. Winę za to ponosi teściowa Sissi, Zofia. To ona, zaborcza babcia, zabierała dzieci Sissi, przynajmniej pierwszych troje, i wychowywała je po swojemu. Rudolf został wychowany tak, jak przystało na dziedzica tronu – surowo. Był „obłożony” nauczycielami (pięćdziesięciu nauczycieli, wśród nich słynny Alfred Brehm, światowej sławy zoolog). Niekończące się wkuwania z różnych dziedzin nauki, poczynając od matematyki, a kończąc na filozofii i sztuce wojennej, na śmierć obrzydziły Rudolfowi życie. Toteż gdy stał się pełnoletni, puścił się w inną skrajność – zanurzył się w rozpuście. Aktorki i prostytutki, wiejskie dziewczyny

i mieszczyki, arystokratki i nawet księżniczki wypełniły łożo Rudolfa. Często chorował na choroby weneryczne. Po wyleczeniu niemal natychmiast znowu na nie zapadał, od rzeżączki do kiły. Nie zaniedbywał jednak nauki sztuki wojennej, nawet dorobił się, nie bez pomocy ojca, stopnia feldmarszałka. Rozpieszczany przez kobiety, zaniedbywany przez matkę, którą uwielbiał, zrezygnowany, potrzebował prawdziwej miłości. Wielka miłość nie przychodziła, były małe miłostki, które Rudolf, niezwykle wrażliwy, przyjmował za wielkie uczucie. Takich uczuć było sporo w jego młodości, poczynając od aktoreczek i dam z półświatka, a kończąc na księżniczkach. Zdążył Rudolf przed swym małżeństwem zaliczyć i kilka Polek. Znany był jego głośny romans z Klementyną Potocką. Niektórzy biografowie (między innymi Jerzy Łątka) twierdzą, iż miłość Rudolfa do pięknej Klementyny była tak wielka, że gotów był wyrzec się dla niej tronu. Nie wierzymy w te brednie, Drogi Czytelniku, wiedząc, jak rozpaczliwie Rudolf pragnął władzy, której pozbawił go ojciec, zbyt długo przebywając na tronie. Zresztą Klementyna wkrótce wyszła za mąż za Jana Tyszkiewicza. Drugiemu romansowi Rudolfa z Polką, panią Oraczewską, towarzyszył głośny skandal. Tę Polkę Rudolf poznał w Wiedniu, gdzie przebywała wraz z mężem. Na Wołyń mąż musiał wracać sam, pani Oraczewska, zakochawszy się w Rudolfie, zresztą znacznie od siebie młodszym, rychło uczyniła go swym kochankiem. Powóz arcyksięcia często przebywał na dziedzińcu hotelu, w którym mieszkała Oraczewska. Nachalna baba nie uspokoiła się nawet wtedy, kiedy Rudolf, już zaręczony ze Stefanią, przebywał w Pradze. Oraczewska spakowała swe manele i ruszyła w ślad za Rudolfem. Dyplomatyczne służby doniosły, iż grozi to międzynarodowym skandalem. Cesarz Franciszek Józef, bardzo zaniepokojony, błagał swych dyplomatów, żeby polubownie załatwili sprawę pani Oraczewskiej. Podstarzała niewiasta, nasłodziwszy się wdziękami pięknego młodego arcyksięcia, jeszcze zgarnęła kilkanaście

tysięcy dukatów. Wielce uradowana, że szantaż i intryga udały jej się tak znakomicie, wyruszyła do Paryża w poszukiwaniu kolejnych naiwnych adoratorów.

Niestety ta Polka, w odróżnieniu od przyjaciół arcyksięcia Rudolfa, Alfredostwa Potockich, nie pozostawiła dobrej sławy o Polakach.

## Stefania

Stefania, jedna z dwóch córek belgijskiego króla Leopolda II. Dwór belgijski od dawna planował mariaż małżeński z domem austriackim. Do realizacji tych zamierzeń postanowiono użyć Stefanię. Zamierzono wydać ją za mąż za Rudolfa, następcę austriackiego tronu. On miał dwadzieścia lat i kilka skandalizujących związków miłosnych za sobą. Najwyższy czas, żeby się ustatkował. Elżbieta nie była szczególnie zachwycona tym małżeństwem. Nie lubiła też ojca Stefanii, belgijskiego króla Leopolda II, za jego okrucieństwo, skąpstwo i bezwzględność. Krążyły legendy o tym, co on wyprawiał w Kongo z niewolnikami Murzynami.

Stefania tak oto opisuje spotkanie z Rudolfem: „Wszedł następca tronu. Miał na sobie mundur pułkownika austriackiego z wielkim orderem św. Stefana oraz order Złotego Runa. Serce biło mi, jakby miało pęknąć. Następca tronu, skłoniwszy się, zbliżył się do mnie. Sposób bycia następcy tronu był wytworny i pewny siebie. Pocałował mnie w rękę, zagadnął po niemiecku, wypowiedział kilka pochlebnych, ale bardzo formalnych słów”. Elżbieta przyjechała z podróży po Anglii na dzień ślubu syna ze Stefanią. Rudolf na spotkanie z narzeczoną przywiózł swoją kochankę.

A oto zapis Stefanii, dokonany w maju 1881 roku, dokumentujący jej noc poślubną z Rudolfem: „Co za noc! Co za udręczenie, jaki wstręt! Nie wiedziałam o niczym, poprowadzono mnie do ołtarza, jak nie mające o niczym pojęcia dziecko. Zniszczone zostały moje złudzenia, moje młodzieńcze marzenia. Myślałam, że umrę z rozczarowania! Prześladowała mnie tylko jedna myśl: uciekać stąd”.

Faktem jest, że nieszczęście tego małżeństwa rozpoczęło się od nocy poślubnej. Małżeństwo, zbudowane na fundamencie całkowitego rozczarowania nocą poślubną, czy wróży nadzieję na

to, że będzie szczęśliwe? O nie! Jak wykazuje praktyka, nigdy nieudana noc poślubna nie przyczyniła się do szczęścia małżeńskiego pożycia. Siostra Stefanii, Ludwika, całą swoją noc poślubną przesiedziała zapłakana w parku, bowiem jej mąż Filip przejawiał w stosunku do młodej, niewinnej żony brutalność samca, żarłoczność wygłodzonego drapieżnika, który dobrał się do jada. Opisywaliśmy, Drogi Czytelniku, w specjalnym rozdziale te, pożał się Boże, noce poślubne królów, teraz niech nam Janusz Kawryżka, pozbawiony skrupułów i pruderii, opíše te łózkowe sceny po swojemu: „Egoizm w życiu seksualnym jest dewiacją seksualną, którą należy leczyć” (K. Imieliński). Co za egoistyczne praktyki, królu, stosujesz, aby doznać największej rozkoszy, nie troszcząc się o kobietę? Naruszasz istotę seksu i jego rolę więzotwórczą. Przecież zajmujesz się tylko wypróżnieniem organizmu, jak w tej anegdotce. Spotyka się dwóch przyjaciół. Jeden jest wyjątkowo brzydki, natomiast drugi piękny jak Apollo Belwederski. Piękny mówi do brzydkiego: „Kolego, dlaczego ja, przystojny mężczyzna, nie mam powodzenia u dziewcząt, a ty, taki brzydki, przepraszam, jak Quasimodo, go masz?”. Brzydki odpowiada: „Rzecz jest prosta. Ty nie stosujesz gry wstępnej, walisz kobietę od razu, a ja rozmawiam z nią o literaturze, o muzyce, zanim ją powalę i wyjebię”. Nauka brzydala nie poszła w las. Piękny mężczyzna przyprowadza do swego mieszkania dziewczynę i mówi do niej: „No ty, Puszkiną znasz? Mozarta znasz? No to się kładź”.

O, mężczyźni, radzi wam Janusz Kawryżka: nie unikajcie gier miłosnych, nie walcie się od razu na kobietę, przed tym popieście ją porządnie, żeby seks był udany, miły i przyjemny.

Dość, Januszu Kawryżko, nazwą nas pornografami, jak Pietra Aretino, który umarł z nadmiaru śmiechu, kiedy to jego siostra opowiadała sprośne anegdoty, śmiał się tak, że spadł z krzesła i umarł. Wracajmy zatem do Stefanii, której źle jest na wiedeńskim dworze i w łóżku, i z mężem.

Oczekiwał na Stefanię ponury zamek Laxenburg, krzywe spojrzenia teściowej Sissi, nie aprobującej tego małżeństwa, surowy wygląd cesarza, bez cienia uśmiechu i życzliwości na jego ponurej twarzy i lekkomyślność męża, który przekonawszy się o intelektualnej pustce żony, po prostu nudził się z nią i nie wiedział, o czym miałyby rozmawiać z tą „gąską”.

Zamek Laxenburg, mroczny i wilgotny, śnieg i deszcz za oknem, czternaście pokoi, martwych jak grobowce, o lodowatym piwnicznym powietrzu, ani jednej kwitnącej roślinki! Pałac bez miękkich dywanów i nawet toalet. Cesarz kąpał się w gumowej wannie. W pałacu łazienek nie było. Mała arogancka Belgijka, wychowana w przepychu, rozpieszczona luksusem belgijskiego dworu, do którego jej papa, król Leopold II, przykładął duże znaczenie, poczuła się obco w tych „koszarach”. Monarcha, Franciszek Józef, przyzwyczajony do spartańskich warunków, spał na polowym łożku. Na takich polowych łożkach Napoleon Bonaparte i Aleksander I sypiali tylko podczas pochodów wojennych. Stefania musiała prosić swego ojca, żeby przywieziono jej z Belgii gumową wannę. Obok niej stawiała dwa wiadra wody i oto cała kąpiel. Prymitywizm toalet drażnił i denerwował. Już wówczas w Europie pojawiły się bidety, a tu, w Wiedniu, nie wiedzano, co to znaczy i do czego to służy. Wszystko załatwiał nocnik. Jedzenie było nie tylko proste, lecz wręcz wstrętne. Stefania korzystała z usług swego francuskiego kucharza, żeby nie zachorować na niestrawność żołądkową. Teściowa Stefanii, cesarzowa Sissi, nie darzyła swej synowej sympatią i była znacznie bardziej sroga wobec niej niż Zofia w stosunku do niej samej. Rozdrażnienie Sissi wynikało także z tego, że niedawno Wiedeń był świadkiem skandalu obyczajowego, jaki wywołała siostra Stefanii, Luiza.

Leopold II Koburg, król belgijski, miał dwie córki, Stefanię i Luizę. Swego czasu ożenił się z arcyksiężniczką Marią Henriettą z węgierskiej rodziny Habsburgów, wnuczką cesarza Leopolda.



Małżeństwo było nieszczęśliwe, jak to na ogół bywa z małżeństwami politycznymi. Maria Henrietta mieszkała osobno, w pałacu niedaleko Brukseli, wiodąc nudne, samotne życie. Córka jej, Luiza Maria Amelia, postanowiła nie naśladować matki w nieszczęściu małżeńskim i udanie wyjść za mąż. Poślubiła w 1875 roku Filipa, księcia Saksonii – Koburg-Gotha, i zamieszkała w Wiedniu. Wkrótce Luiza, która niby to z miłości wyszła za mąż, przekonała się, jak bardzo nieodpowiednim dla niej był jej mąż. Był to niesamowity skąpiec, wyliczający żonę z każdego grosika, a także tyran domowy. Wiecznie zapłakana Luiza nie miała żadnego głosu w swym pałacu, który cały był zatłoczony antycznymi rzeźbami, bo mąż kolekcjonował dzieła sztuki. Luiza mieszkała w ciemnym i wilgotnym pokoiku. Poirytowana niesłychanym skąpstwem męża, zaczęła zaciągać długi, a gdy już w nich na dobre ugrzęzła, zakochała się w oficerze Gezie Mattachich i uciekła z nim. W Wiedniu wybuchł przeogromny skandal. Zajmowała się nim nawet rada państwa. Luizę pojmano i zamknięto w szpitali psychiatrycznym, zakamuflowanym jako sanatorium, spędzała tam straszne i nudne dni samotności. Jak więc Sissi mogła lubić swoją synową, która miała taką nieobliczalną siostrę? O Stefanii mówiła: „Wstydzę się jej przed ludźmi. Kiedy się pozna dobrze tę kobietę, to trudno nie usprawiedliwić Rudolfa, że przygnębiony pustką uczuciową, szukał poza domem rozrywki i zaspokojenia. Z pewnością nie stałoby się to z nim, gdyby miał przy sobie inną kobietę”.

Nie od razu Rudolf zaczął zdradzać Stefanię. Podejmował próby uporządkowania swego małżeńskiego życia. Lecz on, delikatny i czuły, natykał się na chłodną pustkę żony, na dodatek intelektualnie bardzo ubogą. Nie mieli o czym ze sobą rozmawiać. A gdy mąż i żona ze sobą nie rozmawiają, gdy nie łączy ich łóżko, ochłodzenie małżonków rokujące rozwód jest nieuchronne.

Stosunki między Rudolfem i Stefanią nie poprawiły się nawet po urodzeniu córki. Seksualna coraz to narastająca oziębłość

męża w stosunku do Stefanii zrodziła w niej zazdrość, tę destrukcyjną siłę, która niweczy każde małżeństwo. Wspaniale na ten temat zazdrosnych osobników, nieważne męskich czy żeńskich, powiedział uczony Seksopatolog Kazimierz Imieliński: „Silna zazdrość prowadzi do nieporozumień małżeńskich i niemożności utrzymania trwałości związku małżeńskiego. Zazdrosny człowiek ustawicznie obawia się, że obiekt miłości może natrafić na kogoś lepszego. Żywi ustawiczną obawę przed utratą partnera. Partnera małżeńskiego traktuje jak swoją własność. Wszelkie próby kontaktu partnera z innymi ludźmi traktuje jako zamach na swoją własność. Człowiek opanowany nadmierną zazdrością sam cierpi, przeżywając realne, pozorne, a nawet urojone zagrożenie związku uczuciowego. Szuka on nieustannie dowodów niewierności i dopatruje się ich w nic nieznaczących słowach czy czynach. W ekstremalnych sytuacjach człowiek zazdrosny przestaje pracować, przestaje zajmować się czymkolwiek, pochłania go tylko jedno obsesyjne pragnienie: znalezienie dowodów zdrady. Często dochodzi do przykrych scen, w których nienawiść może przybierać brutalne formy i popychać nawet do przestępstwa” (K. Imieliński, „Miłość i seks”).

Słowem, wybaw nas, Boże, od zazdrośników! Życia nie ma w takim małżeństwie. Rudolf nie uczynił niczego, żeby rozwiązać zazdrość Stefanii. Wręcz odwrotnie, zaczął przyprowadzać kochanki do swego pałacu. Żaliła się Stefania, że na wiedeńskim dworze u nikogo nie znalazła zrozumienia. Odrzucano wszelkie zmiany, które proponowała przeprowadzić. Nawet mebli w swoim pokoju nie miała prawa zmienić, gdy zamieszkała wraz z mężem w Hofburgu. Lamentowała nad bezczynnością, na którą była skazana jako żona następcy tronu i zarazem na nadmiar oficjalnych obowiązków, do których zobowiązywał ją dworski protokół. Dziedzic tronu nie pojawiał się na tych spotkaniach. Stefania czuła się obca i wyizolowana. Narzekała na rozpustne życie męża, na weneryczne choroby, na które często zapadał

Rudolf, nie potrafiący odmówić sobie podejrzanych związków z aktoreczkami i prostytutkami. On coraz bardziej unikał jej towarzystwa. Wędrowała po kurortach i narzekała na oschłe listy od męża. W takich warunkach ich współżycie stało się piekłem. Rudolf nie tylko myśli o rozwodzie, on realnie przedstawia sprawę ojcu, który o tym słyszeć nie chce i obwinia syna o zwyczajny brak odpowiedzialności. Rudolf pisze list do papieża. Ich życie stało się nie do zniesienia, gdy kłótniwa żona wiodła codzienną wojnę z rozczarowaniem i śmiertelnie nią znużonym mężem. Lecz jeśli dotychczas małżeńskie kłótnie nie wychodziły za próg pałacu, to wkrótce zazdrość Stefanii i jej rozgoryczenia, a także niewłaściwe prowadzenie się Rudolfa, wylały się na ulice Wiednia, wywołując gromki skandal. Pewnego razu Stefania, przejeżdżając po jednej z ulic Wiednia, zobaczyła stojącą na rogu karety swego męża. Nie było żadnej wątpliwości: mąż urządził sobie schadzki w jednym z pobliskich domów. Stefania wyszła ze swej karety, przesiadła się do karety męża i kazała woźnicy wieźć się do domu, pozostawiając mężowi swoją karety. Można tylko domyślać się, jak zareagował Rudolf, kiedy po paru godzinach wyszedł z domu schadzek i ujrzał karety żony zamiast swojej, otoczoną przez ciekawskich gapiów. O tym incydencie było głośno w Wiedniu. Franciszek Józef, który też o nim się dowiedział, bardzo rozgniewał się nie na Rudolfa, a na Stefanię, że wyniosła brudną bieliznę swych skandali na ulicę, zamiast milczeć dumnie i z godnością.

Współżycie małżonków uległo całkowitemu rozkładowi. Istotną rolę odegrała nieatrakcyjność Stefanii jako seksualnej partnerki. Wychowana w wiktoriańskiej epoce, kiedy to seksualizm kobiety był uznawany za czynnik niepożądany, niegodny, nawet zwierzęcy, Stefania posiadała zerową wiedzę na temat seksu. To nie mogło wystarczyć temperamentnemu i zepsutemu przez aktorki i prostytutki Rudolfowi. Irytowała go pruderia Stefanii. Zarówno Stefania, jak i Rudolf popadają w

depresję. I właśnie w takim momencie psychicznego załamania Rudolf poznaje Marię Vetserę, małą baronównę, która zostaje jego kochanką. Nawiązanie znajomości zorganizowały matka Marii, krewna Sissi, i kuplerka, Maria Larisch. Rudolf, nie ograniczając się do spotkań w domu schadzek, zaczął przyprowadzać kochankę do swego pałacu.

W lewym skrzydle on z kochanką, w prawym Stefania z dzieckiem. Kamerdyner Loschek przez strych przeprowadza Marię do kawalerskiego mieszkania księcia. Wielka miłość okazała się małym złudzeniem, lecz dlaczego kilka godzin nie pobyć w objęciach naiwnej, zakochanej, młodej i pięknej dziewczyny? Dla Rudolfa była to tylko jedna z jego miłosnych przygód, dla niej – całe życie. Stefania wiedziała o małej baronównie, zwłaszcza od momentu, kiedy ta pozwoliła sobie pretendować do roli rywalki. Zdarzyło się to w operze. Maria zjawiła się obwieszona brylantami jak choinka. Demonstracyjnie i wyzywająco usiadła naprzeciwko cesarskiej łoży i lornetowała Stefanię. Stefania nie zareagowała na prowokację i nie wyświadczyła małej baronównie zaszczytu potraktowania jej jako swej przeciwniczki. 27 stycznia 1889 roku, na przyjęciu w ambasadzie niemieckiej, Stefania przechodziła przez salę i wszystkie damy stojące w szeregu musiały się jej nisko ukłonić. Nie uczyniła tego tylko Maria Vetsera. Stała wyprostowana i hardo, z szyderczym uśmiechem, patrzyła, jak ku niej zbliża się Stefania. Baronowa, matka Marii, przestraszona zuchwalstwem córki, blada jak trup, szybko przygniotła głowę córki w przymusowym ukłonie, zapobiegając skandalowi. No i poszła w świat ploteczka, że Rudolf chce uwolnić się od Stefanią, bo zakochał się w Marii Vetserze i chce się z nią ożenić. Nic bardziej mylnego! Do dnia dzisiejszego filmowcy tak właśnie interpretują związek Rudolfa z Marią. Przygodny romans urósł u nich do rangi wielkiej tragicznej miłości, zwłaszcza kiedy znaleziono ich oboje martwych.

Życiowa droga Rudolfa definitywnie zakończyła się w

Mayerlingu. Węgry znajdowały się na skraju rewolucji. Rudolf żywił sympatię dla opozycji węgierskiej, która szykowała detronizację cesarza Franciszka Józefa. Ich kandydatem był Rudolf. Wystąpił przeciwko ojcu, zdrada stanu była oczywista. Rudolfowi groził sąd wojskowy i być może kara śmierci. Zdrada stanu to nie są żarty! Stefania niczego nie zauważyła, żadnych objawów narastającej tragedii. Uważała, że zły stan ducha Rudolfa, jego niepokój i nerwowość, są efektem nocnych przygód miłosnych. Poszła, co prawda, do cesarza i prosiła go, żeby wysłał Rudolfa w dłuższą podróż po świecie. Lecz Franciszek przyjął to jako żal zazdrosnej żony. Wypowiedziawszy kilka nic nieznaczących słów, wyprowadził ją z gabinetu. Stefania poczuła się obrażoną. W styczniu 1889 roku planowano polowanie pod Mayerlingiem. Przewidziany był w nim udział Marii Vetsery. Hrabina Larisch pomogła wypchnąć baronównę z domu. Dzień wcześniej cesarz odbył rozmowę z synem. Jej tematem był list Rudolfa do papieża z prośbą o udzielenie rozwodu ze Stefanią i sytuacja na Węgrzech. Rozmowa prowadzona była podniesionym tonem. Tego wieczoru Rudolf już podjął ostateczną decyzję – pożegnanie się z życiem. Napisał pożegnalne listy.

W ciągu ostatnich trzech dni życia Rudolfa wypadki potoczyły się szybko. Rudolf do końca nie wiedział, kogo zaprosi do Mayerlingu: swoją kochankę Mizzi, damulkę z półświatka, aktoreczkę, po trosze śpiewaczkę, po trosze drogą prostytutkę, z którą łączyła go nie tylko długotrwała fizyczna miłość, lecz i serdeczne, przyjacielskie stosunki, czy też Marię Vetserę. Zostało udowodnione, że wybór Vetsery był czysto przypadkowy. Noc przed wyjazdem do Mayerlingu Rudolf spędził nie z Marią, a z Mizzi. Prawdopodobnie zaproponował jej wspólne samobójstwo, co Mizzi potraktowała jako niemądry żart. Umierać nie miała ochoty, była pełna życia, żądna pieniędzy, które jej płacili liczni kochankowie. Z Marią Vetserą było inaczej. Ta sentymentalna duszyczka, obczytana w miłosnych romansach, i jak kotka

zakochana w Rudolffie, gdy zrozumiała, że nie zwycięży Stefanii, postanowiła przynajmniej przez romantyczną śmierć utrwalić swe imię. Bez Rudolfa życia sobie nie wyobrażała, a skoro on postanowił odejść z tego świata, Maria zgodziła się podzielić jego los. Gdy wypadki na zaniku Mayerling dojdą do swego tragicznego finału, detektywi będą dokładnie analizować każdą godzinę, każdą minutę tego fatalnego styczniowego dnia 1880 roku. Będą też starali się odpowiedzieć na pytanie: jaka była rzeczywista przyczyna tragicznej decyzji Rudolfa. Nie było jednej przyczyny. Był kompleks: złe stosunki z ojcem, który nie miał zamiaru oddawać następcy tronu i abdykować, polityczna dwulicowość Rudolfa, jego konszachty z Węgrami, które miały wymiar zdrady stanu, brak akceptacji polityki ojca, także osobiste przyczyny. Rudolf znajdował się w kiepskim stanie fizycznym i psychicznym. Targany wątpliwościami, czując się osamotniony, zażywał codziennie opium. Stawał się narkomanem. Niedługo przed samobójstwem złapał po raz kolejny weneryczną chorobę. Ogólnie mówiąc: rozczarowanie życiem doprowadziło Rudolfa do śmierci.

Stefania nieśmiało wyraziła życzenie pojechania do Mayerling na polowanie. Rudolf zbył ją lodowatym: „Nie”. Nie nalegała. W domku myśliwskim umieścił Marię Vetsere, którą wywabiła z domu kuplerka Maria Larisch, tak że matka Marii nie wiedziała o jej wyjeździe. Przerażona swym czynem, poszła na policję i zawiadomiła o zniknięciu Marii. Mówiła, że niby pojechała z nią do sklepu, Maria została w karecie, a gdy wróciła, jej już nie było. Policja nie kwapiła się z rozpoczęciem alarmu, podejrzewała bowiem, że Maria znajduje się z Rudolfem w Mayerling. O tym, że Maria tam gości w domku myśliwskim, mało kto wiedział, nawet nie wiedziało tego towarzystwo asystujące Rudolfowi, między innymi jego szwagier Filip, mąż siostry Stefanii, Luizy. O pobycie tam Marii wiedziało tylko kilka osób, między innymi kamerdyner Rudolfa. Trzy dni pobytu i straszna śmierć. Opis polowania

pomińmy. Jest dla nas nieistotny. Powróćmy do tego późnego wieczoru przed zabójstwem. Najpierw Rudolf zabił Marię, strzelając w jej lewą skroń, potem zastrzelił siebie. Między tymi zdarzeniami minie kilka godzin, podczas których on wyjdzie z pokoju i uspokoi kamerdynera, który słyszał wystrzał. Niby rozbiła się butelka z szampanem. Napisze pożegnalne listy. Oto jego list do Stefanii, miły, uprzejmy i co ważne, napisany tak, jakby jego nadawcą był kochający mąż: „Droga Stefanio! Teraz jesteś wolna ode mnie i moich kłopotów. Bądź szczęśliwą i dobrą matką dla naszej córeczki, jedynej istoty, którą pozostawiam po sobie. Ze spokojem idę ku śmierci, która pomoże mi zachować moje dobre imię. Całuję cię z całego serca. Kochający Rudolf.

No cóż, Stefanio, później, kiedy Sissi i Franciszek Józef, wstrząśnięci tragiczną śmiercią swego syna, zaczną cię obwiniać o jego śmierć, że nie dałaś mu miłości, że nie potrafiłaś stworzyć normalnego rodzinnego szczęścia, pokaż im ten list, w którym Rudolf po raz pierwszy i ostatni nazywa cię „kochaną”, chociaż nigdy taką dla niego nie byłaś. Stefania wyjdzie po raz drugi za mąż i postara się być szczęśliwą, oddali się od nieżyczliwego jej wiedeńskiego dworu, lecz i tak niczego nie zrozumie. Nie zrozumie tego, że do tragedii można było nie dopuścić, gdyby inaczej odnosiła się do Rudolfa, gdyby zaprzestała okazywania swej patologicznej zazdrości, gdyby pogodziła się z jego mahometańskimi zwyczajami, w myśl których mąż nie może zadowalać się tylko jedną kobietą, własną żoną. Lecz czy nie za dużo wymagamy, Drogi Czytelniku, od poczciwej, zachłannej, małej intrygantki Stefanii Wittelsbach? Wróbelek nie wyrośnie na pięknego pawia bogini Hery. Mały wróbelek chciał swego gniazda, ciepłego, potulnego i nie potrafił go stworzyć.

Pomińmy tragiczne sceny, kiedy Sissi dowiedziała się o śmierci swego syna. Nie chciała wierzyć, że Rudolf sam pozbawił siebie życia. Była przekonana, że otruła go zazdrosna Maria Vetsera. Tym silniejszy był jej ból, gdy dowiedziała się prawdy.

Stefania napisze w swym pamiętniku: „Cesarz siedział pośrodku pokoju, obok niego cesarzowa w ciemnym stroju, o martwej, trupiobladej twarzy. Niczego nie rozumiejąc, przerażona, miałam wrażenie, że patrzą na mnie, jak na przestępczynię. Wzięli mnie w krzyżowy ogień pytań, na które albo nie umiałam, albo nie mogłam odpowiedzieć”. Jak łatwo zwalić winę na biedną szarą myszkę Stefanię, iż jest winna samobójstwa ich syna. A czy nie zabiły Rudolfa ostatnie słowa cesarza, powiedziane mu przed jego odjazdem do Mayerling: „Nie jesteś godny, aby zająć moje miejsce”. A czy nie zabił go stosunek matki, która na jego wylewną miłość odpowiadała chłodną uprzejmością? Za późno zaczyna nas męczyć sumienie. Za późno zaczyna męczyć sumienie tę dworską kamarylę, która pogardzała Rudolfem i go lekceważyła.

Prasę poinformowano, że na polowaniu zdarzył się wypadek. Dociekliwi dziennikarze szybko odkryli prawdę. Mimo iż Rudolf popełnił samobójstwo, co dla chrześcijanina jest wielkim grzechem, został pochowany w krypcie kościoła kapucynów – nekropolii Habsburgów. Nieśmiałą prośbę Marii Vestery, wyrażoną w jej pożegnalnym liście, żeby pochować ją obok Rudolfa, naturalnie, zignorowano. Dwóch jej wujów pośpiesznie wyniosło jej ciało z domku myśliwskiego. Po latach filmowcy łąpczywie uchwycili się tego komercyjnego tematu – tragedii w Mayerling. Pamiętamy zapewne cudowną, kruchą, dobrą, kochającą Marię Vetserę, którą grała francuska aktorka Catherine Deneuve. Nic ta rola nie miała wspólnego z prawdą historyczną. Nawet zewnętrzny wygląd Marii był inny. Aktorka była wysoką, szczupłą blondynką, Maria kruczą brunetką o ognistych oczach, niewysoką, wręcz krępą. Lecz czego się nie zrobi dla komercji: lud oczekuje romantyki, nasypmy jej pełną garścią. Pospolita, ograniczoną dziewczynę przeobraźmy w anioła cnoty!



### **III. Na papieskich dworach**

#### **Kobiety w otoczeniu papieża Aleksandra VI**

##### **Lukrecja Borgia – zbereźnica czy czarownica renesansu?**

Ludzkie plotki zupełnie niesłusznie zaliczyły ją do liczby nimfomanek, bowiem w istocie była zimna jak gład morski. Trzykrotnie była zamężna, drugi mąż został zabity prawie na jej oczach, miała ośmioro czy dziewięcioro dzieci, z ostatnim mężem aż siedmioro. Była księżną Ferrary. Na zawsze w historii została napiętnowana jako deprawatorka seksualna o kazirodczym podłożu. Mówiono, że utrzymuje fizyczne stosunki ze swym ojcem, papieżem Aleksandrem VI, i braćmi, Cezarem i Juanem. Zapewne na tle zazdrości o względy siostry Juan został zabity przez Cezara, a jego ciało wrzucono do Tybru. Tak w każdym razie spekulowano. Tak oto, Drogi Czytelniku, przedstawia się krótki szkic biograficzny Lukrecji, najbardziej kontrowersyjnej kobiety XVI wieku, związanej z papieskim dworem. Zarzucano Lukrecji swobodny i frywolny tryb życia. Zgadza się, Drogi Czytelniku, lecz tylko w stosunku do pierwszego okresu jej życia, kiedy przebywała z ojcem na papieskim dworze w Rzymie. Okres jej życia w Ferrarze jest zupełnie inny. Lukrecja, lubująca się w zabawach i festynach, przeobraziła się w cnotliwą matkę i żonę. W istocie rzeczy zawsze lubiła domowe zacisze, którego nie mogła zrealizować, przebywając na rozpustnym papieskim dworze.

Wszyscy biografowie podkreślają bierną rolę Lukrecji w wyborze swych mężów: była politycznym towarem w rękach obrotnego ojca, który z kupieckim zapałem i werwą targował ciałem córki, w celu urzeczywistnienia swych politycznych planów. Była całkowicie zniewolona przez niego. Owszem, ojciec kochał swoją córkę, lecz miłością tyрана, nie uznającego żadnego sprzeciwu i wymagającego od kobiety, czy to od kochanki, czy od

własnej córki, całkowitej pokory i uległości. Zgódź się, Drogi Czytelniku, że trudno w warunkach życia w złotej klatce ujawnić swoją osobowość.

Kiedy w 1492 roku kardynał Rodrigo de Borgia został rzymskim papieżem, obierając sobie imię Aleksander VI, Italia znajdowała się w rozsypce. Kraj był rozdzielony na osobne księstwa, a każdy udzielny książę był królikiem w swym mikroskopijnym państwie. Robił, co chciał. Nie uznawał żadnych autorytetów i żadnej władzy. Księstwa prowadziły między sobą wojny. Królowały przemoc, gwałt, zabójstwa, spiski, intrygi. Wojny, zabójstwa, różne bezceństwa były na porządku dziennym. Włoski „but” wyglądał jak ponury kalejdoskop, w którym zmieniali się władcy-tyrani, lecz pozostawały niezmiennie obyczaje, dalekie od zasad chrześcijańskich. Nic więc dziwnego, że taka aura porodziła potwora, jak niektórzy określają papieża Aleksandra VI. Do dnia dzisiejszego nie milkną dyskusje na łamach monografii historycznych na temat jego osoby. Kim był? Potworem, monstrum czy wielkim mężem stanu, który wiele uczynił dla umocnienia pozycji Rzymu i Kościoła katolickiego? Był jednym i drugim, a jeszcze niepoprawnym erotomanem. Lecz Aleksander VI, jak Napoleon Bonaparte, potrafił oddzielić sprawy alkowiane od państwowych i nigdy ich razem nie mieszał. Nie pozwalał swym kochankom, aby nawet choć troszkę porządziły państwem, no, chyba że była to jego córka Lukrecja, która rządziła Rzymem podczas wyjazdów papieża.

Państwo kościelne było rozdarte na dwa stronnictwa: Orsinich i Colonnów. Aleksander VI związał się najpierw z Orsinimi poprzez małżeństwo swej córki Lukrecji. Udało mu się zapanować nad wszystkimi wrogami. Wygnał Sforzów z Pesaro, Malatestów z Rimini, Manfredich z Faenzy. Pomagał mu w tym dowódca jego wojsk, syn Cezar. Potem papież obrócił się przeciwko własnym przyjaciom. Baronowie zostali unicestwieni. Aleksander VI dążył do konsolidacji tradycyjnej struktury państwa, umacniał

hierarchię, podporządkowywał administracyjną władzę autorytetowi Kościoła i papieża.

Ten wilk wśród innych wilków nie był ani lepszy, ani gorszy od wielu poprzedników. Od dłuższego czasu tiara papieska nie była boskim symbolem, tylko narzędziem sprawowania władzy.

Machiavelli uważa, że Aleksander VI nic innego nie czynił, jak tylko oszukiwał ludzi. Ze wszystkich analiz psychologicznych wynikałoby, że olbrzymi ciężar win uczynił z niego człowieka dręczonego przez strach i szaleństwo. Jak to było możliwe, aby Aleksander VI godził ten stan zmysłów i te bezlitosne czyny ze świadomością, że jest najwyższym kapłanem Kościoła? W jaki sposób uciszał skrupuły i wyrzuty sumienia? Ludwik von Pastor w swej monumentalnej „Historii papieży” pisze: „Z dezynwolturą i bezprzykładnym brakiem skrupułów Aleksander VI w ciągu jedenastu lat pontyfikatu realizował swoje skłonności i aspiracje świeckie i często nieczne, nie bacząc na wybór środków i na swoją wysoką pozycję. Jego pontyfikat był nieszczęściem dla Kościoła, któremu prestiżowi zadał dotkliwe ciosy”. Nie możemy w zupełności zgodzić się z tezą Roberto Gervaso: „Nigdy Kościół nie upadł tak nisko, jak za pontyfikatu Aleksandra VI”.

Jeszcze nie jest papieżem. On, kardynał Rodrigo Borgia. Elegancki, wykształcony, przystojny, śmiały, uwodzicielski. Ma tytuł doktora prawa. Pracowity, lecz nie na tyle, żeby nosić miano pracoholika. Umiał połączyć przyjemne z pożytecznym, nie stronił od świeckich zabaw. Do tego, co przyjemne, należały kobiety. Lubił je, kochał, nadszakał. Kobiety go uwielbiały. Chwalił się, że mając trzynaście lat, stracił dziewictwo, a mając lat dwadzieścia, zaliczył dwieście kochanek. Może przechwalał się tylko, nie wiemy. Nie były mu obce seksualne perwersje: lubił sypać między dwoma kochankami, a gdy wyjeżdżał z Rzymu, zawsze zabierał ze sobą kochankę, przebraną za pazią. W 1466 roku poznał Vanozzę Cattanei, młodszą od siebie o jedenaście lat. Wówczas kardynał Rodrigo miał trzydzieści sześć lat. Z Vanozzą

miął pięcioro dzieci, między innymi córkę Lukrecję i syna Cezara, o których jest głośno w historii i którym pisarze poświęcili swe powieści, a malarze tworzyli ich portrety. Historia uwielbia przecież skandale, a ci dwoje w obfitości dostarczali „jadła” dla rozmaitych plotek.

Według opinii większości biografów Vanozza była drogą, luksusową kurtyzaną. Kardynał Rodrigo de Borgia dla przyzwoitości trzykrotnie wydawał ją za męża. Można tylko się domyślać, jaka była rola tych mężów, pokornych rogaszy, którym zabraniało się sypiać ze swoją żoną. Rodrigo był bardzo niezadowolony, gdy drugi mąż zapłodnił Vanozzę. Głowy mu wprawdzie nie odciął ani na bezludną wyspę go nie wysłał (jak to niegdyś uczynił Neron, mianując Ottona, męża swej kochanki, a potem i żony, Poppei, gubernatorem wyspy. Dworacy śmiali się: „Za co wysłano Ottona? Za to, że ośmielił się sypiać ze swoją żoną”). Rodrigo de Borgia po prostu zabronił mężowi Vanozzy, aby utrzymywał cielesne stosunki ze swą żoną, dopóki on ją kocha. Kiedy się odkocha, wtedy proszę bardzo – pieprz ją, ile chcesz, mężu.

Wszystkie strony były zadowolone, a dzięki Vanozzie bezładne seksualne życie kardynała nieco się uporządkowało. Vanozza była piękna, ognista i pokorna, posiadała cechy, które najbardziej cenił Rodrigo Borgia w kobiecie. Będąc kobietą temperamentną, łączyła w sobie wschodnią pokorę i uległość. Był to długotrwały związek, którego owocem było pięcioro dzieci. Vanozza miała owalną twarz, wąski nos, wielkie czarne oczy i niezwykle seksapil. Znakomici artyści malowali jej portrety.

Czy kardynał Rodrigo Borgia, kiedy w 1492 roku został papieżem Aleksandrem VI, zaniedbywał swe obowiązki? Otóż nie. Umiał połączyć życie prywatne, rozwiązłe, rozpustne, bezkompromisowe, z obowiązkami kapłańskimi. Nie zgadzamy się, Drogi Czytelniku, z twierdzeniem Roberta Gervaso, iż „Aleksander przez wszystkie dni swego życia dążył do tego, żeby

używać życia, szukać przyjemności i zaspokajać swe ambicje i zachcianki”.

Rodrigo otoczył Vanozzę jeśli nie niebotycznym przepychem, to w każdym razie luksusem i dostatkiem. Urządził wspaniały dom. Pierwszym jej mężem był Domenico Arignano, urzędnik kościelny. W 1480 roku Vanozza, już jako wdowa, wychodzi po raz drugi za mąż, za mediolańczyka, Giorgio della Croce. Miała z nim syna Ottawiana. Trzecim jej mężem był Carlo Canale, któremu papież dał tysiąc dukatów.

Z Vanozzą łączyły Aleksandra VI nader ciepłe stosunki do końca życia, nawet gdy jego miłość i namiętność do niej minęła, pozostawał jej najlepszym przyjacielem. Gdy córka Lukrecja po raz pierwszy wychodziła za mąż, Vanozzy nie było na weselu, jej miejsce w sercu Aleksandra VI zajęła inna kobieta, a raczej dziewczyna, bo zaledwie szesnastoletnia. Jemu zaś było już grubo po pięćdziesiątce. Zakochał się gwałtownie, namiętnie i zaborczo.

Podziwiamy tego papieża, na którego ze wszystkich stron rzucili się biografowie i kronikarze. Dzielił on bieg swego życia na dwie części: życie w grzechu i życie cnotliwe. Owszem, ulegał seksualnym pokusom, nie trzymał się celibatu, ale jakże dużo zrobił dla Kościoła katolickiego.

## **Julia Farnese, kochanka Aleksandra VI**

No nie, na wesoło tu seksu nie uprawiają. Temu seksowi towarzyszą ogromne męki kochanków, bo im doskwiera fizyczna starość i młody duch, co w połączeniu daje niesamowite męki zazdrości, które ponoć są najgorszymi torturami na świecie. Niedowartościowani starcy wpadają w kompleksy na tle różnicy wieku między sobą a oblubienicą. Śnią im się ukryci po kątach kochankowie ich młodych żon lub kochanek, czatujący ze swymi pozostającymi w stanie gotowości orężami. Pożałujmy, Drogi Czytelniku, tych biednych starców. Jakież tantalowe męki cierpią z powodu swej niemocy i zazdrości. Młodość ich serc nie harmonizuje z fizycznymi możliwościami, ciężko jest starcowi uświadomić sobie swoją fizyczną niemoc, kiedy jeszcze niedawno był żrebakiem-reproduktorem. Nie może pogodzić się ze swoją niemocą fizyczną. Przyjmuje ostre afrodyzjaki. Latka posrebrzyły mu skronie, przeredziły włosy, przeorały twarz zdradzieckimi zmarszczkami, a jego oręż, ongiś zawsze w pogotowiu, przeobraził się w żalosny wisiorek. Ta ułomność działa na starców niczym katalizator, stanowi sygnał do okrutnej zazdrości, która nierzadko kończy się zabójstwem żony lub jej kochanka, albo obojga. Brantôme utrzymuje, że 30 procent wszystkich morderstw jego czasów dokonywało się na tle zazdrości starego męża. Papież Aleksander VI, kiedy poznał Julię, miał pięćdziesiąt osiem lat, ona miała lat piętnaście. Różnica wieku wynosiła czterdzieści trzy lata. Żeby u „wnuczki” rozbudzić namiętność kochanki, samej adoracji nie wystarczało. Była potrzebna osoba, która siłą swego autorytetu wpołaby jej taką miłość. Taką osobą była matka męża Julii, Adriana Mila. Jak mogła ta przewrotna rajfurka zdradzić swego syna? Służyła papieżowi wiernie i dbała wyłącznie o jego komfort psychiczny, to znaczy również seksualny. Widocznie natura ludzka nie zna granic podłości, jeśli mogła z lekkim sercem zdradzić swego syna na rzecz papieża. Adriana Mila uczyniła

wszystko, co było w jej mocy, żeby Julia została kochanką papieża. Potem będzie pełnić funkcję jego szpiega, nie zawsze zresztą lojalnego, bo papież będzie miał jej za złe, że pozwoliła Julii zobaczyć się z mężem. Mąż mieszkał w swej posiadłości, pozostawiając Julię w szponach drapieżnego starca Aleksandra VI. W sprawach sercowych Aleksander VI był bardzo podejrzliwy, z biegiem czasu rozwinęła się w nim dzika zazdrość.

Aleksander VI zakochał się w Julii od pierwszego wejrzenia. Nie wiadomo, jakimi masochistycznymi namiętnościami był opętany, skoro pozwolił jej wyjść za mąż, ba, nawet ślub urządził w papieskim pałacu, żeby potem dziko męczyć się mękami zazdrości. Biedny mąż Julii, Orsini Orsino, nawet swe pierwsze dziecko (córkę Luizę) płodził pod baczynym okiem papieża. Warunki nie sprzyjały intymności, czego seks nie lubi, toteż robotą okazała się niedoskonała. Córka Luiza nie była tak piękna jak jej matka.

Tak, Julia była piękna. I nie po prostu piękna, a wręcz czarująca, a co najważniejsze dla miłosnych sprawek, emanowała seksapilem, tym niedoścignionym urokiem, który tak zniewala mężczyzn. Lorenzo Pucci, późniejszy kardynał, zanotował: „Jej piękno [Julii – E.W.] jest tematem legend. Wczoraj umyła głowę w obecności Lukrecji i matki. Rozpuściła włosy i kazała je czesać, a sięgały do pięt. Potem przystroiła się w zawój z batystu, a na to nałożyła cienką jak pajęczynka siatkę z nitczkami złocistymi. Wyglądały jak słoneczne promyki. Widok nie do odparcia dla mężczyzn”. Miała czarne włosy, czarne jak węgle duże oczy, zgrabny nosek, smaczne usta i tajemniczy uśmiech, wabiący mężczyzn.

W sprawach sercowych Aleksander VI był bardzo podejrzliwy, a z biegiem czasu stał się chorobliwie zazdrosny, taką zazdrością, co nie myśli, nie widzi i jest głucha. Traktował Julię jak swoją własność. Otoczył ją szpiegami, użył do tego nawet własną córkę Lukrecję. Mieszkała w pałacu Santa Maria, niczym w

złotej klatce. Tę luksusową więźniarkę papież obsypywał drogocенnościami, drogimi podarkami, lecz nie otrzymała ani krzty swobody. Lukrecja udawała, że zaprzyjaźniła się z Julią, lecz za namową ojca ciągle ją śledziła. Na początku Julii imponowała taka miłość starego papieża, potem jej się to znudziło. Była młoda, chciała się bawić, balować, kokietować mężczyzn, wszystko to zostało jej zabronione. Papież, który oderwał ją od męża, potrzebował jej wyłącznie dla siebie. Tym bardziej ją to irytowało, bo przecież dwór papieski nie był cnotliwy. Przyprawiano tu rzymskie prostytutki. Mistrz ceremonii kilku papieży Johann Burchard w swej kronice „Liber Notarum” opisał słynny Bankiet Kasztanów, który przeszedł do historii. W niedzielę wieczór, 30 października, Don Cesare Borgia wydał kolację w swoim apartamencie w pałacu apostolskim, gdzie czekało pięćdziesiąt „przyzwoitych” prostytutek i kurtyzan, które po posiłku tańczyły ze służącymi i innymi obecnymi, najpierw w pełni ubrane, a potem nagie. Następnie także po kolacji, świeczniki z zapalonymi świecami umieszczono na podłodze i porzrucano kasztany, które prostytutki, nagie i na czworakach, musiały zbierać, wczołgując się i wyczołgując spomiędzy świeczników. Papież, Don Cesare i Donna Lukrecja byli wszyscy obecni i przyglądali się. Na koniec oferowano nagrody – jedwabne koszule, pary butów, kapelusze i inne ubrania – dla tych mężczyzn, którzy mieli największe powodzenie u prostytutek. Ten sam Burchard opowiada nam, jak to na dwór papieski przyprawiono mulicę i ogiera i zmuszono do kopulacji przy pomocy intensywnej masturbacji ich członków. Tę scenę bacznie obserwowali papież i Lukrecja. Naturalnie, że w takich orgiach pałacowych nie uczestniczyła Julia. Ona musiała strzec swej cnoty i oddawać swe piękne ciało tylko jednemu człowiekowi – Aleksandrowi VI. Rozpustę i niesamowite orgie na dworze papieża potwierdzają inni autorzy tamtych czasów. Augustin Vespucci: „Co wieczór dwadzieścia pięć lub więcej kobiet przywozi się do pałacu,



który stał się miejscem wielkiej nieobyčajności”.

Papieski dwór dawał zły przykład mieszkańcom Rzymu. Obyczaje upadły, moralność zniknęła. Kroniki informują o coraz to nowych skandalach w pałacach arystokratów. Cordetta, bogata arystokratka, miała służącą Barbarę. Po pewnym czasie okazało się, że nie dość, że służąca była mężczyzną, ale na dodatek czarnym Maurem. Barbarę zabito, ciało spalono. Cordetcie udało się uratować, lecz nie mogła wyjść na ulicę. Zresztą już żaden mężczyzna nie chciał z nią sypiać po jej zażyłości z „czarnuchem”. Na Boga, czemu papież nie wydał edyktu, jaki swego czasu wydał imperator rzymski Klaudiusz: „Rzymskim matronom zabrania się sypiać z plebejuszami”.

Zazdrosne męki papieża osiągnęły apogeum, kiedy nieopatrznie zgodził się na wyjazd Julii do oddalonej prowincji Italii w odwiedzinach do jej chorego brata. Wydawało się, że papież dobrze się zabezpieczył: wysłał Julię nie samą, lecz ze swym szpiegiem, Adrianą Milą, oprócz tego wysłał Lukrecję z jej mężem, żeby pilnie śledzili Julię i o wszystkim go informowali. Do głowy mu nie mogło przyjść, że Julia, ignorując jego rozkazy, pojedzie do swego męża, do Pesaro, a tam... Nie, lepiej niech Aleksander VI nie myśli o tym, co tam się zdarzyło, jeśli Julia nie tylko odwiedziła swoją córkę Luizę, lecz także przespała się z własnym mężem.

Naturalnie, że papież zalecił Lukrecji i jej mężowi, aby nie tylko pilnowali Julii, ale także, aby dopilnowali, by nie uczestniczyła w zabawach, festynach i balach, tylko szeptała modlitwy i pisała miłosne listy do papieża. Słowem, żeby na wesołym pesarskim dworze wiodła żywot mniszki, no, może na razie bez włosienicy, chociaż pod suknią balową bez głębokiego dekoltu dałoby się taką włosienicę włożyć. Udowodniła to przecież la Vallière, kochanka Ludwika XIV. Kiedy niestały w swych uczuciach król zakochał się w innej damie, w markizie Montespan, pani la Vallière włożyła pod balową suknię

włosiennicę na znak protestu i buntu. Julia, wiedząc, jak papież bardzo ją kocha i jak zazdrość jego rozlewa się niczym lawa z Wezuwiusza, starała się nie wywoływać wilka z lasu, posłusznie siedziała z modlitewnikiem w ręku, z tęsknotą patrząc na balujących, bądź gęsim piórem pisała do papieża miłosne, pełne uczucia listy. Powiadacie, że epistolarna erotyczna liryka Jana III Sobieskiego adresowana do Marysieńki stanowi szczyt erotyki? Mówicie tak, bo nie czytaliście listów papieża Aleksandra VI do Julii i jej do niego. My też nie czytaliśmy, Drogi Czytelniku, te listy są skrętnie ukryte przed postronnym okiem w archiwach Watykanu. Lecz jeden biograf, nie wiadomo jak, dotarł do jednego listu Aleksandra VI do Julii, w którym papież, nie przebijając w słowach, nazywając kurwą, która pojechała nie do swego chorego brata, lecz do tego „byka”, swego męża, i groził jej karą piekielną. Jak śmiała, podła, tak cudzołożyc – sypiać z własnym mężem, gdy kochanek-papież tak się męczy mękami zazdrości! Zresztą dostało się nie tylko Julii. Papież, bryzgając śliną wściekłości i atramentem z gęsiego pióra, obsztorcował wszystkich: brata Julii, przyszłego papieża Pawła III, a obecnie Aleksandra Farnese, córkę Lukrecję i jej męża, że źle pilnowali, no i matkę męża Julii, a swojego szpiega, Adrianę Milę. List papieża do Adriany: „Nareszcie odsłoniłyście waszą złą duszę i złośliwość. Bądźcie pewne, że za wasze oszustwo spotka was odpowiednia kara”. Do brata Julii: „Wiele dla was uczyniłem i jak mi odpłaciliście?”. List papieża do Julii: „Julio, niewdzięczna i perfidna! Zła dusza wasza czyni zło. Okażcie skruchę, spostrzeżcie swój błąd”. Szaleje staruszek zakochany po uszy w Julii, męczy się okrutnymi mękami zazdrości. Po nocach nie może spać, męczy go koszmary, erotyczne wizje drażnią wyobraźnię: to nie on jest bohaterem jej uczuć, nie z nim Julia sypia, nie jemu oddaje swe boskie ciało. Biega w nocy po papieskich pokojach, jak zraniony lew w klatce, ryczy, jak zranione zwierzę, nie może się uspokoić, żadne modlitwy nie pomagają. Bóg jest głuchy na jego błagania,

żeby zmusił Julię do powrotu.

W odpowiedzi na niezbyt uprzejme listy papieża Julia, głosem pokornej, grzecznej owieczki, odpowiada: „Niech Wasza Świątobliwość będzie najzupełniej pewny, że ja, bacząc na swój honor, i mając na względzie Waszą Miłość, dniem i nocą o niczym nie myślę, jak tylko o tym, bym okazała się świętą Katarzyną”. W tajnym archiwum Watykanu przechowało się siedem nieopublikowanych listów Francesca Gaceta pisanych po katalońsku, adresowanych do papieża i zawierających wiadomości o Julii Farnese i Adrianie Mili właśnie z tego okresu, gdy Julia była w podróży. Świadczy to o tym, że papież wynajął dodatkowego szpiega, aby ten śledził jego kochankę.

No cóż, Julia musiała powrócić do Rzymu, mężowi papież wypłacił solidną rekompensatę, za którą ten wyekwipował swoje wojsko. A z Julią były jeszcze dalsze przygody. Ona wpadła w ręce Karola VIII, który w tym czasie wraz ze swoją armią buszował po Italii. Kilku oficerów Karola VIII walczyło o prawo dostarczenia cennej branki do papieża. Oczywiście za ogromny wykup. Lecz nareszcie wszystkie trudności są przezwyciężone. Julia powraca do Rzymu. Papież starannie przygotowuje się... do jej przywitania. Z wrażenia nie mógł w nocy spać. Ledwie świt, a papież już na nogach, przed lustrem, uważnie przygląda się swej starczej twarzy. Jest cała w zmarszczkach. Modli się do Boga: „Miłościwy i wszechmocny Boże, odejmij mi przynajmniej na czas spotkania z Julią z dziesiątek lat”. „W Bogu miej nadzieję i sam bądź roztropny” – mówi przysłowie. Papież odrzucił purpurową szatę, ubrał się po świecku, w kaftan ozdobiony złotym brokatem, hiszpański beret, wysokie buty, u pasa nie krzyż, lecz sztylet i szpada. Istny rycerz epoki dworskiej miłości Eleonory Akwitańskiej. Odmłodził w tym stroju o dziesięć lat. Jak tylko Julia powróciła do Rzymu, Aleksander VI urządził jej wspaniałe przyjęcie. Cała jego złość, zdenerwowanie zniknęło, jak tylko ją ujrzał. Ona sama powróciła z mocnym zamiarem, aby już nigdy

od papieża nie uciekać, gdzie jej będzie przecież jeszcze tak dobrze? Spędzili wspólnie upojną noc, a papież, wzmocniony znaczną dawką afrodyzjaków, odmłodził o dwadzieścia lat. Julia zamieszkała w pałacu przylegającym do pałacu papieskiego. Aleksander VI, dzięki podziemnemu przejściu, mógł regularnie, nie będąc przez nikogo zauważonym, odwiedzać swoją kochankę. Wkrótce Julia urodziła mu syna. Do papieża powróciła radość życia. Oto co miłość potrafi uczynić ze starszymi panami. Na przemian gniew ich w barani róg i rozprostowuje, niczym sznur, w zależności od jej kaprysu. Nauczył się ulegać Julii we wszystkim. Przez kilka lat to ona była władczynią Rzymu. Apogeum jej władzy i „zaszczytny” tytuł oficjalnej metresy papieża przypadł na lata 1495–1496. Orsini, mąż Julii, który z zemsty przeszedł na stronę wroga papieża i oddał mu twierdzę w Bracciano, wkrótce umrze. Po śmierci papieża Aleksandra VI Julia bardzo korzystnie wydała za mąż swą córkę Laurę – za Nicole Rovere, neapolitańskiego arystokratę, siostrzeńca nowego papieża, Juliusza II.

Poczynając od 1446 roku stosunki między Julią i papieżem stały się mniej jawne. Po trochu stygła wielka namiętność papieża. W 1500 roku nastąpiło zerwanie, kronikarze tamtego okresu nazywają Julię eksfaworytą. „Jej gwiazda przestała istnieć na firmamencie miłostek Borgii” – tak zapisał jeden z kronikarzy. Papież jednak do końca życia utrzymywał z Julią, zresztą tak jak z Vanozzą, ciepłe, przyjazne stosunki. Julia, niestety, nie była na pogrzebie papieża. Powtórnie wyszła za mąż i postarała się być szczęśliwą.

## Sancia

Neapolitański król Alfons II, idąc z duchem swych czasów, miał z metresą Tuscią, sinooką pięknoscią, dwoje dzieci: córkę Sancię i syna Alfonsa. Obydwoje kochał i umieścił w swym pałacu, gdzie wejście metresie było zabronione. Gdy córka osiągnęła wiek szesnastu lat, postanowiono ją wydać za mąż za syna papieża Aleksandra VI, Joffrego. Młodzieniec miał trzynastę lat i mimo tak „dojrzałego” jak na mężczyznę wieku (nie zapominajmy, że rzecz działa się w XVI wieku, w którym nawet dwunastoletnim podlotkom chłopcom wmawiano, iż dojrżeli do żeniaczki) śmiały i pewny siebie nie był. Pozostawał naiwnym dzieciakiem, czego Sancia nie lubiła. Bardzo się zmartwiła, kiedy się dowiedziała, że jest o trzy lata starsza od przyszłego męża. Dziewczyna była obyta z życiem, gdzieś na korytarzu ojcowego pałacu z pazim dziewictwo straciła, lubiła mężczyzn władczych i o wiele starszych od siebie. Mimo woli pożałowała, że odprawiono jej poprzedniego narzeczonego, który aczkolwiek nie miał jednego oka i jak pirat chodził w czarnej przepasce, lecz był mężczyzną, jak to się mówi, pełną gębą, czemu dawał wyraz, obdarzając Sancię nie tylko pocałunkami. Lecz Sancia była subordynowaną obywatelką, poddaną woli swego ojca. Jeśli on powiedział, że tak a nie inaczej trzeba uczynić dla realizacji jego politycznych planów, to zdanie Sanci w sprawie jej małżeństwa nie miało żadnego znaczenia. Nie będziemy, Drogi Czytelniku, zanudzać cię szczegółowymi opisami dzikich targów kupieckich dotyczących posagu, jaki powinien Alfons II dać za bękarta-córkę (choć w majestacie prawa Joffry przecież również bękart). Powiemy od razu: bez entuzjazmu szła Sancia na swój ślub. Nieco rozchmurzyła się, gdy ujrzała drogie podarki od Aleksandra VI, przysłane swej synowej. Zwłaszcza wspaniałe perły. Chyba tylko córka papieża, Lukrecja, wielka miłośnica pereł, miała taki wspaniały sznur. No, może jeszcze Elżbieta I, która perły uczyniła

swym fetyszem. Kiedy się rozgniewała, rozrywała ich sznury mocnym szarpnięciem, a jej ministrowie zbierali rozsypane po podłodze perełki. Jednak dygresję na bok. Przechodźmy do nocy poślubnej trzynastoletniego Joffrego i rozwiniętej, szesnastoletniej Sancii, której piersi ssane przez wielu mężczyzn już nieco obwisły. Ona sypiać z młokosem nie chce, mimo iż tatuś jej srogo powiedział: „Córko, urazy swoje i niechęć do męża zostaw na później, a w pierwszą noc poślubną okaż mężowi zachętę, żebym mógł zawiadomić teścia Aleksandra, że wszystko jest w porządku i małżeństwo zostało skonsumowane”. Nie czekając na zakończenie nocy poślubnej, Alfons II, król neapolitański, skierował się do swego gabinetu, żeby napisać do papieża Aleksandra VI wielce krzepiący list, w którym znalazło się takie zdanie: „«Twój syn dostojnie wykonał zadanie», co może potwierdzić kardynał Monreale. On trzykrotnie posiadał swą małżonkę”. Pomyślał król, poślinił gęsie pióro i słowo „trzykrotnie” poprawił na „czterokrotnie”. A w rzeczywistości? Rzeczywistość była pusta, chłodna jak morski głaz i nijaka. W rzeczywistości w małżeńskim łóżu przewrotna Sancja, lekceważąc rozkaz tatusia, leży odwrócona plecami do małżonka, pogardę mu wyrażając, co wcale mu zbliżenia nie ułatwia, on przecież prawiczek, jeszcze nie próbował kobiety i nie wie nic o perwersji seksualnej, on tylko wie, że dziecióróbstwo czy też defloracja dziewczyny odbywa się z przodu, w pozycji wskazanej przez Kościół: mężczyzna na wierzchu. On traci pewność siebie, członki jego (wszystkie) są sparaliżowane, oblewa się zimnym potem i nie wie, jak przystąpić do ciała małżonki, skoro ona tego mu wcale nie ułatwia. Bliski płaczu, krząta się bezradnie nad kobiecym ciałem, niczym kogut-impotent, gotowy kukuryknąć: „Ratunku!”. Sancja układa w myślach plan zwabienia kolejnych kochanków, żeby seksualnie być niezależną od niemocy męża. Naturalnie, że wkrótce będzie ich miała co niemiara, jak na razie szydzi z niedołęstwa męża w wysoce obraźliwych dla niego inwektywach. Przydałyby się jej

radę naszego seksopatologa, Kazimierza Imielińskiego, iż seksualne niedołęstwo męża należy przyjmować ze współczuciem i zrozumieniem, żony nie powinny z tego powodu awantury wszczynać, ani obelgami męża obsypywać. Po pierwsze, nie czytała Sancia Imielińskiego ze względu na różnicę epok, po drugie, nie w charakterze egoistki Sanci było darować impotentom ich niedołęstwo. Nie szczędziła Sancia mężowi scen łożkowych, po których seksualny niedorajda płakał po cichu i cierpiał srogie katusze, a żona groziła, że weźmie sobie nowych kochanków.

„No i jak dziś będziemy zażywać rozkoszy? – pytała małżonka, gdy wchodził do jej sypialni. – Mam nadzieję, że nie *coitus prolongatus*? [przedłużenie stosunku przy pomocy rąk – E.W.] Jakim orężem będziesz mnie dziś oszałamiać? Twój penisek jest dla mnie śmiesznie mały, mój kochany mężulku. Może przedłużymy go za pomocą sztucznego fallusa z cielej skóry?”. Biedny Joffre się pocił, łzy czy pot spływały mu po policzkach, a bezlitosna Sancia cytowała starożytnego poetę Katullusa: „Drobna żyła, wiotsza od sycylijskiej sałaty, nigdy nie podnosi się w środku tuniki”. Joffry wciąż był stresowany. A jak powiedział jeden z filozofów: „Stres robi cuda w kierunku destrukcji”. „Żeby małżeństwo było udane, seks musi być również udany” – wtóruje mu inny filozof. Jest to formuła prosta jak świat. Małżeństwo Sanci i Joffrego ani zgodnym, ani dobrym nie było. On w śmiertelnym strachu wchodził do własnej sypialni i w przedsmaku kolejnej porażki sztywniały mu kończyny, mowa ulegała paraliżowi i stawała się niezrozumiałym bełkotem, który jeszcze bardziej irytował Sancię. Należała do tego typu kobiet, które lubią męską siłę. Gdyby pewnego razu Joffry sprzął ją porządnie za wszystkie te łożkowe szyderstwa, zapewne zmieniłaby swe postępowanie w stosunku do niego. Lecz Joffry potrafił tylko ciężko wzdychać i cicho płakać po kątach, samotny, wyszydzony, poniżony. Żeby jakoś zrekompensować swój status „do niczego”,

urządzał nocą w asyście dwudziestu pięciu Hiszpanów, członków swej przybocznej straży, potworne burdy na ulicach, budząc mieszkańców Rzymu ze snu. Pewnego razu jakiś człowiek uderzył go dotkliwie w ucho. Sancia obrażona za męża, a może i za naruszenie swych praw, przecież to ona miała monopol na rękoczynny w stosunku do Joffrego, pobięła do papieża na skargę. Lecz Aleksander VI, człowiek omotany nepotyzmem i zawsze trzymający stronę swej rodziny, tym razem skwitował zdarzenie dyżurnym frazesem: „Po co prowokował hołotę?”. Sancia, mała, szczupła, spoglądająca na potężnego papieża z dołu w górę, wszczęła piekielną awanturę, gotowa była wczepić się w teścia całą siłą swych ostrych pazurków. Papież spokojnie ją odtrącił, co Sancia odczytała jako rękoczynny i głośno szlochając na cały papieski pałac, że ją biją, szybko zebrała manele i uciekła do Neapolu, do swego kochanego tatusia. Joffre naturalnie powlókł się za nią. I teraz oto dochodzą do papieża słuchy o wesołym i nader swobodnym życiu księżnej Sanci na neapolitańskim dworze. Aleksander VI napisał do synowej ostry list, w którym skarcił ją za frywolne zachowanie, za kompromitację swej osoby i nieliczenie się z mężem. Ktoś doniósł Aleksandrowi VI, że Sancia przyjmuje w swych prywatnych apartamentach, a nawet w niebieskiej sypialni, obcych mężczyzn. Papież natychmiast wyraził swój protest: „Co obcy mężczyźni robią w małżeńskiej sypialni?” – pyta papież, jakby nie wiedział co. Cały dwór neapolitański wystąpił w obronie Sanci i oskarżył papieża o rozwiązłe obyczaje. Przygadał kocioł garnkowi... Dwór się obraził i oburzył. Ślą do papieża list, w którym informują Jego Świątobliwość o tym, jak to cnotliwie prowadzi się neapolitański dwór, spędzając czas na słuchaniu poważnej muzyki i oglądaniu baletu. Co zaś się tyczy Sanci, to neapolitański dwór ręczy za jej cnotliwość... „od pasa w dół”. Czyż nie tak odpowiedziała pałacowa dama Anny Austriaczki, gdy jej mąż, Ludwik XIII, obwinił ją o zdradę z Buckinghamem. Od pasa w górę



neapolitańczycy za cnotę Sancii nie ręczyli, lecz od pocałunku w ciążę się nie zachodzi, czyż nie tak?

Kiedy po papieskiej reprimendzie nieco uspokojona Sancia przybyła znowu na papieski dwór, postanowiła całkowicie zmienić swe postępowanie w stosunku do znenawidzonej rodziny Borgiów. Postanowiła doszczętnie skłócić synów Aleksandra VI, Cezara i Juana, czyli księcia Gandii. Wkrótce omal nie doszło do bójk między braćmi, lecz mądrzejszy Juan szybko połapał się, że nie warto z Cezarem z powodu kobiety, i to pustej kokietki, robić zajadłego wroga.

Sancia jeszcze mocniej zaprzyjaźniła się z Lukrecją. Kiedy ta wyszła po raz drugi za męża za brata Sancii, Alfonsa d'Este. Rannego Alfonsa pielęgnowały troskliwie dwie osoby: siostra Sancia i żona Lukrecja. Jak już wiemy, na nic się zdały ich wysiłki. Kiedy Alfonso, dochodzący do zdrowia, chwilowo został sam, siepacze Cezara wtargnęli do jego komnaty i udusili Alfonsa poduszkami. Nikt nie wątpił, kto był rzeczywistym sprawcą zabójstwa Alfonsa. Sancia definitywnie zerwała z Cezarem. Odtąd Borgiowie stali się jej przeklętymi wrogami. Papież o tym wiedział. Postanowił skutecznie unieszkodliwić Sancię. Kiedy powzięła zamiar, aby potajemnie opuścić papieski dwór, pojmano ją i wraz z jej orszakiem pomieszczono w zamku Świętego Anioła. Stąd wyrwać się nie było można: szerokie i wysokie ściany zamku i fosa napełniona wodą skutecznie chroniły więźniarkę. Sancia w bezsilnym gniewie wychodziła na balkon i pokazywała język przechodzącej na dole ochronie. Jej małą figurkę, nieraz zamyśloną, nieraz gniewnie machającą rękami, często można było widzieć na zanikowym balkonie. Po Rzymie rozpełzły się słuchy, że papież więzi swoją synową. Z zakratowanego okna Sancia patrzy na wolność. Zanim wyjdzie na wolność, nawiąże burzliwy romans z kardynałem Hippolitem d'Este, swoim krewnym. Ten kardynał, prowadzący świecki tryb życia, tak jak Aleksander VI uwielbiający kobiety, nie mógł oprzeć się urokowi Sancii.

Utalentowana kusicielka-uwodzicielka nie kochała męża, lecz kochała mężczyzn. Tego wymagała jej natura. Widocznie po matce, ognistej madonnie Tuscii, ma ten temperament.

Jakie pokrewieństwo wiąże ją z Hippolitem? Ojciec Sancii był bratem jego matki, Eleonory Aragon. Atmosfera niebezpieczeństwa mile i ze zgrozą łaskotała nerwy. Sancii lubiła niebezpieczeństwa, ryzyko. To było źródłem emocji. Wówczas Cezar jeszcze kochał Sancię i nie zniosłby żadnej konkurencji. Dobrze, że Hippolit szybko w tym się połapał i po śmierci męża Lukrecji, bojąc się zemsty Cezara, uciekł z Rzymu do Neapolu, uprzednio poprosiwszy papieża, aby mu na to pozwolił. Aleksander VI zezwolił. Nie w jego interesach było prowokowanie nowego zabójstwa. Sancię traktował jak domowego kotka. Wystawiała często swe pazurki, lecz daleko im było do pazurów prawdziwej tygrysy. Jej drapania były nieszkodliwe, choć robiły dużo hałasu. Niestety, zakochany Hippolit w niczym nie może pomóc swej ukochanej bogdanie. Podobnie cesarzowi Maksymilianowi nie udało się jej wyswobodzić, będzie tylko ciężko wzdychał, przejeżdżając obok zamku Świętego Anioła, w którym więziono Sancię. Do okna jej celi posłał pożegnalny pocałunek i umknął szybko do Ferrary, lękając się gniewu Cezara, że ośmielił się uwieść jego szwagierkę, z którą Cezar niejednokrotnie sypiał i nie do końca jeszcze się w niej odkochał. W Ferrarze, jak czytelnik dowie się z dalszego ciągu narracji, miłość „do grobowej deski”, jaką żywił do Sancii, Hippolitowi szybko przeszła, bowiem jeszcze bardziej namiętnie zakochał się w innej kobiecie. Papież musiał wreszcie wypuścić Sancię z więzienia. Natychmiast wróciła do Neapolu. Za nią, jak zwykle, powlókł się ponury, wielce nieszczęśliwy mąż. On już ma dwadzieścia lat, jest prawdziwym mężczyzną, którego uparcie nie chce zauważyć w nim Sancii. Co on na zdradę żony? Jak reagował? Nie reagował wcale. Udawał, że o niczym nie wie i robił dobrą minę do złej gry. Ze stoickim spokojem, a raczej z idiotyczną obojętnością przyjmował zdrady

żony jako zło konieczne. Nie miał siły, aby z nią się rozstać, brakowało mu także siły, aby żyć z nią w pozornej obojętności. W trudnym psychologicznym położeniu znalazł się ten „pokorny rogacz”. Nie zauważał, a może po prostu nie chciał widzieć, że cały Rzym drwi z niego. Kiedy Sancia wychodziła za mąż, zapewne myślała: „Jak tylko wyjdę za mąż, będę na prawo i lewo zdradzała swego męża”. Obietnicy dotrzymała. Jej nieustająca, giętka, chłonna kokieteria zniewalała mężczyzn. Cezar rozbierał ją oczyma, nie ukrywając zachwyty i erotycznych zapędów. Pod wpływem tego wzroku Sancia pokryła się rumieńcem o barwie szkarłatnej i doznała miłego dreszczyku. Poczęły ją nawiedzać erotyczne fantazje. On leżał przed nią w swej męskości agresywnej, wściekłej, ze szponami, wiedziała, że w tej męskości jest niesympatyczny, nieprzyjemny. Dla niego mężczyzna jest ten, kto gwałci, bierze kobietę siłą, jest tym, kto króluje w łóżku. On nie pyta, czy jej się to podoba, on po prostu bierze. On troszczy się tylko o własną przyjemność, nadażaj za nim, kobieto, jeśli potrafisz. Erotyczne wizje przechodziły w rzeczywistość. Cezar otrzymał godną siebie partnerkę do łóżka. Sancia była niezrównana w perwersyjnej rozpuście. Wydawało się, że wchłonęła w siebie wszystkie nauki miłosne, indyjską Kamasutrę i japoński sintoizm z jego ulubionymi pozycjami ciała na boku i od tyłu, chiński taoizm z jego yin i yang, bierną energią kobiecą i aktywną męską. Lecz najbardziej chyba ta zdolna w miłosnej sztuce kobieta przyswoiła dogmaty erotyczne Pietra Aretina.

Urodził się Aretino w 1492 roku. Był synem szewca, który przez całe życie utrzymywał, że jest szlachcicem. Na tym punkcie miał bzika. Był wszystkim: śpiewakiem ulicznym, katem, lichwiarzem, poborcą podatkowym, lecz przede wszystkim niezrównanym kochankiem zarówno mężczyzn, jak i kobiet. A jeszcze przede wszystkim niezrównanym erotycznym pisarzem. Rozbrajająco szczery w swej erotyce, nigdy nie zszedł, dzięki nieprzeciętnemu talentowi, do poziomu zwyczajnej pornografii.

Uczłował z papieżami, a przeżył ich, poczynając od Aleksandra VI, aż dziewięciu. Był tak interesujący i nietuzinkowy jako człowiek, że mimo swej skandalizującej opinii, papieże chętnie go przyjmowali w swych pałacach w Watykanie. Człowiek z charyzmą, jakby to dziś powiedziano. Mimo swych sprośnych poematów i gorszących opowieści z życia kurtyzan wysocy urzędnicy państwowi i duchowni uważali za swój honor zaprzyjaźnić się z nim. Franciszkowi I zaimponował swym dziełem „Rada kurtyzan”.

Sancia zniechęciła Cezara po tym, jak zabił jej brata, a męża Lukrecji Alfonsa d’Aragon. Zaczęła zresztą nienawidzić wszystkich Borgiów, łącznie ze swym mężem, Joffrem.

Sancia powróciła do Neapolu, jak tylko poczuła, że krępujące ją łańcuchy rozluźniły się pod naporem okoliczności: przyjęła przyjaźń nowego mężczyzny. Był nim Prospera Colonna. Poprosiła go o opiekę. Udała się do twierdzy Colonnów Mariro. Spróbuj, Aleksandrze VI, dostań ją teraz! Jednym energicznym szarpnięciem wydostała się z borgiowskiej niewoli na wolność i przyjąwszy przyjaźń Prospera, wkrótce przeobraziła ją w kolejną miłość. On ma służyć w hiszpańskim wojsku, chętnie pojechała z nim do Neapolu. Tu rozstali się. Prospera ma wojować, ona bawić się do upadłego. Prawie roczna abstynencja seksualna dawała się we znaki. Trzeba straty nadrobić w rekordowym tempie. Wzięła sobie kolejnego kochanka, nie byle kogo! Rzymski magnat i aragońska księżniczka szybko znaleźli wspólny język i wspólną pościel. On już nie odchodzi od Sancii, a gdy choruje i leży w łóżku, nikomu nie wolno wchodzić do jego prywatnych apartamentów oprócz niej.

Zanurzyli się w rozkoszy ciała. Sancia wreszcie ożyła, podlana życiodajnym eliksirem, poczuła, że żyje. Odzyskała swój dom i swój pałac obok Castel Nuovo. Ale to nowe życie nie było łatwe dla niej, tylekroć rzucającej wyzwanie Borgiom i buntującej się przeciwko nim. Piękna i mściwa ukazała się oczom Consalva z

Koloby, który wkroczył do Neapolu, jak triumfator 14 lutego 1504 roku. Komu pierwszemu złożył wizytę? Naturalnie, że Sancii. Przyciągała jak magnes mężczyzn, byli wobec niej bezwolni. Rozmowy przeplatały się z miłosnymi uciechami. Opowiadała o zabójstwie swego brata. A kto jak nie Sancia znał te mroczne szczegóły, starannie ukryte przez Borgiów? Papież jej się bał, znała tajemnice papieskiego dworu. Consalva teraz towarzyszy Sanci wszędzie, nawet do kościoła na mszę chodzą razem. Gdzieś z boku egzystuje jej mąż, do którego odnosi się gorzej niż do sług. W tym trójkacie jest jak wierny pies. Zresztą to nawet nie trójkąt, tylko parka i ich piesek. Pieskiem jest oczywiście Joffre.

Sancia zmarła w 1504 roku w wieku dwudziestu siedmiu lat, po odjeździe Prospera do Hiszpanii. Ostatni jej wielbiciel, Consalva z Koloby, strasznie rozpaczał po utracie kochanki i uczestniczył w jej pysznym pogrzebie.

Joffre ożeni się po raz drugi. I nareszcie zaświta mu coś w rodzaju małżeńskiego szczęścia, bowiem jego druga żona, Mila Maria, stanowiła przeciwieństwo Sanci: lubiła dom i rodzinne ciepło. Ogrzała wychłodzonego Joffrego swą miłością i oddaniem. Wyzbył się Joffre swej impotencji.

## Na ferrarskim dworze

### Pokorni rogacze

*Większość cierpliwych rogaczy nie jest śmieszna, bo potrafi żyć w zgodzie ze swymi żonami.*

(Brantôme)

Niezdrowe emocje wywołuje u mężczyzny zdrada żony. Łagodny jak jagniątko mąż, kiedy dowiaduje się o swych rogach, wilkiem się staje, złym i mściwym, gotowym zagryźć cudzołożnicę, i różnie ją ukarać, poczynając od bicia, a kończąc zabójstwem. Lecz rzadko można spotkać męża-rogacza, który z dobrotliwą pobłażliwością, a nawet z dumą, jeśli kochankiem żony był król, obnosił swe rogi. Pobłażliwy rogacz jest dobrym człowiekiem. Miękki, ustępliwy, tolerancyjny. Kiedy żona na miłosną schadzkę z kochankiem wyrusza, szal na jej ramiona narzuci, żeby nie marzła biedaczka, śpiesząc się na randkę, rączkę grzecznie ucałuje. A sam ręce pociera: co żona do domu przyniesie? Może posadę dobrą dla syna albo posiadłość jaką, albo kolejny brylancik cenny, których już „zarobiła” pełną szkatułkę, nie rdzewieją w niej przecież i stanowią dobrą lokatę kapitału. Tu, Drogi Czytelniku, warto zacytować Puszkina. Ten wielki rosyjski poeta spotkał pewnego razu żołnierza powracającego z długiej wojennej służby do domu. Zapytał żołnierza, co on zrobi, jeśli się dowie, że żona go zdradzała. „Jeśli przygotowała siana na zimę, wybaczę, jeśli nie, stłukę” – odpowiedział żołnierz.

Żony pokornych rogaczy dużo „siana” do domu przynosiły. Jednego tylko wymagało się od pokornego rogacza: żeby swej szczęśliwej fizjonomii na świat dzienny nie wystawiał, żeby pojechał sobie gdzieś jako gubernator na prowincję, czy jako

ambasador do lichej krainy, Sardynii na przykład, dając żonie pełną swobodę do rozkwitu jej miłości z kochankiem. A jeśli zostawał taki rogakz przy królewskim dworze, to prowadził się cicho i skromnie, w przyjęciach i balach królewskich nie uczestniczył. Żył sobie niemal *incognito*, dzieci przez króla spłodzone wychowywał, uznając ich ojcostwo. Opowiemy, Drogi Czytelniku, kilka historyjek o takich pokornych rogaczach.

\* \* \*

Każdy naturalnie wie, że Ludwik XIV, Król Słońce, zanim stał się bigotem pod wpływem swej morganatycznej żony Maintenon, był erotomanem i miał trzy oficjalne metresy naraz. Oprócz nich miał jeszcze kilka metres podrzędnych, na wszelki wypadek, gdy seks z oficjalnymi metresami był utrudniony, na przykład wtedy, gdy jego kochanka markiza Montespan, po urodzeniu królowi siedmiorga dzieci, miewała, co prawda rzadko, w związku z klimakterium, „trudne dni”, czyli menstrualny okres, a król akurat na gwałt potrzebował seksu. Wówczas na scenę, czyli w łóżko króla, czyli do wersalskiej łazienki, pełniącej funkcję pokoju schadzek, wkraczała podręczna metresa, hrabina Soubise, dama zamężna, której mąż, na szczęście, był pokornym rogaczem i chętnie odstępował królowi żonę, kiedy następował seksualny alarm. Wszystko odbywało się prosto i bez kamuflażu. Późną nocą lokaj Ludwika XIV, trzymając srebrny kandelabr, pukał do pokoju państwa Soubise (wszyscy mieszkali razem w Wersalu, w którym było dwa tysiące pokoi). Mąż otwierał mu drzwi i budził żonę: „Kochana, wstawaj, król po ciebie przysłał, markiza Montespan znowu jest w niedyspozycji”. Żona pośpiesznie nakładała szlafrok, pod którym nic nie było (po co zabierać królowi drogocenny czas na rozbieranie się), wkładała bambosze i człapała na drugi koniec Wersalu, gdzie znajdowały się królewskie pokoje. Po półgodzinie wracała, budziła męża, którego apetyt na sen wcale nie malał od

tych nocnych jej eskapad do pokojów króla, i mówiła radośnie: „Kochanie, zobacz, jaką cudowną kolie dostałam od króla”. Mąż niezadowolony mruzczał: „Kolie, kolie, już tyle masz tych drogocенności. Następnym razem domagaj się jakiejś posiadłości”. Mąż hrabiny Soubise był dobrym przyjacielem swej żony. Kiedy goście chwalili wspaniałość jego domu, przepych i bogactwo wnętrza, on skromnie opuszczał oczy i mówił: „To wszystko zawdzięczam mojej kochanej małżonce”. Harmonia między nimi była absolutna. Ani kłótni na tle zazdrości, ani nie daj Boże zabójstwa, jak to bywało w innych pałacach królewskich, gdzie zazdrośni mężowie-rogacze mścili się okrutnie na żonach, zabijając je.

Sympatyzujemy, Drogi Czytelniku, z tymi mężami, którzy kopii nie kruszyli z powodu rodzenia przez ich żony bastardów, lecz spokojnie przyjmowali bękartą za swoje dziecko. Takim pokornym rogaczem był Karol Orleański, ożeniony z Marią Kleve. On był niedołącznym staruszkiem, starszym od swej żony mniej więcej o tyle, ile starszym był mąż Marii Walewskiej od pani Walewskiej, czyli o czterdzieści lat. Był dobrym i mądrym człowiekiem. Wiedział, że młode ciało żony wymaga miłosnych uciech, którymi on, niestety, obdarzyć żony już nie mógł. Patrzył więc pobłażliwie, jak żona zabawia się z młodymi sługami i paziarnymi. Bo oni, według Brantôme'a, choć szczupli jak kuropatwy, lecz bardzo jurni są w łóżku, chlebem ich nie karm, tylko daj możliwość, aby pobaraszkowali z poważaną damą. I oto staruszek mąż pewnego razu dowiaduje się, że urodził mu się syn. „Skądże znowu?” – zdumiał się z powodu tej biologicznej nowości, wiedząc, że jego dziecinorodny organ już od kilku lat jest bezużyteczny i nie budzi się do życia nawet pod wpływem wyrafinowanych pieścizot żony i różnych afrodyzjaków. Ale szybko rozpaczać zaprzestał, a nawet uradował się: nareszcie ma potomka, dziedzica, żona mu ucziwie powiedziała, że ojcem jest sługa Rabadza. Król synka na rączki wziął, a ten jego kaftan



obsiusiał. To tak rozczyliło Karola Orleańskiego, że w mig zapłonęły w nim prawdziwe ojcowskie uczucia. Postanowił usługę Rabadzy wynagrodzić sowicie, ale za to, że ośmielił się dotknąć jego żonę, zetnie mu głowę. I tak oto, trzymając w ręce grudę złota, bezgłowy kochanek powędrował na tamten świat. Zaś Maria Kleve tak rozzuchwiała się, że jeszcze i córkę mężowi urodziła, tym razem ukrywając imię jej ojca. Karol Orleański był dumny i tak mówił dworakom: „Czasami we mnie szatan wstępuje. Wówczas w łóżku staję się ogierem. Ten moment moja żona uchwyciła i tak trafnie wykorzystwała, że córkę urodziła”. Lecz mimo że ojcem córki Marii Kleve był sługa, między nimi zapłonęła miłość. Kiedy mąż Marii Kleve zmarł ze starości, ta, nie bacząc na mezalians, za tego sługę za mąż wyszła. No i co? Druga żona Napoleona Bonapartego, królowa Parmy, Maria Luiza, zdegradowała się tak, że po śmierci swego trzeciego męża, ze sługą kucharzem spała, kompromitując pamięć wielkiego męża, Napoleona Bonapartego.

\* \* \*

Jeszcze inny pokorny rogakz objawił się w Wersalu, tym razem za czasów Ludwika XV. O tym królu sporo zostało napisane, jego erotomaństwo zostało szczegółowo opisane w naszym „Cuchnącym Wersalu”, powtarzać się nie ma sensu, lecz warto przypomnieć ten sam wątek, który przewijał się przez biografię jego pradziada, Ludwika XIV. Ludwik XV również miał sporo podrzędnych, mało znaczących kochanek, które dyskretnie ofiarowywały swe seksualne usługi królowi. Hrabina Tuluzy w dużej przyjaźni żyje ze swym mężem. Była kobietą niemłoda, dzieciata, gruba, o nieładnej twarzy, lecz z obfitym biustem, a takie król Ludwik XV szczególnie lubił. Gdy król był zmęczony dziewczynami ze swego „Jeleniego Parku” czy sypianiem ze zbyt wyrafinowaną, intelektualną markizą Pompadour, korzystał z

usług hrabiny Tuluzy. Spróbuj, Drogi Czytelniku, codziennie jeść czarny kawior, intelektualizmem nasycony, mimo woli zapragniesz za jakiś czas prostego czarnego chleba. Mąż hrabiny Tuluzy sytuację w mig zrozumiał i zaproponował kamerdynerowi królewskiemu, rajfurowi Lebelowi, który nawet prostytutki na dwór królewski przyprowadzał, następujące rozwiązanie seksualnego problemu: skoro król od czasu do czasu potrzebuje miłości Edypa (hrabina Tuluzy była starsza od króla o trzydzieści lat), to on, dobry patriota Francji, i swego króla, gotów dla schadzek miłosnych króla z jego żoną przeznaczyć swój pałac Rambouillet. Odpoczywajcie, Wasza Wysokość, w zwiędłych objęciach mojej podstarzałej żony, nic a nic nie mam przeciwko temu, a nawet pałac będę ochraniał, żeby nikt postronny w tym czasie, gdy król tam przebywa z moją żoną, nie wkroczył tam z nienacka i uniesieniom miłosnym nie przeszkodził.

\* \* \*

Wielce pokornym rogiaczem był stary mąż młodej Emmy Hamilton w stosunku do admirała Nelsona. Ona z przodu pod rękę z jednorękim i jednookim Nelsonem kroczy dumnie, a Hamilton, jej mąż, za nimi z tyłu idzie, pieska swej żony lub szal niesie. Ludzie się zatrzymują, wskazują na Hamiltona i mówią: „Ach, ten zgodny trójkąt miłosny znowu na spacer wyszedł. Nelson i Emma nowego pieska sobie zafundowali”.

## Angela Borgia

Lukrecja ma kłopoty: w spokojne ferrarskie życie weszły zbrodnia i morderstwo. Wszystko zaczęło się jeszcze w Rzymie, gdy kardynał Hippolit d'Este zakochał się w pięknej Sanci, w której również był zakochany Cezar Borgia. Walczyć z tak potężnym rywalem Hippolit d'Este nie ma chęci, oznaczałoby to narażenie się na pewną śmierć, bowiem Cezar Borgia był słynny ze swej nieobliczalności i okrucieństwa. Hippolit d'Este nie chciał konfrontacji z rywalem, po prostu uciekł z Rzymu do Ferrary. O tym już wiesz, Drogi Czytelniku. I tu zakochał się namiętnie w kuzynce Lukrecji, Angeli Borgii, która w tym czasie przebywała na dworze Lukrecji, siadała obok niej podczas posiłków, towarzyszyła w spacerach, słowem, pełniła funkcję powiernicy i przyjaciółki. Lukrecja ją lubiła za kobiecy powab i piękność. Często obejmowała ją i całowała. Lukrecja bowiem była nieobojętna na piękno kobiet, chociaż nie wykazywała lesbijskich cech (choć niektórzy z biografów zastanawiają się, dlaczego Lukrecja tak lubiła całować swoją służącą, śliczną Mulatkę, a gdy spotykała ładną dziewczynę, niezmiennie do niej podchodziła, obejmowała ją i całowała). Lukrecja czuła słabość do Angeli, dużo rzeczy jej wybaczała i była w stosunku do niej nieprawdopodobnie tolerancyjna. Angela Borgia mało czym różniła się od Sancii. Cechowała ją ta sama lekkomyślność, wesołość, swawola, kokietowanie mężczyzn, uwodzenie ich i doprowadzanie do miłosnego szaleństwa. Flirtowała Angela z kilkoma adoratorami naraz, robiła im nadzieję, żadnemu adoratorów nie oddawała się fizycznie. Istnieją, Drogi Czytelniku, takie typy kobiet, które sprawiają wrażenie łatwych i dostępnych, lecz w rzeczywistości są twarde jak twierdza, którą należy zdobywać długim i żmudnym oblężeniem. Angela uwiodła jednocześnie trzech mężczyzn: kardynała Hippolita d'Este, jego młodszego brata Gulia i kawalera Alvisa Pallavicino. Hippolit szczególnie namiętnie zakochał się w

kuzynce Lukrecji, całkowicie zapomniawszy o Sancii. Angela była zameżna, lecz jej mąż przebywał na prowincji. Żył tam swoim życiem i mało go obchodziły flirty żony.

Angela swoje uwodzicielskie sztuczki czyniła ze śmiechem, na wesoło, dowcipkowała, błaznowała, wiedziała, że księżna Lukrecja na tyle ją kocha, że wszystko jej wybaczy i nadal będzie sadzała ją obok siebie w czasie obiadu. Powodzenie i światowe sukcesy Angeli wzrastały z każdym dniem. Jej fascynujący urok, żywiołowość, a także zmysłowość dosłownie zniewalały mężczyzn. Tabunami płatali się za nią, wyrrywając ją sobie z rąk podczas balów. Ona flirtowała z każdym, lecz w ciążę zaszła z don Giulim, nieślubnym synem Ercole d'Este, teścia Lukrecji. Szykuje się nowy skandal na ferrarskim dworze, który za wszelką cenę chce ukryć Lukrecja. Zaawansowaną ciążę Angeli ogłoszono jako ciężką chorobę, położono latawicę do łóżka, kazano jej udawać chorą. Była to tajemnica poliszynela. Każdy dworak wiedział, co kryje się pod tą chorobą i kto jest ojcem dziecka. Hippolit d'Este, który na śmierć zakochał się w Angeli, rwie włosy i dobywa miecza. Gotów zabić swego młodszego brata, rozdziera go zazdrość, zwłaszcza gdy Angela na umizgi Hippolita odpowiedziała nader prostolinijnie, nawet ordynarnie, nawet rubasznie: „Oczy Giulia są warte więcej niż cały Hippolit”. Hippolit zagryzł zęby i w gniewie odszedł, ogarnęła go złość na brata. Hoduje w sobie pragnienie zemsty. Okazja nadarzyła się wkrótce i to całkiem przypadkowo. Wczesnym pochmurnym popołudniem 1 listopada 1505 roku kardynał Hippolit spotkał za miastem don Giulia, swego przyrodniego brata, który wracał z zamku, gdzie Angela oczekiwała rozwiązania ciąży. Kochanek widocznie ją pocieszał, wcale nie mając zamiaru unikać odpowiedzialności za jej ciążę. Momentalnie w mózgu „romantycznego” Hippolita mignęły sceny łożkowe Angeli z jego bratem, przypomniał sobie także słowa Angeli o pięknych oczach Giulia, a ponieważ był człowiekiem wybuchowym, takim co to najpierw działa, potem dopiero myśli,

krzyknął do swej służby: „Łapcie go! Wyklujcie mu oczy”. Zgraja uzbrojona w sztylety rzuciła się na samotnego Giulia, ściągnęła go z konia i poczęła dźgać sztyletami, starając się według rozkazu trafić w oczy. Był to czyn okrutny, haniebny i niegodny kardynała. Ten, kiedy po chwili ochłonał, dał rozkaz swym dworzanom, aby odjechali, a sam umknął w siną dal, czyli ku granicom księstwa Este. Okrwawionego Giulia, z wydłubanymi oczami, ledwie żywego, znalazła dworska służba. Lukrecja była przerażona niesłychaną próbą zabójstwa przez Hippolita swego brata, tym bardziej że bardzo Hippolita lubiła, był jej pupilkiem, a niektórzy twierdzili, że jej tajnym kochankiem. Lekarze i medycy zaczęli gorliwie leczyć Giulia, którego twarz została zeszpecona, jedno oko wydłubane, drugie pozbawione powieki. Giulio nie mógł patrzeć na swe odbicie w lustrze, siedział całymi dniami w ciemnym pokoju i rozpaczał. Naturalnie, że miłość do Angeli została odsunięta na dalszy plan. Zresztą latawica nie chciała go już widzieć, nie czuła się winna, spokojnie urodziła dziecko, które natychmiast oddano chłopom i ślad po nim na wieki zaginął. Czy jej syn został zabity, czy też wychowywał się jako chłopskie dziecko, nikt już tego nie wiedział. Rodzinka Borgiów postarała się szybko zatrzeć skandal. Niewzruszona Angela znowu z upojeniem tańczy na balu, Lukrecja nie udzieliła jej żadnej reprimendy, nadal jest zbyt pobłażliwa dla tej okrutnej, pozbawionej serca kobiety. Mąż Lukrecji, Alfons, usiłuje pogodzić Giulia z Hippolitem. Codziennie prowadzi z Giulim edukacyjne rozmowy na temat chrześcijańskiej pokory i wybaczenia. Schowaj, Giulio, swoją złość i chęć zemsty – nie trzeba stosować zasady „oko za oko, ząb za ząb”. Pogódź się z bratem, żeby wszystkim było dobrze, taki mniej więcej był temat rozmów Alfonsa i Giulia. Zmusił biedaczka, że ten wreszcie wyraził zgodę. Spotkali się bracia. Dumny Hippolit i na wieki oszpecony Giulio. Chłodno brat precedził to swoje wymuszone: „Wybaczam”. Hippolit chłodno uścisnął mu rękę i skandaliczny incydent, którym już zainteresował się papież Juliusz

II, został zakończony. Lecz nie w mózgu Giulia. On, mając świadomość, że wybaczył bratu pod psychiczną presją Alfonsa, szykuje straszliwą zemstę. Organizuje spisek, którego celem jest zabicie zarówno Hippolita, jak i Alfonsa. W tym czasie Lukrecja usiłuje za wszelką cenę wydać za mąż swoją niespokojną kuzynkę Angelę. Który z panów zechce wziąć za żonę kobietę z tak nadszarpniętym prestiżem? Chętnych na to specjalnie nie ma. Zwiększono posag dla Angeli. Jest luty 1506 roku. W prywatnych komnatach Lukrecji zebrało się małe grono gości, wśród nich kandydat do małżeństwa, Alessandro Pio. Rozważa się ważny problem posagu Angeli. Jeśli będzie stosowny, Alessandro jest gotów zapomnieć o jej byłej ciąży i dziecku bękarcie. Brat Angeli, kardynał Ludovico Borgia, przysłał śmieszny sumę – trzysta dukatów. Za tak mizerną kwotę Alessandro nie zgadza się ożenić z Angelą. Lukrecja musiała znacznie zwiększyć posag swej kuzynki, która nadal sprawiała duże kłopoty. Była kapryśna i wymagająca. Zażądała sukni ślubnej tak niebotycznie przetykanej złotem, że Alessandro mruknął: „Niech sama płaci za tę suknię. Ja pieniędzy na taki wydatek nie mam”. Lukrecja znowu musiała koszt ślubnej sukni Angeli wziąć na siebie. Ale jak pięknie kuzynka wyglądała w tej swojej szacie ze złocistego cienkiego sukna w pasy czarne z aksamitu. Wkrótce wyjechała z mężem. Od czasu do czasu Lukrecja będzie wzywała Angelę na swój dwór i sadzała podczas uroczystych przyjęć obok siebie. Taki już miała charakter. Lukrecja Borgia nie karmiła grzeszników i chętnie im pomagała, nawet kiedy sprawiała jej ogromny kłopot.

\* \* \*

A Giulio szykuje zemstę – okrutną i krwawą. Spisek jest już przygotowany, czas działać. Spiskowcy jednak nie wiedzą, że nad wszystkim czuwa kardynał Hippolit, któremu udało się włączyć do grona spiskowców swego szpiega. Wie wszystko o planach

spiskowców. Naturalnie, że o wszystkim został poinformowany książę Alfons. W kwietniu 1506 roku kardynał Hippolit d'Este przystąpił do decydujących działań. Alfons został wysłany w podróż, Hippolit aresztował wszystkich spiskowców, w ich liczbie ich przywódcę, swego oszpeconego bezokiego brata Giulia. Po nieludzkich torturach spiskowcy przyznali się do winy, dwaj z nich, Boschetti i Roberti, zostali ścięci, Giulio i don Ferrante zostali skazani na dożywotnie więzienie. I oto w jednej z wież zamkowych znajdują się ich cele: wszystko tu zamurowano, nie ma okien ani drzwi. Żywność dostarczano im na sznurze przez mały otwór w suficie. Nędzny żywot będą wieść ci dwaj, gorszy od śmierci. Don Ferrante będzie przebywał w tym więzieniu przez czterdzieści trzy lata, Giulio aż pięćdziesiąt trzy, przeklinając swój nędzny żywot. Został wypuszczony na wolność przez wnuka Lukrecji, Alfonsa II, kiedy był już niedołężnym starcem. Czy warto było tak poświęcać się dla kobiety wyrachowanej, zimnej, pustej, która ani razu nie wspomniała o swym ukochanym, ojcu jej dziecka, któremu przecież obiecała dożgonną miłość? I to Bóg stworzył kobietę! – chce nam się wykrzyknąć, wspominając tytuł francuskiego filmu w reżyserii Rogera Vadima.

## **Miłość Lukrecji do Cezara, zabójstwo Juana**

Lukrecja sypiała z dwoma swymi braćmi: starszym Juanem i średnim Cezarem. Nie zawinił w tym kazirodztwie jej temperament, bowiem raczej była seksualnie zimna, lecz nurt epoki. Dwory papieskie w tym czasie mało czym różniły się od królewskich. Widząc rozpustę dworską, biorąc udział w orgiach urządzanych przez papieża i Cezara, Lukrecja, słabowolna i pokorna, poddała się temu nurtowi, chociaż była przeciwna seksualnej frywolności i nie bawiło ją wyuzdanie, zawsze pragnęła spokojnego, rodzinnego życia. Cezar był zazdrosny o starszego brata. To stało się przyczyną tragedii: zabójstwa Juana. Dokładnie nikt o niczym nie wie, krążą tylko słuchy i plotki. Wskazują jednak jasno: brata przez zazdrość o Lukrecję zabił Cezar.

Juan Borgia poślubił w 1493 roku hiszpańską księżniczkę, kuzynkę króla Ferdynanda, Marię Enriquez de Luna. Przebywającego w Neapolu Juana ogarnęła namiętność do gry w karty. Nic nie wiedział, że ojciec papież wysłał do Neapolu dwóch swoich zaufanych ludzi, żeby pilnowali Juana, aby nie ogarnął go wicher karcianej namiętności. Nie wiadomo z jakich powodów, przecież nie z powodu impotencji, skoro miewał kochanki, między nimi Sancię, Juan nie skonsumował swego małżeństwa. Cezar, jego brat, pisał do niego: „Spróbuj nie zawieść nadziei, jaką zawsze pokładał w tobie Jego Świątobliwość. Jeśli życzysz mi długiego życia, co dla nas oznacza szczęście, dobro i przetrwanie, spraw, by zakończyły się te sprawiające mi ból historie”. Juan beztrąsko odpisał, że słuchy o jego skandalicznym prowadzeniu się to tylko plotki jego wrogów. Niestety, to była prawda. Nareszcie po prawie roku odwiedził sypialnię żony, wkrótce zaszła w ciążę.

Wkrótce Juan został zabity. Podejrzewano, że sprawcą jego zabójstwa, które miało miejsce 14 czerwca 1497 roku, był Cezar. Zazdrościł bratu silnej więzi z ojcem, był także zazdrosny o



Lukrecję i Sancię. Po kolacji u swej matki, Vanozzy Cattanei, Cezar i Juan wyszli razem. Konno pojechali w stronę Watykanu. Juan miał podobno rzec, że idzie poszukać dalszych przyjemności i odjechał w towarzystwie koniuszego i jeszcze jednego człowieka. A następnego dnia wyłowiono z Tybru jego ciało. Papież nie wierzył w winę Cezara. Juan miał na ciele osiem ran kłutych i poderżnięte gardło. Rybak, który wyłowił ciało, nie wchodził w rachubę jako zabójca. Juan za pasem miał woreczek z trzydziestoma złotymi dukatami.

Niccolo Machiavelli, cyniczny myśliciel, którego filozofię stosował Adolf Hitler, wskazał na Cezara jako zabójcę don Juana. Doszedł do takiego wniosku w drodze dedukcji: przyjrzał się wszystkim, którym mogło zależeć na jego śmierci. Zadał pytanie: kto na tym najwięcej zyskał? Wyszło, że zapewne Cezar. Teraz mógł objąć upragnione stanowisko dowódcy armii papieskiej, którym dotąd był Juan.

Pograżony w głębokiej żałobie papież dokonał rachunku sumienia, okazał skruchę za swoje grzeszne postęпки, przysiągł, że od tej pory zajmie się wyłącznie sprawami Kościoła. Rozkazał oddalić duchownym wszystkie konkubiny. Jemu samemu nie przyszło łatwo wyrzec się rozkoszy alkowy. W następnym roku kochanka Julia urodziła mu przecież syna. Skrucha Aleksandra VI po zabójstwie jego syna trwała krótko. Znowu zaczął żyć tak, jak żył dotąd. Znowu wesołość i frywolność papieskiego dworu zaczęły gorszyć Rzymian. Jednak spraw Kościoła nie zaniedbywał. Wydawał się człowiekiem o rozdwojonej jaźni: jako papież był gorliwym sługą Kościoła, jako świecka osoba człowiekiem nie stroniącym od uciech życia, oddającym się bez hamulców rozpuście. Jak mógł pogodzić jedno z drugim, skąd taka zadziwiająca harmonia dwóch przeciwstawnych postaw?

Mimo głośnych słuchów i cichych szeptów papież absolutnie nie wierzył, że Juana mógł zabić jego rodzony brat, Cezar. Odtąd Cezar będzie jego ulubionym synem. Swoją władzę w Rzymie

nawet prześcignie ojca. Warto zatem zapoznać się krótko z jego życiorysem.

Był jednym z trzech synów Aleksandra VI i Vanozzy Cattanei. Charakter złożony, buntowniczy, wojowniczy i awanturniczy. Działał często pod wpływem impulsu, dlatego jego czyny potrafiły być nieprzewidywalne. Cezar otworzył dom spokojnej starości dla prostytutek. Demonstrował swój hiszpański temperament, zabijając sześć byków na placu św. Piotra, pięć zakłuł laną, szóstego pozbawił łba jednym ciosem miecza. Bardzo lubił widok krwi. Pewnego dnia posunął się nawet do tego, że kazał ogrodzić plac św. Piotra palisadą i wprowadził tam zakutych w kajdany mężczyzn, kobiety i dzieci. Dosiadł bojowego rumaka i przeprowadził straszliwy atak. Niektórych zastrzelił, innych stratował końskimi kopytami. W ciągu pół godziny zostawił na placu kałuże krwi i masę zmasakrowanych ciał. Jego Świątobliwość oglądał to krwawe widowisko, zapomniane już od czasów Nerona. Tak, Drogi Czytelniku, twierdzi Jakub Burchard. Jeśli mówi prawdę, to był to czyn niesłychany, niegodny nawet tyranów, lecz możliwe, że kłamał, bo później znienawidził wszystkich Borgiów. Natomiast w Rzymie chodziły uporczywe słuchy, iż Cezar gwałcił zamężne żony i potem kazał je zabijać, nagminnie zarażając je syfilisem. Pod koniec życia ta choroba wyżarła mu twarz i gnojnymi ranami pokryła ręce. Musiał ciągle nosić rękawiczki, a na twarz nakładać aksamitną maskę.

Kiedy postanowił się ożenić, jego wybranką została córka króla Ferdynanda. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata. Ferdynand najpierw odmówił Cezarowi, nie oddał mu swojej córki, pamiętając jego skandaliczne zachowanie na swoim dworze. Bawiąc tam, jeszcze będąc kardynałem (został nim w wieku siedemnastu lat), Cezar zrzucił purpurowe szaty i folgował swemu popędowi wśród pięknych neapolitanek. Zakochał się w Marii Diazgarlon, córce aragońskiego hrabiego, lecz romans przerwały zbyt widoczne objawy syfilitycznej choroby Cezara. Cezar nie

chciał być duchownym. Zrezygnował z kapelusza kardynalskiego. Król francuski Ludwik XII uczynił Cezara księciem Valentinois. Jego świta, licząca ponad dwieście osób, porażała swoim przepychem i bogactwem ubiorów. Ludwik XII zaproponował mu ożenek z siedemnastoletnią Carlottą d'Albert, siostrą Jana III, króla Nawarry. Małżeństwo zostało zawarte 12 maja 1499 roku na zamku Blois. Żona urodzi mu córkę, a wkrótce nastąpi nieoficjalna separacja małżonków. Balchin pisze: „Nie można wyliczyć wszystkich morderstw, gwałtów i kazirodczych stosunków, które codziennie miały miejsce na dworze papieskim”. Po śmierci ojca, Aleksandra VI, na rozkaz papieża Juliusza II Cezar został aresztowany i umieszczony w więzieniu. Zrozumiał, że przegrał. Zapłakał. Łzy potwora, za jakiego go uważano, nikogo nie wzruszyły. Zginął nadczłowiek, pozostał słaby człowiek. Jego pomieścili w wieży Borgiów. W 1504 roku Juliusz II, przekonany, że Cezar został doszczętnie upokorzony i pozbawiony swych ostrych pazurów i kłów, wypuścił go na wolność. Wyjechał do Neapolu. Tam w tym czasie mieszkali: stara królowa Giovanni, wdowa po Ferdynandzie, ekskrólowa Beatrycze, rozwiedziona z królem Władysławem, Izabela Sforza, księżniczka Mediolanu, i dawna kochanka Cezara, Sancia. Żona Cezara, Carlotta d'Albert, nie chce słyszeć o mężu, mieszka we Francji i nie ma zamiaru stamtąd wyjeżdżać. Los męża jest jej absolutnie obojętny. Tylko wierna siostra Lukrecja zabiega o oswobodzenie brata. Król Francji Ludwik XII grał podwójną grę: w liście do Lukrecji obiecywał jej pomoc, a do Watykanu śle sekretną prośbę, aby za żadne skarby nie wypuszczać Cezara z więzienia: „Jest nieprzewidywalną osobą, ten Cezar Borgia” – tak podsumował swój list.

Cezar zdawał sobie sprawę z tego, że przegrał życie. Właściwie wszyscy, oprócz siostry Lukrecji, go nienawidzili. Bolesna była również świadomość o nieudanym życiu małżeńskim.

Nie, nic nie zaiskrzyło między Carlottą d'Albert a Cezarem.

Mąż starał się, jak najrzadziej przebywać z żoną, ona odpłacała mu tym samym. Co prawda urodziła mu córkę, Ludwikę Borgię, i na tym koniec. Będąc w Mediolanie, uwiódł Cezar Blanę Stanga, zafascynowany jej pięknnością. Czasami z powodu kobiet wywoływał głośne skandale. O jednym z nich mówiono nie tylko we Włoszech, lecz także w całej Europie. W 1501 roku Cezar udał się na karnawał na dwór Urbino. Bawił się doskonale, bowiem lubił dwory, gdzie dowcip i inteligencja były wysoko cenione, a tym właśnie wyróżniał się tamten dwór. Do interesujących należał także dwór księcia Montefeltro. Poznał tu uroczą Dorotę, córkę księcia Lombardii. Była narzeczoną Caraciollego, oficera wojsk niemieckich. To w oczach Cezara dodawało miłosnej przygodzie szczególnego dreszczyku emocji. Dziewczyna wyglądała na skromną i cnotliwą, co jeszcze bardziej podnieciło Cezara. Kilka razy z nią zatańczył, po czym wrócił do swego obozu. Za kilka dni weselny orszak Dorotei wyruszył ku miejscu zamieszkania jej przyszłego męża, gdzie dziewczyna zamierzała wziąć z nim ślub. W rejonie Neapolu zaatakował go uzbrojony, zamaskowany Cezar ze swymi ludźmi. Porwał Dorotę i umknął z nią w głąb lasu. Porwanie naturalnie wywołało powszechne oburzenie i zgorszenie. Król Francji wyraził swój protest. Wenecja nawet wysłała posłów do Rzymu. Caracciola, pozbawiony narzeczonej, miotał gromy i groził rozprawić się z napastnikiem, podejrzewając, że był nim Cezar. Gdy do Watykanu przybyli posłowie Wenecji, Aleksander VI wyraził ubolewanie i zaprzeczył, jakoby jego syn miał coś wspólnego z tą sprawą. Kiedy został sam, powiedział: „Jest idiotą, jeśli to uczynił”. A sam Cezar, spokojny i pewny siebie, cynicznie oświadczył, że ma takie ogromne powodzenie u kobiet, że nie potrzebuje ich wykradać, rzucił jednocześnie podejrzenie na swego oficera Diega Ramireza. Twierdził, że oficera łączyła z Dorotą potajemna miłość, bowiem dziewczyna podarowała mu kilka haftowanych własnoręcznie koszul. Wobec tak bezczelnego oświadczenia uwierzono Cezarowi

i dano mu spokój. Oficer znikł z obozu Cezara. Cezar zapewniał posłów, że gdy oficer powróci, zostanie przykładnie ukarany. Po kilku miesiącach zhańbiona dziewczyna została przez Cezara wypuszczona, nie było już mowy o żadnym małżeństwie z narzeczonym, musiała na wieki zaszyć się w klasztorze.

Wszystkie te rażące czyny i bezceństwa uchodziły płazem Cezarowi. Nie papież, lecz on, Cezar, czuł się w Rzymie władcą i panem. Gdy ktoś zaczynał go krytykować, rozprawiał się z nim okrutnie. Pewnemu krzykaczowi, który wulgarnymi słowami począł mu wymyślać, odciął kawałek języka i przywiązał do jego małego palca. Zdumiewające, że wciąż pozostawał bezkarny. Ludzie bali się papieża, wiedzieli, że kocha swego syna, i ich nie obroni. Nawiasem mówiąc, odnosi się wrażenie, że Cezar absolutnie wymknął się spod kontroli swego ojca i nawet podporządkował go sobie. Ojciec nie wahał się jednak potępiać homoseksualnych skłonności Cezara, każdego kolejnego jego kochanka kazał zabijać. Znany był przypadek Astory, w którym zakochał się Cezar. Papież kazał go bezlitośnie udusić, a trupa wrzucić do Tybru. Ta rzeka wszystkich przyjmowała w swe wody, „wypłuła” na wierzch tylko jedną ze swoich ofiar, Pedra Calderona, kochanka Lukrecji, z którym miała syna.

W życie i łóżce Cezara w tym czasie wkracza inna kobieta, zupełnie niepodobna do jego młodej i skromnej żony. Była nią trzydziestosiedmioletnia Katarzyna Sforza, zajadła amazonka, wojowniczką, co nie przeszkadzało jej być uwodzicielsko piękną i kobiecą. Dwóch jej mężów zamordowano na jej oczach, a gdy tłumy groziły, że zabiją także jej dwoje dzieci (urodziła ich sześcioro), stanęła w oknie obleganego pałacu, podniosła spódnicę, pod którą nie było pantalonów, pokazała swe łono i powiedziała: „A zabijajcie sobie. Mogę jeszcze narodzić dzieci”. Bohatersko broniła swych ziem przed Cezarem i siłami papieża. A potem napisała do papieża list, że się poddaje. List ten nasączyła bakteriami dżumy. Papież, ostrzeżony o tym, kazał spalić list wraz

z posłańcami. Zamek Forli. Oblega go wojsko Cezara. Nie może go zdobyć. Wreszcie postanowił rozpocząć atak. W ciągu pół godziny stracił czterystu ludzi. Kiedy schwycił Katarzynę, zgwałcił ją, potem kazał wychłostać i zabrał jako branke ze sobą do Rzymu. Jadą konno. Księżna w kajdanach. Ta bojowa kobieta instynktownie wiedziała, jakiego mężczyzny potrzebuje. Właśnie takiego okrutnego i brutalnego jak Cezar, który siłą brał kobiety, nie przejawiając w stosunku do nich jakiegokolwiek szacunku. Nagle ta wielodzietna matka i żona dwóch mężów poczuła, że budzi się w niej uczucie do swego oprawcy. Po drodze do Rzymu zostali kochankami. Zatrzymywali się w zajazdach, gdzie wspólnie dzielili łoża, ich noce były tak bujne, że cykady przestawały cykać, wsłuchując się w ekstatyczne jęki dobiegające z brudnych izb. Nazajutrz Cezar, jak gdyby nigdy nic, nakładał z powrotem kajdany Katarzynie i wędrówka była kontynuowana, z krótkimi przerwami na mały seks w przydrożnych krzakach. Markiz de Sade, któremu bardzo imponował Cezar, niezwłocznie włączył jego przygody, w nieco zmodyfikowanej wersji, do swego bulwersującego utworu zatytułowanego „Julietta”.

Dzieje Katarzyny Sforzy opisuje biograf Roberto Gervaso i jeszcze tuzin innych biografów, między innymi Alois Uhl, bolejący nad smutnym losem tej wojowniczej, śmiałej amazonki. Zawiódł ją kochanek Cezar. Najbardziej bolało Katarzynę, że po przywiezieniu jej do Rzymu, w porozumieniu ze swym ojcem, Aleksandrem VI, ekskochanek wrzucił ją do lochów, do straszego więzienia, i więził ją tam półtora roku, w warunkach nie do wytrzymania. Jak to zwykle było z Cezarem, przestał się interesować kobietą, którą wykorzystał. Papież Aleksander VI nie miał zamiaru zabijać Katarzyny. Nawet na początku umieścił ją w Belwederze, okazując w ten sposób dowód swej łaski. Lecz niepokorna amazonka próbowała ucieczki. Przeniesiono ją zatem do zamku Świętego Anioła, do lochów. La Tigressa (Tygrysica), takie przezwisko miała Katarzyna Sforza, wykrzykująca obelgi pod

adresem papieża i jego przewrotnego syna Cezara, miota się w swej celi, gdzie jest wilgotno, zimno, ciemno, mroczno. A po podłodze łążą szczury. Przeklina swych oprawców. Przez półtora roku posiwała doszczętnie, z korpulentnej, nawet grubawej pani, przeobraziła się w istny szkielet. Uwolniono ją na interwencję Francji. Starał się o to francuski dowódca d'Allegre. Natychmiast po uwolnieniu Katarzyna wyjechała z Rzymu, znajdując azyl w wolnym mieście Florencji.

Ta dzielna kobieta jest autorką zbioru receptur na różne kosmetyki oraz... trucizny, z których przecież Borgiowie często korzystali. Była znawczynią trucizn nie gorszą od neronowskiej Lokusty. Znała takie, które były w stanie zabić człowieka w ciągu sekundy i takie, które mogły męczyć, pod postacią ciężkiej choroby, tygodniami. Zdrowemu człowiekowi wypadały włosy, paznokcie, zęby, schodziła skóra, lecz najstaranniejsza analiza zwłok nie była w stanie odkryć w organizmie śladów zatrucia, co szczególnie było cenne dla Borgiów.

Zmarła Katarzyna 28 maja 1589 roku, w wieku czterdziestu sześciu lat. Nie zobaczyła już swoich sześciorga dzieci.

W 1506 roku Cezar uciekł z więzienia hiszpańskiego w Medina i przyjechał do Ferrary, do swego szwagra i siostry Lukrecji. Była niezmiennie rada z przybycia swego ukochanego brata. Zauważyła, że Cezar jest już zupełnie inny: przygaszony, rozczarowany życiem, i zżarty przez syfilis. Z pięknego, smagłego młodzieńca przeobraził się w swoją karykaturę: musiał nosić aksamitną maskę i rękawiczki, żeby ukryć ślady syfilitycznych ran. Dosłownie laź pod strzały i miecze wrogów. Zaczął uczestniczyć w lokalnych potyczkach między miejscowymi książętami, którzy całe lata prowadzili między sobą różne wojenki. Cezar ma już trzydzieści lat. Tym razem wojował przeciw hrabiemu de Lerin. Podczas oblężenia Viany, w Nawarze, ruszył do ataku na czele stu jezdnych żołnierzy i zmusił wroga do ucieczki. W jakiś amoku (może specjalnie szukał śmierci) wkroczył na terytorium wroga.

Został tam zabity 12 marca 1507 roku. Zdjęto z niego zbroję i ubranie, nagiego porzucono na ziemi. Tak skończył swój żywot ukochany brat Lukrecji. Ona już tak wielu bliskich utraciła! Nie ma jej dwóch braci, syna, matki Vanozzy, ojca, a ona znowu w ciąży. Alfons nie oszczędzał żony, bodajże co roku czyniąc z niej ciężarną kobietę.



## **Giovanni Sforza, pan na Pesaro**

Pierwszy mąż Lukrecji, Giovanni Sforza, pan na Pesaro, ma dwadzieścia sześć lat, jest wdowcem po Magdalenie Gonzaga. Ślub Giovanniego z Lukrecją odbył się 12 czerwca 1493 roku w Rzymie.

Temu krótkotrwałemu związkowi małżeńskiemu towarzyszył ogromny skandal obyczajowy, o którym było głośno nie tylko w Rzymie, lecz w całej Europie. Wesele było skromne: kameralna uczta z udziałem tylko dwudziestu sześciu gości. Z pięćdziesięciu srebrnych kielichów wysypano za dekolty pań cukierki, wzniesiono kilka czarek wina i na tym koniec. Małżeńskie życie również będzie skromne i mało udane. Mąż w większej części przebywał w swoim Pesaro, żona w Rzymie, gdyż nie chciała opuszczać tatusia. Wkrótce papież zapragnął rozwieść Lukrecję z jej pierwszym mężem, żeby wydać ją za mąż bardziej intratnie i w duchu jego politycznych planów.

Pierwszy mąż Lukrecji za żadne skarby świata nie chce rozwodu. Jeśli tak, wyjście jest jedno, zabić opornego. Ale na razie należy go postraszyć. Cezar oznajmił Lukrecji (w obecności schowanego za krzesłem sługi), że został wydany rozkaz zabicia Giovanniego Sforzy, by dać jej margrabiego Ferrary. Gdy Cezar wyszedł, Lukrecja powiedziała do sługi Jacomina: „Słyszałeś, co zostało powiedziane? Zawiadom o tym mojego męża”. Giovanni został poinformowany, że szykuje się na jego życie zamach i natychmiast uciekł z Rzymu. Galopował przez całą dobę, nigdzie się nie zatrzymując. Kiedy dojechał do Pesaro, koń padł, ale Giovanni był cały i żywy. Tymczasem papież nieustannie rozprzestrzeniał pogłoskę o impotencji męża Lukrecji.

Papieżowi na gwałt jest potrzebne przymierze z królem Neapolu Alfonsem II. Po rozwodzie Lukrecji z Giovannim papież zamierza wydać ją za mąż za nieślubnego syna króla Neapolu, Alfonsa d'Aragon. Można było tego dokonać, ogłaszając męża

Lukrecji, Giovanniego, impotentem i w ten sposób uzyskać rozwód. Stąd ta niedorzeczna plotka rozgłaszana przez papieża, że mąż Lukrecji nawet nie zdeflorował swej małżonki. Giovanni z pianą na ustach udowadniał, iż to nieprawda. Ludovico Moro zaproponował, żeby sprawdzić potencję Giovanniego w obecności ekspertów i prałata. Postanowiono znaleźć prostytutkę i niechby Giovanni w ciągu dwóch godzin udowodnił, że wypuścił w nią spermę. Przebywający w pobliżu kopulującej pary lekarze, w obecności świadków i innych ciekawskich, potwierdziliby ten fakt. Naturalnie, że Giovanni odmówił, argumentując w ten sposób: nie ma co sprawdzać jego sprawności seksualnej z prostytutką, jeśli zostało udowodnione, że jego pierwsza żona, Magdalena Gonzaga, umarła podczas porodu. Wówczas papież wysuwa kolejny argument: dziecko mogło być nie od Giovanniego, tylko od pafia. Miał dobry dowód na to: przykład swej córki Lukrecji, która zaszła w ciążę ze swym pokojowcem Pierrotem Calderonem.

W naszym przeelektryzowanym, przekomputerowanym, przeładowanym stresami wieku na sprawę impotencji męża patrzymy trochę inaczej, niż to czyniono w XVI wieku. Przeprowadzone dziś statystyki mówią, że trzydzieści procent mężczyzn cierpi na impotencję w wieku ponad pięćdziesięciu lat, a co trzecie małżeństwo w wieku ponad sześćdziesięciu lat nie uprawia seksu z powodu niesprawności fizycznej męża. W XVI wieku na impotencję męża patrzono jak na sromotną chorobę i nawet Kościół katolicki dopuszczał możliwość rozwodu, jeśli zostało udowodnione, że mąż jest impotentem.

Ustalmy, Drogi Czytelniku: Giovanni nie jest pierwszy, nie jest ostatni, który ma się poddać publicznemu spółkowaniu z kobietą. Był to element kościelnego postępowania sądowego, które miało na celu urzędowe stwierdzenie impotencji małżonka, a więc jego niezdolności do spółkowania. Takie świadectwo było konieczne, jeśli małżeństwo miało zostać uznane za niebyłe. Dowodem impotencji była niezniszczona błona dziewicza żony, a

także jej oświadczenie pisemne, że mimo rzetelnych wysiłków nie udało im się odbyć spółkowania. Lukrecja z rumieńcem na policzkach, nie ze wstydu, a z wyrzutów sumienia – święty Kościół przecież okłamuje – napisała takie oświadczenie pod dyktando papieża Aleksandra VI.

Zabieg odbywa się uroczyście. Istna parada pierwszomajowa epoki socjalizmu. Zbiegają się sędziowie, lekarze, akuszerki, a jeśli jesteś monarchą albo księżniczką, to i damy dworu, dworacy. Małżonków kładą na przygotowaną w łaźni pościel, zasłony zasuwają ze wszystkich stron i dają mężowi dwie godziny czasu na zdeflorowanie małżonki, na wypuszczenie spermy do jej pochwy. Potem zasłony się odsuwają i sprawdza się – jeśli krwi nie ma, to znaczy, że błona dziewicza nie została naruszona. Dają tobie trzy lata mężu zwłoki (co za humanitaryzm, no nie), a potem znowu sprawdzają twoją zdolność. Mamy do czynienia z dwoma zabiegami: sprawdzaniem dziewictwa i sprawdzaniem prokreacyjnych możliwości męża. Powstań, penisie, jeśli możesz, w warunkach masowej oglądalności.

Warto przypomnieć, że były takie precedensy, kiedy Kościół katolicki udzielał rozwodu małżonkom z powodu impotencji męża. Swego czasu z tego powodu zdetronizowano króla Portugalii. Papież Klemens IX udzielił rozwodu małżonkom i zezwolił królowej portugalskiej powtórnie wyjść za mąż, za brata jej męża, jednocześnie detronizując króla-impotentą.

Giovanni z kolei zaatakował papieża, że ten chce mieć córkę tylko dla siebie, że posiadał ją intymnie niezliczone ilości razy. Brudna bielizna Watykanu została wyniesiona na języki tłumy. Aleksander VI mógł udowodnić oszczerstwo Giovanniego tylko wówczas, gdyby zostało udowodnione dziewictwo Lukrecji. Dziewictwo córki z pianą na ustach udowadnia papież, a Lukrecja tymczasem zachodzi w ciążę od sługi. Szybko wysłano ją do klasztoru, gdzie w 1497 roku urodziła syna. Kardynał Ascanio Sforza próbował pomóc stronom dojść do porozumienia. Nic nie

mógł wskórać, Aleksandrowi i Cezarowi bardzo zależało na rozwodzie Lukrecji z Giovannim. Nie zapominaj, Lukrecjo, że jesteś politycznym towarem. I kardynał wydał wyrok: „Małżeństwo nie zostało spełnione z powodu impotencji męża”. Giovanni musiał podpisać ten sromotny werdykt. Otrzymał od papieża 30 000 dukatów odstępnego, rad, że nogi i życie z Rzymu uniósł.

Ojcem dziecka Lukrecji był Perroto Calderoni. Zadźgał go Cezar w celi więziennej, w obecności papieża: „Aż krwią zabryzgał twarz i szaty papieża” – zanotował kronikarz. Cezar z wściekłością posiekał jego ciało, wrzucił do skórzanego worka i utopił w Tybrze. Ciało wypłynęło, lud pochował nieszczęśnika po chrześcijańsku. Zaczęto szeptać, że to wcale nie było dziecko sługi, tylko ojcem dziecka urodzonego przez Lukrecję w klasztorze jest Aleksander VI. Naród się śmiał: „Święty ojciec jest ojcem i dziadkiem jednocześnie”. Niemowlę wychowywało się w ukryciu, w 1501 roku widziano Lukrecję w towarzystwie chłopca trzyletniego o imieniu Giovanni. W wieku trzynastu lat ten chłopiec, wychowywany bez matki, umrze w Wenecji. Giovanni Sforza umrze w 1504 roku, ożeniwszy się ponownie z wenecką szlachcianką, obalając doszczętnie oskarżenia papieża o impotencję – miał z nią syna. Niestety, papież już nie żył, omyłkowo zażywszy truciznę, którą przygotowano dla kardynałów. Rozwódka Lukrecja ma zaledwie siedemnaście lat, w 1498 roku papież wydaje ją za mąż po raz drugi.

## **Alfonso d'Aragon, książę Biscegli**

Nawet go pokochała, tego nieślubnego syna króla Neapolu Alfonsa II, brata Sanciego. Drugi mąż Lukrecji był młody, inteligentny, wesoły, nie zajmował się polityką. Przyjmował w pałacu poetów i uczonych, urządzał muzyczne wieczory. Ten książę Biscegli, syn Alfonsa II, króla Neapolu, władca Sorrento, był o niebo lepszy od nieociesanego Giovanniego Sforzy. Aleksander VI w specjalnej ślubnej intercyzie nakazał małżonkom, aby zamieszkali w Rzymie, nie chciał bowiem rozstawać się ze swoją ulubioną córeczką. Wesele było pyszne i przeszło gładko, nie licząc pałacowej dzikiej awantury i walki kuchenną bronią – nożami: służby Sanciego wdali się w pijacką bójkę ze sługami Cezara. A niez mordowany Johan Burhard zapisuje w swym dziele: „Małżeństwo Lukrecji z drugim mężem zostało skonsumowane ubiegłej nocy”. No i wkrótce Lukrecja zaszła w ciążę. Rodzi syna Rodriga, imię dano na cześć dziadka. Obwieszczono o tej nowinie w Europie. A biedne niemowlę pocięło się w szatce ze złotego brokatu w rozkosznej kołysce, nazwanej „Kołyską Lukrecji”.

Synek Lukrecji został ochrzczony w Kaplicy Sykstyńskiej w obecności tłumu gapiów. Później, gdy Lukrecja po raz trzeci wyjdzie za mąż, jej trzeci mąż nie pozwoli wziąć go do Ferrary. Umrze w Neapolu u obcych ludzi. To jeszcze jedna tragedia Lukrecji, bo była dobrą matką i kochała swoje dzieci.

Zamordowano Alfonsa na stopniach Bazyliki św. Piotra. Pięciu uzbrojonych w sztylety mężczyzn zadało mu dwadzieścia dwie rany. Okrwawionego i nieprzytomnego przyniesiono go do pałacu Lukrecji. Nie płakała, nie rozpaczła, energicznie zabrała się, wraz z Sancią, za pielęgnowanie chorego, prawie umierającego Alfonsa. Kiedy wyzdrowiał (jak wiemy z poprzedniego rozdziału o Sanciego), zginął z rozkazu Cezara, uduszony przez jego zaufanego Corella don Michelle. Lukrecja była mocno przygnębiona jego śmiercią. Oddaliła się od świata,

wyjechała do Nepi. Papież był zdumiony: tak rozpaczać, gdy się ma dwadzieścia lat i setki chętnych mężczyzn gotowych do ożenku!

## **Alfons d'Este, książę Ferrary**

Aleksander VI po raz trzeci wydaje Lukrecję za męża. Będzie to jej ostatni mąż i nie wiadomo skąd Aleksander Dumas (ojciec) zaczerpnął fałszywą wiadomość, twierdząc, że Lukrecja była czterokrotnie zamężna. I ten mariaż został umotywowany względami politycznymi. Książę Alfons d'Este jest brzydki, o wielkim nosie i krótkiej szyi, wydawało się, że jego głowa wyrasta wprost z tułowia. Jego pierwsza żona, Anna Sforza, zmarła w połogu (w ten sam sposób umrze Lukrecja). Pierwsze małżeństwo nie było udane, przeszkodę stanowił kapryśny charakter żony i gburowatość męża. Nie wiedział, jak ma postępować z delikatną żoną o romantycznych skłonnościach, straszliwie zazdrosną, nie wybaczącą mężowi zrad, odpowiadającą na jego zdrady udawanym lesbijstwem. Ubzdurała sobie, aby głąaskać intymnie miejsca swej służki Murzynki i czyniła to albo tak nieudolnie, albo specjalnie, żeby mąż ciągle natykał się na to ubóstwanie przez swą żonę drugiego kobiecego ciała. Nic sobie nie robił z udawanej czy nabytej dewiacji żony i żył dalej tak, jak tego wymagała jego natura. A ta domagała się wciąż nowych dziewczek, jędrnych, młodych, temperamentnych, choć niezupełnie zdrowych: kilka razy zaraziły go syfilisem.

Perspektywą mariażu z córką papieża, Lukrecją, Alfons d'Este nie był zachwycony. Dotychczas widział Lukrecję tylko raz i nie podobała mu się. Dużo tu zawiniła fatalna o niej opinia, o której było głośno nie tylko w Rzymie, lecz i w Ferrarze. To opóźniało w znacznym stopniu zawarcie małżeństwa. Alfons odciągał termin, jak mógł.

2 lutego 1505 roku odbył się ślub. Na weselu była obecna kochanka papieża, Julia Farnese, lecz nie było matki Lukrecji, Vanozzy. Była zbyt dumna, żeby przebywać w jednym miejscu z nową kochanką ukochanego ojca jej pięciorga dzieci. Teść Lukrecji, Ecole d'Este, już trzyma się nad listem do Aleksandra VI,

w którym pragnie go uradować radosną wiadomością, jak to dzielnie sprawił się jego syn w pierwszą noc poślubną. Tak pisał: „Tej nocy syn mój i druga strona doznali całkowitego zadowolenia. Sześć razy mój syn posiadał młodą żonę”. Jak to wyliczył? Otóż za każdym razem, kiedy dochodziło do szczytowania, Alfons dzwonił, wchodził majordomus z piórem i księgą pałacową i zapisywał: Godzina druga w nocy takiego a takiego dnia i roku. Księżę Alfons posiadał żonę. Po czym kłaniał się i tyłem wychodził. Za pół godziny nowy dzwonek. Alfons triumfalnie informował major-domusa: „Zapisuj, posiadałem żonę jeszcze półtora raz”.

Strasznie, dziko, absurdalnie, Drogi Czytelniku, żadnej intymności, lecz właśnie tak było w średniowieczu. Noc poślubna stanowiła wartość niepomiarową i należała do całego państwa. Nie była to sprawa tylko małżonków, była to sprawa państwowej wagi. Nikogo to nie szokowało, lecz przeciwnie, dodawało splendoru i dumy, jeśli mąż dobrze się sprawił w noc poślubną. „Jak spędzisz Nowy Rok, taki będzie cały rok” – mówi przysłowie. Jak spędzisz noc poślubną, tak i będziesz żył w małżeństwie. Sądząc po poślubnej nocy małżeństwo Alfonsa i Lukrecji zapowiadało się szczęśliwie. Aleksander VI, pilnie strzegący życia erotycznego córki, zapytał kardynała Ferrariego, co sądzi o małżeńskim współżyciu Lukrecji z mężem. Kardynał uczciwie odpowiedział, że mąż ma kochanki, chociaż łoża żony nie zaniedbuje i prawie co noc tam przebywa. Uspokojony papież odpowiedział: „Jest młody. Niech się wyżyje, byle nocą był w łóżku z żoną”. Lukrecja w tym czasie miała dwadzieścia jeden lat, mąż dwadzieścia pięć. Specjalnego szczęścia Lukrecja nie odczuwała w rodzinnej idylli, lecz odzyskała coś znacznie ważniejszego – wewnętrzny spokój. W gruncie rzeczy nigdy jej nie pasjonowało rozpustne, rozwiązłe życie na dworze swego ojca. Została w nie wciągnięta, jako słaba, poddająca się zewnętrznym wpływom istota, ulegała mu, ale w rzeczywistości



zawsze potrzebowała spokoju i stabilizacji. Będąc z natury chłodną, udawała tylko temperament, bo tego wymagała ówczesna moda, będąc z natury cnotliwą, udawała rozpustną. Teraz na ferrarskim dworze, w zamku Castelfrecchio, czuła się spokojną i bezpieczną. Nareszcie Lukrecja odzyskała spokój, odtąd będą u niej tylko platoniczni kochankowie, zajęła się wychowywaniem licznych dzieci, intelektualnymi zajęciami, a najważniejsze, gorliwą, nawet nadgorliwą służbą Bogu. Jakby pragnęła wymazać całe zło, które przyłgnęło do niej podczas bytowania na ojcowskim, papieskim dworze. Zaczęła nosić włosiennicę, umartwiała ciało, biczowała się, przestrzegała postów, rozdzielała wśród biednych obfitą jałmużnę, wprowadzała w Ferrarze rozumną modę, opiekowała się muzykami, uwielbiała poetów, była patronem sztuki. Lukrecja ożyła dla życia, o którym zawsze marzyła. Alfons jej w tym nie przeszkadzał, byleby jemu nie przeszkadzano. Lukrecja prawie nie wychodziła z zamku, natomiast on rzadko w nim przebywał. Ze zrozumiałą obojętnością Lukrecja tolerowała liczne miłostki swego męża. Sytuacja osobista Lukrecji definitywnie zmieniła się, gdy po śmierci jej teścia, 25 stycznia 1505 roku, władcą ferrarskim został jej mąż. Lukrecja została księżną.

Lukrecja nie była piękna. Mięsisty jak u ojca nos, wyłupiaste oczy, zbyt ciemna skóra. Jedyne, co miała naprawdę piękne, to długie, cienkie jak jedwab blond włosy, rzadko spotykane we Włoszech. Lord Byron za ogromne pieniądze nabył lok Lukrecji, wprawił go w medalion i nie rozstawał się z nim, nosząc go na swej szyi. Portreciści przedstawiali Lukrecję jako bardzo piękną kobietę. Pinturicchio namalował obraz Lukrecji: jasnowłosa, święta Katarzyna z Sieny. Nic bardziej fałszywego, niż ten portret. Ten wizerunek Lukrecji bardzo podobał się jej ojcu, zawisł w gabinecie Aleksandra VI.

Czy była Lukrecja wykształcona? Średnio. Znała grekę, łacinę, stosunkowo dobrze malowała, uwielbiała muzykę i poezję.

Kiedy została księżną Ferrary, zgromadziła ogromną bibliotekę, kilka dziesiątków tysięcy woluminów.

Ferrarski dwór bardzo kojąco wpłynął na Lukrecję. Z kobiety o fatalnej reputacji przeobraziła się w poczciwą matronę, dobrą matkę i żonę. Już nikt nie mógł nazwać jej, jak to uczynił kronikarz Girolamo Priuli: „Największą kurtyzaną Rzymu”.

Rodziła mężowi dzieci, kolejne ciężce, a było ich sześć, zносиła bardzo ciężko. Ciągłe miała zatrucia ciążowe: wymioty, bóle głowy, drżenie rąk, omdlenia. Mąż na fanaberie, jak to nazywał, żony nie zwracał uwagi i kontynuował swoje dzieło dziecioróbstwa ze spokojną obojętnością, ledwie po kochance wymywszy ręce i jeszcze coś bardziej znaczącego. Kopulował z żoną jedynie w celu prokreacji, nie oczekując żadnej rozkoszy, ani przyjemności seksualnej. Po co to czynił? Taka była mentalność tamtych czasów. Ale związek między Lukrecją a Alfonsem, wbrew przewidywaniom, okazał się szczęśliwy. Owszem, byli różni. On nieokrzesany, stanowczy, mało wykształcony, ale mający dużo zdrowego rozsądku. Miał Alfons mnóstwo kochanek i im poświęcał cały wolny czas, nie licząc się z żoną. Ona z tego problemu nie czyniła, mądrze żyła swoim życiem, starając się być szczęśliwą. Alfons miał wyjątkową słabość do prostytutek. „To mój wentyl bezpieczeństwa” – mawiał. No cóż, już wcześniej udowodniliśmy, Drogi Czytelniku, tezę, że rozpustni mężczyźni, wymagający seksualnej perwersji, nie mogą zadowolić się żonami. Ceniła Lukrecja rodzinny komfort. Kosztem uległości i tolerancji dla miłostek męża osiągnęła bardzo wiele. Alfons ją szanował i czuł do niej jeśli nie miłość, to wdzięczność i sympatię. Odwróciła się Lukrecja plecami do swej tragicznej przeszłości, całkowicie wymazała z pamięci przeszłe rozpustne życie, zaczęła nowe, bez udziału ojca.

Ferrara była miastem raczej spokojnym. Zamek Lukrecji przypominał twierdzę: mocne ściany, szeroka fosa napełniona wodą dawały poczucie izolacji, spokoju i bezpieczeństwa. Rzadko

wychodziła z zamku. Stworzyła swój mały dwór, z którego była dumna. Otaczały ją miłosne elegie. W Ferrarze miała trzech platonicznych kochanków: Pietra Bembo, Strozzięgo, chromego poetę, i Francesco, męża księżnej Mantui Izabeli d'Este. Z Bembo łączyła ją przyjaźń trwająca piętnaście lat. Musiała skończyć z nią, kiedy została księżną Ferrary. Nie dało się to jej łatwo. Przywiązała się do Bembo, był jej powiernikiem, garderobianym, doradcą, nauczycielem, tylko nie seksualnym kochankiem. Kochała go głęboko i silnie, lecz platonicznie.

Lukrecja należała do tego typu kobiet, których fascynowała dworska miłość z epoki Eleonory Akwitańskiej. Rycerz z tamtej epoki uwielbiał kobietę. Mógł oddać za nią swe życie, nigdy swego ciała. Lukrecji, z natury oziębłej, jak najbardziej odpowiadała taka właśnie miłość. To nie była miłość Petrarke i Laury, lecz miłość o wiele pełniejsza, bardziej znacząca. Nawiasem mówiąc, Drogi Czytelniku, Laura miała jedenaścioro dzieci. Aż dziw nas bierze, jak można było taką dzieciorodną samicę traktować jako obiekt idealistycznej miłości, stworzyć z niej wzór miłości romantycznej. Chyba nie wszystko w porządku było z psychiką tego Petrarke, jeśli za wzór piękna, powabu, gracji i cnoty wybrał roztyłą matronę.

Gustaw Flaubert w swej powieści „Szkola uczuć” sugeruje, że taka miłość jest o wiele wznioślejsza i bardziej erotyczna od miłości fizycznej, podczas której znika aura tajemniczości w momencie, kiedy jedno ciało dotknie drugie. W platońskiej miłości strona fizyczna nie gra żadnej roli. Seks w ogóle nie wchodzi tu w rachubę, oblubieńcy są zjednoczeni duszami. W naszym przypadku, mimo iż prawdopodobnie między Lukrecją a Bembo nie było stosunków fizycznych, pociąg płciowy był ogromny, tyle że nigdy nie został zrealizowany. Kochanków wabiło to, co nieosiągalne, co nie sprowadzało się do fizycznego cielesnego stosunku, było ponad nim, bardziej wzniosłe. Kochankowie znajdowali się w stanie ciągłej fascynacji sobą, łączyła ich wielka

przyjaźń, pragnienie wzajemnego służenia sobie i uwielbiania. Lukrecja mogła liczyć na Bembo całkowicie. Gdy obolała z powodu wielkiej utraty – śmierci ojca, znajdowała się w stanie skrajnej melancholii, Bembo pisał do niej czułe i delikatne, pocieszające listy, długo nie wążąc się przyjechać do Ferrary osobiście. Kiedy to uczynił, gdy zobaczył ponurą, otępiałą z bólu twarz Lukrecji, nie zdecydował się nawet podejść do niej. Wszystkie słowa pocieszenia byłyby bezsilne, nie sposób było nimi ukoić jej ból. Uczynił to w listach. Gdy on z kolei stracił brata Karla, Lukrecja czyniła wszystko, żeby pocieszyć swego przyjaciela. I oto z taką miłością-przyjaźnią trzeba było skończyć. Niełatwo przyszło podjąć taką decyzję. Były nieprzespane noce, łzy, rozpacz, lecz racja stanu, położenie księżnej, przykład, który powinna była dawać swym dworakom, wymagały tego poświęcenia. Bembo nic nie trzeba było mówić. W lot wszystko zrozumiał. Jego listy do Lukrecji były od tej pory wyłącznie okazjonalne, pisał je z okazji różnych dat i rocznic. Jeszcze nieraz Lukrecja w godzinach samotności i złego samopoczucia wspominała ten swój kojący balsam, kochanka Bembo, lecz przecież „co z wozu spadło, to przepadło”.

Następnym platonicznym kochankiem Lukrecji był poeta Ercole Strozzi. Lukrecja uważała, że platoniczna miłość jest nie mniej wzruszająca niż fizyczna. A może nawet jest bardziej doskonała, gdyż jest nasycona oczarowaniem i niezależna od mocy ciała. I Lukrecja uległa urokowi tego chromego poety. Znalazła swego Orfeusza Eurydyka. Stał się bliską jej osobą na ferrarskim dworze. Tylko jemu wolno było o każdej porze dnia i nocy przebywać w pokojach Lukrecji, zastawać ją w łóżku, aby ofiarować jej jeszcze wilgotny od porannej rosy polny bukiet kwiatów, co to pachną lepiej niż te hodowane w oranżerii. Spędzali razem dużo czasu. On deklamował jej madrygały, ona ze wzruszeniem słuchała, upajając się muzyką miłosnego głosu. Uwielbiał swoją Beatrycze, dopóki w jego życie nie weszła inna

kobieta, której poświęcił życie i poezję.

## Barbara Torelli

Zbuntowana, prześladowana przez męża, od którego uciekła, wykradłszy mu córkę, pałacowa dama Lukrecji, ma wszystkie przymioty, żeby w niej zakochał się kaleki poeta Strozzi. Fascynowała go niezmiernie kruchością swej natury zewnętrznie i ogromną siłą woli wewnętrznie. A jeszcze była melancholijną marzycielką, co dawało poetyckie jadło poecie, stęsknionemu za rycerską miłością czasów Eleonory Akwitańskiej. Klęczał przed nią, patrzył głęboko w oczy, trzymał jej delikatną rączkę, którą w upojeniu całował. Na nic więcej na razie Barbara Torelli poecie nie pozwalała. Dwoje nieślubnych dzieci urodzi mu znacznie później, gdy dobrze się poznają, gdy wyznają dozgonną miłość i połączą się duszami.

W wieku dwudziestu siedmiu lat Barbara Torelli wyszła za mąż za Ercola Bentivoglio z Bolonii, człowieka niezmiernie bogatego, egoistę i brutala, który już w pierwszym, miodowym miesiącu zaczął ją bić. Dwie swoje córki powiła między kolejnymi awanturami, w trakcie krótkiego przymierza, bo mąż w agresji wobec niej nie ustawał, lecz wręcz odwrotnie, raz ośmieliwszy się podnieść rękę na żonę, bił ją prawie codziennie. Życie pełne upokorzeń i dotkliwego fizycznego bólu obrzydło Barbarze, postanowiła od męża uciec. Zwłaszcza, kiedy przegrawszy w karty ogromną sumę pieniędzy, usiłował za tysiąc dukatów odstąpić żonę na noc pewnemu napalonemu biskupowi, a gdy Barbara kategorycznie odmówiła, dotkliwie ją pobił. Uciekła do klasztoru w Mantui, lecz nie czując się tam bezpiecznie, wraz z córką uciekła dalej, do Ferrary, i poprosiła Lukrecję o opiekę. Te dwie damy zaprzyjaźniły się wkrótce. A gdy mąż Barbary przyjechał do Ferrary i domagał się wydania żony, Lukrecja zrobiła duże oczy i oświadczyła, że jego żony tu nie ma i nigdy nie było. Musiał powracać z niczym. Szlachetna, wykształcona Barbara pragnęła życia skromnego, wolnego od upokorzeń i niebezpieczeństw.

Dzieje Barbary stały się ulubionym tematem kroniki towarzyskiej. Stała się modną, zapraszaną, rozrywaną. Poznała u Lukrecji Ercola Strozzi, pokochali się. Z biegiem czasu zaczęli żyć otwarcie, jak mąż z żoną. Jego wybredna i wyrafinowana natura znalazła podatny grunt. Docenił wdzięki tej kobiety – jej spokojną dojrzałość, urodę, nieprzeciętną inteligencję, kulturę. Tchnęła wdziękiem. Strozzi zdobył ją, nie bojąc się rzucić rękawiczkę możnym Bentivogliom. On, chory kaleka, ona nieszczęśliwa kobieta – oboje potrzebowali miłości i ciepłego uczucia. Ona lubiła być uwielbianą i znalazła to. Lukrecja, która nie pozwoliła rozwinąć się swemu uczuciu do Strozziego, otoczyła tę zakochaną parę swoją opieką. Barbara uciekła od męża w 1504 roku, a w 1507 on zmarł. Ona, wolna wdowa, natychmiast wyszła za Strozziego za mąż.

Tylko rok trwało ich szczęście. Rok później trzydziestopięcioletni poeta został bestialsko zabity nieopodal pałacu Lukrecji. Kim był zabójca? Dlaczego niegroźny, nikomu nie wadzący poeta został zabity? Czyżby miał wrogów? W potocznym tego słowa znaczeniu wrogów nie miał, lecz było trzech zazdrosnych mężczyzn. Pierwszy, to mąż Lukrecji, Alfons d'Este, który kochał się w Barbarze Torelli i według niektórych źródeł biograficznych nawet jakiś czas był jej kochankiem. Po drugie, mogła to uczynić rodzina jej zmarłego męża, walcząca o spadek. Po trzecie, podejrzewano o to – to już zupełna niedorzeczność – samą Lukrecję, że niby cierpiała na zazdrość. Śledztwo, jak to zwykle ma miejsce przy tajemniczych zabójstwach, utkwilo w martwym punkcie. Cała sprawa została zatuszowana.

Lukrecja mocno odczuła stratę przyjaciela. Nie mogła żyć bez platonicznej miłości, bez uwielbienia ją przez mężczyzn, bez jedności dusz. Strozzi miał czworo nieślubnych dzieci. Wszystkie je wzięła do siebie Barbara Torelli i wychowywała jak kochająca matka. Przez całe życie pamiętała romantyczną miłość swego poety, który rozślawił jej imię w swych elegiach.

Lukrecja nie może żyć bez przyjaciela, bez swej platonicznej miłości, do której przywiązywała taką wielką wagę. Na horyzoncie pojawia się nowy mężczyzna.



## Francesco Gonzaga

Francesco jest piękny: ciemnowłosy brunet, wysoki, szczupły, lecz o solidnej muskulaturze. Miał wiele kobiet, także nieprawych dzieci, rozsypanych po całej ziemi mantuańskiej. Pięknie wyglądał w siodle – był wspaniałym jeźdźcem. Niewiele trzeba było czasu, żeby między Lukrecją a nim zaiskrzyło.

Francesco Gonzaga podziwiał Izabelę. Fascynowała go, uznawał jej intelektualną wyższość, co splendoru mężczyźnie nie dodaje. Nie można powiedzieć, że był szczęśliwy w małżeństwie, skoro żona traktowała go z wyższością.

Izabela d'Este, małżonka Francesca Gonzagi, była wielodzietną matką. Urodziła sześćoro dzieci. Macierzyństwo nie przytłumiło jej chęci władzy. Trzema chłopcami i trzema dziewczynkami często zajmowały się piastunki, matka nie miała na nie czasu. Izabela nie lubiła Lukrecji, swej szwagierki. Zabrała jej przecież męża, a ona mimo wysiłków nie potrafiła zabrać Lukrecji ani jednego z jej platonicznych kochanków. Izabela była zimną, mądrą, wyrachowaną osobą. Francesco jej się bał i ogromnie szanował. Strach przed żoną paraliżował go do takiego stopnia, że coraz rzadziej odwiedzał Lukrecję w jej Ferrarze. Ona rozpacza, smutek przepelnia jej serce. Kazała w kościele rozstawić namiot, żeby ludzie nie wiedzieli, jak ona się modli: oczy miała napełnione łzami. Przecież ona żyć nie może bez romantycznej miłości, a Francesco już jej prawie nie odwiedza.

Nie odwiedza także i z tej przyczyny, że rozwija się jego choroba – syfilis. Dniem i nocą Lukrecja modli się o wyleczenie swego kochanka. Dwa miesiące przed jego śmiercią Lukrecja, która znowu jest w ciąży (od męża, ma się rozumieć), pisze do Francesca pocieszający list. Krzepiła go na duchu, przekonywała, że nie zasłużył na taką ciężką karę Boga. Przecież nie był notorycznym erotomanem, nagminnie sypiającym z prostytutkami, przecież, jak wiemy, cała francuska armia została

zarażona przez piękne neapolitanki syfilisem. Lukrecja widziała, jak ta choroba zżerała jej brata Cezara. Przypadkowy fizyczny związek z jedną z neapolitanek i oto już Francesco znalazł się na progu śmierci. Zmarł w 1519 roku, doszczętnie zżarty przez syfilis. Izabela d'Este, jego żona, nie bardzo rozpaczała. Teraz ma przecież w Mantui całkowitą władzę, do której dążyła przez całe życie. Rozpaczała tylko Lukrecja. Jej mąż Alfons był zadowolony – nie lubił Francesca. Nie mógł zapomnieć, że kiedyś na balu ciężarna Lukrecja, tańcząc z Franceskiem, miała poronienie. Teraz ona znowu w ciąży. Ta ciąża i poród, podczas którego dziecko (dziewczynka) zmarło, doprowadziły ją do śmierci. Wykrwawiła się. Zdażyła pożegnać czworo pozostałych żywych dzieci. Nie oczekuj ode mnie, Drogi Czytelniku, chronologicznej narracji. Kompozycyjna struktura tego tworzywa jest taka, że ciągle mnoży retrospekcję. Powróćmy zatem do okresu tragicznego w życiu Lukrecji. Straszliwy cios dotknął Lukrecję: zmarł jej ukochany ojciec, papież Aleksander VI. Zdarzyło się to 10 sierpnia 1503 roku. Lukrecja nie była na jego pogrzebie. Znajdowała się w Ferrarze. Do dnia dzisiejszego przedstawiane są różne wersje dotyczące śmierci papieża.

Zacznijmy od tego, że przed śmiercią papieża natura kilka razy dawała mu znaki, które papież zlekceważył. Pewnego razu nadciągnęła silna burza, podczas której od uderzenia pioruna zapaliła się Bazylika św. Piotra. Dosłownie kilka centymetrów przed papieżem runęła nadpalona belka. Podjęte przez papieża próby otrucia kardynałów kontynuowały ponury korowód zabójstw za pomocą trucizny. Dużo pisało się o słynnej truciznie Borgiów, noszącej nazwę *cantarella*, czy *aqua tofana*, która zadawała śmierć w wyznaczonym przez oprawców terminie. Zależało to od dawki trucizny. Mogła zabić natychmiast, mogła też przedłużyć życie o kilka dni i tygodni, stwarzając pozory ciężkiej choroby, podczas której u chorego wypadały włosy, paznokcie, schodziła skóra. Naukowcy XX wieku zbadali tę truciznę, okazało

się to rodzajem kwasu arsenowego, działającego w dwóch kierunkach: na żołądek i na mózg. W ostatnim okresie życia papieża jego chciwość i chęć zawładnięcia ogromną fortuną bogatych kardynałów sięgnęła szczytu: bezpardonowo zabijał już nie w celach politycznych, ale żeby zawładnąć bogactwem. I tak został zabity kardynał Michaeli przez najemnego zabójcę, Asquina Colloredo. Papież wypłacił tysiąc dukatów. Całą fortuną kardynała zawładnął Aleksander VI. Mówiono o legendarnym pierścieniu Aleksandra, wewnątrz którego była trucizna. Kiedy nalewał wino gościowi, mógł nacisnąć sprężynkę i wsypać do pucharu truciznę. W zamku Świętego Anioła uwięziono kardynała Giambattistę, którego poddano okrutnym torturom. Jego matka na kolanach błagała papieża o wypuszczenie jej syna, ofiarując w zamian ogromną, największą na świecie perłę. Za tę cenę wydano jej trupa syna. Na nieszczęście papież podarował tę perłę Lukrecji, miłośnicy pereł. Przyniosła jej straszne nieszczęścia. Poczęły umierać jej dzieci, wkrótce i ona sama zmarła podczas porodu.

Wśród różnych wersji śmierci papieża wybierzemy, Drogi Czytelniku, najbardziej lakoniczny i zabawny jednocześnie jej opis pióra Michała Zoszczenki: „W katolickim Kościele owych czasów nie było zgody. Papież chciał zjednoczyć całą Italię pod swoją władzą, a inni możni tego nie chcieli, bojąc się potęgi Borgiów. Na tym tle miały miejsce różne zamieszki i wojenki. Aleksander VI postanowił drogą zabójstwa zlikwidować dwóch kardynałów, którzy mu przeszkadzali w jego planach. I oto Aleksander VI zaprasza ich obydwóch na kolację, gdzie w specjalnych dwóch kubkach czeka na nich zatrute wino, które podczas kolacji poda sługa. W dwóch większych kubkach było wino niezatrute, przygotowane dla papieża i jego syna Cezara, uczestniczącego w tej uczcie. Odmówić zaproszenia papieża na wieczerzę nie było sposobu, chociaż po Rzymie rozpełzły się słuchy, że papież podczas kolacji nieraz truje swych gości, no, może w celu zaostżenia apetytu. Przyszli kardynałowie, drżąc ze strachu i

lękając się. Lecz papież i jego syn byli mili i uprzejmi i nic nie wskazywało, że ma nastąpić okrutne morderstwo. Sługa (gapa jeden), który roznosił wino, pomylił kubki, papież i jego syn tego nie zauważyli. Słowem, zatrute wino trafiło do papieża i Cezara, choć nie dla nich było przeznaczone, egipska trucizna znacznie zmodernizowana i nosząca imię trucizny Borgiów (niestety, jej receptura została zatracona ku wielkiej rozpaczliwości ludzkości) zaczęła szybko działać, tuż po wzniesieniu toastów za zdrowie papieża i jego syna Cezara. Pierwszy pod stół z pobladłą twarzą stoczył się Aleksander VI, za nim Cezar. Kardynałowie, których dobre niezatrute cypryjskie wino wprowadziło w świetny nastrój, zdziwili się, a syn wijącego się pod stołem z bólu papieża mówi: «Wiesz, tatusiu, wydaje mi się, że pomyliliśmy kubki». Kardynałowie nic zrozumieć nie mogą i pytają Jego Świątobliwość, co z nim się dzieje. Papież odpowiadać nie może, on po zażyciu końskiej dawki mocnej trucizny już konający, zsiniał, drgawki nim miotają i oczy na wierzch wyłażą. Dramat. Krzyki. Kardynałowie czym prędzej z pałacu papieskiego uciekają. Papież w agonii leży. Cezara pochwycono, do brzucha byka zapakowano, żeby krew byka truciznę mu wyciągnęła. Trzy dni w tej niewygodnej pościeli leżał, aż wyszedł z tego żywy” (M. Zoszczenko, „Niebieska książka”).

W monografiach nie znajdziesz, Drogi Czytelniku, tej haniebnej prawdy. Tam wszędzie, wyłączając dzieła Gervaso i Bellonci, jest mowa, że Cezar leżał z ostrą febrą (no, kto z patriotów włoskich chciałby wynosić śmieci z izby?). U nas przecież również syfilityczkę Barbarę Radziwiłłównę cnotliwą królową uczyniono, a Anglicy usunęli Ryszardowi III garb i jawi im się zgrabnym niczym cyprys krymski, a Rosjanie Iwana Groźnego, który był niedoścignionym potworem i szaleńcem gorszym od Kaliguli, zaliczyli do plejady dobrych królów, dbających o moc swej ojczyzny. No cóż, fałszerstwo historii kwitnie obecnie pełną gębą i nic na to nie poradzisz, bowiem nikt nie chce, żeby ich

władcy byli degeneratami w oczach ludzkości. Słowem, papież zmarł, a Cezar wyzdrowiał. Liczne dzieła opisują pogrzeb papieża. Straszny to był widok, Drogi Czytelniku.

Maria Bellonci: „Jest to setna może, ale nie ostatnia zagadka dziejów borgiowskich i dookoła niej od wieków toczą się spory. Dawni historycy, jak Guicciardini, Giovio, Pietro Gattire i inni, wszyscy bez wyjątku wierzyli w otrucie. Nowsi natomiast zaprzeczają tej wersji niemal jednogłośnie, a opierają się na świadectwach Burharda, Costabilego, Cattaneiego i Giustiniana, którzy zgodnie mówią o malarycznej gorączce. Prawda do dziś dzień jest niemożliwa do ustalenia. Umarł cicho, jak gdyby przytłoczony jakimś niezmiernym znużeniem. Niewiele osób było przy nim w tej chwili. Po apartamentach Borgiów buszują chmary służby, rabując, co się da, wynieśli nawet tron papieski. W ogołoconym pokoju leżą zwłoki papieża, obmyte i złożone na katafalku. Zmarły odziany jest w strój szyty z białego sukna i złocistą kapek, na nogach ma aksamitne pantofle. Pod wieczór ciało wystawiono na widok publiczny w Bazylice św. Piotra. Rozkład przyspieszony panującym upałem z każdą godziną bardziej deformował zwłoki papieża. Czerniałe, rozdęte, wkrótce zatraciły cechy ludzkie. Lud defilujący przed katafalkiem przenikał dreszcz grozy. Głęboką nocą, przy świetle nielicznych pochodni, odbył się pogrzeb. Ciało papieża, rozdęte potwornie, nie dawało się w żaden sposób ułożyć w trumnie. Dwóch barczystych grabarzy musiało z całej siły upychać je pięściami. Bezkształtna masa przypominała galaretę albo rozlazłą gigantyczną meduzę. Szczupły kondukt, złożony z grabarzy i niewielu księży, rozproszył się w milczącym pośpiechu”.

Roberto Gevarso stoi na stanowisku, że zabiła Aleksandra VI epidemia malarii, która ogarnęła Rzym. Nagle zmarł jego bratanek, kardynał Giovanni Borgia. Widząc, jak przeciągał jego kondukt pogrzebowy, Aleksander VI wykrzyknął: „Ten miesiąc jest fatalny dla otyłych”. Pod nogi nagle spadła mu sowa,

przerażony zamruczał: „Zły znak, zły znak”. Po czym zamknął się w swoich komnatach i nie chciał nikogo widzieć. Zwymiotował posiłek, podniosła się gorączka, wielokrotnie puszczano mu krew. Umarł, mając 72 lata.

Żadna z jego kobiet, Vanozza czy Julia, nie były przy jego śmierci. Zdaniem niektórych Aleksander i Cezar byli ofiarami spisku, który sami uknuli przeciwko kardynałowi Adriano da Corneto, chcąc zagarnąć jego mienie. Przekupili jakoby podczaszego, który miał domieszać do wina zabójczy biały proszek, zwany *cantarella*, spreparowany być może na bazie arszeniku, który jak mówiono, był ulubioną trucizną Borgiów. Jednakże na skutek fatalnej pomyłki wino trafiło do kielichów papieża i księcia Valentino, którzy nieświadomi niebezpieczeństwa wypili go.

Jest prawdą, że w tym czasie epidemia malarii zaatakowała Rzym.

Każda ciąża dla Lukrecji była istnymi torturami, lecz tę, która okazała się ostatnią, znosiła szczególnie ciężko. Ta ciąża stała się przyczyną jej śmierci. Mąż nie chciał słuchać narzekań żony i z beztroską reproduktora nagradzał żonę kolejnym brzuchem, mimo iż podczas porodów prawie umierała: miała wymioty, omdlenia, bóle, torsje, aż do strasznej depresji. Tak postępują egoiści, a nie odpowiedzialni mężowie. Niektórzy z nich w ten oto specyficzny sposób ratują swój honor. Według ich mniemania ciąża strzeże kobietę od romansów z kochankami. Mylne to stwierdzenie, udowodniła to nimfomanka Julia, córka Oktawiana Augusta, zdradzająca trzech mężów na prawo i lewo. Gdy pytano, dlaczego przy takim bujnym erotycznym życiu poza domem jej dzieci są podobne do mężów, odpowiedziała: „Ja wpuszczam kochanków na swój pokład, kiedy statek już jest pełny”. Czyli śpi z nimi, kiedy zajdzie w ciążę z mężem. Nic więc bardziej błędnego jak takie rozumowanie, że ciąża żony odstrasza kochanków.

Siódma ciąża zabiła Lukrecję. Zmarła w 1519 roku, mając 39

lat.

\* \* \*

Skończyłam, Drogi Czytelniku, kolejną swoją książkę z serii „Skandale Historii” (siódmą!). Nie musiałam specjalnie wysilać się z udowodnieniem tezy o ogromnej roli seksu w życiu królów, bowiem ich życie samo dostarczyło bogatego materiału. A jaką rolę w ich życiu odgrywają szarlatani, oszuści, awanturnicy o genialnych przebłyskach umysłu i niespotykanych erotycznych możliwościach samczych, opowiem w swej kolejnej książce.

*Gliwice, 28 lipca 2009 r.*

## Bibliografia

- Ackerman D., „Historia naturalna miłości”, Warszawa 1997
- Andis H., „Kobiety Habsburgów”, Warszawa 1991
- Banasiak B., „De Sade. Integralna potworność”, Poznań  
2006
- Baszkiewicz J., „Henryk IV Wielki”, Warszawa 1995
- Bellonci M., „Lukrecja Borgia. Jej życie i czasy”, Warszawa  
1989
- Besola J., „Małżeństwa królewskie. Władcy elekcyjni”,  
Warszawa 2007
- Bidwell G., „Lwie serce”, Katowice 1983
- Bidwell G., „Rubaszny król Hal”, Katowice 1972
- Bilbasow W., „Gienrich IV”, Kijów 1867
- Birkin K., „Wriemienszczyki i faworitki” , t. I–II, Moskwa  
1992
- Bogucka M., „Anna Jagiellonka”, Warszawa 1964
- Bogucka M., „Białogłowa w dawnej Polsce”, Warszawa 1998
- Bogucka M., „Gorsza płeć”, Warszawa 2005
- Brantôme P., „Gałantnyje damy”, Moskwa 1998
- Carnes P., „Od nałogu do miłości”, Poznań 2001
- Cawthorne N., „Bardzo prywatne życie papieży”, Warszawa  
2004
- Craveri B., „Kochanki i królowe. Władza kobiet”, Warszawa  
2007
- Cyrulik B., „Anatomia uczuć”, Warszawa 1997
- Dane L., „Kamasutra”, Warszawa 2003
- Djuma A., „Gienrich IV”, Moskwa 1996
- Dobraczyński J., „Głosy czasu. Szkice historyczne”,  
Warszawa 1966
- Donimierski A., „Niezwyczajne kobiety w dziejach. Szkice  
biograficzne”, cz. 1. Od starożytności do końca XX w., Warszawa  
1988



- Drunon M., „Kiedy król gubi kraj”, Kraków 1991  
Druon M., „Lew i lilie”, Kraków 1991  
Freud Z., „Poza zasadą przyjemności”, Warszawa 2005  
Friedman D.M., „Pan niepokorny. Kulturowa historia penisu”,  
Warszawa 2003  
Fuks E., „Istoria nrawow”, Moskwa 1997  
Gervaso R., „Borgiowie”, Warszawa 1988  
Gołębiowski E., „Zygmunt August – życie ostatniego z  
Jagiellonów”, Warszawa 1962  
Gołębiowski E., „Zygmunt August”, Warszawa 1977  
Grant M., „Neron”, Warszawa 1980  
Green P., „Śmiech Afrodyty”, Warszawa 1969  
Grimal P., „Miłość w Rzymie”, Warszawa 1998  
Grzybowski S., „Henryk Walezy”, Warszawa 1980  
Haasler R., „Kobiety Watykanu”, Katowice 2001  
Haman B., „Cesarzowa Elżbieta”, Warszawa 1999  
Heritier J., „Katarzyna Medycejska”, Warszawa 1981  
Herman E., „Królowe i ich kochankowie”, Warszawa 2007  
Holt W., „Lubow i tron”, Moskwa 1995  
Hugede N., „Savonarola i Florentyńczycy”, Warszawa 1988  
Jelinek E., „Pożądanie”, Warszawa 2007  
Jelinek E., „Żądza”, Warszawa 2007  
Kaczmarczyk Z., „Polska czasów Kazimierza Wielkiego”,  
Warszawa 1972  
Kastelo A., „Kniga tajn” , t. XIII, Moskwa 1997  
Kendall P., „Ludwik XI”, Warszawa 1976  
Kowalski J.W., „Chrześcijaństwo średniowieczne”, Warszawa  
1985  
Kowalski J.W., „Poczet papieży”, Warszawa 1985  
Krafft-Ebing R., „Połowaja psychopastia”, Moskwa 1985  
Krafft-Ebing R., „Psychologia sexualis”, Moskwa 1985  
Krawczuk A., „Cesarz August”, Wrocław 1964  
Kurznel-Runtscheiner M., „Córy Wenus”, Warszawa 2005

Leturno J., „Nrastwiennost”, Sankt Petersburg 1908  
Liebfeld A., „Napoleon III”, Warszawa 1979  
Lips J., „U źródeł cywilizacji”, Warszawa 1957  
Łątka J.S., „Oskarżam arcyksięcia Rudolfa”, Kraków 1983  
Machiavelli N., „Księżę”, Warszawa 1984  
Mann G., „Zrięłyje gody Gienricha IV”, Moskwa 1961  
Manteczacca P., „Gigiena czustw”, Moskwa 1893  
Matwijew W., „Strast własti”, Moskwa 1997  
Maurois A., „Dzieje Anglii”, Warszawa 1959  
„Memuary królowej Margot”, Moskwa 1995  
Meysztowicz J., „Trzy korony”, Warszawa 1972  
Miller H., „Zwrotnik Koziorożca”, Kraków 1991  
Miller P., „Żona dla pretendenta”, Warszawa 1980  
Minois G., „Kościół i wojna. Od czasów Biblii do ery atomowej”, Warszawa 1998  
Molle M., „Średniowieczny rodowód Francji”, Warszawa 1982  
Neale J.E., „Elżbieta I”, Warszawa 1959  
Neyman A., „Diawoł”, Moskwa 1940  
Owidiusz, „Sztuka kochania”, Warszawa 2008  
Pałeczny T., „Sekty w poszukiwaniu utraconego raj”, Kraków 1998  
Pernoud R., „Alienor z Akwitanii”, Warszawa 1980  
Pernoud R., „Heloiza i Abelard”, Warszawa 1982  
Pernoud R., „Królowa Blanka”, Warszawa 1972  
Perrault G., „Sekrety królewskie. Polskie szaleństwo”, Warszawa 1997  
Pieszkowa S., „Czornaja korolewa”, Moskwa 1994  
Plutarch, „Żywoty sławnych mężów”, Wrocław 1953  
Plutarch, „Zastolnyje biesiedy”, Leningrad 1990  
Pollard A., „Henryk VIII”, Warszawa 1981  
Ponter R., „Szaleństwo. Rys historyczny”, Poznań 2003  
Przybylski R., „Pustelnicy i demony”, Kraków 1994  
Reinsberg C., „Obyczaje seksualne starożytnych Greków”,

Gdynia 1998 Ruszczyk M., „Niepospolite kobiety”, Warszawa  
1980

Sade, de, „Filozofia w buduarze”, Kielce 2001

Sade, de, „Sto dwadzieścia dni Sodomy”, Poznań 2006

Sałytkow M., „Cezar Bordzia”, [Leningrad?] 1990

Smokowicz L., „Oszuści, szubrawcy i zdrajcy”, Białystok 2004

Swetoniusz, „Żywoty cesarów”, Warszawa 1954

Szajnocha K., „Jadwiga i Jagiełło”, Warszawa 1969

Tacyt, „Dzieła”, Warszawa 1957

Waddel H., „Abelard i Heloiza”, Warszawa 1955

Watała E., „Wielikije lubownicy”, Moskwa 2001

Watała E., „Wielikije rogonoscy”, Moskwa 2002

Weyland U., „Jezus oskarża”, Gdynia 1996

Widel W., „Filozofia strachu i nadziei”, Warszawa 1971

Winniczuk J., „Kobiety świata antycznego”, Warszawa 1973

Wille la Djuk, „Żizn i razwleczenia w srednije wieka”, Sankt  
Petersburg 1999

Włodarski S., „Historia papieżstwa”, Warszawa 1964

Żylińska J., „Kapłanki, amazonki i czarownice”, Warszawa

1981

Żylińska J., „Piastówny i żony Piastów”, Warszawa 1967

Żywczyński M., „Papieżstwo i papieże w średniowieczu”,  
Kraków 1995